

Douglas KENNEDY

Grzędzawisko

Przekład Agata Kowalczyk



*W moim ogromnym mieście noc,
gdy z uśpionego domu wchodzę w nią,
powiedzą ludzie: córka, żona...
ktoś, a w moich myślach tylko ona: noc.*

Elaine Feinstein *Bezsenność*

1

W niecałą godzinę po tym, jak poznałam Tony'ego Hobbsa, uratował mi życie.

Wiem, że to brzmi melodramatycznie, ale to prawda. Albo przynajmniej taka prawda, jak wszystko, co powie ci dziennikarz.

Byłam w Somalii – kraju nieznanym mi aż do chwili, gdy telefon w Kairze powiadomił mnie, że zostałam tam skierowana. Był piątek po południu – muzułmański dzień święty. Jak większość zagranicznych korespondentów w Kairze wykorzystywałam oficjalny dzień odpoczynku jak należało.

Opalałam się nad basenem w klubie Gezira – za panowania króla Faruka ulubionym miejscu spotkań brytyjskich oficerów, a teraz miejscowej elity i wszystkich obcokrajowców pracujących w stolicy Egiptu. Choć słońce jest tutaj stałym udogodnieniem, większości korespondentów miejscowych placówek rzadko udaje się je oglądać. Zwłaszcza jeśli – tak jak ja – muszą sami, w jednoosobowej, oszczędnościowej placówce „obsłużyć” cały Bliski Wschód i wschodnią Afrykę. I właśnie dlatego w ten piątek po południu dostałam telefon.

– Sally Goodchild? – zapytał z amerykańskim akcentem głos, którego nigdy wcześniej nie słyszałam.

– Zgadza się – powiedziałam i przycisnęłam komórkę mocno do ucha, by odciąć się od szwargotu czterech egipskich matron, które siedziały tuż obok.

– Kto mówi?

– Dick Leonard, z gazety.

Zerwałam się, wyciągnęłam z torby notatnik i długopis. Przeszłam w spokojniejszy kąt tarasu. „Gazeta” to mój pracodawca. Znana też jako „Boston Post”. A skoro dzwonią do mnie na komórkę, to na pewno coś się stało.

– Jestem nowy w dziale zagranicznym – wyjaśnił Leonard. – Zastępuję dzisiaj Charliego Gaikena. Na pewno słyszała już pani o powodzi w Somalii?

Pierwsza dziennikarska zasada: nigdy nie przyznawaj się, że choćby na pięć minut straciłaś kontakt ze światem. Rzuciłam więc tylko:

– Ile ofiar?

– Według CNN na razie nie podano ostatecznej liczby. Ale ze wszystkich doniesień wynika, że powódź w dziewięćdziesiątym siódmym to przy tym kapuśniaczek.

– A gdzie konkretnie w Somalii?

– W dolinie rzeki Juba. Co najmniej cztery wioski pod wodą. Naczelnicy chcą tam kogoś mieć. Może pani wyjechać od razu?

I w ten sposób znalazłam się w samolocie do Mogadiszu zaledwie w cztery godziny po telefonie z Bostonu. Podróż oznaczała znoszenie dziwactw Etiopskich Linii Lotniczych i przesiadkę w Addis Abebie. W Mogadiszu wylądowałam tuż po północy. Wsiadłam w wilgotną, afrykańską noc i zaczęłam szukać transportu do miasta. W końcu pojawiła się taksówka, ale kierowca prowadził jak kamikadze, a na dodatek do centrum jechał boczną drogą – niewyasyfaltowaną i prawie pustą. Kiedy go zapytałam, dlaczego zjechaliśmy z szosy, tylko się roześmiał. Wyciągnęłam komórkę, wystukałam numer i kazałam recepcjoniście Hotelu Centralnego w Mogadiszu zadzwonić na policję i zgłosić, że zostałam porwana przez kierowcę taksówki, numer rejestracyjny... (owszem, zapamiętałam numer rejestracyjny, z nim wsiadłam). Kierowca natychmiast zaczął mnie przeproszać; skręcił na główną drogę, błagając, żebym nie pakowała go w kłopoty.

- To naprawdę był tylko skrót.
- W środku nocy? Kiedy nie ma ruchu? Myślisz, że w to uwierzę?
- Czy policja będzie na mnie czekać w hotelu?
- Jeśli mnie tam dowiesz, to ich odprawię.

Wrócił na główną trasę i dojechałam do hotelu w jednym kawałku – kiedy wysiadałam z samochodu, kierowca wciąż jeszcze mnie przeproszał. Po czterogodzinnym śnie udało mi się nawiązać kontakt z Międzynarodowym Czerwonym Krzyżem w Somalii i wcisnąć się do jednego z ich śmigłowców, lecącego do strefy powodzi.

Śmigłowiec wystartował z wojskowego lotniska za miastem tuż po dziewiątej. W środku nie było foteli; razem z trzema pracownikami Czerwonego Krzyża usiadłam na zimnej, stalowej podłodze. Maszyna była stara i ryczała ogłuszająco. Kiedy oderwała się od ziemi, przechył na prawą burtę rzucił nas niebezpiecznie w mocnych, szerokich pasach bezpieczeństwa przymocowanych do ścian kabiny, które zapięliśmy przed startem. Pilot odzyskał kontrolę i wyrównał lot, a mężczyzna siedzący na podłodze naprzeciw mnie uśmiechnął się szeroko i powiedział:

- No, niezły początek.

Choć ledwie słyszałam słowa przez ryk śmigła, rozpoznałam angielski akcent. Przyjrzałam się facetowi uważniej i domyśliłam się, że nie jest to pracownik akcji humanitarnej. Nie chodziło tylko o zimną krew, kiedy wydawało się, że za chwilę spadniemy. Ani o niebieską dżinsową koszulę i spodnie, ani stylowe okulary przeciwsłoneczne w rogowych oprawkach.

Ani nawet o opaloną twarz – która wraz z jasnymi włosami dodawała mu swego rodzaju uroku -jeśli oczywiście komuś podobają się tacy wiecznie niedospani, ogorzali goście. Nie, o tym, że nie jest pracownikiem Czerwonego Krzyża przekonał mnie znudzony, a jednocześnie odrobinę zalotny uśmiech, który posłał mi, kiedy omal nie zginęliśmy. Od tej chwili wiedziałam, że jest dziennikarzem.

Zauważyłam, że i on mi się przygląda, ocenia i prawdopodobnie też się domyśla, że nie jestem materiałem na siostrę miłosierdzia. Oczywiście, byłam ciekawa, jak mnie odbierają. Mam typową, nowoangielską twarz w stylu Emily Dickinson – kanciastą, trochę mizerną, o jasnej cerze, która nie łapie opalenizny nawet długo wystawiona na słońce. Mężczyzna, który kiedyś chciał się ze mną ożenić – i zamienić mnie w mamuszkę z przedmieścia, jaką przysięgłam sobie nigdy nie zostać – powiedział, że jestem „piękna w interesujący sposób”. Kiedy już przestałam się śmiać, rozżościł mnie ten wymuszony, dwuznaczny komplement. Powiedział mi też, że podziwia to, jak o sobie dbam. Na szczęście nie stwierdził, że „dobrze się trzymam”.

Ale rzeczywiście, na mojej „interesującej” twarzy nie ma zmarszczek czy innych oznak upływających lat, a jasnobrązowe włosy (krótko, praktycznie przycięte) jeszcze nie siwieją. Więc choć można mnie już zaliczyć do osób „w średnim wieku”, spokojnie mogę udawać, że ledwie przekroczyłam trzydziestkę.

Te banalne rozmyślania gwałtownie przerwał nagły przechył śmigłowca w lewo, kiedy pilot dał pełną moc i z maksymalną prędkością nabieraliśmy wysokości. Gwałtownemu, konwulsyjnemu manewrowi, podczas którego siła bezwładności znów wcisnęła nas w pasy, towarzyszył charakterystyczny odgłos ostrzału przeciwlotniczego. Anglik pogrzebał w plecaku i wyciągnął lornetkę. Mimo protestów jednego z pracowników Czerwonego Krzyża, rozpiął pasy i z pewnym trudem odwrócił się, by wyrzeć przez bulaj.

– Wygląda na to, że ktoś próbuje nas zabić – rzucił, przekrzykując ryk silnika. Ale jego głos był spokojny, wręcz rozbawiony.

– Co to znaczy „ktoś”?! – odkrzyknęłam.

– Jak zwykle, gnojki z milicji – odparł, nie odrywając oczu od lornetki. – Te same przyjemniaczki, które narobiły tyle zamieszania w czasie ostatniej powodzi.

– Ale czemu strzelają do śmigłowca Czerwonego Krzyża? – zapytałam.

– Bo mogą – powiedział. – Strzelają do wszystkiego co obce i co się rusza.

Dla nich to sport.

Zwrócił się do trzech lekarzy Czerwonego Krzyża, przypiętych obok mnie.

– Mam nadzieję, że ten wasz koleś w kokpicie wie, co robi. – Nikt mu nie odpowiedział. Wszyscy trzej byli bladzi ze strachu. Właśnie wtedy rzucił mi psotny uśmiech, a ja pomyślałam: facet się świetnie bawi.

I odpowiedziałam uśmiechem. Stawiałam sobie za punkt honoru, by nigdy nie okazywać strachu pod ostrzałem. Wiedziałam z doświadczenia, że w takiej sytuacji można zrobić tylko jedno: wziąć głęboki oddech, skoncentrować się i mieć nadzieję, że wyjdzie się z tego cało. Więc wybrałam sobie jakąś płamę na podłodze kabiny i zagapiłam się w nią, powtarzając sobie w duchu: wszystko będzie dobrze, wszystko będzie...

Nagle śmigłowiec zrobił kolejny zwrot; Anglika rzuciło od okna, ale zdołał ucześcić się najbliższego pasa i nie poleciał przez całąabinę.

– W porządku? – zapytałam.

Kolejny z uśmieszków.

– Teraz już tak – odparł.

Następne trzy przyprawiające o mdłości zwroty w prawo, jeszcze jedno gwałtowne przyspieszenie i wyglądało na to, że opuściliśmy strefę zagrożenia. Minęło dziesięć nerwowych minut i w końcu zeszliliśmy niżej. Spróbowałam wyrzeć przez okienko i aż mi dech zapało. Przede mną rozpościerał się zalany krajobraz – biblijny potop. Woda pochłonęła wszystko.

Z prądem spływały domy, żywy inwentarz. Nagle dostrzegłam pierwsze ludzkie ciało –

twarzą w dół, a za nim cztery kolejne, dwa tak małe, że nawet z powietrza byłam pewna, że to dzieci.

Teraz już wszyscy pasażerowie śmigłowca wyglądali przez okna na ogrom klęski. Śmigłowiec znów skręcił, kierując się szybko znad obszaru największych zniszczeń w stronę wyżej położonego terenu. Daleko przed nami dostrzegłam grupkę jeepów i wojskowych pojazdów. Kiedy przyjrzałam się uważniej, okazało się, że próbujemy wylądować w samym środku obozu armii somalijskiej. Panował w nim kompletny chaos – kilkudziesięciu żołnierzy płatało się bez ładu i składu wśród porzuconego byle jak wojskowego ekwipunku. Nieco dalej widać było trzy białe jeepy z zatkniętą flagą Czerwonego Krzyża. Wokół samochodów stało z piętnastu ludzi, wymachując do nas gorączkowo rękami. Był jednak pewien problem. Jakies sto metrów od ekipy Czerwonego Krzyża zajęła pozycję grupka somalijskich żołnierzy – oni też gestami zachęcali nas do lądowania.

– To powinno być zabawne – powiedział Anglik.

– Nie, jeśli będzie tak, jak ostatnim razem – odparł jeden z medyków.

– A co się stało ostatnim razem? – zapytałam.

– Próbowali nas ograbić – odparł.

– W dziewięćdziesiątym siódmym też się to często zdarzało – mruknął Anglik.

– Byłeś tu w dziewięćdziesiątym siódmym? – zdziwiłam się.

– O tak – powiedział, posyłając mi kolejny uśmiech. – Somalia to urocze miejsce. Zwłaszcza pod wodą.

Przelecieliśmy nad żołnierzami i jeepami Czerwonego Krzyża. Ludzie z akcji humanitarnej najwyraźniej znali już tę zabawę, bo wskoczyli do jeepów, zawrócili i ruszyli pełnym gazem w stronę otwartego terenu, gdzie schodziliśmy do lądowania. Zerknęłam na Anglika. Przyciskał lornetkę do okienka, z coraz szerszym ironicznym uśmiechem.

– Komitety powitalne urządziły sobie mały wyścig – powiedział.

Wyrzałam przez swoje okienko; kilkunastu somalijskich żołnierzy pędziło w naszym kierunku.

– Chyba masz rację! – odkrzyknęłam. Śmigłowiec wylądował z podskokiem.

Gdy tylko stanęliśmy na twardym gruncie, medyk obok mnie zerwał się z podłogi i szarpnął do góry dźwignię, która blokowała drzwi kabiny. Pozostali pobiegli do przedziału towarowego w tylnej części kabiny i zaczęli odpinać sieci przytrzymujące skrzynie ze sprzętem medycznym i suchym prowiantem.

– Pomóc wam? – zapytał Anglik jednego z nich.

– Poradzimy sobie – odpowiedział mężczyzna. – Ale wy się lepiej zabierajcie, zanim

pojawi się armia.

– Gdzie jest najbliższa wieś?

– Była jakiś kilometr na południe. Ale już jej tam nie ma.

– No tak – powiedział Anglik, odwrócił się do mnie i zapytał: – Idziesz?

Kiwnęłam głową, ale zanim wysiadłam, zapytałam jeszcze faceta z Czerwonego Krzyża:

– Co zrobicie z tymi żołnierzami?

– To, co zwykle. Będziemy grać na zwłokę, a tymczasem pilot skontaktuje się przez radio z somalijskim dowództwem, jeśli można to tak nazwać, i poprosi, żeby jakiś oficer ich pogonił. Ale wy powinniście się wynosić, i to już. Żołnierze nie mają pożytku z dziennikarzy.

– Już nas nie ma – odparłam. – Dzięki za podwiezienie.

Anglik i ja wyskoczyliśmy ze śmigłowca. Kiedy tylko znaleźliśmy się na ziemi, klepnął mnie w ramię i wskazał trzy jeepy Czerwonego Krzyża. Schyleni nisko przy ziemi pobiegliśmy w ich kierunku, nie oglądając się, dopóki nie schowaliśmy się za nimi. Było to strategicznie słuszne posunięcie; udało nam się nie zwrócić uwagi somalijskich żołnierzy, którzy zdążyli już otoczyć śmigłowiec. Czterej mierzyli z karabinów do załogi. Jeden z żołnierzy zaczął wrzeszczeć na sanitariuszy – którzy jednak nie wyglądali na zdenerwowanych i zaczęli swoją „grę na zwłokę”. Choć niewiele słyszałam przez hałas wirnika, było dla mnie jasne, że bawili się w tę niebezpieczną zabawę już wcześniej i dokładnie wiedzieli, co robić. Anglik trącił mnie łokciem.

– Widzisz tamtą kępę drzew? – zapytał, wskazując niewielki zagajnik akacji, jakieś pięćdziesiąt metrów od nas.

Kiwnęłam głową. Rzuciwszy jeszcze raz okiem na żołnierzy – prujących właśnie skrzynię ze sprzętem medycznym – puściliśmy się biegiem w stronę drzew. Pokonanie pięćdziesięciu metrów nie mogło nam zająć więcej niż dwadzieścia sekund, ale mnie wydawały się one wiecznością. Wiedziałam, że jeśli żołnierze zobaczą dwóch uciekinierów, odruchowo nas zastrzelą.

Kiedy dobiegliśmy do zagajnika, schowaliśmy się za drzewami. Żadne z nas nawet nie dostało zadyszki, ale kiedy spojrzałam na Anglika, dostrzegłam w jego oczach przeblysk podniecenia, wywołanego przyływem adrenaliny. Kiedy zorientował się, że to zauważyłam, natychmiast przywołał na usta krzywy uśmiešek.

– Dobra robota – szepnął. – Mylisz, że uda ci się tam dobiec i nie dać się zastrzelić?

Spojrzałam w kierunku, który wskazywał – kolejna mizerna kępa drzew, tuż nad brzegiem rozlewiska wezbranej rzeki. Odpowiedziałam mu równie wyzywającym uśmiechem.

– Mnie się kule nie imają.

Wybiegliśmy spomiędzy drzew i popędziliśmy jak szaleni w stronę następnej kryjówki. Ten bieg trwał około minuty, podczas której świat ucichł wokół mnie, słyszałam tylko szelest wysokiej trawy rozgarnianej stopami.

Byłam naprawdę spięta. Ale tak jak wtedy w śmigłowcu, kiedy znaleźliśmy się pod ostrzałem, próbowałam skoncentrować się na czymś abstrakcyjnym, na przykład na rytmie własnego oddechu. Anglik biegł przede mną, kiedy jednak dotarł do drzew, coś go nagle zatrzymało. Ja też zahamowałam, widząc, że cofa się z uniesionymi rękami. Spomiędzy drzew wyłonił się młody somalijski żołnierz. Nie mógł mieć więcej niż piętnaście lat. Celował z karabinu w Anglika, który spokojnie próbował mu to wyperswadować. Nagle żołnierz zauważył mnie – i kiedy obrócił karabin w moją stronę, popełniłam fatalny błąd. Zamiast natychmiast okazać mu całkowitą uległość – zatrzymać się, podnieść ręce i nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów (jak mnie uczono) – padłam na ziemię, pewna, że zamierza mnie zastrzelić. Żołnierz wrzasnął na mnie i spróbował ponownie wziąć mnie na muszkę. Ale w tej chwili Anglik rzucił się na niego, przewracając go na ziemię. Zerwałam się i popędziłam w ich stronę. Anglik zamachnął się zaciśniętą pięścią i huknął żołnierza w żołądek, pozbawiając go tchu.

Dzieciak jęknął; Anglik przydepnął z rozmachem rękę ściskającą karabin.

Żołnierz zawył.

– Puszczaj karabin – rozkazał mu Anglik.

– Pieprz się! – krzyknął dzieciak. Anglik nadepnął jeszcze mocniej. Tym razem żołnierz wypuścił broń; Anglik błyskawicznie porwał ją z ziemi i wycelował w leżącego.

– Nie cierpię wulgarności – powiedział, odciągając kurek.

Dzieciak zwinął się w pozycję płodową i zaczął szlochać, błagając o życie.

– Nie możesz... – powiedziałam do Anglika.

Ale on spojrzał na mnie i mrugnął okiem. Znów zwrócił się do żołnierza:

– Słyszałeś, co mówi moja przyjaciółka? Ona nie chce, żebym cię zastrzelił.

Chłopak nie odpowiedział. Zwinął się tylko ciaśniej w kłębek, płacząc jak przerażone dziecko, którym był.

– Chyba powinieneś ją przeprosić, co? – powiedział Anglik. Widziałam, że karabin drży mu w rękach.

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam – wyszlochał żołnierz, krztusząc się łzami. Anglik spojrzał na mnie.

– Przeprosiny przyjęte? – zapytał. Kiwnęłam głową.

Anglik odpowiedział mi kiwnięciem, po czym spojrzał na chłopaka i zapytał:

– Jak twoja ręka?

– Boli.

– Przykro mi. Możesz już iść, jeśli chcesz.

Chłopak podniósł się z ziemi, nie przestając się trząść. Twarz znaczyły smugi łez, ciemna plama w kroku świadczyła, że zmoczył się ze strachu.

Patrzył na nas przerażonymi oczami – wciąż pewny, że go zastrzelimy. Anglik położył mu rękę na ramieniu.

– W porządku – powiedział spokojnie. – Nic ci się nie stanie. Ale musisz mi przyrzec jedną rzecz: nie możesz powiedzieć swoim, że nas spotkałeś.

Przyrzekasz?

Żołnierz zerknął na karabin w rękach Anglika i kiwnął głową. Wiele razy.

– Świetnie. I ostatnie pytanie. Czy w dole rzeki są patrole wojskowe?

– Nie. Naszą bazę zmyła woda. Oddzieliła mnie od innych.

– A co z wioską, która tu była w pobliżu?

– Nic z niej nie zostało.

– Wszystkich porwała woda?

– Niektórzy uciekli na wzgórze.

– Gdzie to wzgórze?

Żołnierz wskazał zarośniętą ścieżkę między drzewami.

– Jak to daleko na piechotę? – zapytał Anglik.

– Pół godziny.

Anglik spojrzał na mnie i powiedział:

– No to mamy artykuł.

– Mnie to pasuje – odparłam.

– Zmiataj – rozkazał Anglik żołnierzowi.

– Mój karabin...

– Wybacz, karabin zatrzymam.

– Będę miał kłopoty, jeśli wrócę bez broni.

– Powiedz, że powódź ci zabrała. I pamiętaj: spodziewam się, że dotrzymasz obietnicy. Nigdy nas nie widziałeś. Jasne?

Młody żołnierz spojrzał na karabin, potem znów na Anglika.

– Obiecuję.

– Dobry chłopak. A teraz idź.

Chłopak kiwnął głową i wybiegł spomiędzy drzew, pędząc w stronę śmigłowca. Kiedy zniknął nam z oczu, Anglik zacisnął powieki, wciągnął głęboko powietrze i powiedział:

– Jasna cholera.

– Z ust mi to wyjąłeś.

Otworzył oczy i spojrzał na mnie.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak, ale czuję się jak kompletna idiotka.

Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

– Bo zachowałeś się jak kompletna idiotka. To się zdarza. Szczególnie kiedy zaskoczy cię dzieciak z karabinem. A skoro już o nim mowa...

Wskazał kciukiem ścieżkę, sygnalizując, że powinniśmy ruszać. I tak też zrobiliśmy – przedarliśmy się przez gęstwiny drzew, odnaleźliśmy zarośniętą ścieżkę i wyszliśmy na skraj zatopionych pól. Maszerowaliśmy bez przerwy przez piętnaście minut, nic nie mówiąc. Anglik prowadził, ja szłam kilka kroków za nim. Obserwowałam mojego towarzysza, gdy zapuściliśmy się głębiej w zalany obszar. Był bardzo skupiony – zależało mu na tym, by znaleźć się jak najdalej od żołnierzy. Uważał na wszelkie nietypowe dźwięki, które docierały do nas w otwartym terenie. Dwukrotnie zatrzymał się i odwrócił do mnie, kładąc palec na ustach; wydawało mu się, że coś usłyszał. Podejmowaliśmy marsz dopiero wtedy, gdy upewnił się, że nikt nie depta nam po piętach. Intrygował mnie sposób, w jaki trzymał karabin żołnierza. Zamiast przewiesić go przez ramię, niósł go w prawej dłoni, z lufą skierowaną w dół, jak najdalej od ciała. Wiedziałam, że nigdy by nie zastrzelił tego chłopca. Bo było oczywiste, że czuje się nieswojo, trzymając bron.

Po jakichś piętnastu minutach wskazał mi kilka dużych głazów, leżących nad brzegiem rzeki. Usiedliśmy, ale jeszcze przez chwilę nie odzywaliśmy się i wsłuchiwalismy w ciszę, próbując wychwycić odgłos kroków w oddali. W końcu Anglik powiedział:

– Gdyby ten szczeniak nas wydał, jego kumple już by tu byli.

– Śmiertelnie go wystraszyłeś. Myślał, że go zabijesz.

– Potrzebował tego. On zastrzeliłby cię bez zastanowienia.

– Wiem. Dzięki.

– No cóż, taka robota. – Wyciągnął do mnie rękę. – Tony Hobbs. Dla kogo piszesz?

– Dla „Boston Post”.

Jego usta wykrzywił uśmieszek rozbawienia.

– Naprawdę?

– Tak – odparłam. – Naprawdę. Wyobraź sobie, że mamy zagranicznych korespondentów.

– Naprawdę? – powiedział, małpując mój akcent. – Więc jesteś zagraniczną korespondentką?

– Naprawdę – rzuciłam, usiłując imitować jego akcent.

Roześmiał się.

– Mam za swoje – powiedział. – A więc skąd korespondujesz?

– Z Kairu. Zaraz, niech zgadnę. Piszesz dla „Sun”?

– Dla „Chronicle”.

Starałam się nie okazać wrażenia.

– Dla „Chronicle”?

– Cóż, każdy orze jak może.

– Tak to bywa, jak się jest korespondentką małej gazetki. Trzeba się zadawać z aroganckimi ważniakami.

– Już zdążyłaś stwierdzić, że jestem arogancki?

– Wiedziałam o tym dwie minuty po naszym spotkaniu w śmigłowcu.

Siedzisz w Londynie?

– Właściwie to w Kairze.

– Ale ja znam kairskiego korespondenta z „Chronicle”. Henry...

– Bartlett. Rozchorował się. Wrzody żołądka. Więc przenieśli mnie z Tokio jakieś dzie-

sięć dni temu.

- Też kiedyś obsługiwałam Tokio. Cztery lata temu.
- Wygląda na to, że cię śledzę.

Usłyszeliśmy odgłos kroków w pobliżu. Zesztywnieliśmy. Tony wziął karabin, który wcześniej oparł o głaz. Kroki zbliżały się. Kiedy wstaliśmy, ujrzeliśmy młodą Somalijkę, biegnącą ścieżką, z dzieckiem w ramionach.

Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat; dziecko miało ze dwa miesiące.

Matka była wymizerowana, dziecko przerażająco nieruchome. Kiedy nas zobaczyła, zaczęła krzyczeć coś w dialekcie, którego nie rozumiało żadne z nas, gwałtownymi gestami wskazując karabin w ręce Tony'ego. Tony natychmiast załapał, o co chodzi. Rzucił karabin w spienione wody rzeki – jeszcze jeden śmieć, porwany przez nurt. Ten gest ją zaskoczył. Ale kiedy znów zwróciła się do mnie ze swoimi błaganiami, nogi ugięły się pod nią.

Tony i ja podtrzymaliśmy ją, by nie upadła. Spojrzałam na nieruchome dziecko, które wciąż kurczowo trzymała w ramionach. Podniosłam wzrok na Anglika. Kiwnął głową w kierunku śmigłowca Czerwonego Krzyża. Opasaliśmy ramionami wychudzoną talię kobiety i ruszyliśmy w powolną podróż powrotną w stronę polany, na której wylądowaliśmy.

Kiedy tam dotarliśmy, stwierdziłam z ulgą, że do śmigłowca podjechało kilka wojskowych jeepów, a grupy maruderów przestały nam już zagrażać.

Przeprowadziliśmy kobietę między żołnierzami i ruszyliśmy prosto do śmigłowca. Dwóch z mężczyzn, którzy przylecieli z nami, wciąż jeszcze rozładowywało paki z zaopatrzeniem.

– Kto tu jest lekarzem? – zapytałam. Jeden z nich uniósł głowę, zobaczył kobietę z dzieckiem i ruszył do akcji. Jego kolega grzecznie dał nam do zrozumienia, że mamy spaść.

– Nic więcej nie możecie zrobić.

Jak się okazało, nie mieliśmy też szans na przedostanie się z powrotem na ścieżkę prowadzącą do zalanej wsi – zablokowało ją somalijskie wojsko.

Kiedy odnalazłam szefa ekipy medycznej i powiedziałam mu o mieszkańcach wioski siedzących na wzgórzu jakieś dwa kilometry stąd, oznajmił mi z twardym, szwajcarskim akcentem:

- Wiemy o nich. I wyślemy tam śmigłowiec, jak tylko wojsko da nam pozwolenie.
- Chcielibyśmy lecieć z wami – poprosiłam.
- To niemożliwe. Żołnierze pozwolą lecieć tylko trzem osobom z naszej ekipy...

- Niech im pan powie, że należymy do ekipy – wtrącił się Tony.
- Musimy wysłać ludzi z przeszkoleniem medycznym.
- Więc proszę wysłać dwóch – powiedział Tony – i puścić jedno z nas...

Naszą rozmowę przerwało przybycie jakiegoś oficera. Klepnął Tony'ego w ramię.

- Dokumenty.

Potem klepnął mnie.

- Ty też.

Podaliśmy mu nasze paszporty.

– Papiery Czerwonego Krzyża – zażądał. Tony zaczął wymyślać jakąś naciąganą historijkę, że zapomnieliśmy ich zabrać, ale oficer przewrócił oczami i powiedział jedno słowo, które zabrzmiało jak wyrok:

- Dziennikarze.

Zwrócił się do swoich ludzi z rozkazem:

- Odstawcie ich następnym śmigłowcem z powrotem do Mogadiszu.

Wróciliśmy do stolicy pod strażą. Kiedy wylądowaliśmy na innym wojskowym lotnisku na obrzeżach miasta, myślałam, że zostaniemy zatrzymani i odstawieni do aresztu. Zamiast tego jeden z żołnierzy w śmigłowcu zapytał mnie, czy mam amerykańskie dolary.

– Może – odparłam i bez wielkiej nadziei na sukces zapytałam, czy za dziesięć dolców mógłby nam zorganizować transport do Hotelu Centralnego.

- Dacie dwadzieścia, będzie transport.

Zarekwirował nawet jeepa, żeby dowieźć nas na miejsce. Po drodze Tony i ja wreszcie odezwaliliśmy się do siebie, po raz pierwszy od chwili, kiedy wzięto nas pod straż.

- Nie za wiele mamy do opisanego, co? – powiedziałam.

- Na pewno oboje zdołamy coś z tego wycisnąć.

Znaleźliśmy dwa pokoje na tym samym piętrze i umówiliśmy się na spotkanie, kiedy już każde z nas wysłało swoją korespondencję. Jakieś dwie godziny później – zdążyłam wyekspediować mailem siedemset słów o ogólnym chaosie w dolinie rzeki Juba, o widoku płynących z nurtem ciał, o braku organizacji i locie śmigłowcem Czerwonego Krzyża pod ostrzałem sił rebeliantów – rozległo się pukanie do drzwi.

W progu stał Tony z butelką szkockiej i dwiema szklankami.

– No, no – powiedziałam. – Wejdz.

Został do siódmej następnego ranka, kiedy to wymeldowaliśmy się z hotelu, by złapać najwcześniejszy samolot do Kairu. Od chwili, kiedy zobaczyłam go w śmigłowcu, wiedziałam, że wylądujemy razem w łóżku przy pierwszej nadarzającej się okazji. To było nieuniknione. Bo takie były reguły tej gry. Zagraniczni korespondenci rzadko miewają żony, mężów czy w ogóle „kogoś” – większość zaś ludzi, których spotyka się w terenie, z pewnością nie należy do osób, z którymi miałoby się ochotę spędzić w łóżku choćby dziesięć minut, a co dopiero całą noc.

Ale kiedy obudziłam się obok Tony’ego, uderzyła mnie pewna myśl: mieszka tam, gdzie ja. A z myśli tej wynikła kolejna, bardzo dla mnie zaskakująca: i naprawdę chciałabym go jeszcze zobaczyć. Prawdę mówiąc, chciałabym go zobaczyć jeszcze dziś wieczorem.

2

Nigdy nie uważałam się za osobę sentymentalną. Przeciwnie, jeśli chodzi o sprawy sercowe, zawsze dostrzegałam u siebie pewną skłonność do ucieczki – coś, co wytknął mi mój jedyny narzeczony, kiedy z nim zerwałam siedem lat temu. Nazywał się Richard Pettiford. Był bostońskim prawnikiem – inteligentnym, wykształconym, energicznym. I naprawdę go lubiłam. Problem polegał na tym, że lubiłam też swoją pracę.

– Zawsze uciekasz – powiedział, kiedy oznajmiłam mu, że zostałam korespondentem „Post” w Tokio.

– To wielki krok naprzód w mojej karierze – odparłam.

– To samo mówiłaś, kiedy wyjeżdżałaś do Waszyngtonu.

– To była tylko sześciomiesięczna delegacja i widywaliśmy się w każdy weekend.

– Mimo wszystko to była ucieczka.

– To była wielka szansa. Tak jak wyjazd do Tokio.

– Ja też jestem wielką szansą.

– Masz rację – odparłam. – Jesteś. Ale ja też. Więc jedź ze mną do Tokio.

– Jeśli to zrobię, nie zostanę wspólnikiem w firmie – odparł.

– A jeśli ja zostanę, nie będę najlepszą żoną wspólnika.

– Gdybyś mnie naprawdę kochała, zostałabyś.

Roześmiałam się. I powiedziałam:

– W takim razie chyba cię nie Kocham.

I to zakończyło nasz dwuletni związek – po takim wyznaniu nie ma już odwrotu. Choć było mi naprawdę przykro, że „z tej mąki nie będzie chleba” (by użyć wyrażenia, którego Richard używał odrobinę za często), wiedziałam też, że nie potrafię wcielić się w rolę żony z przedmieścia, którą mi proponował.

Gdybym się na to zgodziła, w moim paszporcie znalazłoby się ledwie kilka wakacyjnych pieczętek z Bermudów i innych kurortów, zamiast dwudziestu stron zapchanych wizami, które udało mi się zdobyć przez te lata.

I z całą pewnością nie siedziałabym w samolocie z Addis Abeby do Kairu, na przyjemnym rauszu, obok tego czarującego, cynicznego Anglika, z którym właśnie spędziłam noc...

– Więc naprawdę nigdy nie wyszłaś za mąż? – zapytał Tony, kiedy wyłączono napis „proszę zapiąć pasy”.

– Niech cię to tak nie dziwi – odparłam. – Niełatwo trać głowę.

– Będę o tym pamiętał – powiedział.

– Zagraniczni korespondenci nie palą się do małżeństwa.

– Naprawdę? Nie zauważyłem.

Roześmiałam się.

– A ty?

– Chyba żartujesz.

– Nigdy? Nawet prawie?

– Każdy kiedyś miał swoje „prawie”. Tak jak ty.

– Skąd wiesz, że miałam swoje „prawie”? – zapytałam.

– Bo każdy kiedyś miał swoje „prawie”.

– Nie powiedziałeś tego przed chwilą?

– Touche. Niech zgadnę... nie wyszłaś za tego gościa, bo właśnie zaproponowano ci pierwszą zagraniczną placówkę...

– No, no, jesteś spostrzegawczy – powiedziałam.

– Raczej nie – odparł. – Po prostu zawsze tak jest.

Oczywiście miał rację. I był na tyle rozgarnięty, by nie wypytywać mnie zbyt nachalnie o rzeczony „gościa” ani o inne aspekty mojego tak zwanego „życia uczuciowego”. Nie zapytał nawet, gdzie się wychowałam. Sam fakt, że w ogóle nie drażył tego tematu (poza upewnieniem się, że i ja szczęśliwie uniknęłam małżeństwa), zrobił na mnie wrażenie. Bo to oznaczało, że – w przeciwieństwie do większości korespondentów, których zdarzyło mi się spotkać – nie traktował mnie jak cizję, którą przeniesiono z działu mody na linię frontu. Nie próbował mi też imponować swoim wielkomięjskim zapleczem – ani faktem, że londyńska „Chronicle” liczy się na arenie międzynarodowej o wiele bardziej niż „Boston Post”. Rozmawiał ze mną po prostu jak z koleżanką po fachu. Pytał o kontakty, jakie wyrobiłam sobie w Kairze (jako że był tam nowy), opowiadaliśmy sobie historyjki z pobytu w Japonii. A co najlepsze, rozśmieszał mnie... i to z przerażającą łatwością.

Szybko przekonałam się, że z Tonym Hobbsem nie tylko świetnie się rozmawia, ale też wspaniale się go słucha.

Rozmawialiśmy bez przerwy przez całą podróż do Kairu. Prawdę mówiąc, nie przerywaliśmy rozmowy od chwili, kiedy obudziliśmy się razem tego ranka. Od pierwszej chwili czuliśmy się ze sobą swobodnie – nie tylko dlatego że łączył nas zawód, ale też pewnie dlatego że podobnie patrzyliśmy na świat: z lekkim znudzeniem, absolutną niezależnością, za którymi jednak kryła się ogromna pasja, z jaką oboje wykonywaliśmy swój zawód.

Oboje też byliśmy zdania, że praca zagranicznego korespondenta to tak naprawdę młodzieńcza zabawa, na którą człowiek około pięćdziesiątki robi się zwyczajnie za stary.

– Mnie do tej smugi cienia brakuje ośmiu lat – stwierdził Tony gdzieś nad Sudanem.

– Taki z ciebie młodzieniec? – zdziwiłam się. – Byłam przekonana, że masz co najmniej dziesięć lat więcej.

Rzucił mi chłodne, rozbawione spojrzenie.

– Szybka jesteś.

– Staram się.

– I świetnie ci idzie... jak na prowincjonalną reporterkę.

– Dwa punkty – odparłam, trącając go łokciem.

– Liczymy punkty, co?

– O tak.

Widziałam, że czuje się zupełnie swobodnie w tego rodzaju słownych zabawach. Bawiło go przerzucanie się ripostami – nie tylko dla doskonalenia sztuki rozmowy, ale i dlatego, że pozwalało mu to wycofać się z każdego zbyt poważnego lub zbyt osobistego tematu. Za każdym razem, kiedy nasza rozmowa zbaczała na osobiste tory, szybko uciekał na żartobliwy grunt. Nie niepokoiło mnie to. Ostatecznie dopiero się poznaliśmy i wciąż jeszcze ocenialiśmy się nawzajem. Ale zauważyłam tę taktykę i zastanawiałam się, czy utrudni mi ona bliż-

sze poznanie tego mężczyzny – gdyż, ku mojemu zdziwieniu, Tony Hobbs był pierwszym facetem od jakichś czterech lat, którego chciałam bliżej poznać.

Oczywiście nie miałam zamiaru zdradzać mu tego faktu. Ponieważ: (a) to by go mogło zniechęcić i (b) nigdy za nikim się nie uganiałam. Więc kiedy dolecieliśmy do Kairu, pojechaliliśmy jedną taksówką na Zamalek (to stosunkowo elegancka dzielnica, w której mieszkała niemal wszyscy zagraniczni korespondenci i pracownicy firm międzynarodowych). Jak się okazało, Tony mieszkał raptem dwie przecznice ode mnie, ale uparł się, by kierowca podwiózł najpierw mnie. Gdy taksówka zatrzymała się przed moimi drzwiami, sięgnął do kieszeni i podał mi wizytówkę.

– Tu mnie znajdziesz – powiedział.

Ja też wyciągnęłam wizytówkę i zapisałam na odwrocie numer telefonu.

– A to mój domowy numer.

– Dzięki – powiedział, biorąc wizytówkę. – To zadzwoń do mnie, co?

– Nie, pierwszy ruch należy do ciebie.

– Czyżbyś była staroświecka? – Uniósł ze zdziwieniem brwi.

– Raczej nie. Ale nigdy nie robię pierwszego ruchu. Dobrze?

Pochylił się ku mnie i dał mi bardzo długiego całusa.

– OK – odparł. – Dobrze się bawiłem – dodał.

– Ja też.

W czasie niezręcznej pauzy pozbierałam swoje rzeczy.

– To do zobaczenia, jak sądzę – powiedziałam.

– Tak – odparł z uśmiechem. – Do zobaczenia.

Kiedy tylko znalazłam się na górze, w moim pustym, cichym mieszkaniu, zaczęłam sobie pluć w brodę, że zachciało mi się zgrywać nieprzystępną damę. „Nie, pierwszy ruch należy do ciebie”. Co za idiotyzm. Bo przecież wiedziałam, że faceci tacy jak Tony Hobbs nie co dzień stają na mojej drodze.

Jednak w tej chwili jedyne, co mogłam zrobić, to nie zawracać sobie tym wszystkim głowy. Spędziłam godzinę, mocząc się w wannie, po czym wpełzłam do łóżka i odleciałam niemal na dziesięć godzin -jako że przez ostatnie dwie noce niewiele spałam. Wstałam tuż po siódmej rano. Zrobiłam śniadanie. Włączyłam laptopa. Wysłałam swój cotygodniowy List z Kairu, w którym opisałam szalony lot śmigłowcem Czerwonego Krzyża pod ostrzałem somalijskiej milicji. Kiedy około południa zadzwonił telefon, rzuciłam się do słuchawki.

– Cześć – powiedział Tony. – To mój pierwszy ruch.

Przyszedł dziesięć minut później, by zabrać mnie na lunch. Nie dotarliśmy do restauracji. Nie powiem, że zaciągnęłam go do łóżka – bo poszedł bardzo chętnie. Wystarczy powiedzieć, że ledwie otworzyłam drzwi, przylgnęłam do niego jak pijawka. I nawzajem.

O wiele później, w łóżku, spojrzął na mnie i zapytał:

– To kto robi następny ruch?

Romantycznym banałem byłoby stwierdzenie, że od tego momentu staliśmy się nierozłączni. Jednak faktem jest, że to popołudnie uznaję za nasz oficjalny początek – od tej chwili każde z nas stało się zasadniczą częścią życia tego drugiego. Najbardziej zaskoczyło mnie, że przejście do kolejnego etapu było takie proste. Pojawieniu się Tony’ego Hobbsa w moim życiu nie towarzyszyły zwykłe wątpliwości, pytania, niepokoje, nie mówiąc już o popadaniu w uczuciowe skrajności, jakie zwykle cechują typowy coup de foudre. Fakt, że oboje byliśmy ludźmi samodzielnymi – przyzwyczajonymi do polegania wyłącznie na sobie – oznaczał, że ściśle respektowaliśmy swoją potrzebę niezależności. Bawiły nas też nasze narodowe dziwactwa. On często podrwiwał siebie z amerykańskiej dosłowności, którą faktycznie można u mnie dostrzec – potrzeby zadawania pytań przez cały czas i analizowania sytuacji odrobinkę za głęboko. Tak samo jak ja uznawałam za zabawną jego nieustającą chęć znajdowania komicznej strony każdej sytuacji. Był absolutnie nieustraszony, jeśli chodzi o styl reporterskiej pracy. Miałam okazję podziwiać go w akcji jakiś miesiąc po naszym poznaniu. Któregoś wieczoru dostaliśmy telefon, że autobus pełen niemieckich turystów został ostrzelany z broni maszynowej przez islamskich fundamentalistów podczas wycieczki do piramid w Gizie. Natychmiast wskoczyliśmy do mojego samochodu i ruszyliśmy w kierunku Sfinksa. Kiedy znaleźliśmy się w pobliżu miejsca masakry, Tony zdołał się przepchnąć poza kordon egipskich żołnierzy, aż do samego ochlapanego krwią autobusu, choć wciąż obawiano się że terroryści, zanim zniknęli, mogli tam wrzucić granaty. Następnego popołudnia na konferencji prasowej egipski minister turystyki próbował zrzucić winę za masakrę na terrorystów spoza kraju... W tym momencie Tony przerwał mu, unosząc w górę przefaksowane prosto do jego biura oświadczenie, w którym kairska organizacja Bracia Muzułmańscy brała na siebie całkowitą odpowiedzialność za atak. Przeczytał oświadczenie niemal idealną arabszczyzną, po czym zwrócił się do ministra i zapytał: „Czy zechce nam pan teraz wyjaśnić, czemu pan kłamie?”

Tony był jednak drażliwy na punkcie swojego wzrostu... choć zapewniałam go nie raz i nie dwa, że nie ma to dla mnie najmniejszego znaczenia.

Wręcz przeciwnie, wydawało mi się nawet wzruszające, że utalentowany i zabawnie arogancki mężczyzna tak bardzo przejmuje się swoją posturą.

Z czasem zrozumiałam, że brawura Tony’ego – potrzeba zadawania trudnych pytań, rywalizacja o najlepszy artykuł i to jego szalone ryzykanctwo – w dużej części wynikała właśnie z tego kompleksu. W głębi duszy uważał, że „nie dorasta” do innych: wieczny outsider, dzieciak z nosem przyklepionym do szyby, wyglądający na świat, z którego czuł się wykluczony. Zajęło mi nieco czasu wykrycie tego dziwaczego poczucia niższości, gdyż maskował je dowcipem i pewnością siebie. Ale któregoś dnia zobaczyłam go w rozmowie z jego ziomkiem – niejakim Wilsonem, korespondentem „Daily Telegraph”. Mimo iż daleko mu było do czterdziestki, Wilson stracił już większość włosów, a jego skóra i ciało zaczynały

przybierać przejrzały wygląd, przez co przypominał (by użyć słów Tony'ego) krążek camemberta zostawiony na słońcu. Osobiście nic do niego nie miałam, choć rozwlekłe samogłoski i przedwcześnie obwisłe policzki (nie wspominając już o absurdalnej, szytej na miarę marynarce safari, którą nosił przez cały czas razem z kraciatą koszulą) sprawiały, że wyglądał trochę jak postać z kreskówki.

Choć Tony zawsze zachowywał się wobec Wilsona uprzejmie, wiedziałam, że go nie znosi – szczególnie po pewnym spotkaniu w klubie Gezira. Wilson opalał się przy basenie. Był rozebrany do pasa; miał na sobie kraciate bermudy i zamszowe buty oraz skarpetki. Nie był to ładny widok. Kiedy się z nami przywitał, zapytał Tony'ego:

- Jedziesz do domu na święta?
- Nie w tym roku.
- Jesteś z Londynu, prawda?
- Z Buckinghamshire.
- A dokładnie?
- Amersham.
- Ach, tak, Amersham. Koniec linii metra, jak sądzę? Drinka?

Twarz Tony'ego stężała, ale Wilson jakby tego nie zauważył. Przywołał kelnera, zamówił trzy dziny z tonikiem, po czym przeprosił nas i poszedł skorzystać z toalety. Kiedy tylko znalazł się poza zasięgiem słuchu, Tony wysyczał:

- Głupi gnojek.
- Spokojnie, Tony... – powiedziałam, zaskoczona tym wybuchem, tak do niego niepodobnym.
- „Koniec linii metra, jak sądzę?” – Tony przedrzeźniał arystokratyczny akcent Wilsona. – Musiał to powiedzieć. Musiał wbić szpileczkę. Nie mógł sobie darować komentarza.
- Ale on tylko powiedział...
- Wiem, co powiedział. I doskonale wiedział, o co mu chodzi...
- A o co mu chodziło?
- Ty tego po prostu nie rozumiesz.
- Rzeczywiście, to wszystko jest dla mnie trochę za subtelne – rzuciłam lekko. – Jestem po prostu tępą Amerykanką, która nie rozumie Anglii.
- Nikt nie rozumie Anglii.

– Nawet Anglicy?

– Zwłaszcza Anglicy.

Uderzyła mnie ta półprawda, rzucona na odczepnego. Bo Tony rozumiał Anglię aż za dobrze. Tak jak rozumiał (i wyjaśnił mnie) swoją pozycję w hierarchii społecznej. Amersham było absolutnie nijakie. Typowa drobnomieszczańska dzielnica. Tony jej nie cierpiał, choć jego jedyna siostra, której nie widział od lat, została tam, w domu rodziców, których nie mogła zostawić. Ojciec, którego zabił w końcu trwający całe życie romans z papierosami marki Benson&Hedges, pracował w urzędzie miejskim, w biurze statystycznym (pięć lat przed śmiercią został nawet jego kierownikiem).

Mama – również od dawna nieżyjąca – była recepcjonistką w przychodni lekarskiej, znajdującej się dokładnie naprzeciwko skromnego, podmiejskiego bliźniaka, w którym Tony się wychował.

Choć Tony zdecydowany był uciec z Amersham, zboczył jednak z obranej drogi, by sprawić ojcu przyjemność, i dostał się na York University. Ale kiedy zrobił dyplom (jak się okazało, z najlepszymi notami – choć, co było typowe dla jego flegmatycznego stylu, dopiero po dłuższym czasie przyznał się, że zdobył najwyższe wyróżnienie z angielskiego), postanowił omijać rynek pracy jeszcze przez rok czy dwa. Wraz z dwójką przyjaciół wyruszył w podróż do Katmandu, ale jakimś cudem wylądowali w Kairze. Dwa miesiące później pracował już dla miejscowego anglojęzycznego szmatławca, niejkiej „Egyptian Gazette”. Po sześciu miesiącach opisywania wypadków drogowych, żalonych przestępstw i tym podobnych drobiazgów, zaczął oferować swoje usługi brytyjskim gazetom, jako wolny strzelec rezydujący w Kairze. Po roku regularnie zaopatrywał już „Chronicle” w krótkie artykuły – a kiedy ich egipski korespondent został odwołany do Londynu, gazeta zaproponowała jego miejsce Tony’emu. Z wyjątkiem krótkiego, półrocznego „zesłania” do londyńskiej redakcji w połowie lat osiemdziesiątych (zagroził odejściem, jeśli nie poślą go z powrotem w teren) krążył z miejsca na miejsce. Oczywiście, mimo całego swojego gadania o akcji, linii frontu i całkowitej niezależności zawodowej, on też musiał połknąć swoją porcję firmowej rycyny i zaliczyć kilka biurowych stołków we Frankfurcie, Tokio i Waszyngtonie (którego szczerze nienawidził). Ale poza tymi kilkoma haustami życiowej prozy, bardzo się starał unikać pułapek domowego życia i regularnej pracy, w które wpada większość ludzi. Tak jak i ja.

– Wiesz, tak jakoś wychodzi, że zawsze uciekam gdzie pieprz rośnie od tego rodzaju historii – powiedziałam mu mniej więcej miesiąc po poznaniu.

– A więc to się nazywa „historia”?

– Wiesz o co mi chodzi.

– O to: nie powinienem klękać na kolano i oświadczać się, bo masz zamiar złamać mi serce?

Roześmiałam się.

– Nie planuję niczego takiego, naprawdę.

– No to o co ci chodzi?

– O to, że...

Przerwałam. Było mi straszliwie głupio.

– Więc chciałaś powiedzieć, że...? – zapytał Tony, wesoły jak skowronek.

– Widzisz... – ciągnęłam z wahaniem – chyba czasem mówię szybciej, niż myślę. I nie powinnam mówić czegoś tak głupiego.

– Nie musisz przeproszać – odparł Tony.

– Nie przepraszam – powiedziałam, trochę zła. Ale nagle przyznałam: – A właściwie to tak. Bo...

Boże, naprawdę wyjątkowo niezręcznie mi to szło. Jakby mi ktoś zawiązał język na supeł. A Tony wciąż się tylko uśmiechał z rozbawieniem. W końcu jednak powiedział:

– Więc nie zamierzasz uciekać gdzie pieprz rośnie?

– Nie, raczej nie. Bo... uff... posłuchajże mnie wreszcie...

– Nic innego nie robię...

– Bo... jestem z tobą cholernie szczęśliwa, i sam fakt, że się tak czuję, jest dla mnie kompletną niespodzianką, bo naprawdę już od dawna nie czułam czegoś takiego i mam nadzieję, że ty też to czujesz, bo nie chcę marnować czasu na kogoś, kto tak nie czuje, bo...

Przerwał mi głębokim pocałunkiem. Kiedy skończył, zapytał:

– Czy to trafna odpowiedź na twoje pytanie?

– Cóż...

Czyny chyba mówią głośniejsz niż słowa – ale i tak chciałam usłyszeć od niego to, co sama przed chwilą powiedziałam. Z drugiej strony, jeśli ja nie byłam zbyt dobra w otwartym artykułowaniu kwestii sercowych, to Tony był na ten temat jeszcze mniej wylewny, o czym zdążyłam się już przekonać. I dlatego byłam szczerze zaskoczona, kiedy powiedział:

– Bardzo się cieszę, że nie uciekasz gdzie pieprz rośnie.

Czy to było wyznanie miłości? Miałam nadzieję, że tak. Bo ja w tej chwili już wiedziałam, że go kocham. Ale wiedziałam też, że moja chaotyczna przemowa to maksimum, na jakie mnie stać, jeśli chodzi o wyznawanie istotnych emocji. Tego rodzaju wyznania zawsze były dla mnie trudne. Tak jak dla moich rodziców, pary nauczycieli, którym nikt nie mógł zarzucić braku miłości i wsparcia dla obu córek, ale którzy byli niesłuchanie powściągliwi i pełni rezerwy, jeśli chodziło o publiczne okazywanie uczuć.

– Chyba tylko raz widziałam, jak rodzice się pocałowali – powiedziała mi starsza sio-

stra, Sandy, niedługo po ich śmierci w wypadku samochodowym.

– I na pewno nie byli najlepsi w przytulankach. Ale i tak to nie miało znaczenia, prawda?

– Nie – przyznałam. – Najmniejszego.

Wtedy Sandy załamała się kompletnie i rozpląkała tak głośno, że brzmiało to jak jęki zawodowej płaczki. Jeśli chodzi o mnie, publicznie przejawiałam rozpacz po śmierci rodziców raczej rzadko. Może dlatego, że byłam zbyt oziębiała, by płakać. Był rok 1988, miałam dwadzieścia jeden lat. Właśnie zakończyłam naukę w Mount Holyoke College i za kilka tygodni miałam rozpocząć pracę w „Boston Post”. Właśnie z dwiema koleżankami znalazłam sobie mieszkanie w dzielnicy zwanej Back Bay. Właśnie kupiłam pierwszy samochód (zdezelowanego volkswagena garbusa za tysiąc dolarów) i właśnie dowiedziałam się, że dostanę dyplom magna cum laude.

Moi rodzice nie posiadali się z radości. Kiedy przyjechali do college’u, by popatrzeć, jak odbieram dyplom, byli w tak szampańskich humorach, że poszli nawet na wielkie, pożegnane przyjęcie w kampusie. Chciałam, żeby zostali na noc, ale musieli wracać do Worcester tego samego wieczoru, by zdążyć na jakąś ważną kościelną uroczystość następnego dnia (jak wielu liberałów z Nowej Anglii byli praktykującymi unitarianami). Zanim wsiedli do samochodu, ojciec uściśkał mnie mocno – co było dla niego zupełnie nietypowym gestem – i powiedział, że mnie kocha.

Dwie godziny później, jadąc na południe autostradą międzystanową, zasnął za kierownicą. Samochód zjechał na lewo, przebił się przez bandę między jezdniami i wpadł wprost na nadjeżdżający z przeciwnej strony wóz – forda kombi. Jechała nim pięcioosobowa rodzina. Zginęło dwoje pasażerów – młoda matka z małym synkiem. Zginęli też moi rodzice.

Po ich śmierci Sandy spodziewała się, że prędzej czy później się rozkleję (bo sama rozklejała się co chwila). Wiem, że złościło ją i martwiło, że nie wyrażam rozpacz głośno i otwarcie (choć każdy, kto mnie wtedy widział, mógł stwierdzić, że był to dla mnie potężny cios). Ale w końcu to ona była w rodzinie najbardziej rozhuśtaną emocjonalnie osobą. A teraz też jedynym geograficznie zafiksowanym punktem w moim życiu – kimś, kto nade mną czuwał (tak jak i ja czuwałam nad nią). Trudno by jednak znaleźć dwa tak różniące się charaktery. Ja wiecznie podkreślałam swoją niezależność, Sandy była prawdziwą domatorką. Idąc w ślady rodziców, została nauczycielką w szkole średniej, wyszła za nauczyciela wuefu, przeprowadziła się na bostońskie przedmieście i w wieku trzydziestu lat miała już trójkę dzieci. Po drodze pozwoliła sobie nabrać trochę ciała – aż zrobiło się go prawie osiemdziesiąt kilo (co nie wygląda najlepiej u kobiety o wzroście zaledwie metr sześćdziesiąt) i miała skłonność do nieustannego podjadania. Od czasu do czasu napomykałam, że dobrze byłoby zamknąć lodówkę na kłódkę, ale nie naciskałam jej zbyt mocno. Prawienie kazań to nie mój styl – Sandy jest zbyt wrażliwa na jakąkolwiek krytykę, zbyt uczuciowa i taka cholernie miła.

Była też jedyną osobą, której zawsze mówiłam otwarcie o wszystkim, co się ze mną dzieje – z wyjątkiem okresu bezpośrednio po śmierci rodziców, kiedy zamknęłam się w sobie i nikt nie potrafił do mnie dotrzeć. Pomogła mi nowa praca w „Post”. Choć mój szef

w dziale miejskim nie spodziewał się, że od razu stawię się w pracy, uparłam się, by zacząć już w dziesięć dni po pogrzebie rodziców. Skoczyłam na głęboką wodę. Dwunastogodzinne szychty były moją specjalnością. Zgłaszałam się też do dodatkowych zleceń, biorąc każdy temat, jaki tylko zdołałam obskoczyć, i szybko wyrobiłam sobie markę absolutnie niezawodnej pracoholiczki.

A potem, jakieś cztery miesiące od rozpoczęcia pracy, wracając któregoś wieczoru do domu, minęłam dwoje ludzi mniej więcej w wieku moich rodziców, idących Bolyston Street i trzymających się za ręce. Nie było w tej parze nic niezwykłego. Nie przypominali nawet moich rodziców. Byli po prostu zwyczajnym małżeństwem po pięćdziesiątce, trzymającym się za ręce. Może właśnie to mnie tak rozbiło – fakt, że w przeciwieństwie do wielu par w tym stadium małżeństwa, po nich widać było, że lubią być razem... tak jak po moich rodzicach zawsze było widać, że własne towarzystwo sprawia im przyjemność. Zresztą, jakkolwiek był powód, w następnej chwili opierałam się o słup latarni i zanosłam płaczem. Nie mogłam się powstrzymać, nie mogłam wynurzyć się z tej fali desperackiej rozpacz, która mnie w końcu porwała. Stałam tak przez długi czas, uczipiona dla równowagi ulicznego słupa. Głębia mojego smutku wydała mi się nagle wręcz bezdena, niezmiernona. Podszedł do mnie policjant. Położył mi wielką dłoń na ramieniu i spytał, czy nie potrzebuję pomocy.

– Ja chcę do mamusi i tatusia – miałam ochotę krzyknąć, zamieniając się na powrót w sześćoletnie dziecko, które wszyscy nosimy w sobie, wiecznie spragnione rodzicielskiej opieki w najbardziej przerażających chwilach życia. Udało mi się jednak wyjaśnić, że po prostu straciłam niedawno kogoś bliskiego i potrzebuję tylko taksówki do domu. Policjant zatrzymał taksówkę (w Bostonie to nie takie proste – ale przecież był policjantem). Pomógł mi wsiąść, mówiąc mi (na swój niezgrabny, szorstko-miły sposób), że „żałobę trzeba wypłakać, nie ma innej rady”. Podziękowałam mu i podczas jazdy trzymałam się jakoś w garści. Ale kiedy weszłam do mieszkania, padłam na łóżko i znów poddałam się tej dzikiej, nieopanowanej fali smutku. Nie pamiętam, jak długo płakałam; wiem tylko, że nagle była druga nad ranem, a ja leżałam w pozycji płodowej, kompletnie wyczerpana i bardzo wdzięczna moim współlokatorom, że nie było ich tego wieczoru w domu.

Nie chciałam, by ktokolwiek widział mnie w tym stanie.

Kiedy obudziłam się następnego dnia, wczesnym rankiem, moja twarz wciąż była spuchnięta, oczy zaczerwienione, każdy mięsień i nerw obolały.

Ale łzy już nie wróciły. Wiedziałam, że nie mogę sobie pozwolić na kolejną taką wizytę w podziemnym świecie rozpacz. Założyłam więc maskę surowego zdecydowania i wróciłam do pracy – bo to jedyne, co można zrobić w takich okolicznościach. Wszystkie przypadkowe śmierci są jednocześnie absurdalne i tragiczne. I, jak powiedziałam Tony’emu, jeden jedyny raz opowiadając mu tę historię, kiedy człowiek traci najważniejsze osoby w życiu – rodziców – w tak przypadkowych okolicznościach, cholernie szybko zaczyna sobie zdawać sprawę, że wszystko jest kruche; że tak zwane „poczucie bezpieczeństwa” jest cienkie jak skorupka jajka i może pęknąć bez ostrzeżenia w każdej chwili.

– To wtedy postanowiłaś, że chcesz zostać korespondentem wojennym? – zapytał Tony, głaszcząc mnie po twarzy.

– Trafiony, zatopiony.

Tak naprawdę potrzebowałam sześciu lat, by wydostać się z działu miejskiego do sekcji felietonów i objąć małą kolumnę na stronie redakcyjnej.

Potem w końcu wysłano mnie na pierwszą, tymczasową delegację do Waszyngtonu. Gdyby Richard znalazł sposób na przeniesienie się do Tokio, pewnie z miejsca wysłabym za niego.

– Po prostu na Tokio zależało ci odrobinę bardziej – powiedział Tony.

– Gdybym wyszła za Richarda, mieszkałabym na jakimś wygodnym przedmieściu, na przykład Wellesley. Pewnie miałabym dwójkę dzieci, jeepa cherokee i pisałabym dla „Post” felietony obyczajowe... i to nie byłoby wcale złe życie. Ale nie mieszkałabym w tych wszystkich zwariowanych miejscach na całym świecie i nie przeżyłabym nawet jednej czwartej swoich przygód, za które w dodatku mi płacą.

– I nie spotkałabyś mnie – dodał Tony.

– No właśnie – przytaknęłam, całując go. – I nie zakochałabym się w tobie.

Pauza. Ta ostatnia uwaga wprowadziła mnie w jeszcze większe osłupienie niż jego.

– Jakim cudem mi się to wymknęło? – zapytałam.

Tony pochylił się ku mnie i pocałował mocno.

– Cieszę się, że ci się wymknęło – powiedział. – Bo ja czuję to samo.

Byłam zdumiona faktem, że się zakochałam... i że tę miłość odwzajemniał ktoś, kto wydawał się dokładnie takim mężczyzną, o jakim potajemnie marzyłam, ale tak naprawdę nie wierzyłam, że istnieje (dziennikarze, ogólnie rzecz biorąc, są po prostu beznadziejni).

Pewna doza wrodzonej rozwagi nadal podpowiadała mi, by posuwać się naprzód ostrożnie. Nie chciałam się zastanawiać, czy przetrwamy następny tydzień czy miesiąc. I to samo wyczuwałam u Tony’ego. Nie zdołałam wyciągnąć od niego zbyt wiele na temat jego romantycznej przeszłości – choć wspomniał, że kiedyś niewiele mu brakowało do małżeństwa („ale wszystko poszło źle... i może lepiej, że tak się stało”). Chciałam wycisnąć z niego jakieś dalsze szczegóły (ostatecznie ja powiedziałam mu o Richardzie), ale szybko zmienił temat. Dałam temu spokój, zakładając, że w końcu sam dojrzeje i opowie mi całą historię. A może po prostu nie chciałam go za mocno naciskać – bo przez te dwa miesiące nauczyłam się już, że Tony Hobbs nie cierpi być zapędzany w kozi róg i zmuszany do tłumaczenia się.

Żadnemu z nas nie zależało na informowaniu znajomych kairskich pismaków, że staliśmy się parą. Nie dlatego, że baliśmy się plotek – po prostu uważaliśmy, że to nie ich zafajdany interes. Tak więc publicznie występowaliśmy wyłącznie jako dwójka kolegów po fachu.

A przynajmniej tak mi się wydawało. Dopóki Wilson – ten tłusty typek z „Daily Tele-

graph” – nie uświadomił mi, że jest inaczej. Zadzwoił do mnie do biura z propozycją wspólnego lunchu, mówiąc, że najwyższa pora, byśmy wreszcie usiedli we dwójkę i ucieli sobie dłuższą pogawędkę. Powiedział to tym swoim lekko pompatycznym tonem, przez co zabrzmiało to jak zaproszenie na dwór królewski albo jakby robił mi Bóg wie jaki zaszczyt, zapraszając mnie do kawiarni w hotelu Semiramis. Jak się okazało, lunch posłużył mu za pretekst, by wycisnąć ze mnie informacje o różnego rodzaju egipskich ministrach i jak najwięcej moich lokalnych kontaktów.

Ale kiedy ni stąd, ni zowąd wspomniał o Tonym, trochę mnie zaskoczył... właśnie dlatego, że tak bardzo staraliśmy się nie afiszować. Był to szczyt naiwności, biorąc pod uwagę, że w mieście takim jak Kair dziennikarze wiedzą nawet, co ich koledzy jadają na śniadanie. Mimo wszystko nie byłam przygotowana na pytanie Wilsona:

– A jakże się ostatnio miewa pan Hobbs?

Staralam się zachować kamienną twarz.

– Zakładam, że dobrze.

Wilson uśmiechnął się.

– Zakładasz...?

– Jego samopoczucie to jego sprawa.

Kolejny oślizgły uśmiech.

– Rozumiem.

– Ale skoro tak cię to interesuje – ciągnęłam – możesz zadzwonić do jego biura.

Wilson zignorował tę uwagę i zaczął z innej mańki.

– Interesujący gość z tego Hobbsa.

– W jakim sensie?

– No cóż, jest znany ze swojej legendarnej lekkomyślności i nieumiejętności zadowalania szefów.

– Nie wiedziałam o tym.

– W Londynie mówi się powszechnie, że Hobbs to chodząca katastrofa, jeśli chodzi o biurową dyplomację. Prawdziwy rozrabiaka... ale bardzo utalentowany reporter, i dlatego tolerowali go tak długo.

Spojrzał na mnie, czekając na odpowiedź. Nie odezwałam się. Wilson uśmiechnął się znowu, uznając, że moje milczenie to kolejny objaw zażenowania (i miał rację). W końcu dodał:

– I na pewno wiesz, że w sprawach sercowych zawsze był trochę... hm, jak by to elegancko ująć... jak rozszalały byk, że tak powiem. Zalicza kobiety jak...

– Czy te uwagi mają coś na celu? – zapytałam lekko.

Teraz on zrobił zaskoczoną minę, choć w jego wykonaniu była to mina raczej teatralna.

– Ja tylko staram się podtrzymać konwersację – powiedział z udawaną urazą. – I oczywiście chciałem trochę poplotkować. A najlepsza plotka o panu Anthonym Hobbsie jest taka, że w końcu pewna kobieta złamała staruszkowi serce. Oczywiście to stara plotka, ale...

Przerwał, z rozmysłem pozostawiając historię w zawieszeniu. A ja, jak idiotka, zapytałam:

– Jaka kobieta?

I wtedy Wilson opowiedział mi o Elaine Plunkett. Słuchałam z pełnym niepokojem zainteresowaniem – i z rosnącym niesmakiem. Wilson mówił przyciszonym głosem konspiratora, choć z pozoru jego ton był lekki, wręcz frywolny. Było to coś, co zaczęłam zauważać u pewnego typu Anglików, szczególnie kiedy mieli do czynienia z Amerykanami (lub, co gorsza, z Amerykankami). Uważali nas za tak zasadnicze, tak męcząco rzeczowe we wszystkim, co robimy, że próbowali przeciwstawić naszej dosłowności lekką jak piórko ironię, jakby ich słowa nie miały żadnej wagi ... choć tak naprawdę wszystko, co mówili, niosło ze sobą poważne konsekwencje.

Wilson przemawiał właśnie w takim stylu – na dodatek podszytym nutą złośliwości. A jednak słuchałam uważnie każdego słowa. Bo mówił o Tonym – w którym byłam zakochana.

Tak więc dzięki uprzejmości Wilsona dowiedziałam się, że inna kobieta – irlandzka dziennikarka pracująca w Waszyngtonie, niejaka Elaine Plunkett – złamała Tony’emu serce. W żaden sposób mnie to nie dotknęło, bo nie zamierzałam odgrywać zazdrosnej idiotki, gryzącej się w nieskończoność faktem, że to nie on zostawił tę całą Plunkett, tylko ona jego... albo, co gorsza, że mogła być miłością jego życia. Czułam tylko głębokie obrzydzenie do gry, którą prowadził Wilson – i w końcu uznałam, że należy dać mu po łapach. Porządnie. Ale cierpliwie czekałam na odpowiedni moment jego monologu, by zadać cios.

– .. oczywiście kiedy Hobbs zalał się łzami na oczach naszego człowieka w Waszyngtonie... znasz Christophera Perkinsa? Fantastycznie niedyskretny... no, w każdym razie Hobbs trochę się rozkleił w trakcie popijawy z Perkinsem. I jakoś tak wyszło, że w ciągu dwudziestu czterech godzin wiedział o tym cały Londyn. Nikt nie mógł w to uwierzyć. Twardziel Hobbs mazgai się przez jakąś dziennikareczkę...

– Chcesz powiedzieć, taką jak ja?

Wilson roześmiał się teatralnie, ale nie odpowiedział.

– No, proszę, odpowiedz na moje pytanie – powiedziałam głośno, rozbawionym tonem.

– Jakie pytanie? – zdziwił się Wilson.

– Czy jestem podobna do tej Plunkett?

– A skąd mam wiedzieć? Nigdy jej nie poznałem.

– No tak, ale jestem dziennikareczką, tak jak ona. I sytam z Tonym Hobbsem, tak jak ona.

Długa pauza. Wilson usiłował przybrać zdumiony wyraz twarzy. Nie udało mu się.

– Nie wiedziałem...

– Kłamiesz – rzuciłam ze śmiechem.

To słowo podziałało na niego jak policzek.

– Co powiedziałaś?

Uraczyłam go szerokim uśmiechem.

– Nazwałam cię kłamcą. Bo nim jesteś.

– Naprawdę myślę...

– Że co? Że możesz bawić się ze mną w swoją brudną gierkę i że ujdzie ci to na sucho?

Wilson przesunął wielki tyłek na krześle i zmiął chusteczkę w dłoni.

– Naprawdę nie chciałem nikogo urazić.

– Owszem, chciałeś.

Zaczął szukać po sali kelnera.

– Naprawdę muszę już iść.

Pochyliłam się, aż moja twarz znalazła się jakieś dwa centymetry od jego gęby. I utrzymując jowialny, lekki ton, powiedziałam:

– Wiesz co? Jesteś taki sam, jak każdy rozrabiaka, którego spotkałam w życiu. Podwiesz ogon pod siebie i zmykasz, kiedy tylko ktoś stawi ci czoło.

Wstał i wyszedł, ale nie przeprosił. Anglicy nigdy nie przepraszają.

– Założę się, że amerykańscy mężczyźni też się nie palą do przeprosin – powiedział Tony, kiedy wygłosiłam to stwierdzenie.

– Są lepiej wytresowani niż wy.

– To dlatego, że dorastają z tym utajonym, purytańskim poczuciem winy, i w przekonaniu, że wszystko ma swoją cenę.

– Za to Anglicy...

– Nam się wydaje, że wszystko ujdzie nam płazem... może.

Kusiło mnie, by opowiedzieć mu o rozmowie z Wilsonem, ale wtedy musiałabym się przyznać, że wiem o Elaine Plunkett, a uznałam, że nie wynikłoby z tego nic dobrego. Wręcz przeciwnie, bałam się, że Tony może się poczuć zdemaskowany... albo, co gorsza, zawstydzony (a to uczucie, którego boją się wszyscy Anglicy). Nie chciałam mu tłumaczyć, że cała ta historia o Elaine Plunkett sprawiła, że kocham go jeszcze bardziej. Bo przekonałam się, że jest tak samo wrażliwy, jak każdy człowiek. I podobało mi się to. Jego słabość dziwnie dawała mi pewności; pozwalała mi pamiętać, że jego też można zranić.

Dwa tygodnie później nadarzyła się okazja, by poobserwować Tony'ego na jego własnym terenie, kiedy ni stąd, ni zowąd zapytał mnie:

– Masz ochotę wyskoczyć na parę dni do Londynu?

Wyjaśnił, że wezwano go na spotkanie do „Chronicie”.

– To nic podejrzanego, po prostu doroczny lunch z naczelnym – powiedział od niechcienia. – Co powiesz na kilka dni w Savoyu?

Nie musiał mnie długo namawiać. Byłam w Londynie tylko raz, w latach osiemdziesiątych, jeszcze zanim zaczęłam jeździć za granicę jako korespondent – na jednej z tych idiotycznych, dwutygodniowych wycieczek po europejskich stolicach, włączając w to cztery dni w Londynie. Ale podobało mi się to, co widziałam. Trzeba pamiętać, że zobaczyłam tylko różnego rodzaju pomniki i muzea, dwa interesujące przedstawienia teatralne i przebłysk eleganckiego życia, jakie prowadzą ci, których stać na rezydencję w Chelsea.

Innymi słowy, mój obraz Londynu był, oględnie mówiąc, wrywkowy.

Pokój w Savoyu też nie daje wielkiego pojęcia o prawdziwym, brudnym obliczu Londynu. Przeciwnie, apartament z widokiem na Tamizę i butelką szampana, czekającą na nas w wiaderku z lodem, wywarł na mnie spore wrażenie.

– „Chronicie” zawsze w ten sposób traktuje swoich zagranicznych korespondentów? – zapytałam.

– Żartujesz – roześmiał się Tony. – Menedżer hotelu jest moim starym przyjacielem, poznaliśmy się, kiedy prowadził Intercontinental w Tokio.

Zawsze ma coś dla mnie, ilekroć jestem w mieście.

– No, ulżyło mi – powiedziałam.

– Co takiego?

– Nie pogwałciłeś jednej z podstawowych zasad dziennikarstwa. Nigdy nie płac za nic z własnej kieszeni.

Roześmiał się i pociągnął mnie na łóżko. Nalał mi kieliszek szampana.

– Nie da rady – powiedziałam. – Jestem na antybiotykach.

– Od kiedy?

– Od wczoraj, od kiedy poszłam do lekarza przy ambasadzie z zapaleniem gardła.

– Masz zapalenie gardła?

Otworzyłam szeroko usta.

– Proszę bardzo, zajrzyj sobie.

– Nie, dziękuję – odparł. – To dlatego nie piłaś w samolocie?

– Lepiej nie mieszać alkoholu z antybiotykami.

– Powinnaś mi powiedzieć.

– Po co? To tylko zapalenie gardła.

– Rany, ależ z ciebie zołza.

– Wiem.

– Muszę powiedzieć, że jestem zawiedziony. Bo, do diabła, z kim będę pił przez te kilka dni?

Pytanie było raczej retoryczne, bo Tony miał mnóstwo towarzyszy do szklanki przez trzy dni, które spędziliśmy w Londynie. Co wieczór spotykaliśmy się z jego kolegami po fachu i przyjaciółmi. Znajomi podobali mi się bez wyjątku. Najpierw była Kate Medford – dawna koleżanka z „Chronicie”. W tej chwili prowadziła główne, popołudniowe wydanie wiadomości w BBC Radio 4 i (wraz mężem Rogerem, onkologiem) wydała dla nas małą kolacyjkę w swoim domu na zielonym „wewnętrznym przedmieściu”, zwanym Chiswick. Potem było mocno zakrapiany (w każdym razie dla Tony’ego) wieczór w mieście z kolegą dziennikarzem, niejakim Dermotem Fahym, który prowadził rubrykę codzienną w „Independent” i był genialnym gawędziarzem. A także starym świntuchem, nieprzepuszczającym niczemu, co się rusza. Przez cały wieczór ślinił się do mnie, ku ogromnej uciechy Tony’ego (powiedział mi zresztą później, że: „Dermot robi tak przy każdej kobiecie”, na co musiałam odpowiedzieć: „No cóż, dziękuję bardzo”). Potem spotkaliśmy się z byłym dziennikarzem z „Telegraph”, Robertem Matthewsem, który zarobił sporo pieniędzy na swoim pierwszym thrillerze w stylu Roberta Ludluma. Uparł się, by zabrać nas na niedorzecznie drogi posiłek w Ivy, zamówił kilka butelek wina po sześćdziesiąt funtów każda, wypił go o wiele za dużo i zaczął raczyć nas wisielczymi historyjkami na temat swojego niedawnego rozwodu – opowiadał je znakomicie w pełnym czarnego humoru i autoironii stylu, ale dawa-

ło się w nich wyczuć ogromny osobisty ból.

Wszyscy przyjaciele Tony'ego byli pierwszej klasy kompanami do rozmów, lubili siedzieć do późna i wypijać o trzy kieliszki wina za dużo i (co ogromnie mi zaimponowało) właściwie nigdy nie mówili o sobie. Choć Tony nie widział się z nimi przez rok, na temat pracy padały zaledwie krótkie wzmianki („Nie zastrzelili cię jeszcze islamscy ekstremiści?” – i tym podobne). Jeśli wypływały osobiste tematy – jak na przykład rozwód Roberta – traktowane były z ironicznym przymrużeniem oka. Nawet kiedy Tony delikatnie zapytał Kate o jej córkę (która, jak się okazało, wychodziła z niemal śmiertelnego przypadku anoreksji), odparła:

– Cóż, to trochę jak z tym stwierdzeniem Rossiniego na temat oper Wagnera: od czasu do czasu zdarza się wspaniałe piętnaście minut.

Po czym zostawiono temat.

Intrygującą cechą tego stylu rozmów był sposób, w jaki każdy udzielał o sobie tyle informacji, by rozmówcy byli na bieżąco, jeśli chodzi o jego życie – ale ilekroć rozmowa zbaczła na osobiste tory, nieuchronnie kierowana była w stronę bardziej ogólnych kwestii. Szybko wyczułam, że zbyt długie wywody na temat spraw prywatnych w towarzystwie większym niż dwie osoby uważane były za nieeleganckie... szczególnie w obecności kogoś obcego, jak ja. Mimo wszystko jednak podobał mi się ten styl konwersacji i fakt, że zręczny żart uznawany był za rzecz godną pochwały. Nawet gdy rozmowa zahaczała o poważne, gorące tematy, kryła się w nich zawsze nuta zgryźliwego humoru. Nie było mowy o tej sztywnej powadze, tak często charakteryzującej dyskusje Amerykanów. Zresztą Tony uświadomił mi kiedyś, na czym polega podstawowa różnica między Jankeesami i Angolami: Amerykanie uważają, że życie jest poważne, ale nie beznadziejne, natomiast Anglicy – że jest beznadziejne, ale niepoważne.

W ciągu trzech dni londyńskich pogawędek przekonałam się do tej prawdy, ale przekonałam się również, że z łatwością potrafię wyjść z twarzą z tego rodzaju przekomarzanek. Tony przedstawiał mnie swoim przyjaciółom – i wydawał się zachwycony, że dopasowałam się do nich tak szybko.

A ja byłam zadowolona, że się mną popisywał. Ja też chciałam się nim pochwalić, ale moja jedyna znajoma w Londynie, Margaret Campbell, wyjechała akurat z miasta. Kiedy Tony jadł lunch z naczelnym, pojechałam metrem do Hampstead i szwendałam się uliczkami wśród rezydencji nadzianych londyńczyków, a potem jeszcze godzinę błąkałam się po The Heath, przez cały czas myśląc, że jest tu naprawdę przyjemnie. Może miało to coś wspólnego z faktem, że po miejskim szaleństwie Kaim Londyn na pierwszy rzut oka wydawał się wzorem porządku i czystości. Oczywiście drugiego dnia pobytu zauważałam też śmieci na ulicach, graffiti, bezdomnych śpiących gdzie popadnie i potworny ruch samochodowy. Ale te „brzydsze” miejskie cechy wydawały mi się po prostu nieodzownym elementem życia metropolii.

No i był jeszcze drobny fakt, że spędziłam ten czas w Londynie z Tonym... przez co miasto wydawało mi się znacznie piękniejsze. Tony też to przyznał, twierdząc, że po raz pierwszy od wielu lat znowu „poczuł” Londyn.

Co się tyczy lunchu z naczelnym, nie powiedział o nim ani słowa – stwierdził tylko, że poszło dobrze. Ale dwa dni później zdradził mi więcej szczegółów na temat tego spotkania. Już od godziny siedzieliśmy w samolocie do Kairu, kiedy nagle zwrócił się do mnie i oznajmił:

– Muszę z tobą o czymś porozmawiać.

– To brzmi poważnie – odparłam, odkładając powieść, którą czytałam.

– Ale nie jest poważne. Tylko interesujące.

– To znaczy...?

– Hm. Nie chciałem o tym wspominać, póki byliśmy w Londynie, bo nie chciałem spędzić dwóch ostatnich dni na dyskusjach.

– Na dyskusjach o czym?

– O tym, że mój naczelny zaproponował mi nowe stanowisko.

– Jakiego rodzaju?

– Redaktora naczelnego działu zagranicznego.

Potrzebowałam chwili, by przetrwać tę informację.

– Gratuluję – powiedziałam w końcu. – Przyjąłeś propozycję?

– Oczywiście, że nie. Bo...

– Tak?

– No bo... chciałem najpierw porozmawiać o tym z tobą.

– Bo to by oznaczało przeniesienie do Londynu?

– Tak.

– Chcesz tę robotę?

– Ujmę to w ten sposób: Jego Lordowska Wysokość dał mi dość niedwuznacznie do zrozumienia, że powinienem ją przyjąć. Sugerował też, że po prawie dwudziestu latach w terenie najwyższy czas, żebym zajął stołek w kwaterze głównej. Oczywiście, mógłbym walczyć o powrót, ale nie sądzę, żebym tym razem wygrał. A zresztą stanowisko naczelnego działu zagranicznego to raczej nie jest degradacja...

Umilkł.

– Przyjmiesz tę robotę? – zapytałam.

– Myślę, że muszę. Ale... to nie oznacza, że mam wracać do Londynu sam.

Kolejna pauza. Przez chwilę zastanawiałam się nad ostatnim zdaniem.

W końcu odezwałam się:

– Ja też mam nowinę. I muszę się do czegoś przyznać.

Tony spojrzał na mnie nieufnie.

– Do czego musisz się przyznać?

– Nie biorę antybiotyków. Nie mam zapalenia gardła. Ale nie mogę teraz pić... bo tak się składa, że jestem w ciąży.

3

Tony dobrze przyjął moje rewelacje. Nie zadrżał ani nie pobladł. Był moment osłupienia i kilka sekund na szybkie przemyślenie. Ale potem wziął mnie za rękę, ścisnął ją mocno i powiedział:

– To dobra wiadomość.

– Naprawdę tak uważasz?

– Oczywiście. A ty jesteś pewna...?

– Na ile mogą dać pewność dwa testy ciążowe – odparłam.

– Chcesz utrzymać ciążę?

– Mam trzydzieści siedem lat, Tony. A to u kobiety oznacza „teraz albo nigdy”. Ale nawet jeśli zechcę ją utrzymać, to jeszcze nie znaczy, że musisz mieć w tym udział. Chciałabym, żebyś miał. Ale...

Tony wzruszył ramionami.

– Chcę mieć w tym udział – powiedział.

– Jesteś pewien?

– Absolutnie. I chcę, żebyś pojechała ze mną do Londynu.

Teraz z kolei ja trochę zbladłam.

- Dobrze się czujesz? – zapytał.
- Jestem tylko zaskoczona.
- Czym?
- Kierunkiem, w jakim zmierza ta rozmowa.
- Niepokoisz się?

Ha, to mało powiedziane. Choć udało mi się utrzymać lęk na drugim planie podczas pobytu w Londynie (nie mówiąc już o tygodniu przed – wyjazdem, kiedy pierwszy test ciążowy wrócił z wynikiem pozytywnym od mojego lekarza w Kairze), mimo wszystko był wszechobecny. I nie bez powodu. Z jednej strony, cieszyłam się tą ciążą, z drugiej, jednak przerażała mnie perspektywa urodzenia dziecka. Może miało to coś wspólnego z faktem, że tak naprawdę nie spodziewałam się, że zajdę w ciążę. Normalne u każdej kobiety podszepty hormonów nie miały szansy wobec faktu, że w moim szczęśliwym, niezależnym życiu nie było miejsca na tak ogromne zobowiązanie, jakim jest macierzyństwo.

Więc odkrycie, że jednak jestem w ciąży, rozbiło mnie kompletnie. Ale ludzie zawsze potrafią zaskakiwać – i to właśnie zrobił Tony. Przez resztę drogi do Kairu tłumaczył mi, że jego zdaniem ta ciąża to bardzo dobra rzecz i że zbiegła się z jego przeniesieniem do Londynu, zupełnie jakby sam los chciał nas zmusić do podjęcia poważnych decyzji. I wszystko wydarzyło się w odpowiednim momencie. Bo idealnie do siebie pasujemy. Choć oczywiście żadnemu z nas nie będzie łatwo przyzwyczać się do mieszkania pod wspólnym dachem – i do siedzenia za biurkiem (był pewien, że uda mi się wkroczyć do londyńskiego biura „Post”) – czy to nie pora, byśmy wreszcie poddali się temu, co nieuniknione, i ustatkowali się?

- Czy mówisz o małżeństwie? – zapytałam, kiedy skończył swoje przemówienie.

Nie spojrzał mi w oczy, ale przyznał:

- Więc... tak, ja... tak, chyba tak.

Nagle poczułam, że dobrze by mi zrobiła bardzo duża wódka, i głęboko pożałowałam, że nie mogę tykać alkoholu.

- Będę musiała to wszystko przemyśleć.

Muszę dać Tony’emu duży plus za to, że nie ciągnął tematu. Nie naciskał mnie też w żaden sposób w ciągu następnego tygodnia. Ale w końcu to nie byłoby w jego stylu. Tak więc przez kilka pierwszych dni po powrocie z Londynu daliśmy sobie czas na myślenie. Poprawka: on dał mi czas na myślenie. Owszem, rozmawialiśmy dwa razy dziennie przez telefon i nawet zjedliśmy razem wesoły lunch, podczas którego ani razu nie wspomnieliśmy o tej wielkiej jak wieloryb kwestii, która zawisała nad nami... choć pod koniec zapytałam:

- Zawiadomiłeś już „Chronicie” o swojej decyzji?
- Nie... wciąż czekam na zgodę pewnej osoby.

Uśmiechnął się do mnie. Choć gazeta naciskała, on nie chciał wywierać presji na mnie. A ja mogłam tylko podziwiać jego opanowanie i porównywać go z Richardem Pettifordem. Kiedy Richard próbował mnie skłonić do małżeństwa, kilka razy przekroczył granice dobrego smaku, a w końcu potraktował mnie (w iście adwokackim stylu) jak opornego przysięgłego, którego trzeba przekonać do swojego punktu widzenia. Tony'emu nie musiały nawet odpowiadać na wzmiankę o „zgodzie pewnej osoby”. Wiedział, że poprosił mnie o podjęcie bardzo trudnej decyzji. Zapytałam więc tylko:

- Ale i tak wyjeżdżasz dopiero za trzy miesiące?
- Tak, choć naczelny chce znać moją odpowiedź do końca tygodnia.

I tymczasem na tym stanęło.

Oczywiście oprócz bardzo poważnych i intensywnych rozmyślań wykonałam również kilka ważnych telefonów – pierwszy z nich do Thomasa Richardsona, naczelnego redaktora „Post” i człowieka, z którym zawsze łączył mnie serdeczny, choć pełny dystansu stosunek. Jako Jankes starej daty Richardson cenił sobie bezpośredniość, kiedy więc do mnie oddzwonił, byłam z nim absolutnie szczerą. Wyjaśniłam, że wychodzę za mąż za dziennikarza z „Chronicie” i planuję przeprowadzkę do Anglii. Powiedziałam też, że uważam „Post” za swój dom i oczywiście chciałabym zostać w gazecie, ale fakt, iż jestem w ciąży, oznacza, że będę potrzebować dwunastu tygodni urlopu macierzyńskiego za jakieś siedem miesięcy.

- Jesteś w ciąży? – zapytał Richardson, szczerze zdumiony.
- Na to wygląda.
- Ależ to wspaniała wiadomość, Sally. I doskonale rozumiem, dlaczego chcesz urodzić dziecko w Londynie...
- Chodzi o to, że przenosimy się dopiero za trzy miesiące.
- Jestem pewien, że uda mi się coś zorganizować w londyńskim biurze.

Jeden z naszych korespondentów mówił o powrocie do Bostonu, więc nie mogłaś sobie wybrać lepszego momentu.

Z zawodowego punktu widzenia trochę zaniepokoił mnie fakt, że szef tak mi ułatwia przeprowadzkę do Londynu. Teraz nie miałam już powodu, żeby nie jechać z Tonym. Ale kiedy powiedziałam mu, że przeniesienie do londyńskiego biura „Post” jest praktycznie pewne, przyznałam się też, że jestem przerażona tymi wszystkimi zmianami. I znowu jego odpowiedź (zgodnie z przewidywaniami dowcipna) dodała mi otuchy. Powiedział, że przecież nie idę do klasztoru. Ani nie przeprowadzamy się do Ulan Bator. I będę miała pracę. A jeśli stwierdzimy, że nie znosimy siedzenia za biurkiem... kto powiedział, że musimy tkwić w Londynie do końca życia?

- Zresztą nie mamy zamiaru więzić siebie nawzajem, prawda? To nie w naszym stylu – powiedział.

– Nie ma mowy – odparłam.

– Miło mi to słyszeć. – Tony roześmiał się. – W takim razie to nie będzie koniec świata, jeśli pobierzemy się w ciągu tych paru tygodni, co?

– Od kiedy zrobiłeś się taki romantyczny? – zapytałam.

– Od kiedy parę dni temu porozmawiałem z jednym gościem z naszego konsulatu.

Ten „gość” powiedział Tony’emu, że moje przeniesienie do Wielkiej Brytanii odbyłoby się o wiele szybciej, gdybyśmy byli małżeństwem. Jeśli natomiast zdecyduję się pozostać panną, czekają mnie długie miesiące imigracyjnej biurokracji. I znów oszołomiła mnie prędkość, z jaką moje życie stanęło na głowie. Ale tak to już jest z przeznaczeniem. Podróżujesz sobie spokojnie, sądząc, że twój los obrał określony kurs (szczególnie kiedy weszło się w „średni” wiek), a tu nagle spotykasz kogoś, pozwalasz, by sprawa toczyła się naprzód, i wkraczasz na paluszkach na niebezpieczny teren, zwany miłością. I zanim się obejrzyysz, wisisz na telefonie, rozmawiając przez ocean z jedyną żyjącą krewną i mówisz jej, że jesteś w ciąży, a na dodatek właśnie...

– Wychodzisz za męża? – Sandy była wstrząśnięta.

– To najrozsądniejsza rzecz, jaką mogę zrobić – odparłam.

– Tak jak zajście w pierwszą ciążę w wieku trzydziestu siedmiu lat?

– To było niechcący.

– Ooo, wierzę, wierzę. Bo jesteś chyba ostatnią osobą, po której spodziewałabym się, że z rozmysłem da sobie strzelić gola. Jak Tony to przyjmuje?

– Bardzo dobrze. Prawdę mówiąc lepiej niż ja. Wyobraź sobie, że nawet użył tych strasznych słów „ustatkować się”, i to w pozytywnym sensie.

– Może rozumie coś, czego ty jeszcze nie łapiesz...

– Chodzi ci o to, że wszyscy musimy się kiedyś ustatkować? – zapytałam odrobinę drwiąco. Choć Sandy zawsze wspierała mnie w mojej wędrownej karierze, często marudziła, że czeka mnie samotna starość i że jeśli nie zdecyduję się na dziecko, będę tego później żałować. W moim włóczęgowskim stylu życia było coś, co nie dawało jej spokoju. Nie zrozumcie mnie źle – nie chodziło o zazdrość, ale na pewno jednym z powodów jej radości był fakt, że kiedy już zostanę matką, będziemy się poruszać po podobnym gruncie. I że nareszcie zejdem na ziemię.

– Przecież ja ci nie kazałam zachodzić w ciążę – powiedziała Sandy.

– Nie, ty tylko przez ostatnie dziesięć lat pytałaś mnie co chwila, kiedy to się wreszcie stanie.

– No i stało się. I strasznie się cieszę. I nie mogę się doczekać, kiedy poznam Tony’ego.

– To przyleć do Kairu w przyszłym tygodniu na ślub.

– W przyszłym tygodniu? – zapytała zdumiona. – Dlaczego tak szybko?

Wyjaśniłam jej, że przeprowadzamy się do Londynu za niecałe trzy miesiące i chcemy ominąć kłopoty związane z uzyskiwaniem pozwoleń na pracę i stały pobyt.

– Boże, to wszystko przypomina rozpędzony pociąg.

– Mnie to mówisz?

Wiedziałam, że Sandy nie da rady przylecieć na ślub. I nie chodziło tylko o brak pieniędzy i czasu. W jej pojęciu wszystko poza granicami Stanów było jedną wielką dziczą. I dlatego, nawet gdyby miała środki na przylot do Egiptu, na pewno znalazłaby sposób, by uniknąć podróży. Zresztą przyznawała to otwarcie i to nieraz: „Nie jestem taka jak ty, mnie nie ciągnie w nieznaną”. To była jedna z licznych cech, które tak u niej kochałam – nie miała absolutnie żadnych złudzeń na swój temat. „Jestem ograniczona” – powiedziała mi kiedyś; pomyślałam wtedy, że jest dla siebie zbyt surowa i to zupełnie bez powodu – szczególnie że była bardzo inteligentną, bardzo czytaną kobietą, która samodzielnie utrzymywała się na powierzchni, odkąd trzy lata temu opuścił ją mąż.

W miesiąc po jego spektakularnym odejściu Sandy znalazła pracę nauczycielki historii w małej, prywatnej szkole w Medford – i jakimś cudem dawała radę spłacać kredyt hipoteczny i wyżywić trójkę dzieciaków. Co (jak jej powiedziałam) wymagało o wiele więcej ikry, niż szwendanie się tam i z powrotem po bliskowschodnich dziurach. Ale teraz i ja miałam się przekonać, jak wygląda życie w domowych pieleszach – i nawet przez trzeszczącą, egipską linię telefoniczną Sandy błyskawicznie wyczuła mój strach.

– Świetnie sobie poradzisz – powiedziała. – Lepiej niż świetnie. Śpiewająco. W końcu nie rezygnujesz z pracy ani nie wysyłają cię do Lawrence (chyba najbrzydsze miasto w Massachusetts). W końcu to Londyn, nie?

A poza tym macierzyństwo niewiele się różni od tych wszystkich wojen, które opisywałaś.

Roześmiałam się. A jednocześnie przyszło mi do głowy pytanie: czy ona mówi prawdę?

Przez następnych kilka tygodni nie miałam zbyt wiele czasu na rozmyślanie o zmianach zachodzących w moim życiu. Tym bardziej, że Bliski Wschód jak zwykle nie oszczędzał nam makabrycznych niespodzianek. Moją uwagę zajął rządowy kryzys w Izraelu, usiłowanie zabójstwa egipskiego ministra i w końcu prom, który wywrócił się na Nilu w północnym Sudanie; zginęło stu pięćdziesięciu pasażerów, wszyscy, którzy byli na pokładzie. Fakt, że pisałam o tych wszystkich wydarzeniach dręczona przedłużającymi się napadami porannych mdłości, podkreślał tylko banalność mojego stanu wobec ogromu ludzkich cierpień. Podobnie jak cała masa poradników dla młodych matek zamówionych przez amazon.com, które pożerałam z obsesyjnym zachwytem człowieka, wyruszającego w długą i trudną podróż i rozpaczliwie szukającego właściwego przewodnika, by nie zginąć w drodze. Tak więc wracałam z biura od informacji o zagrożeniu epidemią cholery w Delcie Nilu i pograżałam się w lekturze o kolce, nocnych karmieniach i ciemieniusze, poznając nowe słowa i pojęcia ze

słownika opieki nad dzieckiem.

– Wiesz, czego najbardziej będzie mi brakować? – powiedziałam do Tony’ego wieczorem, dzień przed naszym ślubem. – Tego, że Bliski Wschód jest taki ekstremalny, tak kompletnie pokręcony.

– A w Londynie będzie tylko szara codzienność?

– Tego nie powiedziałam.

– Ale właśnie o to się martwisz.

– Troszkę. A ty nie?

– To będzie spora zmiana.

– Tym bardziej, że teraz będziesz miał ze sobą dodatkowy bagaż.

– Cieszy mnie ten dodatkowy bagaż.

Pocałowałam go.

– Cieszy mnie, że ciebie on cieszy...

– Pewnie niełatwo się będzie przyzwyczaić, ale poradzimy sobie. I uwierz mi, Londyn też jest nieźle pokręcony, na swój sposób.

Przypomniałam sobie to zdanie sześć tygodni później, kiedy lecieliśmy na północ, na Heathrow. Dzięki uprzejmości „Chronicie” nowy naczelny działu zagranicznego i jego nowa żona wracali do ojczyzny klasą klubową.

Dzięki uprzejmości „Chronicie” na sześć tygodni zostaliśmy umieszczeni w firmowym mieszkaniu w Wapping, w pobliżu biur gazety, na czas poszukiwania domu. Dzięki uprzejmości „Chronicie” cały nasz dobytek już tydzień wcześniej został wysłany statkiem z Kairu i miał być przechowany w magazynie, dopóki nie znajdziemy sobie stałego miejsca zamieszkania.

I dzięki uprzejmości „Chronicie” wielki czarny mercedes odebrał nas z lotniska i powoli przebijając się przez korki wieczornej godziny szczytu, powiózł nas do centrum Londynu.

Gdy samochód pełził autostradą, wyciągnęłam rękę i ujęłam dłoń Tony’ego; wciąż jeszcze zauważałam lśniące, platynowe obrączki, które zdobiły nasze lewe dłonie, i wciąż jeszcze na ich widok stawała mi przed oczami komiczna cywilna ceremonia, podczas której zostaliśmy związani węzłem małżeńskim. Kairski Urząd Stanu Cywilnego był istnym domem wariatów, a urzędnik, który ogłosił nas mężem i żoną, wyglądał jak egipska wersja Groucho Marksa. A teraz byliśmy tutaj – zaledwie kilka krótkich miesięcy po tych szalonych dwudziestu czterech godzinach w Somalii – i jechaliśmy autostradą M4 w stronę...

Wapping.

Wapping było dla mnie sporą niespodzianką. Samochód wyostał się z autostrady i skręcił na południe, przez dzielnicę rezydencji z czerwonej cegły.

Te w końcu ustąpiły miejsca dziwacznej mieszance stylów architektonicznych – od wiktoriańskiego i edwardiańskiego, po warszawski socrealizm i merkantylny brutalizm z pustaków. Było późne popołudnie, początek zimy.

Światło było kiepskie. Ale mimo niedostatków naturalnego oświetlenia, moje pierwsze spojrzenie na Londyn oczami mężatki ukazało mi miasto jako niekończący się obszar wizualnego chaosu; krajobraz jak z chińskiego menu, niemal zupełnie pozbawiony spójności, gdzie dostatek i ubóstwo sąsiadowały ze sobą ściana w ścianę. Oczywiście zauważyłam ten miszmasz już przy pierwszej wizycie w Londynie z Tonym. Ale jak każdy turysta skupiałam raczej uwagę na tym, co przyjemne dla oka... i jak każdy turysta unikałam południowego Londynu. A poza tym byłam tu tylko przez kilka dni, a ponieważ nie była to podróż służbowa, wyłączyłam swoje dziennikarskie zmysły. Ale teraz – teraz – to miasto miało się stać moim domem. Siedziałam więc z nosem przyciśniętym do szyby mercedesa, gapiąc się na mokre chodniki, przelewające się kosze, skupiska barów z fast foodem, między którymi od czasu do czasu migła uliczka eleganckich domów, wielką zieloną połą parku (Clapham Common, jak poinformował mnie Tony), ponurą płataninę zakazanych uliczek (Stockwell i Vauxhall), które ustąpiły miejsca dzielnicom biurowym – za nimi imponujący widok gmachu Parlamentu – kolejne skupiska biur, potem znów anonimowa czerwona cegła, niespodzianka w postaci widoku na Tower Bridge, potem tunel, a potem... Wapping.

Nowe, nijakie bloki mieszkalne, od czasu do czasu stary magazyn, dwa wysokie biurowce i rozłożysty, niski kompleks przemysłowy, ukryty za wysokimi, ceglanyymi murami i drutem kolczastym.

– Co to jest? – zapytałam. – Więzienie?

Tony roześmiał się.

– To moje miejsce pracy.

Jakieś pół kilometra za tym kompleksem kierowca zatrzymał się przed nowoczesnym, siedmiopiętrowym budynkiem. Wjechaliśmy windą na trzecie. Ściany korytarza wyklejone były anemiczną, kremową tapetą, podłoga przykryta neutralną, beżową wykładziną. Podeszliśmy pod oklejane, drewnopodobne drzwi. Kierowca wyłowił z kieszeni dwa klucze i wręczył nam po jednym.

– Czyń honory – powiedział Tony.

Otworzyłam drzwi i weszłam do małego jak pudełko, dwupokojowego mieszkania. Umeblowane było mniej więcej w stylu Holiday Inn; okno wychodziło na uliczkę od tyłu.

– No cóż – powiedziałam, ogarniając to wszystko wzrokiem. – To nas zmobilizuje, żeby szybko znaleźć dom.

Proces poszukiwania domu znacznie przyspieszyła moja dawna przyjaciółka z college'u, Margaret Campbell. Kiedy zadzwoniłam do niej przed wyjazdem z Kairu

i wyjaśniłam, że nie tylko zamierzam osiedlić się na stałe w Londynie, ale na dodatek właśnie wyszłam za mąż i jestem w ciąży, zapytała:

– Coś jeszcze?

– Nie, na szczęście.

– Wspaniale będzie mieć cię tutaj, i wierz mi, w końcu polubisz to miasto.

– To znaczy?

– Po prostu trzeba się trochę przyzwyczaić i tyle. Ale przyjdź do mnie na lunch, to powiem ci, co i jak. I mam nadzieję, że macie mnóstwo pieniędzy, bo przy Londynie Zurych to taniocha.

Oczywiście ona sama raczej nie żyła w biedzie – mieszkała z rodziną w dwupiętrowej kamienicy w South Kensington. Zadzwoiłam do niej rano, dzień po przyjeździe do Londynu, i zgodnie z obietnicą zaprosiła mnie do siebie na popołudnie. Wyglądała trochę poważniej, niż kiedy widziałam ją ostatni raz – nosiła teraz apaszki od Hermesa i wełniane kardi-gany. Zrezygnowała z wysokiego, kierowniczego stanowiska w Citibanku, by móc bawić się w postfeministyczną, siedzącą w domu matkę, i trafiła do Londynu, kiedy jej mąż prawnik został tu przeniesiony na dwuletnią delegację. Ale mimo tego ukłonu w stronę stylu „firmowej żony” wciąż miała tak samo cięty język i była tą samą dobrą przyjaciółką, którą pamięta-łam z college’u.

– Coś czuję, że to nie nasza liga – powiedziałam, rozglądając się po jej domu.

– Cóż, gdyby firma nie buliła sześćdziesięciu kawałków czynszu...

– Sześćdziesięciu tysięcy funtów? – spytałam zszokowana.

– No wiesz, to South Ken. W tym mieście nawet skromna kawalerka w skromnej dziel-nicy wyciągnie ci z kieszeni tysiąc funtów miesięcznie... kompletne szaleństwo. Ale taka jest cena za wstęp do klubu londyńczyków.

Dlatego naprawdę powinniście pomyśleć o kupnie domu.

Jako że jej dwójka dzieci przez cały dzień była w szkole – a ja zaczynałam pracę w „Post” dopiero od przyszłego miesiąca – Margaret postanowiła zabrać mnie na polowanie. Tony z radością pozwolił mi się tym zająć. Zdumiewająco dobrze zareagował na pomysł kupna kawałka dachu nad głową, zwłaszcza że koledzy z „Chronicie” wciąż mu powtarzali, że w Londynie nie wolno się wahać, jeśli chodzi o nieruchomości, bo się na tym straci.

Szybko się jednak przekonałam, że nawet za najskromniejszy szeregowiec na końcu li-nii metra cena była kosmiczna. Tony miał sto tysięcy funtów – swoją część ze sprzedaży domu rodziców w Amersham. Ja miałam równowartość kolejnych dwudziestu tysięcy, z różnych drobnych oszczędności, które udało mi się uciuć przez ostatnie dziesięć lat. A Margaret – przyjmując rolę doradcy – zaczęła obdzwaniać różne miejsca i uznała, że po-winniśmy się nastawić na dzielnicę zwaną Putney. Kiedy jechałyśmy na południe jej bmw,

zachwalała mi ją jak zawodowy agent.

– Wspaniałe zasoby mieszkaniowe, wszystkie udogodnienia potrzebne rodzinie, położenie nad samą rzeką, a District Line można dojechać prosto do Tower Bridge... czyli Tony miałby idealny dojazd do redakcji. Oczywiście w Putney też są miejsca, gdzie trzeba mieć dobrze ponad półtora, żeby w ogóle przestąpić próg...

– Półtora miliona? – zapytałam.

– To nie jest niezwykła cena w tym mieście.

– Jasne, w Kensington albo Chelsea. Ale Putney? Przecież to prawie przedmieście, zgadza się?

– Wewnętrzne przedmieście. Ale to zaledwie dziesięć, jedenaście kilometrów od Hyde Parku... a w tej cholerniej ośmiornicy to żadna odległość.

W każdym razie półtora miliona to cena wywoławcza za duży dom w West Putney. A miejsce, do którego cię wiozę, leży kawałek na południe od Lower Richmond Road. Śliczne, małe uliczki, schodzące prosto nad Tamizę.

Dom może jest trochę mały, ma zaledwie trzy pokoje, ale jest możliwość rozbudowania strychu...

– Od kiedy jesteś pośrednikiem? – zapytałam ze śmiechem.

– Od kiedy przeprowadziłam się do tego miasta. Mówię ci, Anglicy są małomówni i chłodni przy pierwszym poznaniu, ale jak już zaczną gadać o nieruchomościach, gęby im nie można zatkać. Szczególnie jeśli chodzi o ceny domów w Londynie. Wszyscy mają obsesję na tym punkcie.

– Dużo czasu potrzebowałaś, żeby się tu wpasować?

– Najgorsze jest to, że tak naprawdę nikt nie pasuje do Londynu. A najlepsze, że tak naprawdę nikt nie pasuje do Londynu. Rozwiąż tę zagadkę, a będziesz się tu w miarę dobrze czuć. Ale potrzeba też czasu, by zdać sobie sprawę z pewnego faktu: nawet jeśli tak jak ja naprawdę lubisz tu mieszkać, dobrze jest udawać odrobinę anglofobii.

– A to dlaczego?

– Bo Anglicy nie ufają nikomu, kto okazuje, że ich lubi.

Co dziwne, Margaret nie „używała” swojej anglofobii w rozmowie z dość oślizgłym agentem, który oprowadzał nas po domu na Sefton Street w Putney.

Ilekczo próbował bagatelizować jakiś defekt – jak wykładziny w kolorowe ciapki, ciasną łazienkę czy tapetę, która najwyraźniej ukrywała wielokrotnie łatanne ściany – zaczynała mówkę w stylu: „Chyba pan żartuje!”, z rozmysłem grając hałaśliwą Amerykankę, by go zdenerwować. I udało jej się.

– Naprawdę chce pan czterysta czterdzieści tysięcy za coś takiego?

Agent – w różowej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem, czarnym garniturze i secesyjnym krawacie – uśmiechnął się słabo.

– Cóż, Putney zawsze było bardzo cenione.

– No tak, ale... rany, to tylko trzy pokoje. I proszę spojrzeć, w jakim stanie jest ten dom.

– Przyznaję, że jest trochę podniszczony.

– Podniszczony? Raczej przedpotopowy! Pewnie ktoś tutaj umarł?

Agent znów zrobił niepewną minę.

– Dom sprzedaje wnuk poprzednich właścicieli.

– A nie mówiłam? – Margaret zwróciła się do mnie: – Niczego tu nie ruszyli od lat sześćdziesiątych. I założę się, że próbuje go pan sprzedać od...

Agent odwrócił oczy.

– No, niech się pan przyzna – powiedziała Margaret.

– Od kilku tygodni. I wiem, że sprzedający przyjmie ofertę.

– Założę się – odparła Margaret, po czym zapytała mnie szeptem: – I co myślisz?

– Za dużo roboty jak za tę cenę – odszepnęłam. – Nie ma pan czegoś w tym rodzaju, ale w trochę lepszym stanie? – zapytałam agenta.

– W tej chwili nie. Ale zachowamy pani numer.

W ciągu następnych dziesięciu dni usłyszałam to samo zdanie chyba kilkanaście razy. Polowanie na dom było dla mnie absolutną terra incognita, ale Margaret okazała się wytrawną przewodniczką. Każdego ranka, kiedy już odstawiła dzieci do szkoły, obwoziła nas po różnych dzielnicach. Miała nosa do wynajdywania obiecujących miejsc i do omijania tych, których lepiej było unikać. W ciągu pierwszego tygodnia obejrzałyśmy ze dwadzieścia domów – i byłyśmy zmorą każdego agenta, z jakim miałyśmy do czynienia. Same siebie nazywałyśmy „wrednymi Amerykankami” – zawsze byłyśmy uprzejme, ale zadawałyśmy o wiele za dużo pytań, wytykałyśmy otwarcie wszystkie wady, za każdym razem podważałyśmy cenę wywoławczą i (w przypadku Margaret) wiedziałyśmy o wiele więcej o skomplikowanej londyńskiej układance, niż spodziewano się tego po Janeskach. Konieczność znalezienia czegokolwiek, zanim zacznę pracę, zamieniła te poszukiwania w prawdziwy wyścig z czasem. Tak więc zaprzęłam do tego zadania swoje dziennikarskie umiejętności – to znaczy starałam się w jak najkrótszym czasie zdobyć jak najobszerniejszą (choć zupełnie powierzchowną) wiedzę na interesujący mnie temat. Kiedy Margaret po południu siedziała w domu z dziećmi, ja jechałam metrem, by obejrzeć sobie jakąś dzielnicę. Badałam bliskość szpitali, szkół, parków – wszystkich tych „niezbędników młodej matki” (jak ironicznie na-

zywała je Margaret), które teraz musiałam brać pod uwagę.

– To nie jest najprzyjemniejszy sposób spędzania czasu – powiedziałam do Sandy w rozmowie telefonicznej kilka dni po rozpoczęciu polowania na dom. – Szczególnie że to miasto jest tak cholernie wielkie. Tu nie funkcjonuje pojęcie „przejść się po mieście”. Tutaj każde wyjście jest ekspedycją, a ja zapomniałam spakować swój korkowy hełm.

– W korkowym hełmie wyróżniałabyś się z tłumu.

– Nie sądzę. To jest tak ogromny tygiel, że nikt się tu nie wyróżnia z tłumu. W przeciwieństwie do Bostonu...

– O, odezwała się pani z wielkiego miasta. Założę się, że Boston jest bardziej przyjazny.

– Oczywiście. Bo jest mały. A Londyn nie musi być przyjazny...

– Bo jest tak cholernie wielki?

– Tak. I dlatego, że to Londyn.

To była chyba najbardziej intrygująca cecha Londynu – jego rezerwa.

Może miało to coś wspólnego z powściągliwym temperamentem jego rodowitych mieszkańców. A może chodziło o to, że miasto było tak ogromne, tak heterogeniczne, tak pełne sprzeczności. Jakikolwiek był powód, przez pierwszych kilka tygodni przyłapywałam się na myśli: to miasto jest jak jedna z tych potężnych, wiktoriańskich powieści, w których bez przerwy miesza się życie sfer wyższych i egzystencja biedoty i w której narracja jest tak rozwlekła, że człowiek nigdy tak naprawdę nie ogarnia fabuły do końca.

– To chyba niezłe porównanie – przyznała Margaret, kiedy kilka dni później wyłuszczyłam jej tę teorię. – Nikt tu nie jest naprawdę ważny. Bo Londyn potrafi przytłoczyć nawet największe ego. Sprowadza wszystkich do właściwych wymiarów. Tym bardziej, że Anglicy gardzą zarozumiałością.

To była kolejna dziwna sprzeczność – łatwo było pomylić angielski brak pewności siebie z arogancją. Za każdym razem, kiedy otwierałam gazetę – i czytałam kolejną sensacyjną relację o jakiejś lokalnej znanej osobistości, wpłątanej w skandal z udziałem narkotyków czy lolitek – stawało się dla mnie jasne, że to społeczeństwo depcze bez litości każdego, kto zgrzeszył zbyt dużym zadufaniem w sobie. A jednocześnie wielu agentów, z którymi miałam do czynienia, zachowywało się z pompatyczną wyniosłością, która miała zamaskować ich pochodzenie ze średniej klasy... szczególnie kiedy nie akceptowało się absurdalnych cen, jakich żądali za najpodlejsze nory.

– Takie są wymagania rynku, madame – brzmiała zwykle protekcyjna odpowiedź, przy czym słowo madame wypowiedziane było z pewną wyniosłą emfazą, abym wyraźnie poczuła pełen pogardy szacunek.

– „Pełen pogardy szacunek”. – Margaret powtórzyła na głos moje słowa, kiedy jechałyśmy na południe. – Podoba mi się, choć to kompletny oksymoron. Ale przyznam, że dopóki

nie zamieszkałam w Londynie, nigdy nie wpadłabym na pomysł, że za jednym, pozornie niewinnym zdaniem mogą się kryć dwa przeciwstawne uczucia. Anglicy mają prawdziwy talent, jeśli chodzi o nadawanie słowom przeciwnego zna...

Nie dokończyła, bo biały samochód dostawczy wyskoczył znikąd i o mało nie zepchnął nas z drogi. Furgonetka zahamowała z piskiem. Kierowca – mężczyzna po dwudziestce, z krótko ściętymi włosami i krzywymi zębami – ruszył na nas jak burza. Agresja aż od niego buchała.

– Co ty se wyobrażasz, do kurwy nędzy? – rzucił.

Margaret w najmniejszym stopniu nie wzruszyła ani jego wojowniczość, ani fatalna gramatyka.

– Proszę się do mnie nie odzywać w ten sposób – powiedziała chłodno, absolutnie opanowana.

– Będę gadał jak chcę, gupia pipo.

– Dupek – odwarknęła i włączyła się z powrotem do ruchu, zostawiając faceta na jezdni, wygrażającego pięścią.

– Urocze – powiedziałam.

– Oto przedstawiciel podrzędnego gatunku, tak zwany Kierowca Białej Furgonetki – odparła. – Rodowity mieszkaniec Londynu, wiecznie rwący się do bitki. Szczególnie jeśli jedziesz przyzwoitym samochodem.

– Twoja zimna krew była imponująca.

– Oto kolejna rada na temat życia w tym mieście. Nigdy nie próbuj się dopasować i nigdy nie próbuj się kajać.

– Zapamiętam to sobie – obiecałam. – Ale nie wydaje mi się, żeby słowa tego palanta miały podwójne znaczenie.

Przejechaliśmy przez Putney Bridge i skręciłyśmy w Lower Richmond Road, ponownie kierując się na Sefton Street – pierwotny port przeznaczenia w naszym mieszkaniowym maratonie. Dostałam telefon od agenta, który pokazywał nam pierwszy dom, i teraz poinformował mnie, że właśnie została wystawiona na sprzedaż kolejna, podobna nieruchomość.

– Nie jest w najlepszym stanie, jeśli chodzi o wystrój – przyznał przez telefon.

– Chce pan powiedzieć, że jest „podniszczony”?

Mężczyzna odchrząknął.

– Odrobinę podniszczony, owszem. Ale przeszedł dość poważną modernizację. I choć cena wywoławcza wynosi czterysta trzydzieści pięć tysięcy, jestem pewien, że właściciele

przyjmą ofertę.

Rzeczywiście, mówił prawdę na temat marnego wykończenia wnętrza. I owszem, dom, ze swoimi dwoma salonikami na parterze, przypominał raczej wiejską chatę. Ale kuchnię powiększono, dostawiając z tyłu przybudówkę – i choć wszystkie szafki i urządzenia były przestarzałe, byłam pewna, że gotowa zabudowa z jakiegoś sklepu w stylu IKEA da się tu zainstalować stosunkowo niewielkim kosztem. Dwie sypialnie na górze wyklejone były tapetą przywodzącą na myśl dom pogrzebowy, podłogi przykrywała równie makabryczna, różowa wykładzina. Ale agent zapewnił mnie, że pod poliestrowym okropieństwem są przyzwoite deski (co tydzień później potwierdził rzeczoznawca), a tapetę w korytarzach można zderzeć i odnowić ściany. W łazience była krzykliwa, łososiowa armatura, ale przynajmniej centralne ogrzewanie okazało się zupełnie nowe. Tak samo instalacja elektryczna. Na strychu zostało też sporo miejsca na gabinet. Wiedziałam, że kiedy już usunie się te wszystkie koszmarki, pokoje będą jasne i przestronne. Po raz pierwszy w moim włóczęgowskim życiu przyłapałam się na zaskakującej myśli: z tego naprawdę można zrobić dom.

Ani Margaret, ani ja nie mówiłyśmy nic, obchodząc pomieszczenia. Ale kiedy znalazłyśmy się na zewnątrz, Margaret odwróciła się do mnie i spytała:

– No i?

– Na pierwszy rzut oka wygląda kiepsko – odparłam. – Ale potencjał jest fantastyczny.

– To samo sobie pomyślałam. A skoro życzą sobie czterysta trzydzieści pięć...

– Ja proponuję trzysta osiemdziesiąt pięć... jeśli Tony się zgodzi.

Wieczorem, przez większą część półgodzinnej, telefonicznej pogaduszki z Sandy, rozwodziłam się ckliwie na temat możliwości domku i zalet ładnej okolicy – szczególnie ścieżki holowniczej nad Tamizą, od której dom dzieliła zaledwie długość uliczki.

– Dobry Boże – powiedziała Sandy. – Wygląda na to, że wreszcie jesteś „udomowiona”.

– Bardzo śmieszne – mruknęłam. – Ale po tych wszystkich koszmarnych norach, które oglądałam, cieszę się, że znalazłam coś, co może nadawać się do mieszkania.

– Szczególnie że zamierzasz się zamienić w Amerykańską Panią Domu, sądząc po tych wszystkich planach, o których mi opowiadasz.

– Ciebie to naprawdę bawi, co?

– Żebyś wiedziała. Nigdy się nie spodziewałam, że będziesz rozprawiać jak stała czytelniczka „Better Homes and Gardens”.

– Sama siebie zaskakuję. Nigdy nie myślałam, że będę czytać doktora Spocka jakby to było Pismo Święte.

– Doszłaś już do tego rozdziału, gdzie opisuje, jak uciec z kraju z powodu kolki?

– Tak, kawałek o fałszywych paszportach jest genialny.

– Poczekaj, aż zaliczysz pierwszą zarwaną noc...

– Chyba się już rozłączę.

– Gratuluję domu.

– Nie jest jeszcze nasz. Tony musi go obejrzeć.

– Sprzedasz mu go.

– A żebyś wiedziała, że sprzedam. Bo za parę tygodni zaczynam pracę i nie mogę sobie pozwolić na przeciąganie tego w nieskończoność.

Ale Tony był tak zajęty w „Chronicie”, że dopiero pięć dni później znalazł czas, by wpaść na Sefton Street. Było sobotnie przedpołudnie. Na miejsce dojechaliśmy metrem, przeszliśmy przez Putney Bridge i skręciliśmy w prawo, na Lower Richmond Road. Ale zamiast iść dalej ruchliwą ulicą, poprowadziłam go na ścieżkę holowniczą. Ruszyliśmy wzdłuż Tamizy, płynącej krętym korytem na wschód. Było to pierwsze spojrzenie Tony’ego na okolicę za dnia i widziałam, że z miejsca spodobała mu się rzeczna promenada, którą mielibyśmy niemal przed domem. Pokierowałam go na zieloną, malowniczą połąć Putney Common, leżącego tuż za „naszą” ulicą. Tony pochwalił nawet eleganckie sklepy i winiarnie przy Lower Richmond Road.

Ale kiedy skręciliśmy w Sefton Street, zauważyłam, że od razu rzuciły mu się w oczy te wszystkie jeepy i land-rovery, zaparkowane przed domami, wskazujące, że dzielnica została odkryta i zaludniona przez wykształconą klasę średnią... ludzi, według których taki uroczy, mały domek idealnie nadawał się do założenia rodziny, a potem można go było zamienić (jak poinformowała mnie Margaret) na bardziej pojemną rezydencję, gdy pojawiało się drugie dziecko i lepsza praca.

Kiedy tak zwiedzaliśmy okolicę, mijając niekończącą się procesję wózków i volvo kombi z fotelikami na tylnym siedzeniu, zaczęliśmy rzucać sobie spojrzenia pełne rozbawionego niedowierzania... jakbyśmy chcieli sobie powiedzieć: „Jak myśmy się, do licha, wplątali w coś takiego?”

– To jakaś przeklęta Pieluszkowa Dolina – powiedział w końcu Tony, śmiejąc się sarkastycznie. – Same młode rodziny. Kiedy się tu wprowadzimy, będziemy wyglądać jak para starszków.

– Mów za siebie – odparłam, trącając go łokciem.

Kiedy pod domem spotkaliśmy się z agentem i zaczęliśmy zwiedzać pokoje, starałam się odgadnąć reakcję Tony’ego.

– Wygląda dokładnie jak dom, w którym się wychowałem – stwierdził w końcu. – Ale na to możemy chyba coś poradzić – dodał.

Zaczęłam swój monolog z magazynu o urządzeniu wewnątrz, barwnie odmalowując wspinały potencjał domu, kiedy już wyrzuci się z niego całą tę powojenną tandetę.

Przekonał go strych. Szczególnie kiedy powiedziałam, że prawdopodobnie mogłabym zlikwidować niewielki fundusz powierniczy, który miałam w Stanach, i zdobyć w ten sposób siedem tysięcy funtów na urządzenie gabinetu, o którym tak marzył. Chciał zacząć pisać książki, które – miał taką nadzieję – pozwoliłyby mu wyrwać się z gazety podcinającej mu skrzydła.

A przynajmniej wyczuwałam, że właśnie o tym myśli po pierwszych dwóch tygodniach spędzonych w Londynie. Może chodziło o szok, jaki spowodowało przejście do biura po niemal dwudziestu latach w terenie. Może o odkrycie, że życie w redakcji w Wapping to ogromne pole minowe. A może o niechętnie przyznanie, że praca redaktora naczelnego działu zagranicznego polega przede wszystkim na biurokracji na najwyższym szczeblu. Jakikolwiek był powód, wyczuwałam wyraźnie, że Tony wcale się nie przystosowuje do tego nowego, biurowego życia. Ilekroć poruszałam ten temat, upierał się, że wszystko jest w porządku... że po prostu ma mnóstwo spraw na głowie i próbuje jakoś utrzymać się na nogach w tak zmienionych warunkach. Albo żartował na temat naszej nowej, „domowej” sytuacji. Jak wtedy, kiedy po obejrzeniu domu zaszliśmy do winiarni i Tony powiedział:

– Wiesz co, jeśli ta cała impreza okaże się zbyt ciężka do udźwignięcia finansowo albo po prostu poczujemy się osaczeni przez comiesięczne spłaty, to do diabła z tym. Sprzedamy wszystko w cholere i znajdziemy sobie pracę w jakimś tanim, wesołym miejscu, na przykład w „Kathmandu Chronicie”.

– Święta racja – odparłam ze śmiechem.

Tego wieczoru wreszcie miałam okazję pochwalić się mężem przed moją jedyną londyńską przyjaciółką – Margaret zaprosiła nas na kolację. Zaczęło się dobrze – pogawędkami o naszym przyszłym domu, o tym, jak nam się żyje w Londynie. Z początku Tony był czarujący – choć wlewał w siebie spore ilości wina z rozmysłem i pasją, jakiej nigdy przedtem u niego nie widziałam. Ale choć niepokoił mnie trochę ten pijaki popis, na razie wino nie upośledzało jego dowcipu, szczególnie kiedy przyszła pora na opowiadki o wojennych doświadczeniach z najróżniejszych zapadłych dziur Trzeciego Świata. Bawił też wszystkich ciętymi, złośliwymi komentarzami na temat Anglii i Anglików. Margaret była nim zachwycona – ale potem rozmowa zeszała na politykę i nagle, łubudu, wygłosił płomienną, antyameerykańską mowę, która zepchnęła męża Margaret, Alexandra, na pozycje obronne.

Ostatecznie zraził do siebie wszystkich. W drodze do domu powiedział:

– Moim zdaniem poszło okropnie dobrze, nie sądzisz?

– Dlaczego to zrobiłeś, do cholery? – zapytałam.

Cisza. Potem jedno z jego leniwych wzruszeń ramionami. A potem jeszcze dwadzieścia minut ciszy, przez resztę jazdy taksówką do Wapping. A potem znów cisza, kiedy przygotowaliśmy się do snu. A potem, następnego ranka, śniadanie przyniesione przez Tony’ego do łóżka i całus w czoło.

– Naskrobałem liścik z podziękowaniem dla Margaret – powiedział. – Zostawiłem go na stole w kuchni... wyślij go, jeśli ci się spodoba... OK?

I wyszedł do biura.

List napisany był nieczytelnymi hieroglifami, ale po chwili udało mi się złamać szyfr.

Droga Margaret, wspaniale było Cię poznać. Świetnie jedzenie. Świetna rozmowa. I przekaz, proszę, swojemu mężowi, że nasze małe polityczne starcie sprawiło mi ogromną przyjemność. Mam nadzieję, że nie rozpałem się za bardzo.

Przyznaję się, przesadziłem z winem. Ale czymże byłoby życie bez gorącej dyskusji?

Mam nadzieję wkrótce zrewanżować się za Waszą gościnność.

Tony Oczywiście wysłałam list. I oczywiście Margaret zadzwoniła do mnie następnego ranka, jak tylko go dostała.

– Mogę mówić szczerze? – zapytała.

– Wal.

– No więc moim zdaniem ten list nadaje nowe znaczenie określeniu „czarujący drań”. Ale chyba nie powinnam tego mówić.

Nie przejęłam się tym. Bo Margaret po prostu nazwała po imieniu jedną z ujawniających się cech mojego męża – Tony miał drugą, antypatyczną twarz... którą przeważnie skrzętnie ukrywał, ale pojawiała się nagle, niespodziewanie, by znów zniknąć bez śladu. Mógł to być cięty, gniewny komentarz na temat jakiegoś kolegi z gazety albo długie, pełne rozdrażnienia milczenie, kiedy rozpędzałam się za bardzo, opowiadając o poszukiwaniach domu. A po kilku minutach znów zachowywał się jak gdyby nigdy nic.

– No, każdy czasem miewa humory? – stwierdziła Sandy, kiedy opowiedziałam jej o niemiłych zachowaniach mojego męża. – A kiedy pomyślisz o tych wszystkich zmianach, z którymi musicie się borykać...

– Masz rację – przyznałam.

– Bo przecież nie odkryłaś chyba, że ma rozdwojenie jaźni.

– Raczej nie.

– I nie kłóćcie się przez cały czas.

– Rzadko kiedy się kłócimy.

– I nie ma długich kłów ani nie sypia w trumnie?

– Nie... ale na wszelki wypadek trzymam pod łóżkiem ząbek czosnku i krucyfiks.

– Dobry małżeński zwyczaj. Ale z mojego punktu widzenia nie radzicie sobie najgorzej jak na pierwsze dwa miesiące małżeństwa... zwykle człowiek jest wtedy przekonany, że popełnił największy błąd w życiu.

Ja z pewnością tak nie myślałam. Wolałabym tylko, żeby Tony trochę bardziej otwarcie wyrażał, co naprawdę czuje.

Ale nagle zabrakło mi czasu, by zastanawiać się nad swoimi odczuciami na temat naszego nowego, wspólnego życia. Bo dwa dni po kolacji u Margaret nasza oferta kupna domu została przyjęta. Po wpłaceniu wadium to ja zorganizowałam oględziny rzeczoznawcy i kredyt hipoteczny, znalazłam firmę, która miała się zająć strychem i renowacją domu, wybierałam materiały i kolory, spędzałam całe godziny w IKEA i Habitat&Heals i targowałam się z hydraulikami i malarzami. A na dodatek musiałam sobie radzić z moją rozwijającą się ciążą – która od czasu, kiedy minęły poranne mdłości, okazała się o wiele mniej uciążliwa, niż się spodziewałam.

I znów Margaret okazała się bezkonkurencyjna, kiedy trzeba było odpowiadać na moje nieustanne pytania na temat błogosławionego stanu. Wytłumaczyła mi też szczegółowo, jak należy szukać niani, kiedy skończy mi się urlop macierzyński i wrócę do pracy. Poza tym wyjaśniła mi, jak działa państwowa służba zdrowia i jak mam się zapisać do mojego lekarza domowego w Putney. Okazało się, że należę do przychodni lekarskiej, gdzie recepcjonistka dała mi do wypełnienia plik formularzy, po czym poinformowała mnie, że zostałam zapisana do niejkiej doktor Sheili McCoy.

– To znaczy, że nie mogę sobie wybrać lekarza? – zapytałam.

– Oczywiście że pani może. Każdego lekarza w przychodni, którego pani chce. Więc jeśli nie chce pani chodzić do doktor McCoy...

– Tego nie powiedziałam. Po prostu nie wiem, czy jest dla mnie odpowiednia.

– A skąd ma pani wiedzieć, skoro jej pani nie widziała? – zapytała recepcjonistka.

Trudno się było nie zgodzić z taką logiką, ale, jak się okazało, doktor McCoy – miła, konkretna Irlandka po czterdziestce – spodobała mi się.

Przyjęła mnie kilka dni później, zadała mnóstwo szczegółowych, rzeczowych pytań i poinformowała, że zostanie mi „przydzielony” położnik... i jeśli nie mam nic przeciwko temu, żeby jeździć na drugą stronę rzeki, do Fulham, odda mnie pod opiekę niejkiego pana Hughesa.

– Bardzo doświadczony, bardzo szanowany, urzęduje na Harley Street i w ramach kontraktu praktykuje w Mattingly... pewnie się pani spodoba, bo to jeden z najnowszych szpitali w Londynie.

Margaret roześmiała się, kiedy powtórzyłam jej tę ostatnią uwagę.

– No cóż, nie chciała przerazić ciebie i twojej potrzeby nowoczesności, wysyłając cię do któregoś z tych ponurych, wiktoriańskich szpitali, jakich pełno w tym mieście.

– Ale dlaczego uważa, że potrzebuję nowoczesności?

– Bo jesteś Jankeską. A my lubimy wszystko co nowe i błyszczące. Przynajmniej taka tutaj panuje powszechna opinia. Ale jeśli chodzi o szpitale, to niech sobie będą tak nowe i błyszczące, jak się tylko da.

– Nie jestem też zachwycona, że zostanie mi „przydzielony” położnik.

Myślisz, że ten cały Hughes to jakiś podrzędny doktorzyna?

– Twoja lekarka powiedziała ci przecież, że urzęduje na Harley Street...

– To brzmi, jakby w ogóle nie był lekarzem.

– Wiem, co masz na myśli. Kiedy pierwszy raz usłyszałam, że na przychodnię mówią tu ambulatorium...

– Wyobraziłaś sobie połowy szpitalik na kółkach?

– Cóż mogę powiedzieć? Jestem nową, błyszczącą Amerykanką. Ale Harley Street to miejsce, gdzie przyjmują najlepsi specjaliści w mieście. I wszyscy oni mają kontrakty z państwową służbą zdrowia, więc prawdopodobnie trafiłaś w ręce bardzo dobrego położnika. A że będziesz rodzić dziecko w państwowym szpitalu, to tym lepiej. Lekarze są ci sami, a opieka chyba nawet lepsza... szczególnie jeśli coś pójdzie nie tak. Tylko postaraj się o własne jedzenie.

Pan Desmond Hughes z całą pewnością nie był nowy i błyszczący. Kiedy tydzień później poszłam do jego gabinetu w szpitalu Mattingly, uderzyły mnie jego patykowata postać, haczykowaty nos, szorstkie, rzeczowe zachowanie i fakt, że nikt nie mówił do niego „panie doktorze” (jak dowiedziałam się później, w tym kraju do wszystkich chirurgów mówiło się „proszę pana”, jako że w dawnych, mniej zaawansowanych medycznie czasach nie uważano ich za lekarzy, a raczej za wyspecjalizowanych rzeźników). Hughes był też chodzącą reklamą słynnych brytyjskich krawców: nosił idealnie skrojony garnitur w białe prążki, jasnoniebieską koszulę z imponującymi, wywiniętymi mankietami i czarny krawat w groszki. Nasze pierwsze spotkanie było bardzo krótkie. Zlecił mi USG, poprosił o badania krwi, obmacał brzuch i stwierdził, że według niego wszystko „idzie zgodnie z planem”.

Byłam trochę zaskoczona, że nie zadał mi żadnych konkretnych pytań o mój stan fizyczny (z wyjątkiem ogólnego: „Wszystko w porządku?”), więc pod koniec tej ekspresowej wizyty poruszyłam ten temat. Oczywiście bardzo grzecznie.

– Nie pyta mnie pan o poranne mdłości?

– A dokuczają pani?

– Już nie...

Spojrzał na mnie zdziwiony.

- A zatem nie chodzi o poranne mdłości?
- Ale czy powinnam się martwić, jeśli od czasu do czasu robi mi się niedobrze?
- Od czasu do czasu, to znaczy...?
- Dwa, trzy razy w tygodniu.
- Ale nie wymiotuje pani?
- Nie... tylko lekkie mdłości.
- W takim razie ująłbym to w ten sposób, że okresowo odczuwa pani mdłości.
- I nic poza tym?

Poklepał mnie po ręce.

– To nic groźnego. Pani organizm przechodzi teraz niemałe zmiany. Czy coś jeszcze panią niepokoi?

Pokręciłam głową, czując się łagodnie (choć stanowczo) skarcona.

– No dobrze – powiedział, zamykając moją kartę i wstając. – Zobaczymy się znów za kilka tygodni. A... ehm... pani pracuje, tak?

– Zgadza się. Jestem dziennikarką.

– To miło. Ale wygląda pani trochę mizernie, więc proszę nie przesadzać, dobrze?

Tony roześmiał się, kiedy wieczorem powtórzyłam mu całą rozmowę.

– Właśnie poznałaś dwie podstawowe prawdy na temat specjalistów z Harley Street: nie cierpią pytań i zawsze traktują cię protekcjonalnie.

Mimo to Hughes uczynił jedno słuszne spostrzeżenie: byłam zmęczona.

I to nie tylko z powodu ciąży, ale i najróżniejszych stresów, związanych z poszukiwaniem domu, organizowaniem prac wykończeniowych i z koniecznością odnalezienia się w tym mieście. Pierwsze cztery tygodnie przemknęły nie wiadomo kiedy, jak rozmazany krajobraz za oknem pędzącego pociągu. A potem mój pierwszy miesiąc w Londynie dobiegł końca... i musiałam znów zacząć pracę.

Biuro „Boston Post” było jednym pokojem w budynku Reutersa na Fleet Street. Mój współpracownik miał dwadzieścia sześć lat i nazywał się Andrew DeJarnette Hamilton. Podpisywał swoje artykuły A.D. Hamilton i był facetem w typie podstarzałego studencika. W każdą rozmowę potrafił jakimś cudem wpleść fakt, że skończył Harvard i dawał wszystkim wyraźnie do zrozumienia, że uważa naszą gazetę zaledwie za etap przejściowy w swojej triumfalnej wspinaczce do „New York Timesa” albo „Washington Post”.

Co gorsza, był jednym z tych zagorzałych anglofilów, którzy pozwalają, by ich samogłoski stały się odrobinę zbyt rozwlekłe i zaczynają się ubierać w różowe koszule z Jermyn Street. Przy tym wszystkim był też zarozumiałym snobem ze Wschodniego Wybrzeża, który z taką samą pogardą wyrażał się o moim odrażającym, rodzinnym mieście Worcester, jak ten przygłup Wilson o przedmieściu, gdzie urodził się Tony. Skoro jednak A.D.

Hamilton i ja musieliśmy tkwić razem w małym biurze, postanowiłam po prostu go ignorować – choć wymagało to nie lada wysiłku. Zgodziliśmy się, że ja zajmę się większością kwestii społeczno-politycznych, a on skoncentruje się na tematach dotyczących kultury, stylu życia i sylwetek znanych osób, które uda mu się wcisnąć naczelnemu w Bostonie. To pozwoliło mi regularnie wychodzić z redakcji – i zająć się czasochłonnym i żmudnym zadaniem wyrabiania sobie kontaktów w Westminsterze. Jednocześnie usiłowałam rozpracować bizantyjską strukturę społeczną Brytyjczyków. Pewien problem stanowiła bariera językowa, gdyż nieodpowiedni dobór słów mógł doprowadzić do błędnej interpretacji wypowiedzi. Ponieważ, jak lubił podkreślać Tony, każda rozmowa czy kontakt między ludźmi w Anglii miały drugie dno, wynikające ze skomplikowanych zależności klasowych.

Napisałam nawet dla gazety krótki, umiarkowanie dowcipny kawałek pod tytułem Kiedy lady nie jest damą – w którym wyjaśniłam, jak wieloznaczny jest język na tej wyspie. A.D. Hamilton dostał białej gorączki, kiedy przeczytał artykuł, i oskarżył mnie, że naruszyłam jego terytorium.

– Ja jestem w tym biurze gościem od kultury – stwierdził.

– To prawda, ale mój artykuł mówi o niuansach struktury klasowej, więc jest polityczny. A ponieważ ja jestem w tym biurze facetką od polityki...

– Na przyszłość konsultuj się ze mną, zanim napiszesz coś takiego.

– Nie jesteś tu szefem, kolego.

– Ale mam dłuższy staż.

– Daj spokój. Mam w tej gazecie o wiele dłuższy staż niż ty.

– A ja siedzę w tym biurze od dwóch lat, co znaczy, że tu, w Londynie, ja jestem wyższy rangą.

– Przepraszam, ale nie gadam z dzieciakami.

Od tej wymiany zdań A.D. Hamilton i ja schodziliśmy sobie z drogi. Nie było to tak trudne, jak sobie wyobrażałam, bo musieliśmy z Tonym zwolnić firmowe mieszkanie w Wapping i przeprowadzić się na Sefton Street. Postanowiłam wysyłać większość artykułów z domu, używając zaawansowanej ciąży jako pretekstu, by móc pracować w Putney. Co nie znaczy, że chez nous było idealnym miejscem do pisania, jako że całe wnętrze domu wyglądało jak plac budowy. Wykładziny zostały zerwane, a podłogi częściowo wycyklinowane, ale trzeba je było jeszcze zabejcować i polakierować. W salonie malarze szpachlowali ściany. W kuchni zostało już zainstalowane nowe wyposażenie i szafki, ale na podłodze wciąż był tylko zimny cement. Salon wyglądał jak po trzęsieniu ziemi. Podobnie strych-jego prze-

róbka odsunęła się w czasie, gdyż szef ekipy musiał pojechać do Belfastu, do umierającej matki. Całe szczęście, że dekoratorzy uznali pokój dziecienny za priorytet i wykończyli go już w dwa tygodnie po naszej przeprowadzce. A dzięki Margaret i Sandy wiedziałam, jakie kupić łóżeczko, nosidełko, nie wspominając o całej reszcie dziecięcej wyprawki. Sosnowe, szczebelkowe łóżeczko ładnie się komponowało z różową tapetą w gwiazdki – była też deska do przewijania i kojec do zabawy, wszystko na miejscu, gotowe do użytku. Ale nasz pokój gościnny, niemal po sufit zastawiony pudłami, nie został już obdarzony takimi względami. Podobnie jak łazienka przy naszej sypialni, w której brakowało kilku istotnych drobiazgów, takich jak kafelki na ścianach i podłodze. I choć sama sypialnia była już odmalowana, wciąż czekaliśmy na instalację szaf, co oznaczało, że pokój zawałały stojaki na ubrania.

Innymi słowy, z powodu opóźnień ekipy budowlanej w domu panował kompletny chaos – i być może była to jedna z przyczyn, dla których nieczęsto widywałam ostatnio Tony'ego. Oczywiście był nieprawdopodobnie zajęty – przez większość wieczorów jakoś nie udawało mu się oddać stron do składu przed ósmą – a w tej wczesnej fazie pracy musiał też do późna naradzać się z załogą albo wisieć na telefonach, rozmawiając z korespondentami na całym świecie. I choć akceptowałam jego zaangażowanie w pracę, trochę mnie drażniło, że unika wszelkiej odpowiedzialności, kiedy trzeba było się użerać z budowlańcami i dekoratorami.

– Wy, Amerykanie, o wiele lepiej potraficie terroryzować ludzi – stwierdził.

Ten komentarz nie wydał mi się specjalnie zabawny, ale postanowiłam go zignorować. Powiedziałam:

– Powinniśmy się umówić z twoimi przyjaciółmi.

– Chyba nie chcesz zaprosić ich tutaj? – zapytał Tony, obrzucając wzrokiem naszą na wpół wykończoną kuchnię.

– Nie jestem aż taka głupia, skarbie.

– Wcale tego nie sugeruję – rzucił lekko.

– Nie proponowałam, żeby zapraszać ich do tego rumowiska. Ale miło byłoby się spotkać z tymi ludźmi, których poznałam, kiedy wpadliśmy tu z Kairu.

Tony wzruszył ramionami.

– Jasne, jeśli chcesz.

– Twój entuzjazm jest spektakularny.

– Słuchaj, jeśli masz ochotę do nich zadzwonić, to oczywiście zadzwoń.

– A nie byłoby lepiej, gdyby zaproszenie wyszło od ciebie?

– Jakie zaproszenie?

– Żeby gdzieś wyjść, coś porobić. Mieszkamy w końcu w stolicy kulturalnej świata,

prawda? Najlepszy teatr na świecie. Najlepsza muzyka klasyczna. Świetna sztuka. A my oboje jesteśmy tak zakopani w pracy i w tym cholernym domu, że nie mieliśmy okazji niczego zobaczyć...

– Naprawdę chcesz iść do teatru? – zapytał takim tonem, jakbym właśnie zaproponowała mu wstąpienie do jakiejś sekty.

– Owszem, chcę.

– Prawdę mówiąc, to nie bardzo w moim guście.

– W takim razie może w guście Kate i Rogera? – zapytałam, mając na myśli parę, która zaprosiła nas na kolację, kiedy pierwszy raz byliśmy razem w Londynie.

– Możesz ich zapytać – odparł. W jego tonie wyczułam cień rozdrażnienia; rozdrażnienia, które zaczęło się pojawiać regularnie, kiedy mówiłam coś... hm, coś, co go chyba drażniło.

Ale i tak następnego dnia zadzwoniłam do Kate Medford. Połączyłam się z jej pocztą głosową i zostawiłam wiadomość, że Tony i ja urządziliśmy się już w Londynie, że stałam się prawdziwą fanką jej radiowego programu na czwórcę, i że oboje bardzo chcielibyśmy się z nimi spotkać. Potrzebowała aż czterech dni, żeby do mnie oddzwonić. Ale kiedy to zrobiła, była przemiła – choć bardzo jej się spieszyło.

– Cudownie, że się odezwałaś – powiedziała. Trzaski w słuchawce sugerowały, że używa komórki. – Słyszałam, że przeprowadziliście się z Tonym do Londynu.

– To może słyszałaś też, że za trzy miesiące z okładem spodziewamy się dziecka.

– Owszem, tam-tamy już rozgłosiły tę nowinę. Gratulacje dla obojga.

Strasznie się cieszę.

– Dzięki.

– Mam nadzieję, że Tony w końcu przyzwyczai się do życia w Wapping.

Zatkało mnie.

– Rozmawiałaś z Tonym?

– Jedliśmy razem lunch w zeszłym tygodniu. Nie mówił ci?

– Ostatnio mam głowę zajętą czym innym – skłamałam. – No wiesz, praca, ciąża, urządzenie domu...

– A właśnie, dom. Podobno w Putney.

– Zgadza się.

– Tony Hobbs w Putney. Kto by pomyślał.

– A jak tam Roger? – zapytałam, zmieniając temat.

– Straszliwie zajęty, jak zwykle. A ty? Zadomowiłaś się już?

– Zaczynam. Ale słuchaj... nasz dom jest w takim stanie, że nie nadaje się nawet do mieszkania, a co dopiero do zapraszania gości...

Kate roześmiała się. Brnęłam dalej.

– Może moglibyśmy się spotkać któregoś wieczoru i na przykład pójść do teatru...

– Do teatru? – powtórzyła, obracając słowo „teatr” na języku. – Już nie pamiętam, kiedy ostatnio byliśmy w teatrze...

– To tylko propozycja – odparłam, wściekła na siebie za swoje zażenowanie.

– I to urocza. Tylko że oboje jesteśmy teraz tacy zajęci... Ale byłoby cudownie się z wami spotkać. Może zjemy razem lunch w którąś niedzielę.

– Byłoby świetnie.

– No dobrze, porozmawiam z Rogerem i oddzwonię. Teraz muszę już kończyć. Bardzo się cieszę, że Londyn wam służy. Cześć.

I na tym skończyła się rozmowa.

Kiedy Tony dotarł wreszcie tego wieczoru do domu – grubo po dziesiątej – powiedziałam:

– Nie wiedziałam, że jadłeś w zeszłym tygodniu lunch z Kate Medford.

Nalał sobie wódki.

– Tak, jadłem w zeszłym tygodniu lunch z Kate.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś?

– A mam ci mówić o takich rzeczach? – zapytał spokojnie.

– Chodzi tylko o to, że... wiedziałeś, że mam zamiar zadzwonić do niej i zaproponować jakieś wyjście we czwórkę...

– No i?

– Kiedy o tym wspomniałam parę dni temu, zachowywałeś się, jakbyś nie rozmawiał z nią, odkąd przeprowadziliśmy się do Londynu.

– Tak? – zapytał, nie zmieniając tonu. I po króciutkiej pauzie dodał: – I jak Kate zarea-

gowała na twój pomysł wieczoru w teatrze?

– Zapropowała lunch w którąś niedzielę – odparłam spokojnie, z uśmiechem przyklejonym do twarzy.

– Naprawdę? To miło.

Kilka dni później poszłam do teatru... z Margaret. Obejrzałyśmy bardzo dobrze zagrana, bardzo dobrze wyreżyserowaną i bardzo długą wersję Rosmersholmu Ibsena w National Theatre. Było to wieczorne przedstawienie – po dniu, który zaczął się dla mnie przyjsciem malarzy o ósmej rano, a skończył wysłaniem dwóch artykułów. Ledwie zdążyłam przeprawić się przez rzekę, tuż przed podniesieniem kurtyny. Sztuka dostała bardzo pochlebne recenzje – i dlatego ją wybrałam, ale po jakichś dwudziestu minutach zorientowałam się, że skazałam siebie i Margaret na trzygodzinną wizytę w nieprzeniknionych mrokach Skandynawii. W antrakcie Margaret stwierdziła:

– Naprawdę, nogi same rwą się do tańca.

W połowie drugiego aktu zasnęłam i obudziłam się przestraszona dopiero na dźwięk oklasków, kiedy opadła kurtyna.

– Co się stało na końcu? – zapytałam Margaret, kiedy wyszliśmy z teatru.

– Mąż i żona popełnili samobójstwo, skacząc z mostu.

– Naprawdę? – rzuciłam przerażona. – Dlaczego?

– No wiesz... zima w Norwegii, nie ma nic do roboty...

– Chwała Bogu, że nie wzięłam Tony'ego. Z miejsca wystąpiłby o rozwód.

– A co, nie jest fanem Ibsena?

– W ogóle nie chce mieć nic wspólnego z kulturą. Co według mnie jest typowym przejawem dziennikarskiego filisterstwa. Proponowałam mu wyjście do teatru z parą jego znajomych...

Zrelacjonowałam Margaret rozmowę z Tonym i telefon od Kate Medford.

– Zapewniam cię, że nie zadzwoni do ciebie co najmniej przez cztery miesiące – stwierdziła, kiedy skończyłam swoją opowieść. – A potem, ni stąd, ni zowąd, zadzwoni. Będzie słodka jak miód, będzie opowiadać, jaka była „straszliwie zajęta” i jak bardzo chciałaby zobaczyć ciebie, Tony'ego i dziecko i zapyta, czy za jakieś sześć tygodni znajdziecie czas na niedzielny lunch. A ty pomyślisz sobie: czy tak się to tutaj odbywa?... i czy dzwoni tylko dlatego, że czuje się zobowiązana? A odpowiedzią na oba pytania będzie stanowcze „tak”. Bo tutaj nawet bliscy przyjaciele zachowują się z rezerwą. Nie dlatego, że nie mają ochoty na kontakty... ale uważają, że nie powinni ci zawracać głowy i że ty pewnie wcale nie chcesz widywać ich często. I niezależnie od tego, jak bardzo starasz się ich przekonać, że jest inaczej, ten dystans zawsze pozostanie. Bo tak już tutaj jest. Anglicy potrzebują roku czy

dwóch, żeby przyzwyczać się do twojej obecności, zanim uznają, że mogą się z tobą zaprzyjaźnić. Kiedy już się zaprzyjaźnią, są twoimi przyjaciółmi, ale mimo to będą się trzymać z daleka. Każdy w tym kraju uczy się tego od dziecka.

– Nikt z moich sąsiadów nawet nie próbował się przedstawić.

– Nigdy tego nie robią.

– A w sklepach ludzie są dla siebie tacy nieuprzejmi.

Margaret roześmiała się.

– Zauważyłaś to?

Owszem, zauważyłam – szczególnie w wykonaniu faceta, który prowadził kiosk z gazetami w pobliżu mojego domu. Nazywał się Noor i wiecznie miał zły dzień. Przez kilka tygodni, odkąd zaczęłam kupować poranne gazety w jego kiosku, nigdy nie zaszczycił mnie (ani żadnego innego klienta) uśmiechem. Wiele razy próbowałam go zmusić do najmniejszego grymasu albo przynajmniej nawiązać z nim zdawkową, uprzejmą rozmowę. On jednak niewzruszenie bronił szanów swojej mizantropii. A moja dziennikarska dusza za każdym razem kazała mi się zastanawiać, jaka jest przyczyna jego niemilego zachowania. Koszmarne dzieciństwo w Lahore? Ojciec, który bił go do nieprzytomności za najdrobniejszy objaw sprzeciwu? A może poczucie wyobcowania człowieka, który w połowie lat siedemdziesiątych został wyrwany z Pakistanu i rzucony do zimnego, wilgotnego Londynu, gdzie odkrył, że jest Pakistańcem, bezowym, wiecznym outsiderem w społeczeństwie, które nim pogardza?

Oczywiście kiedy przedstawiłam ten scenariusz Karimowi – właścicielowi sklepu na rogu, obok kiosku pana Noora – sprowokowałam wybuch serdecznego śmiechu.

– Ten facet w życiu nie był w Pakistanie – powiedział Karim. – I proszę nie myśleć, że zrobiła pani coś, co sprowokowało takie zachowanie. Każdego tak traktuje. Nie ma w tym żadnej tajemniczej przyczyny, to po prostu żaloszny dupek, i tyle.

W przeciwieństwie do pana Noora Karim co dzień miał dobry dzień.

Nawet w najbardziej ponury poranek – choćby padało od tygodnia, temperatura ledwie przekraczała zero i wszyscy zastanawiali się, czy jeszcze kiedykolwiek wyrzy słońce – Karim jakimś cudem zachowywał przyjemny wyraz twarzy. Może miało to coś wspólnego z faktem, że on i jego starszy brat, Faisal, byli zaradnymi biznesmenami, prowadzącymi jeszcze dwa sklepy w tym zakątku południowego Londynu, i z mnóstwem planów dalszego rozwoju firmy. Zastanawiałam się, czyjego wrodzony optymizm i przyjazne nastawienie do świata wynikały z faktu, że Karim – choć rodowity Brytyjczyk – miał aspiracje i dziwnie amerykańską wiarę we własne siły.

Ale następnego ranka, po ibsenowskim wieczorze z Margaret, nie potrzebowałam akurat niczego ze sklepu Karima, więc pierwszą napotkaną ludzką istotą tego dnia był cholerny pan Noor. Jak zwykle w szczytowej formie.

Podchodząc do kasy z „Chronicie” i „Independentem” w garści, zapytałam:

– Co u pana słyhać, panie Noor?

– Funt dziesięć – odparł, omijając mnie wzrokiem.

Nie podałam mu pieniędzy. Spojrzałam mu prosto w oczy i powtórzyłam pytanie:

– Co u pana słyhać, panie Noor?

– Funt dziesięć – rzucił zniecierpliwiony.

Wciąż się uśmiechałam, zdecydowana wydusić z niego odpowiedź.

– Dobrze się pan dziś miewa, panie Noor?

Wypuścił głośno powietrze.

– Dobrze.

Uraczyłam go szerokim uśmiechem.

– Bardzo miło mi to słyseć.

Wręczyłam mu pieniądze i kiwnęłam głową na pożegnanie. Za mną stała kobieta po czterdziestce, czekając, by zapłacić za „Guardiana”, którego trzymała w ręce. Kiedy wyszłam z kiosku, dogoniła mnie.

– Brawo – powiedziała. – Prosił się o to od lat.

Wyciągnęła rękę.

– Julia Frank. Pani mieszka pod dwudziestym siódmym, tak?

– Tak – odparłam i przedstawiłam się.

– Mieszkam naprzeciwko, pod trzydziestym drugim. Miło mi panią poznać.

Zatrzymałam się i spróbowałam porozmawiać z nią dłużej, gdybym nie była już spóźniona na wywiad z byłym członkiem IRA, który zaczął pisać książki. Rzuciłam więc tylko:

– Proszę kiedyś wpaść.

Odpowiedziała miłym uśmiechem... mógł oznaczać „tak” albo być po prostu kolejnym przykładem wkurzającej rezerwy mieszkańców tego miasta. Ale sam fakt, że zatrzymała się, by się przedstawić (i pochwalić mnie, że stawiałam czoło panu Czarującemu) podtrzymał mnie na duchu prawie przez cały dzień.

– Rany, sąsiadka się do ciebie odezwała? – zadrwiła Sandy, kiedy zadzwoniłam do niej tego dnia. – Jestem zdumiona, że nie mówili o tym w CNN.

– Tak, to rzeczywiście doniosłe wydarzenie. A posłuchaj tego: nawet słońce dziś wyjrzało.

– Dobry Boże, i co jeszcze? Tylko mi nie mów, że ktoś się do ciebie uśmiechnął na ulicy.

– A właśnie że tak. Na ścieżce holowniczej. Mężczyzna spacerujący z psem.

– Jakim psem?

– Golden retrieverem.

– One zwykle mają miłych właścicieli.

– Wierzę ci na słowo. Ale nie uwierzyłabyś, jaka przyjemna może być ta ścieżka nad rzeką. I mam do niej raptem trzy minuty spod drzwi. Wiem, że to nic wielkiego, ale kiedy tak sobie spacerowałam nad Tamizą, przyszło mi do głowy, że może mimo wszystko jakoś się tu odnajdę.

Tego wieczoru próbowałam przekazać swoje pozytywne odczucia Tony'emu, kiedy zobaczyłam, jak rozgląda się po bałaganie zostawionym przez budowlańców, wśród którego mieszkaliśmy.

– Nie wpadaj w rozpacz – powiedziałam. – Kiedyś to wszystko skończy.

– Nie wpadam w rozpacz – odparł znękany tonem.

– To będzie wspaniały dom.

– Jestem pewien, że tak.

– No, Tony. Będzie lepiej.

– Wszystko jest w porządku – powiedział głosem wypranym z entuzjazmu.

– Chciałabym wierzyć, że naprawdę tak myślisz.

– Naprawdę tak myślę.

I wyszedł do drugiego pokoju.

Ale o piątej następnego ranka obudziłam się i stwierdziłam, że nie wszystko jest w porządku.

Bo moje ciało zaczęło mi płać dziwne figle.

I w tych pierwszych chwilach osłupienia, kiedy dotarło do mnie, że dzieje się coś bardzo niedobrego, dopadło mnie uczucie, z którym nie miałam do czynienia od lat.

Strach.

4

To było tak, jakby zaatakował mnie w nocy batalion pluskiew. Nagle każdy centymetr mojej skóry zaczął swędzieć – bo nie da się tego inaczej określić: wściekłe swędzenie, w którym nie przynosiło ulgi nawet najbardziej zajadłe drapanie.

– Nie widzę żadnej wysypki – powiedział Tony, kiedy znalazł mnie w łazience naga, orzającą skórę paznokciami.

– Nie zmyślam – odparłam gniewnie, przekonana, że oskarża mnie o jakieś histeryczne dolegliwości.

– Nie mówię, że zmyślasz. Tylko że...

Odwróciłam się i popatrzyłam na siebie w lustrze. Miał rację. Na mojej skórze widać było tylko ślady po gorączkowym drapaniu.

Tony zrobił mi gorącą kąpiel i pomógł mi do niej wejść. Gorąca woda przez moment była nie do wytrzymania – ale kiedy przyzwyczaiłam się już do wysokiej temperatury, podziałała jak łagodzący balsam. Tony usiadł obok wanny, wziął mnie za rękę i opowiedział jedną ze swoich zabawnych wojennych historyjek -jak złapał wszy, relacjonując jakąś plemienną przepychankę w Erytrei, i musiał ogolić głowę u wiejskiego golibrody.

– Facet zrobił to najbrudniejszą brzytwą, jaką w życiu widziałem. I wcale nie miał najpewniejszej ręki, więc kiedy skończył, nie tylko byłem łysy, ale wyglądałem, jakbym potrzebował szwów. Ale nawet kiedy już zdrapał mi z głowy ostatni włos, głowa wciąż mnie swędziała jak cholera. I właśnie wtedy ten golibroda owinał mi głowę gorącym ręcznikiem. Swędzenie ustało natychmiast, za to nabawiłem się oparzeń pierwszego stopnia.

Przeczesałam mu włosy palcami, szczęśliwa, że siedzi tu przy mnie, trzyma mnie za rękę i pomaga przez to przejść. Kiedy w końcu, po godzinie, wynurzyłam się z wody, swędzenie zniknęło. Tony był naprawdę słodki.

Wytarł mnie ręcznikiem. Posypał pudrem dla dzieci. Położył mnie z powrotem do łóżka. I rzeczywiście zasnęłam mocno, by zerwać się w południe – kiedy znów zaczęło swędzieć.

Z początku myślałam, że jestem w środku dręczącego snu – że to koszmar z rodzaju tych, gdy człowiekowi zdaje się, że spada w przepaść, aż wylądowuje na własnej poduszce. Ale zanim oprzytomniałam do reszty, czułam, że kolejna armia złośliwych insektów zagnieździła się pod moją skórą. Od zeszłej nocy swędzenie przybrało na sile. Ogarnęła mnie panika. Wpadłam do łazienki, zdarłam z siebie spodnie od piżamy i koszulkę i obejrzałam się dokładnie, szukając plam, bąbli czy jakichkolwiek oznak infekcji skóry – szczególnie na wystającym brzuchu. Nic. Napuściłam więc kolejną wannę gorącej wody i zanurzyłam się w niej

po szyję. Tak samo jak w nocy, wrząca woda dała natychmiastowy kojący efekt – temperatura znieczuliła mi skórę i zlikwidowała nieznośny świąd.

Ale gdy po godzinie dźwignęłam się z wanny, swędzenie wróciło. Teraz byłam już naprawdę przerażona. Natarłam się pudrem dla dzieci, co jednak tylko wzmogło dyskomfort. Odkręciłam więc kurki, by zrobić sobie kolejną gorącą kąpiel, wyparzyłam się jeszcze raz, ale swędzenie dopadło mnie na „owo, ledwie wyszłam z wody.

Zarzuciłam szlafrok i zadzwoniłam do Margaret.

– Chyba dostaję świra. – Opowiedziałam jej o bitwie, która rozgrywa się pod moją skórą. Powiedziałam też, że boję się, że to wszystko może być tylko w mojej głowie.

– Jeśli naprawdę swędzi cię aż tak, to nie może być sprawa psychosomatyczna – stwierdziła Margaret.

– Ale nic nie widać.

– Może masz wewnętrzną wysypkę.

– A jest coś takiego?

– Nie jestem lekarzem, więc skąd mam wiedzieć, do diabła? Na twoim miejscu przestałabym się bawić w scjentystkę i poszłabym do lekarza. I to szybko.

Posłuchałam rady Margaret i zadzwoniłam do miejscowej przychodni.

Moja lekarka była zajęta przez całe popołudnie, zapisali mnie więc na wizytę do doktora Rodgersa: suchego jak pieprz internisty przed pięćdziesiątką, z przerzedzonymi włosami i chłodnego w obejściu. Poprosił, żebym zdjęła ubranie. Pobieźnie obejrzał moją skórę. Kazał mi się z powrotem ubrać, po czym postawił diagnozę: prawdopodobnie była to subkliniczna reakcja alergiczna na coś, co zjadłam. Kiedy wyjaśniłam mu, że nie jadłam niczego niezwykłego przez ostatnich kilka dni, stwierdził:

– No cóż, ciąża zawsze powoduje, że organizm reaguje nietypowo.

– Ale to swędzenie doprowadza mnie do szału.

– Proszę odczekać jeszcze dwadzieścia cztery godziny.

– Nie może mi pan przepisać czegoś, żeby to złagodzić?

– Jeśli na skórze nic nie widać, to raczej nie. Proszę spróbować wziąć aspirynę albo ibuprofen, jeśli ból zbytnio się nasili.

Kiedy pół godziny później zrelacjonowałam to Margaret, rozzłościła się nie na żarty.

– Typowy angielski konował. „Proszę łyknąć dwie aspiryny i wziąć się w garść”.

– Moja stała lekarka jest o wiele lepsza.

– W takim razie łap za słuchawkę i zażądaj, żeby cię z nią umówili. A najlepiej upieraj się, żeby przyszła na domową wizytę. Zrobią to, jeśli się ich zmusi.

– A może on ma rację. Może to jest jakaś drobna reakcja alergiczna...

– Co to ma być? Dwa miesiące w Londynie i już się zaraziłaś angielskim „zagryź zęby i cierp”?

Margaret miała poniekąd rację. Nie chciałam się rozczulać nad swoim stanem – szczególnie że chorowanie nie leżało w mojej naturze, nie mówiąc już o histerycznych swędzeniach. Próbowałam się zająć rozpakowywaniem pudeł z książkami; usiłowałam też przeczytać kilka zaległych numerów „New Yorkera”. Oparłam się pokusie, by zadzwonić do Tony’ego, do redakcji, i powiedzieć mu, jak źle się czuję. W końcu znów zdjęłam z siebie ubranie i zaczęłam drapać skórę tak mocno, że w końcu na ramionach pojawiła się krew. Uciekłam do łazienki. Czekając, aż napełni się wanna, wrzasnęłam z czystej, rozpaczliwej wściekłości i bólu. Kiedy wyparzyłam się po raz trzeci, w końcu zadzwoniłam do Tony’ego i powiedziałam:

– Coś mi się zdaje, że mam poważne kłopoty.

– W takim razie już jadę.

Zjawił się po godzinie. Znalazł mnie w wannie, trzęsącą się z zimna, choć woda była prawie wrząca. Ubrał mnie. Pomógł mi zejść do samochodu i pojechał przez Wandsworth Bridge, potem kawałek Fulham Road, i zaparkował naprzeciwko szpitala Mattingly. Po kilku minutach byliśmy już w izbie przyjęć. Kiedy Tony zobaczył, że poczekalnia jest zapchana, poszedł porozmawiać z pielęgniarką w recepcji; upierał się, że jako ciężarna powinnam zostać przyjęta od razu.

– Obawiam się, że będziecie państwo musieli poczekać jak inni.

Tony próbował protestować, ale pielęgniarka nie chciała o niczym słyszeć.

– Proszę pana, proszę usiąść. Nie może pan ominąć kolejki, chyba że...

W tej samej chwili postarałam się o „chyba że”, gdyż nieustające swędzenie przekształciło się nagle w potężny atak konwulsji. Zanim się zorientowałam, co się dzieje, runęłam głową naprzód i straciłam przytomność.

Kiedy się ocknęłam, leżałam na stalowym, szpitalnym łóżku, z kilkoma kroplówkami sterczącymi z rąk. Byłam dziwnie odurzona-jakbym obudziła się właśnie z długiego, narkotycznego snu. Przez chwilę czy dwie zastanawiałam się: gdzie jestem? Ale w końcu odzyskałam ostrość widzenia i przekonałam się, że leżę na długiej sali szpitalnej, w towarzystwie kilkunastu kobiet otoczonych kroplówkami, respiratorami, monitorami tętna płodu i innym medycznym sprzętem. Udało mi się skupić wzrok na zegarze w drugim końcu sali: trzecia dwadzieścia trzy po południu... szarawe światło sączyło się przez cienkie, szpitalne zasłony. Trzecia dwadzieścia trzy po południu? Przyjechałam z Tonym do szpitala około ósmej zeszłego wieczoru. Czyżbym była nieprzytomna przez... ile... siedemnaście godzin?

Udało mi się zebrać dość siły, by nacisnąć guzik dzwonka przy łóżku.

Robiąc to, niechcący zmrużyłam oczy i nagle górną połowę mojej twarzy ogarnęła fala bólu. Zdałam sobie sprawę, że nos mam grubo oklejony plastrem. Obszar wokół oczu także był posiniaczony i obolały. Przycisnęłam guzik jeszcze mocniej. W końcu przy łóżku pojawiła się drobna, afrokaraibska pielęgniarka. Kiedy zmrużyłam oczy, by przeczytać nazwisko na plakietce – Howe – moją twarz znów przeszył ból.

– Witamy – powiedziała ze spokojnym uśmiechem.

– Co się stało?

Pielęgniarka sięgnęła po kartę wiszącą w nogach łóżka i przeczytała notatki.

– Wygląda na to, że zemdląła pani w recepcji. Ma pani szczęście, że nie złamała pani nosa. I nie straciła żadnego zęba.

– Co z dzieckiem?

Długa, pełna napięcia cisza, kiedy siostra Howe jeszcze raz zajrzała w notatki.

– Nie ma strachu. Dziecku nic nie jest. Ale pani... to o panią się martwimy.

– W jakim sensie?

– Pan Hughes, nasz konsultant, odwiedzi panią na obchodzie dziś wieczorem.

– Stracę dziecko?

Pielęgniarka jeszcze raz uważnie przejrzała kartę i powiedziała:

– Ma pani bardzo podwyższone ciśnienie. To może być stan przedrzucawkowy, ale nie dowiemy się tego, dopóki nie przeprowadzimy kilku analiz krwi i moczu.

– Czy to może zagrozić ciąży?

– Może... ale postaramy się utrzymać to pod kontrolą. I bardzo wiele będzie zależało od pani. Lepiej niech się pani przygotuje na bardzo spokojne życie przez najbliższych kilka tygodni.

Świetnie. Właśnie to chciałam usłyszeć. Nagle ogarnęła mnie fala zmęczenia. Może to przez leki, które mi podawali, a może była to reakcja na siedemnastogodzinny odlot. A może kombinacja jednego i drugiego, do spółki z moim nowo odkrytym podwyższonym ciśnieniem. Cokolwiek to było, nagle poczułam się kompletnie pozbawiona energii. Tak wyżęta i oklapła, że nie mogłam zebrać siły, by usiąść. Bo nagle potwornie zachciało mi się siusiu. Ale zanim wyartykułowałam swoją potrzebę – zanim zdążyłam poprosić o basen czy odprowadzenie do najbliższej toalety – dolna część mojego ciała zatoneła nagle w ciepłej, rozszerzającej się kałuży.

– O kurczę... – rzuciłam głośno, załamany głosem.

– Nic się nie stało – powiedziała siostra Howe. Sięgnęła po swoje walkie-talkie i wezwała pomoc. Po krótkiej chwili przy łóżku stało już dwóch wysokich salowych. Jeden z nich miał ogoloną głowę i kolczyk w uchu; drugi był chudym, żylastym Sikhem.

– Przepraszam, tak mi przykro... – wymamrotałam, kiedy salowi pomagali mi usiąść.

– Nie przejmuj się, kochana – powiedział ogolony. – To najbardziej naturalna rzecz na świecie.

– Nigdy przedtem mi się to nie zdarzyło – odparłam, kiedy podnieśli mnie z przemoczonego materaca i posadzili na wózku. Szpitalna koszula nocna przykleiła mi się do ciała.

– Naprawdę? Pierwszy raz? – zapytał ogolony. – To dopiero słodkie życie. Bo proszę spojrzeć na mojego kumpla. Bez przerwy sika w majtki, no nie?

– Proszę nie słuchać mojego kolegi – odparł Sikh. – Musi tak gadać.

– Kolegi? – obruszył się ogolony. – Myślałem, że jestem twoim kumplem.

– Nie wtedy, kiedy oskarżasz mnie o sikanie w majtki – powiedział Sikh i powiózł mnie wzdłuż sali. Ogolony szedł obok niego; ich przekomarzanki nie ustawały ani na chwilę.

– To jest właśnie problem z wami, Sikhami. Zero poczucia humoru...

– O, ja się śmieję cały czas... kiedy coś jest śmieszne. Ale jeśli jakiś oprych...

– O mnie mówisz?

– Nie, wypowiadam tylko ogólny sąd na temat oprychów. Staraj się tego nie brać tak bardzo do siebie...

– Ale jak wypowiadasz takie pochopne sądy...

– Jeśli wypowiadasz takie pochopne sądy... – poprawił do Sikh.

– Wie pani, za kogo się uważa mój kumpel... przepraszam, mój kolega? – zapytał mnie ogolony. – Za cholernego Henry’ego Higginsa.

– A dlaczego Anglicy nie potrafią nauczyć swoich dzieci poprawnie mówić? – odparował Sikh.

– Zamknij się.

Było to jak słuchanie starego małżeństwa w trakcie komicznej kłótni, trwającej bez przerwy od dwudziestu lat. Ale zdawałam sobie sprawę, że prowadzili tę sprzeczkę na mój użytek – by odwrócić moją uwagę od upokorzenia, i żebym przestała się czuć jak niegrzeczna dziewczynka, która zesikała się do łóżka i doprowadziła do żalosego stanu.

Kiedy dojechaliśmy do łazienki, salowi pomogli mi wstać z wózka, postawili przy zle-

wie i poczekali, aż przyjdzie pielęgniarka. Zniknęli, kiedy tylko się zjawiała. Była to duża, wesoła kobieta około pięćdziesiątki z akcentem wskazującym na Yorkshire. Delikatnie zdjęła mi przez głowę przemoczoną koszulę.

– Zaraz panią umyjemy – powiedziała, przygotowując mi płytką, ciepłą kąpiel. Nad zlewem wisiało lustro. Spojrzałam w nie i zamarłam. Patrząca na mnie kobieta wyglądała jak ofiara domowej przemocy. Nos – oblepiony plastrami – spuchł tak, że był dwa razy większy niż normalnie i przybrał fioletowawy kolor. Oczy były podbite, skóra wokół powiek posiniała i spuchła.

– Uraz nosa zawsze wydaje się gorszy, niż jest w rzeczywistości – powiedziała pielęgniarka, zauważywszy moje przerażenie. – I zawsze szybko się goi. Za trzy, cztery dni będzie pani piękna jak dawniej.

Musiałam się roześmiać – nie tylko dlatego, że nigdy nie uważałam się za piękną... ale dlatego, że w tej chwili wyglądałam jak straszdyło z bajki.

– Amerykanka? – zapytała kobieta.

Kiwnęłam głową.

– Nigdy nie spotkałam Amerykanki, której bym nie lubiła – powiedziała.

– Choć właściwie przez całe życie spotkałam tylko dwie Jankeski. Co pani tutaj robi?

– Mój mąż jest Anglikiem.

– To dopiero spryčiuła – rzuciła ze śmiechem.

Posadziła mnie w ciepłej wodzie i delikatnie wymyła, podając mi myjkę, kiedy przyszła kolej na okolicę krocza. Potem pomogła mi wyjść z wanny, wytarła i ubrała w czystą koszulę. Przez cały czas podtrzymywała spokojną, zwykłą rozmowę. Bardzo po angielsku radziła sobie z niezręczną sytuacją... ale podobało mi się to. Bo na swój własny, szorstki sposób była delikatna.

Kiedy odwiozła mnie z powrotem na oddział, przemoczoną pościel już zdjęto i zastąpiono świeżą. Pomagając mi położyć się do łóżka, pielęgniarka powiedziała:

– O nic się nie martw, kochana. Wszystko będzie dobrze.

Osunęłam się w chłodną, czystą pościel, szczęśliwa, że znów jestem sucha. Po chwili przyszła siostra Howe i oznajmiła, że potrzebna jest próbka moczu.

– Powtórka z rozrywki – odparłam ze śmiechem.

Znów wygramoliłam się z łóżka, poszłam do łazienki, by napełnić pojemniczki tą resztką, którą miałam jeszcze w rezerwie. Kiedy leżałam już z powrotem w łóżku, pojawiła się kolejna pielęgniarka i wyciągnęła ze mnie wielką strzykawkę krwi. Potem wróciła siostra Howe, by mi powiedzieć, że Tony właśnie dzwonił. Poinformowała go, że pan Hughes bę-

dzie tu dziś o ósmej wieczorem i zasugerowała mu, żeby postarał się być wtedy w szpitalu.

– Pani mąż powiedział, że zrobi, co w jego mocy, i pytał, jak się pani czuje.

– Chyba nie powiedziała mu siostra, że zmoczyłam...

– Proszę nie opowiadać głupstw – odparła siostra Howe ze śmiechem, po czym powiedziała mi, żebym jeszcze nie układała się za wygodnie, bo pan Hughes (którego zawiadomiono o moim stanie) polecił zrobić mi USG przed jego przyjściem. W głowie rozległ się dzwonek alarmowy.

– To znaczy, że jego zdaniem dziecko jest zagrożone? – zapytałam.

– Takie myślenie nie zrobi pani dobrze...

– Muszę wiedzieć, czy jest ryzyko, że mogę poro...

– Jest ryzyko, jeśli wciąż będzie się pani tak denerwować. Wysokie ciśnienie nie zależy wyłącznie od czynników fizjologicznych. Jest również związane ze stresem. I dlatego upadła pani wczoraj na twarz.

– Ale jeśli dolega mi tylko wysokie ciśnienie, dlaczego doktor zleca USG?

– Chce tylko wykluczyć...

– Co wykluczyć? – upierałam się.

– To rutynowe badanie.

Niezbyt mnie to pocieszyło. Przez cały czas badania wpatrywałam się w niewyraźny zarys na monitorze, wypyując techniczkę (Australijkę, która nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia trzy lata), czy nie widzi niczego niepokojącego.

– Spokojnie – odparła. – Nic pani nie będzie.

– Ale dziecko...?

– Nie ma potrzeby tak się...

Ale nie usłyszałam reszty zdania, bo nagle znów zaczęło mnie swędzieć.

Tyle że tym razem najgorzej było na brzuchu i w obrębie miednicy... dokładnie tam, gdzie został rozsmarowany żel do USG. W ciągu minuty swędzenie stało się nieznośne, powiedziałam więc techniczce, że muszę się podrapać po brzuchu.

– Nie ma sprawy – odparła, odsuwając głowicę aparatu, którą jeździła po mojej skórze.

Zaczęłam orać ciało paznokciami. Techniczka zrobiła wielkie oczy.

– Tylko spokojnie – powiedziała.

- Nie mogę. Dostaję od tego świra.
- Ale pani zrobi sobie krzywdę... i dziecku.

Odsunęłam ręce. Swędzenie przybrało na sile. Zagryzłam wargę tak mocno, że omal nie zaczęła krwawić. Zaciśnęłam powieki, ale oczy zaczęły mnie piec. I nagle poczułam, że twarz mam mokrą od łez – zaciśnięcie powiek uraziło wszystkie stłuczone mięśnie górnej części twarzy.

- Dobrze się pani czuje? – zapytała techniczka.

– Nie.

– Proszę tu chwilkę poczekać – powiedziała. – I cokolwiek by się działo, proszę się nie drapać po brzuchu.

Wydawało mi się, że nim do mnie wróciła, minęła godzina – ale kiedy zerknęłam na zegar, przekonałam się, że upłynęło ledwie pięć minut. Kiedy zjawiała się z powrotem w towarzystwie siostry Howe, ścisnęłam kurczowo krawędzie leżanki, na granicy krzyku.

- Proszę powiedzieć, co się dzieje – rzuciła siostra Howe.

Kiedy jej wyjaśniłam, że mam ochotę rozdrapać sobie brzuch na strzępy – albo zrobić cokolwiek innego, byle tylko przestało swędzieć – zbadła mnie, po czym sięgnęła po telefon i wydała polecenia. Pochyliła się nade mną i ścisnęła mnie za rękę.

- Pomoc jest w drodze.

– Co zrobicie?

- Damy pani coś, żeby powstrzymać swędzenie.

– Ale jeśli to jest tylko w mojej głowie? – powiedziałam głosem, w którym zaczynała pobrzmiwać histeria.

- Pani myśli, że to jest tylko w pani głowie? – zapytała siostra Howe.

– Nie wiem.

- Skoro pani się tak drapie, to nie jest pani wymysł.

– Siostra jest pewna?

Uśmiechnęła się i powiedziała:

- Nie jest pani pierwszą ciężarną, którą tak swędzi skóra.

Przyszła druga pielęgniarka, popychając przed sobą stolik opatrunkowy.

Zmyła żel do USG. Potem, używając czegoś, co wyglądało jak sterylny pędzel malarski,

pokryła mój brzuch różową, kredową substancją – płynem kalaminiowym. Swędzenie natychmiast zelżało. Siostra Howe podała mi dwie tabletki i mały kubek wody.

- Co to jest? – zapytałam.
- Łagodny środek uspokajający.
- Nie potrzebuję środków uspokajających.
- Myślę, że pani potrzebuje.
- Ale nie chcę być otumaniona, kiedy przyjdzie mój mąż.
- To pani nie otumani. To tylko panią uspokoi.
- Jestem spokojna.

Siostra Howe nie powiedziała nic więcej. Położyła tabletki na mojej otwartej dłoni i wręczyła mi kubek z wodą. Niechętnie łyknęłam pigułki, po czym pozwoliłam się posadzić na wózku i odwieźć z powrotem na oddział.

Tony zjawił się tuż przed ósmą, z kilkoma gazetami pod pachą i smętnym bukietem kwiatów. Pigułki zdążyły już zadziałać – i choć siostra Howe nie kłamała, że mnie nie otumania, nie powiedziała mi, że stłumią wszelkie odczucia emocjonalne, że będę po nich okłapała, odrętwiała, przygaszona... ale także doskonale świadoma maskowanego niepokoju Tony'ego.

- Wyglądam aż tak okropnie? – zapytałam cicho, kiedy podszedł do łóżka.
- Nie mów głupstw – odparł, pochylając się, by cmoknąć mnie w głowę.
- Szkoda, że nie widziałeś tego drugiego gościa – powiedziałam, po czym usłyszałam własny, ponury śmiech.
- Po tym, jak wczoraj rąbnęłaś o podłogę, spodziewałem się, że będzie o wiele gorzej.
- To spora pociecha. Dlaczego do mnie dziś nie zadzwoniłeś?
- Bo według oddziałowej byłaś nieprzytomna aż do trzeciej.
- Ale po trzeciej...
- Zebrania, terminy, strony do składu. To się nazywa praca.
- Chcesz powiedzieć, jak ja? Teraz jestem dla ciebie pracą, tak?

Tony wciągnął głęboki, zirytowany oddech, dając mi w ten sposób do zrozumienia, że nie podoba mu się kierunek, w jakim zmierza ta rozmowa.

Ale mimo wywołanego lekami odrętwienia wciąż udawałam wkurzoną. Bo w tej chwili

naprawdę byłam wściekła na wszystko i wszystkich – a szczególnie na tego niepewnego mężczyznę siedzącego na krawędzi łóżka, który wpakował mnie w to wszystko, kiedy zrobił mi dziecko. Ten samolubny gnojek. Ten mały skurwiel. Ten...

A ja myślałam, że te pigułki miały wszystko załatwić...

– Mógłbyś mnie zapytać, czy dziecku nic nie jest – powiedziałam tonem wypranym z emocji przez środek uspokajający.

Kolejny, pełen zniecierpliwienia wdech. Bez wątpienia liczy minuty do chwili, kiedy będzie mógł stąd zwać i uwolnić się ode mnie na kolejną noc.

A jeśli szczęście go nie opuści, może jutro znowu walnę twarzą o podłogę i zostanę w tym więzieniu przez kolejne dwa dni.

– Martwiłem się o ciebie, przecież wiesz – powiedział.

– Oczywiście że wiem. Zmartwienie po prostu z ciebie bucha, Tony.

– Czy to jest to, co nazywają „szokiem pourazowym”?

– Jasne, świetnie. Najlepiej zrobić ze mnie wariatkę. Przeklinaj dzień, w którym mnie poznałeś.

– Co oni ci tu dali, do diabła?

– Valium, skoro pan pyta – odezwał się głos za jego plecami. – I z tego, co właśnie sły-
szałem, wnoszę, że nie odniosło pożądanego skutku.

W nogach łóżka stał pan Desmond Hughes, z moją kartą w ręce, w dwuogniskowych okularach założonych na sam czubek nosa.

– Czy z dzieckiem wszystko w porządku, panie doktorze? – zapytałam.

Pan Hughes nie uniósł oczu znad karty.

– Mnie również miło panią widzieć, pani Goodchild. Wygląda na to, że wszystko jest w porządku. – Zwrócił się do Tony’ego: -Zapewne pan Goodchild.

– Tony Hobbs.

– Ach tak – powiedział Hughes, ledwie dostrzegalnym kiwnięciem głowy potwierdzając, że przyjął do wiadomości nazwisko Tony’ego. Po czym znów zwrócił się do mnie i zapytał: – Więc jak się dzisiaj czujemy? Niezbyt przyjemne dwadzieścia cztery godziny, co?

– Proszę mi powiedzieć, co z dzieckiem, doktorze.

– Z tego, co widziałem na wydrukach USG, wynika, że dziecku nie stała się żadna krzywda. Ale o ile zdołałem się zorientować, przyjęto panią z powodu cholestazy.

– Co to takiego? – zapytałam.

– Chroniczne swędzenie. Nic niezwykłego wśród ciężarnych kobiet... i często idzie w parze ze stanem przedrzucawkowym, czyli, jak pani może wie...

– Za wysokim ciśnieniem?

– Bardzo dobrze... czy też, by użyć fachowego języka, wolimy to nazywać hipertensją. Dobra wiadomość jest taka, że stan przedrzucawkowy przeważnie charakteryzuje się wysokim stężeniem kwasu moczowego. Próbką pani moczu zasadniczo nie odbiega od normy, i na tej podstawie stwierdzam, że u pani nie występuje stan przedrzucawkowy. Ale ciśnienie pani krwi jest niebezpiecznie wysokie. Jeśli pozostawimy je bez kontroli, może się okazać groźne zarówno dla matki, jak i dla dziecka. I dlatego zaordynuję pani betabloker, by ustabilizować ciśnienie, a także antyhistaminę o nazwie piriton, by złagodzić cholestazę. Chciałbym też, by pani brała pięć miligramów valium trzy razy dziennie.

– Nie wezmę więcej valium.

– A dlaczegoż to?

– Bo mi się nie podoba.

– W życiu jest wiele rzeczy, które nam się nie podobają, panno Goodchild... choć mają dobroczynne działanie...

– Jak szpinak, na przykład?

Tony kaszlnął nerwowo.

– Sally...

– Co?

– Jeśli pan Hughes uważa, że valium ci pomoże...

– Pomoże? Co najwyżej mnie zaknebluje.

– Doprawdy? – rzucił pan Hughes.

– Bardzo zabawne.

– Nie próbowałem być zabawny, panno Goodchild...

– Pani Goodchild – powiedziałam. – On jest Hobbs, ja jestem Goodchild.

Szybka wymiana spojrzeń między Tonym i doktorem. Boże, dlaczego zachowuję się tak dziwnie?

– Bardzo przepraszam, pani Goodchild. I oczywiście nie mogę pani zmusić do przyjmowania substancji, której nie chce pani przyjmować. Muszę jednak zaznaczyć, że zgodnie

z moimi klinicznymi doświadczeniami, wyeliminowałyby to do pewnego stopnia stres...

– Natomiast moje osobiste doświadczenie jest takie, że valium robi dziwne rzeczy z moją głową. Więc nie... nie dotknę więcej tego świństwa.

– To pani prawo, ale proszę zrozumieć, że naprawdę uważam to za nierozsądne.

– Przyjęłam do wiadomości – odparłam spokojnie.

– Ale będzie pani brać piriton?

Kiwnęłam głową.

– No, to już coś – stwierdził Hughes. – Będziemy też w dalszym ciągu leczyć cholestażę płynem kalaminowym.

– Świetnie – odparłam.

– A, jeszcze jedno – ciągnął Hughes. – Musi pani zrozumieć, że nadciśnienie to bardzo niebezpieczna dolegliwość, która może doprowadzić do tego, że straci pani dziecko. I dlatego aż do rozwiązania pod żadnym pozorem nie wolno pani narażać się na fizyczne ani psychiczne obciążenia.

– To znaczy?

– To znaczy, że nie może pani pracować, dopó...

Przerwałam mu w pół słowa.

– Nie mogę pracować? Jestem dziennikarką... korespondentką. Jestem odpowiedzialna za...

– Wiem o tym – z kolei Hughes przerwał mnie. – Jest pani odpowiedzialna za siebie i swoje dziecko. Bo choć częściowo jesteśmy w stanie farmakologicznie ustabilizować pani stan, prawda jest taka, że tylko pozostanie w łóżku całkowicie wyeliminuje ryzyko. I dlatego zatrzymamy panią w szpitalu na cały czas trwania...

Zagapiłam się na niego osłupiała.

– Na cały czas trwania ciąży?

– Obawiam się, że tak.

– Ale to jeszcze prawie trzy tygodnie. A ja nie mogę tak po prostu zrezygnować z pracy...

Tony położył mi dłoń na ramieniu, by mnie uciszyć.

– Do zobaczenia jutro na obchodzie, pani Goodchild – powiedział Hughes.

Kiwnął Tony'emu głową i przeszedł do następnej pacjentki.

– Nie wierzę – powiedziałam.

Tony tylko wzruszył ramionami.

– Poradzimy sobie z tym jakoś – stwierdził. W końcu spojrzął na zegarek i uznał, że musi już wracać do redakcji.

– Myślałam, że oddałeś już strony do składu...

– Nie powiedziałem niczego takiego. Poza tym kiedy leżałaś nieprzytomna, wybuchł skandal na temat powiązań wicepremiera Rosji z gangiem rozpowszechniającym dziecięcą pornografię, a w Sierra Leone wybuchła lokalna wojna między konkurencyjnymi frakcjami...

– Masz kogoś na miejscu, we Freetown?

– Wolnego strzelca, Jenkinsa. Jest niezły do spraw lżejszego kalibru. Ale jeśli z tego wykluje się regularna wojna domowa, chyba będziemy musieli wysłać kogoś z naszych.

– Może ciebie, co?

– Marzenia ściętej głowy.

– Jeśli chcesz jechać, jedź. Nie będę cię zatrzymywać.

– Nie zrobiłbym tego, wierz mi.

Jego ton był spokojny, ale jednoznaczny. Po raz pierwszy otwarcie przyznał, że czuje się uwięziony. A przynajmniej ja tak to odebrałam.

– No cóż, dziękuję, że nareszcie wszystko jest jasne – rzuciłam.

– Przecież wiesz, o czym mówię.

– Nie, prawdę mówiąc, nie wiem.

– Jestem redaktorem naczelnym, a naczelni nie bujają się osobiście, żeby relacjonować jakąś gównianą strzelaninę w Sierra Leone. Ale muszą wracać do redakcji, żeby oddać strony do składu.

– No to idź. Nie będę cię zatrzymywać.

– Mówisz to już drugi raz.

Położył swoje dary – plik gazet i więdnące kwiaty – na stoliku przy łóżku.

Dał mi kolejnego niedbałego całusa w czoło.

– Przyjdę jutro.

– Mam nadzieję.

– Zadzwoń z samego rana i dowiem się, czy mogę tu zajrzeć jeszcze przed pracą.

Ale nie zadzwonił. Kiedy ja zadzwoniłam do domu o wpół do dziewiątej, nikt nie odebrał. Kiedy o wpół do dziesiątej zadzwoniłam do gazety, Tony’ego nie było w gabinecie. A kiedy próbowałam się dodzwonić na komórkę, połączyłam się z pocztą głosową. Zostawiłam więc lakoniczną wiadomość: „Siedzę tutaj, zdycham z nudów i zastanawiam się, gdzie jesteś, do cholery? I dlaczego nie odebrałaś telefonu? Proszę, zadzwoń jak najszybciej, bo naprawdę chciałabym wiedzieć, gdzie się podziewa mój mąż”.

Jakieś dwie godziny później zadzwonił telefon przy łóżku. Głos Tony’ego był neutralny jak Szwajcaria.

– Cześć – powiedział. – Wybacz, że wcześniej byłem nieosiągalny.

– Dzwoniłam do ciebie do domu o wpół do dziewiątej. I nie było cię tam.

– A jaki dziś dzień?

– Środa.

– A co robię w każdą środę?

Nie musiałam udzielać mu odpowiedzi, bo dobrze wiedział, że ją znam: jadł śniadanie z naczelnym. Śniadanie w Savoyu, które zawsze zaczynało się o dziewiątej. Co oznaczało, że musiał wyjść z domu koło ósmej. Idiotka, idiotka, idiotka... dlaczego szukasz kłopotów?

– Przepraszam – powiedziałam.

– Nie przejmuj się – odparł tym samym neutralnym, niemal obojętnym tonem. – Jak się czujesz?

– Wciąż do niczego. Ale swędzenie ustało dzięki płynowi kalaminowemu.

– To już coś. Kiedy jest pora odwiedzin?

– Teraz pewnie byś wszedł.

– Właściwie miałem zjeść lunch z gościem, który prowadzi sekcję afrykańską w dziale zagranicznym. Ale mogę to odwołać.

Natychmiast zaczęłam się zastanawiać: dlaczego nie powiedział mi o tym lunchu wczoraj? Albo nie chciał mi wtedy mówić, że nie będzie mógł przyjść rano, albo ten lunch wypadł w ostatniej chwili, ze względu na sytuację w Sierra Leone. Albo... Jezu, nie wiem. To był właśnie coraz większy problem z Tonym: niczego nie wiedziałam. Żył jakby za zasłoną. A może po prostu dawało o sobie znać zmęczenie nadciśnieniem, nie wspominając już o cholestazie i o wszystkim tym, co było teraz częścią mojej cudownej ciąży? Tak czy inaczej, nie miałam zamiaru znów podgrzewać atmosfery głupimi dąsami, że nie może się tu

zjawić natychmiast. Bo nigdzie się nie wybierałam.

- Nie trzeba – powiedziałam. – Zobaczymy się wieczorem.
- Jesteś pewna?
- Zadzwoń do Margaret i zapytam, czy może mnie odwiedzić po południu.
- Coś ci przynieść?
- Kup coś dobrego w Marks&Spencer.
- Nie powinienem być zbyt późno.
- Świetnie.

Margaret zjawiała się w szpitalu pół godziny po moim telefonie. Próbowwała nie pokazać po sobie przerażenia na mój widok, ale jej się nie udało.

- Chcę wiedzieć tylko jedno – powiedziała.
- Nie, Tony mi tego nie zrobił.
- Nie musisz go chronić.
- Nie chronię go, naprawdę. – Opowiedziałam jej o swojej uroczej rozmówce z Hughesem i jak nie dałam się wcielić w poczet oszołomów.

– I bardzo dobrze zrobiłaś, że nie zgodziłaś się brać tego świństwa, skoro masz po nim takie jazdy.

- Po valium robię się agresywna.
- Jak Tony sobie z tym wszystkim poradził?
- W bardzo angielski, flegmatyczny sposób. A tymczasem ja zaczynam powoli wpadać w panikę... nie tylko na myśl o trzech tygodniach przymusowego leżenia tutaj, ale i dlatego, że gazeta nie będzie zachwycona, że wypadłam z gry.

– Przecież nie zwolnią cię z „Post”?

– Chcesz się założyć? Liczą każdy grosz, jak wszystkie gazety w naszych czasach. Chodzą plotki, że zarząd myślał o cięciach w zagranicznych biurach. I jestem pewna, że jeśli wypadnę z obiegu na parę miesięcy, pozbędą się mnie bez namysłu.

- Ale chyba będą musieli zaproponować ci jakieś zadośćuczynienie?
- Nie, ponieważ mieszkam na stałe w Londynie.
- Wyciągasz pochopne wnioski.

– Po prostu jestem realistką. I wiem, że spłacając hipotekę i po wydatkach na remont, nie będziemy mieć za wiele nadprogramowej gotówki.

– To pozwól przynajmniej, żebym ci trochę ułatwiła pobyt w szpitalu.

Opłacę ci prywatny pokój przez następne kilka tygodni.

– Można tu mieć prywatny pokój?

– Ja miałam, kiedy rodziłam dzieci w państwowym szpitalu. To nawet nie jest takie drogie. Starczy jakieś czterdzieści funtów za dobę.

– Przez trzy tygodnie to mimo wszystko mnóstwo pieniędzy.

– Pozwól, że ja się będę o to martwić. W tej chwili musisz żyć możliwie spokojnie... a przebywanie w oddzielnym pokoju na pewno ci w tym pomoże.

– To prawda, ale założmy, że jestem dumna i nie podoba mi się pomysł przyjmowania od ciebie jałmużny?

– To nie jest jałmużna, ale prezent. Zanim ucałuję to miasto na pożegnanie.

Zatkało mnie.

– O czym mówisz? – zapytałam.

– Przenoszą nas z powrotem do Nowego Jorku. Alexander dowiedział się o tym wczoraj.

– Kiedy?

– Za dwa tygodnie. W firmie były spore zmiany personalne i Alexander został mianowany starszym wspólnikiem i szefem sekcji procesowej. A że w szkole jest akurat półrocze, wysyłają nas wszystkich za jednym zamachem.

Mocno mnie to zaniepokoiło. Margaret była moją jedyną przyjaciółką w Londynie.

– Cholera – mruknęłam.

– Tak, to chyba odpowiednie słowo – odparła. – Bo choć w kółko narzekam na Londyn, wiem, że za nim zatęsknię, jak tylko zaszyjemy się z powrotem na przedmieściu, a ja zamienię się w amerykańską mamuszkę i zacznę nienawidzić każdej bladej twarzy, na jaką natknę się w Chappaqua, i będę się zastanawiać, dlaczego wszyscy wyglądają tak samo.

– Czy Alexander nie może poprosić, żeby go tu zostawili dłużej?

– Nie ma szans. Firma płaci, firma wymaga. Za trzy tygodnie będę ci zazdrościć. Bo choć to miasto potrafi doprowadzić do szału, zawsze jest interesujące.

Zanim Tony zjawił się wieczorem w szpitalu, przeniesiono mnie do bardzo miłego,

prywatnego pokoju. Ale kiedy mój mąż zapytał, skąd ta poprawa standardu – i kiedy powie-
działam mu o szczodrości Margaret – zareagował bardzo gwałtownie i bardzo negatywnie.

– A niby dlaczego to zrobiła, do cholery?

– To prezent. Dla mnie.

– Zgrywałaś biedną? – zapytał.

Spojrzałam na niego zdumiona.

– Tony, nie ma potrzeby...

– No, słucham?

– Naprawdę sądzisz, że powiedziałabym coś takiego?

– Najwyraźniej było jej ciebie tak bardzo żal...

– Już ci powiedziałam: to prezent. I to bardzo miły. W ten sposób chciała mi pomóc...

– Nie przyjmujemy go.

– Ale dlaczego?

– Bo nie przyjmę jałmużny od jakiejś bogatej Amerykanki, która...

– To nie jest jałmużna. Margaret jest moją przyjaciółką i...

– Ja za to zapłacę.

– Tony, rachunek jest już uregulowany. O co tyle krzyku?

Umilkł. Wiedziałam, o co chodzi: o dumę Tony'ego. Choć oczywiście nigdy by się do tego nie przyznał. Powiedział tylko:

– Wolałbym po prostu, żebyś to omówiła ze mną.

– No cóż, nie odezwałeś się przez cały dzień, a dopóki nie przeniesiono mnie tutaj, gdzie mam aparat przy łóżku, trochę trudno było mi wstawać i wychodzić, żeby zadzwonić. Tym bardziej, że praktycznie zakazano mi się ruszać.

– Jak się czujesz?

– Swędzenie trochę zelżało. Oczywiście przeniesienie z tego przeklętego oddziału też mi raczej nie zaszkodziło.

Tony unikał mojego wzroku.

– Na jak długo Margaret opłacała pokój?

– Na trzy tygodnie.

– Więc ja zapłacę za każdy dodatkowy dzień.

– Świetnie – odparłam cicho, tłumiąc pokusę, by dodać: „Rób co chcesz, bylebyś tylko był zadowolony”. Wskazałam torbę z Marks&Spencer, którą trzymał w ręce i zapytałam: – Kolacja, mam nadzieję?

Tego wieczoru Tony został godzinę, by popatrzeć, jak pożeram kanapkę i sałatkę, które mi przyniósł. Poinformował mnie też, że zadzwonił do „Post”, do A.D. Hamiltona, i wyjaśnił, że zeszłego wieczoru musiałam pojechać do szpitala.

– Pewnie był niepokieszony – powiedziałam.

– No cóż, raczej niespecjalnie się zmartwił...

– Ale nie powiedziałaś, że wypadłam z obiegu na kilka tygodni?

– Nie jestem aż taki tępy.

– Będę musiała sama zadzwonić do naczelnego.

– Daj sobie parę dni, póki nie poczujesz się trochę lepiej. Masz nerwy w strzępach.

– Słusznie. Jedyne, na co mam w tej chwili ochotę, to zasnąć na następne trzy tygodnie, a potem obudzić się i przekonać, że już nie jestem w ciąży.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział Tony.

– Jasne, jak tylko przestanę wyglądać jak bita żona.

– I tak nikt by nie uwierzył w tę „bitą żonę”.

– Dlaczego?

– Bo jesteś większa ode mnie.

Udało mi się roześmiać. Mój mąż zawsze potrafił odwrócić moją uwagę jakimś dowcipem, ilekroć zmierzaliśmy w stronę kłótni albo kiedy wyczuwał, że za bardzo się czymś przejmuję. Ale choć w tej chwili miałam na głowie mnóstwo zmartwień, byłam też zbyt zmęczona, aby zacząć mu opowiadać o wszystkim, co mnie gryzie – o moim samopoczuciu, o strachu przed utratą dziecka, o niepokoju, jak „Post” zareaguje na moje długie zwolnienie, nie wspominając już o takich drobnostkach, jak stan naszego niewykończonego domu. Ogarnęła mnie fala zmęczenia – powiedziałam więc Tony’emu, że chyba pójdę już spać. Pocałował mnie niedbale w czoło i powiedział, że wpadnie jutro rano, przed pracą.

– Weź wszystkie książki, jakie znajdziesz – poprosiłam. – To będą długie trzy tygodnie.

Zasnęłam na bite dziesięć godzin, po czym obudziłam się o świcie, trochę oszołomiona, ale i zdumiona, że spałam tak długo. Wstałam. Poszłam do łazienki. Spojrzałam na znie-

kształconą twarz w lustrze. Poczułam coś bardzo bliskiego rozpacz. Wysiusiałam się. Swędzenie znów się zaczęło. Wróciłam do łóżka i wezwałam pielęgniarkę. Kiedy przyszła, pomogła mi podciągnąć do góry koszulę nocną i pomalowała brzuch płynem kalaminowym.

Łyknęłam dwie tabletki piritonu i zapytałam siostrę, czy mogłabym dostać herbatę i ze dwa tosty.

– Oczywiście – odparła i wyszła.

Czekając na śniadanie, gapiałam się w okno. Nie padało, ale o szóstej trzy Wciąż było kompletnie ciemno. Nagle przyłapałam się na myśli, że choć bardzo się staramy, tak naprawdę nie panujemy nad trajektorią naszego życia. Możemy się łudzić, że sami jesteśmy kapitanami, wyznaczającymi kurs własnego przeznaczenia... ale przypadkowość wydarzeń nieuchronnie rzuca nas w miejsca i sytuacje, w których nigdy nie spodziewalibyśmy się znaleźć.

Jak ta.

Tony przyszedł tego ranka o dziewiątej, z porannymi gazetami, trzema książkami i moim laptopem. Mieliśmy dla siebie tylko dwadzieścia minut, bo musiał pędzić do redakcji. Ale mimo pośpiechu był miły i szczęśliwie nie wspominał już o naszym wczorajszym małym nieporozumieniu na temat prywatnego pokoju. Usiadł na brzegu łóżka i wziął mnie za rękę. Zadawał wszystkie właściwe pytania na temat mojego stanu zdrowia. Wyglądało na to, że ucieszył się na mój widok. A kiedy błagałam go, żeby nie popuszczał budowlańcom i dekoratorom w domu (bo ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę, był powrót z dzieckiem na rękę na plac budowy), zapewnił, że dopilnuje, by się nie objali.

Kiedy wyszedł, poczułam ukłucie zazdrości. Szedł do pracy, do normalnego świata, a mnie nie wolno było robić niczego produktywnego. Łóżko, łóżko i jeszcze raz łóżko. Żadnej fizycznej aktywności. Żadnych stresów, które mogłyby wywindować moje ciśnienie pod samo niebo. Po raz pierwszy w dorosłym życiu byłam skoszarowana. I zdążyłam się już znużyć swoim więzieniem.

Ale miałam do załatwienia jedną ważną sprawę. Więc przed południem napisałam maila do Thomasa Richardsona, naczelnego „Post”, wyjaśniając swoją sytuację, i że wypadłam z gry aż do porodu. Zapewniłam go też, że zostało to spowodowane czynnikami niezależnymi ode mnie, że wrócę do pracy, kiedy tylko skończy mi się urlop macierzyński, i że jako osoba, która przez całe swoje zawodowe życie uganiała się za tematami artykułów, niezbyt dobrze znoszę przymusowy pobyt w szpitalnym pokoju.

Przeczytałam maila kilkakrotnie, by mieć pewność, że trafiłam w odpowiedni ton i że wystarczająco mocno podkreśliłam chęć jak najszybszego powrotu do pracy. Załączyłam też numer telefonu do szpitala, na wypadek, gdyby Richardson chciał ze mną porozmawiać. Po wysłaniu maila wystukałam też krótki liścik do Sandy z informacją, że moja ciąża nie oparła się prawom Murphy’ego, i ze szczegółowym opisem uciesznych wydarzeń ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Jej też podałam numer do Mattingly. Telefony mile widziane – napisałam – szczególnie że zostałam skazana na trzy tygodnie leżenia plackiem.

Kliknęłam „wyślij”. Trzy godziny później odezwał się telefon; w słuchawce usłyszałam głos mojej siostry.

– Boże drogi – powiedziała Sandy – ty to sobie potrafisz skomplikować życie.

– To nie było moje własne życzenie.

– Na dodatek straciłaś swoje słynne poczucie humoru.

– Ciekawe, jak to się stało.

– Ale nie lekceważ tego incydentu. Stan przedrzucawkowy to poważna sprawa.

– Stan przed-przedrzucawkowy.

– Mimo wszystko, to dość niebezpieczne. Więc choć raz w życiu przestań się bawić w G.I. Jane i posłuchaj, co ci mówi lekarz. Jak Tony sobie z tym radzi?

– Nieźle.

– Czyżbym słyszała w twoim głosie niepewność?

– Może. Ale jest strasznie zajęty.

– To znaczy?

– Nieważne. Pewnie jestem teraz przewrażliwiona.

– Spróbuj się trochę odprężyć, dobrze?

– Niewiele więcej mogę zrobić.

Tego samego popołudnia odebrałam telefon od sekretarki Thomasa Richardsona. Wyjaśniła, że szef wyjechał na kilka dni w interesach do Nowego Jorku, ale przeczytała mu mojego maila i prosił, by mi przekazać, że bardzo się martwi moim stanem i że w tej chwili powinnam myśleć wyłącznie o swoim zdrowiu. Kiedy zapytałam, czy będę mogła osobiście porozmawiać z panem Richardsonem po jego powrocie, zawahała się sekundę, po czym odparła:

– Jestem pewna, że będzie z panią w kontakcie.

To zdanie męczyło mnie cały dzień. Wieczorem, podczas wizyty Tony’ego, zapytałam go, czy nie dostrzega w tej odpowiedzi niczego podejrzanego.

– Chodzi ci o to, dlaczego nie powiedziała wprost: „Wiem, że zamierza panią zwolnić”?

– Coś w tym rodzaju.

– Bo prawdopodobnie nie zamierza cię zwolnić.

– Ale ona tak jakoś dziwnie to powiedziała. „Jestem pewna, że będzie z panią w kontakcie”. To zabrzmiało jakoś tak złowieszczo.

– A nie powiedziała ci też, że Richardson prosił, żebyś się teraz niczym nie przejmowała?

– Tak, ale...

– No i ma rację. Nie powinnaś myśleć o tym wszystkim. Bo, po pierwsze, nie robi ci to dobrze, a po drugie, nawet jeśli rzeczywiście dzieje się coś złego, nic na to nie możesz poradzić.

Tak było naprawdę. W tej chwili nie mogłam zrobić absolutnie nic, oprócz leżenia w łóżku i czekania na dziecko. Było to dziwne i idiotyczne uczucie – takie odcięcie od wszystkiego i przymusowa beczynność. Całe zawodowe życie spędziłam, wypełniając każdą godzinę każdego dnia, nigdy nie pozwalając sobie nawet na dłuższy odpoczynek, nie mówiąc już o tygodniu czy dwóch całkowitego, niczym niezakłóconego lenistwa. Zawsze musiałam być aktywna, zawsze miałam jakieś zadanie do wykonania – mój pracobolizm podszyty był strachem, że zwolnię, że stracę rozpęd. To pragnienie, by być cały czas na wysokich obrotach, nie wynikało z jakiejś pseudopsychologicznej potrzeby, typu „unikanie autoanalizy” czy „ucieczka przed swoim prawdziwym ja”. Po prostu lubiłam być zajęta. Poczucie celu napędzało mnie do życia – nadawało kształt i sens moim dniom.

A teraz czas nagle rozciągnął się jak guma. Z dala od wszelkich zawodowych i domowych wyzwań każdy dzień zrobił się zbyt długi, jak na mój gust. Nie było żadnych terminów do dotrzymania, spotkań, na które trzeba było zdążyć. Pierwszy tydzień nieopstrzeżenie zamienił się w następny. Miałam stałe dostawy książek do czytania. Mogłam nadrobić czteromiesięczne zaległości w czytaniu starych numerów „New Yorkera”.

I szybko uzależniłam się od trzeciego i czwartego programu w radiu, słuchając zachłannie audycji, których uczestnicy zmagali się z ogrodniczymi zawilościami lub dowcipnie i elokwentnie dyskutowali na temat wszelkich dostępnych wykonań XI Symfonii Szostakowicza. Raz dziennie dzwoniła Sandy. Margaret – chwala jej za to – wpadała do szpitala cztery razy w tygodniu. No i co wieczór odwiedzał mnie Tony. Jego wizyty po pracy były jednym z jasnych punktów prozaicznego, szpitalnego dnia. Zawsze starał się zostać godzinę – ale często musiał pędzić z powrotem do biura albo na jakąś „redakcyjną” kolację. Jeśli nie miał głowy zajętej czymś innym, był zabawny i okazywał mi czułość, w rozsądnych granicach. Wiedziałam, że jest pod ogromną presją w gazecie i że dojechanie z Wapping do Fulham pożerało godzinę jego czasu. I choć nigdy nie wyraził tego słowami, wyczuwałam, że zastanawia się po cichu, w co on się, u licha, wpakował – jakim cudem w ciągu niecałego roku jego niezależne życie zamieniło się w kierat pracy od-do i domowych kłopotów, w jakim kręci się większość ludzi. Ale przecież tego chciał, prawda? To on mnie przekonywał, że powinniśmy przyjechać do Londynu i założyć rodzinę. I po początkowych wątpliwościach w całej pełni przyjąłam jego argumenty.

Bo tego chciałam.

Ale teraz...

Teraz nadal chciałam tego wszystkiego, ale pragnęłam też poczucia zaangażowania ze strony mojego męża – dzielenia się troskami. A jednak ilekroć pytałam go, czy coś go gryzie, zawsze robił to samo: zapewniał mnie, że „wszystko jest w porządku”. A potem zmieniał temat.

Kiedy był w formie, trudno było sobie wyobrazić lepsze towarzystwo.

Dopóki nie musieliśmy porozmawiać o poważnych, życiowych sprawach, takich jak moja sytuacja w „Boston Post”.

Jakieś dziesięć dni po wysłaniu pierwszego maila do Thomasa Richardsona byłam coraz bardziej zaniepokojona, że jeszcze do mnie nie zadzwonił – choć Margaret i Sandy zapewniały, że nie chce mi zawracać głowy, póki jestem chora.

– Skup się raczej na tym, żeby poczuć się lepiej – poradziła mi Sandy.

– Ale ja już się czuję lepiej – odparłam. I była to prawda. Nie tylko swędzenie w końcu zniknęło, ale zaczynałam nareszcie odzyskiwać równowagę psychiczną (i to bez pomocy valium). A przede wszystkim betablokery robiły, co do nich należało, bo moje ciśnienie powoli spadło – pod koniec drugiego tygodnia było zaledwie odrobinę wyższe niż normalne. Hughes był ogromnie z tego zadowolony. Kiedy odwiedzał mnie na obchodach dwa razy w tygodniu i patrzył na wyniki wypisane na mojej karcie, stwierdzał, że robię „wspaniałe postępy”.

– Czuje się pani lepiej. Wystarczyło trochę dobrej woli.

– To się raczej nazywa amerykański ośli upór – odparłam, na co Hughes roześmiał się łaskawie.

– Cokolwiek by to było, poprawa pani stanu jest nadzwyczajna.

– Więc uważa pan, że ciąża nie jest już zagrożona?

– Tego nie powiedziałem. Wiemy teraz, że ma pani skłonność do nadciśnienia, a zatem musimy zachować czujność, tym bardziej, że rodzi pani już niedługo. Musi pani unikać wszelkich niepotrzebnych stresów.

– Robię co mogę.

Dwa dni później zadzwonił do mnie Richardson.

– Wszyscy bardzo się o ciebie martwimy... – powiedział, zaczynając swoją zwykłą, ojcowską gadkę.

– Jeśli wszystko pójdzie dobrze, powinnam wrócić do pracy najdalej za sześć miesięcy, i to włączając trzy miesiące urlopu macierzyńskiego.

Na transatlantyckiej linii zapanowała cisza, a ja wiedziałam, że mój los jest przesądzony.

– Niestety, byliśmy zmuszeni wprowadzić parę zmian w zagranicznych biurach. Nasi spece od finansów uparli się, że trzeba trochę zacisnąć pasa.

I dlatego postanowiliśmy przekształcić londyńskie biuro w jednoosobową placówkę. A jako że stan zdrowia wykluczył cię z gry...

– Ale, jak powiedziałam, wrócę za sześć miesięcy.

– A.D. jest starszym korespondentem, a co ważniejsze, pracuje w tej chwili...

A ja byłam absolutnie pewna, że A.D. knuł za moimi plecami od chwili, kiedy powiedziałam o chorobie.

– Czy to znaczy, że pan mnie zwalnia, panie Richardson? – zapytałam.

– Sally, daj spokój. To jest „Post”, a nie jakiś bezduszny, międzynarodowy koncern. Obchodzi nas los naszych pracowników. Będziemy ci wypłacać pełną pensję przez następne trzy miesiące. A potem, jeśli zechcesz do nas wrócić, znajdziemy dla ciebie jakieś stanowisko.

– W Londynie?

Kolejna, pełna napięcia, transatlantycka pauza.

– Jak mówiłem, londyńskie biuro będzie teraz obsadzone przez jednego korespondenta.

– To znaczy, że jeśli chcę pracować, muszę wrócić do Bostonu?

– Zgadza się.

– Ale pan wie, że w tej chwili to niemożliwe. Jestem mężatką zaledwie od kilku miesięcy i lada moment urodzę dziecko...

– Sally, naprawdę rozumiem twoją sytuację. Ale i ty musisz zrozumieć moją. Przeprowadzka do Londynu była twoją decyzją, i poszliśmy ci na rękę. Teraz potrzebujesz długiego zwolnienia, a my nie tylko chcemy ci płacić pełną stawkę przez trzy miesiące, ale też gwarantujemy ci pracę, kiedy znów będziesz mogła pracować. A że ta praca nie jest w Londynie... cóż, mogę powiedzieć tylko, że zmieniły się okoliczności.

Skończyłam grzecznie rozmowę, podziękowałam za trzymiesięczną pensję i powiedziałam, że muszę przemyśleć tę propozycję – choć oboje wiedzieliśmy, że nie ma mowy, bym ją przyjęła. Co z kolei oznaczało, że właśnie zrezygnował ze mnie szef, u którego pracowałam przez szesnaście lat.

Tony ucieszył się, słysząc, że przynajmniej przez kilka miesięcy będę mogła pomagać w spłatach kredytu hipotecznego. Aleja martwiłam się, jak poradzimy sobie z tymi wydatkami z jednej pensji, kiedy pieniądze z „Post” przestaną napływać.

– Coś wymyślimy – brzmiała niezbyt uspokajająca odpowiedź.

Margaret też powiedziała, żebym się przestała martwić o pieniądze.

– Biorąc pod uwagę liczbę gazet w tym mieście, na pewno w końcu znajdziesz jakąś pracę jako wolny strzelec. Ale tylko jeśli to będzie konieczne.

Tony ma rację, masz trzy miesiące świętego spokoju. W tej chwili powinnaś myśleć tylko o tym, jak przetrwać najbliższy tydzień. Będziesz miała dość zmartwień na głowie, kiedy dziecko przyjdzie na świat. A skoro już o tym mowa, nie jesteś przypadkiem zainteresowana sprzątaczką? Ma na imię Cha, była z nami przez cały czas naszego pobytu w Londynie, jest po prostu genialna w swoim fachu i szuka dodatkowego zajęcia. Więc...

– Podaj mi jej numer, omówię to z Tonym. Muszę też przejrzeć domowy budżet, zanim...

– Pozwól, że ja jej zapłacę.

– Nie ma mowy. Po tym, jak zorganizowałaś mi prywatny pokój, czuję się jak podopieczna jakiegoś towarzystwa dobroczynnego.

– Świetnie, uwielbiam działać w słusznej sprawie.

– Nie mogę tego przyjąć.

– Ale będziesz musiała. Bo to mój pożegnalny prezent dla ciebie. Sześć miesięcy Cha, dwa razy w tygodniu. I nic na to nie poradzisz.

– Sześć miesięcy? Jesteś szalona.

– Nieee... bogata – odparła ze śmiechem.

– To żenujące.

– Nie bądź głupia.

– Będę to musiała omówić z Tonym.

– Tony nie musi wiedzieć, że to prezent.

– Wolę być z nim szczerą, szczególnie w takich sprawach. Nie był zachwycony, kiedy się dowiedział, że opłaciłaś mi pokój.

– Z mojego doświadczenia wynika, że „szczerłość” nigdy nie jest najlepszą strategią małżeńską... szczególnie kiedy w grę wchodzi męskie ego.

– Niezależnie od tego, czy przyjmie ten prezent, czy nie, jesteś najlepszą przyjaciółką na świecie. I nie powinnaś wyjeżdżać.

– Właśnie na tym polega problem, kiedy się jest „firmową żoną”. Ci, którzy płacą grube pieniądze, dyktują też, gdzie masz mieszkać. To się chyba nazywa „zaprzedać duszę”.

– Jesteś tutaj moją jedyną kumpelką.

– Już ci mówiłam, że to się zmieni... z czasem. No i przecież zawsze będę na drugim końcu linii telefonicznej, jeśli będziesz chciała się wykrzyknąć... chociaż biorąc pod uwagę, że to ja niedługo utonę po szyję w słodkim bagienku Westchester County, to raczej ty będziesz odbierać histeryczne telefony z drugiej strony Atlantyku.

Wyjechała z miasta dwa dni później. Tego wieczoru zebrałam się w końcu na odwagę, by powiedzieć Tony'emu o pożegnalnym prezencie Margaret.

– Chyba nie mówisz poważnie – powiedział zirytowany.

– Mówię ci, że to był jej pomysł.

– Chciałbym w to wierzyć.

– Naprawdę sądzisz, że zrobiłabym coś tak tandetnego, jak namawianie jej, by opłaciła nam sprzątaczkę na sześć miesięcy?

– To po prostu trochę dziwny zbieg okoliczności, szczególnie po tym, jak...

– Wiem, wiem, zapłaciła za ten cholerny pokój. A ty nie możesz znieść myśli, że ktoś mógłby mi trochę ułatwić życie i...

– Nie o to chodzi, i dobrze o tym wiesz.

– W takim razie o co?

– Sami możemy sobie pozwolić na wynajęcie sprzątaczkę, do cholery.

– Myślisz, że Margaret o tym nie wie? To był tylko prezent. Owszem, zbyt hojny, i dlatego powiedziałam, że go nie przyjmę, dopóki nie omówię tego z tobą. Bo coś mi mówiło, że właśnie tak zareagujesz.

Cisza. Tony ominął wzrokiem moje gniewne spojrzenie.

– Jak się nazywa ta sprzątaczkę? – zapytał.

Podalam mu kartkę, na której Margaret zapisała nazwisko i numer telefonu Cha.

– Zadzwoń i umów się z nią, żeby zaczęła od przyszłego tygodnia. Na nasz koszt.

Nie odpowiedziałam. W końcu Tony znów się odezwał.

– Naczelnicy chce, żebym jutro poleciał do Hagi. To tylko krótka, jednodniowa podróż. Mam napisać artykuł o Trybunale Zbrodni Wojennych.

Wiem, że rodzisz lada chwila. Ale to tylko Haga. Mogę tu być z powrotem w godzinę, jeśli będzie trzeba.

– Jasne – odparłam bezbarwnym głosem. – Jedź.

– Dzięki.

Zmienił temat i opowiedział mi zabawną historyjkę o jakimś koleźce z redakcji, którego przyłapano na manipulacji wydatkami służbowymi. Walczyłam z pokusą, by okazać rozbawienie, bo wciąż dąsałam się po naszej małej wymianie zdań... i nie podobało mi się, że Tony znów próbował swoich sztuczek, by mnie ułagodzić. Kiedy nie skomentowałam jego opowiadania, zapytał:

– Cóż to za pogardliwa mina?

– A czego się spodziewałeś?

– Nie bardzo rozumiem...

– Daj spokój, po tej kłótni...

– To nie była kłótnia, tylko wymiana poglądów. Tak czy inaczej, to już stara historia.

– Po prostu nie potrafię tak na zawołanie zmieniać...

Pochylił się i pocałował mnie.

– Zadzwoń do ciebie jutro z Hagi. I pamiętaj, jestem pod telefonem, gdyby...

Kiedy wyszedł, chyba przez godzinę rozpamiętywałam naszą sprzeczkę, analizując ją zdanie po zdaniu. Jak jakiś postmodernistyczny krytyk literacki próbowałam wydobyć wszystkie implikacje i podteksty – i zastanawiałam się, jakie było jej prawdziwe znaczenie. Z jednej strony u podstaw całej dyskusji jak zwykle leżała próżność Tony’ego. Ale nie dawała mi spokoju o wiele bardziej znacząca kwestia – zdałam sobie sprawę, że wyszłam za kogoś, z kim nie mogę znaleźć wspólnego języka. Oboje mówiliśmy po angielsku, ale to nie była tylko kwestia zwykłych rozbieżności znaczenia słów. To było coś o wiele głębszego i bardziej niepokojącego – strach, że nigdy nie odnajdziemy wspólnej przestrzeni emocjonalnej; że zawsze będziemy dwojgiem obcych ludzi, połączonych przez zupełnie przypadkowe okoliczności.

– Nigdy nie poznasz do końca drugiego człowieka – stwierdziła Sandy podczas naszej wieczornej rozmowy telefonicznej. Ale kiedy wyznałam jej, że coraz trudniej mi rozgryźć Tony’ego, powiedziała: – Spójrz na mnie.

Zawsze uważałam Deana za miłego, solidnego, trochę nudnego gościa. Ale pasowała mi ta jego przyzwoita „nudność”, bo myślałam: przynajmniej będę mogła na niego liczyć. Zawsze będzie przy mnie. A kiedy go poznałam, właśnie tego szukałam. I co się dzieje? Po dziesięciu latach statecznego, przyzwoitego życia i splotzeniu trójki dzieci, on stwierdza, że nie może ścierpieć tej naszej podmiejskiej, statecznej i przyzwoitej sielanki. Poznaje swoją wymarzoną Jane z dżungli, pieprzoną leśniczkę z Maine, i ucieka, żeby zamieszkać z nią w jakiejś chacie w Parku Stanowym Baxter. Jeśli widuje dzieci cztery razy w roku, to jest wydarzenie. A ty przynajmniej od razu zdałaś sobie sprawę, że masz do czynienia z trudnym

facetem. Co, z mojego punktu widzenia, daje ci pewną przewagę. Ale opowiadam ci o rzeczach, o których już wiesz.

Może miała rację. Może po prostu powinnam pozwolić, żeby wszystko się uleało, wkroczyć do królestwa „akceptacji” i innych optymistycznych komunałów w rodzaju: „patrz na wszystko z jasnej strony”, „zapomnij o kłopotach”, „głowa do góry”... i tym podobnych, głupawych, pozytywnych myśli.

Ciągle powtarzałam sobie te mantry w stylu Polyanny. Ciągle starałam się robić dobrą minę do złej gry. Aż w końcu zmęczenie zmusiło mnie do zgaszenia światła. Kiedy odpłynęłam w płytki sen, po głowie tłukła mi się jedna, dziwna myśl: jestem nigdzie.

Aż nagle pojawiła się inna myśl: dlaczego wszystko jest takie mokre?

To mnie z miejsca obudziło. Przez kilka pierwszych sekund myślałam niezbyt przytomnie: przecież polucje nocne miewają tylko faceci. Mrużąc oczy, spojrzałam w stronę okna i zorientowałam się, że na zewnątrz jest jasno. Zerknęłam na zegarek przy łóżku: pokazywał szóstą czterdzieści osiem rano. Ale nagle wróciła myśl sprzed chwili:

Dlaczego wszystko jest takie mokre?

Usiadłam, nagle zupełnie przytomna. Gorączkowo odrzuciłam kołdrę.

Łóżko było kompletnie przemoczone.

Odeszły mi wody.

5

Nie wpadłam w panikę. Nie sparaliżował mnie strach ani zdumienie. Po prostu sięgnęłam do przycisku dzwonka. Potem podniosłam słuchawkę i wykręciłam numer komórki Tony’ego. Było zajęte, więc zadzwoniłam na jego bezpośrednią linię do redakcji i zostawiłam mu krótką wiadomość na poczcie głosowej.

– Cześć, to ja – powiedziałam, wciąż absolutnie spokojna. – To już... więc bądź łaskaw zjawić się w Mattingly, jak tylko wrócisz do Londynu. To naprawdę już.

Gdy odkładałam słuchawkę, zjawiała się położna. Obrzuciła wzrokiem przemoczoną pościel i sięgnęła po słuchawkę. Chwilę potem przyszło dwóch salowych. Podnieśli boki mojego łóżka, odblokowali koła i wypchnęli mnie z pokoju; powieźli mnie labiryntem korytarzy, aż dojechaliśmy na porodówkę. W drodze poczułam narastający skurcz. Kiedy wahadłowe drzwi zamknęły się za mną, ból tak się nasilił, że miałam wrażenie, jakby jakiś Obcy z horroru ścisnął moje wnętrze guzowatą pięścią, chcąc mi pokazać nowe granice cierpienia. Położna – drobna Azjatka – natychmiast ruszyła do akcji. Porwała ze stojącego nie-

opodał wózka pakiet z chirurgicznymi rękawiczkami, rozdarła go, naciągnęła rękawiczki na ręce i poinformowała mnie, że zamierza obejrzeć szyjkę macicy. Choć jestem pewna, że starała się być delikatna, jej okryte gumą palce sprawiały wrażenie ostrych jak brzytwy szponów. Zareagowałam odpowiednio do tego wrażenia.

– Odczuwa pani silny dyskomfort, tak? – zapytała.

Kiwnęłam głową.

– Powiem lekarzowi, żeby panią obejrzał, jak tylko...

– Czy z dzieckiem wszystko w porządku?

– Na pewno wszystko...

Kolejny wściekły skurcz. Krzyknęłam głośno, po czym zapytałam:

– Czy mogę już teraz dostać epidural?

– Dopóki doktor pani nie zbada...

– Błagam...

Poklepała mnie po ramieniu i powiedziała:

– Zobaczę, co się da zrobić.

Ale minęło dziesięć koszmarnych minut, zanim wróciła z recepcjonistą... do tego czasu ból nasilił się tak bardzo, że podpisałabym każdy dokument, przyznałabym się do każdej zbrodni, począwszy od rewolucji francuskiej, na globalnym ociepleniu skończywszy.

– Gdzie pani była? – zapytałam podniesionym, ochrypłym głosem.

– Proszę się uspokoić – odparła położna. – Jeszcze trzy inne pacjentki czekają na USG.

– Ja nie chcę USG. Ja chcę epidural.

Ale zawieziono mnie natychmiast do pracowni USG, gdzie mój brzuch został pokryty żelem, a do skóry przylepiono dwie duże elektrody. Do pokoju wszedł wysoki, tęgi mężczyzna w białym kitlu. Spod kitla wyglądała kraciasta koszula i dziergany krawat. Na nogach miał wielkie, zielone kalosze. Gdyby nie kitel, mógłby uchodzić za wiejskiego pana na włościach.

Tyle że jego kalosze były pochłapane krwią.

– Nazywam się Kerr – rzucił sucho. – Zastępuję dzisiaj pana Hughesa.

Zdaje się, że mamy mały kłopot, co?

Ale nagle przerwał mu technik USG, wypowiadając zdanie, którego nikt nie chciałby

usłyszeć w takich okolicznościach.

– Chyba powinien pan to zobaczyć.

Pan Kerr spojrział na monitor. Jego oczy rozszerzyły się na moment, po czym odwrócił się i spokojnie zaczął działać. Powiedział coś szybko do pielęgniarki.

Ku swemu przerażeniu wychwyciłam słowa: „respirator dla noworodka”.

– Co się dzieje? – zapytałam.

Pan Kerr podszedł do mnie i powiedział:

– Muszę panią teraz zbadać. To może być trochę nieprzyjemne.

Wsunął we mnie palce, zaczął naciskać i sondować. Chciałam zażądać od niego informacji, co się, u diabła, dzieje, ale kolejna fala bólu wyrwała mi krzyk z gardła.

– Za chwilę ściągnę do pani anestezjologa – powiedział pan Kerr. – Musimy natychmiast wykonać cesarskie cięcie.

Zanim zdążyłam na to zareagować, wyjaśnił mi, że badanie USG pokazało, iż pępowina prawdopodobnie okręciła się wokół szyi dziecka.

– Czy dziecko umrze? – przerwałam mu.

– Monitor tętna płodu pokazuje, że serce bije miarowo. Mimo to musimy działać szybko, bo...

Nie zdążył dokończyć zdania, gdyż drzwi otworzyły się i do pokoju weszło pośpiesznie dwóch salowych z wózkami z medycznym sprzętem. Jeden z nich ustawiono koło mnie. Zjawiała się drobna Hinduska w białym kitlu i podeszła do mnie.

– Jestem doktor Chaterjee, anestezjolog – powiedziała. – Zaraz poczuje pani ulgę.

Przemyła grzbiet mojej lewej dłoni wacikiem.

– Teraz małe ukłucie – ostrzegła i wbiła mi igłę w dłoń. – Proszę zacząć liczyć od dziesięciu do zera.

Zrobiłam, co mi kazano, mamrocząc:

– Dziesięć, dziewięć, osi...

I nagle zrobiło się ciemno.

To dziwne uczucie, takie chwilowe wyłączenie ze świata za sprawą chemii. W narkozie nie śnisz ani nie zdajesz sobie sprawy z upływu czasu.

Gościsz w królestwie pustki, gdzie żadne myśli, lęki, zmartwienia nie mają dostępu do

twojej psychiki. W przeciwieństwie do tego mocno nieszczęelnego stanu, zwanego snem, jesteś w stanie jakby zawieszenia życia – co po nieznośnych cierpieniach ostatniej godziny bardzo mi odpowiadało.

A potem się obudziłam.

Potrzebowałam dobrej chwili, by się zorientować, gdzie jestem – szczególnie że pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam, były dwie jarzące się, fluorescencyjne rury zawieszzone nade mną. Powieki miałam na wpół sklezione, przez co wszystko wydawało się rozmazane, niewyraźne. Na dodatek głowę spowijała dziwna mgła, która sprawiała, że wszystkie dobiegające do mnie odgłosy były przytłaczające, ciężkie jak ołów. Przez kilka pierwszych minut przytomności zastanawiałam się, gdzie, u licha, jestem. Stopniowo jednak elementy układanki zaczęły wskakiwać na miejsce: szpital, oddział, łóżko, obolała głowa, obolałe ciało, dziecko...

– Siostrzo! – wrzasnęłam, gorączkowo szukając dzwonka, wiszącego przy łóżku. Przy okazji zorientowałam się, że z obu rąk sterczą mi rurki kroplówek, a dolna połowa ciała nadal jest bez czucia.

– Siostrzo!

Po chwili przy łóżku zjawiała się filigranowa Afrokaraibka.

– Witamy z powrotem – powiedziała.

– Moje dziecko?

– Chłopiec. Trzy kilo siedemset gramów. Gratulacje.

– Mogę go zobaczyć?

– Jest na intensywnej terapii. To rutynowa procedura po porodzie z komplikacjami.

– Chcę go zobaczyć. Teraz. – I dodałam: – Proszę.

Pielęgniarka przyjrzała mi się uważnie.

– Zobaczę, co się da zrobić.

Wróciła kilka minut później.

– Idzie do pani pan Kerr.

– Zobaczę moje dziecko?

– Proszę porozmawiać z panem Kerrem.

W tej chwili wszedł pan Kerr. Ten sam biały kitel, ta sama koszula, te same kalosze – tyle że tym razem jeszcze bardziej zakrwawione... bez wątplenia dzięki mnie.

– Jak się pani czuje?

– Proszę powiedzieć, co z moim synem.

– Cesarskie cięcie przebiegło bez komplikacji... A pępowina nie była tak ciasno owinięta na szyi dziecka, jak się obawiałem. Więc w sumie...

– To dlaczego jest na intensywnej terapii?

– Standardowa procedura pooperacyjna, szczególnie w przypadku noworodka po trudnym porodzie. Musieliśmy go wentylować zaraz po urodzeniu. ..

– Wentylować?

– Podać mu tlen. Był trochę wiotki, ale dobrze zareagował na wentylację...

– Więc pępowina na szyi mogła spowodować uszkodzenie mózgu?

– Jak już powiedziałem, ku mojej ogromnej uldze okazało się, że nie zacisnęła się mocno na szyi pani syna. Ale wykonaliśmy już USG, by się upewnić, że w mózgu nie ma wylewu...

– Był?

– Nie, absolutnie niczego nie znaleźliśmy. A co ważniejsze, jego test APGAR wypadł w normie.

– Jaki test?

– APGAR to coś w rodzaju listy parametrów, według której ocenia się każdego noworodka, takich jak tętno, odruchy, oddychanie i ogólny wygląd. Jak już powiedziałem, pani syn bez problemu zmieścił się w normie.

A za dzień czy dwa zrobimy mu EEG i rezonans magnetyczny, by się upewnić, że od strony neurologicznej wszystko działa jak należy. Ale na razie starałbym się tym nie martwić...

Jak słowo daję...

– Muszę go zobaczyć.

– Oczywiście. Ale zdaje sobie pani sprawę, że jego wygląd może panią mocno poruszyć. Pediacyjny OIOM to nie jest najprzyjemniejsze miejsce.

– Poradzę sobie.

– No dobrze. Ale proszę zrozumieć, że przez jakiś tydzień musi się pani bardzo oszczędzać. Przeszła pani poważny zabieg chirurgiczny.

Ruszył do wyjścia, ale od drzwi odwrócił się jeszcze i powiedział:

– A, byłbym zapomniał... gratulacje. Odezwał się może ojciec?

– Nie dzwonił do szpitala? – zapytałam pielęgniarki.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparła. – Ale zapytam koleżanek. Jeśli zapisze mi pani jego numer, spróbuję do niego zadzwonić.

Spojrzałam na ścienny zegar. Piętnaście po szóstej.

– Może ja spróbuję? – zapytałam.

Ale w tej chwili zjawilo się dwóch salowych z wózkiem. Był to specjalny wózek, przystosowany dla pacjenta z kroplówkami, wyposażony w stelaż, na którym można było zawiesić butelki z osoczem i solą fizjologiczną.

– Ja do niego zadzwonię – powiedziała pielęgniarka. – Ci panowie niedługo będą potrzebowali wózka z powrotem. Prawda?

– Na nasze najlepsze wózki zawsze jest wielkie zapotrzebowanie – odparł jeden z salowych. – No, kochana. Zawieziemy panią do synka.

Pielęgniarka podała mi notes i długopis. Zapisałam jej numer Tony'ego do pracy, na komórkę i nasz numer domowy. Obiecała, że jeśli nie złapie go bezpośrednio, zostawi wiadomości pod wszystkimi trzema numerami. Salowi zabrali się do przenoszenia mnie z łóżka na wózek. Spodziewałam się, że odłączą mnie od tych wszystkich rurek, a potem będę musiała znosić wkłuwanie ich od nowa. Ale panowie (obaj wyglądali jak członkowie drużyny zapaśniczej) okazali się bardzo zręczni; podnieśli mnie z łóżka i posadzili na wózku bez odczepiania kroplówek. Kiedy tylko znalazłam się w pozycji siedzącej, załała mnie fala zmęczenia, szok pooperacyjny. Zakręciło mi się w głowie, świat zamienił się w wielki wir, żołądek podszedł do gardła. Suche skurcze wymiotne wkrótce minęły, pozostawiając po sobie tylko paskudny posmak w ustach i załzawione oczy.

Pielęgniarka otarła mi twarz dużym zwitkiem waty.

– Na pewno chce pani jechać teraz? – zapytała.

Kiwnęłam głową. Pielęgniarka wzruszyła ramionami i skinęła na salowych, żeby ruszali.

Powieźli mnie przez oddział położniczy, mijając sześć kobiet – wszystkie miały przy sobie dzieci w małych, dostawianych łóžeczkach. Potem wjechaliśmy w długi korytarz i dotarliśmy do windy. Kiedy otworzyły się drzwi, zobaczyłam, że mamy towarzystwo – starszą kobietę na noszach, oplecioną kablami monitorów i rurkami kroplówek. Jej oddech rzeźił na granicy agonii. Nasze oczy spotkały się na chwilę – widziałam jej panikę, przerażenie.

W głowie tłukła mi się tylko jedna myśl: jedno życie się kończy, inne zaczyna. Oczywiście, jeśli mój syn z tego wyjdzie.

Winda wjechała dwa piętra w górę. Drzwi otworzyły się i stanęliśmy naprzeciw kolejnych, dwuskrzydłowych, przy których zawieszona była tabliczka: PEDIATRYCZNY ODDZIAŁ INTENSYWNEJ TERAPII. Bardziej gadatliwy z salowych pochylił się do mnie i szepnął mi do ucha:

– Na pani miejscu patrzyłbym na podłogę, dopóki nie dojedziemy do pani malca. Proszę mi wierzyć, tu może być trochę nieprzyjemnie.

Skorzystałam z jego rady i patrzyłam w dół, kiedy cichutko jechaliśmy przez oddział. Ale choć nie patrzyłam na boki, natychmiast uderzyło mnie wszechobecne, niebieskie światło (jak się dowiedziałam później, miało ono pomóc dzieciom z żółtaczką). Poza tym kompletny brak ludzkich głosów... słychać było tylko dźwięki wydawane przez medyczną aparaturę; miarowy rytm małych, bijących serc, przełożony na elektroniczne piski.

Po jakiejś minucie wózek się zatrzymał. Moje powieki już dawno były mocno zaciśnięte, ale gadatliwy salowy dotknął delikatnie mojego ramienia i powiedział:

– Jesteśmy na miejscu.

W głębi duszy miałam ochotę nie otwierać oczu i zażądać, by odwieziono mnie z powrotem do pokoju. Bo nie wiedziałam, czy będę w stanie znieść to, co za chwilę zobaczę. Ale wiedziałam, że muszę go zobaczyć – niezależnie od tego, w jakim jest stanie. Podniosłam więc głowę. Wzięłam głęboki oddech. Otworzyłam oczy. I...

Zobaczyłam go.

Wiedziałam, że będzie w inkubatorze – i rzeczywiście wyglądał, jakby leżał w małym, plastikowym sarkofagu. Wiedziałam, że będą przewody i kroplówki. Ale przeżyłam szok na widok całej sieci kabli i rurek przyczepionych do każdego możliwego miejsca na ciele – łącznie z dwoma plastikowymi wężykami wychodzącymi z jego nozdrzy i aparatem do gazometrii przyczepionym do pępka. Wyglądał jak mały Marsjanin, jak ktoś nie z tego świata – i rozpaczliwie bezbronnie. Ale nagle przysłała mi do głowy kolejna straszna myśl: czy to naprawdę jest mój syn? Mówią, że powinno się poczuć przypływ bezwarunkowej miłości na sam widok dziecka... od pierwszej chwili powinien się zacząć proces „tworzenia więzi”. Ale jak ja mogłam stworzyć więź z tym maleńkim nieznajomym, który w tej chwili wyglądał jak jakiś przerażający medyczny eksperyment?

W chwili, kiedy przez moją głowę przemknęły te okropne myśli, poczułam ogromny, przytłaczający wstyd – i paniczny strach, że może jestem niezdolna do miłości macierzyńskiej. Ale w tym samym ułamku sekundy do mojego mózgu wkradł się inny głos, który kazał mi się opanować.

To objawy pooperacyjnego szoku, mówił ten racjonalny, uspokajający głos. Twoje dziecko może się okazać bardzo chore, jesteś nafaszerowana lekami, straciłaś dużo krwi... więc to normalne, że wszystko jest wypaczone. To się nazywa szok – a największym szokiem ze wszystkich jest widok twojego nowo narodzonego dziecka w tak opłakanym stanie. Więc masz prawo się czuć, jakby świat stanął na głowie. Bo faktycznie stanął.

Spróbowałam się uspokoić – znów spojrzałam na mojego syna i czekałam, aż zaleje

mnie fala przywiązania. Ale patrząc w inkubator, czułam tylko strach. Paralizujące przerażenie – nie tylko na myśl, że może mieć uszkodzony mózg, ale też, czy ja sobie z tym wszystkim poradzę. Miałam ochotę zapłakać nad nim – i nad sobą. I chciałam uciec z tego miejsca.

Rozmowny salowy jakby wyczuł to wszystko, bo znów łagodnie dotknął mojego ramienia i szepnął:

– Odstawimy panią do łóżka, kochana.

Zdołałam kiwnąć głową, dławiąc w gardle szloch.

Odwieźli mnie z powrotem do pokoju. Delikatnie przesadzili mnie na łóżko i zawiesili nade mną moje butelki. Na stoliku obok łóżka leżało lusterko. Podniosłam je. Moja twarz miała kolor popiołu. Próbowałam poruszyć mięśniami twarzy, ale były nieruchome-jakby skamieniały albo jakby wciąż były pod wpływem środków znieczulających, które krążyły w moim krwiobiegu. Wyglądałam jak ludzie, których czasem widzi się w wiadomościach – którzy wyszli cało z zamachu bombowego, a ich twarze pod wpływem szoku zastygły w maski bez wyrazu. Odłożyłam lusterko. Opadłam na twardą, sztywną od krochmalu szpitalną poduszkę. To jak spadanie w otchłań...

– pomyślałam. Spadam w pustkę, ale jestem zbyt otepiała, by się tym przejmować.

I nagle, ni stąd, ni zowąd, zaczęłam płakać. Moje zawodzenie miało w sobie niemal zwierzęcą gwałtowność – głośny, niepohamowany, głuchy skowyt. Pielęgniarka, która wbiegła do pokoju, pomyślała pewnie, że to reakcja na stan mojego dziecka, a do tego zwykła, pooperacyjna huśtawka emocjonalna. Prawda była jednak taka, że nie wiedziałam, dlaczego płaczę.

Bo nie czułam absolutnie niczego. Wszystkie moje uczucia były jak zdrtwiałe. A mimo to chciało mi się krzyczeć.

– Już dobrze, już dobrze – powiedziała siostra, ujmując mnie za rękę. – To na pewno był szok, kiedy zobaczyła pani...

Ale zagłuszyłam jej słowa jeszcze głośniejszym wyciem... choć wcale nie miałam zamiaru tak dać się ponieść. Nie bardzo wiedziałam, co robię – płakałam dla samego płaczu. I nie byłam w stanie się powstrzymać.

– Sally...Sally...

Zignorowałam ją; odepchnęłam jej rękę, zwinęłam się w kłębek, przycisnęłam poduszkę do twarzy i wbiłam w nią zęby, by stłumić zawodzenie.

I choć poduszka stłumiła dźwięk, nie zahamowała płaczu. Pielęgniarka położyła jedną rękę na moim ramieniu, a drugą sięgnęła po walkie-talkie, które nosiła przy pasku. Kiedy skończyła rozmawiać, powiedziała:

– Spokojnie. Zaraz nadejdzie pomoc.

„Pomocą” okazała się druga pielęgniarka z wózkiem wyładowanym medycznymi utensyliami. Towarzyszył jej dyżurny lekarz. Siostra, która siedziała ze mną, szybko zdała im relację z sytuacji. Lekarz wziął moją kartę, przejrzał ją uważnie, wydał polecenia pielęgniarkom i wyszedł. Po chwili poczułam, że ktoś podwija mi lewy rękaw koszuli.

– Doktor uważa, że to pomoże się pani uspokoić – powiedziała pielęgniarka.

Nie odpowiedziałam, bo wciąż zagryzałam w zębach poduszkę. Poczułam ukłucie igły i ciepło rozchodzące się po żyłach.

A potem ktoś wyłączył światło.

Kiedy wróciłam na term firma, nie doświadczyłam już tak gwałtownego szoku, który towarzyszył przebudzeniu po porodzie. Nie, tym razem świat nabierał ostrości powoli – w ustach miałam Saharę, a wszystko wokół było jakieś mętne, zamglone, jakbym ocknęła się w krainie z waty. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłam, była mała karafka z wodą na stoliku przy łóżku, „odniosłam ją i opróżniłam w dziesięć sekund. Potem poczułam potężne Parcie na pęcherz, ale rany i kroplówki ograniczały mi ruchy, sięgnęłam po dzwonek i wezwałam pielęgniarkę.

Tym razem była to już inna siostra – chuda, nosata kobieta po czterdziestce, mówiąca z ulsterskim akcentem i – oględnie mówiąc – dość nieprzyjemna. Przeczytałam nazwisko na plakietce: DOWLING.

– Tak? – zapytała.

– Muszę iść do łazienki.

– Jak bardzo?

– Bardzo bardzo.

Wydała z siebie ciche, ale wiele mówiące westchnienie niesmaku, sięgnęła pod łóżko, wyciągnęła biały, emaliowany basen i powiedziała:

– Proszę unieść pośladki.

Próbowałam spełnić jej polecenie, ale nie miałam dość sił, by wykonać nawet tak proste zadanie.

– Chyba będzie siostra musiała mi pomóc.

Kolejne ciche, zniesmaczone westchnienie. Ściągnęła ze mnie kołdrę.

Wsunęła rękę pod mój tyłek, dźwignęła go do góry, zadarła mi koszulę nocną i podsunęła pode mnie basen.

– No dobrze – powiedziała. – Do dzieła.

Ale nie mogłam się „wziąć do dzieła” w takiej pozycji – czułam się, jakby ułożono

mnie w jakiejś perwersyjnej seksualnej pozycji. A zresztą, do cholery, kto potrafi sikać na leżąc?

– Musi mnie siostra posadzić – powiedziałam.

– Sporo z panią roboty – rzuciła.

Miałam ochotę coś odwrzasnąć, ale mój mózg, spowity mgłą, nie był w stanie zmobilizować się do kłótni. Wiedziałam też, że nie zdołam długo kontrolować pęcherza.

– No dobrze – powiedziała ze znużeniem, łapiąc mnie pod ramię i podciągając do góry. Podpierała mnie w tej pozycji, aż wreszcie sobie ulżyłam.

Czułam spływający przede mną ciepły mocz; śmierdział chemikaliami tak bardzo, że pielęgniarka zmarszczyła nos z obrzydzeniem.

– Co pani piła? – zapytała bez cienia ironii w głosie.

Ale nagle zza jej pleców odezwał się głos:

– Pani zawsze mówi w ten sposób do pacjentów?

Tony.

Widziałam, że mi się przygląda – i zapewne zauważył nie tylko moją zenującą pozycję okrakiem na basenie, ale i bladą skórę, przerażone oczy i ogólny opłakany stan. Uśmiechnął się półgębkiem i kiwnął głową, ale natychmiast zajął się z powrotem pielęgniarką. A ona, jak każdy mały tyran przyłapany na gorącym uczynku, natychmiast wycofała się przestraszona.

– Nie chciałam nikogo urazić.

– Owszem, chciała pani – powiedział Tony, z rozmysłem wpatrując się w jej plaketkę z nazwiskiem. – Widziałem, jak się pani z nią obeszła.

Kobieta była zaniepokojona. Odwróciła się do mnie.

– Bardzo przepraszam. Mam kiepski dzień i naprawdę nie chciałam odbijać sobie tego...

Tony uciął jej wywody.

– Proszę zabrać basen i zostawić nas.

Zrobiła, co kazał, opuściła mnie delikatnie na poduszkę i okryła kołdrą.

– Państwo sobie jeszcze czegoś życzą? – zapytała nerwowo.

– Nie, ale chciałbym się dowiedzieć nazwiska pani przełożonego – odparł Tony.

Pospiesznie wyszła z pokoju, przestraszona nie na żarty.

– Jak się pani podobało przedstawienie, pani Lincoln? – zapytał mnie Tony. Pocałował mnie w głowę. – I jak się miewa nasz synek?

– Marnie – odparłam.

– Wczoraj wieczorem powiedzieli mi co innego.

– Byłeś tu wczoraj wieczorem?

– Tak, kiedy spałaś. Siostra powiedziała, że byłaś...

– Co, trochę rozchwiana? A może użyła jakiegoś typowego, angielskiego eufemizmu, jak na przykład „pańska żona dostała lekkiego kuku”?

– Tak myślisz, Sally?

– Och, daruj sobie ten pieprzony, rzeczowy ton, Anthony.

Widziałam, jak sztywnieje – nie tylko z powodu mojego nedorzecznego wybuchu, ale i dlatego, że znów się nagle rozplakałam.

– Chcesz, żebym przyszedł później? – zapytał cicho.

Pokręciłam głową. Wzięłam głęboki oddech. Zdołałam powstrzymać łzy.

– Naprawdę byłeś tu wczoraj?

– Owszem. Tuż przed jedenastą, przyjechałem prosto z lotniska. I od razu przyszedłem do ciebie. Ale powiedzieli mi...

– .. że dali mi na uspokojenie z powodu napadu płaczu?

– ... że przeżyłaś ciężkie chwile, więc dali ci coś, żeby pomóc ci zasnąć.

– Byłeś tu o jedenastej?

– Już ci mówiłem. I to dwa razy.

– A dlaczego nie wcześniej?

– Bo siedziałem w tej cholерnej Hadze, o czym doskonale wiesz, do diabła. A teraz może porozmawiamy o ważniejszych sprawach... na przykład o Jacku.

– Kto to jest Jack?

Tony spojrział na mnie ze zdumieniem.

– Nasz syn.

– Nie wiedziałam, że ma już imię.

- Rozmawialiśmy o tym cztery miesiące temu.
- Nic podobnego.
- W ten weekend w Brighton, kiedy szliśmy deptakiem...

Nagle przypomniałam sobie tę rozmowę. Pojechaliśmy na weekend do Brighton, żeby „odetchnąć od tego wszystkiego” (słowa Tony’ego); padało przez cały czas, a Tony’ego dopadło lekkie zatrucie po zjedzeniu podejrzanych ostryg w jakiejś stanowczo za drogiej jak na swój standard knajpie z owocami morza – a ja nie mogłam się opędzić od myśli, że to nadmorskie miasteczko stanowi intrygującą mieszankę szyku i taniochy – i prawdopodobnie właśnie dlatego Anglicy lubili je tak bardzo. Ale zanim Tony zaczął wypluwać wnętrzności w naszym sponsorowanym apartamencie w Grandzie, poszliśmy na krótki, mokry spacer nadmorskim deptakiem. I właśnie wtedy wspomniał, że Jack to byłoby dobre imię, gdyby dziecko okazało się chłopcem. Na co odparłam (i pamiętam to dokładnie):

– Tak, Jack to całkiem niezłe imię.

Ale nie miało to znaczyć, że zgadzam się na imię Jack.

– Ja powiedziałam tylko...

– .. że podoba ci się imię Jack. A ja wziąłem to za twoją zgodę. Przepraszam.

– Nic się nie stało. Przecież to jeszcze nic wiążącego.

Tony, siedzący na brzegu łóżka, poruszył się niespokojnie.

– No więc, tak właściwie...

– Co?

– Dziś rano poszedłem do ratusza w Chelsea i wziąłem formularze, żeby go zarejestrować. Jack Edward Hobbs... Edward oczywiście po moim ojcu.

Spojrzałam na niego przerażona.

– Nie miałaś prawa. Kurwa, nie miałaś prawa...

– Mów ciszej.

– Nie każ mi być ciszej, kiedy...

– Czy nie moglibyśmy wrócić do tematu Jacka?

– To nie jest Jack! Rozumiesz? Nie zgadzam się, żeby miał na imię Jack...

– Sally, jego imię nie jest usankcjonowane prawnie, dopóki ty nie podpiszesz formularza. Więc gdybyś mogła...

– Co? Zachowywać się rozsądnie? Zacisnąć zęby, jak wy wszyscy, drętwi Angole, kiedy mój syn, tam na górze, umiera...

– Nie umiera.

– Umiera, a ja mam to gdzieś. Rozumiesz? Mam to gdzieś.

Opadłam z powrotem na poduszki, naciągnęłam kołdrę na głowę i poddałam się kolejnemu atakowi płaczu. I tak jak wczoraj wзираła spod niego straszliwa pustka. Pielęgniarka natychmiast była na miejscu. Słyszałam pospieszną, szeptaną rozmowę... zdania takie jak „widywaliśmy już takie rzeczy”, „to się często zdarza po trudnym porodzie”, „biedactwo, ten stres jest ponad jej siły” i – najgorsze ze wszystkiego – „za parę dni będzie zdrowa jak rybka”.

Choć głowę miałam przykrytą kołdrą, znów zwinęłam się w kłębek i zatopiłam zęby w poduszce, by stłumić krzyk. I tak jak wczoraj nie broniłam się, czując, jak czyjaś stanowiąca dłoń przytrzymuje moje ramię, a ktoś inny odsuwa kołdrę, podwija mi rękaw i kluje igłą.

Ale tym razem nie odleciałam do krainy snów. Nie, tym razem ogarnął mnie nieziemski bezwład. Czulałam się, jakbym była zawieszona nad pokojem i z góry obserwowała krzątanie personelu. Zawładnęła mną błoga obojętność; byłam jak przypadkowa turystka, która jakimś cudem zawędrowała do tej dziwnej dzielnicy i z całą pewnością wolałaby być gdzie indziej, ale wytrąbiła tyle tanich, francuskich bąbelków, że teraz nie potrafiła określić nawet pory dnia i była całkowicie zadowolona ze swojego nieważkiego stanu. Nie spałam, nie byłam też przytomna... po prostu byłam.

Pozostałam w tym narkotycznym błogostanie aż do następnego ranka – kiedy dostrzegłam wpadające przez okno ostre smugi światła, i choć mój umysł był pełen cieni jak kryminal z lat pięćdziesiątych, czulałam się dziwnie wypoczęta, mimo iż nie wiedziałam nawet, czy w ogóle spałam.

Przez pierwsze dziesięć sekund przytomności pławiłam się w rozkosznej pustce, gdzie nie istnieje przeszłość ani czas terażniejszy... nie mówiąc już o przyszłości.

A potem świat zwałił się na mnie. Gorączkowo odnalazłam przycisk dzwonka. Dyżur miała ta sama niesympatyczna Irlandka – tyle że teraz, po tym, jak Tony ją obsztorcował, była wcieleniem słodocy.

– Dzień dobry, pani Goodchild. Zdaje się, że świetnie pani spała. A widziała pani, co się tu zjawilo, kiedy pani spała?

Minęła chwila, zanim udało mi się skupić wzrok na trzech wielkich bukietach, które zdobiły narożniki pokoju. Pielęgniarka wyjęła z nich wizytówki i podała mi je. Jeden bukiet od naczelnego „Chronicie”. Drugi od ekipy Tony’ego w dziale zagranicznym. Trzeci od Margaret i Alexandra.

– Śliczne, prawda? – powiedziała siostra Dowling.

Gapiałam się na bukiety, nie mając na ich temat jakiegokolwiek opinii. Kwiaty, i tyle.

– Może przynieść pani herbaty? – zapytała siostra Dowling. – A może śniadanko?

– Nie wie pani przypadkiem, jak się czuje mój syn?

– Prawdę mówiąc, nie wiem, ale mogę się zaraz dowiedzieć.

– To by było bardzo miło z pani strony. I gdybym mogła... uch...

Siostra Dowling doskonale wiedziała, o czym mówię. Podeszła do łóżka, wyjęła z szafki basen, pomogła mi go dosiąść i zabrała, kiedy znów napełniłam go woniejącą uryną.

– Boże, co za smród – rzuciłam, kiedy układała mnie z powrotem na poduszkach.

– To przez leki – powiedziała. – Ale kiedy przestanie je pani brać, ten paskudny zapach zniknie. A jak tam szwy?

– Ciągłe bolą.

– Musi minąć z tydzień, żeby przestało. A tymczasem przyniosę pani miskę z wodą, żeby mogła się pani odświeżyć i umyć zęby. Zgodna?

Obsługa jak w pięciogwiazdkowym hotelu. Podziękowałam pielęgniarce i poprosiłam jeszcze raz, żeby się dowiedziała, co z Jackiem.

– O, już pani wybrała imię.

– Tak – odparłam. – Jack Edward.

– Dobrze, mocne imię – powiedziała. – Zaraz wracam z herbatą i wieściami o Jacku.

Jack. Jack. Jack.

I nagle ogarnęła mnie fala niewyobrażalnego wstydu. „On umiera, a ja mam to gdzieś. Rozumiesz? Mam to gdzieś”.

Jak mogłam to powiedzieć? Czyżbym tak bardzo straciła panowanie nad sobą, że głośno wyraziłam swoją obojętność wobec losu własnego syna?

Tym razem, zamiast szukać dla siebie usprawiedliwień, zamiast wmawiać sobie, że to szok pooperacyjny i fizjologiczna reakcja na środki psychotropowe, które we mnie pompo- wano, zaczęłam się pograżać w otchłani samopotępienia. Nie nadawałam się na matkę, na żonę, na przedstawicielkę ludzkiego gatunku. Odrzuciłam wszystko, co było dla mnie ważne – nowo narodzone dziecko i męża -jednym obłąkanym wybuchem gniewu. I zasługiwałam na wszystko, co mnie teraz za to spotka.

Ale przede wszystkim zniknęła wczorajsza niezrozumiała, nienormalna wściekłość. Teraz mogłam myśleć tylko o jednym: muszę być z Jackiem.

Siostra Dowling wróciła ze śniadaniem i wiadomościami.

– Z tego, co wiem, pani maluch ma się dobrze. Lekarze są zadowoleni z poprawy jego stanu i za parę dni pewnie przeniosą go z OIOM-u.

– Mogę go zobaczyć?

– Oczywiście.

Ledwie dziobałam śniadanie – głównie dlatego, że mój apetyt przytłumiła paląca potrzeba, by porozmawiać z Tonym. Chciałam uderzyć się w piersi i błagać o wybaczenie za moje wczorajsze wariackie zachowanie, i powiedzieć mu, że on i Jack to najlepsze, co mnie spotkało w życiu. I oczywiście podpisać formularz rejestracyjny z imionami Jack Edward. Bo... bo... bo...

Cholera, tylko nie to...

Płacz zaczął się na nowo. Kolejny długi napad głośnego, nieznośnego zawodzenia. No już, przestań, mówiłam sobie. Ale szybko się przekonałam, że to absurdalny pomysł, bo znów kompletnie się rozpadłam. Tyle że tym razem byłam na tyle świadoma tego nagłego załamania, że wystraszyłam się go nie na żarty. Przede wszystkim bałam się, że personel uzna mnie za niezrównoważoną i że trzeba mi zaaplikować jeszcze mocniejsze środki.

Wepchnęłam więc poduszkę do ust, chwyciłam ją kurczowo jak koło ratunkowe i zaczęłam w myśli liczyć od stu wstecz, powtarzając sobie, że muszę się wziąć w garść, zanim dojdę do zera. Ale w trakcie tego odliczania czułam, że mój głos przybiera na sile – choć przecież nic nie mówiłam. Ciśnienie, napierające od tyłu na moje oczy, stało się nie do wytrzymania-byłam pewna, że gałki oczne lada moment wyskoczą mi z głowy. Ale kiedy już myślałam, że odlecę ostatecznie, zjawiała się siostra Dowling w towarzystwie salowego. Poczulałam jej dłoń na ramieniu; usłyszałam, że woła moje imię, pyta, co się dzieje. Kiedy nie odpowiedziałam, usłyszałam, jak prosi salowego, żeby sprowadził siostrę oddziałową. W tym momencie dotarłam do trzydziestu dziewięciu i nagle usłyszałam własny krzyk:

– Trzydzieści dziewięć!

Wszyscy osłupieli – szczególnie siostra Dowling, która zagapiła się na mnie okrągłymi oczami, jakbym kompletnie postradała rozum.

Co było bardzo bliskie prawdy.

– Co się stało? – zapytała. Nie znałam odpowiedzi, powiedziałam więc tylko:

– Zły sen.

– Ale pani nie spała.

– Nie – skłamałam. – Zasnęłam, kiedy siostra wyszła.

– Jest pani pewna, że już wszystko w porządku?

– W absolutnym – odparłam, dotykając mokrej twarzy i usiłując zetrzeć ślady łez. – Po

prostu koszmar senny.

Obok łóżka stanęła oddziałowa, w samą porę, by usłyszeć ostatnie zdanie.

Była budzącą respekt Afrokaraibką po czterdziestce i widziałam wyraźnie, że nie wierzy w ani jedno słowo.

– Może potrzebuje pani zastrzyku, Sally.

– Nic mi nie jest – odparłam nerwowo. Bo zupełnie mi się nie uśmiechała kolejna narkotyczna jazda do krainy Niby-Niby. Wiedziałam, że za wszelką cenę muszę nad sobą zapanować.

– Chciałabym w to wierzyć – powiedziała oddziałowa. – Ale z pani karty wynika, że przydarzyły się pani już dwa takie incydenty. I musi pani wiedzieć, że to się zdarza po tak ciężkim porodzie. Mimo wszystko, to niepokojące i jeśli to się utrzyma...

– Nie utrzyma się – oznajmiłam kategorycznie.

– Sally, nie próbuję pani grozić. Chcę tylko, by pani zrozumiała, że to rzeczywisty, medyczny problem, który spróbujemy leczyć, jeśli...

– Już mówiłam. To był tylko senny koszmar. Obiecuję, że to się więcej nie powtórzy. Naprawdę, obiecuję.

Oddziałowa i siostra Dowling wymieniły szybkie spojrzenie.

Oddziałowa wzruszyła ramionami.

– No dobrze – powiedziała. – Tym razem obejdziemy się bez leków. Ale gdyby się zdarzył kolejny incydent...

– Nie zdarzy się żaden incydent.

Mój poirytowany ton podniósł się o oktawę. Kolejne znaczące spojrzenie między pielęgniarkami. Rozładować sytuację. Natychmiast.

– Ale bardzo chciałabym zobaczyć mojego synka – powiedziałam. Mój głos wrócił do bezpiecznych rejestrów.

– Nie powinno być problemu, ale dopiero po porannym obchodzie pana Hughesa.

– Muszę czekać tak długo?

– To tylko godzinka...

– Jak słowo daję... – powiedziałam, znów o wiele za głośno. Kiedy zobaczyłam kolejne wymowne spojrzenie oddziałowej i siostry Dowling, zrozumiałam, że muszę ratować, co się da, i odczekać tę godzinę.

– Przepraszam, przepraszam – rzuciłam odrobinę za szybko. – Ma pani rację, oczywiście. Poczekam, aż przyjdzie pan Hughes.

– Świetnie – odparła oddziałowa, patrząc mi prosto w oczy. – I proszę się za bardzo nie przejmować tym, co się z panią teraz dzieje. Wiele pani przeszła.

Uśmiechnęła się i pogłaskała mnie po ramieniu. W końcu wyszła. Siostra Dowling zapytała:

– Przynieść pani coś jeszcze?

– Gdyby mogła mi siostra podać telefon...

Postawiła aparat obok łóżka i poszła sobie. Wystukałam domowy numer.

Nikt nie odebrał... co trochę mnie zaniepokoiło, bo było dopiero wpół do dziewiątej rano, a Tony zawsze lubił sobie pospać. Zadzwoiłam na komórkę. Odezwał się natychmiast. Ulżyło mi, gdy usłyszałam odgłosy ruchu ulicznego.

– Przepraszam – powiedziałam. – Strasznie przepraszam za...

– W porządku, Sally – odparł.

– Nie, nie jest w porządku. To, co wczoraj powiedziałam...

– Nic nie znaczyło.

– Byłam okropna.

– Byłaś w szoku. Zdarza się.

– Mimo wszystko, szok nie usprawiedliwia tego, co powiedziałam o Jacku...

Znacząca pauza.

– Więc już ci się podoba to imię?

– Tak. To wspaniałe imię. Ty też jesteś wspaniałą. Nawet nie potrafię powiedzieć, jak bardzo.

– No no, nie ma potrzeby tak się rozczulać. Masz jakieś wiadomości o naszym synku?

– Nie dowiem się niczego, dopóki Hughes nie przyjdzie na obchód. Kiedy ty się zjawisz?

– Około szóstej.

– Tony...

– Muszę oddać strony do składu...

– Przecież masz zastępcę. A twój naczelny najwyraźniej przejął się sytuacją...

– Dostałaś kwiaty od niego?

– Tak. I bukiet od Margaret. Zadzwoiłeś do niej?

– W końcu to twoja przyjaciółka.

– Dziękuję.

– Rozmawiałem też z Sandy. Wyjaśniłem, że miałaś poród z komplikacjami, że byłaś trochę chora, i powiedziałem jej, że byłoby lepiej, gdyby do ciebie nie dzwoniła przez parę dni. Oczywiście od tamtej pory dzwoniła do mnie już trzy razy, żeby zapytać, jak się czujesz.

– Co jej powiedziałaś?

– Że powoli zdrowiejesz.

Byłam pewna, że Sandy -jak to Sandy – nie uwierzyła w ani jedno słowo z jego zapewnień i teraz odchodziła od zmysłów ze zmartwienia. Doskonale wiedziała, że skoro nie może ze mną rozmawiać, to dzieje się coś poważnego. Ale byłam wdzięczna Tony’emu, że trzymał ją na dystans. Bo choć uwielbiałam swoją siostrę, nie chciałam, żeby wiedziała, jaka jestem w tej chwili rozchwiana.

– To najlepsze, co mogłeś jej powiedzieć.

– Słuchaj, muszę już kończyć – powiedział Tony. – Spróbuję się zjawić przed wieczorem, dobrze?

– W porządku – powiedziałam, choć wcale tak nie myślałam, bo naprawdę chciałam, żeby był teraz przy mnie, potrzebowałam jego wsparcia.

Ale kto przy zdrowych zmysłach chciałby teraz być przy mnie? Zamieniłam się w jakąś wariatkę, która straciła poczucie proporcji i pluća żółcią za każdym razem, kiedy otworzyła usta. Nic dziwnego, że Tony wolał mnie unikać.

Przez następną godzinę siedziałam i gapiłam się w sufit. Po głowie obsesyjnie krążyła mi jedna myśl: czy Jack ma uszkodzony mózg? Nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić, jak wyglądałoby macierzyństwo, gdyby faktycznie tak było. Jak byśmy sobie z tym poradzili? Jakie niewyobrażalne, niezmierzone piekło czekałoby nas w przyszłości?

Pan Hughes zjawił się punktualnie o dziesiątej, w towarzystwie siostry oddziałowej. Jak zawsze miał na sobie świetnie skrojony garnitur w prążki, różową koszulę z otwartym kołnierzem i czarny krawat w groszki. Nosił się jak kardynał, wizytujący biedną parafię. Kiwnął głową na powitanie, ale nie odezwał się, dopóki nie przejrzał notatek przypiętych do tabliczki przy łóżku.

– No dobrze, pani... – Jeszcze raz zerknął w kartę. – .. Goodchild. Zdaje się, że te ostatnie dni nie należały do najprzyjemniejszych?

– Co z moim synem?

Hughes odchrząknął. Nie cierpiał, kiedy mu przerywano. I okazał swoje niezadowolenie, przez całą rozmowę nie odrywając oczu od karty.

– Właśnie zająłem do niego na OIOM. Wszelkie parametry życiowe są w porządku. Rozmawiałem też z prowadzącym pediatrą, doktorem Reynoldsem. Powiedział mi, że wykonane dziś rano EEG nie wykazało żadnych neurologicznych nieprawidłowości. Ale, oczywiście, aby się upewnić, że wszystko funkcjonuje właściwie, dziś po południu zostanie jeszcze wykonany RM. Do wieczora doktor powinien mieć wyniki, i wiem, że wtedy będzie chciał się z panią zobaczyć.

– Myśli pan, że doszło do uszkodzenia mózgu?

– Pani Goodchild... całkowicie rozumiem pani niepokój, bo któraż matka nie niepokoiłaby się w takich okolicznościach? Ale nie czuję się upoważniony, by spekulować na temat takich kwestii. To jest terytorium doktora Reynoldsa.

– Ale sądzi pan, że wyniki EEG...?

– Owszem, dają powód do optymizmu. A teraz, za pozwoleniem, czy mógłbym spojrzeć na dzieło pana Kerra?

Oddziałowa zaciągnęła zasłony wokół mojego łóżka, pomogła mi podciągnąć koszulę i opuścić bieliznę. Zdjęła opatrunek. Nie widziałam jeszcze ran od czasu porodu i przeraził mnie ich widok. Wyglądały jak krzyżujące się tory kolejowe, po barbarzyńsku wyrzeżane na moim brzuchu, bez oglądania się na jakiegokolwiek względy estetyczne.

Choć robiłam, co w mojej mocy, by opanować emocje, nie zdołałam powstrzymać okrzyku. Pan Hughes zaszczycił mnie dobrotnym uśmiechem i powiedział:

– Wiem, że w tej chwili wygląda to dość paskudnie... prawdziwa rana wojenna. Ale kiedy szwy zostaną usunięte, zapewniam panią, że pani mąż nie będzie miał się na co skarżyć.

Miałam ochotę powiedzieć: „Do diabła z moim mężem, to ja będę musiała żyć z tym oszpecceniem”. Ale trzymałam buzię na kłódkę. Nie mogłam sobie pozwolić na pogłębienie swoich problemów.

– Widzę, że wystąpiły u pani, hm, nazwijmy to, emocjonalne zachwiania.

– Tak, ale to już minęło.

– Mimo że jeszcze wczoraj musiano pani podać środek uspokajający?

– To było wczoraj. Teraz czuję się dobrze.

Oddziałowa pochyliła się i szepnęła mu coś do ucha. Hughes odął wargi, po czym spojrział na mnie i powiedział:

– Personel twierdzi, że dziś rano miała pani lekki atak.

– To był drobiazg.

– Wie pani, to żaden wstyd, że po porodzie jest pani lekko roztrzęsiona.

To zupełnie zwyczajna sprawa, biorąc pod uwagę, że pani hormony szaleją.

Uważam, że kuracja antydepresantami...

– Nie potrzebuję niczego, doktorze, chcę tylko zobaczyć mojego syna.

– Tak, tak, rozumiem. I jestem pewien, że siostra zorganizuje pani transport na górę, kiedy skończymy. Ach, i proszę się przygotować na to, że zostanie pani z nami jeszcze przynajmniej sześć, siedem dni. Chcemy być pewni, że jest pani jak nowa, zanim wyślemy panią w świat.

Naskrobał coś na mojej karcie, porozmawiał chwilę z oddziałową, po czym kiwnął mi głową na pożegnanie.

– Do widzenia, pani Goodchild. I proszę spróbować się nie martwić.

Łatwo ci mówić, koleś.

Pół godziny później, po zmianie opatrunku, pojechałam na górę, na pediatryczny OIOM. Tym razem również skorzystałam z rady dobrodusznego salowego i kiedy wieźli mnie przez oddział, nie odrywałam oczu od linoleum. Kiedy wreszcie uniosłam wzrok, na widok Jacka łzy zapiekły mnie pod powiekami. Nie dlatego, że w jego stanie zaszła jakaś zmiana. Wciąż był opleciony pajęczyną rurek, wciąż wydawał się maleńki w swoim inkubatorze z pleksiglasu. Ale teraz ogarnęło mnie rozpaczliwe pragnienie, by go przytulić, wziąć w ramiona. I przytłaczający strach, że mogę go stracić.

Albo że będzie musiał iść przez życie z ciężkim upośledzeniem umysłowym. Ale nagle nabrałam pewności, że cokolwiek z nim będzie -jakiegokolwiek koszarne uszkodzenia wykaże rezonans – poradzę sobie z tym.

A przynajmniej spróbuję sobie poradzić – tak jak każdy człowiek próbuje sobie radzić z najbardziej zaskakującymi, najbardziej złowrogimi kartami, które życie trzyma w rękawie. Ale, Boże, tak bardzo pragnęłam, by do tego nie doszło; zrobiłabym wszystko, byleby tylko on był zdrowy... wiedziałam też, że w tej chwili jestem zupełnie bezsilna, że nie mogę niczego zmienić. Co się miało stać, już się stało. Teraz byliśmy tylko marionetkami, skazanymi na to, co przyniesie los.

Znów zaczęłam płakać. Tym razem jednak nie czułam emocjonalnej pustki, której doznawałam przez ostatnie dni. Tym razem płakałam po prostu nad Jackiem – i nad tym, co go może czekać.

Salowy trzymał się z daleka, widząc moje łzy. Ale po minucie czy dwóch podszedł do mnie z pudełkiem chusteczek higienicznych i powiedział:

– Chyba będzie lepiej, jeśli wrócimy.

I odwiózł mnie do pokoju.

– Dobre nowiny – powiedziała siostra Dowling, gdy posadzono mnie z powrotem na łóżku. – Pan Hughes mówi, że może się pani pozbyć tych paskudnych kroplówek. Spuszczamy panią ze smyczy. Pierwszy krok w stronę wolności, co? A jak się miewa malutki? ino – Nie wiem – odparłam cicho.

– Na pewno wszystko będzie dobrze – powiedziała. Jej szczebiotliwy, zdawkowo-radosny głos brzmiał teraz jak zgrzyt paznokci na tablicy. – Co pani przynieść na lunch?

Ale nie chciałam jeść, nie chciałam wypożyczyć telewizora, nie chciałam, żeby mnie umyła. Chciałam tylko zostać sama – leżeć w łóżku z kołdrą podciągniętą pod brodę, odcięta od kakofonii zewnętrznego świata.

I tak spędziłam dzień, odliczając godziny do czasu, aż końcu przyjdzie Tony, a pediatra przedstawi nam empiryczny dowód w postaci badania mózgu naszego syna. Byłam przytomna, ale rozmyślnie odizolowałam się od wszystkiego wokół. A przynajmniej zdawało mi się, że była to rozmyślna izolacja. Chwilami jednak naprawdę czułam się tak, jakby jakaś obca siła zagnieździła się w moim mózgu i podjudzała mnie, bym odepchnęła od siebie świat ze wszystkimi jego kłopotami.

A potem wybiła szósta. Ku mojemu zaskoczeniu Tony przyszedł punktualnie, zgodnie z zapowiedzią, z bukietem kwiatów i dziwnie zdenerwowany – co natychmiast mnie rozbroiło.

– Spałaś? – zapytał, siadając na brzegu łóżka i całując mnie w czoło.

– To była raczej namiastka snu – odparłam, zmuszając się, by usiąść.

– Jak ci leci?

– No wiesz... Dzień Żywych Trupów.

– Jakieś wiadomości z góry?

Pokręciłam głową.

– Jesteś taki spięty – powiedziałam.

Tony uśmiechnął się sztywno i umilkł. Bo nie było nic do powiedzenia, dopóki nie zjawi się pediatra. A może dlatego, że cokolwiek byśmy powiedzieli, byłoby nieważne i puste. Nasz niepokój był tak namacalny, że milczenie stało się w tej chwili najlepszą opcją.

Na szczęście trwało tylko minutę czy dwie, bo do pokoju weszła nowa pielęgniarka i powiedziała, że doktor Reynolds chce się z nami widzieć w gabinecie przy pracowni RM, na czwartym piętrze. Wymieniliśmy z Tonym nerwowe spojrzenia. Prośba o spotkanie w prywatnym gabinecie mogła oznaczać tylko złe wieści.

I znów posadzono mnie na wózku. Ale tym razem popychał go Tony.

Doszliśmy do windy. Wyjechaliśmy trzy piętra w górę. Ruszyliśmy długim korytarzem. Minęliśmy pomieszczenia z tabliczką PRACOWNIA REZONANSU MAGNETYCZNEGO, po czym wprowadzono nas do niewielkiego gabinetu, w którym znajdowało się tylko biurko, trzy krzesła i negoskop do oglądania zdjęć RTG. Salowy zostawił nas samych. Tony przysunął krzesło do mojego wózka i zrobił coś, czego dotąd nie robił: wziął mnie za rękę. Oczywiście, zdarzyło nam się trzymać za ręce – może dwa albo trzy razy. Ale to było coś innego. Tony próbował mi okazać wsparcie – a robiąc to, dawał dowód, jak bardzo jest przestraszony.

Po chwili przyszedł doktor Reynolds, niosąc teczkę i wielką, szarą kopertę. Był to wysoki mężczyzna przed czterdziestką, o łagodnym głosie. Próbowałam wyczytać coś z jego twarzy -jak podsądny podczas procesu usiłuje wyczytać z twarzy przewodniczącego ławy przysięgłych, jaki zapadł wyrok. Ale twarz doktora nie zdradzała niczego.

– Przepraszam, że kazałem państwu czekać... – powiedział, otworzył kopertę, przypiął kliszę RM do negoskopu i zapalił go. – Jak się pani czuje, pani Goodchild?

– Nieźle – odparłam cicho.

– Miło mi to słyszeć. – Rzucił mi pełen zrozumienia uśmiech, dając tym samym znać, że wie o moich niedawnych szaleństwach.

– Co z naszym synem, panie doktorze? – zapytał Tony.

– Tak, właśnie miałem do tego przejść. No dobrze... to jest obraz mózgu waszego synka – powiedział, wskazując kliszę RM, która dla mojego oka laika wyglądała jak seria przekrojów grzyba. – Skonsultowałem się z neurologiem-pediatrą i radiologiem i wszyscy trzej doszliśmy do tego samego wniosku: to jest całkowicie normalny mózg. A to z kolei oznacza, że na podstawie tego RM i wcześniejszego EEG uważamy, że nie doszło do żadnych uszkodzeń mózgu.

Tony mocno ścisnął mi dłoń, zupełnie się nie przejmując tym, że jest zimna i lepka. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że mam pochyloną głowę i mocno zaciśnięte powieki, jak ktoś, kto spodziewa się ciosu w twarz.

Otworzyłam oczy.

– Powiedział pan, że uważacie, że nie doszło do uszkodzenia. Czy RM nie daje ostatecznego dowodu? – zapytałam.

Kolejny pełen zrozumienia uśmiech Reynoldsa.

– Mózg to tajemniczy organ. A po tak trudnym porodzie, gdzie na dodatek zachodziło podejrzenie niedotlenienia, nie można mieć stuprocentowej pewności, że nie doszło do żadnych uszkodzeń. I musiałem to zaznaczyć. Ale biorąc pod uwagę fakt, że wszystkie kliniczne badania mają pozytywny wynik...

– Więc jednak mamy się o co martwić – rzuciłam, coraz bardziej zdenerwowana.

– Na pani miejscu byłbym optymistą.

– Ale pan nie jest mną, doktorze. A ponieważ pan wyraźnie sugeruje, że nasz syn ma uszkodzony mózg...

Tony przerwał mi w pół zdania.

– Sally, doktor powiedział zupełnie co innego.

– Słyszałam, co powiedział. Powiedział, że nasz syn mógł mieć niedotleniony mózgi że...

– Pani Goodchild, błagam panią – powiedział Reynolds, wciąż tak samo spokojnie i z tym samym zrozumieniem. – Rozumiem pani obawy, ale z całym szacunkiem, są trochę przesadzone. Jak już mówiłem wcześniej, naprawdę uważam, że nie ma się o co martwić.

– Jak pan może mówić coś takiego... jak... skoro sam pan przyznał, że nie może pan mieć stuprocentowej pewności...

Tony znów zainterweniował.

– Dość tego, Sally.

– Nie mów mi...

– Dość.

Jego gniewny ton uciszył mnie z miejsca. I nagle ogarnęło mnie przerażenie – przeraziła mnie moja własna, kompletnie pozbawiona logiki tyrada i irracjonalny gniew, który okazałam temu przyzwoitemu, cierpliwemu lekarzowi.

– Bardzo przepraszam, panie doktorze...

Reynolds uniósł rękę.

– Nie ma za co przepraszać, pani Goodchild. Naprawdę rozumiem, jak trudne chwile przeżyła pani ostatnio. Będę tu jutro, gdyby miała pani jeszcze jakieś pytania.

Wyszedł, życząc nam dobrej nocy. Kiedy zostaliśmy sami w pokoju, Tony spojrzał na mnie i patrzył tak bardzo długo. W końcu zapytał:

– Czy zechcesz mi wytłumaczyć, co to właściwie było, do cholery?

Odwrociłam wzrok.

– Nie wiem – odparłam.

Zgodnie z obietnicą przetrzymali mnie w szpitalu jeszcze pięć dni. Przez ten czas wolno mi było regularnie odwiedzać Jacka na OIOM-ie. Postanowili zatrzymać go pod „stałą obserwacją” jeszcze przez kilka dni.

– Proszę zrozumieć – powiedział mi doktor Reynolds – nie ma w tym nic złowróżbnego. Po prostu wolimy dmuchać na zimne.

Czy on się naprawdę spodziewał, że w to uwierzę? Ale nie powiedziałam nic. Bo wiedziałam, że będzie lepiej, jeśli postaram się nic nie mówić.

Czasami łapałam się na tym, że obserwuję Jacka jakby był jakąś dziwną, hiperrealistyczną, nowoczesną rzeźbą, przedstawiającą początki sztucznego życia – opleciony rurkami i kablami, na stałe wyeksponowany w plastikowej gablocie. Albo przypominał mi się słynny, ośmiogodzinny film Andy’ego Warhola, Empire, który był jednym, statycznym ujęciem Empire State Building. Na Jacka patrzyło się tak samo. Leżał tak, nieruchomy, z rzadka poruszając jakimś mięśniem (choć od czasu do czasu dostrzegałam delikatne poruszenie dłoni). A ja wymyślałam sobie najróżniejsze rzeczy na jego temat. Zastanawiałam się na przykład, czy spodoba mu się skaczący fotelik, który dla niego kupiłam? Czy jego pieluchy będą tak obrzydliwe, jak to sobie wyobrażałam? Czy będzie wolał kreskówki Warner Brothers, czy Disneya (błagam, niech będzie cwany dzieciakiem, który woli Królika Bugsa)? Czy będzie miał koszmarny trądzik jak ja, kiedy miałam trzynaście lat...?

Zgoda, o wiele za daleko wybiegałam w przyszłość. Ale niemowlak jest jak tabula rasa, na której można zapisać całą historię. I teraz, wpatrując się w Jacka, leżącego w tej bańce z pleksiglasu, nie mogłam się opędzić od myśli, że on w ogóle może nie mieć przyszłości... albo ma przed sobą okrojone, ograniczone życie, a wszystko dlatego, że jego małe ciało przesunęło się w macicy kilka o centymetrów nie w tę stronę, co trzeba. Było to coś, na co nie mieliśmy żadnego wpływu – ani ja, ani on – ale mogło to kompletnie zmienić nasz los. Nawet jeśli Reynolds miał rację i Jack wyszedł z tego wszystkiego bez szwanku – czy fakt, że na samym początku otarliśmy się o katastrofę, nie zamieni mnie w jedną z tych strasznych, nadopiekuńczych matek, które martwią się za każdym razem, kiedy ich dziesięcioletni syn wspina się po schodach? A może będę przekonana, że zło czyha tuż za rogiem, już nigdy nie zaznam spokoju i będę szła przez życie przygnieciona wszechobecnym strachem?

Obok mnie stanęła pielęgniarka z OIOM-u – młoda, tuż po dwudziestce.

Irlandka. Wyjątkowo spokojna.

– Jest śliczny – powiedziała, zaglądając do Jacka. – Chce go pani potrzymać?

– Jasne – odparłam niepewnie.

Pielęgniarka odczepiła kilka rurek, podniosła Jacka i ułożyła mi go w ramionach. Próbowalam go przytulić, ale bałam się, że naruszę medyczne akcesoria, poprzyczepiane do nie-

go... nawet kiedy siostra zapewniła mnie, że niczego nie uszkodzę. Ale choć na twarzy miałam przyklejony troskliwy uśmiech, wiedziałam, że to tylko maska. Bo tak samo jak ostatnim razem, nie potrafiłam wykrzesać z siebie ani odrobiny matczynej uczucia do tego dziecka. Chciałam tylko jak najszybciej oddać je z powrotem.

– Świetnie sobie pani radzi – powiedziała siostra, kiedy chciałam jej oddać Jacka. – Nie musi się pani spieszyć.

Z ociąganiem przytuliłam go jeszcze raz.

– Naprawdę wszystko z nim w porządku? – zapytałam.

– W jak najlepszym.

– Ale jest pani pewna, że nie doznał żadnej szkody przy porodzie?

– Czy doktor Reynolds nie rozmawiał z panią na ten temat?

No, owszem, rozmawiał – i zrobiłam z siebie kompletną idiotkę. Tak jak robiłam z siebie idiotkę w tej chwili – zadając wciąż to samo pytanie, wyrażając te same obsesyjne obawy... a jednocześnie nie będąc w stanie potrzymać go na rękach.

– Doktor Reynolds uważa, że mózg nie został uszkodzony.

– No widzi pani – odparła pielęgniarka, uwalniając mnie od Jacka. – W przeciwieństwie do wielu dzieci, które tu leżą, pani synek na pewno będzie zdrowy jak ryba.

Trzymałam się tej prognozy – używałam jej jako mantry, kiedy czułam, że znów jestem roztrzęsiona (co, szczerze mówiąc, zdarzało mi się bardzo często), że popadam w czarnowidztwo albo w rozpacz. Wiedziałam, że muszę pokazywać światu nową, pogodną twarz – ponieważ obserwowano mnie, szukając najmniejszych oznak emocjonalnych zaburzeń... a szczególnie uważnie obserwowali mnie mój mąż i pan Hughes.

Obydwaj regularnie wpadali w odwiedziny. Hughes przychodził podczas Porannych obchodów. Spędzał u mnie dobre dziesięć minut, badając mnie, oglądając moje rany bitewne, studiując kartę i wypytyując o mój stan psychiczny. Podczas tego wywiadu od czasu do czasu zerkał z ukosa na oddziałową, by się upewnić, że nie zmyślam na temat poprawy mojego samopoczucia.

– Zatem dobrze pani sypia? – zapytał mnie czwartego dnia po narodzinach Jacka.

– Tej nocy sześć godzin.

Zapisał to sobie, po czym zerkał na siostrę, by zweryfikować moje słowa. Potwierdziła moje zeznanie szybkim skinieniem głowy.

– A te, hm, stany obniżonego nastroju... ustąpiły?

– Nie płakałam od wieków.

– Miło mi to słyszeć. Zresztą nie ma pani powodów, skoro pani synek jest na najlepszej drodze do całkowitego wyzdrowienia. Tak jak i pani. Jeszcze ze dwie doby i wypiszemy panią do domu.

– Z synem?

– O tym będzie pani musiała porozmawiać z doktorem Reynoldsem. To jego dziedzina. Czy jest jeszcze coś, o czym powinniśmy porozmawiać?

– Moje piersi... – powiedziałam przyciszonym głosem.

– Co się z nimi dzieje? – zapytał.

– No, zrobiły się trochę... twarde.

– Czy od porodu nie ściągała pani mleka?

– Ściągałam, ale przez ostatnie czterdzieści osiem godzin zrobiły się twarde jak skała.

I rzeczywiście, czułam się tak, jakby moje piersi wypełnione były szybko schnącym, zbrojonym betonem.

– To normalny syndrom poporodowy – oznajmił Hughes, nie podnosząc oczu znad karty. – Przewody mleczne często się obkurczają i piersi robią się trochę ciężkie... – Odchrząknął, po czym dodał: – A przynajmniej tak mi mówiono.

Oddziałowa ukryła uśmiezek.

– Ale jest sposób, by temu zaradzić – ciągnął Hughes. – Siostra pokaże pani Goodchild, co robić, dobrze?

Oddziałowa kiwnęła głową.

– I naprawdę bardzo miło mi słyszeć, że jest pani w lepszej formie, pani Goodchild.

Miałam ochotę rzucić jakąś złośliwą uwagę w ten obłudny pysk. Ale oczywiście powstrzymałam się, by znów nie wzbudzić jego czujności. Tym bardziej, że miałam zamiar wyjść stąd pojutrze, wolna od wszelkich chemicznych wspomagaczy. Uśmiechnęłam się więc tylko do pana Hughesa i powiedziałam:

– Naprawdę czuję, że zdrowieję.

Ale kiedy wieczorem przyszedł Tony, gryzłam wargi, by nie zacząć wrzeszczeć. Nie miało to nic wspólnego z moim chwiejnym stanem emocjonalnym, a raczej z narzędziem tortur, które było właśnie przytwierdzone do mojej lewej piersi. Wyglądało jak przejrzysta puszka po aerozolu, z lejkowatym wlotem na jednym końcu i zbiorniczkiem na drugim. Całość była podłączona do zasilacza. Kiedy się to włączyło, działało jak odkurzacz i wysysało mleko z piersi.

Używałam tego uroczego instrumentu od porodu, bo potrzebowali mojego mleka, by

karmić Jacka na OIOM-ie. Z początku odciąganie mleka tą ssawką było tylko trochę nieprzyjemne. Ale potem piersi mi stwardniały i odsysacz stał się moją zmurą. Kiedy po raz pierwszy użyłam go do odetkania przewodu mlecznego, zawylałam tak głośno, że oddziałowa rozłościła się na mnie.

– O co chodzi? – zapytała rozdrażniona.

– Boli jak jasna cholera! – krzyknęłam i natychmiast skłęłam się w duchu, że tak ryczę bez zastanowienia. Wzięłam się w garść i powiedziałam odpowiednio skruszonym tonem: – Przepraszam, strasznie mi przykro.

Oddziałowa zignorowała moje przeprosiny; wzięła odsysacz i umieściła go z powrotem na mojej prawej piersi, po czym wolną rękę położyła mi twardo na lewym ramieniu i włączyła prąd. W ciągu dziesięciu sekund ból stał się nieznośny. Zagryzłam mocno wargę i zacisnęłam powieki.

– Spokojnie – powiedziała oddziałowa. – Chodzi o to, żeby wytworzyć odpowiednie podciśnienie, tak by kanalik musiał się odetkać.

Potrwało to kolejną straszliwą minutę, podczas której skamieniała pierś bolała, jakby ściskano ją w imadle. Nie wrzeszcz, nie wrzeszcz, powtarzałam sobie. Ale z każdą chwilą pracy urządzenia coraz trudniej było mi się opanować, aż nagle rozległo się prrt, jakby coś pękło, i poczułam, że po sutku spływa ciepła ciecz.

– No i proszę – oznajmiła oddziałowa, bardzo zadowolona z siebie. – Jedna pierś odetkana. Teraz musi pani pompować przez dobre dziesięć minut, żeby całkowicie opróżnić kanaliki z mleka... a potem może się pani zabrać do drugiej.

Tony wszedł, kiedy pracowałam nad lewą piersią – i zwijałam się z bólu w ostatniej fazie katuszy. Ten cycek był najwyraźniej bardziej zapchany niż Jego sąsiad, ale wiedziałam, że skoro już zaczęłam odsysanie, nie mogę przerwać, bo ołowiany ciężar w piersi będzie narastał, aż stanie się równie nieznośną torturą jak samo ssanie. Tony wytrzeszczył oczy, kiedy zobaczył, jak jedną ręką ściskam materac, a drugą przytrzymuję u piersi tę piekielną pompę. Twarz (wnosząc z przerażonej miny mojego męża) wykrzywiła mi maska bólu na granicy obłędu.

– Co ty robisz, na litość boską? – zapytał.

– Zamknij się – rzuciłam, czując, że lada moment...

Krzyknęłam cicho, kiedy kanalik odetkał się i wytrysnął z niego wodnisty płyn. Tony milczał. Patrzył tylko, jak wysysam pierś do sucha. Kiedy skończyłam, wrzuciłam pompkę do miski na stoliku, poprawiłam szlafrok, oparłam głowę na dłoniach i podziękowałam Bogu, Allahowi, Manitou – jak się zwał, tak się zwał – że mam to już z głowy (przynajmniej na dzisiaj – bo siostra oddziałowa ostrzegła mnie, że będę musiała odwalać tę zabawę w hydraulika kilka razy dziennie, jeśli chcę, żeby moje przewody mleczne pozostały drożne).

– Już dobrze? – zapytał Tony, siadając na łóżku.

– Bywało lepiej – odparłam, po czym wyjaśniłam mu, dlaczego zastał mnie przy tak masochistycznej rozrywce.

– Farciara – zażartował. – Jak nasz maluch?

Opowiedziałam mu o swojej porannej wizycie i że jeszcze dziś wieczorem spodziewam się dowiedzieć od Reynoldsa, kiedy przeniesie Jacka z OIOM-u.

– Siostra sugerowała, że może już jutro, bo ich zdaniem czuje się zupełnie dobrze. Tak czy inaczej, mnie chcą wypisać za dwa dni, więc może oboje będziemy w domu, zanim się obejrzysz.

– Och... świetnie – powiedział Tony.

– Dzięki za entuzjastyczną reakcję.

– Ależ ja się cieszę, naprawdę. Tylko właśnie dziś się dowiedziałem, że naczelny chce, żebym w tym tygodniu skoczył do Genewy. Jakaś konferencja ONZ...

– Nie ma mowy.

– Oczywiście, skoro wiem, że wracasz do domu...

– No właśnie. Będziesz musiał znaleźć zastępstwo.

– Nie ma sprawy – odparł pośpiesznie Tony. Ulżyło mi, bo do tej pory niczego mu nie zabraniałam; umówiliśmy się na samym początku, że wyrzucimy słowo „nie” z naszego domowego słownika – oczywiście w granicach rozsądku. Ale nie miałam najmniejszego zamiaru spędzić pierwszej nocy po wyjściu ze szpitala sama z Jackiem. Choć mój mąż wydawał się odrobinę zbity z tropu moją stanowczością, natychmiast zaczął mnie uspokajać.

– Jeszcze dziś wieczorem zadzwonię do Jego Lordowskiej Wysokości i powiem mu, że to nie wchodzi w grę. I obiecuję ci wspaniałą, powitalną kolację z Marks&Spencer. Ale szampana kupię gdzie indziej.

– W Tesco?

Roześmiał się.

– Bardzo śmieszne – powiedział. – Ale przecież ty nie możesz pić, co?

– Myślę, że kieliszek mi nie zaszkodzi.

Tego wieczoru zajrzeliśmy do Jacka. Spał mocno i wyglądał na zadowolonego. A dyżurująca pielęgniarka powiedziała nam, że doktor Reynolds pozwolił przenieść go rano do mojej sali. Przeraziła mnie ta perspektywa.

Bo od tej chwili to ja miałam być za niego odpowiedzialna.

Ale następnego ranka doktor Reynolds złożył wizytę w moim pokoju.

– Nie chcę pani zdenerwować – zaczął – ale wygląda na to, że u Jacka pojawiła się żółtaczka.

– Co takiego?

– To powszechna przypadłość u noworodków, dotyka niemal pięćdziesięciu procent nowo narodzonych dzieci i przeważnie mija w ciągu dziesięciu dni.

– Ale jak ją złapał?

– Hm, podam pani książkową definicję: żółtaczka pojawia się wtedy, gdy następuje rozpad czerwonych krwinek i nagromadzenie żółtego pigmentu, zwanego bilirubiną.

– Ale co jest powodem nagromadzenia tej... jak pan powiedział?

– Bilirubiny. Przeważnie bierze się ona z mleka matki.

– Chce pan powiedzieć, że to przeze mnie dostał żółtaczki?

– Pani Goodchild...

– Pan mi mówi, doktorze, że go otrułam.

W moim głosie znów pojawiła się niebezpieczna nuta – i choć zdawałam sobie sprawę z jej złowieszczej obecności, w żaden sposób nie mogłam jej opanować. Bo nie rozumiałam, skąd się w ogóle wzięła.

Doktor Reynolds mówił powoli i bardzo ostrożnie dobierał słowa.

– Pani Goodchild, tak nie wolno, nie może się pani obwiniać. Nie mogła Pani zrobić niczego, by temu zapobiec. Jak mówiłem, to typowa choroba u niemowląt.

– Czy żółtaczka może być niebezpieczna?

– Tylko wówczas, gdy poziom bilirubiny za bardzo wzrośnie.

– I co się wtedy dzieje?

Widziałam, jak doktor Reynolds przestępuje nerwowo z nogi na nogę.

– Wtedy – powiedział wreszcie – może się okazać toksyczna dla mózgu.

Ale, i podkreślałam to z całą mocą, taki poziom zdarza się niezwykle rzadko.

Jak na razie pani syn nie wykazuje żadnych objawów...

Ale ja już go nie słuchałam. W mojej głowie zagnieździł się zupełnie inny głos, który powtarzał w kółko: otrułaś go... i teraz będzie jeszcze bardziej upośledzony. I nie można za to winić nikogo prócz siebie...

– Pani Goodchild?

Uniosłam wzrok i zobaczyłam, że doktor Reynolds przygląda mi się z niepokojem.

– Dobrze się pani czuje?

– Co?

– Zdawało mi się, że przez chwilę była pani gdzie indziej.

– Ja... nic mi nie jest – powiedziałam.

– Słyszała pani, co mówiłem? Że ma się pani nie obwiniać za żółtaczkę u swojego synka?

– Tak, słyszałam.

– Minie za jakieś dziesięć dni. Przez ten czas będziemy musieli zatrzymać go na OIOM-ie. Ale powtarzam, nie ma w tym żadnej złej wróżby, to po prostu standardowa procedura w przypadku żółtaczki u noworodka. Czy to jasne?

Kiwnęłam głową.

– Chce pani iść do niego, na górę?

– Dobrze – odparłam, ale mój głos był płaski, pozbawiony emocji. I znów zobaczyłam, że Reynolds przygląda mi się z troską.

Niebieskie światło na OIOM-ie maskowało żółtawy odcień, jaki przybrała skóra Jacka. Nie mogłam też dostrzec żółtego zabarwienia białek oczu, co -jak powiedział mi Reynolds - było kolejnym objawem żółtaczki. Ale nie miało znaczenia, że nie widzę żadnych fizycznych dowodów jego choroby. Wiedziałam, jak bardzo jest chory. I mimo zapewnień Reynoldsa wiedziałam, że to moja wina.

Po wizycie zadzwoniłam do Tony'ego do pracy i przekazałam mu nowiny. Kiedy wspomniałam, że Jack dostał żółtaczki przez moje mleko, mój mąż zapytał:

– Jesteś pewna, że w poprzednim życiu nie byłaś katoliczką? Bo naprawdę uwielbiasz się pławić w poczuciu winy.

– Nie pławię się w poczuciu winy. Ja po prostu stwierdzam fakt: jego choroba to moje dzieło.

– Sally, wygadujesz bzdury.

– Nie oskarżaj mnie o...

– To żółtaczką, nie AIDS. A skoro doktor mówi, że przejdzie za kilka dni.— Nie słuchasz mnie! – krzyknęłam.

– Dlatego, że zachowujesz się niedorzecznie.

Do wieczora, kiedy Tony zjawił się w szpitalu, udało mi się wydobyć z tego samopotępieńczego dołka – i natychmiast przeprosiłam, że nakrzyczałam na niego przez telefon.

– Nie przejmuj się tym – rzucił oschle.

Razem poszliśmy na OIOM. Jak zawsze, niebieskie jarzeniówki zalewały oddział widmowym światłem, które niwelowało żółty odcień skóry naszego synka. Kiedy Tony zapytał dyżurną pielęgniarkę, jak poważny jest stan Jacka, zapewniła nas, że to jak najbardziej typowy przypadek i że (jak mówił Reynolds) żółtaczka minie w ciągu kilku dni.

– Więc nie ma się o co martwić? – zapytał Tony z lekkim naciskiem, bym wiedziała, że tak naprawdę zadał to pytanie wyłącznie na mój użytek.

– Powinien wyzdrowieć bez żadnych trwałych powikłań.

– Widzisz? – powiedział Tony, poklepując mnie po ramieniu. – Wszystko dobrze.

Skinęłam głową – choć w to nie wierzyłam. Ja znałam prawdę. I znała ją pielęgniarka. Przecież nie powiedziała wyraźnie, że Jack wyzdrowieje; użyła słowa „powinien”. Bo wcale nie była pewna, że Jackowi się poprawi, i wiedziała, że otruło go moje mleko.

Ale nie ośmieliłabym się wypowiedzieć tego wszystkiego. Nie było mowy, żebym otworzyła swoją niewyparzoną gębę i wykrzyczała, jak naprawdę wygląda sytuacja. Szczególnie że wszyscy wypatrywali u mnie oznak stresu i napięcia.

Przez następne trzydzieści sześć godzin utrzymałam pozory spokoju, pokazując rozsądną, opanowaną maskę lekarzom i pielęgniarkom z Mattingly, odwiedzając Jacka kilka razy dziennie na OIOM-ie i kiwając głową, kiedy karmili mnie optymistycznymi kłamstwami na temat poprawy jego stanu.

A potem, zgodnie z oczekiwaniami, zostałam wypuszczona do domu. Nie było mi łatwo zostawić Jacka w szpitalu, ale ze względu na niego cieszyłam się, że będzie ode mnie odizolowany, że zostaje w miejscu, gdzie nie będę mogła mu zrobić krzywdy. Za każdym razem, kiedy obcy, racjonalny głos w mojej głowie beształ mnie, że obwiniam się o spowodowanie choroby Jacka, inny, o wiele potężniejszy, oskarżycielski głos przypominał mi, że to wszystko moje dzieło.

Tak więc poniekąd ulżyło mi, gdy wreszcie wyszłam ze szpitala. Tym bardziej, że w domu czekała na mnie obiecana kolacja, a na dodatek Tony ściągnął Cha, gosposię Margaret, która porządnie posprzątała, dzięki czemu dom wyglądał teraz jak mniej więcej uporządkowany plac budowy. W lodówce stała butelka Laurent Perrier. Ale kiedy Tony podał mi kieliszek, pomyślałam sobie: to raczej nie jest triumfalny powrót do domu.

Mimo to stuknęłam kieliszkiem o jego kieliszek i wychyliłam bąbelki jednym, długim łykiem. Tony natychmiast dołał mi do pełna.

– Spragniona – rzucił.

– Powiedziałabym raczej, że potrzebuję się napić.

– Nie ty jedna.

Opróżniłam kolejny kieliszek.

– Dobrze że kupiłem dwie butelki – powiedział Tony, dolewając mi jeszcze raz. – Dobrze się czujesz?

Nie wydawało mi się, by to pytanie wymagało odpowiedzi. Pomięłam je więc milczeniem, zamiast, jak zwykle, wpuszczać się w długie wywody na temat mojego samopoczucia – bo przecież, do cholery, było oczywiste, co jest nie tak: wyszłam ze szpitala po urodzeniu dziecka, ale bez dziecka... choć oczywiście wiedziałam, że Jackowi jest lepiej z daleka ode mnie.

– Mam miłą wiadomość z domowego frontu robót – powiedział Tony. – Robotnicy dziś byli...

– O mało się nie nabrałam.

– Oj, w każdym razie ten ich majster... jak on się nazywa? Ten Irlandczyk. .. Collins, tak? Pytał o ciebie. A kiedy mu powiedziałem, że urodziłaś synka, ale leży na intensywnej terapii... Jezu, żałuj, że nie widziałaś, jak dopada go jego katolickie poczucie winy. Powiedział, że ściągnie tu za kilka dni całą ekipę i postara się wszystko skończyć w dwa tygodnie.

– Miło wiedzieć, że potencjalnie upośledzone dziecko potrafi zmusić budowlańca do...

– Przestań – powiedział Tony cicho, nalewając mi kolejny kieliszek.

– Już wypiliśmy ten poprzedni?

– Na to wygląda. Mam podawać kolację?

– Niech zgadnę. Curry vindaloo?

– Blisko. Kurczak Tikka Masala.

– Doskonale wiesz, że nie cierpię hinduskiego żarcia.

– Jeśli nie cierpisz hinduskiego żarcia, to przyjechałaś do nieodpowiedniego kraju.

– Tak – odparłam. – Święta racja.

Tony zrobił tę swoją głupią, kwaśną minę.

– Pójdę do kuchni przygotować jedzenie.

– A ja pójdę odetkać przewody mleczone.

Jezu, świetny początek. Na dodatek, żeby było jeszcze weselej, obie moje piersi znów

wypełniły się stężałym betonem. Poszłam więc do łazienki i włączywszy narzędzie tortur, gapiłam się na niedokończone szafki i podłogę bez kafelków i krzyknęłam tylko trzy razy, nim prawy sutek nareszcie trysnął mlekiem. Za to tym razem lewa pierś była bardziej ugodowa. Wybuchła już po pięciu minutach elektrycznie napędzanego ssania. Zwlokłam się z sedesu, wrzuciłam odsysacz do zlewu, weszłam do pokoju dzieciennego, usiadłam w wiklinowym fotelu i zagapiłam się tępo na puste łóżeczko. W tej chwili znów poczułam, że tonę – było to to samo uczucie, które dopadło mnie tuż po porodzie, i teraz postanowiło złożyć mi kolejną wizytę. Zupełnie jakby ten pomalowany na wesołe kolory pokój zamienił się w sześcienne pułapkę, która niosła mnie ze sobą w dół, po równi pochyłej. Jednocześnie złowrogi sześcian zmniejszał się coraz bardziej – do momentu, aż nie miałam innego wyjścia, jak zaprzeć się rękami i nogami o wszystkie cztery ściany i próbować je zatrzymać, zanim mnie zgniotą.

– Co ty robisz, do diabła?

Głos Tony’ego zahamował moje spadanie i brutalnie przywrócił mnie rzeczywistości. Sześcian znów stał się pokojem. Nie pikowałam już w dół, ale z pewnością znajdowałam się w niewygodnej i potwornie żenującej pozycji, skulona pod ścianą, z palcami orzącymi deski podłogi.

– Sally, wszystko w porządku?

Nie wiedziałam, jak odpowiedzieć na jego pytanie bo wciąż nie byłam pewna, gdzie jestem. Nie powiedziałam więc nic. Pozwoliłam Tony’emu podnieść się z podłogi i posadzić w fotelu. Mój mąż patrzył na mnie z tą swoją miną, wyrażającą dziwną mieszaninę niepokoju i pogardy, która charakteryzowała jego reakcje na moje tak ostatnio częste załamania.

Ale tym razem załamanie było krótkotrwałe. Kiedy tylko posadził mnie w fotelu, zniknęło – i poczułam, że znów funkcjonuję normalnie.

– Kolacja gotowa? – zapytałam.

– Sally, co robiłaś na podłodze?

– Prawdę mówiąc, nie wiem. Chyba zemdlalam.

– Wyglądałaś, jakbyś usiłowała wydrapać dziurę w podłodze.

– To u mnie normalne, kiedy wypiję trzy kieliszki szampana na pustą macicę.

Dowcip ten wydał mi się szalenie zabawny – roześmiałam się i nie mogłam przestać. Tony znów tylko przyglądał mi się bez słowa.

– Daj spokój, Tony – powiedziałam. – Musisz mi dać piątkę z plusem za marny dowcip.

– Może nie powinnaś już więcej pić.

– Przy hinduskim żarcu? Chyba żartujesz.

Nie jedliśmy wcale kurczaka Tikka Masala (to był tylko kiepski żart Tony'ego); na kolację było przepyszne, piekielnie tuczące spaghetti alla carbonara, z całym mnóstwem świeżo utartego parmezanu, wielka główka zielonej sałaty, bochenek czosnkowego chleba z masłem, a do tego butelka przyzwoitego chianti classico – i wszystko to za sprawą Marks&Spencer.

To było prawdziwe niebo w gębie. Po tylu dniach jedzenia szpitalnych pomyj miałam wilczy apetyt. Obżerałam się jak więzień w pierwszym dniu wolności. Ale wcale nie czułam się wolna. Jedzenie tylko na chwilę odwróciło moją uwagę od...

Od czego? Myślałam, że wypędziłam już wszystkie furie, które wzięły mnie w posiadanie. Ale teraz... ten kiepski, surrealistyczny teatrzyk w pokoju Jacka... co to było, do diabła? Może Tony miał rację: taka ilość szampana po wielu miesiącach abstynencji prawdopodobnie wytrąciła mnie z równowagi. A widok pustego łóżeczka Jacka po prostu przepełnił czarę.

– Niańczysz ten kieliszek w nieskończoność – powiedział Tony.

– Po tym przedstawieniu na podłodze pomyślałam sobie, że lepiej będzie, jeśli dziś zabawię się w mormonkę. Przepraszam.

Wzruszył ramionami.

– Nie przejmuj się – rzucił bezbarwnym głosem, który nie dodał mi otuchy.

– Dziękuję za wspaniałą kolację.

– Gotowe jedzenie raczej trudno nazwać wspaniałą kolacją.

– Mimo wszystko, to było bardzo miłe z twojej strony.

Kolejne wzruszenie ramion. Zamilkliśmy na chwilę.

– Boję się, Tony.

– Nic dziwnego. Wiele przeszłaś.

– To nie tylko to. Boję się, co będzie, jeśli Jack okaże się...

Przerwał mi.

– Słyszałaś, co mówiła wczoraj pielęgniarka. Wszelkie odruchy są prawidłowe. Rezonans nic nie wykazał. Jego fale mózgowy wyglądają normalnie. Więc tak naprawdę nie bardzo jest się o co martwić.

– Ale doktor Reynolds nie twierdził tego tak kategorycznie...

– Sally...

– I jestem absolutnie pewna, że próbuje nas przygotować na ewentualność, że Jack mo-

że mieć uszkodzony mózg. Przyznaję, Reynolds to bardzo szczerzy, przyzwoity człowiek, szczególnie w porównaniu z tym nadętym bubkiem, Hughesem, ale jest też taki sam jak każdy cholerny lekarz. Z jego punktu widzenia jesteśmy problemem... ale tylko do momentu, kiedy Jack zostanie wypisany z Mattingly. Więc to normalne, że stara się utrzymać przed nami w tajemnicy, ile tylko się da.

– Proszę, nie zachowuj się tak, jakby cały świat spiskował przeciwko tobie. Zachowujesz się jak wariatka.

– To nie jest żadna chora, spiskowa teoria, Tony. To nasz syn, który już drugi tydzień spędza na intensywnej terapii...

– I o którym wszyscy mówią, że będzie całkowicie zdrowy. Czy naprawdę muszę to w kółko powtarzać? Gdzie twój rozsądek?

– Uważasz, że zwariowałam?

– Twierdzę, że zachowujesz się irracjonalnie...

– Mam prawo zachowywać się irracjonalnie. Bo...

Ale niespodziewanie, sama nie wiedząc kiedy, wcisnęłam emocjonalne hamulce. Zaczynałam krzyczeć i nagle, jakby wokół mnie zmienił się krajobraz, znalazłam się na twardym gruncie rozsądku, przerażona (jak zwykle) przesadnym wybuchem wściekłości, nie mówiąc już o fakcie, że skończył się tak gwałtownie. To nie było zwyczajne rozładowanie atmosfery – normalnie po wymianie zdań gniewałabym się jeszcze chwilę, a potem, kiedy już byłoby jasne, że Tony nie ma zamiaru przeprosić (do czego był z natury niezdolny), podjęłabym kroki, by zaprowadzić pokój. Nie, to było... cóż, „dziwne” to jedyne słowo, jakie przychodziło mi do głowy. Szczególnie dziwne wydawało mi się to, jak szybko wyparowała ze mnie złość. W jednej chwili miotła mną szewska pasja, a w następnej...

– Chyba muszę się położyć.

Tony zmierzył mnie jednym z tych swoich długich, skonsternowanych spojrzeń.

– Rzeczywiście – powiedział w końcu. – Chcesz, żebym cię odprowadził z powrotem do łóżka?

Do cholery, nie byłam jeszcze w łóżku, odkąd wróciłam, Tony... a może tego nie zauważyłeś?

– Nie, poradzę sobie – odparłam.

Wstałam, wyszłam z kuchni, powlokłam się do sypialni, przebrałam w piżamę i padłam na łóżko, naciągnęłam kołdrę na głowę i czekałam, aż zmorzy mnie sen.

Ale sen nie nadszedł. Wręcz przeciwnie, byłam zdumiewająco przytomna, mimo potwornego, bolesnego zmęczenia. Mój umysł pracował jak na wysokooktanowej benzynie. Przez mózg przemykała w pędzie myśl za myślą, zgryzota za zgryzotą. W mojej głowie roz-

grywały się całe przerażające scenariusze. Pamiętam ostatni: trzyletni Jack leży zwinięty w kłębek w fotelu, niezdolny do zarejestrowania mojej obecności, otoczenia i w ogóle świata, a jakaś hiperracjonalna, hiperspokojna opiekunka społeczna mówi swoim hiperrozsądnym głosem: „Naprawdę uważam, że powinniście państwo rozważyć umieszczenie syna w miejscu, gdzie będzie pod profesjonalną opieką. Gdzieś, gdzie będzie można zadbać o jego potrzeby przez dwadzieścia cztery godziny na dobę”.

Ale nagle to katatoniczne dziecko zrywa się z fotela i dostaje ataku nieopanowanej furii: wydaje z siebie nieartykułowane wrzaski, wywraca stolik i szarżując przez pokój, zmiata wszystko, co staje mu na drodze, po czym wpada jak burza do łazienki i rozbija pięścią lustro. Kiedy szarpie się z nim, usiłując go uspokoić i owinać ręcznikiem krwawiącą rękę, dostrzegam przelotnie swoje odbicie w potrząskanym szkle: postarzała nie do poznania przez te trzy krótkie lata od urodzenia Jacka; trwale sińce pod oczami i głębokie zmarszczki wyraźnie świadczą, jakie życie wiodę od chwili, gdy mój biedny, upośledzony syn przyszedł na świat.

Ale ten moment litości nad sobą szybko mija, bo Jack zaczyna tłuc głową o zlew. I...

– Tony!

Żadnej odpowiedzi. Bo niby skąd? – przecież leżę w łóżku, a drzwi są zamknięte. Spojrzałam na zegar: druga pięć. Jak to się stało? Przecież nie spałam. Przekreśliłam się na drugi bok. Tony’ego nie było obok mnie. Światła w pokoju były wciąż zapalone. Wyskoczyłam z łóżka i wyszłam na korytarz, ale zanim zeszłam na dół, by zobaczyć, czy Tony zasiedział się przy jakimś nocnym filmie, zobaczyłam światło na schodach, wciąż jeszcze nieprzykrytych chodnikami, prowadzących do jego gabinetu.

Przeróbka strychu została dokończona, kiedy byłam w szpitalu, i Tony najwyraźniej włożył sporo wysiłku w urządzenie wnętrza. Robione na zamówienie półki zapełniał jego okazały księgozbiór. Drugą ścianę zasłaniały płyty CD. Niewielka wieża i krótkofalówka stały w pobliżu wielkiego, stylowego biurka, które wybraliśmy razem w sklepie Conrana. Na środku biurka stał nowiutki monitor komputera marki Dell; Tony, rozparty w nowym, ortopedycznym fotelu od Hemana Millera, wpatrywał się w wypełniony słowami ekran.

– Imponujące – powiedziałam, rozglądając się wokoło.

– Cieszę się, że ci się podoba.

Miałam ochotę rzucić jakąś uwagę, że byłoby miło, gdyby skoncentrował swoją energię na urządzenie tych części domu, które służą nam obojgu... ale uznałam, że lepiej będzie trzymać język za zębami. Ostatnio przysporzył mi już dość kłopotów.

– Która godzina? – zapytał nieobecny tonem.

– Minęła druga.

– Nie mogłaś spać?

– Coś w tym rodzaju. Ty też?

– Pracowałem, od kiedy poszłaś do łóżka.

– Nad czym? To coś do gazety?

– Powieść.

– Naprawdę? – zapytałam ucieszona. Bo Tony już w Kairze, gdy tylko go poznałam, odgrażał się, że spróbuje sił w beletrystyce. Wspomniał wtedy, że jeśli kiedykolwiek przeniosą go do tego straszego, prozaicznego Londynu, weźmie się nareszcie do powieści w stylu Grahama Greene’a, która chodzi mu po głowie już od kilku lat.

W głębi duszy zawsze byłam ciekawa, czy Tony ma dość wytrwałości i samodyscypliny, potrzebnej do tak żmudnego zadania. Jak większość dziennikarzy, którzy długi czas spędzili w terenie, uwielbiał wariackie uganie się za tematem i gorączkowy pośpiech, by zdążyć z artykułem na czas. Ale czy rzeczywiście potrafił wycofać się do jakiegoś pokoiku i dzień po dniu budować i posuwać naprzód fabułę? Przecież przechwalał się kiedyś, że nigdy nie spędził nad żadnym artykułem więcej niż dwie godziny.

A jednak siedział tutaj, w środku nocy, i pracował nad książką. Była to dla mnie bardzo miła niespodzianka – i naprawdę mi zaimponował.

– To wspinała wiadomość – powiedziałam.

– Może się okazać, że to kompletne gówno.

– Ale też może się okazać, że powieść będzie niezła.

Kolejne wzruszenie ramion.

– Dużo napisałeś? – zapytałam.

– Ledwie parę tysięcy słów.

– I co...?

– Jak powiedziałem, nie mam pojęcia, czy cokolwiek z tego wyjdzie.

– Ale będziesz pisał dalej?

– Tak, dopóki mi starczy odwagi. Albo dopóki nie uznam, że jest zupełnie do niczego.

Podeszłam do niego i położyłam mu dłoń na ramieniu.

– Nie pozwolę ci przerwać.

– Obiecujesz? – zapytał, nareszcie podnosząc na mnie wzrok.

– Obiecuję. I... słuchaj...

– Tak?

– Przepraszam za dzisiejszy wieczór.

Znów odwrócił się do ekranu.

– Rano na pewno poczujesz się lepiej... jeśli uda ci się przestać martwić.

Ale rano, kiedy obudziłam się o siódmej, Tony’ego nie było obok mnie.

Znalazłam go śpiącego na nowej, rozkładanej sofie w gabinecie. Na biurku leżała niewielka kupka wydrukowanych stron. Kiedy dwie godziny później przyniosłam mu filiżankę herbaty, zapytałam:

– Długo pracowałeś?

– Tylko do trzeciej – odparł, na wpół obudzony.

– Mogłeś przyjść na dół i położyć się ze mną.

– Nie chciałem cię obudzić.

Ale następnej nocy zrobił to samo. Wróciłam ze szpitala z drugiej tego dnia wizyty u Jacka. Była dziewiąta – i zrobiło mi się trochę przykro, że zastałam Tony’ego przy pracy w gabinecie. A przecież powiedział mi, że nie da rady tego wieczoru pojechać do szpitala, bo zatrzymuje go jakiś kolejny międzynarodowy kryzys, bodajże w Mozambiku.

– Zresztą Jack raczej nie będzie za mną tęsknił – powiedział, kiedy zadzwonił do mnie po południu.

– Ale ja bym chciała, żebyś tam ze mną był.

– Ja też bym chciał. Tylko...

– Wiem, wiem, praca to praca. I kogo to obchodzi, że twój syn...

– Nie zaczynaj znowu – uciął ostro.

– Dobrze, dobrze – odparłam zirytowana. – Niech ci będzie. Do zobaczenia w domu.

Więc naprawdę się wkurzyłam, kiedy znalazłam go wieczorem w gabinecie.

– Mówiłeś, zdaje się, że będziesz do późna pracował w redakcji.

– Oddaliśmy strony do składu wcześniej, niż się spodziewaliśmy.

– No cóż, w takim razie dzięki, że popędziłeś do Mattingly odwiedzić swojego syna.

– Wszedłem do domu piętnaście minut temu.

– I od razu zasiadłeś do pisania powieści?

– Tak.

– Naprawdę myślisz, że w to uwierzę?

– Miałem natchnienie – odparł bez najmniejszego śladu ironii.

– A teraz pewnie będziesz chciał zjeść kolację?

– Nie, zjadłem coś w redakcji. Słuchaj, naprawdę chciałbym teraz popracować, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Nie chcesz wiedzieć, jak się czuje Jack?

– Wiem, jak się czuje Jack. Zadzwoiłem do szpitala około szóstej i dowiedziałem się wszystkiego od oddziałowej OIOM-u. Ale ty już pewnie o tym wiesz.

Miałam ochotę wrzeszczeć. Zagryzłam jednak wargi, odwróciłam się na pięcie i wyszłam. Zjadłam coś szybko w kuchni, splukałam jednym kieliszkiem wina (bo nie miałam zamiaru ryzykować kolejnego odjazdu), nalałam kieliszek dla Tony’ego i zaniiosłam mu do gabinetu.

– O, dzięki – powiedział, odrywając oczy od ekranu.

– Jak ci idzie? – zapytałam.

– Dobrze, dobrze – odparł tonem wskazującym wyraźnie, że przerwałam mu tok myśli.

– Chcesz oglądać dziennik o dziesiątej?

– Lepiej jeszcze popracuję.

Dwie godziny później znów zajrzałam do gabinetu.

– Idę spać – oznajmiłam.

– Dobrze.

– Przyjdiesz?

– Zaraz zejdę.

Ale kiedy piętnaście minut później gasiłam nocną lampkę, jeszcze nie przyszedł. A gdy obudziłam się o ósmej następnego ranka, miejsce obok mnie było puste.

Więc znów weszłam na górę, do gabinetu – i ujrzałam go opatulonego kołdrą na sofie.

Tym razem jednak nie zaniiosłam mu herbaty. I nie obudziłam go. Kiedy zwłókł się na dół ze znękaną miną około dziesiątej, jego pierwsze słowa brzmiały:

– Dlaczego pozwoliłaś mi zasnąć, do diabła?

– Cóż, skoro każde z nas prowadzi oddzielne życie, nie muszę być twoim ^dzikiem.

– Przespałem dwie noce na sofie, a ty już mówisz o oddzielnym życiu.

– Zastanawiam się po prostu, czy próbujesz mi dać coś do zrozumienia.

A może to jest jakiś pasywno-agresywny...

– Pasywno-agresywne co? Do cholery ciężkiej, pracowałem do późna.

Nad powieścią. Do której ty sama tak mnie zachęcałaś. Więc o co chodzi?

– Po prostu czuję się...

– Chorobliwie niepewna siebie.

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć.

– Być może.

– Niepotrzebnie. I dziś wieczorem będę w szpitalu. I będę spał w naszym łóżku. W porządku?

Zgodnie z obietnicą Tony zjawił się w Mattingly około ósmej wieczorem.

Spóźnił się pół godziny, ale uznałam, że nie będę robić z tego powodu afery.

Ja sama spędziłam już prawie godzinę, nawiązując kontakt wzrokowy z moim synkiem. Wyglądało na to, że patrzy, jak go obserwuję – i po raz pierwszy od wielu tygodni naprawdę się uśmiechałam.

– Popatrz na to – powiedziałam, kiedy Tony podszedł do nas korytarzem.

Kucnął obok i spojrzał na Jacka.

– Mówiłem ci, że wszystko będzie dobrze – odparł.

Owszem, mówiłeś. Ale dlaczego musisz mi o tym przypominać właśnie teraz?

– On nas naprawdę widzi – szepnęłam, uznając, że nie jest to najlepsza chwila, by komentować tę uwagę.

– Na to wygląda. – Tony pomachał do Jacka. – Cześć. Jesteśmy twoimi rodzicami, kolego.

– Nic mu nie będzie. Bo się o to postaramy.

– Twoja mama jest typową, amerykańską optymistką – powiedział do Jacka. A nasz synek tylko patrzył na nas, bez wątplenia zadając sobie pytanie, gdzie jest i czym jest to coś, co nazywa się życiem.

Tego wieczoru Tony poszedł do łóżka razem ze mną i czytał Konsula honorowego Gramma Greene'a. Nawet pocałował mnie na dobranoc. Choć seks cały czas nie wchodził w grę ze względów czysto fizycznych, przytulanka byłaby miła. Ale przytulanki od niechcenia (a przynajmniej takie, z których nie wynikał seks) nigdy nie były w stylu Tony'ego. Kiedy obudziłam się następnego ranka... jak zwykle znalazłam go na górze, wyciągniętego na sofie. Kupka kartek na biurku urosła.

- Wygląda na to, że w nocy jesteś bardzo produktywny – powiedziałam.
- To dobra pora na pracę – odparł.
- I daję ci to pretekst, żeby ze mną nie spać.
- Przecież spałem.
- Jak długo?
- Czy to ma znaczenie? W końcu ty naprawdę spałeś.
- Kiedy tylko zasnąłam, poszedłeś na górę.
- Tak. Ale poszedłem z tobą do łóżka, zgodnie z życzeniem, prawda?
- Niby tak – odparłam, zdając sobie sprawę, że dyskusja do niczego nie prowadzi.
- I powieść posuwa się naprzód.
- To miło.
- Więc o co chodzi?
- O nic, Tony.

Ale wiedziałam, że mój mąż próbuje sprytnie się urządzać – dzięki wymówce w postaci powieści i schronieniu na sofie w gabinecie ominą go wszystkie zarwane, bezsenne noce, kiedy Jack będzie już w domu.

Ale znów bałam się poruszyć ten temat, bo za każdym razem, kiedy wyrażałam swoje niezadowolenie, Tony wzdychał ciężko, sprawiając, że czułam się jak upierdliwa zrzęda, którą nigdy nie chciałam zostać. No i w zasadzie zostawił bez większego komentarza ten mój uroczy epizod z czołganiem się po podłodze. A w szpitalu, kiedy jeździłam na swojej hormonalnej karuzeli, wykazał godną podziwu odporność. Więc by zachować pokój na domowym froncie (szczególnie że chwila pojawienia się Jacka w domu była coraz bliższa), uznałam, że lepiej nie drażnić tej kwestii. Zagryź zęby i cierp – to najlepsze antidotum na małżeńskie kłopoty.

Postanowiłam odsunąć od siebie negatywne myśli, wykorzystując kilka następnych dni na doprowadzenie domu do jakiegoś rozsądnego stanu, zanim nasz syn wypełni każdą możliwą przestrzeń. Na szczęście majster i jego brygada stali pod drzwiami o ósmej następnego

ranka, gotowi do pracy (Tony naprawdę musiał poruszyć ich sumienia – albo po prostu przestał im Płacić). Collins, irlandzki szef ekipy, aż się rozplęwał z troski, pytając mnie z przejęciem o „malutkiego”, powtarzając, że „strasznie mu przykro, że musiałam tyle przejść”, ale że „z Bożą pomocą z malutkiego wyrosnie chłop na schwał”. Zapewnił mnie też, że on i jego chłopcy są w stanie zakończyć wszelkie grubsze prace w tydzień.

– Niech się pani nie kłopotuje o nic, tylko o swojego chłopczyka. A my już Pani wyszukujemy dom.

Byłam szczerze wzruszona taką życzliwością – szczególnie wobec faktu, że do tej pory Collins był nieodpowiedzialnym dupkiem, nigdy nie dotrzymywał słowa, wiecznie nas zwodził i zachowywał się, jakby robił nam wielką łaskę. A teraz nagle objawiła się jego wrodzona przyzwoitość. Choć z całym cynizmem musiałam przypisać tę odmianę emocjonalnemu szantażowi, któremu tak łatwo uległ, zdawałam też sobie sprawę, że prawdopodobnie jak każdy budowlaniec starał się urwać coś dla siebie z każdego końca, brał więcej zleceń, niż był w stanie wykonać, i działał według zasady, że nie wie prawica, co czyni lewica. Ale dziecko w niebezpieczeństwie zawsze wydobywa z każdego wszystko, co najlepsze... chyba że, tak jak Tony, człowiek odgradza się murem od wszelkich lęków, wątpliwości, poczucia przypadkowości ciosów wymierzanych przez życie.

Wyczuwałam, że ten cordon sanitaire to tylko sposób Tony’ego na radzenie sobie z własnymi niepokojami. Choć tak niechętnie wyrażał uczucia, do tej pory poznałam go już na tyle dobrze, by przejrzeć na wylot maskę jego pozornej obojętności. I choć naprawdę się cieszyłam, że zabrał się do powieści, zdawałam też sobie sprawę, że to mechanizm obronny – psychiczne schronienie, gdzie mógł odciąć się ode mnie i potencjalnego problemu, jaki stanowił Jack.

– Założę się, że niedługo zaczniesz szukać sposobu, by przenieśli go z powrotem do Kairu. I to samego. To tylko kwestia czasu – stwierdziła Sandy, kiedy zadzwoniła do mnie tego ranka.

– On po prostu ma pietra – odparłam.

– Taaak, odpowiedzialność to cholerna rzecz.

– Słuchaj, każdy na swój sposób radzi sobie z kryzysami.

– Co w przypadku Tony’ego oznacza uprawianie strusiej polityki.

Nie była to pierwsza telefoniczna rozmowa z moją siostrą, od kiedy trafiłam do szpitala. Kiedy wróciłam do domu, rozmawiałyśmy dwa, trzy razy dziennie. I Sandy była przerażona moimi rewelacjami.

– Gdyby ten dupek, mój były mąż, nie wyruszył właśnie na miesięczną wędrowną ze swoją wielbicieleką natury, popędziłabym do Londynu jak rakietą. Ale nie ma nikogo, kto by się zajął dziećmi, a ten gnojek wędruje bez komórki, więc jest kompletnie nieuchwytny.

Jak się jednak spodziewałam, nie zareagowała przerażeniem na wielki znak zapytania wiszący nad Jackiem. Zamiast załamać ręce, zaczęła obdzwaniać wszystkich położników

i pediatrów, jakich znała w Bostonie i okolicy, zdobywała informacje, zasięgała opinii i w ogóle starała się na wszelkie sposoby zaradzić kryzysowej sytuacji w iście amerykańskim stylu, zgodnie z tak uwielbianym przez nas hasłem: „Przecież musi być jakaś rada!”

– Naprawdę myślę, że wszystko będzie dobrze – powiedziałam Sandy, próbując odwrócić jej uwagę od mojego krnąbrnego męża. – Najważniejsze, że dzisiaj przenoszą Jacka z OIOM-u.

– No, to już coś. Bo według męża mojej znajomej, Maureen...

Okazało się, że mąż Maureen, niejaki doktor Flett, był ordynatorem oddziału neurologii dziecięcej w szpitalu Mass General i powiedział, że...

– .. jeśli dziecko reaguje na normalne bodźce po siedmiu dniach od narodzin, rokowania są dobre.

– Dokładnie to samo powiedzieli mi tutejsi lekarze.

– Tak – odparła Sandy – ale oni nie są ordynatorami oddziału neurologii dziecięcej w jednym z najlepszych szpitali w Stanach.

– Tutejsi lekarze byli po prostu okropni – powiedziałam.

– Gdybym miała parę milionów na koncie, jeszcze dzisiaj ściągnęłabym ciebie i Jacka samolotem MedEvac.

– To miło z twojej strony, ale Anglia to nie Uganda.

– Będziesz musiała mnie o tym przekonać. Dobrze się dzisiaj czujesz?

– Dobrze – odparłam ostrożnie. Choć wspomniałam Sandy o moich poporodowych dołkach, nie wdawałam się w szczegóły... bo po pierwsze, nie chciałam jej jeszcze bardziej niepokoić, a po drugie, sama byłam przekonana, że faktycznie to tylko poporodowe dołki. Ale Sandy, jak zwykle, nie dała się nabrać na mój spokój.

– Bo wiesz, mam jeszcze jedną znajomą, Alison Kepler, która jest przełożoną pielęgniarek na położnictwie Kliniki Chorób Kobiecych w Brigham...

– Jezu, Sandy – przerwałam jej. – Już chyba z pół Bostonu wie, że urodziłam syna...

– No to co? Staram się tu zaocznie uzyskać dla ciebie jak najbardziej wiarygodne informacje. I Alison powiedziała mi, że depresja poporodowa może przychodzić falami.

– Ale ja nie mam depresji poporodowej – odparłam zrezygnowanym tonem.

– Skąd ta pewność? Nie wiesz, że większość chorych na depresję nie ma Pojęcia, że są chorzy?

– Skąd pewność? A stąd, że Tony wkurza mnie do białej gorączki. A większość chorych na depresję nie jest w stanie się wkurzyć na męża... albo na siostrę.

– Jak możesz się na mnie wkurzać?

Jak możesz być tak pozbawiona poczucia humoru?– miałam ochotę wrzasnąć. Ale moja wspaniała, pozbawiona poczucia humoru siostra właśnie tak odbierała świat: absolutnie dosłownie i absolutnie logicznie. Dla niej każda wypowiedź miała tylko jedno znaczenie. I dlatego nigdy – powtarzam, nigdy – nie przetrwałyby w Londynie.

Ale po kilku dniach spędzonych w domu byłam pewna, że mam już za sobą fazę szoku poporodowego. Być może miało to coś wspólnego z wypuszczeniem Jacka z OIOM-u. W środę przyszedłam na swoją poranną wizytę o wpół do jedenastej, ale dyżurująca zwykle rano siostra powitała mnie słowami:

– Dobre wieści. Żółtaczka Jacka minęła całkowicie i przenieśliśmy go na normalny oddział dziecięcy.

– Jest siostra pewna, że nic mu już nie grozi? – zapytałam.

– Proszę mi uwierzyć – odparła – że nie wypuścilibyśmy go stąd, gdybyśmy nie byli pewni, że wszystko jest w porządku.

– Przepraszam, przepraszam. Po prostu nie potrafię przestać się martwić.

– Takie są uroki rodzicielstwa.

Oddział dziecięcy znajdował się dwa piętra niżej. Pielęgniarka zadzwoniła, by mnie zapowiedzieć i potwierdzić, że faktycznie jestem matką Jacka Hobbsa („W obecnych czasach ostrożności nigdy za wiele”). Kiedy dotarłam na miejsce, czekała już na mnie oddziałowa.

– Pani jest mamą Jacka? – zapytała.

Kiwnęłam głową.

– Przyszła pani w samą porę – powiedziała. – Trzeba go nakarmić.

Niesamowicie było zobaczyć Jacka wolnego od całej tej medycznej aparatury, wśród której leżał niczym mała mumia przez dziesięć dni. Wtedy wydawał się rozpaczliwie bezbronny, teraz z jego twarzy zniknął wyraz oszołomienia, który malował się na niej przez pierwsze dni życia. I choć Sandy (poparta przez cały pluton ekspertów) zapewniała mnie, że w jego pamięci nie pozostał nawet ślad traumatycznych przeżyć, ja nie mogłam nic poradzić na to, że czuję się winna. Winna, że zrobiłam coś nie tak w czasie ciąży – choć nie umiałam wskazać konkretnie, co to było.

I nagle ten pełen wyrzutu głos w mojej głowie znów zaczął swoją litanię: sama sobie jesteś winna. Ty mu to zrobiłaś. Bo tak naprawdę wcale go nie chciałaś...

Zamknij się!

Zorientowałam się, że drzę, kurczowo ściskając boki łóżeczka Jacka. Pielęgniarka przyglądała mi się z niepokojem. Miała około dwudziestu pięciu lat, była duża i tęga, ale od

pierwszego spojrzenia budziła zaufanie.

– Dobrze się pani czuje? – zapytała.

– Jestem tylko trochę zmęczona – odparłam, zerkając na plakietkę z jej nazwiskiem: MCGUIRE.

– A co będzie, jak go pani dostanie do domu – powiedziała ze śmiechem.

Ale zamiast zirytować się na ten niewinny żart, zmusiłam się do uśmiechu, bo nie chciałam, by ktokolwiek wiedział, jak koszmarnie czuję się w tej chwili.

– Gotowa? – zapytała pielęgniarka.

Nie, nie jestem gotowa. Na nic nie jestem gotowa. Bo sobie nie poradzę.

Bo...

– Jasne – odparłam, uśmiechając się z przymusem.

Siostra sięgnęła do łóżeczka i ostrożnie podniosła Jacka. Był bardzo spokojny, dopóki nie wzięłam go od niej. W tym momencie zaczął płakać. Nie był to głośny płacz – ale nie ustawał, jakby mój syn nie czuł się dobrze w moich ramionach. Oskarżycielski głos w mojej głowie powiedział: oczywiście, że płacze. Bo wie, że zrobiłaś mu krzywdę.

– To pani pierwsze dziecko? – zapytała pielęgniarka.

– Tak – odpowiedziałam, zastanawiając się, czy widać moje zdenerwowanie.

– Więc proszę się nie przejmować tym płaczem. Zapewniam panią, że do wieczora to polubi.

Dlaczego próbujesz mnie uspokajać? Przecież to oczywiste – Jack wie, że źle mu żyłam, wie, że próbowałam mu zrobić krzywdę, wie, że nie nadaję się na matkę. I dlatego nie może ścierpieć tego pierwszego fizycznego kontaktu ze mną. On wie.

– Przynieść pani krzesło? – zapytała siostra.

– Byłoby miło – odparłam, gdyż moje nogi nagle zrobiły się jak z gumy.

Przyniosła mi plastikowe krzesło z prostym oparciem. Usiadłam, tuląc do siebie Jacka. Wciąż ryczał, jakby naprawdę był przerażony, że znalazł się w nieodpowiednim towarzystwie.

– Może gdyby pani spróbowała go nakarmić... – zasugerowała pielęgniarka. – To jego pora.

– Miałam problemy z odciąganiem mleka – powiedziałam.

– On to załatwi w mgnieniu oka – odparła. Jej przyjazny śmiech miał mi Pomóc poczuć

się swobodniej, ale sprawił tylko tyle, że czułam się coraz bardziej skrepowana. Obejmując płaczącego Jacka jedną ręką, spróbowałam drugą unieść koszulkę i biustonosz. Ale krzyki Jacka tak mnie wytrąciły z równowagi, że za każdym razem, gdy usiłowałam zadrzeć koszulkę, zaczynał mi się wysmykiwać. Co najwyraźniej niepokoiło go jeszcze bardziej.

– Może ja go przez chwilkę potrzyam, a pani się tymczasem przygotuje – zaproponowała pielęgniarka.

Na nic się nie przygotowuję. Nie potrafię się przygotować.

– Dziękuję – powiedziałam. Kiedy uwolniła mnie od Jacka, przestał płakać. Podciągnęłam koszulkę i oswobodziłam prawą pierś z biustonosza dla karmiących matek, który nosiłam. Dłonie miałam spocone. Byłam piekielnie spięta, częściowo dlatego, że moje kanaliki mleczne znów od kilku dni były zatkane. Ale też dlatego, że trzymając w ramionach dziecko, czułam jedynie przerażenie.

Nie nadajesz się do tego... nie potrafisz...

Kiedy pierś była już na wierzchu, pielęgniarka oddała mi Jacka. Jego reakcja na mój dotyk przypominała wręcz odruch Pawłowa: „płacz, kiedy czujesz ręce mamusi”. No i płakał. Jak najęty. Dopóki jego usta nie dotknęły sutka, kiedy płacz zastąpiło łapczywe cmokanie, jakby faktycznie był Bóg wie jak głodny.

– No i proszę – powiedziała pielęgniarka, kiwając głową z aprobatą, kiedy ścisnął dziąsłami sutek i zaczął ssać jak mały odkurzacz. A ja poczułam coś, jakby nagle przyczepiono mi do sutka klamerkę do bielizny. Może nie miał zębów, ale jego dziąsła były twarde jak stal. I zacisnął je tak mocno, że moim pierwszym odruchem był zduszony, zaskoczony okrzyk.

– Wszystko w porządku? – zapytała pielęgniarka, nadal próbując zachować swoją przyjazną pozę – choć z każdą chwilą nabierałam pewności, że już mnie skreśliła jako osobę absolutnie nienadającą się do pełnienia macierzyńskich obowiązków.

– Tak, tylko jego dziąsła są trochę...

Ale nie dokończyłam zdania, bo Jack wgrzył się tak mocno, że naprawdę wrzasnęłam. Co gorsza, ból był nagły i tak intensywny, że odruchowo oderwałam go od piersi – co oczywiście znów sprowokowało go do płaczu.

– O Boże, przepraszam, przepraszam, przepraszam – powiedziałam.

Pielęgniarka zachowała spokój. Odebrała ode mnie Jacka; który uspokoił się po krótkiej chwili. A ja siedziałam z obnażoną, obolałą pierśią – bezużyteczna, głupia i rozpaczliwie winna.

– Nic mu nie jest? – zapytałam głuchym ze strachu głosem.

– Tylko trochę się przestraszył – odparła siostra. – Podobnie jak i pani.

– Naprawdę nie chciałam...

– Świetnie pani sobie radzi. To się często zdarza. Szczególnie że ma pani kłopoty z przewodami mlecznymi. Proszę chwilkę poczekać, chyba wiem, jak możemy rozwiązać ten problem.

Wolną ręką sięgnęła po słuchawkę. Minutę później do sali wkroczyła druga pielęgniarka, z przeklętym odsysaczem w ręku.

– Używała już pani czegoś takiego? – zapytała siostra McGuire.

– Niestety tak.

– No to do dzieła – powiedziała, wręczając mi pompkę.

I znów straszliwy ból – ale tym razem krótkotrwały. Po minucie energicznego ssania tamy puściły – i choć czułam, że po twarzy płyną mi łzy, ulga była ogromna.

– Teraz już dobrze? – zapytała pielęgniarka tym swoim wesołym, rzeczowym tonem.

Kiwnęłam głową. Podała mi Jacka z powrotem. Boże, jak on fatalnie znosił mój dotyk. Przysunęłam go szybko do ciekącego sutka. Wcale nie miał ochoty zbliżyć się do niego po raz drugi, ale kiedy usta poczuły smak mleka, przylepił się jak pijawka i zaczął zawzięcie ssać. Skrzywiłam się, bo znów zaczęło boleć – ale zmusiłam się do milczenia. Nie chciałam urządzić kolejnego popisu przed tą wyjątkowo tolerancyjną pielęgniarką. Siostra McGuire wyczuła jednak, co się ze mną dzieje.

– Trochę boli? – zapytała.

– Niestety tak.

– Nie jest pani pierwszą mamą, która to mówi. Ale przyzwyczai się pani.

Boże, dlaczego ona jest taka miła? Przecież wcale na to nie zasługiwałam.

Czytałam te wszystkie cholerne książki i artykuły, wychwalające pod niebo rozkosze karmienia piersią, które cementuje więź między matką i dzieckiem i wyzwala najgłębsze macierzyńskie instynkty. „Nie ma to jak maczyna pierś”, brzmiał temat przewodni tych peanów na cześć naturalnego karmienia – a wszystkie sceptycznie nastawione kobiety były z miejsca potępiane jako samolubne, nieczułe i wyrodne lafiryndy. I właśnie ja teraz tak się czułam. Bo nikt mi nigdy nie powiedział jednej rzeczy na temat karmienia piersią: że to tak cholernie boli.

– Oczywiście że boli – powiedziała Sandy, kiedy zadzwoniłam do niej około południa.
– Do diabła, każde karmienie było dla mnie katorgą.

– Naprawdę? – zapytałam, czepiając się tej rewelacji.

– Nigdy nie budziło to we mnie uczuć macierzyńskich.

Wiedziałam, że kłamie – dla mojego dobra. Bo często bywałam u Sandy, kiedy urodziła swojego pierwszego syna, i nigdy nie zauważyłam u niej oznak jakiegokolwiek dyskomfortu, gdy karmiła go piersią. Wręcz przeciwnie, miała w tym tak cholerną wprawę, że raz nawet zastałam ją prasującą koszulę z małym u piersi.

– To jest po prostu za pierwszym razem trochę zaskakujące – stwierdziła.

– Kiedy wracasz do szpitala?

– Wieczorem – odparłam, słysząc w swoim głosie przerażenie.

– Założę się, że jest śliczny – powiedziała. – Masz cyfrowy aparat?

– Nie.

– To sobie kup; będziesz mi mogła przysyłać maile ze zdjęciami.

– Dobra – odparłam tak bezbarwnym tonem, że Sandy natychmiast rzuciła:

– Sally... powiedz mi.

– Co ci mam powiedzieć?

– Powiedz, co się dzieje.

– Nic się nie dzieje.

– Masz dziwny głos.

– Kiepski dzień, i tyle.

– Jesteś pewna, że to tylko to?

– Jasne – skłamałam. Bo prawda była taka, że...

Co?

Nie miałam zielonego pojęcia, jaka była prawda. Wiedziałam tylko, że nie chcę wracać wieczorem do szpitala. Odłożyłam słuchawkę, uciekłam od robotników, którzy kręcili się po całym domu, i schroniłam w gabinecie Tony'ego. Rozparłam się w jego fotelu i zagapiłam na stosik kartek rękopisu, ułożonych drukiem na dół po lewej stronie klawiatury. Pod okrągłym stojakiem na długopisy leżał duży notes w czarnej, nubukowej oprawie. Od zawsze wiedziałam, że Tony namiętnie prowadzi dziennik. Dowiedziałam się tego pierwszej nocy, jaką spędziliśmy razem w jego zabałaganionym mieszkaniu w Kairze – kiedy obudziłam się około trzeciej, by się wysiusiać, nakryłam go w salonie, jak skrobał coś zawzięcie w czarno oprawionym notesie.

– To ile punktów mi dajesz? Pięć, osiem? – zapytałam, stając nago w drzwiach.

– To moja sprawa – powiedział, zamknął notes i zakręcił pióro. – Tak jak wszystko

w tym dzienniku.

Ton był uprzejmy – ale chłodny i stanowczy. Przyjęłam to do wiadomości i nigdy więcej nie pytałam go o notes, choć w ciągu następnego miesiąca często widywałam, jak w nim pisze. Ktoś kiedyś powiedział, że człowiek, który prowadzi pamiętnik, jest trochę jak pies, który zawraca, by powąchać własne wymioty. Ale według mnie każdy, kto dzień po dniu prowadził kronikę swojego życia – a zarazem kronikę własnych, najskrytszych odczuć na temat bliskich osób – w głębi duszy chciał, by została przeczytana. I właśnie dlatego – jak się domyślałam – Tony „niechący” zostawił czarny notes na biurku. Bo choć wiedział, że szanuję jego prywatność do tego stopnia, że nigdy nawet nie wchodziłam do jego gabinetu – zastanawiałam się, czy to nie jest jakaś subtelna, zaczepno-odporną gierka; czy nie miało to znaczyć: proszę, leży tutaj... otwórz go, jeśli się ośmielisz.

Ale z drugiej strony, mógł go tu przecież zostawić przypadkiem... a to by oznaczało, że wszystkie moje pseudopsychologiczne rozważania na temat jego rzekomego podstępu są tylko kolejnym dowodem mojej nadwrażliwości.

W każdym razie w tej chwili czułam się cholernie nadwrażliwa. Tak nadwrażliwa, że choć kusilo mnie, by otworzyć notes i poznać nawet najstraszliwszą prawdę, zawartą w środku („Jesteśmy okropną parą”, „Dlaczego ona jest we wszystkim tak cholernie dosłowna?”, „Sam sobie zbudowałam więzienie”). Naprawdę miewałam przebłyski paranoicznego natchnienia), wiedziałam, że byłaby to wycieczka na terytorium, które lepiej omijać. A zresztą, kto przy zdrowych zmysłach tak naprawdę chce znać najskrytsze myśli swojego męża czy żony?

Odsunęłam więc rękę od notesu, oparłam się też pokusie, by przeczytać choćby kilka stron rękopisu i przekonać, czy Tony bawi się w Grahama Greene’a, czy raczej w Jeffreya Archera. Zamiast tego rozłożyłam sofę, otworzyłam wiklinową skrzynię, w której Tony trzymał kołdrę i poduszki, zaciągnęłam roletę w oknie, przełączyłam telefon na pocztę głosową, zdjęłam dzinsy i wsunęłam się pod kołdrę. I choć z dołu dobiegało głośnie stukanie i szlifowanie, zasnęłam w ciągu kilku minut -jakbym dała nura w studnię zapomnienia.

Ale nagle usłyszałam znajomy głos.

– Co ty tutaj robisz?

Potrzebowałam dobrej chwili, by się zorientować, gdzie jestem, i zarejestrować fakt, że jest już noc, a pokój oświetla wysoka lampa, stojąca na prawo od biurka. W drzwiach stał mój mąż, przyglądając mi się z niepokojem.

– Tony? – zapytałam głosem ochrypłym od snu.

– Ze szpitala próbowali się do ciebie dodzwonić...

Oprzytomniałam natychmiast.

– Co takiego?

– Jackowi trochę się pogorszyło po południu. Żółtaczka wróciła.

Zerwałam się na równe nogi i zaczęłam zbierać swoje rzeczy.

– Jedziemy – powiedziałam, wciągając dzinsy. Tony położył mi uspokajająco rękę na ramieniu.

– Już tam byłem. Teraz jest w porządku. Z początku martwili się, że to poważny nawrót, ale badania krwi wykazały tylko nieznacznie podwyższony poziom bilirubiny, więc nie ma się o co martwić. Tyle że z powrotem przenieśli go na OIOM...

Strząsnęłam jego rękę.

– Powiesz mi w samochodzie.

– Nie pojedziemy...

– Nie mów mi, że nie pojedziemy. To mój...

– Nie pojedziemy – powiedział Tony, przytrzymując mnie stanowczo.

– Jeśli ty nie jedziesz, to ja...

– Posłuchasz mnie, czy nie? – podniósł nagle głos. – Jest prawie północ.

– Co? – rzuciłam osłupiała.

– Za siedem dwunasta.

– Bzdura.

– Spałaś cały dzień.

– To niemożliwe.

– Ze szpitala próbowali się dodzwonić do domu od trzeciej po południu.

A ja zostawiłem ci chyba z dziesięć wiadomości na komórce...

– Dlaczego nie próbowałeś zadzwonić do budowlańców?

– Bo nie miałem przy sobie ich numeru, do cholery.

– Zdrzemnęłam się po wizycie u Jacka przed południem.

– Dwunastogodzinna drzemka?

– Przepraszam...

Delikatnie uwolniłam się od jego ręki i skończyłam się ubierać.

– I tak pojedę – oznajmiłam.

Tony zatarasował mi drogę do drzwi.

– To nie jest najlepszy pomysł. Szczególnie po tym...

– Po czym? – zapytałam ze złością. Ale już się domyślałam odpowiedzi.

– Szczególnie po trudnościach, jakie miałaś dziś rano.

Ta dziwka, siostra McGuire. Wszystko wykablowała.

– Miałam kłopoty z karmieniem, i tyle.

– Domyślam się... ale jedna z dyżurnych pielęgniarek powiedziała, że szarpnęłaś Jacka, kiedy ci się przyssał do piersi.

– Tylko przez chwilę. Sprawił mi ból.

– Nie zrobił tego specjalnie.

– Wcale tak nie twierdzę. Przecież nie rzuciłam nim o ścianę. Po prostu trochę mnie to zaskoczyło.

– To chyba musiało być spore zaskoczenie, skoro pielęgniarka powiedziała o tym przełożonej.

Usiadłam na łóżku i objęłam głowę dłońmi. Naprawdę miałam ochotę złapać paszport, popędzić na lotnisko i wsiąść w pierwszy samolot do Stanów.

Nie możesz tego zrobić... jako matka jesteś chodzącą katastrofą...

I nagle w mojej głowie zjawił się inny głos, spokojny i klarowny, powtarzający raz po raz kojącą mantrę: masz to gdzieś... masz to gdzieś... ty naprawdę masz to gdzieś...

Dlaczego taka beznadziejna matka jak ja miałaby się troszczyć o swojego syna? A zresztą, choćbym się nawet troszczyła, to oni (lekarze, pielęgniarki, mój mąż) znali całą prawdę o mnie. Mieli dowody. I wiedzieli, że...

Że co?

Że... nic z tego nie rozumiałam.

Że... w jednej chwili miażdżyła mnie rozpacz i poczucie winy z powodu tego, co spotkało Jacka... a w następnej miałam wszystko w nosie.

Bo jestem do niczego. Właśnie tak, D-O N-I-C-Z-E-G-O. Jak w tej starej piosence country o R-O-Z-W-O-D-Z...

– Sally?

Uniosłam głowę i zobaczyłam, że Tony przygląda mi się z tą swoją pytającą, zirytowa-

ną miną.

– Naprawdę powinnaś iść spać.

– Właśnie przespałam dwanaście godzin.

– No cóż, sama tego chciałaś.

– Nie, to była decyzja mojego ciała. Bo ciało zauważyło coś, czego z całą pewnością nie zauważyłaś ty... że jestem kompletnie wykończona po drobnym fizycznym ćwiczeniu, które się nazywa „poród”. Co zapewne gdzieś w twoim słowniku figuruje tuż obok stłuczenia palca u nogi...

Tony posłał mi krzywy uśmiech i zaczął zdejmować pościel z sofy.

– Chyba teraz trochę popracuję – powiedział. – Nie ma sensu, żebyś na mnie czekała.

– Nie idę spać.

– To twoja sprawa. A teraz, jeśli pozwolisz...

– Nie obchodzi cię to, co się dzieje?

– Przepraszam, ale kto popędził do szpitala dzisiaj wieczorem, kiedy matka naszego syna powylała telefony i kompletnie odcięła się od świata?

Jego uwaga trafiła mnie jak cios w twarz – tym bardziej, że wypowiedział ją obojętnym głosem.

– To nie fair – odparłam niemal szeptem. Tony tylko się uśmiechnął.

– To oczywiste, że tak sądzisz – powiedział. – Bo prawda jest zwykle nie fair.

Po czym usiadł w swoim fotelu, odwrócił się plecami do mnie i powiedział:

– A teraz, jeśli pozwolisz...

– Pieprz się.

Ale Tony zignorował mój wybuch.

– Gdybyś zechciała zrobić mi filiżankę herbaty, byłbym bardzo wdzięczny.

Wypadłam z jego gabinetu i huknęłam za sobą drzwiami.

Wściekła zeszłam na dół. W pierwszym odruchu miałam ochotę wybiec z domu, wskoczyć do taksówki, kazać się zawieźć do Mattingly, wmaszerować prosto na OIOM i zażądać, by natychmiast pokazali mi Jacka. Zażądałabym też, by odnaleźli tę irlandzką kablare, żeby mogła spojrzeć w oczy fałszywej zdzirze i kazać jej odszczekać wszystkie kłamstwa, których o mnie naopowiadała. A potem...

A potem zostałambym związana, zakneblowana i odstawiona do najbliższego domu bez klamek.

Zaczęłam chodzić po pokoju, dosłownie jak nakręcona, niczym jakiś automat. Poruszałam się w mechanicznym, maniackim rytmie: ściana, zwrot, ściana, zwrot. Dopiero kiedy uderzyła mnie myśl: popatrz na siebie, miotasz się tam i z powrotem jak laboratoryjny szczur po podaniu amfetaminy – zmusiłam się, by usiąść. I nagle dostałam ataku dreszczy. Wzdłuż Sefton Street zaczął dąć arktyczny wiatr, jakimś cudem przeniknął przez mury domu; wydawało mi się, że deski podłogi gniją, po ścianach wspina się wszechobecna wilgoć i za chwilę cała ta piekielnie droga kupa gnoju, ta główniana inwestycja, ta mała, wstrętne pseudowiktoriańska podróbka domowego ogniska zostanie zmieciona ze swoich spróchniałych fundamentów, a my zostaniemy bez dachu nad głową i środków do życia.

Ale nagle klimat się zmienił. Rtęć w termometrze podskoczyła do czterdziestu stopni. Opuściłam północną Kanadę w połowie stycznia i znalazłam się gdzieś w tropikach. Aruba, mała. Zapomnij o odmrożeniach. Nadeszła fala podzwrotnikowych upałów. Pięćdziesiąt stopni w cieniu, wilgotność dziewięćdziesiąt sześć procent. Zaczęłam się pocić. Byłam tak przemoczona, że musiałam zedrzeć z siebie ubranie.

I zrobiłam to – nie bacząc na to, że zasłony od frontu są rozsunięte, a z taksówki zaparkowanej przed domem właśnie ktoś wysiada. Kierowca zagapił się na mnie zdumiony, a ja miałam ochotę odwrócić się do niego przodem i pokazać mu swoją bliznę po cesarskim cięciu. Jednak wrodzona wstydlivość wzięła górę; popędziłam po schodach na górę, do łazienki, gdzie odkręciłam na maksa kurek z zimną wodą i weszłam pod lodowaty wodospad (dzięki Bogu uparłam się przy porządnym, amerykańskim prysznicu ciśnieniowym), a potem...

Co ty wyprawiasz?

Zakręciłam wodę. Oparłam głowę o kafelki. Poczułam kolejne uderzenie paniki – że tak kompletnie odleciałam, że straciłam nad sobą kontrolę.

A najbardziej przerażało mnie to, że te dziwne, wariackie napady nie układały się w żaden logiczny ciąg. Byłam jak kulka w automacie do gry, odbijająca się na oślep od każdego obiektu, jaki mi stanął na drodze. A między tymi emocjonalnymi wahaniami następowały momenty niesamowitej, bolesnej trzeźwości -jak ten, który przeżywałam właśnie teraz, kiedy miałam ochotę tłuc głową o ścianę, powtarzając w kółko: co ty wyprawiasz?

Miałam na to tylko jedną odpowiedź: nie wiem. Bo nie wiedziałam już nawet, na jakiej zasadzie działają tryby mojego mózgu.

Posłuchaj samej siebie. Lubisz się nad sobą poużalać, co? Drobne zachwianie równowagi po porodzie – coś, z czym poradziłaby sobie każda rozsądna, zrównoważona osoba – a ty się rozpadasz na kawałki. Tony ma rację, że traktuje cię jak durną histeryczkę. Robisz z siebie idiotkę, a co gorsza, brniesz w to coraz głębiej i niedługo ludzie zaczną kwestionować twoje zdrowie psychiczne. Więc weź się w garść, co? A skoro już o tym mowa, zrób swojemu mężowi filiżankę herbaty.

Uśluchałam rady surowego, wewnętrznego doradcy, i wyszłam spod prysznic, zdecydowana wszystko naprawić. Kiedy się ubierałam i suszyłam włosy, Powtarzałam sobie, że od tej pory zwycięży spokój i trzeźwość. Pojadę do szpitala jutro rano i przeproszę, że nie zjawiłam się dzisiaj. Odszukam siostrę McGuire i powiem jej, że doskonale rozumiem jej niepokój o moją równowagę psychiczną, po czym udowodnię, że potrafię karmić Jacka piersią, z opanowaniem godnym dobrej matki. A w domu rozproszę wszystkie Wątpliwości Tony'ego, odgrywając przez jakiś czas idealną żonę ze Stepford.

Więc nie tylko zaparzyłam mojemu mężowi herbaty, ale wyłożyłam też na talerz stertę jego ulubionych herbatników; znalazłam nawet butelkę laphroaig (słodowej whisky, którą lubił najbardziej). W końcu wdrapałam się z tym wszystkim po schodach, dwa razy o mało nie tracąc równowagi z powodu zbyt wielu rzeczy na tacy. Kiedy dotarłam do drzwi gabinetu, były zamknięte. Zastukałam nogą.

– Tony – powiedziałam.

Nie odpowiedział, choć słyszałam dobiegającą z wnętrza cichą muzykę.

– Tony, proszę... przyniosłam ci herbatę...

Drzwi otworzyły się. Tony spojrzał na wyładowaną tacę.

– Co to jest?

– Paliwo dla twojej twórczości literackiej. I przeprosiny.

– Dobra – kiwnął głową. Uwolnił mnie od tacy i powiedział:

– To ja wracam do biurka.

– Dobrze ci idzie?

– Chyba tak. Nie czekaj na mnie. – I zamknął drzwi.

Nie czekaj na mnie.

Typowe. Cholernie typowe. Olewa mnie, jak zwykle, chociaż próbuję być taka dobra.

Przestań. Przestań. Ostatecznie on pracuje. I przecież chwilę temu mieliście małe „zajście” (by użyć kolejnego, cholernego, angielskiego eufemizmu) i nie możesz się spodziewać, że mu przejdzie w dziesięć minut... nawet jeśli faktycznie rzucił tę wstrętną uwagę o...

Dość. Tony ma rację. Naprawdę powinnaś iść do łóżka. Jedyne problem w tym, że właśnie przespałaś dwanaście godzin...

Dobra. Zajmij się czymś. Zrób coś, żeby wypełnić te godziny.

W ten sposób zabrałam się do rozpakowywania wszystkich pudeł i skrzyń, które wciąż były porozstawiane po całym domu. Zajęło mi to jakieś sześć godzin, w dodatku musiałam pracować w bałaganie, który zostawili po sobie budowlańcy. Kiedy skończyłam, światło po-

ranka nieśmiało zaglądało przez okna – a mnie ogarnęło przyjemne, pełne zadowolenia zmęczenie, jakie daje wykonanie jakiejś poważnej, domowej roboty, która wisiała nad głową od miesięcy. Chodząc po domu – który teraz niemal nadawał się do mieszkania – poczułam dziwny optymizm. Dom nabrał proporcji i przestrzeni – a przede wszystkim nareszcie zapanał w nim ład.

A właśnie ład był czymś, czego w tej chwili naprawdę pragnęłam.

Zrobiłam sobie kąpiel. Moczyłam się w wannie prawie godzinę. Mówiłam sobie: widzisz? Wystarczy na chwilę zająć umysł czymś innym, a bogowie równowagi znów biorą cię pod swoje skrzydła. Teraz już wszystko będzie dobrze.

Było tak dobrze, że kiedy się ubierałam, czułam w sobie nienaruszony zapas energii, choć nie kładłam się przez całą noc. Zajrzałam do gabinetu;

Tony leżał rozwalony na sofie... ale zauważyłam, że kupka stron rękopisu urosła. Podeszłam więc na palcach do biurka, upewniłam się, że radio-budzik jest ustawiony na dziewiątą, i napisałam krótki liścik:

Jadę do szpitala, do naszego chłopca. Mam nadzieję, że spodoba ci się posprzątaný dom. Dasz się dziś zaprosić na kolację? Ja stawiam – ty wybierasz lokal. Czekam na odpowiedź.

Kocham cię...

Podpisałam się, z nadzieją, że spodoba mu się propozycja spędzenia miłego wieczoru, takiego jak w Kairze. Jack miał się zjawić w domu lada dzień, więc była to ostatnia okazja, kiedy mogliśmy sobie pozwolić na swobodne wyjście.

Zeszłam na dół. Spojrzałam na zegarek – parę minut po siódmej. Otworzywszy frontowe drzwi zauważyłam, że ktoś na drugim końcu uliczki najwyraźniej jest w trakcie jakichś prac budowlanych, bo przed jego domem stał pusty kontener na gruz i śmieci. Obejrzałam się na stertę pudeł i połamanych skrzyń, i pomyślałam, że to by mi zaoszczędziło jazdy na wysypisko. Przypomniałam sobie, jak wszyscy mieszkańcy ulicy opróżniali swoje strychy z rupieci, korzystając z naszego kontenera w pierwszej fazie remontu. Uznałam więc, że nikt się nie oburzy, jeśli trochę moich śmieci wyląduje w kontenerze sąsiada.

Ale kiedy wyrzucałam drugą porcję pudeł, drzwi domu otworzyły się i w progu stanął mężczyzna po czterdziestce. Ubrany był w ciemnoszary garnitur.

– To jest nasz kontener – powiedział tonem pełnym miarkowanego oburzenia. Natychmiast zaczęłam się kajać.

– Przepraszam, po prostu pomyślałam, że skoro jest prawie pusty...

– Powinna pani pytać o pozwolenie, kiedy chce pani wyrzucać śmieci do cudzych kontenerów. A teraz byłbym bardzo wdzięczny, gdyby pani łaskawie zabrała wszystkie swoje śmieci...

Ale ktoś mu przerwał.

– Na litość boską, niech pan sam siebie posłucha.

Facet rozejrzał się przestraszony. Zmieszał się okropnie na widok kobiety. Przed pięćdziesiątką -jasnowłosej, grubokościstej, o twarzy poznaczonej głębokimi zmarszczkami (blondynki zawsze zaczynają się starzeć, kiedy przekroczą czwarty krzyżyk), ale wciąż atrakcyjnej. Równie fascynujący był wielki labrador, który stał u jej boku. Mijając nas, usłyszała wymianę zdań. Natychmiast ją rozpoznałam: była to ta sama kobieta, która pochwaliła mnie, kiedy zmusiłam pana Noora, by był dla mnie grzeczniejszy.

A reakcja faceta w garniturze mówiła wyraźnie, że czuje się bardzo niezręcznie w jej obecności. Unikając oskarżycielskiego wzroku kobiety, powiedział:

– Chciałem tylko uświadomić tej pani...

– Co takiego chciał jej pan uświadomić?

– Naprawdę uważam, że to sprawa między mną a...

– A kiedy w zeszłym roku robiłam remont kuchni i przed moim domem stał kontener, kto wywalił do niego w nocy pół zawartości swojego strychu?

Facet był przerażony – został publicznie ośmieszony. Po kilku miesiącach spędzonych w Anglii wiedziałam już, że publiczny wstyd to najgorsze nieszczęście, jakie może spotkać Anglika, i że zrobi on wszystko, by go uniknąć. W Ameryce facet odgryzłby się, rzucając mało polityczną uwagę w rodzaju: „To nie pani zafajdany interes”, ale ten zbladł, skurczył się i był w stanie wymamrotać jedynie:

– Chciałem tylko wyrazić swoje zdanie.

Na co moja dobra samarytanka z labradorem rzuciła mu zimny, pobłażliwy uśmiech i powiedziała:

– No to pan wyraził. – Po czym odwróciła się do mnie i zapytała: – Pomóc ci z resztą pudeł?

– Poradzę sobie. Ale ja...

– Miło cię znowu spotkać, Sally – powiedziała, wyciągając rękę. – Sally, prawda?

Kiwnęłam głową.

– Julia?

– Brawo.

Facet odchrząknął, jakby chciał zaznaczyć, że zamierza nas opuścić. Po czym podwinął ogon i zwiął do domu.

– Dureń – rzuciła Julia półgłosem, kiedy zniknął. – Nic dziwnego, że żona go zostawiła w zeszłym miesiącu.

– Nie wiedziałam...

Wzruszyła ramionami.

– Kolejny domowy dramat, jakie przeżywamy wszyscy. Przy okazji, słyszałam, że zostałaś mamą. Wspaniała wiadomość. Wpadłabym do was z jakimś drobiazgiem, ale prawie dwa miesiące siedziałam we Włoszech, z synem Charliem.

– Ile ma lat?

– Czternaście. A ty kogo urodziłaś? Chłopca czy dziecko?

– Chłopca – odparłam ze śmiechem. – Ma na imię Jack.

– Gratulacje. I jak ci się podoba życie bez snu?

– Cóż... nie ma go jeszcze w domu.

Wyjaśniłam w największym skrócie, co się zdarzyło Jackowi.

– Dobry Boże – powiedziała cicho. – Naprawdę przeżyłaś koszmar.

– On przeżył jeszcze większy.

– Ale dobrze się czujesz?

– I tak, i nie. Czasami sama nie wiem.

– Masz czas na filiżankę herbaty?

– Bardzo bym chciała, ale naprawdę muszę być dziś w szpitalu jak najwcześniej.

– Rozumiem – odparła. – Tak czy inaczej wpadaj, kiedy chcesz. I wrzucaj tyle śmieci, ile ci się podoba, do kontenera tego głupka.

Pożegnała się ze mną przyjaznym uśmiechem.

Skorzystałam z jej rady, wyrzuciłam do kontenera wszystkie pozostałe pudła i cztery pękate worki śmieci po robotnikach. A idąc do metra, myślałam sobie: Naprawdę mam jedną miłą sąsiadkę.

W szpitalu zachowywałam się wręcz wzorowo. Odetchnęłam z ulgą, kiedy się okazało, że Jack tylko na krótko trafił na OIOM i teraz jest z powrotem na zwykłym oddziale dziecięcym. Spotkałam też oddziałową, która przyglądała mi się uważnie, jak zwykle ludzie przyglądają się komuś, kto ma etykietkę rozrabiaki.

Ale uśmiechnęłam się do niej szeroko i zapytałam:

– Czy jest tu gdzieś siostra McGuire? Chyba jestem jej winna przeprosiny za moje wczorajsze zachowanie.

Oddziałowa natychmiast się uspokoiła. Akt skruchy zwykle tak działa na ludzi.

– Niestety, wzięła sobie tydzień wolnego, ale kiedy wróci, przekażę jej pani słowa.

– I przepraszam, że nie dałam rady przyjść wczoraj wieczorem. Chodzi o to, że... szczerze mówiąc, byłam tak wykończona, że po prostu padłam.

– Proszę się nie przejmować. Każda matka jest wykończona po porodzie.

Poza tym mam dobre wieści: wczorajszy nawrót żółtaczkę to nic poważnego. I będzie pani mogła zabrać synka do domu już jutro.

Przywołałam na twarz rozanielony uśmiech.

– To wspaniała wiadomość.

– Czuje się pani na siłach, żeby go teraz nakarmić? Bo na pewno jest głodny.

Robiąc co w mojej mocy, by ukryć niepokój, kiwnęłam głową z uśmiechem przyklepionym do twarzy. Oddziałowa skinęła na mnie, żebym poszła za nią. Weszliśmy do sali, gdzie stało łóżeczko Jacka. Leżał na boku i głośno płakał. Zesztywniałam, zastanawiając się, czy rozryczy się na dobre, kiedy wezmę go na ręce. Ale spróbowałam zamaskować swój strach, mówiąc:

– Chyba naprawdę zgłodniał.

Oddziałowa odwzajemniła mój uśmiech. Nastąpił niezręczny moment, kiedy stałam przy łóżeczku, nie wiedząc, czy sama mam podnieść Jacka, czy siostra mi go poda. Znów rzucając mi nieufne spojrzenie, oddziałowa wskazała gestem, żebym go wzięła. Dłonie mi spotniały, kiedy sięgałam do łóżeczka. I oczywiście piski Jacka przybrały na sile, gdy go podniosłam.

Nie panikuj, nie panikuj, powtarzałam sobie. I, na litość boską, nie okazuj strachu.

Przytuliłam Jacka do piersi, kołysząc go łagodnie. Zapłakał ze zdwojoną energią. Szybko usadowiłam się na twardym krześle obok łóżeczka, rozpięłam koszulę, uwolniłam lewą pierś z biustonosza i ścisnęłam sutek, by wycisnąć choć trochę mleka – ale poczułam tylko stężały beton.

Nie myśl o tym. Po prostu przystaw go do piersi i miej nadzieję, że nie zaczniesz wrzeszczeć. Siostra obserwuje każdy twój ruch.

Delikatnie skierowałam główkę Jacka w stronę sutka. Kiedy go odnalazł, zaczął chciwie ssać. Zamknęłam oczy, gdy dopadł mnie ból, ale jego łapczywość nagle przyniosła efekty – kanaliki odetkały się i mleko popłynęło.

Nie było ważne, że wzmacniane stałą dziąsła ścisnęły sutek jak imadło, ani że z minuty na minutę czułam coraz większy ból. Jack jadł.

– Trochę panią boli? – zapytała oddziałowa.

– Da się wytrzymać – odparłam.

Była to prawidłowa odpowiedź, bo siostra kiwnęła głową z aprobatą i powiedziała:

– No, to zostawiam was samych.

Kiedy tylko zniknęła mi z oczu, pochyliłam się i szepnęłam do uszka Jacka:

– Dzięki.

Po dziesięciu minutach przesunęłam go do drugiej piersi – i znów działające jak mały odkurzacz usta w kilka chwil usunęły wszystkie tamy i mleko popłynęło bez przeszkód.

Czytałam niejedno popularnopsychologiczne dzieło o tym, jak blokady fizyczne mogą prowadzić do blokad psychicznych. Ale choć zwykle sceptycznie podchodziłam do tego typu powiązań ciała z umysłem, muszę przyznać, że kiedy tego ranka wychodziłam ze szpitala, czułam się, jakbym nareszcie wyszła z ponurego cienia, w którym żyłam od narodzin Jacka.

– Niech Bóg błogosławi ssanie mojego siostrzeńca – powiedziała Sandy, kiedy zadzwoniłam do niej około dziewiątej jej czasu, by pochwalić się, że nareszcie udało mi się nakarmić syna bez pomocy piekielnej pompki. Ale kiedy powiedziałam, że jestem niemal w siódmym niebie, odparła: – To wspaniale, ale nie panikuj, jeśli nagle znowu wpadniesz w dołek. Kiedy Jack będzie w domu, czekają cię zarwane noce, a trzy godziny nieprzerwanego snu będzie ci się wydawało sukcesem.

– Dzisiaj nie kładłam się całą noc i czuję się wspaniale.

– Dlaczego nie kładłaś się całą noc?

– Bo wczoraj przespałam cały dzień.

– Nie podoba mi się to.

– Ale to najlepsze, co mogłam zrobić. Musiałam się na chwilę wyłączyć.

A teraz czuję, że znów wróciłam do równowagi, znów widzę wszystko we właściwych proporcjach i czuję się naprawdę pogodzona ze światem.

Długa cisza.

– Jesteś tam, Sandy? – zapytałam.

– Jestem, jestem. Tylko się zastanawiam, czy nie wstąpiłaś do sekty Moona.

– Wielkie dzięki.

– A czego się spodziewasz, do diabła, skoro zaczynasz wygadywać bzdury w rodzaju „jestem pogodzona ze światem”?

– Bo jestem.

– No, teraz naprawdę zaczęłam się martwić.

Typowa Sandy – jeszcze bardziej dosłowna niż ja w osądach ludzkich nastrojów. Ale wiedziałam, że wszystko będzie dobrze, choć po powrocie ze szpitala zastałam w domu kartkę od Tony’ego:

Z żalem odrzucam zaproszenie. Do Londynu przyjechał zastępca sekretarza stanu USA. Właśnie dostałem wejściówkę na kolację w ambasadzie.

Jakoś ci to wynagrodzę.

Świetnie, po prostu świetnie. Po idiotyzmach, jakie wyczyniałam wczoraj wieczorem, nie miałam zamiaru dzwonić do niego z pretensjami, że odrzucił zaproszenie. Postanowiłam skorzystać z takiego obrotu sprawy. Zamiast walnąć się do łóżka i zdrzemnąć, przetrwam cały dzień bez spania, pojedę do szpitala koło siódmej i będę z powrotem w domu koło dziesiątej – na tyle zmęczona, by przespać spokojnie całą noc. A rano wrócę do normalnego trybu – i będę gotowa, by przywieźć mojego syna do domu.

Kiedy wieczorem dotarłam do Mattingly, miałam za sobą bite dwadzieścia godzin bez snu i zaczynałam być lekko otepiała ze zmęczenia. Wieczorne karmienie w szpitalu potrwało dłużej, niż się spodziewałam – pan Hughes złożył niespodziewaną wizytę na oddziale dziecięcym. Oprowadzał grupę studentów po tej części szpitala i kiedy zobaczył, że karmię Jacka, poprowadził swoją świtę w moją stronę. Miałam Jacka u piersi, więc widząc zbliżającego się Hughesa, jakoś zamieniłam grymas bólu w wyraz macierzyńskiego spełnienia.

– I jak tam, budujemy więź? – zapytał.

– Bez problemów – odparłam z promiennym uśmiechem.

– Sądząc z tego, jak pani syn jest pochłonięty swoim zadaniem, karmienie idzie jak po mleku? – zażartował.

– Wszystko działa jak należy.

– Wspaniale, wspaniale. Pozwoli pani, że szybciotko obejrzę naszego małego kolegę?

Jack nie był zachwycony, że odrywa się go od źródła pokarmu, i zaczął wierzgać. Szybko schowałam pierś pod koszulę – tym bardziej, że jeden ze studentów Hughesa wydał się szczególnie zainteresowany moim nabrzmiałym sutkiem. Ale jego krytyczne spojrzenie mówiło, że to zainteresowanie jest raczej natury naukowej niż seksualnej. Wszyscy pozostali stłoczyli się wokół łóżeczka. Hughes zaczął wyjaśniać niezrozumiałym, medycznym językiem szczegóły skomplikowanego porodu i konieczność wentylacji tuż po. Potem wytłumaczył, że podczas ciąży miałam bardzo podwyższone ciśnienie... tak wysokie, że zastanawiał się nad sztucznym wywołaniem porodu przed terminem – takie ciśnienie może być

groźne dla zdrowia matki.

– Tego mi pan nie powiedział – rzuciłam.

Nagle wszystkie oczy skierowały się na mnie. Hughes zmarszczył brwi.

Nie lubił, kiedy przerywało mu się wykład – a szczególnie kiedy robiła to jakaś pyskata Amerykanka.

– Jakiś problem, pani Goodchild? – zapytał.

– Nie powiedział mi pan, że zastanawiał się pan nad przyspieszeniem porodu.

– Dlatego, że nie był to jeszcze stan przedrzucawkowy... i dlatego, że pani ciśnienie w końcu się ustabilizowało. Ale prawdę mówiąc, kiedy przyjęto panią do szpitala, niemal kwalifikowała się pani do natychmiastowego cesarskiego cięcia...

– Cóż, bardzo dziękuję za informację, nawet jeśli jest odrobinę spóźniona.

Bo skoro było zagrożone zdrowie moje i mojego dziecka, to czy nie powinien mnie pan wtedy powiadomić o możliwości wykonania cesarskiego cięcia?

– Dla dziecka zawsze jest lepiej, jeśli zostanie donoszone do końca ciąży.

I choć może to panią dziwić, pani Goodchild, po tej stronie oceanu też jesteśmy na bieżąco z nowoczesnymi metodami, stosowanymi w położnictwie... a to znaczy, że z medycznego punktu widzenia zrobiliśmy to, co było najlepsze dla pani i pani syna. I jak widać, dwa tygodnie po bardzo skomplikowanym i niebezpiecznym porodzie pani syn najwyraźniej ma się doskonale. Miłego wieczoru, pani Goodchild.

I przeszedł do następnego łóżeczka.

Genialnie. Świetna robota. Brawo. Dziwne, że Departament Stanu nie zatrudnił cię jeszcze z powodu twoich zdolności dyplomatycznych.

Oparłam ręce o boki łóżeczka i opuściłam głowę, zastanawiając się, czy nadal wszyscy na mnie patrzą i czy powinnam naprawić sytuację przeprosinami. Ale kiedy uniosłam oczy, zamierzając coś powiedzieć, Hughes i spółka byli już zajęci kolejnym pacjentem. A ja? Pokazano mi moje miejsce, utarto nosa i publicznie zawstydzono.

Jeszcze mocniej ścisnęłam brzeg łóżeczka i poczułam, że znów jestem roztrzęsiona, znów bez ostrzeżenia wpadam w wir, który wciąga mnie w przepaść.

– Obawiam się, że małego trzeba jeszcze pokarmić – usłyszałam głos z prawej. Była to dyżurna pielęgniarka, surowa, krępa kobieta, która stała w pobliżu, kiedy Hughes dał mi po łapach i (sądząc ze spojrzenia, jakim mierzyła mnie w tej chwili) całkowicie pochwalala jego stanowisko. Szczególnie że Jack głośno płakał, a ja stałam jak słup, z nieprzytomną miną.

– Przepraszam – powiedziałam, podnosząc Jacka. Usiadłam z powrotem na krześle

i przystawiłam go do lewego sutka. Na szczęście kanaliki odetkały się w kilka sekund.

– Rozmawiałam dziś z doktorem Reynoldsem. Uważa, że pani syna można już wypisać ze szpitala. Może go pani odebrać jutro rano, jeśli nie stanowi to dla pani problemu.

Ominięłam wzrokiem jej spojrzenie.

– Najmniejszego.

– Bardzo dobrze.

Dziesięć minut później siedziałam już w taksówce jadącej Fulham Road – i płakałam jak głupia. Kierowca – młody, chudy chłopak o wyglądzie twardziela – bez przerwy zerkał na mnie w lusterku, niezbyt zachwycony, że ma na tylnym siedzeniu zaryczaną kobietę; wiedziałam, że jest rozdarty między chęcią zapytania mnie, co się dzieje, i poczuciem, że nie należy się mieszać.

Zresztą nigdy nie należałam do tych chorobliwych gaduł, które zwierzają się obcym. Ale faktem było, że sama się doprowadziłam do takiego stanu... i przez własną nadwrażliwość zareagowałam tak nieproporcjonalnie na protekcyjne zachowanie Hughesa.

Zanim dojechaliśmy do Putney, udało mi się z grubsza pozbierać. Ale gdy płaciłam szoferowi, widziałam, że starannie unika mojego spojrzenia.

Weszłam do pustego domu i popędziłam na górę do sypialni. Zrzuciłam ubranie, założyłam podkoszulek i wpełzłam do łóżka. Naciągnęłam kołdrę na głowę. Odcięłam się od wszystkiego.

Kiedy zerwałam się ze snu o ósmej rano, byłam tak przyjemnie otepiała po długim okresie wyłączenia, że potrzebowałam dobrej chwili, by sobie uświadomić, że naprawdę spałam.

Tony zapewniał, że weźmie wolne przedpołudnie, by pojechać ze mną do szpitala po Jacka. Powłócząc nogami, zeszłam do kuchni i znalazłam żółtą karteczkę, przyklepioną do kilku zmiętych banknotów.

Wypadło mi coś pilnego w redakcji. Tu jest czterdzieści funtów na taksówkę do szpitala i z powrotem. Wieczorem postaram się wrócić jak najwcześniej.

T.

Złapałam za słuchawkę i wystukałam numer bezpośredniej linii do gabinetu Tony'ego. Włączyła się poczta głosowa, więc zadzwoniłam na komórkę.

– Nie mogę teraz rozmawiać – powiedział.

– Nie obchodzi mnie, co ci wypadło w redakcji. Masz być w szpitalu, rozumiesz?

– Nie mogę rozmawiać.

I rozłączył się.

Natychmiast zadzwoniłam jeszcze raz, ale widocznie wyłączył telefon tuż po rozmowie, bo połączyłam się od razu z pocztą głosową.

– Jak śmiesz, jak śmiesz, do cholery, robić mi coś takiego. Zbieraj swoją żalną angielską dupę do szpitala albo nie odpowiadam za to, co się stanie.

Zrozumiałeś?

Rozłączyłam się z walącym sercem, przepełniona słusznym oburzeniem i mocno zaniepokojona. Przede wszystkim byłam przerażona tym, co – i w jaki sposób – powiedziałam. Byłam też przerażona gwałtownością swojej reakcji i faktem, że mój spokój w jednej chwili zamienił się we wściekłość.

Ale... przykro mi bardzo... po prostu tym razem nie miał prawa mnie wystawić do wiatru. Nie teraz, kiedy miałam przywieźć do domu naszego nowo narodzonego syna.

A jednak mnie wystawił. Nie odezwał się przez cały ranek i przedpołudnie. Tak czy inaczej, nie miałam czasu rozmyślać o tym ostatnim przykładzie kompletnej obojętności mojego męża, bo musiałam być w szpitalu na czas, by nie pogarszać swojej reputacji jędzy. Wskoczyłam więc pod prysznic, umalowałam się szybko i o jedenastej byłam już w Mattingly.

– Czy pani mąż przyszedł dziś z panią? – zapytała oddziałowa, przyglądając mi się uważnie i najwyraźniej próbując odgadnąć, w jakim nastroju mogę być tego ranka.

– Niestety, wypadło mu coś ważnego w pracy.

– Rozumiem. A jak zamierza pani zabrać synka do domu?

Uniosłam w górę przenośny fotelik, którego jakimś cudem nie zapomniałam zabrać, wybiegając w pośpiechu z domu.

– Przyniosła pani dla niego jakieś ubranko?

Kobietko, nie jestem kompletną debilką.

– Oczywiście – odparłam grzecznie.

– No to proszę.

Jack nadal reagował zdenerwowaniem, kiedy go dotykałam. Nie był też zachwycony moją techniką zmiany pieluch; zadanie to wykonałam pod nadzorem oddziałowej, która chciała się upewnić, że robię wszystko jak należy.

Niełatwym zadaniem było ubranie go w pajacyk. I nie podobało mu się, kiedy zapinałam go w foteliku.

– Zakładam, że pielęgniarka środowiskowa zajrzy do pani jutro – powiedziała oddzia-

łowa.

– Nie wiem, nikt się ze mną jeszcze nie skontaktował.

– Na pewno zjawi się w najbliższym czasie. Jeśli będzie pani miała jakieś wątpliwości co do opieki nad dzieckiem, odpowie na wszystkie pytania...

Innymi słowy: jeśli kompletnie nie będziesz sobie radzić, pomoc jest w drodze...

– Dziękuję. W ogóle dziękuję za wszystko.

– Mam nadzieję, że synek przyniesie pani dużo radości – powiedziała.

Jedna z pielęgniarek pomogła mi znieść fotelik na dół. Poprosiła też salowego, by ściągnął mi taksówkę. Kiedy jechaliśmy z powrotem do Putney, kierowca przez większość czasu gadał przez komórkę i wydawał się kompletnie nieświadom faktu, że na tylnym siedzeniu ma noworodka. Ale gdy skręcił ostro, by ominąć białą furgonetkę, opuścił szybę i wrzasnął:

– Głupia pipa! Nie widzisz, że wiozę małe dziecko?

Gdy dojechaliśmy na Sefton Street, wysiadł z samochodu i pomógł mi zanieść Jacka pod drzwi.

– A gdzie tatuś? – zapytał, odbierając należność.

– W biurze.

– No tak, ktoś musi zarabiać szmal – powiedział.

Dziwnie się czułam, wchodząc do domu z maleńkim stworzeniem.

W przypadku każdego doniosłego wydarzenia w życiu, człowiek spodziewa się, że towarzyszyć mu będzie poczucie ważności chwili. I jak każde doniosłe wydarzenie, i to okazało się kompletnym rozczarowaniem.

Otworzyłam drzwi, wzięłam fotelik. Wniosłam Jacka do środka. Zamknęłam za sobą drzwi. Koniec pieśni. I znów jedyne, co przyszło mi do głowy, było: może wyglądałoby to bardziej uroczyście, gdyby był tutaj mój mąż.

Jack zasnął w czasie jazdy taksówką, zaniiosłam go więc na górę, do pokoju dziecinnego, i rozpięłam paski. Z największą ostrożnością przełożyłam go do łóżeczka. Przycisnął do siebie rączki, kiedy przykrywałam go kołderką, którą przysłała mi Sandy. Nawet się nie poruszył. Usiadłam w wiklinowym fotelu naprzeciwko łóżeczka. Głowa pękała mi z bólu – niewątpliwie był to spóźniony efekt przedwczorajszej nieprzespanej nocy. Spojrzałam na mojego synka, czekałam, aż zaleje mnie fala wzruszenia, zachwytu, matczynej miłości i czułości – wszystkich tych cholernych uczuć, które, według autora każdego poradnika dla młodych matek, powinny przepełnić moje serce tuż po porodzie. Ale ja czułam tylko głęboką, przerażającą pustkę i przekonanie, że poza tym technicznym szczegółem, iż dziecko zostało dosłownie wycięte z mojego ciała, nic mnie z nim nie łączy.

Dzwonek telefonu wyrwał mnie z rozpaczliwego zamyślenia. Miałam nadzieję, że to Tony – skruszony i pokorny. Albo Sandy, z którą mogłabym sobie do woli ponarzekać na obojętnego, milczącego męża. W słuchawce odezwała się jednak kobieta z londyńskim akcentem, która przedstawiła się jako Jane Sanjay i powiedziała, że jest pielęgniarzką środowiskową w mojej dzielnicy. Jej ton mnie zaskoczył – był wesoły, przyjazny, jakby mówiła:

„Jestem tu, żeby pomóc”. Zapytała, czy może do mnie wpaść jeszcze tego popołudnia.

– A jest jakiś powód, dla którego chce mnie pani odwiedzić od razu? – zapytałam.

Roześmiała się.

– Proszę nie wpadać w panikę, nie jestem policją od niemowlaków.

– A co pani powiedzieli w szpitalu?

Znów śmiech.

– Nic. Zresztą nie kontaktujemy się ze szpitalem, chyba że coś jest mocno nie tak. A pani nie wygląda na osobę, z którą byłoby coś nie tak.

Niech cię nie zmyli amerykański akcent. Naprawdę nie mam pojęcia, co robię.

– Więc jak? Mogłabym przyjść za godzinę? – zapytała.

Jane Sanjay miała około trzydziestki, była osobą roześmianą i bezpretensjonalną. Spodziewając się typowego, poważnego pracownika socjalnego, byłam mile zaskoczona widokiem atrakcyjnej Hinduski, ubranej w czarne legginsy i wystrzałowe, srebrne niki. W osobistym kontakcie była równie bezpośrednia, jak w rozmowie telefonicznej i natychmiast poczułam się przy niej swobodnie, kiedy zaczęła zachwycać się Jackiem, zainteresowała, dlaczego Amerykanka trafiła do Londynu (bardzo jej zaimponowała moja praca dla „Boston Post” na placówce w Egipcie), i delikatnie wypytała mnie o samopoczucie po porodzie. W pierwszym odruchu chciałam założyć szczęśliwą maskę i powiedzieć, że wszystko idzie śpiewająco – ze strachu, że wyjdę na kompletnie niekompetentną osobę. Ale któż nie ma ochoty zwierzyć się drugiemu człowiekowi, a szczególnie komuś, kto nadstawia życzliwego ucha, choćby nawet robił to tylko dlatego, że taki ma zawód? Więc kiedy już przerobiłyśmy listę, jak to określiła, standardowych zagadnień dotyczących opieki nad dzieckiem – pór jedzenia i snu, częstotliwości zmiany pieluch i sposobów radzenia sobie z typowymi dziecięcymi dolegliwościami jak kolka i odparzenia – zapytała mnie (na swój niewymuszony sposób), jak sobie radzę. Kiedy w odpowiedzi niepewnie wzruszyłam ramionami, powiedziała:

– Jak już mówiłam przez telefon, nie jestem z policji. Pielęgniarka środowiskowa ma obowiązek regularnie odwiedzać każdą młodą matkę, więc proszę nie myśleć, że przyszedłam tu węszyć.

– Ale oni coś pani powiedzieli, prawda? – zapytałam.

– Jacy oni?

– Ci z Mattingly.

– Naprawdę nie. A stało się tam coś, o czym powinnam wiedzieć?

– Nic konkretnego. Zdaje mi się tylko, że... – zawahałam się chwilę, ale w końcu wydu-
siłam: – Ujmę to w ten sposób: wydaje mi się, że nie bardzo im się spodobałam. Może dlatego,
że byłam trochę przewrażliwiona.

– I co z tego? – odparła z uśmiechem. – Miała pani wyjątkowo trudny poród, a potem
pani dziecko przez długi czas przebywało na OIOM-ie.

Więc miała pani pełne prawo być przewrażliwiona.

– Ale udało mi się nadebrać na odcisk lekarzowi prowadzącemu.

– Tak między nami mówiąc... to jego problem. W każdym razie, jak mówiłam, szpital
się ze mną nie kontaktował, a proszę mi uwierzyć, gdyby się o panią niepokoiłi, na pewno
bym o tym wiedziała.

– Cóż, to chyba dobra wiadomość.

– Więc jeśli chce mi pani o czymś powiedzieć...

Cisza. Odruchowo zaczęłam bujać przenośny fotelik, w którym Jack teraz spał.
W końcu powiedziałam:

– Chyba byłam trochę rozchwiana emocjonalnie od czasu jego przyjścia na świat.

– Nie ma w tym nic niezwykłego.

– I oczywiście jestem pewna, że teraz, kiedy nareszcie jest z nami w domu, wszystko
będzie wyglądało inaczej. Ale... do tej pory...

Przerwałam, zastanawiając się, jak, do diabła, sformułować to, co chciałam powiedzieć.
Muszę przyznać, że Jane Sanjay nie wpadła mi w słowo i nie próbowała mnie poganiać, bym
dokończyła zdanie. W milczeniu czekała, aż sama podejmę wątek.

– Czy mogę zapytać o coś wprost? – powiedziałam w końcu.

– Oczywiście.

– Czy to nie dziwne, jeżeli nie czuje się... więzi... z dzieckiem zaraz po porodzie?

– Dziwne? Pani chyba żartuje. Niemal co druga świeżo upieczona mama, którą odwied-
zam, prędzej czy później zadaje mi to samo pytanie. Wszystkie spodziewają się, że natych-
miast poczują się związane ze swoim maluchem.

A przynajmniej wyczytały coś takiego w poradnikach. Ale prawda jest zwykle trochę
bardziej skomplikowana, a przyzwyczajenie się do tego nowego stworzenia, które pojawiło
się w życiu, może zająć sporo czasu. Więc naprawdę nie ma powodu do paniki, prawda?

Ale tej nocy miałam sporo powodów do paniki. Jack obudził się około dziesiątej wieczorem i nie chciał przestać płakać przez następne pięć godzin. Jego nieustanne zawodzenie było koszmarnie, a co gorsza, obie moje piersi znów się zatkały – i mimo wysiłków Jacka (i kilku prób użycia przeklętego odsysacza) mleko nie chciało płynąć. Pobiegnęłam więc do kuchni i gorączkowo wsypałam do butelki kilka miarek mieszanki, wlałam odpowiednią ilość wody, potrząsnęłam, wstawiłam butelkę do mikrofalówki, o mało się nie poparzyłam, wyciągając ją, wyjęłam gumowy smoczek ze sterylizatora, nałożyłam na butelkę, pognałam z powrotem do pokoju dziecinnego, gdzie Jack ryczał coraz głośniejsze, podniosłam go, posadziłam na kolanie i przystawiłam mu butelkę do ust. Ale po trzech czy czterech łykach nagle zrobiło mu się niedobrze i zwymiotował na mnie wszystko, co wypił. I wtedy na dobre się rozwrzeszczał.

– Jezus, Jack – powiedziałam, patrząc, jak zwrócona mieszanka spływa mi po koszulce. W tym momencie usłyszałam za plecami głos Tony’ego.

– To nie jego wina.

– Nie mówię, że zrobił to specjalnie – odparłam. – Po prostu nie lubię mieć wymiotów na ubraniu.

– A czego się spodziewałaś, dając mu butelkę? On potrzebuje twojego mleka, a nie...

– A ty co, do diabła, nagle zamieniłaś się w doktora Spocka?

– Każdy głupek to wie.

– Moje cycki znów się zatkały.

– To je odetkaj.

– Wiesz co, odpieprz się i wracaj do swojej gawry.

– Z przyjemnością – odparł i zatrzęsął za sobą drzwi.

Tony nigdy przedtem nie trząsał drzwiami. A teraz zrobił to z taką furją, że przestraszył nie tylko mnie, ale i Jacka. Jego płacz przybrał na sile w reakcji na głośny huk. A ja nagle poczułam przemożną, natychmiastową potrzebę, by wybić pięścią okno. Zdarłam z siebie przesiąkniętą wymiotami koszulkę, podciągnęłam biustonosz. Wyjęłam Jacka z łóżeczka i przystawiłam go do prawego sutka. Kiedy tak ssał i ssał, odniosłam wrażenie, że głowa mi zaraz imploduje – ból w piersi nagle stał się mniej odczuwalny niż narastające podciśnienie między uszami. Kiedy ni stąd, ni zowąd kanalik mleczy odetkał się i Jack zaczął chciwie jeść, nie poczułam zwykłej ulgi.

Zupełnie jakbym wkroczyła na nieznany teren... do krainy, której nigdy wcześniej nie odwiedzałam. Królestwa hysterii.

A przynajmniej tak to odebrałam. Niepohamowany szloch, pod którego powierzchnią wzbierał i narastał wewnętrzny krzyk. Było to przedziwne zjawisko, to milczące wycie. Zupełnie jakbym schroniła się w jakimś ciemnym zakamarku własnej czaszki, skąd – z bardzo

daleka – słyszałam własny płacz. Ale stopniowo ten zwykły, uzewnętrzniony szloch zagłuszył potężny, wariacki wrzask. Kiedy osiągnął takie nasilenie, że niemal mnie ogłuszał, poczułam, że nie mogę dłużej – odsunęłam Jacka od piersi, ułożyłam go w łóżeczku i z trudem dobrnęłam korytarzem do sypialni, gdzie padłam na łóżko i poduszką zatkałam sobie uszy.

O dziwo, ten zabieg okazał się skuteczny. W ciągu sekundy wewnętrzne wycie ustało, podobnie jak głośny szloch. W jego miejsce przyszła cisza.

A przynajmniej coś, co z początku wydawało się ciszą... ale nagle okazało się raczej brakiem dźwięków. Zupełnie jakby pękły mi oba bębny i teraz nie słyszałam nic – co było sporą ulgą, bo nie mogłam już znieść tego wrzasku pod czaszką. Więc leżałam tak sobie – wydawało mi się, że tylko kilka chwil – rozkoszując się tą nowo odkrytą głuchotą. Ale nagle drzwi otworzyły się z impetem i do sypialni wszedł Tony, dziwnie wzburzony. Z początku nie słyszałam, co mówi (choć odsunęłam poduszkę od uszu). Ale nagle wrócił mi słuch. W jednej chwili Tony był cichą pantomimą; w następnej jego głos atakował mój mózg. A w tle gniewnych słów słyszałam bliski płacz Jacka.

– .. cholery, nie rozumiem, jak możesz tak po prostu leżeć, kiedy twój syn... – Zdanie wypowiedziane przez Tony'ego wdarło mi się w uszy.

– Przepraszam, przepraszam – powiedziałam, zrywając się z łóżka. Przemknęłam obok niego i wpadłam do pokoju dzieciennego. Wyjęłam Jacka z łóżeczka i po sekundzie jego buzia była przy lewym sutku. Na szczęście mleko popłynęło natychmiast i krzyki Jacka na chwilę ucichły. Wszyscy przestajemy krzyczeć, kiedy dostajemy to, czego chcemy... przynajmniej na chwilę albo dwie.

Kiedy tak jadł, oparłam się wygodniej w fotelu, zamknęłam oczy i siłą woli próbowałam wrócić w krainę głuchoty. Usłyszałam jednak głos Tony'ego – teraz już cichy i opanowany, jak zwykle.

– Co tam robiłaś?

Otworzyłam oczy.

– Co gdzie robiłam? – zapytałam zdumiewająco spokojnie.

– Tam, na łóżku, z głową pod poduszką. Pamiętasz?

– Uszy...

– Uszy?

– Tak, rozboleły mnie. Nie mogłam tego znieść... no, tego bólu. Ale to zaraz przeszło. Po prostu...

Zacisnęłam z powrotem powieki, nie mogąc znieść dźwięku własnych, rwących się słów.

– Mam zadzwonić po lekarza?

Otworzyłam oczy.

– Nie trzeba – rzuciłam, nagle zupełnie przytomnie. Wszystko, tylko nie lekarz, przyglądający mi się nieufnie i dodający kolejną stronicę do mojej coraz grubszej (jak sobie wyobrażałam) kartoteki macierzyńskiej niekompetencji.

– Naprawdę uważam...

– Teraz już jest w porządku – przerwałam mu. – To tylko chwilowa niedyspozycja.

Chwilowa niedyspozycja. Jakież to angielskie.

Tony przyjrzał mi się uważnie, nic nie mówiąc.

– Nigdy nie miałeś takiego nagłego klucia w uszach? – zapytałam. – Boli jak cholera... A potem... pah... i nie ma.

– Skoro tak mówisz – odparł bez przekonania.

– Przepraszam, że na ciebie nakrzyczałam.

– Comme d’habitude – powiedział. – Pozwolisz, że wrócę do pracy?

– Spoko.

– Jeśli będę potrzebny, jestem na górze.

I poszedł sobie.

Comme d’habitude. Ty gnojku. Spędzasz śmiechu wartę pół godzinki ze mną i swoim synem (pierwszego dnia jego pobytu w domu), po czym uciekasz do swojego sanctum sanctorum. Potem zgrywasz obrażonego, kiedy odrobinę wkurzam się na twój mały wykład o Przewadze Mleka Matki nad Mlekiem w Proszku (skąd on to wiedział, do diabła? Pewnie z jakiegoś artykułu na kobiecych stronach „Chronicie”, na który popatrzył przez piętnaście sekund). Założę się, że kiedy Jack znów zacznie płakać, mój mąż stwierdzi, że musi się wyśpać (bo przecież ktoś w tym domu musi zarabiać Pieniądze) i uda się na spoczynek w swoim zaciszu, na sofie, a ja całą noc będę się tłuc po domu.

I dokładnie tak się stało. A co jeszcze bardziej wkurzające, sama zachęciłam Tony’ego, by spał gdzie indziej. Bo kiedy znowu zszedł na dół – było Już po pierwszej – Jack znów zawodził w najlepsze. Półgodzinne karmienie było jego jedyną chwilą wytchnienia przez cały wieczór. Więc kiedy Tony zastał mnie w salonie z Jackiem, gdzie usiłowałam usnąć go kołysaniem, zerkając od czasu do czasu na ekran telewizora, spróbowałam być miła.

– Biedactwo – powiedział Tony. – Długo już tak ryczy?

– Za długo.

– Mogę coś zrobić?

– Idź się przespać. Potrzebujesz tego.

– Jesteś pewna?

– To nie może trwać do rana. Prędzej czy później będzie musiał usnąć.

Właściwą prognozą okazało się „później” – Jack uspokoił się dokładnie o trzeciej siedemnaście nad ranem (oglądałam akurat wiadomości BBC, gdzie w rogu ekranu zawsze jest zegarek). Do tej pory obie piersi miałam nie tylko odetkane, ale i wyssane do cna przez nieustanne karmienie. Po pięciu godzinach płaczu mój synek beknął sobie mlecznie i natychmiast zasnął.

Nie mogłam uwierzyć we własne szczęście. Szybko zaniiosłam go na górę, do łóżeczka, zdjęłam brudne ubranie, wzięłam bardzo gorący prysznic i wpełzłam pod kołdrę, spodziewając się, że sen znokautuje mnie jak mocny drink.

Ale nic takiego nie nastąpiło. Gapiłam się w sufit, próbując usnąć siłą woli. Bez skutku. Sięgnęłam po książkę ze sterty czytań przy łóżku. Spróbowałam przeczytać kilka stron Portretu damy (w końcu byłam Amerykanką w Europie). Ale nawet ciężki, smętny styl Henry’ego Jamesa nie zdołał mnie uspić. Wstałam więc, zaparzyłam sobie rumianek, zajrzałam do Jacka (śpiącego jak złoto), połknęłam dwie aspiryny i wróciłam do łóżka. Zaczęłam się przedzierać przez kolejne przygody Isabel Archer i czekałam, aż nadejdzie sen i...

I nagle była piąta rano, a ja docierałam do tego miejsca w powieści, gdzie Isabel miała właśnie zrujnować sobie życie, wychodząc za mąż za wstrętnego nicponia Gilberta Osmonda, i cały czas myślałam, że Edith Wharton zastosowała ten sam zabieg, tyle że o wiele bardziej inteligentnie, w Świecie zabawy, i Boże, ależ ten James pisze długie zdania i jeśli on mnie nie uspi, to już żadna siła tego nie zrobi i...

Jack znów zaczął płakać. Odłożyłam książkę. Poszłam do jego pokoju.

Zdjęłam brudną pieluchę. Umyłam brudny tyłek. Włożyłam czystą pieluchę. Podniosłam go. Usiadłam w wiklinowym fotelu. Podciągnęłam koszulkę. Przystawiłam go do lewego sutka. Skrzywiłam się, oczekując bólu. I...

Prawdziwy cud – mleko popłynęło bez przeszkód.

– To dobra wiadomość – powiedziała Jane Sanjay, kiedy wpadła po południu, by zobaczyć, jak sobie radzę. – Ile już było karmień bez kłopotów?

– Właśnie skończyłam trzecie.

– Houston, zdaje się, że po problemie – zazartowała.

Roześmiałam się.

– Teraz jeszcze tylko chciałabym się przespać – powiedziałam.

– Nie spał całą noc?

– Nie, ja nie spałam.

– No cóż, miejmy nadzieję, że to tylko jedna fatalna noc. Ale trzyma się pani całkiem nieźle, biorąc pod uwagę okoliczności. Ja bym pewnie nie dała rady, niech mi pani wierzy.

– Nie ma pani dzieci?

– A wyglądam na wariatkę?

Następnej nocy zaczęłam się poważnie zastanawiać, czy nie wariuję. Tony'ego nie było cały wieczór – zasiedział się na kolacji z jakimś korespondentem i kiedy wtoczył się do domu pijany około drugiej, zastał mnie zwiniętą przed telewizorem, z Jackiem na kolanach. Mały wypłakiwał oczy, nie mogąc się uspokoić, choć był najedzony po uszy po długim, godzinnym karmieniu.

– Jeszcze nie śpisz? – zapytał Tony, usiłując skupić na nas wzrok.

– Nie z wyboru. Jeszcze stoisz?

– Ledwie. Wiesz, jak wyglądają takie służbowe wyjścia.

– Tak, coś tam pamiętam.

– Chcesz, żebym coś zrobił?

– Może walniesz mnie kijem w głowę?

– Wybacz, to trochę zbyt jaskiniowe, jak na mój gust. Może herbaty?

– Rumianku, jeśli mogę prosić. Chociaż i tak nie pomoże.

Miałam rację – nie pomógł. Bo Tony nie zdołał mi go zaparzyć. Poszedł do sypialni, by skorzystać z łazienki, i jakimś cudem skończył rozwalony w poprzek łóżka, w pełnym rynsztunku, kompletnie znokautowany. Gdybym chciała się położyć, miałabym spory problem, bo nie byłam w stanie ruszyć go nawet o centymetr. Ale nie potrzebowałam łóżka, bo znów nie potrafiłam się wyłączyć, choć Jack ostatecznie zasnął o trzeciej nad ranem.

– Dwie noce bez snu? – zapytała Jane Sanjay następnego popołudnia. – To dość niepokojące, tym bardziej, że każdej nocy syn daje pani spokój na jakieś cztery godziny... oczywiście wiem, że to niewiele, ale z pewnością lepsze niż nic. Jak pani sądzi, o co chodzi?

– Nie mam zielonego pojęcia. Wiem tylko tyle, że mój mózg jest ostatnio jakby hiperaktywny.

– Nigdy nie jest łatwo przestawić się na zupełnie nowy tryb życia. Czy mąż pomaga pani w nocnych obowiązkach?

– Ostatnio był trochę zajęty w pracy – powiedziałam. Nie chciałam skarżyć się obcej osobie, że Tony ma w nosie rodzicielskie problemy.

– Może rozważyliby państwo zatrudnienie pielęgniarki, tylko na kilka nocy, żeby mogła pani trochę odsapnąć? Brak snu to bardzo niepokojąca sprawa.

– Nie musi mi pani tego mówić. Ale jestem pewna, że dziś w nocy wreszcie padnę.

Ale nie zasnęłam. I nie była to wina Jacka. Wręcz przeciwnie, mój mały mężczyzna zachrapał około dziesiątej i nawet nie pisnął do czwartej rano.

Powinnam wykorzystać ten cud w postaci sześciu spokojnych godzin na głęboki sen. Jednak zamiast spać, wlewałam w siebie niezliczone kubki ziołowych herbatek, przez godzinę moczyłam się w gorącej kąpieli (z dodatkiem najróżniejszych uspokajających olejków do aromaterapii), obejrzałam jeden z tych niekończących się, przegadanych filmów Erica Rohmera na kanale Film Four (tylko Francuzi potrafią wpleść we flirt cytaty z Pascala) i zaczęłam czytać Siostrę Carrie Dreisera (zgadza się, jestem masochistką), robiąc co w ludzkiej mocy, by nie przeszkadzać mojemu śpiącemu mężowi, który dla odmiany postanowił spędzić noc w naszym łóżku (czułam, że jest w nastroju na seks, ale padł ze zmęczenia i kaca, zanim do czegokolwiek doszło).

Dziesiąta dziesięć. Jedenasta jedenaście. Dwunasta dwanaście. Pierwsza jeden. Druga dwie. Trzecia trzy...

Wymyśliłam sobie zabawę, która polegała na spoglądaniu na zegarek dokładnie w tym momencie, kiedy na wyświetlaczu pojawiały się dwie takie same liczby. Była to idiotyczna gra, w sam raz dla kogoś, kto jest kompletnie wykończony po dwóch nocach bez snu.

Ale zanim doczekałam do czwartej cztery, Jack obudził się i zaczął się nowy dzień.

– Dobrze spałaś? – zapytał mnie Tony, kiedy nareszcie wyłonił się z sypialni o dziewiątej.

– Pięć godzin – skłamałam.

– Zawsze coś – stwierdził.

– Tak, czuję się o wiele lepiej.

Jane Sanjay powiedziała mi, że tego dnia nie przyjdzie – ale dała mi numer na komórkę, na wypadek, gdybym musiała z nią porozmawiać. Ale ja nie chciałam rozmawiać. Potrzebowałam snu. A spać nie mogłam, bo Jack nie spał cały dzień. I nasz wspólny rytuał powtarzał się wciąż od nowa.

Do pokoju dzieciennego. Zdjąć mu brudną pieluchę. Umyć brudny tyłek.

Założyć czystą pieluchę. Wziąć go na ręce. Usiąść w fotelu. Zadrzeć koszulkę. Przystawić go do sutka. A potem...

O trzeciej po południu, kiedy Jack kończył właśnie wysysać pierś do sucha, zaczął mi się mącić wzrok. Czterdzieści osiem godzin bez snu zrobiło swoje. Również z moim poczuciem proporcji zaczęły się dziać zabawne rzeczy – czułam się jak Guliwer w kraju Brobdin-

gnagów, gdzie nawet kuchenne krzesło wydawało się wysokie jak wieża kościelna.

Ale jakoś radziłam sobie z dziwną zmianą rozmiarów domowych mebli.

Radziłam sobie też z uczuciem, że zamiast mózgu mam pod czaszką kłęb wełny, i z faktem, że wszystko wokół było jakby rozdęte i zamazane.

Nie radziłam sobie tylko z poczuciem klęski, które zaczęło mnie nagle ogarniać – otwarła się przede mną głęboka, czarna szczelina przygnębienia, której coraz trudniej było mi się oprzeć. I kiedy tak patrzyłam prosto w ten rów, dopadła mnie świadomość beznadziei mojej sytuacji. Byłam nie tylko bezużyteczną matką i żoną, byłam kimś, kto znalazł się w pułapce, z której nie ma ucieczki. Dożywotnio skazana na harówkę w domu i przy dziecku, u boku mężczyzny, który najwyraźniej mnie nie kochał.

Kiedy tak rozmyślałam nad swoim rozpaczliwym położeniem, Jack znów zaczął płakać. Pokuśtałam go, przesłam się z nim kilka razy po korytarzu, podetknęłam środek uspokajający w postaci zmaltretowanego sutka, i tak dalej... czysta pielucha, huśtanie, spacer ulicą w wózek, powrót do łóżeczka, kolejne bite pół godziny cholernego huśtania w cholernym bujanym krzeselku. Kiedy zaczęła się trzecia godzina tego nieprzerwanego płaczu, poczułam, jak wielkimi krokami zbliża się katastrofa – skok z okna na pierwszym piętrze nagle wydał mi się o wiele bardziej atrakcyjny niż jeszcze jedna minuta cholernego wrzasku mojego syna.

Pamiętam, że sięgnęłam po słuchawkę i zadzwoniłam do Tony'ego, do redakcji. Odebrała jego sekretarka i powiedziała, że Tony ma ważne spotkanie – Wyjaśniłam jej, że to awaryjna sytuacja. Odparła, że Tony jest u naczelnego. Powiedziałam jej, że głównie mnie to obchodzi, bo to awaryjna sytuacja.

– A czy mogę mu przynajmniej powiedzieć, o co chodzi? – zapytała.

– Tak – odparłam ze stoickim spokojem. – Proszę mu przekazać, że jeśli nie zjawi się w domu w ciągu godziny, zabiję naszego syna.

7

Nie czekałam, aż Tony oddzwoni. Po pięciu bitych godzinach nieprzerwanego ryku Jack nagle zasnął ze zmęczenia. Więc gdy tylko ułożyłam go w jego pokoju, wyłączyłam z gniazdka telefon obok łóżka. Zdjęłam ubranie, wczołgałam się pod kołdrę, nareszcie poddałam się zmęczeniu.

A potem nagle była pierwsza w nocy i Jack znów płakał. Potrzebowałam chwili, by obudzić się na dobre i zorientować, że spałam ponad dziewięć godzin. Ale tę myśl wyparła natychmiast inna, o wiele bardziej paląca kwestia: jakim cudem mój syn mógł spać tak długo bez zmiany pieluchy, nie mówiąc już o jedzeniu?

Poczucie winy to najsilniejsza motywacja w życiu, która potrafi sprawić, że człowiek ignoruje największego kaca i przytomnieje w ułamku sekundy, nawet po wielu godzinach snu. Wpadłam do pokoju dziecinnego i odkryłam, że owszem, Jack potrzebuje czystej pieluchy – ale pusta butelka, stojąca na komodzie, świadczyła, że został nakarmiony. Widok butelki zbił mnie z tropu, bo kiedy ja jeden jedyny raz zaoferowałam mu ten substytut piersi, stanowczo go odrzucił. A teraz...

– Więc jednak go nie zabiłaś.

Tony stał w drzwiach, patrząc na mnie nieufnie zmęczonym wzrokiem.

Nie spojrzałam mu w oczy. Po prostu podniosłam Jacka, położyłam go na desce do przewijania i zaczęłam rozpinąć pieluchę.

– Przepraszam – rzuciłam w końcu, wycierając tyłeczek Jacka z mlecznej kupy.

– Nieźle zdenerwowałaś moją sekretarkę – powiedział Tony. – Wywlokła mnie od naczelnego, mówiąc, że to pilna sprawa rodzinna. Na całe szczęście miała dość zdrowego rozsądku, by nie mówić nic więcej przy Jego Lordowskiej Wysokości, ale kiedy wyszedłem z gabinetu, przekazała mi twoje słowa i zapytała, czy chcę zadzwonić na policję.

Zamknęłam oczy i zwiesiłam głowę. Ogarnął mnie palący wstyd.

– Tony, nie wiedziałam, co mówię...

– Domyśliłem się. Mimo to postanowiłem sprawdzić, czy na pewno nie posunęłaś się do dzieciobójstwa, i zadzwoniłem do domu. Ale nie odebrałaś. No cóż, muszę przyznać, przez chwilę zastanawiałem się, czy kompletnie nie zwariowałaś i nie zrobiłaś czegoś nieodwracalnego. Więc uznałem, że może jednak powinienem przyjechać. A kiedy wszedłem, oboje spaliście w najlepsze. Więc wyłączyłem baby-alarm w pokoju Jacka, żebyś mogła się wyspać.

– Powinieneś mnie obudzić.

– Nie spałaś od...

– Przecież ci powiedziałam, że zeszłej nocy spałam pięć godzin.

– A ja wiem, że kłamałaś.

Cisza.

– Wiesz, że nigdy nie skrzywdziłabym Jacka.

– Mam nadzieję.

– Jezu, Tony... nie pogarszaj sprawy. I tak czuję się fatalnie.

Wzruszył tylko ramionami.

– Jack już toleruje butelkę. Przynajmniej ode mnie.

– Brawo – odparłam, nie wiedząc, co powiedzieć. – I nawet go przewinięłaś.

– Na to wygląda. Przepraszam, że podłączyłem z powrotem baby-alarm, ale kiedy Jack usnął, pomyślałem, że wrócę do książki...

– Niepotrzebnie przepraszasz. I tak powinnam już wstać.

– Na pewno dobrze się czujesz?

Z wyjątkiem przerażającego poczucia winy czułam się doskonale.

– Strasznie przepraszam.

Tony znów tylko wzruszył ramionami.

– Już to mówiłaś.

Skończyłam zmieniać Jackowi pieluszkę. Zapięłam mu pajacyk. Wzięłam go na ręce, usadowiłam się z nim w wiklinowym fotelu, uniosłam koszulkę i poczułam, jak zaciska dżi-
sła na moim sutku. Odetchnęłam z ulgą, kiedy mleko popłynęło natychmiast.

– A, jeszcze jedno – powiedział Tony. – Pozwoliłem sobie umówić cię do lekarza. Masz wizytę jutro o drugiej.

– Dlaczego? – zapytałam, choć znałam już odpowiedź na to pytanie.

– No wiesz, skoro nie sypiasz...

– Jestem pewna, że to przejściowe.

– Ale lepiej, żeby ktoś się tym zajął, nie uważasz? I zadzwoniłem też do firmy o nazwie Nianie Ani, polecił mi ich ktoś z redakcji. Wynajmiemy ci kogoś do pomocy.

– Nie potrzebuję pomocy. Poradzę sobie. A poza tym niania będzie nas kosztować fortunę.

– Pozwól, że ja się będę o to martwił.

Nie odpowiedziałam. Tony wskazał kciukiem w stronę swojego gabinetu.

– Pozwolisz, że...?

– Idź, pracuj – odparłam.

Kiedy tylko wyszedł, oparłam czoło o główkę Jacka i rozpłakałam się.

Ale ten łzawy epizod nie trwał długo, bo Jack niezbyt przychylnie zareagował na moje trzęsące się ciało i okazał niezadowolenie, wgryzając się jeszcze mocniej w moją pierś: śro-

dek wychowawczy, mający dać mi do zrozumienia, że mam zadanie do wykonania.

Wcisnęłam więc emocjonalny hamulec i siedziałam tak, w milczeniu, paląc się ze wstydu i zastanawiając, jak mogłam powiedzieć coś takiego – po raz pierwszy od narodzin Jacka czułam przemożną potrzebę chronienia go, zadbania, by nigdy nie stała mu się żadna krzywda.

Ale kiedy zdałam sobie z tego sprawę, uderzyła mnie kolejna, zatrważająca myśl: czy muszę go chronić przed samą sobą?

Nie spałam przez resztę nocy. Rano też nie znalazłam czasu, by się zdrzemnąć, bo Jack nie miał zamiaru zasypiać. Więc kiedy we dwójkę dotarliśmy do przychodni, zmęczenie znów zaczynało dawać się we znaki – co natychmiast zostało zauważone przez lekarkę.

Na szczęście internistka, którą wybrałam, doktor McCoy, była tego dnia w przychodni, bo chyba nie zniósłabym rozmowy z tym oschłym, małym zadufkiem, który badał mnie ostatnio. Doktor McCoy natychmiast zajęła się nami troskliwie – przez kilka minut oglądała Jacka. Wiedziała wszystko o trudnościach przy porodzie. Byłam ciekawa, czy z Mattingly przedostały się jakieś informacje na temat moich gościnnych występów. W końcu zajęła się mną i od razu zorientowała się, że coś jest nie tak.

– Mały nie daje pani spać? – zapytała.

– Ja sama nie daję sobie spać – odparłam i opowiedziałam, jak wyglądały moje ostatnie noce.

– Pani musi spać – powiedziała lekarka. – To niezbędne dla pani zdrowia i samopoczucia, i dla pani dziecka. Więc proponuję łagodny środek uspokajający, który pomoże pani wypocząć, gdyby bezsenność wróciła. Jedno ważne pytanie: czy czasem czuje się pani przygnębiona, w dołku?

Pokręciłam przecząco głową.

– Jest pani pewna? – zapytała. – Bo takie odczucia to nic niezwykłego, kiedy człowiek nie może spać. Powiedziałabym wręcz, że to dość powszechne zjawisko.

– Naprawdę, muszę tylko wyspać się porządnie przez parę nocy...

– Te tabletki powinny pani pomóc. Tylko jeszcze jeden drobiazg, ale bardzo ważny. Po zażyciu środka uspokajającego nie wolno pani karmić dziecka piersią przez co najmniej osiem godzin, dopóki lek krąży w pani krwiobiegu.

– Nie ma obawy – odparłam.

– A jeśli bezsenność będzie się przedłużać albo zaczniesz się pani czuć przybita, musi pani natychmiast do mnie przyjść. Z tym nie ma żartów.

Wracałam do domu przekonana, że wiedziała wszystko. Byłam też pewna, że Tony powiedział jej o groźbie, że zabiję Jacka. Doktor McCoy wyraźnie zakwalifikowała mnie do

„grupy ryzyka”, bo Hughes na pewno rozmawiał z nią o moim niestosownym zachowaniu w szpitalu. Widziała więc, że kłamię. Tony też wiedział, że kłamałam na temat pięciu godzin snu poprzedniej nocy. I wszyscy byli już pewni, że jako matka jestem absolutnie do niczego i że nie radzę sobie z najprostszymi macierzyńskimi obowiązkami. Bo...

O Boże, znowu się zaczyna...

Powoli wcisnęłam hamulec. Mocniej chwyciłam kierownicę. Czułam, że zaczynam znikać – zupełnie jakbym malała, jakby wszystko dookoła mogło mnie zgnieść. Włączając w to palanta w mercedesie za mną. Oparł się o klakson, usiłując mnie popędzić.

I udało mu się, bo zwolełam hamulec i ruszyłam naprzód. Ale jego wściekłe trąbienie obudziło Jacka; nie przestawał płakać, gdy weszłam do apteki, by zrealizować receptę. Kiedy przyjechaliśmy do domu, ryczał w dalszym ciągu i nie ucichł przez resztę popołudnia. Obejrzałam go dokładnie, by się upewnić, że nie cierpi z powodu odparzeń, infekcji dziąseł, niedożywienia, szczękościsku, dżumy ani wszystkich innych koszmarnych dolegliwości, jakie tylko byłam w stanie sobie wyobrazić. Podsunęłam mu też swoje niez mordowane sutki – a dwie godziny po tym, jak wyssał mnie do sucha, przestawiłam go na mieszankę, bez żadnych protestów z jego strony.

Oczywiście do momentu, kiedy odlepił się od butelki i znów zaczął ryczeć. Zrozpaczona złapałam za słuchawkę i zadzwoniłam do Sandy. Natychmiast usłyszała jego zawodzenie.

– Ten to ma płuca – powiedziała. – Jak leci?

– Gorzej niż źle. – Opowiedziałam jej o wszystkim, z wyjątkiem groźby pod adresem Jacka. Nie potrafiłam się przyznać do czegoś tak strasznego... nikomu, nawet własnej siostrze, której zawsze zwierzałam się ze wszystkiego – Hm – powiedziała. – Na moje oko to zupełnie normalny kołowrotek, jak to przy dziecku. A ten płacz to może być kolka. Moi chłopcy też przez to świrowali, kiedy byli niemowlakami, a ja odchodziłam od zmysłów. Więc rozumiem, co przeżywasz. Ale to minie.

Tego wieczoru Jack zakończył swoją żalną arię na chwilę przed powrotem Tony’ego, który śmierdział, jakby wypił o sześć dzinów z tonikiem za dużo, i nagle miał ochotę na seks ze mną po raz pierwszy od...

Cóż, tak dawno się nie kochaliśmy, że zdążyłam już zapomnieć, jak kiepsko się spisuje po pijanemu.

Gra wstępna ograniczyła się do obslinienia mi szyi, rozpięcia guzików dzinsów, wsunięcia łapy w majtki i „pieszczot” przypominających raczej gaszenie papierosa w popielniczce (w której akurat przypadkiem znalazła się moja łechtaczka). Po tym imponującym, antyerotycznym popisie, ściągnął spodnie od garnituru i gatki i wepchnął się we mnie, dochodząc w niecałą minutę... po czym sturlał się ze mnie, przepaszając i mamrocząc jakieś nedorzeczne tłumaczenia, że ma strasznie „czuły spust”, kiedy sobie wypije (więc tak to nazywają). W końcu zniknął w łazience... a do mnie dotarło: to nie było to romantyczne, seksualne zjednoczenie ciał i dusz, na które miałam nadzieję.

Kiedy Tony wyłonił się w końcu z toalety, mnie już dawno nie było w sypialni; dzwoni-

łam do najbliższej telepizzerii, jako że nasza lodówka była ostatnio zupełnie pusta. Kiedy zataczając się, szedł na dół, odkorkował butelkę czerwonego wina, napełnił dwa kieliszki i opróżnił swój dwoma długimi łykami. W końcu beknął i zapytał:

– I jak ci minął dzień?

– Bajecznie – odparłam. – Zamówiłam ci pepperoni z dodatkowym serem. Może być?

– Czegóż więcej może pragnąć mężczyzna?

– Jest jakiś powód, że się tak urznałeś?

– Czasami człowiek po prostu musi...

– Się urznać?

– Czytasz w moich myślach.

– To dlatego, że tak dobrze cię znam, kochanie.

– Co ty powiesz? – rzucił nagle, odrobinę za głośno.

– Tylko żartowałam.

– Nieprawda. Krytykujesz mnie.

– Może przestańmy, zanim się pokłócimy.

– Ale to świetna zabawa. I dawno nam się należało.

– Tak jak ten gówniany seks, który uprawialiśmy... przepraszam, ty uprawiałeś, przed chwilą?

I wyszłam z kuchni.

Nie, nie rzuciłam się na łóżko i nie rozplakałam jak głupia. Ani nie zamknęłam się w łazience. Nie zadzwoniłam też do Sandy, żeby się przed nią wyzalić. Po prostu poszłam do pokoju dziecinnego, usadowiłam się w fotelu i zagapiłam w przestrzeń. Byłam zdumiona, jak błyskawicznie wróciłam w tę samą krainę przygnębienia, którą odwiedziłam dwie noce wcześniej.

Tyle że tym razem mojego mózgu nie wypełniły żalodne myśli o beznadziei całego życia. Tym razem była tylko rozległa, cicha pustka – poczucie unoszenia się w próżni, w której nic nie miało znaczenia, nic się nie liczyło.

Świat stał się płaski, a ja byłam o krok od krawędzi, od katastrofy. I miałam to w dupie.

Nie ruszyłam się, kiedy usłyszałam dzwonek przy wejściu. I nie odpowiedziałam, kiedy jakieś pięć minut później rozległo się pukanie do drzwi i bełkotliwy głos Tony'ego, informujący mnie, że moja pizza stygnie na dole.

Czas nagle stracił dla mnie znaczenie. Świadoma byłam wyłącznie tego, że siedzę w fotelu i patrzę przed siebie. Owszem, wiedziałam, że w drugim końcu pokoju śpi dziecko. I wiedziałam, że to dziecko jest moim synem.

Ale poza tym...

Nic.

Jakiś czas później wstałam z fotela i poszłam do łazienki. Kiedy się załatwiłam, zesłam na dół. Usiadłam na kanapie. Włączyłam telewizor. Ekran zamigotał i ożył. Wpatrzyłam się weń, zdając sobie sprawę, że to wiadomości BBC. Zauważyłam też, że jest pierwsza osiem i że na stoliku obok kanapy leży pizza. Ale poza tym...

Zwinęłam się na kanapie. Patrzyłam przed siebie. Widziałam zmieniające się obrazy. Czułam też zapach pizzy. Potrzebowałam jeść. Bo nie jadłam nic od...

Wczoraj? Przedwczoraj?

To nie miało znaczenia.

Nagle Jack zaczął płakać. Z miejsca ruszyłam do akcji. Szaleńczej akcji.

Przeklinając się za apatię, za tę ucieczkę w katatonię. Szybciej, szybciej, powtarzałam sobie. Bierz się do roboty. Znasz to już na pamięć:

Do pokoju. Zdjąć brudną pieluchę. Wytrzeć brudny tyłek. Założyć czystą pieluchę. Wziąć na ręce. Usiąść w fotelu. Podnieść koszulkę. Podetknąć sutek. A potem...

Po karmieniu usnął natychmiast. Powlokłam się do sypialni i przekonałam się, że łóżko jest puste (Tony – co za niespodzianka – zabrał się ze swoją pizzą i narastającym kacem do gabinetu). Zwinęłam się na kołdrze, i...

Nic.

Godzina, dwie, trzy...

Mój pęcherz znów upomniał się o swoje prawa – była to jedyna rzecz, jaka potrafiła zmusić mnie do rezygnacji z płodowej pozycji, którą przybrałam. W łazience, siedząc na sedesie, zauważyłam buteleczkę pigułek nasennych na półce nad umywalką. Klucz do prawdziwej pustki, której tak pragnęłam.

Podchodząc do umywalki, opierałam się pokusie, by zacząć łykać zawartość buteleczki, po pięć pigułek naraz – dziesięć porządných łyków, które zapewniłyby mi skuteczne zapomnienie. I nie chodziło o to, że wizja wiecznego snu nie przemawiała do mnie wystarczająco mocno – po prostu byłam zbyt zmęczona, by zrealizować ten pomysł. Łyknęłam więc trzy tabletki (jedną więcej, niż zalecana dawka, ale potrzebowałam czegoś, co mnie skutecznie znokautuje) i wróciłam do łóżka i...

Głośnik baby-alarmu zapiszczał. Ale tym razem nie zerwałam się i nie stanęłam na

baczność. Nie, tym razem czułam, że moją głowę wypełnia lepka, gęsta maź, która zamazywała kontury przedmiotów i sprawiała, że poruszałam się, jakbym brodziła w smole. Ale rutyna zrobiła swoje:

Do pokoju. Zdjąć brudną pieluchę. Wytrzeć brudny tyłek. Założyć czystą pieluchę. Wziąć na ręce. Usiąść w fotelu. Podnieść koszulkę. Podetknąć sutek. A potem...

Z powrotem do łóżka. Z powrotem do snu. Który przyszedł natychmiast.

I trwał w nieskończoność. Aż...

Zorientowałam się, że Tony potrząsa mną niepokojąco gwałtownie i mówi mi, że mam wstawać.

Ale ja nie chciałam wstawać. Bo wstanie oznaczałoby konieczność przeżycia kolejnego dnia – czy nocy – cokolwiek to było. Wstanie oznaczałoby przymus spojrzenia na ten koszmar, jakim było moje życie. Wstanie byłoby...

– Z Jackiem jest niedobrze – powiedział Tony, wyraźnie przestraszony. – Zdaje się, że jest nieprzytomny.

– Co?

– Nie budzi się. A jego oczy...

Zerwałam się na nogi, choć wszystko wokół wciąż przesłaniała mi chemiczna mgła. Mimo że drogę z sypialni do pokoju Jacka pokonywałam ze dwadzieścia razy dziennie, teraz nagle wydała mi się labiryntem, zabarykadowanym jakimiś ciężkimi przedmiotami, na które wpadałam. Kiedy dotarłam do łóżeczka Jacka, potrzebowałam kilku długich chwil, by skupić wzrok.

Ale gdy mi się to wreszcie udało, poczułam się, jakbym dostała kopa w żołądek. Bo Jack wyglądał, jakby zapadł w śpiączkę.

Podnosząc go, czułam, że jest wiotki i bezwładny – kończyny dyndały jak u szmacianej lalki, głowa kiwała się luźno, oczy były nieprzytomne, puste.

Przycisnęłam go do piersi i krzyknęłam jego imię. Żadnej reakcji. Siłą powstrzymałam się, by nie zacząć nim potrząsać. Zbliżyłam twarz do jego buzi i z ulgą poczułam słaby oddech. Odwróciłam się do Tony'ego i kazałam mu wezwać pogotowie.

Przyjechało po pięciu minutach. Sanitariusze zajęli się Jackiem. My oboje pojechaliśmy razem z nim, w karetce. Z rykiem silnika mknęliśmy przez miasto na południe. Jack został podłączony do monitora tętna; moje oczy biegały między jego drobnym ciałkiem, przypiętym do noszy, a regularnym pulsowaniem linii na ekranie. Starszy sanitariusz zasypywał nas pytaniami: czy były jakieś konwulsje, drgawki, przypadki bezdechu, czy w przeszłości zdarzały się już podobne incydenty?

Nic, nic, nic.

Kiedy dojechaliśmy do szpitala St Martin's, na podjeździe dla karettek czekało na nas dwoje lekarzy. Sanitariusze rozmawiali z nimi przez chwilę.

Jacka zawieziono prosto do sali zabiegowej, wypełnionej medycznym sprzętem. Akcją dowodziła lekarka w wieku około dwudziestu pięciu lat. Opanowana, sprawna, natychmiast zauważyła nasz strach. Sprawdzając parametry życiowe Jacka, zadała nam te same pytania, które wcześniej słyszeliśmy od sanitariusza. W końcu zapytała, czy Jack bierze jakieś lekarstwa.

W tej chwili poczułam, jak włosy stają mi dęba. Bo wiedziałam, jakie będzie następne pytanie.

– A czy pani bierze jakieś leki? – zapytała.

– Tak – odparłam.

– A co dokładnie?

Powiedziałam.

– Czy mogło się zdarzyć, że nakarmiła pani syna piersią przed upływem ośmiu godzin?

Czułam na sobie wzrok Tony'ego. Gdyby ktoś dał mi teraz pistolet, z radością odstrzeliłabym sobie głowę.

– Jack obudził mnie z głębokiego snu – powiedziałam. – Byłam tak otumaniona, że nie zastanawiałam się...

– Na litość boską – powiedział Tony. – Gdzie ty masz mózg?

Lekarka delikatnie dotknęła jego rękawa, dając mu do zrozumienia, by przestał.

– Proszę mi wierzyć, to się zdarza bardzo często – powiedziała. – Szczególnie bardzo zmęczonym mamom w pierwszych miesiącach.

– Czy nic mu nie będzie? – zapytał Tony.

– O której wzięła pani tabletki? – zwróciła się do mnie lekarka.

– Nie wiem.

– Jak to, nie wiesz? – rzucił Tony, nie panując nad gniewem.

– W środku nocy. Tak mi się zdaje.

– Zdaje ci się?

– Pozwoli pan, że ja się tym zajmę – powiedziała lekarka. Odwróciła się do niego tyłem i położyła mi rękę na ramieniu.

- Nie może pani robić sobie wyrzutów z powodu tego, co się stało.
- Zabiłam go – usłyszałam własne słowa.
- Nic podobnego – odparła stanowczo. – A teraz proszę mi powiedzieć...
- Groziłam, że go zabiję, a teraz...

Ścisnęła mnie mocno za ramię.

- Niech mi pani powie, proszę... wzięła pani te pigułki około piątej, szóstej rano?
- Chyba...
- A potem obudziła się pani i nakarmiła go o...?
- Nie wiem... ale było jeszcze ciemno.
- Dobrze. A kto go znalazł w tym stanie?
- Ja – odparł Tony. – Około dziewiątej rano.
- Czyli prawdopodobnie około trzech do czterech godzin po karmieniu?
- Chyba tak.

Zwróciła się do pielęgniarki i wydała jej ścisłym głosem jakieś polecenia.

- Nic mu nie będzie? – zapytał Tony.

– Tak sędzę. Poprosiłam siostrę, by dała mu kroplówkę z soli fizjologicznej, żeby się nie odwodnił. I będzie podłączony do monitora, żebyśmy mieli absolutną pewność, że wszystko jest w porządku. Ale z mojego doświadczenia wynika, że dziecko musi po prostu odespać środek nasenny.

- Nie odniesie żadnej trwałej szkody? – dopytywał się Tony.
- Wątpię. Dawka leku, jaką otrzymał z mlekiem matki, była tak symboliczna, że...

W tej chwili kolana ugięły się wreszcie pod moim ciężarem; uczepliłam się boku noszy Jacka jak pasażer tonącego liniowca, który nie chce opuścić statku, ale nie ma pojęcia, co innego mógłby zrobić.

- Źle się pani czuje? – zapytała lekarka.

Ile razy przez ostatnich kilka tygodni musiałam odpowiadać na to przeklęte pytanie?

- Muszę tylko...

Pielęgniarka pomogła mi usiąść na krześle i zapytała, czy chcę wody.

Kiwnęłam głową. I nagle zwiesiłam głowę między nogami i zaczęłam wymiotować. Ale mój żołądek wydalil jedynie wodnistą ciecz.

– Jezu – rzucił Tony, widząc, jak szarpią mną skurcze.

– Zechce pan poczekać na zewnątrz? – poprosiła go lekarka. Kiedy wyszedł, siostra otarła mi twarz i przeprowadziła na leżankę na kółkach, stojącą obok tej, na której leżał Jack. Usiadłam na brzegu, z nogami dyndającymi w powietrzu.

– Kiedy pani ostatnio jadła? – zapytała lekarka.

– Nie wiem. Kilka dni temu, chyba.

– A od jak dawna cierpi pani na depresję?

– Nie mam depresji.

– Jeśli nie pamięta pani, kiedy ostatnio jadła...

– Jestem po prostu zmęczona, nic poza tym.

– To też oznaka depresji.

– Nie mam...

Ale nagle coś mi przerwało. A właściwie sama sobie przerwałam. Choć nie podjęłam świadomej decyzji, by zamilknąć. Lekarka mówiła:

– Skoro brała pani środki nasenne, to widocznie miała pani problemy ze...

– Próbowałam go zabić.

– Nic podobnego.

– Powinnam umrzeć.

– To kolejny objaw depresji.

– Niech mi pani da spokój.

Ukryłam twarz w dłoniach.

– Czy kiedykolwiek przedtem cierpiała już pani na depresję?

Pokręciłam głową.

– To pani pierwsze dziecko?

Przytaknęłam.

– No dobrze. W takim razie... przyjmę panią na oddział.

Nie powiedziałam nic. Bo byłam zajęta czymś zupełnie innym – a mianowicie przyciskaniem oczu dłońmi, by odciąć się od wszystkiego wokół.

– Czy pani słyszała, co powiedziałam? – zapytała lekarka, wciąż spokojnym, pełnym troski tonem. – Wykazuje pani wyraźne objawy depresji poporodowej i w tych okolicznościach uważam, że powinna pani zostać w szpitalu na obserwacji.

Dłonie ucisnęły gałki oczne jeszcze mocniej.

– I musi pani zrozumieć, że to, przez co pani przechodzi, nie jest niczym niezwykłym. Wręcz przeciwnie. Depresja poporodowa to...

Ale ja zwinęłam się na leżance i zatkałam uszy poduszką. Lekarka dotknęła mojego ramienia, jakby chciała powiedzieć, że rozumie, a potem usłyszałam, jak mówi, że idzie na korytarz, by zamienić dwa słowa z moim mężem. Zostałam w sali sama, z Jackiem. Ale nie mogłam znieść jego widoku. Bo nie mogłam znieść myśli o tym, co mu zrobiłam.

Po kilku minutach wróciła.

– Rozmawiałam z pani mężem. Został poinformowany o mojej diagnozie i zgodził się, że powinna pani zostać u nas. Rozumie też politykę szpitala, która zaleca przyjmowanie matki i dziecka razem... co przy okazji pozwoli nam się upewnić, że Jackowi nie grożą żadne skutki uboczne tego lekkiego... – Ugryzła się w język, by nie użyć medycznego terminu „przedawkowanie”. – W każdym razie pani mąż stwierdził, że musi już iść do pracy. Ale przyjdzie wieczorem...

Widząc, że znów naciągam poduszkę na uszy, lekarka przerwała monolog. Podeszła do telefonu i gdzieś zadzwoniła. Kiedy odłożyła słuchawkę, wróciła do mnie i powiedziała:

– Wszystko będzie dobrze. I wyjdzie pani z tego.

Widziałam ją wtedy ostatni raz. Po chwili do sali weszło dwóch salowych; odblokowali kółka leżanki Jacka i gdzieś go wywieźli. Kiedy zniknął za drzwiami, zjawiała się pielęgniarka.

– Proszę się nie martwić, zaraz pani pojedzie za nim – powiedziała.

Ale ja się nie martwiłam. Bo nie czułam nic. Tylko upragnione, wszechogarniające odrętwienie; poczucie, że nic nie ma znaczenia, bo nic nie ma znaczenia.

Salowi wrócili po mnie jakieś dziesięć minut później. Przypięli mnie do noszy (ale niezbyt mocno) i powieźli długim korytarzem, na którego końcu znajdowała się towarowa winda. Wszystko, co mijaliśmy po drodze, wydawało mi się szare, kiepsko oświetlone, niedomyte. Powietrze przesycił silny zapach – mieszanina woni środka dezynfekcyjnego i cuchnących śmieci.

Drzwi windy otworzyły się. Zostałam wepchnięta do środka i pojechaliśmy <jo góry.

Drzwi znów się otworzyły i salowi powieźli mnie kolejnym, długim, szarym korytarzem, aż dotarliśmy do podwójnych, zbrojonych drzwi, z szybami zabezpieczonymi po obu stronach drucianą siatką i z szyfrowym zamkiem na ścianie, po prawej. Na tabliczce nad zamkiem widniały dwa słowa: ODDZIAŁ PSYCHIATRYCZNY.

Jeden z salowych wpisał kod; rozległ się cichy szczeł zasuwki i wjechałam do środka. Drzwi zamknęły się za mną z głuchym odgłosem.

Kolejny długi korytarz. Leżąc na boku, widziałam tylko szereg stalowych drzwi, zaopatrzonych w zasuwę od zewnątrz. Jechaliśmy i jechali – aż skręciliśmy w prawo i minęliśmy niewielki oddział ze zwykłymi drzwiami. Za nim ujrzałam kolejny szereg drzwi – ale te nie były już wyposażone w budzące grozę zamki i zbrojenia, które widziałam wcześniej. Zatrzymaliśmy się przed takimi właśnie drzwiami. Salowy odtworzył je i wjechałam do środka.

Znalazłam się w sali -jakieś cztery na cztery metry, z oknem (zakratowanym), telewizorem przymocowanym do ściany i z dwoma szpitalnymi łózkami. Obydwa były puste, ale sądząc z osobistych drobiazgów na małej szafce obok jednego z nich, miałam już współlokatorkę. Do pokoju weszła pielęgniarka. Na oko przed pięćdziesiątką – chuda, o ostrych rysach, w staromodnych okularach w rogowych oprawkach.

– Sally? – zapytała modulowanym, wyważonym tonem.

Nie odpowiedziałam. Gapiłam się przed siebie – choć cały czas rejestrowałam, co się dzieje wokół.

– Sally?

Spojrzałam na plakietkę na jej piersi: SHAW.

– George Bernard? – powiedziałam nagle. Pielęgniarka spojrzała na mnie uważnie.

– Słucham?

– George Bernard... Shaw – odparłam i dostałam prawdziwego ataku śmiechu. Siostra uśmiechnęła się do mnie spokojnie.

– Amanda Shaw.

Wydało mi się to najlepszym dowcipem, jaki kiedykolwiek słyszałam – roześmiałam się jeszcze głośniejsze. Siostra Shaw nie powiedziała nic – pozwoliła mi na ten idiotyczny śmiech, aż samo mi przeszło.

– Już dobrze? – zapytała.

Znowu zwinęłam się w kłębek na leżance. Siostra skinęła na jednego z salowych, by porzypinał pasy, którymi byłam przypięta.

– Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, Sally, panowie chcieliby zabrać leżankę, więc...

Leżałam bez ruchu.

– Chcę tylko, żeby pani usiadła, a my zajmiemy się resztą.

Nie zareagowałam.

– Sally, poproszę panią jeszcze raz. Zechce pani usiąść czy ci dżentelmeni mają pani pomóc?

Pauza. Wyczuwałam groźbę, czającą się w jej opanowanym głosie. Usiadłam.

– Bardzo dobrze – powiedziała siostra Shaw. – A teraz może uda się pani zejść z leżanki?

Zawahałam się. Siostra Shaw lekko kiwnęła głową i dwaj salowi stanęli po obu moich bokach. Jeden z nich szepnął:

– Chodź, kochana. – Jego ton był pełen zażenowania, niemal błagalny.

Pozwoliłam, by pomogli mi zejść z leżanki i zaprowadzili na łóżko. Potem bez słowa wywieźli leżankę z pokoju.

– No dobrze – rzuciła siostra Shaw. – Pozwoli pani, że wyjaśnię kilka rzeczy dotyczących naszego oddziału...

Nasz oddział.

– Przede wszystkim, pani synek jest na sali jakieś dziesięć kroków stąd.

Więc ma pani do niego całkowicie swobodny dostęp, kiedy tylko pani chce, dwadzieścia cztery godziny na dobę. I może go pani zabierać ze sobą tutaj... choć wolelibyśmy, żeby spał w swojej sali, żeby pani mogła trochę wypocząć, bo bardzo pani tego potrzebuje.

I żebyście mogli trzymać go poza zasięgiem moich szponów...

– Następna ważna rzecz: musi pani zrozumieć, że nie jest pani tutaj więźniem. W przeciwieństwie do niektórych pacjentów, nie jest pani niepoczytalna. ..

Niepoczytalna... jak z kiepskiej powieści...

– Więc jeśli zechce pani pójść na spacer albo opuścić oddział z jakiegokolwiek powodu, nie ma żadnego problemu. Prosimy tylko, by informowała pani oddziałową, że pani wychodzi...

Dlatego, że drzwi są cały czas zamknięte na cztery spusty... i dlatego, że nie chcemy, by taka szurnięta pensjonariuszka jak ty związała z dzieckiem, tym bardziej, że chciałaś mu zrobić krzywdę.

– Ma pani jakieś pytania?

Pokręciłam głową.

– W porządku. W szafce przy łóżku znajdzie pani koszulę nocną, więc jeśli zechce się pani w nią przebrać, oddam pani ubranie do pralni.

Bo je całe zarzygałam.

– A potem każę przysłać pani jak najszybciej coś do jedzenia, bo słyszałam, że nie jadła pani od dłuższego czasu. Ale może chciałaby pani najpierw zajrzeć do synka?

Długa chwila ciszy. W końcu pokręciłam przecząco głową. Siostra Shaw była wciele-
niem wyrozumiałości.

– Nie szkodzi. Ale proszę pamiętać, że gdyby chciała go pani zobaczyć, wystarczy tylko nacisnąć guzik dzwonka przy łóżku.

Ale dlaczego on miałby chcieć mnie zobaczyć? Szczególnie po tym, jak go otrułam. Nic dziwnego, że zawsze przy mnie płakał. Od samego początku wyczuwał moją antypatię.

– A, jeszcze jedno. Nasz prowadzący psychiatra, doktor Rodale, przyjdzie do pani za jakieś dwie godziny. Dobrze?

Nie mogę się doczekać.

– No, to już wszystko. Zostawiam panią, żeby się pani mogła przebrać, i poproszę którąś z koleżanek, żeby zaraz przyniosła pani lunch.

Siostra Shaw wyszła. Ja leżałam na łóżku, bez ruchu. Czas mijał. Siostra Shaw wróciła.

– Potrzebuje pani pomocy przy przebieraniu, Sally?

Usiadłam i zaczęłam zdejmować z siebie ubranie.

– No, już lepiej – pochwaliła siostra Shaw i znów sobie poszła.

Szpitalna koszula nocna śmierdziała wybielaczem i była szorstka od krochmalu. Zwinę-
łam swoje ubranie w wielką kulę i wepchnęłam na siłę do szafki. W końcu wsunęłam się
w równie szorstką pościel i zamknęłam oczy, w nadziei, że zasnę. Ale już po chwili otworzy-
ły się drzwi. Do sali weszła pulchna, młoda pielęgniarka. Na plakietce widniało nazwisko
PATTERSON.

– ...dobry.

Australijka.

– Dobrze się pani czuje?

Nie odpowiedziałam.

– Zaraz będzie lepiej. Przyniosłam lunch.

Prowadziła jednostronną konwersację z katatoniczką. Ale nic nie mogłam na to poradzić. Weszłam w kolejny obszar tego dziwnego krajobrazu, gdzie nawet mówienie nagle stało się niemożliwe, a przynajmniej przekraczało moje siły.

Pielęgniarka postawiła tacę z lunchem na przesuwanym stoliku, ustawionym obok łóżka. Przysunęła go do mnie. A ja leżałam i nawet nie kiwnęłam palcem.

Siostra uśmiechnęła się do mnie, mając nadzieję, że wywoła jakąś reakcję.

– Musi pani jeść. Pani sąsiadka nie chciała jeść przez ponad pięć dni. No i...

Umilkła, jakby o mały włos nie zdradziła się z czymś, czego nie powinnam słyszeć. A przynajmniej jeszcze nie teraz.

– Ale pani spróbuje tych pyszności? Przynajmniej niech się pani czegoś napije.

Sięgnęłam do tacy. Wzięłam szklanekę z wodą. Upiłam łyk, cały czas leżąc na boku, przez co oczywiście część wody pociekła mi po twarzy i na pościel. Odstawiłam szklanekę na tacę.

– Grzeczna panienska – powiedziała pielęgniarka. – To może teraz pani coś wszama?

Miałam ochotę się uśmiechnąć, słysząc ten żargon z buszu w szpitalu w południowym Londynie. Ale nie byłam w stanie zdobyć się nawet na jeden, żalony gest – mogłam tylko leżeć i czuć się jak kompletna idiotka.

– Wie pani co? Może po prostu zostawię pani tę tacę i wrócę tu za pół godzinki, co? Ale proszę wrzucić coś na ząb, dla własnego dobra.

Jak mogę jeść, skoro nie mogę jeść? Nie rozumiesz tego? Czy to nie jest dla ciebie absolutnie logiczne?

Pół godziny później wróciła. I nie spodobał jej się widok nietkniętego lunchu.

– Och, jak słowo daję – powiedziała, wciąż wesoła jak cholerny skowronek. – Przecież na pewno chce pani coś zjeść, prawda?

Nie. Nie chcę niczego. Bo chcę się skurczyć. Jak suszona śliwka. Zrobić wszystkim przysługę i zniknąć z widoku. Na zawsze.

Siostra usiadła na łóżku i ścisnęła mi rękę.

– Wiem, że to naprawdę paskudna choroba, że to „poza pani kontrolą” i tak dalej. Ale muszę panią ostrzec: doktor przyjdzie panią obejrzeć za jakąś godzinę. A ona strasznie nie lubi poporodowej anoreksji. Jeśli mi pani nie wierzy, proszę pogadać z sąsiadką, kiedy przywiozą ją z sali zabiegowej. Więc dla własnego dobra, niech pani zje chociaż gryzą tego jabłka, zanim pani doktor się zjawi.

Ale żeby ugryźć jabłko, muszę ugryźć jabłko. Kapujesz?

Pani doktor dobiegała pięćdziesiątki. Bardzo wysoka, bardzo brzydka, z praktycznie przyciętymi, brązowymi włosami do ramion, w praktycznym kostiumie pod białym, szpitalnym kitlem, z praktycznymi, dwuogniskowymi okularami na czubku nosa. Całą swoją osobą wyrażała rzeczowe podejście do świata. Zaniepokoiła mnie od pierwszego rzutu oka – bo wiedziałam, że nie da sobie wcisnąć żadnego kitu.

– Pani Goodchild... Sally... Nazywam się Rodale, jestem prowadzącym psychiatrą na tym oddziale.

Wyciągnęła rękę.

Ale żeby uścisnąć twoją rękę, muszę uścisnąć twoją rękę.

Uśmiechnęła się półgębkiem, przyjmując do wiadomości moją niemożność wykonania tego podstawowego towarzyskiego gestu.

– No dobrze – powiedziała, przysuwając krzesło do mojego łóżka. Sięgnęła do teczki po notes i długopis. – Spróbujemy zacząć...

Ale to ona zaczęła – pytała mnie, ile mam lat, czy to moje pierwsze dziecko, pierwszy epizod depresyjny i pierwszy raz, kiedy tak kompletnie zaniemówiłam. Wyczytała też z karty Jacka, że przeżyłam bardzo trudny poród i teraz ciekawa była, czy miało to wpływ na moje zdrowie psychiczne... bla, bla, bla, bla, bla, bla, bla, bla...

Fascynujący był fakt, że prowadziła to jednostronne przesłuchanie z niesłabnącym ożywieniem i nie dawała za wygraną, choć nie odzywałam się ani słowem. Uderzyło mnie też, że – choć była psychiatrą – nie należała do tej czułościwej szkoły psychoterapii, która każe „rozmawiać z dzieckiem, które w tobie mieszka” i tak dalej. Nie, ona po prostu próbowała uzyskać ode mnie niezbędne informacje, by móc ustalić sposób leczenia.

Był jednak pewien problem – nie odpowiadałam na pytania. I dotarło to do niej dość szybko.

– Droga Sally – powiedziała w końcu, kiedy nie doszła do niczego. – Doskonale wiem, że pani mnie słyszy i że jest pani świadoma otoczenia, sytuacji i konsekwencji swoich zachowań wobec innych. Należy więc uznać, że pani niechęć do mówienia wynika z przyczyn psychosomatycznych.

Kolejny oszczędny uśmiech.

– Jeśli czuje pani, że w tym momencie nie może pani mówić, niech będzie. Proszę jednak zrozumieć, że abym mogła postawić właściwą diagnozę i przepisać odpowiednie leczenie, będzie pani musiała odpowiedzieć na moje Pytania. Więc jak, zaczniemy od początku?

Nie odpowiedziałam. Wróciła do początku kwestionariusza. W połowie listy pytań zmieniłam pozycję na łóżku, przewracając się na drugi bok i pokazując jej plecy. Kiedy tak leżałam tyłem do niej, wstała i przeniosła sobie krzesło na drugą stronę łóżka.

– No, teraz znów się widzimy.

Przekreśliłam się, znów kładąc się plecami do niej. Doktor Rodale westchnęła głęboko, ze znużeniem.

– Wszystko to, co pani robi, pani Goodchild, spowalnia tylko proces wyzdrowienia i wydłuża czas, który pani z nami spędzi. Ale, jak już powiedziałam, nie mogę pani zmusić, by odpowiedziała pani na moje proste pytania. Decyzja należy do pani. Przynajmniej na razie. Tak samo, jak może pani decydować, czy jeść, czy nie. Ale, jak pani dobrze wie, nie można żyć bez jedzenia. Więc jeśli w dalszym ciągu będzie pani odmawiać przyjmowania pokarmu, może się okazać, że ta decyzja zostanie podjęta za panią.

Widzę tu w pani karcie, że lekarz domowy zapisał pani łagodny środek uspokajający, by pomóc pani zasnąć. Poproszę siostrę, żeby podała pani dziś wieczorem taką samą dawkę. A kiedy przyjdę do pani jutro rano, mam nadzieję, że zrobimy większe postępy niż dziś. Do widzenia.

Jakieś pięć minut po jej wyjściu drzwi otworzyły się znowu i poznałam moją współlokatorkę. Choć właściwie nie poznałam jej, bo znajdowała się w stanie pooperacyjnej śpiączki. A przynajmniej zakładałam, że to stan po operacji -jako że wwieziono ją na leżance, a głowę miała owiniętą dużym opatrunkiem. Choć wciąż leżałam zwinięta na łóżku, zauważyłam, że to ciemnoskóra kobieta, mniej więcej w moim wieku. Siostra Patterson pomogła salowym ustawić leżankę we właściwym miejscu i przenieść kobietę na łóżko. Kiedy wyszli, zajrzała w jej kartę, sprawdziła puls i poprawiła pościel. Widząc, że się na nią gapię, powiedziała:

– Ma na imię Agnes. Jej synek, Charlie, jest na oddziale razem z pani chłopcem. Pewnie będziecie miały o czym porozmawiać, kiedy dojdzie do siebie, bo przechodziła to samo, co pani teraz przechodzi. Chociaż, prawdę mówiąc, ona też jeszcze z tego nie wyszła. Wiem, że to straszne, ale cóż zrobić. Depresja nie wybiera i nie pyta o pozwolenie. I jedyne, co można zrobić, to wziąć ją w karby, zanim wpędzi panią w prawdziwe kłopoty zdrowotne, jak naszą Agnes. Ale najlepiej niech ona sama o tym pani opowie. To bardzo inteligentna kobieta, pracuje w służbach publicznych. Ale tak to już jest z chorobą, że ma w nosie, kim jesteś.

Podeszła do mnie i usiadła na łóżku. Naprawdę wolałabym, żeby tego nie robiła.

– Nawet najlepszym przytrafiają się nieszczęścia. Ale skoro już o tym mowa, zdradzę pani mały sekret: nie zrobiła pani najlepszego wrażenia na pani doktor. A zapewniam, że z tego rodzaju osobą lepiej współpracować po dobroci, jeśli rozumie pani, co mam na myśli. Stara szkoła. Lubi, żeby było jasne, kto tu rządzi i kto decyduje, co jest dla pani najlepsze. I muszę przyznać, choć niechętnie to mówię, że prawdopodobnie rzeczywiście wie to najlepiej. Bo choć jej sposób bycia pewnie niejednemu działa na nerwy, ona naprawdę wie, jak wyciągnąć takie dziewczyny jak pani z bagna. Ale proszę mi uwierzyć na słowo – leczenie byłoby pięć razy łatwiejsze, gdyby pani pomogła sobie pomóc... że użyję tego głupiego zwrotu. Więc bardzo proszę coś zjeść.

Myślisz, że nie chcę wam pomóc? Problem polega na tym, na czym polega problem, a mianowicie na tym, że jest pewien problem, który stanowi problem będący problemem, jeśli chodzi o rzeczony problem, bo problem tkwi w tym...

Przyciągnęła do łóżka stolik, odkroiła kawałek kanapki i przysunęła mi do ust.

– Tylko kilka małych kęsów, to nic trudnego...

Słuchaj, wiem, że masz dobre intencje, ale... nie, nie zamierzam znów się w to zagłębiać.

– Jabłko? Szklanekę mleka? A może kilka naszych najlepszych herbatników? Na nic nie ma pani ochoty?

Cisza.

– W takim razie może pomogę pani wstać z łóżka i zabiorę panią do Jacka.

To chyba jego pora karmienia...

To nareszcie wywołało reakcję – złapałam kurczowo poduszkę i ukryłam w niej twarz.

– Zdaje się, że strzeliłam gafę – powiedziała siostra Patterson. – Ale cóż, mały też musi jeść, prawda?

Jej pager zaczął pikać. Zerknęła na wyświetlacz.

– Wzywają mnie. Do zobaczenia później. A gdyby pani czegoś potrzebowała, wystarczy zadzwonić.

Nie potrzebowałam niczego, a już z pewnością nie widoku Tony'ego godzinę później. Miał ze sobą aktualny numer „Chronice” i wielką torbę z lukrecjową mieszanką. Kiedy schylił się, żeby mnie pocałować, zobaczyłam jego zegarek: piąta dwanaście. Poczucie winy musiało go tu przyznać tak wcześnie – dobre trzy godziny przed oddaniem stron do składu.

– Jak leci? – zapytał.

Nie odpowiedziałam.

– Przyniosłem ci...

Położył prezenty na szafce przy łóżku, po czym rozejrzał się w poszukiwaniu krzesła, zastanawiając się, czy siadać, czy nie. Zdecydował, że postoi.

Zdecydował też, że lepiej nie patrzeć na mnie bezpośrednio, bo mój nienormalny, katoniczny stan najwyraźniej wprawiał go w zakłopotanie.

– Właśnie zajrzałem do Jacka. Dobre wieści: obudził się i z tego, co mówiła pielęgniarka, wytrąbił dwie butelki, taki był głodny. Powiedziała, że to dobry znak i że już całkowicie wrócił do siebie.

Bo nie jest pod moją czułą, matczyną opieką.

– Siostra powiedziała też, że możesz go odwiedzać...

Przestań, przestań, przestań. Nie chcę, żebyś był miły. Nie zasługuję na to.

Naciągnęłam poduszkę na głowę.

– O tej twojej poduszce też mi mówiła.

Przycisnęłam poduszkę do uszu.

– Jeśli chcesz, żebym sobie poszedł, to pójdę.

Nie ruszyłam się. Po chwili Tony dodał:

– Mam nadzieję, że ci lepiej.

Słyszałam, jak wychodzi. Zdjęłam poduszkę z głowy i usłyszałam głos obok mnie:

– Kim jesteś?

Była to moja współlokatorka, Agnes. Siedziała na łóżku z nieprzytomną, zamroczoną miną. Ale cóż, ja też nie mogłam się w tej chwili pochwalić jasnością umysłu.

– Byłaś tu wczoraj? Nie pamiętam... Byłaś, tak? Ale może...

Przerwała zdeorientowana, jakby nie nadążała za poszarpanym tokiem myśli.

– Agnes to ja. Zawsze tak przykrywasz głowę poduszką? Agnes... załapałaś?

Tak – i cieszę się, że nie jestem jedyną obywatelką tej planety dziwaków.

– Agnes. Agnes. A-G-N-E...

Do sali weszła siostra Patterson.

– Prawdziwy milczek z tej naszej Sally – powiedziała.

– Sally? – zapytała Agnes.

– Właśnie tak. S-A-L-L-Y. I naprawdę nie jest dzisiaj w nastroju do rozmowy. Ale będziemy bardzo wdzięczni, jeśli będzie pani próbować, bo prędzej czy później musimy usłyszeć jej amerykański akcent.

Agnes mrugnęła kilka razy, jakby potrzebowała czasu, żeby przyswoić sobie tę informację.

– Dlaczego ona jest Amerykanką? – zapytała.

– Dlaczego? – roześmiała się siostra Patterson. – Pewnie dlatego, że urodziła się w Ameryce. I ma małego synka, tak samo jak ty.

– Ma na imię Charlie? – zapytała Agnes.

– Nie, to pani synek ma na imię Charlie...

– Wiem, wiem, tylko myślałam...

Przerwała, jakby znów się zgubiła.

– Jack – powiedziała siostra Patterson. – Ma na imię Jack.

– A ja jestem... jestem...

– Troszkę splątana – wtrąciła siostra Patterson. – Tak jak ostatnim razem. Ale obiecuję, że do jutra rana będzie pani jak nowa. Co pani zje na podwieczorek?

Agnes pokręciła głową.

– Oj, chyba nie chcemy wszystkiego przerabiać od początku – powiedziała siostra Patterson. – Szczególnie, że przepisali pani...

– Płatki owsiane – rzuciła szybko Agnes. – Zjem płatki owsiane.

– Według życzenia. A pani na co ma ochotę, Sally?

Oczywiście nie odpowiedziałam -jakżeby inaczej.

– To pani nie przyniesie nic dobrego, Sal.

Podeszła do mnie ze szklanką wody i małym kubeczkiem.

– Nie wcisnę pani jedzenia na siłę, ale muszę panią poprosić, żeby zażyła pani te tabletki. To dokładnie ten sam środek, który wzięła pani wczoraj wieczorem...

I którym otrułam mojego syna.

Zagrzechotała plastikowym kubkiem koło mojego ucha.

– No, proszę. Pani doktor kazała, wie pani, jak to jest. A w nagrodę za dobre sprawowanie wyśpi się pani przez całą noc. Ach... mąż być może pani wspomniał, że Jack się obudził i rozstawia nas wszystkich po kątach. Więc...

Znów zagrzechotała tabletkami.

– Proszę, Sal. Proszę mnie nie zmuszać...

Nie skończyła zdania. Bo nie musiała. Usiadłam na łóżku. Łyknęłam pigułki. A potem zmusiłam się do wstania i powłócząc nogami, poszłam do łazienki obok sali, przy akompaniamencie głośnych gratulacji siostry Patterson. W łazience ominęłam wzrokiem własne odbicie w lustrze. Po prostu opróżniłam pęcherz, wróciłam do łóżka, naciągnęłam koc na głowę i czekałam, aż tabletki zadziałają.

A potem było rano. Moja głowa bujała gdzieś wysoko, we mgle. Kiedy mozolnie zaczę-

łam szukać odpowiedzi na pytanie: „Gdzie jestem?”, zauważyłam, że w moim przedramieniu tkwi igła, a nade mną wisi worek z kroplówką. Mojej współlokatorki nie było. Dyżur miała nowa pielęgniarka, niska Szkotka, która właśnie stawiała przede mną kolejny smakowity posiłek.

– Jak się spało?

W odpowiedzi pozbierałam się na nogi, złapałam stojak z kroplówką i popchnęłam go w stronę łazienki.

– Pomóc pani w czymś? – zapytała pielęgniarka.

Nie, jestem prawdziwą weteranką, jeśli chodzi o radzenie sobie z kroplówkami.

W łazience wysusiałam się, po czym podeszłam do umywalki, by umyć ręce i ochlapać wodą twarz. Wtedy zobaczyłam, jak wyglądam. Koszmar.

Opuchnięta twarz, przekrwione oczy, zmierzwione włosy...

Daj sobie spokój.

Wróciłam do sali. Pielęgniarka pomogła mi położyć się z powrotem do łóżka i ustawiła z lewej strony stojak.

– No dobrze. Mamy tu owsiankę, tost, jajecznicę i pyszną, mocną herbatę...

Odwróciłam się. Siostra nie przestawała gadać.

– .. a po śniadaniu na pewno będzie pani chciała odwiedzić synka. Więc od czego zaczniemy?

Nie zjadłam nic. Pielęgniarka usiłowała mnie zainteresować grzanką.

Odwróciłam głowę.

– Jak pani woli – powiedziała. – Ale doktor Rodale nie będzie zadowolona.

Zostawiła śniadanie obok łóżka. Do sali wróciła Agnes. Kiedy stała, widać było, że jest wysoką, przystojną kobietą – mimo wyczerpania chorobą i trochę niepewnego kroku.

– Byłaś tu wczoraj, tak? – zapytała, kładąc się do łóżka. – Amerykanka, zgadza się? Czy ktoś zupełnie nowy? Moja pamięć...

Znów jedno z urwanych zdań. Przyjrzała mi się ciekawie.

– Dlaczego nie mówisz? Dziecko zjadło ci język?

Roześmiała się histerycznie. A ja pomyślałam: trafiłaś w dziesiątkę, skarbie.

Jej śmiech ucichł nagle.

– Musisz jeść – powiedziała. – Jak nie będziesz jadła, narobisz sobie kłopotów. I to poważnych. Coś o tym wiem. Bo już to przerabiałam. I nie będziesz tego chciała. Mówię ci, nie będziesz.

Umilkła na chwilę.

– Jesteś Amerykanką, prawda?

Zakryła twarz dłońmi.

– Przepraszam, przepraszam. Nie chcę się powtarzać. Ale...

I znów zamilkła.

Doktor Rodale zjawiała się około trzeciej po południu. Mój nietknięty lunch wciąż stał przy łóżku. Zerknęła na tacę, po czym zajęła się moją kartą. Co jest?

– Jak się pani dzisiaj miewa?

Zagapiłam się na ścianę. Wargi doktor Rodale drgnęły; zanotowała coś w mojej karcie.

– Taak... Widzę, że nie zjadła pani wczoraj kolacji, a dziś pogardziła śniadaniem i lunchem. Powtarzam jeszcze raz: to pani prawo, ale proszę zrozumieć, że trzymamy panią na kroplówce. A za dzień czy dwa będziemy musieli podjąć decyzję, w jaki sposób wyprowadzić panią z obecnego stanu. Widzę też, że miała pani spokojną noc. Wyspała się pani?

Żadnej odpowiedzi.

– Nie było jakichś niepożądanych efektów środka uspokajającego... z wyjątkiem zwykłej ociążałości po przebudzeniu?

Żadnej odpowiedzi.

– Widzę, że mimo kilku propozycji nie miała pani ochoty zobaczyć syna, Jacka. Co nie jest niczym niezwykłym w pani stanie... choć oczywiście nie robi to najlepiej ani pani, ani dziecku. Jeśli jest pani zainteresowana, mamy tu psychoterapeutkę, która może z panią porozmawiać o pani uczuciach i emocjach. Ale by taka rozmowa mogła spełnić swoje zadanie, pani musi mówić. Co stawia nas wszystkich w sytuacji trochę jak z Paragrafu 22, zgodzi się pani? Więc jak, spróbuje się pani do mnie odezwać?

Żadnej odpowiedzi.

– Ogromnie utrudnia nam pani zadanie... a w ostatecznym rozrachunku samej sobie.

Żadnej odpowiedzi.

– No dobrze. Porozmawiamy jutro.

I zajęła się moją sąsiadką. Reakcja Agnes na pojawienie się lekarki mówiła wyraźnie, że doktor Rodale naprawdę ją przeraża.

– Jak się pani dzisiaj czuje, Agnes? Apetyt wrócił?

– Jem.

– Tym razem nie było ubocznych skutków?

– Moja pamięć...

– To przejściowe. W ciągu najbliższej doby wszystko wróci do normy.

– Czy to ostatni...?

Doktor Rodale nie uniosła oczu znad karty.

– Zobaczymy.

Naciągnęłam koc na głowę. Bo teraz już wiedziałam – a przynajmniej tak mi się wydawało – jakiego rodzaju terapii poddawana jest Agnes.

Ale choć rozumiałam, że muszę mówić i jeść... wciąż wracał ten sam tok rozumowania, ta wymęczona logika: żeby mówić, muszę mówić... żeby jeść, muszę jeść. A w tej chwili było to niemożliwe. Bo choć instynktownie wiedziałam, jak się mówi i je, było tak, jakbym straciła zdolność wykonywania tych dwóch czynności. Mój system operacyjny padł i mimo szczerych chęci, nie potrafiłam uruchomić mechanizmu, który pozwoliłby mi otworzyć usta. I choć powoli narastała we mnie panika, tłumiała ją ta rozpaczliwa inercja. Po prostu nic nie było dla mnie wystarczająco ważne, by się tym przejmować.

Tego wieczoru Tony przyszedł o ósmej. Siostra Patterson, która znów miała dyżur, najwyraźniej wprowadziła go w sytuację, bo niespokojnie obrzucił wzrokiem tacę z nietkniętą kolacją. Usiadł na łóżku i przyjrzał mi się wzrokiem, w którym wyczytałam mieszaninę beznadziei, niesmaku i troski (tak, mój skomplikowany mąż miał niepowtarzalną zdolność wyrażania wszystkich tych trzech uczuć jednocześnie za pomocą minimalnych zmian wyrazu twarzy). Nie pocałował mnie, nie dotknął mojej ręki – i znów miał duże problemy z patrzeniem na mnie. Ale powiedział:

– Cześć. – A widząc, że to do niczego nie prowadzi, dodał: – Jack ma się dobrze.

A potem:

– Oni się naprawdę martwią, że nie chcesz jeść ani mówić.

A potem:

– No dobrze... już sobie idę.

Czy w ten sposób chciał powiedzieć: „Wiem, kiedy nie jestem mile widziany”?

Tego wieczoru Agnes odwiedził mąż (czy partner, czy ktokolwiek to był – ale na pewno ktoś bardzo bliski). Zaskoczył mnie jego widok. Wyobrażałam sobie jakiegoś przystojnego, muskularnego Jamajczyka – dobrze ubranego, emanującego pewnością siebie i swobodnym

urokiem – po prostu stereotypowego Afrobrytyjczyka. Gość Agnes okazał się jednak cichym, nieśmiałym Anglikiem przed czterdziestką, ubranym w standardowy, szary garnitur, niebieską koszulę i nijaki krawat. Widać było, że czuje się w tej sytuacji dość niepewnie, uważa na każdy gest i słowo. Ale było też absolutnie jasne, że uwielbia Agnes – i że bardzo go martwi jej obecny stan. Siedział obok niej i, trzymając za rękę, rozmawiał z nią cichym, dodającym otuchy głosem, od czasu do czasu nawet prowokując ją do śmiechu. To zawsze tajemnica, na jakiej zasadzie ludzie dobierają się w pary. Nigdy nie wiadomo, skąd bierze się iskra fascynacji w osobach tak różniących się od siebie, na czym polegają skomplikowane więzy, które łączą parę, i czy są one dość silne, by przetrwać kryzys taki jak... jak ten.

To był naprawdę szary, zwykły człowieczek – i nagle pozazdrościłam Agnes przewidywalnego, stabilnego związku (oczywiście doskonale wiedząc, że pozory mogą mylić). Kiedy podczas jego wizyty siostra Patterson przyszła z moimi pigułkami nasennymi, wzięłam je od razu, bez poganiania. Bo nie chciałam dłużej patrzeć na tę sielankę.

I znów proszki wykonały swoją cudowną, chemiczną robotę, bo spałam przez całe jedenaście godzin. Następnego ranka obudziłam się piętnaście po szóstej. Boże, ależ byłam zamroczona. Bo te pigułki nie sprowadzały snu, waliły obuchem w głowę, pozostawiając po sobie uczucie omdlenia. Potrzebowałam dobrych dwudziestu minut, zanim zdołałam wstać, by powlec siebie i mój stojak z kroplówką do łazienki.

Dzień upłynął według podobnego schematu jak poprzednie. Szkocka pielęgniarka przyniosła mi śniadanie. W dalszym ciągu milczałam. Agnes próbowała wciągnąć mnie do rozmowy, ale nie reagowałam (choć ucieszyłam się, widząc, że jest już trochę przytomniejsza). Wyszła, by pobawić się ze swoim synkiem, Charliem. A ja zmarnowałam cały ranek, gapiąc się w sufit i zastanawiając się, dlaczego marnuję ten ranek, i nie mając dość energii, by zrobić cokolwiek innego.

A potem był lunch – ale nie zjadłam nic, nie licząc posiłku podanego przez igłę w rękę. A potem była trzecia i przyszła doktor Rodale. Jak aktorki w kiepskiej sztuce, znałyśmy nasze nieciekawe kwestie na pamięć. A przynajmniej ona знаła swoje kwestie -ja musiałam tylko w dalszym ciągu grać rolę bezwładnej i milczącej wariatki. Rozmowa przebiegała zgodnie ze schematem. .. dobra pani doktor wyraziła swoją troskę z powodu mojego pogarszającego się stanu, a w końcu powiedziała:

– Jeszcze dziś po południu zadzwonię do pani męża, by przedyskutować z nim sytuację i możliwe opcje.

Tony przyszedł około ósmej. Tym razem pocałował mnie w policzek.

I przysunął sobie krzesło. I wziął mnie za rękę. I powiedział:

– Musisz zacząć jeść.

Patrzyłam w ścianę.

– Twoja lekarka... Rodale, tak?... Zadzwoniła do mnie do redakcji i powiedziała, że jeśli nie zaczniesz przyjmować stałego pokarmu, zaczniesz brać pod uwagę terapię szokową. Elektrowstrząsy. Powiedziała, że to najlepszy sposób, żeby wydobyć cię z tego stanu, w którym

teraz jesteś, ale potrzebuje na to mojej zgody.

Cisza. Znów na mnie nie patrzył.

– Ja nie chcę wyrażać na to zgody. Ale nie chcę też widzieć cię w takim stanie, nie chcę, żeby to trwało. Więc – pochylił się do przodu – na twoim miejscu skończyłbym z tym cyrkiem, i to szybko.

Odwrociłam się.

– Sally, błagam...

Naciągnęłam koce z powrotem na głowę. Och, skąd u mnie te infantylne zachowania?

Nagle Tony ściągnął ze mnie koc. Patrząc mi prosto w oczy, syknął:

– Nie przeciągaj struny.

I wyszedł. A ja pomyślałam: podpisze dokumenty w mgnieniu oka. I już niedługo będę sobie mogła poświecić po ciemku bez pomocy latarki.

Kiedy wyszedł, Agnes wstała z łóżka i podeszła do mnie. Jej krok wciąż był trochę niepewny. I wciąż trudno jej było skupić wzrok. Ale mówiła do rzeczy.

– Masz na imię Sally, zgadza się?

Nie odpowiedziałam.

– No to słuchaj, Amerykanko. Mój mąż też nie chciał podpisać zgody.

Błagał mnie przez tydzień, żebym spróbowała się opamiętać, żebym coś zjadła i pokazała, że wiem, co się ze mną dzieje. Ale nie zrobiłam tego.

A kiedy kilka razy wyciągnęłam z przełyku sondę do karmienia... cóż, nie mieli wyboru. Wieczorem, dzień przed rozpoczęciem terapii mój mąż usiadł przy mnie i rozplakał się, błagając, żebym ten jeden, ostatni raz spróbowała cokolwiek zjeść. Ale...

Pauza.

– .. .następnego dnia rano znów wyciągnęłam sondę. A wieczorem zaczęli terapię wstrząsami.

Pauza.

– Wczoraj był piąty. Domyślam się, że to ma jakieś pozytywne skutki, bo zaczęłam jeść i jestem w stanie pobawić się z Charliem. Ale...

Pauza.

– ...mówią, że utrata pamięci jest przejściowa. Tyle że ja mam zupełnie inne wrażenie.

To trochę tak, jakby cały fragment mózgu został wykasowany. Próbuję go odnaleźć... szukam... ale... pauza.

– ... wiesz, co myślę? Że ten prąd po prostu wypala to z ciebie. Wysmaża na skwarkę. Doktor powtarza, że po zakończeniu terapii wszystko wróci do normy. Ale ja jej nie wierzę. Ani przez chwilę. Bo...

Pauza.

– Posłuchaj mnie. Możesz tego unikać. Możesz. Zjedz choć jeden kęs, dobrze? Tylko jeden. Proszę...

Przyciągnęła stolik, na którym stała taca z nietkniętą kolacją. Wzięła bułkę i oderwała kawałek.

– ...kawałeczek bułki. Popatrz, nawet ci go posmaruję masłem.

Zrobiła to. Podsunęła mi kęs pod twarz. Kiedy odwróciłam głowę, wolną ręką przyciągnęła ją z powrotem.

– Wiem, że dasz radę.

Znów odwróciłam głowę. Znów przyciągnęła ją siłą. Odwróciłam się.

Nagle przytknęła mi bułkę do ust. Odwróciłam się. Szarpnęła mnie z powrotem, trzymając mi głowę naprawdę mocno. Tym razem wcisnęła mi bułkę siłą między zęby. Wtedy nie wytrzymałam. Odtrąciłam rękę i splunęłam jej w twarz. Bez zastanowienia trzasnęła mnie wierzchem dłoni w policzek. Szok był równie ostry jak ból. Usłyszałam własny krzyk:

– Siostro!

Siostra Patterson weszła do sali.

– Proszę... więc jednak potrafi pani mówić.

Oczywiście na resztę wieczoru znów uciekłam w ciszę. Oczywiście nie tknęłam tacy z kolacją. Oczywiście wzięłam swoje pigułki nasenne jak grzeczna dziewczynka i niedługo czekałam, by ogłuszył mnie sen. Ale kiedy obudziłam się następnego ranka... nie, nie powiem, że mgła się roziała ani że poczułam się jak nowo narodzona, pełna życia czy pogodzona ze sobą i ze światem. Przeciwnie – uczucie ponarkotycznego oszołomienia, ogólnego zatrucia organizmu i dziwnego znużenia nie zniknęło – mimo Jedenastu godzin snu. Ale po raz pierwszy od wielu dni naprawdę poczułam głód. A kiedy Szkotka przyniosła śniadanie, wymamrotałam:

– Dziękuję.

Spojrzała na mnie trochę zaskoczona, ale i bardzo ucieszona.

– Ależ proszę bardzo. Da pani radę coś zjeść?

Kiwnęłam głową. Pomogła mi usiąść, przysunęła stolik do łóżka i nakryła go do śniadania; rozłożyła mi nawet papierową serwetkę jak kelnerka w restauracji.

– A może napije się pani herbaty? – zapytała.

Znów kiwnęłam głową.

– Zaraz wracam.

Po prawie tygodniowym poście jedzenie nie było wcale łatwe. Ale udało mi się przełknąć pół miski owsianki. Szło powoli, i raz czy dwa razy porządnie mnie zemdliło. Nie dałam jednak za wygraną. Bo wiedziałam, że nie mam wyjścia.

Siostra naląła mi herbaty i rozpromieniona patrzyła, jak jem. Wyglądało na to, że dla niej każdy pacjent, który minął zakręt, był powodem do dumy.

– Nie musi pani zjadać wszystkiego – powiedziała. – I tak idzie pani świetnie.

W połowie śniadania obudziła się Agnes. Tak jak i ja jechała na silnych środkach nasennych, więc potrzebowała dobrej chwili, by się zorientować, gdzie jest i co tu robi. Ale powoli oprzytomniała – i zobaczyła mnie nad tacą z jedzeniem, z łyżką w ręce.

Miała na tyle wyczucia, by nic nie powiedzieć. Po prostu kiwnęła mi głową, wstała i wyszła do łazienki. Po powrocie podeszła do mojego łóżka i powiedziała:

– Przepraszam za wczoraj.

– Nie ma za co – odparłam, ledwie wydobywając słowa z gardła.

– Jak tam śniadanie?

Wzruszyłam ramionami.

– Mnie też nie bardzo smakowało, kiedy jadłam pierwszy raz od... Ale z drugiej strony paskudnie tu karmią...

Zdobyłam się na blady uśmiech.

Najtrudniejsze było mówienie. Mogłam wydusić słowo czy dwa, ale potem coś ścisnęło mi krtani i nie chciało puścić.

– Nic na siłę – powiedziała Agnes, widząc, jak się męczę. – Na to trzeba trochę czasu.

Kiedy przynieśli lunch, udało mi się zjeść pół udka kurczaka, białą maż, która uchodziła tu za puree ziemniaczane, i porcję rozgotowanej marchewki o smaku plastiku. Ale najważniejsze, że zrobiłam z lunchu imponujące przedstawienie, bo doktor Rodale miała niedługo przyjść, a ja chciałam mieć pewność, że odzyskany apetyt zostanie odnotowany.

I rzeczywiście, kiedy weszła do sali, na jej twarzy malował się miły uśmiech.

– Właśnie przekazano mi dobre wieści, Sally – powiedziała. – Śniadanie i lunch. Bardzo dobry znak. I podobno udało się pani powiedzieć parę słów. Myśli pani, że da radę chwilę ze mną porozmawiać?

– Spróbuję – odparłam, choć sformułowanie tego jednego słowa wymagało trochę czasu.

– Nie ma pośpiechu. – Przygotowała sobie długopis i notes. – Ale bardzo by mi pomogło, gdybym wiedziała...

I przerobiła od początku całą listę. Moje odpowiedzi były raczej krótkie i składały się głównie z monosylab. Zachęcana przez doktor Rodale odpowiedziałam jakoś na wszystkie pytania – i dzięki swojej chęci współpracy chyba przeciągnęłam ją nareszcie na swoją stronę. Kiedy skończyłyśmy, pogratulowała mi „dobrej roboty” i podkreśliła, że jej wcześniejsze twarde podejście było tylko sposobem na przełamanie barier, które powstały w mojej głowie w wyniku depresji.

– Oczywiście droga przed nami wcale nie jest pewna, i trzeba się nią posuwać bardzo ostrożnie. Czy na przykład czuje się pani gotowa, by odwiedzić Jacka?

Pokręciłam głową.

– To zupełnie zrozumiałe – powiedziała – i w tych okolicznościach to chyba rozsądny wybór. Odwiedzi go pani, kiedy poczuje się pani gotowa, co, mam nadzieję, nastąpi już wkrótce.

Wyjaśniła mi, że stan, który przeżywam, to nic niezwykłego, choć dla mnie bez wątpienia jest to prawdziwy koszmar. Teraz, kiedy już zrobiłam pierwszy krok w stronę twardego gruntu, będzie można leczyć mnie za pomocą środków przeciwdepresyjnych, co, przy odrobinie szczęścia, powinno wywołać znaczną poprawę za około sześć tygodni.

Sześć tygodni? Tutaj?

Doktor Rodale zauważyła moją przerażoną minę.

– Domyślam się, że dla pani to strasznie długo, ale proszę mi uwierzyć, widywałam depresje, które w swojej najostrejszej fazie ciągnęły się miesiącami. Na pocieszenie powiem pani, że jeśli dobrze zareaguje pani na leki, będziemy mogli wypuścić panią do domu, kiedy uznamy, że poradzi pani sobie sama.

To znaczy kiedy nie będę już zagrożeniem dla siebie i swojego dziecka?

Ale ledwie ta myśl zaświtała mi w głowie, przerwała ją inna: przestań, i to natychmiast.

– Wydaje mi się, że chce mnie pani o coś zapytać – powiedziała doktor Rodale. – Czy tak?

– Nie – odparłam, a mój ton znów przywołał na jej twarz zadowoloną minę.

– Naprawdę?

– Nie, wszystko gra – skłamałam.

8

Doktor Rodale mówiła prawdę. Podobnie jak nie ma na świecie nic za darmo, tak nie istnieje żadne natychmiastowe antidotum na depresję – żaden musujący alka seltzer, którym można by osuszyć to czarne grzęzawisko, które wciąga człowieka. Było to raczej mozolne przedzieranie się z powrotem na ląd (cokolwiek to znaczy), z częstymi, bolesnymi potknięciami po drodze, żeby człowiek przypadkiem nie ucieszył się za bardzo, że robi szybkie postępy.

Doktor Rodale przez cały czas przypominała mi, że mogę wyjść ze szpitala na własną prośbę, kiedy tylko zechcę – choć oczywiście nie zachęcała mnie do tego. Domyślałam się raczej, że czuje się zobligowana prawem, by poinformować mnie o takiej możliwości. Ale czuła się również w obowiązku doradzać mi, że dla swojego własnego dobra powinnam zostać na oddziale aż do momentu, kiedy, jak to ładnie ujęła, „wszyscy uznamy, że pani powrót do domu to dobry pomysł”.

Powrót do domu. Jakby to była spokojna przystań, do której wraca się po krwawej bitwie... ale czy mój londyński dom kiedykolwiek przypominał bezpieczną przystań?

A jednak Tony postanowił odgrywać rolę dobrego, troskliwego męża – i wyraził nawet skruchę za swój gniewny wybuch, kiedy błądziłam jeszcze po królestwie żywych trupów.

– Wiesz, to był tylko wyraz frustracji... i niepokoju o ciebie – powiedział wieczorem tego dnia, kiedy znów zaczęłam jeść. – No i chciałem ci pomóc... hm...

Skończyć z tym cyrkiem?

– To naprawdę wspaniale, że doszłaś do siebie. Alternatywa była... po prostu straszna.

Ale elektryzująca...

– Odwiedzałaś już Jacka? – zapytał.

Pokręciłam głową.

– Nie ma pośpiechu, najmniejszego – powiedział. – Lekarka mówiła mi, że to zajmie trochę... czasu i że oboje możecie tu spędzić kilka tygodni...

Tony starał się jak mógł zamaskować swoje zadowolenie z powodu takiego „urlopu” od la vie conjugale, nie wspominając już o zarwanych nocach (choć oczywiście dzięki swojemu

schronieniu na strychu nie odczuł zbyt boleśnie nocnego terroryzmu Jacka).

– Poinformowałem naczelnego o twoim... stanie, i bardzo się tym przejął.

Powiedział, że mogę się urywać z pracy, kiedy tylko będę musiał.

Żeby siedzieć przy moim łóżku, trzymać mnie za rękę i dotrzymywać mi towarzystwa? Już to widzę.

Ale Tony udowodnił, że w tej kwestii bardzo się myliłam. Zjawiał się w szpitalu codziennie i spędzał ze mną przynajmniej godzinę. Zawsze przynosił mi plik świeżych dzienników, a kiedy zaczęłam być trochę przytomniejsza, zaopatrywał mnie regularnie w książki i zaległe numery „New Yorkera”. Szarpnął się nawet na discmana z radiem i strasznie wymyślne słuchawki marki Bose, z małym urządzeniem na baterie, które pozwalało wygłuszyć wszelkie dźwięki z zewnątrz. I w kilku rzutach przyniósł mi z domu ze dwadzieścia kompaktów. Ku mojemu niemałemu zdziwieniu uszanował nawet mój gust muzyczny. Mnóstwo barokowych concerti grossi Haendla i Corellego. Moją unikatową płytę z Wariacjami Goldbergo w wykonaniu Glenna Goulda z 1955 roku. Wysublimowane duety Elli Fitzgerald z Louistem Armstrongiem. I słynny album Billa Evansa Sunday at the Village Vanguard, który, odkąd usłyszałam go jeszcze w college[^], był dla mnie kwintesencją wy rafinowanego luzu... a teraz, oceniany z azylu w londyńskim szpitalu, wydawał mi się jeszcze wspanialszy.

Muzyka stała się dla mnie papierkiem lakmusowym – probierzem, pozwalającym ocenić stopniowy powrót do mniej więcej normalnego stanu.

Ale pamiętałam też, co powiedziała mi doktor Rodale:

– Z początku może się pani zastanawiać, czy środki przeciwdepresyjne w ogóle dają jakiś efekt. Potrzebują trochę czasu, by zadziałać, i u każdego pacjenta działają inaczej.

Ostrzegła mnie też o możliwych efektach ubocznych – zanim pojawiły się jakiegokolwiek pozytywne efekty, cała ta chemia zaczęła wyczyniać dziwne rzeczy z moim organizmem. Najpierw pojawiła się nieznośna suchość w ustach, która rozprzestrzeniła się szybko na całe gardło, a w końcu również na oczy, co było dość nieprzyjemne.

– Damy pani sztuczne łzy, by mogła pani nawilżać oczy – powiedziała doktor Rodale. – A tymczasem proszę w dalszym ciągu wypijać dwa litry wody dziennie.

Potem przyszły dziwne mdłości – skurcze żołądka, które do niczego nie prowadziły.

– To się powinno uspokoić, ale musi pani jeść.

Jedzenie było prawdziwą obsesją doktor Rodale, aż zaczęłam się zastanawiać, czy jej specjalizacją nie jest anoreksja (albo czy sama kiedyś na nią nie cierpiała). Sądzę jednak, że miała rację – według siostry Patterson jadłowstręt był typowym objawem depresji poporodowej, a na dodatek zaostrzał jej przebieg z oczywistych fizjologicznych powodów.

– Kiedy człowiek nie je, jest bardziej podatny na spadki nastroju.

Więc jadłam, ale powrót do czegoś, co można nazwać apetytem, był bardzo powolny, zapewne także z powodu pomyj, które podawano w szpitalu. Tony codziennie wpadał do Marksa&Spencera i wybierał dla mnie sałatki i kanapki, a nawet naradzał się z pielęgniarkami, co powinnam jeść.

I znów jego gorliwość i troska zaskoczyły mnie i ucieszyły. Choć oczywiście wiedziałam, że nigdy nie przyzna się wprost, dlaczego nagle stał się taki troskliwy.

– Czy to ważne, co nim powoduje? – zapytała mnie Ellen Cartwright. – Ważne jest tylko jedno: Tony okazuje troskę. Nie uważasz, że to dobrze?

Ellen Cartwright była psychoterapeutką, pracującą na oddziale. Doktor Rodale faszerowała pacjentów tabletkami, a Ellen pomagała im nawiązać kontakt z wewnętrznym idiotą. Ale jak wszyscy, których tu do tej pory poznałam, była pragmatyczką i charakteryzowała się bardzo angielskim podejściem do życiowych zawirowań: w każdej sytuacji trzeba sobie jakoś radzić.

Ellen lubiła długie, obszerne spódnice i workowate, lniane koszule. Przekroczyła pięćdziesiątkę i sądząc ze stylu ubierania się, długich, siwych włosów i zamiłowania do indyjskich wisiorów, była hipiską-weteranką. Jeśli chodziło o zawiłości mojego stanu, okazała się wyjątkowo rzeczowa.

– Przeniosłaś się do obcego kraju, zawiesiłaś karierę zawodową, zostałam matką, a jednocześnie przez cały czas próbujesz się przyzwyczaić do małżeńskiego życia z człowiekiem, którego uczuć nie jesteś pewna... Do tego wszystkiego jeszcze ciężki poród, który był traumatycznym doświadczeniem i dla ciebie, i dla dziecka. A teraz zsumuj to wszystko i powiedz mi jeszcze raz, że robisz z igły widły.

– Chodzi tylko o to, że czuję się... nie wiem, jak to określić... nie dość dobra.

– W jakim sensie?

– W każdym.

Był to temat przewodni naszych rozmów – moje poczucie, że nie potrafię niczemu sprostać – wieczne zmartwienie miernej uczennicy (jaką byłam przez całe liceum i college), która zawsze czuła, że nie wykorzystuje swojego potencjału... która zawsze wszystko robiła zale dwie „dobrze”, ale nigdy „celująco”. I nie miało znaczenia, że pracowałam w dużej gazecie, że byłam zagranicznym korespondentem, że miałam świetną opinię i że uchodziłam za osobę bardzo pewną swojej pozycji zawodowej. W głębi duszy wiecznie dręczyły mnie wątpliwości i wiecznie zastanawiałam się, kiedy to wszystko się wyda.

– Ale nigdy się nie „wydało” – powiedziała Ellen Cartwright – bo byłaś zwyczajnie po prostu dobra w tym, co robiłaś.

– Próbujesz poprawić moją samoocenę.

– Owszem, masz rację, próbuję to zrobić. Powinnaś być dumna ze swoich osiągnięć. Mówisz o tym swoim „Boston Post”, jakby to była praca przy kasie w supermarkecie. Nie

widzisz, ile już osiągnęłaś?

– Widzę tylko kogoś, kto groził śmiercią swojemu dziecku.

Bardzo chciałam spojrzeć na wszystko inaczej, ale przez pierwsze dwa tygodnie terapii środkami przeciwdepresyjnymi wciąż czułam przerażenie na samą myśl o odwiedzinach u Jacka. I regularnie spowiadałam się z tego strachu zarówno Ellen, jak i doktor Rodale. A kiedy Tony zaczynał krążyć wokół tego tematu, odpowiadałam tylko: „Jeszcze nie mogę”.

Po dwóch czy trzech próbach Tony zorientował się, że nie jestem w stanie uporać się z tą kwestią, i przestał pytać. Nie wspominał już nawet o swoich wizytach u Jacka, choć wiedziałam, że zagląda na oddział dziecięcy za każdym razem, kiedy przychodzi do mnie.

Ale doktor Rodale pozostała tak samo bezpośrednia i moją niechęć do oglądania Jacka postrzegała tak, jak wcześniejszą niechęć do jedzenia: jako swego rodzaju płotek na bieżni, którego pokonanie będzie oznaczało kolejny krok w kierunku zdrowia... i wyraźny sygnał, że leki nareszcie zaczynają działać.

Powoli zaczynałam odczuwać... co? Spokój? Niezupełnie – bo wciąż przeżywałam chwile rozpaczliwego niepokoju. Chemiczny błogostan? Nie bardzo, skoro często musiałam się zamykać w łazience, żeby się wypłakać.

A co się tyczy poczucia winy...

– Na razie określiłabym pani postępy jako systematyczne i dające dobre rokowania – powiedziała doktor Rodale, kiedy zaczęłam trzeci tydzień terapii. – Je pani posiłki, pani nastrój się ustabilizował i znajduje pani sobie pozytywne zajęcia, jak czytanie i słuchanie muzyki...

Tak, ale pozory mogą mylić. Bo każdego ranka, kiedy otrząsałam się z narkotycznej śpiączki, świadomość tego, gdzie jestem (i powodów, dla których się tu znalazłam) zwałała się na mnie jak lawina. Potrzebowałam następnej dawki leków i godziny sam na sam z Glennem Gouldem w discmanie, by z trudem osiągnąć fałszywe poczucie spokoju.

Od pierwszego dnia mojego pobytu w szpitalu Sandy dzwoniła regularnie – początkowo tylko po to, by wypytywać pielęgniarki o mój stan. Kilka razy rozmawiała też z Tonym. Jakimś cudem wybił jej z głowy pomysł przyjazdu do Londynu, mówiąc jej, zgodnie z prawdą, że nie nadaję się do przyjmowania gości. Kiedy już sama zaczęłam z grubsza funkcjonować, powiedziałam jej, że nie jest to najlepszy moment na transatlantycką wizytę i delikatnie dałam do zrozumienia, że nie chcę, by mnie oglądała w takim stanie. Fakt, że najstarszy syn złamał sobie nadgarstek w wypadku rowerowym, utrzymał ją po tamtej stronie oceanu... ku mojej ogromnej uldze. Ale rozmawiałyśmy codziennie. Umówiłyśmy się na stałą godzinę (czwartą po południu w Londynie, jedenastą rano w Bostonie – kiedy miała półgodzinną przerwę między lekcjami). Dzwoniła na numer automatu w pokoju odwiedzin, na końcu mojego korytarza. Ponieważ nie była to pora wizyt, w sali nie było nikogo. Zarówno Ellen, jak i doktor Rodale uważały utrzymanie bliskiego kontaktu z rodziną za ważny element leczenia, więc przez te pół godziny każdego południa miałam telefon do wyłącznej dyspozycji.

Z początku Sandy zachowywała się, jakby sama potrzebowała dawki środków przeciw-

depresyjnych – a przynajmniej tak twierdził Tony, który osobiście zadzwonił do niej do Bostonu i zawiadomił ją, że trafiłam do szpitala.

Nawet kiedy ja sama zaczęłam z nią rozmawiać, jej niepokój był dla mnie oczywisty. I jak zwykle zdążyła już porozmawiać z każdym ekspertem od depresji poporodowej w Bostonie i okolicy. Jakby tego było mało, skontaktowała się z jakimś ważnym profesorem farmakologii z Uniwersytetu Harvarda, który podał jej wszystkie szczegóły na temat preparatu, jaki zażywam („To idealna dawka dla ciebie”). Skontaktowała się też telefonicznie z doktor Rodale („W końcu jesteś moją jedyną siostrą” – powiedziała, kiedy wyraziłam wątpliwości na temat takiej ingerencji w moje leczenie) i uznała, że lekarka jest chyba godna zaufania.

– O, jak najbardziej – powiedziałam podczas jednej z naszych pierwszych rozmów. – Pod warunkiem, że wypełnia się jej rozkazy.

– Przynajmniej nie posłała cię na elektrowstrząsy. Bo dowiedziałam się, że u nas używają tego jako ostatniej deski ratunku.

– Tutaj też to znają – odparłam, myśląc o biednej, otumanionej Agnes.

– Wygląda na to, że lekarze doprowadzili cię do jakiejś takiej równowagi.

– To chyba za wiele powiedziane.

– Uwierz mi, po historiach, które słyszałam...

Ale ja nie chciałam słuchać tych historii. Po prostu musiałam stąd wyjść.

– Powinnaś pozwolić, żeby sami zdecydowali – oświadczyła Sandy. Zaskoczyło mnie jej nowe podejście pod tytułem: „Angielscy lekarze wiedzą co robią”. – Ciągłe jesteś rozchwiana. Słyszę to.

A potem, jakby na potwierdzenie chwiejności całego świata, przyszły nowiny o Agnes. Minęły już prawie trzy tygodnie, od kiedy wyszła ze szpitala, i od tamtej pory miałam różne współlokatorki. Wszystkie bawiły na oddziale tylko chwilę i wszystkie traktowałam z uprzejmą nieufnością, używając discmana i czytadeł, by zachować dystans. Wolno mi było spacerować po przyszpitalnym terenie, kiedy miałam ochotę, więc raz dziennie zakładałam „cywilne” ubranie, które przywiózł mi Tony, i urządzałam sobie piętnastominutowy spacer po wewnętrznym dziedzińcu szpitala. Nie było to szczególnie piękne miejsce – betonowy czworobok ze spłachciem zieleni pośrodku, gdzie szpitalny personel wymykał się na papierosa. Krążąc po tym paskudnym wybiegu codziennie, przyłapywałam się na myśli, jak łatwo byłoby mi uciec – choć przecież siedziałam tutaj z własnej, nieprzymuszonej woli. Byłam pewna, że doktor Rodale namawiała mnie do tych codziennych spacerów, by wzmocnić moje poczucie, że nie jestem więźniem, i skłonić do akceptacji dobrowolnego odosobnienia – bo Ellen na pewno opowiedziała jej o moich fantazjach, do których przyznałam się kilkakrotnie podczas naszych sesji.

– Właściwie na czym polegają te fantazje? – zapytała Ellen, kiedy po raz pierwszy poruszyłam ten temat.

– To proste – odparłam. – Ubieram się i wychodzę na spacer. Ale zamiast iść na dziedziniec, wychodzę ze szpitala i idę na najbliższy postój taxi. Jadę do domu. Pakuję walizkę. Łapię paszport. Jadę metrem na Heathrow. Kupuję bilet na pierwszy lot do Bostonu, Nowego Jorku, Waszyngtonu czy nawet Filadelfii – gdziekolwiek, byle na Wschodnie Wybrzeże...

– A kiedy wysiadasz z samolotu w Stanach...?

Wzruszyłam ramionami.

Ellen uśmiechnęła się do mnie ze współczuciem.

– Wszyscy śnimy o ucieczce – powiedziała.

– Nawet ty?

– Każdy. Ale tobie ani na chwilę nie wolno zapomnieć o tym, że jesteś chora. Depresja to nie jest kara za to, że byłaś niegrzeczną dziewczynką ani oznaka słabej woli. To choroba, z której kiedyś się wyleczysz. W tej chwili jednak twój stan jest bardzo poważny. Tak poważny, że...

Zawahała się chwilę.

– Naradzałyśmy się z doktor Rodale, czy powiedzieć ci to, co właśnie zamierzam ci powiedzieć... ale uznałyśmy, że powinnaś raczej usłyszeć o tym od nas, a nie przypadkiem od kogoś na oddziale. Pamiętasz Agnes Shale, która dzieliła z tobą pokój, kiedy się tu znalazłaś?

– Coś się stało?

– Niestety tak. W zeszłym tygodniu Agnes rzuciła się pod pociąg metra i zginęła.

Zamknęłam oczy. Milczałam.

– Jej mąż twierdzi, że wszystko było w porządku mniej więcej przez pierwszy tydzień. Ale potem przestała brać leki. Podejrzewam, że nie najlepiej je znosiła. Wróciła bezsenność. Mąż zapewniał nas, że troskliwie zajmowała się synkiem i, przynajmniej na pozór, dobrze radziła sobie ze wszystkim.

Aż...

Ellen sięgnęła po szklanekę, stojącą na stoliku obok krzesła, i upiła łyk wody.

– Chcę, żeby jedna rzecz była absolutnie jasna – powiedziała. – I sama musisz to zrozumieć. Samobójstwa Agnes nie można jednoznacznie zrzucić na karb jej samowolnego wyjścia ze szpitala, zanim ktokolwiek z nas uznał, że jest na to gotowa. Depresja jest zawsze chorobą atypową, co znaczy, że jej rozwoju nie da się prześledzić ani przewidzieć. Wierz mi, nie próbuję zrobić z tej historii przypowieści pod tytułem: „Popatrz co się stanie, jeśli nas nie posłuchasz”. Chcę tylko wyraźnie zaznaczyć fakt, że wszyscy musimy być bardzo ostrożni, bo twoja równowaga w dalszym ciągu jest szalenie krucha. Ale z czasem wyzdro-

wiejesz.

Sandy zgodziła się z tym całkowicie, kiedy tego samego popołudnia opowiedziałam jej, co się przydarzyło Agnes.

– Twoja terapeutka ma rację. Przecież nie chcesz poddać się regresji.

Poddać się regresji? Moja kochana siostra znów naczytała się poradników.

Ale Ellen dobrze zrobiła, opowiadając mi tę historię, bo podziałała ona na mnie trzeźwiąco. Zdałam sobie sprawę, że muszę ostrożnie oceniać swój stan i tempo powrotu do zdrowia.

Brałam więc leki, trzy razy w tygodniu odbywałam sesję z Ellen i codziennie rozmawiałam z Sandy (która wciąż się odgrażała, że wskoczy w samolot i odwiedzi mnie, ale nie pozwalała jej na to finanse). A kiedy Tony musiał sobie odpuścić kilka wizyt z powodu jakiegoś globalnego kryzysu, zachowywałam stoicki spokój. Pod koniec czwartego tygodnia ustały napady płaczu, które do tej pory zdarzały się prawie codziennie. Kiedy się zważyłam, okazało się, że odzyskałam połowę z siedmiu kilo, które straciłam (i wystarczy!). Doktor Rodale pozwoliła mi zrezygnować z pigułek nasennych, bo przesypiałam spokojnie całe noce. Od czasu do czasu – kiedy tylko czułam, że znów zbaczam w stronę tego czarnego, nieodgadnionego bagna – udawało mi się jakoś przemknąć jego brzegiem i zawrócić na bardziej stabilny teren. Wciąż jeszcze jakaś siła popychała mnie w to grzęzawisko, ale wyglądało na to, że wreszcie zaczął działać mechanizm zabezpieczający – krucha bariera, która odgradzała mnie od krawędzi... przynajmniej na razie.

A któregoś dnia, w środku piątego tygodnia, obudziłam się rano, wzięłam swoje leki, zjadłam śniadanie i oświadczyłam dyżurnej pielęgniarce, że chciałabym zobaczyć Jacka. Nie skłoniło mnie do tej decyzji żadne nagłe przejaśnienie; żaden promień słońca, który przebił się przez zamglone okna mojego mózgu. I nie było to żadne nagłe objawienie, przedstawiające w nowym świetle uroki macierzyństwa.

Po prostu chciałam go zobaczyć.

Pielęgniarka nie klepnęła mnie po plecach i nie powiedziała: „Wspaniale... i najwyższy czas, dzięki Bogu”. Kiwnęła tylko głową, żebym poszła za nią.

Oddział dziecięcy miał ciężkie, wzmocnione, stalowe drzwi z potężnym zamkiem – uzasadniony środek ostrożności na oddziale psychiatrycznym.

Siostra wprowadziła kod i otworzyła drzwi. Na sali była aktualnie tylko czwórka dzieci. Jack leżał w pierwszym łóżeczku. Wzięłam głęboki oddech, by się uspokoić, i zajrzałam do środka.

Oczywiście urósł – co najmniej z piętnaście centymetrów. Ale najbardziej zaskoczył i uradował mnie fakt, że nie był już bezkształtnym noworodkiem, jak na początku, ale stał się prawdziwym małym człowieczkiem. Spał w najlepsze, i choć z początku wahałam się, czy wziąć go na ręce, siostra zachęciła mnie gestem. Więc z największą ostrożnością sięgnęłam do łóżeczka i przytuliłam go do siebie. A on, zamiast się rozplakać, otarł się główką o moją

głowę. Pocałowałam go, wdychając dzidziusiowy zapach pudru i oliwki, który wciąż czułam po tyłu tygodniach. Trzymałam go na rękach bardzo długo.

Tego wieczoru zapytałam siostrę Patterson, czy może zostać przeniesiony do mojego pokoju. Kiedy Tony przyszedł w odwiedziny, zdumiał się, widząc, jak karmię Jacka z butelki.

– No proszę... – powiedział.

– Tak – odparłam. – No proszę.

Wiść o moim nawrocie matczynych uczuć szybko się rozeszła. Następnego popołudnia doktor Rodale, cała w skowronkach, powiedziała mi, że „to naprawdę wspaniała wiadomość”, choć naturalnie ostrzegła mnie, że w dalszym ciągu muszę traktować każdy nowy dzień z ostrożnością i pamiętać, że nic nie jest oczywiste w wypaczonym krajobrazie depresji.

Z kolei Ellen próbowała mnie skłonić, bym skoncentrowała się na jednym istotnym fakcie:

– Jack nie będzie pamiętał niczego z całego tego okresu.

– Szczęściarz – powiedziałam.

– I myślę, że kiedy już całkowicie wyzdrowiejesz, zaczniesz sobie wybaczać... choć oczywiście moim zdaniem nie ma tu czego wybaczać.

Przetrzymali mnie na oddziale jeszcze dwa tygodnie. Minęły szybko – tym szybciej, że całe dni spędzałam teraz z Jackiem. Na noc odnosili go na dziecięcy oddział (bo doktor Rodale upierała się, że muszę się dobrze wysypiać), ale przynosili go rano, zaraz po moim przebudzeniu – więc kiedy i on się budził, byłam przy nim, by go przewinąć i nakarmić. I był ze mną do samego wieczoru. Zaczęłam go nawet zabierać na spacer po szpitalnym dziedzińcu. I nie licząc nocy, rozłączałam się z nim tylko na czas sesji z Ellen, trzy razy w tygodniu.

– Właściwie wszyscy uważamy, że niedługo będziesz mogła wrócić do domu – powiedziała Ellen na początku siódmego tygodnia. – Pytanie tylko, czy ty sama czujesz się gotowa.

Wzruszyłam ramionami.

– Kiedyś będę musiała stąd wyjść.

– Rozmawiałaś z mężem na temat ewentualnego zatrudnienia kogoś do pomocy przy dziecku?

Prawdę mówiąc, Tony sam poruszył ten temat. Przypomniał mi, że zanim trafiłam do szpitala, znalazł agencję z Battersea, Nianie Ani, i zapytał, czy chciałabym się z nimi skontaktować. I choć powiedziałam Ellen, że oczywiście zastanowię się nad taką możliwością, przede wszystkim chciałam spróbować, czy dam radę zajmować się Jackiem bez pomocy –

jakby zatrudnienie niani było kolejnym dowodem mojej nieporadności... tym bardziej, że w tej chwili nie pracowałam, a Jack przechodził fazę, kiedy dziecko przesypia większą część dnia. Napisałam więc liścik do naszej sprzątaczkę, Cha, pytając, czy mogłaby dodatkowo przychodzić trzy razy w tygodniu przed południem i popilnować Jacka, by dać mi chwilę wytchnienia od pieluch i butelek. Tony'emu spodobał się ten plan, szczególnie że wyniosłoby nas to tylko jedną trzecią kosztu zatrudnienia pełnoetatowej niani. Ellen jednak podeszła do tego sceptycznie.

– Jeśli możecie sobie na to pozwolić, naprawdę powinniście pomyśleć o wynajęciu pomocy na stałe – powiedziała. – Nie wyszłaś jeszcze całkowicie na prostą...

– Idzie mi świetnie – odparłam.

– Oczywiście. Zrobiłaś ogromne postępy, ale przecież stać was chyba na miesiąc czy dwa z nianią na cały dzień, dopóki nie osiągniesz etapu...

Kiedy oznajmiłam jej, że z łatwością poradzę sobie z opieką nad synem, tym bardziej, że jest jeszcze w „niemobilnej” fazie rozwoju, powiedziała:

– Coś mi się zdaje, że wciąż czujesz się winna. Prawda? I nadal sądzisz, że musisz udowadniać światu, jaką jesteś kompetentną matką.

Wzruszyłam ramionami, ale nie powiedziałam nic.

– Powtarzam ci od samego początku naszych sesji i powtórzę jeszcze raz: nie ma nic złego w przyznaniu się, że nie radzisz sobie w pewnych sytuacjach...

– Ale teraz już sobie radzę.

– I nikt nie twierdzi inaczej. Tyle że przebywasz w kontrolowanych, szpitalnych warunkach, gdzie masz zapewnione wszystkie posiłki, gdzie ktoś inny zmienia pościel i przygotowuje mieszankę dla Jacka, i zajmuje się nim, kiedy śpisz...

– Gospościa będzie mogła robić większość tych rzeczy za mnie, z wyjątkiem nocnych dyżurów. A jeśli znów zacznę zarywać noce przez Jacka, zawsze przecież mogę się zdrzemnąć, kiedy ona będzie w domu.

– W porządku, bardzo możliwe... ale odnoszę wrażenie, że robisz sobie wyrzuty z powodu...

– Czy Agnes czuła się winna, że...?

Ellen przyjrzała mi się uważnie.

– Że co?

– Że zawiodła syna i męża.

– Nie mogę ci opowiadać o innej pacjentce. Często o niej myślisz?

– Przez cały czas.

– Polubiłyście się, kiedy mieszkaliście razem?

– Nie bardzo. Byłam przecież kompletnie niekontaktowa. Ale... oczywiście, że dużo o niej myślę. Bo...

Głos mi się załamał, Ellen zapytała więc:

– Bo zastanawiasz się, czy sama nie skończysz pod pociągiem metra?

– Tak – odparłam. – Właśnie nad tym się zastanawiam.

– Więc powtórzę to, co już ci kiedyś mówiłam. Agnes wyszła stąd, choć wszyscy uważaliśmy, że nie jest jeszcze gotowa. Ale ty wychodzisz z naszą aprobatą. Bo uważamy, że jesteś gotowa zmierzyć się z życiem.

– Chcesz powiedzieć, że to tutaj to nie jest życie?

Po raz pierwszy, od kiedy zaczęłyśmy nasze sesje, udało mi się rozśmieszyć moją terapeutkę.

Ale zanim odesłali mnie z powrotem do „życia”, odbyłam jeszcze długą sesję z doktor Rodale, której główną troską było ustalenie odpowiedniej dawki leków. Wypytała mnie więc dokładnie o pory snu, dietę, huśtawki nastroju, poczucie spokoju, poczucie niepokoju, pewność siebie w kontaktach z Jackiem, pewność siebie w kontaktach z Tonym.

– Uważam, że mąż znów zacznie się zachowywać jak przedtem, kiedy tylko będę w domu... skoro wróciłam już do normy.

– A to uczucie zapadania się, które tak często pani opisywała... jak pani to nazywała...?

– Czarne grzęzawisko.

– Tak. Czarne grzęzawisko. Czy często czuje pani, że wciąga panią z powrotem?

– Tylko kiedy poprzednia dawka leków przestaje działać.

Kiwnęła głową i powiedziała, że odrobinę zwiększy mi dawkę, by wyeliminować te zachwiania.

– Czy to znaczy, że w najbliższej przyszłości będę cały czas na lekach? – zapytałam.

– Na to wygląda. Ale skoro pomagają one pani radzić sobie z życiem...

A więc tym się teraz stałam: kobietą, która potrzebuje pomocy, by poradzić sobie z życiem...

Mimo wszystko doktor Rodale zakończyła naszą sesję stwierdzeniem, że jest naprawdę zachwycona moim szybkim powrotem do zdrowia.

– Takie przypadki jak pani pozwalają zrównoważyć...

Przypadki takie jak Agnes?

W końcu doktor Rodale powiedziała mi, że mogę wracać do domu, kiedy tylko będę gotowa.

Tak więc następnego ranka, około dziesiątej rano, Tony przyjechał po mnie samochodem. Siostry Patterson nie było akurat na dyżurze, ale podziękowałam jej poprzedniego wieczoru. Podziękowałam też Ellen i doktor Rodale – z tą drugą umówiłam się na wizytę za dwa tygodnie, by przedyskutować przebieg mojego romansu z środkami przeciwdepresyjnymi. Ellen zaproponowała mi możliwość kontynuowania naszych spotkań. Wzięłam jej numer i powiedziałam, że o tym pomyślę. Kiedy wspomniałam o tym Tony’emu, powiedział:

– Cóż, jeśli chcesz płacić komuś, żeby mu opowiadać, jakim jestem fatalnym mężem, to proszę bardzo.

Zdanie to wypowiedziane było tonem żartobliwym, ale wyczułam w nim również ślad poczucia winy. I oczywiście zrobiło swoje, przenosząc całe poczucie winy na moje barki, bo nie chciałam jeszcze bardziej nadwierać rodzinnego budżetu, płacąc siedemdziesiąt funtów za godzinę psychoterapii. Mój stan się ustabilizował. Leki działały. A jeśli miałabym ochotę się wygadać, zawsze znalazłabym Sandy na drugim końcu transatlantyckiej linii telefonicznej. Byłam pewna, że wszystko będzie dobrze.

Po pięciu dniach Tony wrócił jednak do swoich starych nawyków.

Muszę przyznać, że Jack był wspaniały: w ciągu pierwszych dni w Putney zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen. Sypiał po pięć godzin bez przerwy. Wypijał pięć butelek. Nie narzekał na obsługę, na nowe łóżeczko, na nieznanne otoczenie. Tony zdawał się lubić jego towarzystwo i nawet trochę mi pomagał: sterylizował butelki, przygotowywał mieszankę, a nawet ze dwa razy zmienił Jackowi pieluchę. Co prawda nie zastąpił mnie w nocy, kiedy Jack obudził się o trzeciej nad ranem... ale następnego dnia po południu nalegał, żebym się zdrzemnęła, a on popilnuje małego.

Ale po upływie tych pierwszych pięciu dni musiał wracać do redakcji – i od tej chwili zaczął się od nas separować. Wracał późno: o dziewiątej, dziesiątej, nawet o jedenastej. Pewnej nocy, kwadrans po pierwszej, zadzwonił do mnie z Groucho Club i oznajmił, że trochę przedłużyła mu się kolacja z jakimiś kolegami z „Chronicie”.

– Dobra, nie ma sprawy – powiedziałam. – Zresztą Jack jest dziś tak marudny, że pewnie też nie będę jeszcze spać, kiedy wrócisz.

Kiedy wtoczył się do domu o piątej, rzeczywiście nawet nie marzyłam o spaniu – bujałam Jacka na kolanach, próbując odwrócić jego uwagę od wyjątkowo paskudnego ataku kolki, i oglądałam CNN. Tony wrócił pijany.

W sztok. I nie był sympatyczny.

– Jesteś moją matką, czy co...? – zapytał, wpatrując się we mnie pogardliwie, choć wy-

rażnie miał kłopoty z ostrością wzroku.

– Po prostu siedziałam z Jackiem – odparłam, usiłując zachować spokój i opanowanie.

– Ale ja nie jestem twoim dzieckiem, do cholery – wybełkotał. – I nie... powtarzam, nie życzę sobie... naprawdę, twój pieprzony tupet, żeby tak na mnie czekać, jakbym poszedł na wagary...

– Tony – powiedziałam cicho – idź do łóżka.

– Nie będziesz mi mówić...

– Idź do łóżka.

Gapił się na mnie nieprzytomnie, zamglonym wzrokiem. W końcu odwrócił się i wtoczył po schodach. Niedługo później Jack nareszcie wymiękł.

Zaniosłam go do pokoju dziecinnego i wróciłam do sypialni. Mój mąż leżał twarzą w dół; jego bezwładnie rozwalone ciało zajmowało całą powierzchnię łóżka. Narzuciłam na niego koc, odłączyłam baby-alarm i zabrałam go ze sobą na górę, do gabinetu Tony’ego, gdzie rozłożyłam sofę, wyjęłam kołdrę, opatuliłam się nią i zasnęłam.

Obudziło mnie światło i obecność Tony’ego, podsuwającego mi filiżankę kawy. I choć potrzebowałam chwili, by odzyskać ostrość widzenia, zauważyłam, że wygląda okropnie. Dręczył go straszliwy kac – i straszliwe wyrzuty sumienia.

– Chyba jestem ci winien pokorne przeprosiny – powiedział.

– Byłeś pijany – odparłam dobrotliwie, co było idiotyczne.

– Zachowałem się jak zwierzę.

– Dziękuję za kawę. – Uśmiechnęłam się słodko.

Jednym z najbardziej intrygujących aspektów życia z lekami przeciwdepresyjnymi był fakt, że z czasem wygładzały one wszystkie ostre krawędzie, wszystkie twarde, emocjonalne kanty i dawały poczucie zdumiewającego spokoju w obliczu każdego świństwa, którym obzuca człowieka życie.

Doktor Rodale miała rację – ich działanie kumulowało się. Choć jeszcze w szpitalu zaczęłam zauważać coraz silniejsze zmiany, ich dobroczynny, uspokajający efekt tak naprawdę ujawnił się dopiero teraz, kiedy znalazłam się z powrotem w przysłowiowym „zaczysku domowym”. Ale najbardziej zdumiało mnie to, w jaki sposób leki łagodziły moją naturalną wojowniczość, odruchową potrzebę odgryzania się w każdej sytuacji. I nie było to tak, że nagle zostałam przeprogramowana na odczuwanie automatycznej, bezwarunkowej szczęśliwości. Czułam się raczej, jakbym znalazła się w jakimś rozleniwionym, tropikalnym kraju, gdzie życie toczyło się według jednej, generalnej zasady: kogo to obchodzi? Nie mieszkałam już w południowym Londynie; wylegiwałam się na plaży na jakiejś superrelaksowej, tonącej w oparach gandzi wyspie, której mieszkańcy witają wszelkie dole i niedole życia leniwym

wzruszeniem ramion.

No dobrze, może trochę przesadzam – ale naprawdę leki znieczuliły tę część mojego mózgu, w której mieszkał gniew i zawziętość. Dawniej, gdyby Tony wturlał się pijany do domu i tak mnie potraktował, na pewno nie przebaczyłabym mu po jednym bełkotliwym, skacowanym „przepraszam”.

A teraz przyjęłam kawę, niezdarny pocałunek w czoło i nerwowy, skruszony ton.

Ale nie tylko leki sprawiały, że wybaczyłam tak łatwo. W głębi duszy, podświadomie bałam się okazać gniew – bałam się, że zostanie on potraktowany jako sygnał zachwiania mojej równowagi psychicznej. Zresztą biorąc pod uwagę moje zachowanie przed pobytem w szpitalu, musiałam dać Tony’emu trochę swobody i czasu na przyzwyczajenie się do naszej obecności w domu. Faktycznie, przez następne dwa tygodnie zachowywał się wzorowo, choć jak na mój gust był trochę za bardzo zapracowany. Nie było więcej pijackich imprez do piątej nad ranem, ale często zatrzymywano go w redakcji do dziewiątej czy dziesiątej – i oczywiście powieść pisała się dalej (przynajmniej tak mówił). A to oznaczało, że przeważnie około północy żegnał się ze mną i zniknął na górze.

Nie narzekałam. Jechałam sobie po wygładzonej farmakologicznie linii najmniejszego oporu. Kiedy Tony miał ochotę dzielić ze mną łóżko (mniej więcej dwa razy w tygodniu) i kochać się ze mną, byłam zadowolona. Kiedy „musiał” zostać do późna w „Chronicie” albo schować się na górze, akceptowałam to. Byłam wdzięczna, że udało się nam powoli wypracować jakiś stopień rodzinnej równowagi i że ja sama nie odchyłam się już od pionu.

Kolejnym ciekawym zjawiskiem w powolnym procesie wydobywania się z depresji jest pragnienie rutyny. A zajmowanie się dzieckiem to właśnie rytmiczne, powtarzalne czynności: karmienie, zmiana pieluchy, zwyczajowe odbicie po butelce, bujanie do snu, bycie pod ręką na każde zawołanie, kolka, kolejne karmienie, kolejna zmiana pieluchy, odbicie po butelce...

Mówiąc w skrócie, byłam zachwycona swoim synem. Zniknął koszmarny strach, że nie poradzę sobie z najprostszymi czynnościami, nie mówiąc już o lęku, który dręczył mnie po porodzie, że zrobię mojemu dziecku krzywdę.

Wręcz przeciwnie – uwielbiałam teraz jego towarzystwo, zachwycałam się, kiedy małe rączki ścisnęły mój palec, kiedy wtulał się we mnie, gdy trzymałam go na rękach, i to, że tak cudownie łatwo go rozśmieszyć.

– Wygląda na to, że bardzo się ze sobą zżyliście – powiedziała Sandy, kiedy opowiedziałam jej, jaką przyjemność sprawia mi przebywanie z Jackiem.

– On jest po prostu niesamowity – odparłam.

– Wspaniale słyszeć, że wszystko się jakoś ułożyło. Pewnie ci ulżyło, co?

– No, odrobinę. – Roześmiałam się.

Ponieważ nie szukałam chwilowo intelektualnych ani zawodowych wyzwań – i bardzo

chciałam utrzymać ten stan głębokiej równowagi – akceptowałam ten swój „ograniczony” tryb życia z pewną dozą ulgi. Cha pomagała mi w domu codziennie od dziewiątej do dwunastej i okazało się, że naprawdę doskonale potrafi zająć się Jackiem. Zabawiała go, kiedy ja nadrabiałam zaległości w spaniu albo szłam na spacer ścieżką holowniczą. Dbała o jego ubranka, porządkowała przybory i zabawki i dawała mi niezbędne trzy godziny wytchnienia od macierzyńskich obowiązków – do których po przerwie wracałam z prawdziwą radością.

Pewnego ranka, siedząc w Coffee Republic na High Street nad filiżanką cafe latte, patrząc na inne mamy z wózkami siedzące wokół i obserwując przez okno nijaki, monokulturowy tłum przelewający się główną arterią komunikacyjną Putney, pomyślałam nagle: to jest teraz moje życie.

A nowoangielska, stoicka dusza argumentowała: udało ci się wydobyć z głębokiego, depresyjnego bagna. Doszłaś do siebie – chwiejnie bo chwiejnie, ale jakoś funkcjonujesz. Wygląda na to, że osiągnęłaś entente cordiale ze swoim mężem. Masz syna, z którym jesteś głęboko związana. Pewnego dnia zaczniesz szukać sposobu, by wrócić do pracy. Ale tymczasem...

To jest moje życie.

A mogło być o wiele gorsze, mogły mnie spotykać prawdziwe nieszczęścia.

Jak moją biedną siostrę Sandy. Zadzwoiła do mnie następnego dnia, późnym wieczorem, zachłystując się łzami. Jej były mąż, Dean, zginął w wypadku podczas wspinaczki na Mount Kathadin w północnym Maine. Pracował jako przewodnik. Zginął, prowadząc grupę przez wyjątkowo ryzykowny fragment szlaku, zwany Ostrzem Noża – bo wyglądał on właśnie tak: wąska półka skalna, zawieszona nad głęboką przepaścią. Dean przechodził tamtędy co najmniej kilkadziesiąt razy i był doświadczonym alpinistą, ale gwałtowny podmuch wiatru zepchnął go z krawędzi. Jego ciało znaleziono kilka godzin później – skrzyżony kark, wgnieciona czaszka. Natychmiastowa śmierć.

– Pewnie nawet nie wiedział, co się z nim dzieje.

Pomyślałam, że skoro spadał prawie trzysta metrów, na pewno zdawał sobie sprawę, co się z nim dzieje i że jego życie zaraz się skończy. Ale nie powiedziałam tego.

– Głupi gnojek – wyszłochała Sandy. – Zawsze go ostrzegałam przed tą cholerną górą. Pamiętasz? Wleźliśmy na nią w czasie miesiąca miodowego...

Owszem, pamiętałam – i zawsze uważałam, że to dziwny sposób na uczczenie ślubu. Sandy była osobą, która, jeśli tylko mogła, unikała nawet schodów, ale Dean zawsze lubił się wspinać, a ona była w nim zakochana na zabój. Z miłości człowiek potrafi robić rzeczy, które zupełnie nie leżą w jego naturze – jak na przykład chodzenie po górach.

– Wiesz, co mnie najbardziej wkurza? Ten jeden raz, kiedy razem weszliśmy na Kathadin, urządziłam prawdziwe przedstawienie przy Ostrzu Noża.

Zarzekałam się, że tamtędy nie przejdę, że to przerażające miejsce i że będzie mnie musiał zostawić, bo utknę na środku szlaku. I wiesz, co wtedy powiedział? „Nigdy i nigdzie cię

nie zostawię”. A ja mu oczywiście uwierzyłam.

Znów zaczęła płakać, mówiąc, że chłopcy bardzo ciężko to przeżywają, a dziewczyna Deana jest zdruzgotana. Nigdy nie miałam okazji poznać tej kobiety, ale nie lubiłam jej, bo była „tą złą”, która rozbiła małżeństwo. Teraz jednak było mi jej rozpaczliwie żal, tym bardziej, że kiedy wydarzył się wypadek, była na końcu grupy i widziała, jak spada.

No i moja Sandy – szlochająca bez opamiętania z powodu śmierci mężczyzny, którego jeszcze kilka tygodni temu nazywała „swoim pieprzonym ex”. Ale tak już chyba bywa z rozwodami. Nagle okazuje się, że nienawidzisz człowieka, wokół którego koncentrował się kiedyś cały twój świat.

I czasem przyłapujesz się na myśli, czy ta cała nienawiść nie bierze się z faktu, że tak naprawdę nadal go kochasz.

Sandy oznajmiła mi, że pogrzeb ma się odbyć za trzy dni.

– Przyjadę – powiedziałam natychmiast. Próbowала mi wmawiać, że nie Jestem jeszcze w formie, by lecieć na drugą stronę Atlantyku, że jej synowie wspierają. Ale wiedziałam, że trzech chłopcy, z których najstarszy nie ma Jeszcze dwunastu lat, sami będą potrzebowali wsparcia przez te straszne dni. Powiedziałam więc, że dam sobie radę i obiecałam zadzwonić za kilka godzin.

Tony okazał ogromne współczucie, kiedy przekazałam mu nowiny. Wręcz nalegał, że- bym leciała. Obiecał, że poprosi swoją sekretarkę, by mi zarezerwowała bilet do Bostonu i zasugerował, żebym zadzwoniła do Nian Ani i zapytała, czy znajdą mi kogoś, kto zająłby się Jackiem dwadzieścia cztery godziny na dobę przez te cztery czy pięć dni.

– Ale to będzie kosztowało majątek – powiedziałam.

– To sytuacja awaryjna. A Sandy jest naszą rodziną – odparł.

Ale zanim skontaktowałam się z agencją, zadzwoniłam do doktor Rodale.

Szczęśliwie złapałam ją w jej prywatnym gabinecie na Wimpole Street.

W poprzednim tygodniu byłam u niej na krótkiej konsultacji w szpitalu, i wydawała się bardzo zadowolona z moich postępów. Nie dość zadowolona, żeby zmniejszyć mi dawkę leków, ale wystarczająco pewna stabilności mego stanu, by puścić mnie w podróż przez Atlantyck.

Tego dnia Cha przyszła do pracy i kiedy wspomniałam jej, że wyjeżdżam z kraju na trzy dni i muszę znaleźć stałą nianię, zaoferowała się, że posiedzi z Jackiem za sto funtów za dobę. Zatrudniłam ją z miejsca. Po południu przeniosłyśmy do pokoju dziecinnego jedno z pojedynczych łóżek z sypialni dla gości, żeby Cha mogła spać z Jackiem. Tony był chyba zadowolony z takiego rozwiązania – tym bardziej, że oznaczało to sporą oszczędność, nie mówiąc już o uniknięciu obecności obcej osoby w domu. Nie musiałam się też oddawać zwyczajowym fantazjom na temat męża pozostawionego sam na sam z nianią, jako że nawet pijany w sztok, Tony nie przystawiałby się do pięćdziesięcioletniej tajskiej sprzątaczk.

Otrzymawszy zielone światło od doktor Rodale i mając opiekę dla Jacka, dwa dni później wsiadłam do samolotu linii Virgin, lecącego do Bostonu.

Na lotnisku czekała mnie spora niespodzianka, bo okazało się, że Tony zabukował mi miejsce w lepszej klasie, zwanej premium economy. Zaraz po odprawie zadzwoniłam do jego gabinetu:

– Czyś ty zwariował... oczywiście w jak najlepszym tego słowa znaczeniu?

– A co, nie cieszysz się?

– Oczywiście że się cieszę. Tylko jestem przerażona na myśl o kosztach.

– Nie było tak źle, naprawdę. Raptem trzy stówki więcej niż zwykła economy.

– Mimo wszystko, to mnóstwo pieniędzy.

– Jesteś rekonwalescentką po ciężkiej chorobie, a powinnaś być w formie, bo czekają cię trudne dni. Sandy będzie potrzebowała twojego wsparcia.

– Strasznie ci dziękuję.

– Nie musisz. To najmniej, co mogłem...

Nie mogłam się zorientować, czy nagle został odciągnięty od telefonu, czy po prostu brakło mu słów.

– Tony, jesteś tam? – zapytałam.

– Przepraszam, przepraszam, muszę...

Kolejna dziwna pauza. Moja komórka najwyraźniej znów płatała mi figle.

– Słuchaj, muszę kończyć – powiedział.

– Wszystko w porządku?

– Tak, tak... tylko wołają mnie na zebranie.

– Opiekuj się naszym wielkoludem – powiedziałam.

– Bez obaw. Miłej podróży. I zadzwoń wieczorem, jak wylądujesz.

– Zadzwonię.

– Kocham cię – powiedział.

Kilka godzin później, w połowie drogi przez Atlantyckie, uderzyło mnie, że Tony wyznał mi miłość po raz pierwszy od...

Nawet nie pamiętałam, kiedy ostatni raz powiedział mi, że mnie kocha.

Następne trzy dni były koszmarem. Moja siostra była w kompletnej rozsypce. Trzej siostrzeńcy prezentowali rozmaite stadia niezrozumienia sytuacji i rozpacz. Na pogrzebie układ sił był co najmniej nierówny – po jednej stronie kościoła siedziałam ja, Sandy i dzieci, a po drugiej rodzina Deana, Jeannie (Jego nowa miłość), jej rodzina i cała banda opalonych, muskularnych osobników, którzy wyglądali na członków Sierra Club (klubowa flaga okrywała trumnę Deana). Choć po pogrzebie rodzice Deana spędzili chwilę ze swoimi wnukami, wszyscy starannie unikali Sandy i jej młodszej, oszołomionej lotem i nakręconej lekami siostry. Cały ten dzień był gehenną, tym gorszą, że ze względu na leki nie wolno mi było wziąć do ust nawet kropli alkoholu. A Bóg mi świadkiem, to była jedna z tych okazji, kiedy człowiek naprawdę potrzebuje drinka. Zawsze była dla mnie niepojęta zajadła małostkowość niektórych rodzin... nawet w obliczu tak bolesnego wydarzenia, jak przypadkowa śmierć. Nasza tymczasowa egzystencja jest tak krucha – i każda śmierć przypomina nam o tym istotnym fakcie. A jednak wiele z czasu, jaki jest nam dany, spędzamy na niekończących się konfliktach i efemeryczność życia znika nam z oczu. A może właśnie dlatego, że podświadomie odczuwamy ulotną, chwilową naturę wszystkich naszych działań, usiłujemy im nadać znaczenie poprzez konflikt? Czy naprawdę jesteśmy tak głupi, tak nedorzeczni?

Kiedy wieczorem wróciliśmy do domu Sandy, chłopcy byli tak wykończeni, że natychmiast padli do łóżek. A gdy zasnęli, Sandy usiadła na kanapie obok mnie i kompletnie się rozkleiła. Tuliłam ją, a ona szlochała na moim ramieniu. Płakała prawie kwadrans bez przerwy. Łzy wreszcie się wyczerpały, otarła więc oczy i powiedziała:

– Ten skurczybyk złamał mi serce.

Siedziałyśmy tej nocy do późna i gadały bez końca. Poprzedniego dnia do Sandy zadzwonił prawnik z informacją, że cały swój majątek (choć nie było tego wiele, z wyjątkiem polisy na życie wartę dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów) Dean zostawił swojej dziewczynie. Co oznaczało, że Sandy, która i tak miała finansowe problemy, została praktycznie na lodzie – bo te marne siedemset pięćdziesiąt dolarów miesięcznie, jakie Dean płacił na utrzymanie dzieci, stanowiło ważną część jej domowego budżetu. Nie wiedziałam, co powiedzieć; jedyne, co mi przyszło do głowy, to że gdybym sama miała dość forsy, przysyłałabym jej co miesiąc czek na taką sumę.

– Masz dość własnych kłopotów – odparła Sandy.

W tej chwili, jak na zawołanie, zadzwonił z Londynu Tony. Zerknęłam na zegarek. Siódma wieczór w Bostonie, północ w Londynie. Ku mojej ogromnej uldze chciał tylko zapytać, jak się miewam, i zawiadomić, że z Jackiem wszystko w porządku. Rozmawialiśmy już podczas poprzednich wieczorów i za każdym razem Tony wyrażał szczerą troskę o samopoczucie Sandy i wypytywał mnie, jak się czuję. Tym razem złożył mi też sprawozdanie na temat Cha („Radzi sobie ze wszystkim doskonale, chociaż w ogóle się nie uśmiecha”) i chciał wiedzieć, jak przebiegł pogrzeb. Rozmawiał ze mną swobodnie, otwarcie. Kiedy podałam mu szczegóły powrotnego lotu („Przyślę po ciebie samochód na lotnisko”), wspomniał, że jutro rano musi na jeden dzień skoczyć do Paryża. Jakaś konferencja ministrów spraw zagranicznych państw G7 czy coś w tym stylu. Miałam się nie martwić, Cha wie już o wszystkim, a on wróci ostatnim wieczornym pociągiem Eurostar i przywita mnie

w domu następnego ranka.

Kiedy odłożyłam słuchawkę, Sandy powiedziała:

- Wygląda na to, że dobrze się wam układa.
 - Tak. To zdumiewające, jak zbawienny wpływ na chwiejne małżeństwo mają środki przeciwdepresyjne.
 - Nie tylko leki cię z tego wyciągnęły. Sobie też powinnaś podziękować.
 - Za co? Za to, że kompletnie się rozpadłam i wyładowałam na oddziale psychiatrycznym?
 - To była choroba...
 - Wszyscy mi to w kółko powtarzają.
 - Najgorsze masz już za sobą.
 - To też mi wszyscy powtarzają.
 - I Tony zachowuje się jak należy.
 - Wydaje mi się, że wypracowaliśmy coś w rodzaju zawieszenia broni.
 - Znam wiele małżeństw, które nie mogą tego o sobie powiedzieć.
 - Na przykład twoje i Deana?
 - Szło nam całkiem nieźle... a przynajmniej ja tak myślałam. Dopóki nie poszedł za głosem natury.
 - Może on...
 - Co? Nie mógł znieść, że się roztyłam?
 - Przestań.
 - Ale to prawda – Nie. Prawdą jest, że chyba potrzebował odrobiny przygody w życiu.
- Spojrzała na mnie pytająco.
- Przygody? Nie rozumiem.
 - Mógł być absolutnie zadowolony z ciebie i chłopców. Ale potem napatoczyła się ta kobieta i...
 - I co?

– Może dostrzegł okazję przeżycia przygody. Nowe życie w lesie. Bardzo romantyczne, dopóki nie przekonasz się, że ciągnięcie grup turystów tam i z powrotem na tę samą górę też może się stać nudne. A „nuda” to coś, czego najbardziej boimy się w życiu... myślę, że nawet bardziej niż śmierci. Bo wtedy widać wyraźnie, że wszystko to jest bez celu. I dlatego nie należy nigdy lekceważyć ludzkiej potrzeby przygód, bo dzięki niej wierzymy, że zamiast grzęznąć w zwykłych, codziennych sprawach, jesteśmy gwiazdami hollywoodzkiej superprodukcji, nakręconej według naszego własnego scenariusza.

Sandy przyjrzała mi się uważnie.

– To jak się nazywają te leki, które zażywasz?

Oczywiście łyknęłam przepisane dwie pigułki, kiedy obudziłam się następnego ranka. Zadzwoiłam do domu. Nikt nie odbierał, więc założyłam, że Cha wzięła Jacka na spacer. Zadzwoiłam na komórkę Tony’ego, tak tylko, żeby się przywitać, ale połączyłam się z pocztą głosową.

– Wiem, że jesteś w Paryżu – powiedziałam – więc tylko chciałam ci powiedzieć bonjour. Nie mogę się już doczekać, kiedy wrócę do domu i was zobaczę.

Popołudnie spędziłam z Sandy w centrum handlowym; kupiłam kilka dziecięcych ciuszków i szarpnęłam się nawet na podrabianą skórzaną kurtkę dla Tony’ego. W porze lunchu łyknęłam kolejne dwie pigułki, a dwie następne wieczorem na Logan Airport, tuż po pożegnaniu z Sandy, która oczywiście znów miała mokre oczy, wyprawiając młodszą siostrę w nieznane kraje.

– Przetrwasz to jakoś – powiedziałam jej. – Nie masz wyjścia.

Przed wejściem na pokład podeszłam jeszcze do automatu i zadzwoniłam do domu, w nadziei, że skontaktuję się z Cha, zanim się położy (oczywiście zakładając, że Jack nie dał jej spać). Ale nikt nie odebrał. Spojrzałam na zegarek: siódma piętnaście w Bostonie, tuż po północy w Londynie. Widocznie jednak Jack był tej nocy grzeczny i zdążyła zasnąć.

Ja zrobiłam dokładnie to samo, kiedy już usadowiłam się w wielkim fotelu klasy premium economy, dziękując w duchu Tony’emu za ten spontaniczny akt szczodroblewości. Kiedy byliśmy już w powietrzu, wetknęłam korki w uszy, odcięłam się od świata opaską na oczy i po napięciu ostatnich kilku dni z ulgą zapadłam w głęboki sen.

A potem byliśmy w Londynie i zgodnie z zapowiedzią Tony’ego w hali przylotów czekał na mnie kierowca taksówki. Pokonaliśmy Atlantyk wyjątkowo szybko i wylądowaliśmy czterdzieści minut przed czasem. Tak więc o szóstej czterdzieści pięć mknęłam już M4, opierając się pokusie, by zadzwonić do domu, w obawie, że obudzę Tony’ego albo Cha.

Dotarliśmy do Putney w rekordowym tempie – raptem pół godzinki od wyruszenia z lotniska. Kierowca zaniósł mi walizkę pod drzwi. Wyjęłam klucz i otworzyłam je najciszej, jak się dało. Weszłam do środka. I natychmiast zorientowałam się, że coś jest nie tak. Z przedpokoju zniknął zbiór oprawionych, zabytkowych zdjęć starego Kairu, który Tony przywiózł z Egiptu.

Może postanowił je powiesić gdzie indziej...

Ale idąc schodami do pokoju dziecinnego, zerknęłam w bok, do salonu.

I stałam jak wryta. Niemal wszystkie półki na książki były puste; nie było też obszernej kolekcji płyt CD Tony'ego i wymyślnej, drogiej wieży, którą zafundował sobie niedługo po wprowadzeniu tutaj.

Mieliśmy włamanie.

Pobiegłam na górę, wołając Tony'ego. Otworzyłam drzwi pokoju Jacka.

Pusto. Nie było niczego: łóżeczka, kojca, przenośnego fotelika, nie było Jacka. Stałam na środku pustego pokoju, z którego zniknęły wszystkie jego meble, zabawki, ubranka, jakie dla niego kupiłam.

Zamrugałam, nic nie rozumiejąc. To nie było włamanie.

Popędziłam na górę do gabinetu Tony'ego i ujrzałam gole ściany. Zbiegłam do naszej sypialni i szarpnęłam drzwi szafy. Wszystkie jego rzeczy zniknęły, ale moje były na miejscu. A kiedy wpadłam do łazienki, w szafce nad umywalką znalazłam tylko moje przybory toaletowe.

Na miękkich nogach wróciłam do sypialni. Usiadłam. Powiedziałam sobie: to nie ma sensu... to jakaś bzdura. Mój mąż i syn zniknęli.

9

Potrzebowałam długiej chwili, by zmusić się do wstania z łóżka. Nie miałam pojęcia, z której strony ugryźć całą tę historię. Wiedziałam tylko jedno: to jakiś koszmar.

Kuchnia. Jedyne pomieszczenie w domu, którego jeszcze nie sprawdziłam. Wstałam. Zeszłam na dół i natychmiast zauważyłam, że sterylizator, wszystkie butelki Jacka i jego fotelik zniknęły. Podobnie jak cały zapas mleka w proszku, pieluchy, chusteczki i wszystkie inne niemowlęce utensylia.

Nie potrafiłam tego pojąć. Przyszedł tu ktoś i wymiół z domu wszelki ślad po Tonym i Jacku. Nie zostało dosłownie nic.

Złapałam za telefon i wystukałam numer komórki Tony'ego. Natychmiast połączyłam się z pocztą głosową.

– Tony, to ja – powiedziałam trzęsącym się głosem. – Jestem w domu.

I muszę wiedzieć, co się dzieje. Natychmiast. Proszę cię. Natychmiast.

Zadzwoiłam do pracy, choć były małe szanse, bym zastała go w gabinecie po siódmej rano. I znów odezwała się poczta głosowa. Zostawiłam tę samą wiadomość.

Potem zadzwoniłam do Cha. Tym razem nie było poczty głosowej. Generowany komputerowo głos poinformował mnie, że abonent jest czasowo niedostępny.

Oparłam się o kuchenny blat. Nie wiedziałam, co mam robić.

Nagle odezwał się dzwonek przy wejściu. Pobiegłam do drzwi w próżnej nadziei, że ujrzę za nimi Tony'ego z Jackiem w ramionach. W progu stał jednak wieki, tusty facet przed trzydziestką, ubrany w ciasny, niedopasowany garnitur, białą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem i poplamiony jedzeniem krawat. Nie miał szyi, tylko gładki zwał tłuszczu między podbródkiem i obojczykami. Śmierdział potem i złymi wieściami.

– Sally Goodchild?

– Tak, to ja – odparłam.

– Mam coś dla pani – powiedział, otwierając teczkę.

– Co?

– Mam pani dostarczyć dokumenty – oznajmił. Wyciągnął z teczki dużą kopertę.

– Dokumenty? Jakie dokumenty?

– Wyrok sądowy ex parte, kochana – powiedział, wciskając mi kopertę do ręki.

Zrobiwszy swoje, odwrócił się i poszedł sobie.

Rozdarłam kopertę i zaczęłam czytać. Był to wyrok, wydany poprzedniego dnia w Sądzie Najwyższym przez niejakiego sędziego Thompsona. Przeczytałam go raz, przeczytałam drugi. To nie miało sensu. Bo w tym dokumencie napisane było, że po rozprawie ex parte pod przewodnictwem sędziego Thompsona sąd przyznał Anthony'emu Hobbsowi, zamieszkałemu na Albert Bridge Road 42, SW11, Londyn, tymczasowe wyłączne prawo do opieki nad synem, Jackiem Hobbsem, do czasu kolejnej rozprawy.

Pognałam w dół ulicy; dogoniłam posłańca, kiedy wsiadał do samochodu.

– Musi mi pan to wytłumaczyć – powiedziałam.

– To nie moja działka, kochana – odparł.

– Błagam. Ja muszę wiedzieć...

– Poszukaj sobie adwokata, kochana. On będzie wiedział, co robić.

I odjechał.

Wróciłam do domu. Usiadłam przy kuchennym stole. Spróbowałam jeszcze raz prze-

czytać wyrok. Po trzech zdaniach upuściłam dokument i objęłam kurczowo ramiona, czując głęboki chłód, który przeszył dreszczem moje ciało.

To się nie dzieje naprawdę... to się nie...

Wstałam z krzesła. Spojrzałam na zegar na ścianie. Siódma pięćdziesiąt siedem. Złapałam słuchawkę, jeszcze raz spróbowałam dodzwonić się do Tony'ego, ale znów zbyła mnie poczta głosowa. Powiedziałam:

– Tony, nie wiem, co kombinujesz, ale musisz natychmiast ze mną porozmawiać.

Sąd przyznał Anthony'emu Hobbsowi, zamieszkałemu na Albert Bridge Road 42, SW1, Londyn...

Podniosłam się z krzesła. Otworzyłam kuchenną szafkę i sięgnęłam do miski, w której trzymaliśmy kluczyki samochodowe i zapasowe klucze od domu. Kluczyki samochodowe zniknęły. A to znaczyło, że zabrał również samochód...

Ogarnęło mnie przerażenie.

Po rozprawie ex parte pod przewodnictwem sędziego Thompsona.

Po co mu była rozprawa? Co próbował wywalczyć? Co takie»o zrobiłam...?

Jeszcze raz sięgnęłam po słuchawkę i zadzwoniłam do firmy taksówkowej. Podstawili samochód w pięć minut. Podałam kierowcy adres: Albert Bridge Road 42, SW11.

Wjechaliśmy prosto w największy ruch godziny szczytu. Szofer był najwyraźniej świeżo upieczonym Anglikiem i nie opanował jeszcze planu Londynu, a jego stare volvo potrzebowało nowych amortyzatorów. Ale nucił wesoło pod nosem, kiedy utknęliśmy w najdłuższym porannym korku. Dwa razy zgubił drogę – choć wydawał się szczerze przejęty moim coraz bardziej widocznym zdenerwowaniem.

– Spokojnie – powiedział. – Dowiozę panią.

Pokonanie czterech kilometrów z Putney na Albert Bridge Road zajęło nam prawie godzinę. Kiedy dotarliśmy na miejsce, jakiś instynkt kazał mi poprosić kierowcę, by na mnie poczekał; wysiadłam z taksówki i wspierałam się na dziesięć schodków prowadzących do drzwi imponującej, dwupiętrowej, wiktoriańskiej kamienicy. Zastukałam gorączkowo mosiężną kołatką, by oznajmić swoje przyjście. Po chwili drzwi otworzyła drobna kobieta o oliwkowej cerze i zmęczonych oczach.

– Słucham? – zapytała z hiszpańskim akcentem, przyglądając mi się nieufnie.

Zajrzałam jej przez ramię i dostrzegłam fragment holu. Urządzony był bardzo prosto. Bardzo elegancko. Bardzo wyrafinowanie. I bardzo drogo.

– Kto tu mieszka?

- Pani Dexter.
- Jeszcze ktoś?
- Ma przyjaciela.
- Jak się nazywa?
- Pan Tony.
- A czy pan Tony ma małego synka?
- Prześlicznego synka – powiedziała z uśmiechem.
- Są tu teraz?
- Wyjechali.
- Dokąd?
- Na wieś.
- Ale dokładnie gdzie?
- Nie wiem. Pani Dexter ma dom na wsi.
- A ma pani numer telefonu, adres?
- Nie mogę dać...

Chciała zamknąć drzwi. Wstawiłam w nie stopę.

- Jestem matką tego chłopczyka. Muszę się dowiedzieć...
- Nie mogę – odparła.
- Niech mi pani pomoże.
- Proszę odejść.
- Tylko numer telefonu. Jestem...

Na końcu języka miałam słowo „zdesperowana”, ale nie mogłam go wydusić, gdyż rozpacz i szok ścisnęły mi gardło. Gospościa spojrzała na mnie zaniepokojona.

- Błagam – szepnęłam.

Rozejrzała się nerwowo wokół siebie, jakby bała się, że ktoś nas obserwuje, po czym powiedziała:

– Pojechali do jego biura.

– Kiedy?

– Pół godziny temu. Musieli tam po coś pójść przed wyjazdem na wieś.

Dotknęłam jej dłoni.

– Dziękuję.

Szybko wróciłam do taksówki.

– Może mnie pan teraz zawieźć do Wapping?

Po drodze usiłowałam zanalizować te skąpe informacje, które uzyskałam.

Kobieta nazywała się Dexter. Najwyraźniej ma pieniądze – nie tylko na tę hawirę na Albert Bridge Road, ale i na dom na wsi. Jej gosposia nazywała mojego męża „panem Tonym”, a to znaczyło...

Co? Że bywał w tym domu od...?

Po rozprawie ex parte pod przewodnictwem sędziego Thompsona...

Sięgnęłam po komórkę, by spróbować jeszcze raz zadzwonić do Tony’ego.

Ale zmieniłam zdanie. Gdyby się dowiedział, że właśnie jadę do „Chronicie”, miałby czas, żeby uciec albo...

Co on kombinował? Co?

„Poszukaj sobie adwokata, kochana. On będzie wiedział, co robić”.

Ale ja nie znałam żadnych adwokatów w Londynie. Właściwie nikogo tutaj nie znałam. Nie miałam nikogo, do kogo mogłabym teraz zadzwonić i powiedzieć...

Nie, to wszystko jakiś absurd. Jakiś koszmarny psikus, gigantyczne nieporozumienie, które rozrosło się w...

A taki był miły przez telefon, kiedy byłam w Bostonie. I przedtem okazał taką troskę, kiedy eksmąż Sandy spadł w przepaść. Jedź, kochanie, jedź, a tu masz bilecik na lepszą klasę, żeby ci się wygodniej podróżowało. Bo kiedy cię nie będzie w Londynie...

Przestań, przestań – to brzmi jak jakaś zwariowana teoria spiskowa.

Dojechaliśmy do Wapping. Zapłaciłam szoferowi trzydzieści funtów i podeszłam do strzeżonej bramy; Tony zawsze nazywał to miejsce Checkpoint Charlie. Ale zamiast funkcjonariusza Stasi zobaczyłam umundurowanego strażnika w małej wartowni z poczekalnią dla gości.

- Słucham panią? – zapytał.
- Przyszłam do męża – odparłam.
- W której gazecie pracuje?
- W „Chronicie”. Tony Hobbs, naczelny działu zagranicznego.
- Ach, ten. A pani jest jego żoną?

Kiwnęłam głową. Wykręcając numer, poprosił mnie, żebym usiadła. Porozmawiał z kimś przez telefon, wyjaśniając, kim jestem, ale widocznie usłyszał od osoby po drugiej stronie coś, co kazało mu zerknąć na mnie z ukosa, jakby się bał, że zacznę sprawiać kłopoty. Kiedy odłożył słuchawkę, powiedział:

- Ktoś tu zaraz do pani przyjdzie.
- Ktoś? – zapytałam, wstając z krzesła. – To nie rozmawiał pan z moim mężem?
- Ktoś pani wyjaśni...
- Co wyjaśni?
- Proszę spokojnie na nią poczekać – powiedział strażnik.
- Na kogo?

Strażnika trochę zaniepokoił mój podniesiony głos. Ale zamiast wdawać się ze mną w dalsze dyskusje, odwrócił się do mnie tyłem i zajął jakimiś papierkami.

Usiadłam więc na plastikowym krześle, obejmując ciasno ramiona. Po minucie czy dwóch do poczekalni weszła Judith Crandall. Była sekretarką Tony’ego; miała grubo po pięćdziesiątkę i pracowała w dziale zagranicznym od chwili, kiedy przed trzydziestu laty zatrudniła się w „Chronicie”.

„Odsiadywała tu dożywocie”, mawiał o niej Tony (pozna swój swego), i była osobą, która wiedziała, gdzie są pogrzebane wszystkie psy. Nałogowo paliła, i teraz, podchodząc do mnie, też trzymała w dłoni zapalonego papierosa.

Jej twarz wyrażała nieufność i niepokój.

- Dzień dobry, Sally – powiedziała.
- Co tu jest grane? – zapytałam, podnosząc głos.

Usiadła na krześle obok mnie i przysunęła się tak, że wyglądałyśmy jak dwie konspiratorki.

- Tony wczoraj zrezygnował z pracy w gazecie – powiedziała.

Potrzebowałam chwili, by to do mnie dotarło.

– To kłamstwo – stwierdziłam.

Zaciągnęła się głęboko papierosem.

– Też bym wolą, żeby to było kłamstwo.

– Dlaczego?

– Będzie pani musiała jego zapytać.

– Ale on tu jest, prawda?

– Był. Jeszcze piętnaście minut temu.

– Pani kłamie. On tu jest. Z Jackiem.

Zgasiła papierosa i natychmiast zapaliła następnego.

– Nie kłamię – powiedziała konspiracyjnym szeptem. – Wyjechał piętnaście minut temu.

– Z moim synem?

– Był sam. Przyjechał samochodem i opróżnił biurko. Potem przyszedł się pożegnać ze mną i jeszcze kilkoma osobami i wyszedł.

– Dał pani jakiś adres?

– Albert Bridge Road w Battersea.

– Ten sam, co w wyroku sądowym...

Nie odpowiedziała, ale odwróciła wzrok – i wtedy zorientowałam się, że wie o wszystkim.

– Kim jest ta kobieta? – zapytałam.

– Nie wiem.

– Wie pani.

– Nie mówił o niej.

– Proszę...

– Naprawdę.

– Kłamiesz! – krzyknęłam.

Strażnik wstał zza biurka i podszedł do mnie.

– Muszę prosić, żeby pani stąd wyszła.

– Sally – powiedziała łagodnie Judith, biorąc mnie za rękę. – W ten sposób nic pani nie osiągnie.

– Zabrał dziecko. Pani dobrze o tym wie. Ulotnił się z moim synem. I nie mam zamiaru stąd wyjść. Bo wiem, że go pani kryje. Jestem pewna!

Ostatnie zdanie już wrzasnęłam. Judith i strażnik aż zbledli. Mężczyzna szybko jednak odzyskał rezon i powiedział:

– Nie będę powtarzał: wyjdzie pani teraz z własnej woli albo będę zmuszony wyprowadzić panią poza teren obiektu. A jeśli będzie się pani opierać, wezwę policję.

Judith sięgnęła po moją dłoń, ale zmieniła zdanie.

– Sally, niech go pani do tego nie zmusza.

– Wiesz wszystko, prawda? – rzuciłam cicho, niemal szeptem. – Wiesz, kim jest ta cała Dexter, od jak dawna Tony się z nią spotyka i dlaczego uzyskał nakaz sądu, żeby mnie odizolować od...

Zaczęłam płakać. Judith i strażnik cofnęli się o krok. Klapnęłam na krzesło, szlochając bez opamiętania. Strażnik zamierzał do mnie podejść, ale Judith powstrzymała go, szepcząc mu coś do ucha. W końcu kucnęła przy mnie i powiedziała:

– Potrzebuje pani pomocy. Mam do kogoś zadzwonić?

– Tak ci powiedział... że dostałam kuku na muniu i potrzebuję pomocy?

Gniewny głos znów zaalarmował strażnika.

– Sama pójdę – powiedziałam.

Wybiegłam z wartowni, nie oglądając się za siebie.

Znalazłam się na przelotówce zwanej The Highway. Potykając się, ruszyłam w kierunku Tower Bridge, ale tak naprawdę nie wiedziałam, dokąd idę.

Od południowej strony wzdłuż Highway biegł wysoki, długi mur. Po jakichś dwudziestu krokach oparłam się bezwładnie o tę ścianę, niezdolna zrobić ani kroku dalej. Choć stałam na własnych nogach, czułam, że lecę gdzieś na łeb, na szyję: było to to samo uczucie spadania, które kojarzyłam z początkowymi stadiami mojej poporodowej katastrofy. Ale tym razem wiązało się ze świadomością, że mój mąż zniknął z moim synem i uzyskał wyrok sądowy uniemożliwiający mi kontakt z dzieckiem.

Oto nareszcie miałam legalne potwierdzenie tego, o czym świat wiedział już od dawna: byłam wyrodną matką. Oto dowód, że zrobiłabym wszystkim przysługę, gdybym przeszła te

pół kilometra do Tower Bridge, wspięła się na barierkę i...

– Wszystko w porządku, proszę pani?

Policjant, idąc swoją trasą, znalazł mnie pod murem. Musiałam wyglądać naprawdę rozpaczliwie, skoro wielki londyński bobby zwrócił uwagę na samotną kobietę, trzymającą się ściany.

– Proszę pani...?

– Wszystko w porządku.

– Nie wydaje mi się.

– Ja...

– Wie pani, gdzie pani jest?

Kiwnęłam głową.

– Więc gdzie, jeśli wolno spytać?

– W Londynie.

– Tak, ale gdzie dokładnie?

– W Wapping.

– Jest pani Amerykanką?

Znów kiwnęłam głową.

– Turystka?

– Nie, mieszkam tutaj.

– I nie potrzebuje pani pomocy?

– Jestem... tylko... zdenerwowana... prywatna sprawa... uff... taksówkę.

– Chce pani taksówkę?

– Bardzo proszę.

– I dokąd pani pojedzie?

– Do domu.

– Czyli gdzie?

Powiedziałam mu. Hasło Putney natychmiast zidentyfikowało mnie jako mieszkankę Londynu – bo jakaż amerykańska turystka zapuściłaby się w ten południowo-zachodni zakątek miasta?

– Jest pani pewna, że chce pani wrócić do domu?

– Tak. Do domu. Mogę już iść?

– Nikt pani nie zatrzymuje. Złapać pani taksówkę?

– Poproszę.

Podniósł rękę. Taksówka zatrzymała się po kilku sekundach. Podziękowałam konstablowi, wsiadłam do samochodu, podałam kierowcy adres i oklapłam do reszty na tylnym siedzeniu.

O dziesiątej byłam już w domu. Przygniotła mnie cisza. Spojrzałam na wyrok sądowy na stole, na puste półki, na огоłocony pokój dziecinny.

Weszłam do łazienki i łyknęłam dwie tabletki swojego leku. Położyłam się na łóżku. Zamknęłam oczy, ale chwilę później otworzyłam je na nowo, w idiotycznej nadziei, że nagle ujrzę z powrotem swoje życie, że wszystko wróci na miejsce. Ale zamiast tego nareszcie dotarła do mnie straszliwa prawda:

Zabrali mi Jacka.

Sięgnęłam po słuchawkę telefonu obok łóżka. Wystukałam numer komórki Tony'ego. I znów zgłosiła się poczta głosowa. I znów zostawiłam wiadomość.

Ale wiedziałam już, że on nie ma po co do mnie dzwonić. Miał swój wyrok sądowy, ważny przez dwa tygodnie. Zniknął mi z oczu, nie zostawiając żadnych namiarów z wyjątkiem numeru komórki – gdzie za pomocą poczty głosowej mógł monitorować wszystkie połączenia i uniknąć ewentualnej rozmowy ze mną. Wszystko dokładnie przemyślał.

Ale dlaczego odszedł z pracy? „Chronicie” była jedyną ważną, stałą rzeczą w jego życiu i wiedziałam, że cierpiałby, gdyby na stałe stracił z nią kontakt.

Nacisnęłam widełki i jeszcze raz spróbowałam dodzwonić się do Cha.

Tym razem mi się poszczęściło. Odebrała po trzecim sygnale. Ale kiedy usłyszała mój głos, natychmiast się spłoszyła.

– Nie mogę mówić – powiedziała w swoim niepewnym angielskim.

– Dlaczego? Co oni ci powiedzieli?

Chwila wahania.

– Powiedzieli, że mam dla pani więcej nie pracować.

– Kiedy zabrali wszystkie rzeczy?

– Dwa dni temu. I przywieźli nianię do dziecka.

Nianię? Jaką nianię?

– „Oni”, to znaczy mój mąż i...

Kolejna niepewna pauza.

– Powiedz mi, Cha.

– Nie znam jej nazwiska. Jakaś kobieta.

– Nie nazywała się Dexter?

– Nie słyszałam jej nazwiska.

– Ile miała lat?

– Nie wiem.

– Jak wyglądała?

– Nie wiem.

– Cha...

– Muszę kończyć.

– Czy mogłabyś do mnie przyjść dziś przed południem? Ja naprawdę muszę...

– Powiedzieli mi, że już dla pani nie pracuję.

– O tym ja decyduję, nie oni. I chcę, żebyś w dalszym ciągu u mnie pracowała.

– Nie mogę.

– Dlaczego?

– Oni mi zapłacili...

– Za co?

– Zapłacili mi, żebym u pani nie pracowała.

– Ale... nie rozumiem...

– Powiedzieli, że nie mam z panią rozmawiać...

– Cha, musisz mi wyjaśnić...

– Muszę wracać do pracy.

Połączenie zostało przerwane. Wcisnęłam „redial”, ale natychmiast odezwał się nagrany głos, informujący, że abonent jest niedostępny.

Nie rozumiałam niczego. Bo to wszystko przekraczało moje możliwości pojmowania.

Rozległ się dzwonek przy wejściu. Pognałam na dół. Ale kiedy otworzyłam drzwi, ujrzałam jasnowłosego mężczyznę w czarnym garniturze, ciemnoniebieskiej koszuli i eleganckim krawacie w kwiaty.

– Pan jest prawnikiem? – zapytałam.

Roześmiał się jowialnie, jednocześnie nieufnie lustrując mnie wzrokiem.

– Graham Drabble z Agencji Pośrednictwa w Handlu Nieruchomościami Playfair, w Putney. Mamy oszacować wartość domu...

– O czym pan mówi?

– Pani Hobbs, zgadza się?

– Nazywam się Sally Goodchild.

– Dostałem zlecenie od pana Hobbsa...

– To mój mąż. I cóż takiego panu „zlecił”?

– Sprzedaż waszego domu.

– Cóż, mnie o tym nie powiedział – odparłam i zatrzęsnęłam drzwiami.

Chce sprzedać dom? Przecież chyba nie może...?

Choć jakiś głos szeptał mi, że najprościej będzie położyć się do łóżka, naciągnąć kołdrę na głowę i wyprzeć to wszystko ze świadomości, inny, o wiele silniejszy, zagłuszył to auto-destrukcyjne pragnienie, powtarzając uparcie: znajdź sobie adwokata. Natychmiast.

Ale nie miałam zielonego pojęcia na temat londyńskich prawników, angielskiego systemu prawnego czy wyroków ex parte. Spędziłam rok w tym mieście i nie miałam tu ani jednego przyjaciela. Z wyjątkiem Margaret. Ale ona też była Amerykanką. Zresztą teraz siedziała w Stanach ze swoim mężem prawnikiem...

Margaret.

Bez zastanowienia wystukałam jej nowojorski numer. Telefon dzwonił i dzwonił. Nareszcie odebrała. Usłyszałam jej nieprzytomny, zaspany głos.

– Boże, obudziłam cię – powiedziałam.

- To... uch... nic nie szkodzi, chyba...
- Słuchaj, zadzwonię rano...
- Sally? – zapytała, nareszcie orientując się, z kim rozmawia.
- Naprawdę strasznie przepraszam, że...
- Co się stało?
- Nie chciałam zawracać ci głowy tak wcześnie.
- Co się stało?

Opowiedziałam jej wszystko, starając się nie rozkleić w połowie. Kiedy skończyłam, zorientowałam się, że jest przerażona.

- To jakieś szaleństwo.
- Gdyby tylko...
- Przed twoim wyjazdem nie zdradził się niczym, że to planuje?
- Nie. Prawdę mówiąc, kiedy jeszcze leżałam w szpitalu, faktycznie się mną opiekował.
- A ta kobieta...

– Nie wiem, kim jest. Wiem tylko, że mieszka w bardzo dużym domu na bardzo drogiej ulicy naprzeciw Battersea Park i że ma dom na wsi, nie wspominając już o moim mężu i synu.

- Nie może tak po prostu zabrać ci dziecka.
- Ma wyrok sądowy.
- Ale na jakiej podstawie?

– Skoro zapadł się pod ziemię, nie mogę go o to spytać. I jeszcze jedno: ten gnój próbuje sprzedać dom bez mojej zgody.

- Przecież jesteś współwłaścicielką?
- Oczywiście, że jestem. Ale nie mam pojęcia, jak działa tutaj prawo...

– Alexander wyjechał służbowo do Chicago. Poczekał z godzinę, aż się obudzi, i poproszę, żeby mi polecił jakiegoś dobrego adwokata w Londynie.

A tym czasem trzymaj się jakoś, kochana.

Oddzwoniła dwie godziny później.

– Przede wszystkim Alexander jest przerażony tym, co cię spotkało, i na sto procent pewien, że uda ci się wynegocjować jakąś ugodę...

– Wynegocjować? Wynegocjować? Tu nie ma czego negocjować. Jack to mój syn. I nie...

– Sally, kochanie, powoli. My oboje jesteśmy po twojej stronie.

– Przepraszam... tylko że...

– Nie musisz się tłumaczyć. To, co się stało, jest oburzające. Ale Alexander znalazł świetną firmę w Londynie, Lawrence & Lambert. Nie zna tam nikogo osobiście, ale mówi, że mają doskonałą opinię. I oczywiście możesz się na niego powołać, kiedy do nich zadzwonisz. A tymczasem ja jestem pod telefonem, jeśli tylko zechcesz pogadać.

Pożegnałam się z Margaret i natychmiast zadzwoniłam do kancelarii Lawrence[^] i Lamberta. Recepcjonistka była niemal opryskliwa.

– Czy chce pani rozmawiać z kimś konkretnie?

– Właśnie o to chodzi... znajomy prawnik doradził mi, żebym się z wami skontaktowała...

– Ale nie podała pani żadnego konkretnego nazwiska?

– No, nie...

– Cóż, jeśli nie poda mi pani nazwiska...

– Chcę rozmawiać z kimś, kto się specjalizuje w prawie rodzinnym...

– Mamy pięciu prawników, którzy się specjalizują w prawie rodzinnym.

– Więc... czy może mnie pani połączyć z jednym z nich?

Kazano mi czekać. Po chwili odezwała się młoda kobieta z wyraźnym akcentem z Essex.

– Gabinet Virginii Ricks.

– Czy pani Ricks zajmuje się prawem rodzinnym?

– Kto mówi?

Podalam swoje nazwisko i wyjaśniłam, że kancelarię polecił mi Alexander Campbell.

– I pan Campbell oczywiście zna panią Ricks?

– Raczej nie.

– Pani Ricks praktycznie cały dzień jest zajęta w sądzie...

– To dość pilna sprawa.

– Może pani powtórzyć nazwisko?

Powtórzyłam nazwisko i podałam jej numer do domu i na komórkę.

Kiedy odłożyłam słuchawkę, musiałam stawić czoło trudnemu pytaniu: co mam robić dalej?

Odpowiedź brzmiała: nic. W tej chwili nie mogłam zrobić absolutnie nic.

Nie miałam się do kogo zwrócić. Nie wiedziałam, gdzie mam szukać Tony’ego i Jacka. Chyba że...

Przyszło mi nagle do głowy, że może cała ta historia z domem na wsi jest tylko mistyfikacją. Zadzwoiłam więc po kolejną taksówkę. Tym razem kierowca znał drogę. Ruch odrobinię zelżał, więc dojechaliśmy na miejsce w ciągu piętnastu minut. Po raz drugi załomotałam ciężką kołatką. Gospościa nie była zachwycona moim widokiem.

– Powiedziałam pani, że ich tu nie ma.

– Chciałam się tylko upewnić...

Przepchnęłam się obok niej do środka. Kobieta krzyknęła za mną. Chodziłam z pokoju do pokoju, wołając Jacka. Dom był ogromny, urządzone bardzo minimalistycznie – dobra sztuka, eleganckie, nowoczesne meble. Wbiegłam po schodach na górę i zajrzałam do dużej, głównej sypialni, po czym ruszyłam dalej korytarzem i nagle zatrzymałam się jak wryta na widok...

Pokoju dzieciennego.

Ale nie było jakiego pokoju dzieciennego. Wyglądał dosłownie identycznie jak ten w naszym domu. Taka sama tapeta. Takie samo łóżeczko, szafa i komoda. Taka sama obrotowa nocna lampka z pozytywką. Taka sama kolorowa zawieszka nad łóżeczkiem. Wyglądało to tak, jakby cały pokój Jacka został przetransportowany tutaj w całości. I dopiero dzięki temu zdałam sobie sprawę, jak starannie i z jakim nakładem środków zaplanowano całą operację.

Gospościa wpadła za mną do pokoju, wściekła i przestraszona.

– Proszę natychmiast wyjść albo dzwonię na policję.

– Już wychodzę – odparłam.

Taksówkarz, zgodnie z moją prośbą, czekał pod domem.

– Chciałabym teraz wrócić do Putney.

W połowie drogi zorientowałam się, że wybiegłam z domu bez gotówki.

– Proszę się zatrzymać przy bankomacie – powiedziałam.

Zatrzymaliśmy się przy bankomacie Nat West, w West Hill, chyba najbrzydszym odcinku ulicy w południowym Londynie. Wsunęłam kartę w slot, wystukałam PIN i po czym na ekranie ukazał się komunikat:

Ten rachunek został zamknięty. W sprawie dalszych wyjaśnień proszę się skontaktować ze swoim oddziałem banku.

Wsunęłam kartę jeszcze raz, wprowadziłam PIN i znów ujrzałam to samo:

Ten rachunek został zamknięty. W sprawie dalszych wyjaśnień proszę się skontaktować ze swoim oddziałem banku.

Rachunek zamknięty? Przecież chyba nie mógł...

Gorączkowo pogrzebałam w portfelu, znalazłam kartę kredytową AMEX, z której korzystałam wspólnie z Tonym. Wsunęłam ją do bankomatu. Wystukałam PIN.

Karta nieaktualna.

Nie, nie, nie. Widziałam, że kierowca spogląda na mnie z niepokojem.

Przeszukałam torebkę. Gotówki miałam osiem funtów czterdzieści pensów, a za jazdę taksówką tam i z powrotem będę musiała zapłacić co najmniej dwadzieścia funtów. Postanowiłam sprawdzić moje własne konto, na które wpływała niegdyś pensja z „Boston Post”. Zostało prawie całkowicie wyczerpane przez ostatnie miesiące, bo przecież już nie pracowałam. Wszelkie środki, jakie pozostały mi z ostatniej wypłaty, zostały przelane na wspólne konto – na spłatę kredytu hipotecznego i kilku prac wykończeniowych w domu. Ale miałam nadzieję, że zostało na nim jeszcze trochę pieniędzy, wprowadziłam więc PIN i zażądałam dwustu funtów. Na ekranie ukazał się komunikat:

Niewystarczające środki.

Spróbowałam setki. Znów to samo:

Niewystarczające środki.

Wystukałam pięćdziesiąt. Bingo. Pięć dziesięciofuntowych banknotów wysunęło się ze szczeliny. Byłam więc teraz warta pięćdziesiąt osiem funtów czterdzieści pensów.

A raczej trzydzieści osiem funtów czterdzieści pensów, bo musiałam zapłacić za taksówkę.

Z domu zadzwoniłam do banku. Konsultant z działu obsługi klienta potwierdził, że rachunek, który założyliśmy wspólnie z Tonym, został zlikwidowany dwa dni temu. Tak samo jak nasza wspólna karta VIS A – pocieszyło mnie przynajmniej to, że debet w wysokości

czterech tysięcy ośmiuset osiemdziesięciu dwóch funtów i trzydziestu jeden pensów został spłacony.

Jak to miło z jego strony.

– A co z resztą pieniędzy ze wspólnego konta? – zapytałam. – Gdzie się podziały?

– Na tym rachunku nie było żadnych środków. Wręcz przeciwnie, był nawet debet w wysokości dwóch tysięcy czterystu dwudziestu funtów i osiemnastu pensów... ale i to zostało uregulowane.

– Proszę mi powiedzieć jeszcze jedni czy nie potrzebujecie pisemnej zgody obu współwłaścicieli, żeby zamknąć rachunek?

– Ten rachunek zawsze należał do pana Hobbsa. Po prostu dopisał panią jako osobę upoważnioną dziesięć miesięcy temu.

Osoba upoważniona. To wyjaśniało wszystko.

Usiłowałam to sobie jakoś poukładać. Tony zrezygnował z pracy. Pokój Jacka dokładnie odtworzono w domu tej całej Dexter. A nasze rachunki bankowe zostały zamknięte, po uregulowaniu debetu w wysokości około siedmiu tysięcy trzystu funtów.

O co tu chodzi, do cholery?

– Nie rozumiesz? – zapytała Sandy, kiedy zadzwoniłam do niej i przeraziłam ją śmiertelnie szczegółowym sprawozdaniem mojego triumfalnego powrotu do domu. – Poznał jakąś bogatą sukę. A z tego, w jaki sposób to wszystko urządził, wynika, że miałaś się o tym od razu dowiedzieć. Przecież w sądzie mógł podać wasz wspólny adres. Dlaczego tego nie zrobił?

– Nie wiem.

– Może chciał, żebyś od razu się dowiedziała o jego nowym życiu. No bo wyobraź sobie, że tak po prostu zniknąłby z Jackiem, nie zostawiając ci nowego adresu. Nasłalałabyś na niego gliny. A tak... dokładnie wiesz, co się stało...

– Ale nie wiem, dlaczego.

– Do diabła z tym. Zabrał Jacka. A ty go musisz odzyskać. Ale najpierw znajdź sobie adwokata.

– Właśnie czekam na telefon od kogoś.

– Jak zamierzasz za to zapłacić?

– Pamiętasz te obligacje, które zostawili nam rodzice?

– Ja swoje sprzedałam dawno temu.

– A teraz ja mam zamiar zrobić to samo. Powinny być warte około dziesięciu tysięcy dolarów.

– To już coś.

– Ale jeśli nie będę miała żadnych dochodów...

– Powolutku. Najpierw załatw sobie adwokata. Od razu.

– Masz rację – odparłam. Poczułam się wykończona.

– A przede wszystkim, czy masz tam jakichś przyjaciół, na których możesz liczyć?

– Jasne – skłamałam. – Zostawiłam kilka wiadomości.

– Bzdury – odparła. I nagle głos jej się załamał. – Jezu, Sally, to jakiś koszmar.

– Tak – przyznałam. – Koszmar.

– Żałuję, że nie mogę po prostu wsiąść do samolotu...

– Sama masz dość zmartwień na głowie.

– Nie zrobisz niczego głupiego...

– Jeszcze nie.

– Teraz mnie przestraszyłaś.

– Nie martw się.

Ale prawda była taka, że przestraszyłam samą siebie.

O trzeciej po południu zadzwoniłam ponownie do Virginii Ricks. Połączyłam się z jej pocztą głosową. Zostawiłam wiadomość. Spróbowałam jeszcze raz o piątej. Tym razem znów trafiłam na sekretarkę.

– Już pani mówiłam, jest dziś cały dzień w sądzie.

– Ale to pilna sprawa. Naprawdę pilna. Jestem zrozpaczona i potrzebuję...

Urwałam nagle, nakryłam słuchawkę ręką i zaczęłam szlochać. Kiedy znów mogłam mówić, okazało się, że połączenie zostało przerwane.

Zadzwoniłam jeszcze raz. Ale odezwała się tylko poczta głosowa.

– Koniecznie proszę przekazać pani Ricks, żeby do mnie oddzwoniła najszybciej jak można.

Przez resztę dnia (i całą noc) telefon milczał – dzwoniła tylko Sandy, najpierw o szóstej,

potem o dziesiątej londyńskiego czasu, by sprawdzić, jak sobie radzę.

– Żadnych wieści? – zapytała.

– Cały wieczór siedzę przy telefonie. Sama nie wiem, po co.

– Próbowalas dzwonić do Tony’ego?

– Chyba z pięć razy. Przełączył się na pocztę głosową. A to znaczy, że nie ma sensu dzwonić dalej. Wie o wszystkich rozmowach.

– Ale będziesz próbować?

– A co mi pozostało?

– Powinnaś iść spać.

– Tak, to jest jakiś pomysł.

Wzięłam dwie tabletki nasenne razem z wieczorną dawką leków przeciwdepresyjnych. Około trzeciej nad ranem zerwałam się ze snu; pusty dom przypominał głuchą, ciemną pieczarę. Poszłam do pokoju Jacka. Niemal słyszałam głos Ellen Cartwright, szpitalnej terapeutki, powtarzający w kółko: to nie jest twoja wina... to nie jest twoja wina...

Aleja wiedziałam lepiej. Sama doprowadziłam do tej katastrofy. Mogłam o nią obwinać wyłącznie siebie. A teraz...

Teraz rozpaczliwie potrzebowałam jej przyjaznego, dodającego otuchy głosu. Więc o ósmej rano zadzwoniłam na prywatny numer, który dała mi „na wszelki wypadek”, jak powiedziała. A to z pewnością był „wypadek”, miałam więc nadzieję, że wybaczy mi tę wczesną porę.

Ale nie udało mi się porozmawiać z Ellen. Połączyłam się z jej automatyczną sekretarką, która poinformowała mnie, że Ellen jest na urlopie i wróci za trzy tygodnie.

Trzy tygodnie. Nie przetrwam trzech tygodni.

Zrobiłam sobie herbaty. Napuściłam wody do wanny. Ale bałam się siedzieć w wannie, bo co by było, gdyby Tony zadzwonił, a ja nie usłyszałabym dzwonka? Telefon stał w dalszym końcu sypialni, daleko od łazienki, co oznaczało, że potrzebowałabym co najmniej siedmiu sygnałów, żeby do niego dobiec, i mogłabym nie zdążyć, a wtedy...

Zgoda, to było zupełnie wariackie rozumowanie – bo przecież mogłam poszukać przedłużacza i postawić telefon bliżej łazienki, tak? – ale w tej chwili nie stać mnie było na logiczne myślenie. Tkwiłam po uszy w najgorszych z kłopotów, jakie sobie można było wyobrazić, a po głowie tłukło mi się w kółko jedno i to samo pytanie: co jeszcze mogę zrobić?

I znów odpowiedź brzmiała: nic... dopóki nie zadzwoni ta prawniczka.

I w końcu zadzwoniła, około wpół do dziesiątej rano. Z komórki, najwyraźniej tkwiąc

gdzieś w korku. Rzeczowy ton, podrabiany akcent „z wyższych sfer”.

– Sally Goodchild? Mówi Ginny Ricks. Moja sekretarka powiedziała, że pani dzwoniła wczoraj. To coś pilnego, tak?

– Tak. Mój mąż zniknął z naszym synem.

– Zniknął? Doprawdy?

– No, może nie dosłownie. Kiedy nie było mnie w kraju, uzyskał wyrok sądowy przyznający mu opiekę nad moim dzieckiem...

– Wie pani co – przerwała mi – to chyba sprawa, którą lepiej omówić w cztery oczy. Co pani powie na koniec tygodnia... powiedzmy piątek, około szesnastej?

– Ale to dopiero za dwa dni.

– Obawiam się, że wcześniej nie dam rady. Strasznie dużo par się ostatnio rozwodzi. Więc piątek, tak?

– Jasne.

– Wie pani, gdzie nas szukać?

Podala mi adres na Chancery Lane.

Kiedy Margaret zadzwoniła po południu, by się dowiedzieć, jak stoją moje sprawy, powiedziałałam jej, że udało mi się umówić z kimś od Lawrence’a i Lamberta.

– Zawsze to jakiś początek.

– Ale ona mnie przyjmie dopiero za dwa dni, a poza tym... nie wiem... może to głupio osądzać kogoś na podstawie jednej, krótkiej rozmowy telefonicznej, ale wydała mi się cholernie nadęta.

– Oni wszyscy są trochę nadęci – odparła Margaret.

– Może Alexander słyszał o kimś innym?

– Mogę go jeszcze zapytać, ale pewnie oddzwonię do ciebie dopiero jutro, a zanim ty zadzwonisz do firmy i umówisz się na spotkanie...

– Masz rację.

– Nie masz tam żadnych znajomych, którzy mogliby cię skierować do jakiegoś prawnika?

I znowu to samo pytanie: czy nie masz w Londynie żadnych przyjaciół?

Gdybym chciała się wdawać w szczegóły, brzmiałoby to mniej więcej tak: przyjecha-

łam tu w ciąży; kilka miesięcy później zostałam uziemiona z powodu nadciśnienia. A potem... cóż, nie mam ochoty opowiadać jeszcze raz tej zabawnej historyjki. Więc nie, nie mam tu żadnego punktu oparcia. I to wszystko wyłącznie z własnej winy.

– Nie, naprawdę nie znam tu wielu osób.

– Nie zadrećzaj się tym – powiedziała. – Ja potrzebowałam ponad roku, żeby w Londynie poznać kogokolwiek. To już takie miasto.

– Strasznie tęsknię za Jackiem.

To coś więcej niż tęsknota. To był wręcz fizyczny ból.

– Nawet nie potrafię sobie wyobrazić...

– Nie kończ.

Następne dwie doby stały się piekłem. Próbowałam wynajdować sobie jakieś zajęcia. Wysprzątałam dom. Dwa razy. Zadzwoiłam do mojego dawnego banku w Bostonie, poprosiłam o spieniężenie obligacji i przesłanie mi całej kwoty. Brałam pigułki z dokładnością co do minuty – i często zastanawiałam się, czy to właśnie dzięki nim jeszcze się trzymam; czy bez nich popadłabym w regularny obłęd. Jakoś udawało mi się przetrwać kolejne godziny. Zadzwoiłam nawet do sekretarki Tony’ego i przeprosiłam ją za scenę, którą urządziłam w Wapping.

– Nie musi pani za nic przepraszać – powiedziała Judith Crandall. – Doskonale panią rozumiem.

– A rozumie pani też, dlaczego Tony odszedł?

Cisza. I nagle:

– Sally... nie chodzi o to, że jestem ślepo lojalna wobec Tony’ego. Po prostu... nie uważam, żeby moją sprawą było angażowanie się w pani kłopoty.

– Ale Tony powiedział pani o mojej... chorobie... zgadza się?

– Tak, wspomniał, że była pani... niedysponowana.

– Więc jednak wie pani coś o moich kłopotach. A to znaczy, że na pewno wie pani również o kobiecie, z którą się ulotnił.

– To bardzo niezręczna sytuacja...

– Po prostu muszę się z nim skontaktować. To, co mi zrobił, jest po prostu nie fair.

– Bardzo mi przykro, Sally. Ale nie mogę pani pomóc.

Zadzwoiłam też do zastępcy Tony’ego, Simona Pinnocka. Był mocno zażenowany, że wyklęta żona jego eksszefa osaczyła go, i udzielał równie wymijających odpowiedzi.

– Naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego to zrobił – powiedział, wyraźnie zdenerwowany.

– Daj spokój, Simon. Myślę, że wiesz.

– Wybacz, ale właśnie wołają mnie na zebranie...

Spróbowałam porozmawiać nawet z siostrą Tony'ego, z którą od dawna nie utrzymywał kontaktu i której nigdy nie poznałam (ich drogi rozeszły się po jakimś incydencie, o którym nie chciał ze mną rozmawiać). Mieszkała teraz we wschodnim Sussex. Dokopanie się do jej numeru w internetowej książce telefonicznej wymagało sporego samozaparcia. A i ona sama nieszczególnie miała ochotę ze mną rozmawiać.

– Nie rozmawiałam z Tonym od lat, więc dlaczego miałby do mnie dzwonić? – zapytała.

– Ja po prostu strzelam na oślep.

– Od jak dawna jesteście małżeństwem?

– Około roku.

– I już panią porzucił? Szybko mu poszło. Choć oczywiście nie jestem zaskoczona. To już taki typ.

– Czy to znaczy, że robił tak wcześniej?

– Może.

– To nie jest odpowiedź.

– A mnie się wydaje, że nie mam obowiązku udzielać pani żadnych odpowiedzi. Szczególnie gdy zwraca się pani do mnie takim tonem...

– Nie zwracam się żadnym tonem.

– Owszem. A poza tym nie znam pani, nawet pani na oczy nie widziałam...

– Jeśli panią obraziłam, bardzo przepraszam. I...

– Nie mam ochoty dłużej z panią rozmawiać.

I rozłączyła się.

Palnęłam się ręką w czoło, gratulując sobie kolejnego taktycznego i dyplomatycznego zwycięstwa. Moja wrodzona amerykańska niezdolność czytania między wierszami sprawiała, że za każdym razem ponosiłam klęskę.

Czy naprawdę niczego się nie nauczyłam przez te miesiące?

Przysięgłam sobie, że kiedy spotkam się z Virginią Ricks, będę się zachowywać wzdorowo. Pojechałam metrem na Chancery Lane grubo przed umówioną porą i przez godzinę siedziałam w Starbucks, aż zrobiło się wpół do trzeciej.

Biura kancelarii Lawrence & Lambert mieściły się w wąskiej, szeregowej kamienicy, w elegancko wykończonych wnętrzach. W drzwiach stał ochroniarz, który kazał mi się wpisać do książki gości i sprawdził, czy faktycznie jestem umówiona. Wjechałam windą na drugie piętro i wysiadłam w ładnie i nowocześnie urządzonej recepcji, z chromowanymi meblami i ze świeżymi dziennikami na stoliku do kawy. Kiedy recepcjonistka dzwoniła do Virginii Ricks, usiadłam i zaczęłam je nieuważnie przeglądać, z rozmysłem unikając „Chronicie”.

Po jakichś pięciu minutach wyszła do mnie młoda kobieta. Blondynka.

Utapirowane włosy. Dziwkarski kostium.

– Pani jest Sally? – zapytała. – Mam na imię Trudy. Rozmawialiśmy wczoraj. Jak leci?

– Dobrze, dziękuję.

– Świetnie. Ale proszę posłuchać, Ginny jest jeszcze zajęta w sądzie.

Możemy przełożyć całą sprawę na poniedziałek...

– Naprawdę muszę się z nią zobaczyć dzisiaj.

– Rozumiem. Dobra wiadomość jest taka, że powinna wrócić około wpół do piątej. Więc...

Spędziłam godzinę w filii Books Etc na Fleet Street, po czym kupiłam kolejną kawę i usiadłam na ławce na Lincoln's Inn. Trzęsąc się z zimna, popiłam kawą dwie popołudniowe pigułki, rozmyślając o tym, że skwerek w środku miasta zawsze ma w sobie coś sympatycznego i daje człowiekowi poczucie izolacji, schronienia.

Virginia Ricks dobiegała trzydziestki. Zgodnie z moimi przewidywaniami okazała się blondynką o odrobinę końskiej twarzy, bardzo zadbaną: z rodzaju tych kobiet, które rano poświęcają dobrą godzinę na toaletę, zanim pokażą się światu. Ale przede wszystkim uderzyła mnie pewna maniera w stylu noblesse oblige – odrobinę nonszalanckie poczucie wyższości, bez wątplenia wpajane jej od najmłodszych lat przez bogatych rodziców, którzy chowali własne kompleksy za maską arogancji.

– Ginny Ricks – powiedziała, wpadając do salki konferencyjnej, do której mnie wprowadzono, i idąc w moją stronę z wyciągniętą ręką. Była już prawie piąta. Usadowiła się na krześle naprzeciw mnie, nie przerywając paplaniny ani na chwilę.

– Przepraszam, że się tak spóźniłam. Koszmarny dzień w sądzie. Pani jest Sally, tak? Mam nadzieję, że Trudy zrobiła pani herbatę? I że pani nie spłoszyła, ta nasza Trudy. Jest trochę zbyt pospolita jak na gust niektórych klientów, ale genialnie sobie radzi z żonami piłkarzy, które ciągle reprezentujemy; jakoś tak się składa. Nie bardzo wiem dlaczego, ale od

razu się przy niej rozluźniają. Teraz już poświęcam pani całą uwagę... choć musi nam wystarczyć pół godzinki. Znow te koszmarnie, piątkowe korki. Zna pani Sussex Downs, prawda? Idealne miejsce na romantyczny weekend, gdyby pani...

Nagle się opanowała.

– Co ja wygaduję – powiedziała, śmiejąc się z samej siebie. – Słyszała pani kiedyś takie bzdury? Bardzo przepraszam. Może przejdźmy do rzeczy.

Naszą firmę polecił pani...?

– Alexander Campbell.

– Przykro mi, pierwsze słyszę.

– Przez trzy lata prowadził londyńską filię kancelarii Sullivan & Cromwell.

– Ale nigdy nie miał do czynienia z naszą firmą?

– Nie, przekazał mi tylko za pośrednictwem swojej żony, że jesteście najlepszą kancelarią od spraw rozwodowych w Londynie.

– I bardzo słusznie – powiedziała. – Zakładam, że skoro pani do nas przyszła, chce się pani rozwieść.

– Niezupełnie. – Szybko streściłam jej całą historię, aż do rewelacji w postaci nakazu sądu. Ginny Ricks powiedziała, że chciałaby zobaczyć nakaz.

Błyskawicznie przeczytała dokument, który jej wręczyłam.

– Pani mąż z pomocą swojego obrońcy najwyraźniej przekonał pozytywnie nastawionego sędziego, że jest pani niekompetentną matką, i w ten sposób uzyskał tymczasowy wyrok. Co z kolei rodzi nieprzyjemne, ale konieczne pytanie: czy była pani, we własnej opinii, niekompetentną matką?

Poruszyłam się niespokojnie na krześle, zdając sobie sprawę, że Ginny Ricks przygląda mi się uważnie.

– Nie wiem – przyznałam.

– Może zapytam tak: czy kiedykolwiek użyła pani przemocy fizycznej wobec swojego dziecka? Potrząsała pani nim, kiedy płakało, rzucała nim, czy coś w tym stylu?

– Nie. Faktycznie rozzłościłam się raz czy dwa razy...

– Nie ma w tym nic niezwykłego. Rodzice często złością się na dzieci i mówią w gniewie różne rzeczy. Ale słowo nic nie znaczy, jak mówicie wy, Amerykanie.

Prawdę mówiąc, wcale nie uwielbiamy tego mówić.

– Jeśli tylko nie skrzywdziła pani fizycznie swojego dziecka, mamy mocne podstawy. A podczas pobytu w St Martin's... nie trafiła pani na oddział zamknięty?

– Nie, to był dobrowolny pobyt.

– W takim razie nie widzę żadnego problemu. Depresja poporodowa to powszechna przypadłość w naszych czasach. Oczywiście dowiemy się, jakich argumentów użyto przeciwko pani, ale moim zdaniem pani mąż nie ma dużych szans.

– W takim razie jakim cudem uzyskał ten wyrok?

– Pani nie było w kraju, a jego prawnicy wymyślili historyjkę i dowiedli, że bezpieczeństwo dziecka jest zagrożone... a tak w ogóle, to chłopiec czy dziewczynka?

– Chłopiec. Ma na imię Jack.

– Prawdopodobnie wybrali sędziego, który jest znany ze swoich mizoginicznych skłonności, a ponieważ pani nie było na rozprawie, usłyszał to, co miał usłyszeć...

– Ale czy mógł rozstrzygnąć sprawę na moją niekorzyść bez wysłuchania, co mam do powiedzenia?

– W wypadku domniemanego zagrożenia bezpieczeństwa dziecka... jak najbardziej.

– Czy to znaczy, że nie wolno mi widywać Jacka?

– Obawiam się, że tak. Ale na pocieszenie powiem, że ten wyrok może zostać unieważniony na następnej rozprawie, która odbędzie się za dziesięć dni, a to znaczy, że odliczając weekendy mamy tylko pięć roboczych dni na przygotowanie się do sprawy.

– Czy to wystarczy?

– Musi.

– A czy uda się pani ustalić, kim jest ta Dexter?

– Ach tak, naszafemfatale. – Kolejny chichot. – Przepraszam, marny żart. Tak, to nie powinno być trudne. A teraz trochę rachunków. Moja stawka wynosi dwieście funtów za godzinę. Będę musiała natychmiast oddelegować asystentkę, żeby pomogła mi ustalić wszelkie szczegóły, a to będzie kosztować około pięćdziesięciu funtów za godzinę. Trzeba też zaangażować obrońcę, ale tylko na samą rozprawę. Powiedzmy, że zaliczka w wysokości dwóch tysięcy pięciuset funtów powinna starczyć na początek...

Byłam przygotowana na taką kwotę, ale i tak trochę zbladłam.

– Czy to dla pani jakiś problem? – zapytała.

– Nie, mam pieniądze. Ale...

Wyjaśniłam jej, że Tony polikwidował konta bankowe, i co powiedział mi konsultant

z NatWest.

– Skoro pani nie nalegała na założenie wspólnego konta... – powiedziała, wzruszając wyniośle ramionami.

– Myślałam, że to jest wspólne konto.

– Widocznie jest pani bardzo ufną osobą.

– A sprzedaż domu?

– Jesteście współwłaścicielami, tak?

– Tak myślałam.

– Przejrzemy rejestr ziemski i sprawdzimy, kto jest właścicielem domu.

Tak czy inaczej, jeśli zainwestowała pani w dom jakieś pieniądze, odzyska je pani przy rozwodzie. A jeśli pozwolą pani zatrzymać Jacka, prawdopodobnie zatrzyma pani również dom... przynajmniej dopóki Jack będzie się uczył.

– A gdybym chciała uzyskać jakieś alimenty od mojego męża?

– To już kwestia na poniedziałek – powiedziała, spoglądając na zegarek. – Więc w poniedziałek rano. Proszę mieć przy sobie zaliczkę i listę osób związanych ze służbą zdrowia, a także znajomych, którzy mogą zaświadczyć o pani dobrym charakterze, a przede wszystkim o pani zachowaniu wobec syna. To jest najważniejsze...

Wyciągnęła terminarz i zajrzała do niego.

– Poniedziałek wygląda fatalnie... ale, powiedzmy, szesnasta czterdzieści pięć?

– Czy to trochę nie za późno, skoro mamy tylko tydzień na przygotowania?

– Sally... próbuję panią wpasować w swój terminarz, chociaż w tym momencie naprawdę nie powinnam już brać więcej klientów. Jeśli pani uważa, że gdzie indziej zajmą się panią lepiej...

– Nie, nie, może być poniedziałek po południu.

Ginny Ricks wstała i wyciągnęła do mnie rękę. Uścisnęłam ją.

– Świetnie. W takim razie do poniedziałku.

Wieczorem, rozmawiając z Sandy, powiedziałam:

– Jest trochę młoda, ale piekielnie arogancka... może to dobrze, biorąc pod uwagę okoliczności. Chyba wie, co robi.

– Dobrze, bo potrzebujesz prawdziwej suki po swojej stronie. A wygląda na to, że ona

się nada.

Weekend ciągnął się w nieskończoność. W poniedziałek rano poszłam do banku. Pieniądze ze Stanów już przyszły. Zleciłam przekaz na dwa tysiące pięćset funtów. Po tej operacji zostało mi prawie sześć tysięcy dolarów – czyli około czterech tysięcy funtów, za które mogłam żyć przez jakiś czas – oczywiście pod warunkiem, że honorarium za prawnicze usługi nie przerośnie kwoty zaliczki.

Poruszyłam tę kwestię z Ginny Ricks, kiedy poszłam się z nią zobaczyć po południu. Znów musiałam czekać ponad pół godziny, gdyż była zajęta z innym klientem.

– Strasznie przepraszam – powiedziała, wpadając do sali.

Pokazałam jej listę kontaktów, którą ułożyłam. Były na niej tylko cztery nazwiska: doktor Rodale, Ellen Cartwright, mojej lekarki domowej i Jane Sanjay, pielęgniarki środowiskowej. Wspomniałam, że Ellen wyjechała z miasta.

– Proszę się nie martwić, namierzemy ją – powiedziała Ginny Ricks. Zapytała mnie też, czy mam w Londynie kogoś znajomego, kto mógłby zareczyć za mój dobry charakter. Najlepiej by był to Anglik lub Angielka, bo, jak stwierdziła, „na sędzi zrobiłoby lepsze wrażenie, gdybyśmy pokazali, że zadomowiła się pani tutaj”.

– Widzi pani, jeszcze przed kolejną rozprawą przedstawimy sędziemu zeznania świadków. Im więcej osób wypowie się w pozytywny sposób o pani jako o matce...

– Jestem matką dopiero od kilku tygodni – przypomniałam.

– Tak, ale na pewno ma tu pani jakieś koleżanki...

– Mieszkam w Anglii dopiero od kilku miesięcy. I nie poznałam wielu osób...

– Rozumiem – odparła Ginny Ricks. – No cóż... Poślę któregoś z asystentów, by jeszcze dziś spróbował zdobyć zeznania świadków. A, jeszcze jedno: przyniosła pani zaliczkę, mam nadzieję?

Wręczyłam jej czek, mówiąc:

– Jeśli jest sposób, by udało się utrzymać koszty w granicach tych dwóch i pół tysiąca, byłabym bardzo wdzięczna. Moje środki są dość ograniczone.

– Oczywiście postaramy się – odparła – ale jeśli w grę będzie wchodzić szukanie świadków i tym podobne sprawy, koszty wzrosną.

– W tej chwili mam dokładnie cztery tysiące funtów, nie mam pracy ani rachunku rozliczeniowego.

– Rozumiem pani sytuację – powiedziała, wstając. – I na pewno będziemy jeszcze rozmawiać przez te kilka dni.

Ale jedyną osobą od Lawrence'a i Lamberta, która raczyła ze mną porozmawiać, była asystentka Ginny Ricks, niejaka Deirdre Pepinster. Mówiła takim samym afektowanym głosem, tyle że z wyraźną nutą znudzenia, która mocno mnie zaniepokoiła.

– Od dwóch dni próbuję się skontaktować z tą Ellen Cartwright...

– Przecież powiedziałam Ginny Ricks, że nie ma jej w mieście.

– A, tak. W każdym razie okazało się, że wyjechała na jakąś pieszą wędrówkę po Maroku i będzie osiągalna dopiero za dwa tygodnie. A Jane Sanjay, pani pielęgniarka środowiskowa, wyjechała na długi urlop. Zdaje się, że do Kanady. I wróci najwcześniej za cztery miesiące.

– Jest jakaś szansa, żeby ją namierzyć?

– To może trochę podnieść koszty.

– Sama mogłabym się tym zająć. Tym bardziej, że się polubiłyśmy. I myślę, że powiedziałaby o mnie coś dobrego...

– Proszę to zostawić mnie.

– Jestem też pewna, że mogłabym się sporo dowiedzieć o kobiecie, która jest teraz z moim mężem...

– Tym też się zajmiemy. My też potrzebujemy informacji na jej temat.

– Ale to więcej godzin, za które muszę zapłacić prawda?

– Chcemy być jak najbardziej rzetelni.

Skontaktowała się ze mną ponownie dopiero pod koniec tygodnia.

– No więc – powiedziała – ta kobieta nazywa się Dianę Dexter. Adres domowy: Albert Bridge Road 42, Londyn SW11. Ma też dom w Litlington, w Sussex i mieszkanie na Rue Du Bac w Paryżu. To bardzo ładna część Paryża; oczywiście Litlington to też nie byle dziura... bardzo dobry dojazd do Glyndebourne, gdzie zasiada w radzie miejskiej.

– Więc jest bogata.

– Dostyc. Założycielka i prezes Dexter Communications, niezbyt wielkiej, ale bardzo prężnej firmy marketingowej. Wyłącznie kapitał prywatny, doskonała opinia. Pani Dexter ma pięćdziesiąt lat, jest rozwódką, nie ma dzieci...

Teraz już ma.

– Kiedy i w jaki sposób poznała mojego męża?

– Do tego będzie pani musiała zatrudnić prywatnego detektywa. Zdobyliśmy tylko podstawowe informacje.

– Więc nie wie pani, gdzie są teraz?

– Ustalenie tego też nie leży w mojej gestii. Uzyskałam za to zeznania pani lekarza domowego i doktor Rodale, która leczyła panią w St Martin's.

– I co powiedziała?

– Że cierpiała pani na „nasiloną depresję poporodową”, ale dobrze zareagowała pani na leki przeciwdepresyjne. I właściwie tyle. A, i dowiedziałam się też, jak wyglądała ta rozprawa ex parte. Podobno groziła pani, że zabije syna...

– Ale byłam wściekła z wyczerpania.

– Problem w tym, że powiedziała to pani sekretarce męża. Czyli że słyszała to osoba trzecia. A to z kolei oznacza, że mieli dowód w postaci zeznania tej osoby. Dosłownie zażądali telefonicznie rozprawy w sobotę wieczorem.

Sądził niejaki Thompson, który znany jest z tego, że zawsze staje po stronie ojca, jeśli w grę wchodzi zdrowie psychiczne matki. Przedstawili mu ten dowód poparty faktem pani długiego pobytu na oddziale psychiatrycznym w St Martin's. Pani nie było w tym czasie w kraju, co bez wątpienia wykorzystali, by przedstawić panią jako osobę nieodpowiedzialną...

– Ale ja byłam na pogrzebie...

– Sędzia o tym nie wiedział. Wiedział tylko, że jest pani osobą hospitalizowaną z powodu depresji, że groziła pani śmiercią swego dziecka, a potem wyjechała z kraju przy pierwszej sposobności. A że był to nakaz tylko na dwa tygodnie, z pewnością podpisał go bez zastanowienia. Przykro mi. Ale wróćmy może do zeznań świadków. Jeśli chodzi o pielęgniarkę środowiskową. .. wygląda na to, że pani Sanjay opuściła miejsce swojego pobytu w Vancouver i wyruszyła w podróż po Kanadzie, a do Anglii wraca za jakieś cztery miesiące.

– Może ma adres internetowy?

– A pani go nie zna?

Powstrzymałam rozpaczliwe westchnienie.

– Nie, ale gdyby pani zadzwoniła do odpowiedniej instytucji zajmującej się opieką zdrowotną...

– Dobrze, dobrze, zajmę się tym – powiedziała znudzonym tonem.

– I bardzo proszę przekazać Ginny, żeby do mnie zadzwoniła. Rozprawa jest już we wtorek, tak?

– Zgadza się. Ale wszystkie zeznania muszą zostać przedstawione sądowi przed końcem godzin urzędowania w poniedziałek.

A to oznaczało, że na skontaktowanie się z Jane Sanjay przez e-mail został jej tylko weekend... oczywiście pod warunkiem, że Jane zatrzyma się w jakiejś kafejce internetowej, żeby sprawdzić pocztę, i że ta niezbyt gorliwa panna Pepinster w ogóle zada sobie trud, by ustalić jej adres.

Cały piątek czekałam na telefon od Ginny Ricks. Nie odezwała się, choć zostawiłam jej dwie wiadomości u Trudy.

– Przykro mi, wyjechała na weekend na wieś – powiedziała Trudy, kiedy zadzwoniłam po raz drugi. – Na pewno się do pani odezwie, jak tylko wróci w poniedziałek.

No tak, weekend na wsi – bez wątpienia z „chłopakiem”, który bez wątpienia ma na imię Simon i bez wątpienia jest absolwentem Harrow, a teraz ma „posadkę w City”, mówi takim samym, dudniącym głosem jak jego ukochana, do pracy ubiera się w garnitury z Jermyn Street, a w weekendy w „luźne” ciuchy od Hacketsa i bez wątpienia ma uroczy domek w Sussex Downs, skąd jest taki doskonały dojazd na letnie wieczorki operowe w Glyndebourne, gdzie w radzie miejskiej zasiada Diane Dexter, która z pewnością będzie się popisywać swoim nowym nabytkiem, a właściwie nabytkami, kiedy zacznie się sezon...

Wstałam i poszłam do kuchni; w jednej z szafek trzymaliśmy najróżniejsze książki kucharskie, plan miasta i atlas drogowy Anglii. Litlington leżało jakieś sto dziesięć kilometrów od Londynu, a trasa z Putney była wyjątkowo łatwa. Nie zastanawiając się, zadzwoniłam do informacji i zapytałam o numer D. Dexter w Litlington w Sussex. O dziwo, nie był zastrzeżony.

Przez jakieś pół godziny opierałam się pokusie zadzwonienia. Po namyśle zajrzałam jeszcze raz na półkę w kuchni, wygrzebałam przewodnik po usługach cyfrowych British Telecom i odkryłam, że jeśli chce się gdzieś zadzwonić tak, by numer nie został namierzony (i by nie wyświetlił się na aparacie z identyfikacją) wystarczy najpierw wybrać 141.

Ale potrzebowałam kolejnej godziny – i wieczornej dawki leków – by zebrać się na odwagę i zadzwonić. W końcu złapałam słuchawkę, wystukałam 141, numer Diane Dexter, zakryłam mikrofon ręką i z łomoczącym sercem słuchałam sygnałów. Po piątym dzwonku – kiedy już miałam odłożyć słuchawkę – ktoś odebrał.

– Słucham?

Tony.

Rozłączyłam się. Długo siedziałam w fotelu, szczerze żałując, że nie mogę mieszać alkoholu z lekami. Kieliszek wódki bardzo by mi się przydał.

Dźwięk jego głosu...

Nie, nie zadał mi bólu. Nic z tego. Przez ten tydzień, od kiedy zaczął się cały koszmar, czułam wyłącznie wściekłość... tym większą, że z upływem czasu stawało się coraz bardziej jasne, iż knuł tę intrygę już od dawna.

Analizowałam w myślach ostatnie miesiące, zastanawiając się, kiedy zaczął się jego

romans z tą Dexter. Próbowałam zgadnąć, gdzie ją poznał, czy był to klasyczny coup defoudre, czy też może ona upolowała sobie mężczyznę, który, jak doskonale wiedziałam, jest słaby psychicznie i łasy na pochlebstwa. Myślałam o późnych powrotach Tony'ego z redakcji, o jego wyskokach na jeden dzień do Paryża i Hagi i o tym wspaniałym, długim okresie swobody, kiedy ja odsiadywałam wyrok na oddziale psychiatrycznym: o tylu wolnych tygodniach, kiedy jego żoną i dzieckiem szczęśliwie zajmował się ktoś inny, a on mógł robić, co chciał i kiedy chciał.

Gnój. To było jedyne właściwe określenie. O dziwo, w szalonej rozpacznej spowodowanej rozłąką z Jackiem, zdrowa, klarowna wściekłość na mojego męża zapewniła mi dziwną równowagę; wyparła poczucie winy i ból, do tej pory wgryzające się we mnie jak najbardziej zjadliwy rodzaj raka.

Ale dźwięk jego głosu w słuchawce podziałał też na mnie jak niespodziewany policzek, który wytrącił mnie z osłupienia i postawił twarzą w twarz z ponurą rzeczywistością. Przed tym telefonem jakaś część mojej świadomości w dalszym ciągu usiłowała udawać, że nic się nie stało. Nie było to „wyparcie” w pełnym tego słowa znaczeniu (by użyć znienawidzonego terminu); raczej coś w rodzaju upartego niedowierzania i dziecinnej potrzeby wmówienia sobie, że za chwilę jakaś dobra wróżka machnie różdżką, chora, ponura farsa się skończy i wszystko będzie tak jak dawniej.

Ale nie mogłam już ignorować twardych faktów: Tony mieszkał w jej domu z naszym synem. I puścił w ruch prawną maszynę, by odebrać mi Jacka.

Zaliczyłam kolejną nieprzespaną, fatalną noc. O siódmej rano zadzwoniłam do firmy Tani Wynajem Samochodów. Okazało się, że mają filię w pasażu handlowym niedaleko stacji metra East Putney. Kiedy otworzyli interes o ósmej, byłam pierwszą klientką – wynajęłam małego nissana na jedną dobę, za trzydzieści dwa funty, pod warunkiem że zwrócę auto do ósmej następnego ranka.

– Mogę zapłacić gotówką? – zapytałam.

Chłopak za biurkiem spojrział na mnie nieufnie, ale po naradzie z przełożonym powiedział, że taka forma płatności wchodzi w grę, pod warunkiem że będą mogli zrobić odbitkę mojej karty kredytowej, na wypadek, gdyby wynikły jakieś dodatkowe koszty. Wręczyłam mu moją wyczyszczoną do zera VISEĘ z Bank of America, mając nadzieję, że będę już daleko, zanim zdążą ją sprawdzić.

Miałam szczęście. Chłopak po prostu odbił kartę na starej, ręcznej kopiarce, dał mi do podpisania kilka formularzy i wręczył kluczyki.

Ruch był niewielki przez całą drogę na południe. Do miasteczka o nazwie Lewes dojechałam w jakieś dziewięćdziesiąt minut i zatrzymałam się, by zapytać o drogę do Litlington. Jechałam kolejne pięćdziesiąt minut na południowy wschód, między łagodnie pofałdowanymi polami, od czasu do czasu mijając jakąś farmę. W końcu skręciłam w prawo przy drogowskazie Alfriston/Litlington; wokół mnie roztoczył się sielsko-angielski, pocztówkowy krajobraz. Okolica jak ze snu. Taki widok z okna można sobie kupić tylko za duże pieniądze. Wiedziałam, że mam szukać posiadłości zwanej Forrest Cottage. Miałam szczęście: jadąc

wyjatkowo krętą drogą i wypatrując drogowskazów, zauważyłam prostą, malowaną tabliczkę, do połowy zarośniętą krzakami. Zahamowałam i skręciłam w stromy, wąski podjazd.

W połowie dróżki zaczęłam się zastanawiać, co właściwie zrobię, kiedy stanę już pod domem? Co powiem? Nie miałam żadnej przygotowanej mowy, żadnej strategii, żadnego planu. Chciałam tylko zobaczyć Jacka.

Kiedy dotarłam do końca podjazdu, zaparkowałam przed bramą. Wsiadłam z samochodu. Podeszłam do bramy i spojrzałam na ładny, piętrowy wiejski dom, stojący jakieś sto metrów dalej. Był tak samo doskonale utrzymany, jak wypieszczone tereny, które go otaczały. Przed frontowym wejściem stał zaparkowany nowy land-rover. Postanowiłam, że zwyczajnie otworzę bramę, podejść do drzwi, zapukam i zobaczę, co się stanie. Podświadomie chyba wciąż się łudziłam, że jeśli tylko Tony i ta kobieta zobaczą moją twarz, tak się zawstydzą tego, co zrobili, że natychmiast oddadzą mi Jacka. ..

Nagle drzwi otworzyły się i zobaczyłam ją. Wysoka, bardzo elegancka kobieta. Klasyczne kości policzkowe. Krótkie, czarne włosy, odrobinę przyprószone siwizną. Ubrana była swobodnie, ale drogo: czarne dzinsy, czarna skórzana kurtka, modne firmowe traperki, szary golf... nawet z daleka bogactwo aż kłuło w oczy. A przez ramię miała przewieszoną chustę-nosidelko w afrykańskim stylu, w której siedział...

O mało nie krzyknęłam jego imienia na głos. Ale powstrzymałam się.

Może dlatego, że osłupiałam na widok tej kobiety – tej obcej kobiety – z moim synem przy piersi, zachowującej się, jakby był jej własnym dzieckiem.

Szła do land-rovera. I nagle mnie zobaczyła. Nie wiem, czy kiedykolwiek widziała moje zdjęcie, ale kiedy tylko dostrzegła mnie przy bramie, wiedziała.

Zatrzymała się. Była wyraźnie przestraszona. Przez długą, niekończącą się chwilę po prostu patrzyłyśmy na siebie, nie wiedząc, co powiedzieć. Odruchowo otoczyła Jacka ramionami, ale nagle opuściła je, jakby zdała sobie sprawę...

Z czego? Że ma na sumieniu najgorszą, najbardziej nikczemną kradzież, jaką można sobie wyobrazić?

Chwyciłam kurczowo pręty bramy. Chciałam podbiec do niej, odebrać jej mojego syna, wrócić biegiem do samochodu i...

Ale po prostu nie mogłam się ruszyć. Może dlatego, że widok tej kobiety obejmującej moje dziecko był jak cios obuchem w głowę, najgorszym wyobraźnym koszmarem. A może sparaliżował mnie strach i świadomość, że jeśli przekroczę granice i urządzę scenę, zwyczajnie dostarczę im dalszej amunicji przeciwko sobie. Wiedziałam, że już sam przyjazd tutaj był szalonym krokiem, który może się kiedyś na mnie bardzo zemścić. Ale... ale...

Musiałam wiedzieć. Musiałam to zobaczyć na własne oczy. Musiałam zobaczyć Jacka. A teraz...

Nagle odwróciła się ode mnie i pospiesznie ruszyła z powrotem do domu, znów obejmując...

mując Jacka.

– Tony!... – usłyszałam jej krzyk. Uciekłam. Pobiegłam do samochodu, wrzuciłam wsteczny, zawróciłam w miejscu i dodałam gazu. Kiedy zerknęłam we wsteczne lusterko, widziałam, że Tony stoi obok niej i patrzy w ślad za moim samochodem.

Nie zatrzymując się, wyjechałam z Litlington na główną szosę, po czym zjechałam w zatoczkę, zgasłam silnik i oparłam głowę o kierownicę. Długo nie mogłam się ruszyć.

Po jakichś dziesięciu minutach zmusiłam się, by usiąść normalnie, przekręcić kluczyk, wrzucić bieg. Ruszyłam z powrotem do Londynu. Nie pamiętam, jak dotarłam na miejsce. Prowadził za mnie jakiś instynktowny autopilot. Dotarłam do Putney. Zwróciłam samochód do wypożyczalni, wzbudzając zdziwienie pracownika, że tak wcześnie oddaję kluczyki. Godzinę później leżałam już na łóżku w domu, czekając, aż podwójna dawka leków uśmierzy ból, obezwładni mnie i znieczuli na resztę dnia. Wieczorem też wzięłam podwójną dawkę tabletek nasennych. Podziały, wyłączając mnie z życia na osiem godzin, aż do rana, kiedy to znów zafundowałam sobie podwójną porcję antydepresantów.

A potem był poniedziałek i dzwonił telefon.

– Mówi Ginny Ricks – usłyszałam w słuchawce rzeczowy, zaaferowany głos mojej adwokatkę. – Przepraszam, że nie mogłam z panią porozmawiać w piątek. Kolejny koszmary dzień w sądzie. Ale przejdźmy od razu do rzeczy: Deirdre zebrała wszystkie zeznania, które dziś po południu dostarczymy do sądu. Dziś też wprowadzę w sprawę naszego obrońcę. Rozprawa odbędzie się jutro, o dziesiątej trzydzieści rano, w budynku Sądu Najwyższego. Wie pani, gdzie to jest?

– Ja... no... nie...

– Na Strandzie. Każdy pani powie, gdzie to jest. Poproszę Deirdre, żeby czekała na panią przed głównym wejściem. Ja będę przed salą sądową, gdzieś w budynku. Zakładam, że ma pani coś eleganckiego, ale prostego do ubrania. Na przykład kostium. Najlepszy byłby czarny.

– Zobaczę, co... przepraszam, ja...

Zgubiłam wątek.

– Dobrze się pani czuje? – zapytała Ginny, odrobinę zniecierpliwiona mętnymi odpowiedziami.

– Nie najlepsza noc... – udało mi się wykrztusić.

– Raczej fatalna. Mam nadzieję, że postara się pani lepiej wyspać tej nocy, bo choć pani sama nie będzie jutro zeznawać, sędzia będzie się pani uważnie przyglądał i jeśli będzie pani w kiepskiej formie, z pewnością wzbudzi to jego wątpliwości. A dodatkowe wątpliwości to ostatnia rzecz, jakiej nam w tej chwili potrzeba.

– Obiecuję, że będę... przytomna – odparłam.

– Mam nadzieję.

Sandy wyjechała z dziećmi na cały weekend do domu przyjaciółki na Cape Cod, więc nie rozmawialiśmy przez kilka dni. Kiedy w końcu zadzwoniła, natychmiast zorientowała się, że jestem lekko otumaniona. I natychmiast zgadła, że przesadzałam ze środkami uspokajającymi. Próbowałam ją uspokoić, ale nie udało mi się. Usiłowała wydobyć ode mnie, czy wydarzyło się jeszcze coś, co doprowadziło mnie do takiego stanu, ale przecież nie mogłam jej powiedzieć o mojej wycieczce do Sussex – i jak podziałał na mnie widok Jacka w ramionach tej kobiety. Częściowo dlatego, że mimo chemicznego otępienia czułam się potwornie upokorzona, że w ogóle tam pojechałam. Poza tym zdawałam sobie sprawę, że sama Sandy nadal jest kompletnie rozbita. Jej rozpacz i żal – śmierć tego człowieka, którego uwielbiała, nawet kiedy wyrzucił ją jak stary mebel – była dla niej wielkim ciosem. Wiedziałam też, że będzie umierać z niepokoju przez następne dwadzieścia cztery godziny, jeśli przyznam się do swojego stanu psychicznego.

Wystarczyło, że martwiła się o wynik jutrzejszej rozprawy.

– Koniecznie zadzwoń do mnie, jak tylko poznasz decyzję sędziego. Co ci dzisiaj powiedziała ta twoja prawniczka?

– Niewiele. Tylko że... no cóż, zobaczymy.

– Sally, jaką dawkę leków teraz zażywasz?

– Przepisową.

– Nie wierzę ci.

– Dlaczego miałabym...

Zamknęłam oczy, kiedy kolejne zdanie zgubiło się gdzieś po drodze między moim mózgiem a ustami.

– Teraz mnie naprawdę wystraszyłaś – powiedziała Sandy.

– No, może faktycznie wzięłam o jedną więcej.

– No to nie bierz już więcej do rana.

– Dobrze.

– Obiecujesz?

– Masz moje słowo.

Oczywiście łyknęłam kolejną tabletkę zaraz po naszej rozmowie. Tej nocy nie potrzebowałam środków nasennych, bo dodatkowa dawka środków przeciwdepresyjnych zwała mnie skutecznie z nóg. Ocknęłam się o piątej nad ranem; czułam się oczadziła, rozdygotana, chora. Jak rozbitek po długim locie w farmakologicznej stratosferze.

Przez godzinę siedziałam w gorącej kąpieli, z parującą myjką na twarzy.

Wysuszyłam włosy, starając się nie zwracać uwagi na zmaltretowaną twarz w lustrze. Zeszłam do kuchni i zaparzyłam sobie całą kafetierkę kawy. Wypiłam wszystko. Zaparzyłam kolejny dzbanek i opróżniłam go tak jak pierwszy. Kiedy wróciłam do łazienki, by choć trochę zniwelować szkody za pomocą grubej warstwy podkładu i kredki do oczu, ręce mi się trzęsły. Kac po lekach, przedawkowanie kofeiny, strach. Najgorszy wyobraźalny strach.

Bo za kilka godzin miałam zostać osądzona – i choć powtarzałam sobie, że Ginny Ricks wie, co robi, i tak obawiałam się najgorszego.

Ubrałam się w swój najlepszy czarny kostium i nałożyłam na twarz jeszcze trochę tape-ty, by zamaskować ciemne sińce pod oczami. W końcu poszłam do metra. Wsiadając w pociąg District Line do stacji Tempie, wsiąknęłam w największy tłum porannej godziny szczytu – byłam po prostu jeszcze jedną, anonimową jednostką w garniturze, unikającą wzroku współpasażerów na prawdziwie angielską modłę, ze stoickim spokojem znoszącą tłok w wagonie, mdłą wilgoć, głębokie, obojętne milczenie mieszczuchów jadących do pracy. Tyle że ja nie jechałam do pracy: jechałam dowiedzieć się, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczę swoje dziecko.

Wysiadłam na stacji Tempie i ruszyłam w kierunku Strandu. Na miejscu byłam godzinę za wcześnie (bo nie mogłam sobie pozwolić na spóźnienie), usiadłam więc w jakiejś kafejce, próbując opanować zdenerwowanie. Bez skutku. Ginny Ricks ostrzegła mnie, że mój mąż może się nie pokazać na rozprawie („z prawnego punktu widzenia nie jest zobowiązany do obecności i może pozwolić, by jego prawnicy załatwili to za niego”), ale nawet nikła szansa, że może się zjawić, przerażała mnie. Bo nie wiedziałam, jak zareaguję, kiedy stanę z nim twarzą w twarz.

Piętnaście po dziesiątej podeszłam pod budynek Sądu Najwyższego i wspiełam się po schodach. Młoda kobieta – nieładna okularnica w prostym, szarym kostiumie i czarnym płaszczu przeciwdeszczowym – czekała przy wejściu. Spojrzała na mnie pytająco. Kiwnęłam głową.

– Deirdre Pepinster – rzuciła, odpowiadając mi ukłonem. – Proszę za mną.

Poprowadziła mnie przez stanowisko ochrony do wielkiego, marmurowego westybulu. Poczułam się jak w kościele – wysokie, sklepienie sufitów, przyćmione światło, głosy rozbrzmiewające echem i nieustannie przepływający strumień ludzi. Nie mówiąc nic, przeszłyśmy przez westybul i pokonałyśmy kilka korytarzy. Odpowiadało mi to, ponieważ byłam coraz bardziej zdenerwowana. Po kilku zakrętach dotarłyśmy pod drzwi, obok których stało kilka ławek. Na jednej z nich siedziała już Ginny Ricks, rozmawiając z anemicznym mężczyzną koło czterdziestki, ubranym w bardzo nijaki, szary garnitur.

– To jest Paul Halliwell, pani obrońca – przedstawiła go.

Mężczyzna wyciągnął rękę.

– Zeznania świadków otrzymałem dopiero dziś rano – powiedział – ale wygląda na to, że wszystko jest w porządku.

W mojej głowie rozdzwoniły się alarmowe dzwonki.

– Jak to, dopiero teraz dostał pan zeznania? – zapytałam.

– Zamierzałam do pani zadzwonić w tej sprawie wczoraj wieczorem – powiedziała Ginny Ricks. – Obrońca, którego wprowadziłam w sprawę, zachorował... więc musiałam znaleźć zastępcę. Ale proszę się nie martwić, naprawdę. Paul jest bardzo doświadczony...

– Ależ on dopiero teraz przegląda zeznania...

Przerwało nam przybycie drugiej strony. Na pierwszy rzut oka wyglądali jak żywa kopia mojej ekipy: chudy, szary mężczyzna, grubokoścista, doskonale utrzymana blondynka, kilka lat starsza od Ginny Ricks, ale z pewnością absolwentka tej samej szkoły noblesse oblige. Najwyraźniej wszyscy się znali; szybko zorientowałam się jednak, że szarak był radcą prawnym Tony'ego, a blondyna z wyższych sfer występowała w roli obrońcy. Widziałam, że mnie obserwuje, rozmawiając z pozostałymi – od czasu do czasu rzucała mi zimne spojrzenie z ukosa, oceniając mnie i dopasowując do tego wszystkiego, co jej o mnie powiedziano.

Paul Halliwell podszedł do mnie i odciągnął na bok.

– Wie pani, że to nie jest jeszcze ostateczna rozprawa i nie jest pani zobowiązana siedzieć na sali. To może być trochę stresujące.

– Muszę tam być – odparłam, mając ochotę dodać: w przeciwieństwie do mojego męża, który wysyła innych, by wykonali za niego brudną robotę.

– Dobrze, dobrze, tak jest lepiej, bo sędzia będzie wiedział, że naprawdę zależy pani na wyroku. Teraz przeczytam to szybko – machnął zeznaniami – ale wszystko wydaje się dość oczywiste. Najważniejsze jest tutaj oświadczenie lekarki ze szpitala. Jest bardzo zadowolona z rezultatów terapii, i tak dalej. A co do tego incydentu, kiedy groziła pani dziecku... zakładam, że była pani zmęczona, tak?

– Nie spałam od wielu nocy.

– I nigdy w żaden sposób nie wyrządziła pani synowi fizycznej krzywdy?

– Absolutnie nie.

– W takim razie w porządku. Kluczowy jest dla nas fakt, że nie wykazywała pani żadnych gwałtownych zachowań, które przekonałyby sąd, że stanowi pani zagrożenie dla dziecka.

– To samo mówiłam Ginny Ricks.

Jak na zawołanie Ginny wtrąciła się do naszej rozmowy i oznajmiła:

– Właśnie mi powiedziano, że zaczynamy za pięć minut.

– Nie ma strachu – powiedział Paul Halliwell. – Wszystko będzie dobrze.

Sala sądowa wykończona była w stylu wiktoriańskim, ze ścianami wyłożonymi boazerią i z witrażami w oknach. Sędzia zasiadał w wielkim fotelu na wprost wejścia. Naprzeciw niego stało sześć rzędów ławek. Ekipa Tony'ego usadowiła się po jednej stronie sali: obrońca w pierwszej ławce, adwokat za nim. Mój obrońca również usiadł w pierwszej ławce, tyle że po przeciwnej stronie. Ja zajęłam miejsce w drugiej ławce, z Deirdre i Ginny Ricks, która poinformowała mnie, że na tego rodzaju rozprawach obrońcy nie muszą zakładać peruk, a sędzia nie będzie ubrany w togę.

– Ładny kostium – szepnęła, kiedy czekaliśmy na przybycie sędziego. – Natychmiast zauważy, że pani tutaj jest, a to wyraźnie świadczy o tym, że chce pani odzyskać syna. Przekona się też, że nie jest pani żadną wiedźmą, tylko godną szacunku i...

Woźny sądowy kazał nam wstać. Otworzyły się boczne drzwi. Sędzia wszedł do sali. Nazywał się Merton i znany był z szybkiego, rzeczowego rozpatrywania spraw.

– W sumie nie jest jeszcze najgorszy – powiedziała mi Ginny Ricks, zanim się zjawił. – Biorąc pod uwagę prawdziwych szowinistów, którzy mogliby prowadzić tę sprawę, mamy szczęście. To człowiek starej daty, ale sprawiedliwy.

Rzeczywiście wyglądał na człowieka starej daty. Klasycznie skrojony czarny garnitur, srebrne włosy, patrycjuszowska postawa. Poprosił obrońcę Tony'ego, by „otworzył” rozprawę; trwało to około dwóch minut, podczas których obrońca Tony'ego przedstawiła strony i omówiła ogólnie pierwszą rozprawę ex parte. Sędzia oznajmił, że przeczytał zeznania świadków i prosi teraz o głosy stron.

Paul Halliwell wstał pierwszy. Ze swoim niewielkim wzrostem i w sklepowym, szarym garniturku wyglądał nijako w porównaniu z rasowym starcem w ławie sędziowskiej. Mówił jednak wyraźnym, przejętym (choć bez przesady) głosem. Zaczął swoje wystąpienie od słów „Wysoki Sądzie” i opowiedział całą historię od mojej strony, jasno, prosto i bez potknięć. Imponujące było, że praktycznie zaimprovizował swoją przemowę (nie miał innego wyjścia) - jak jeden z tych wynajętych „krewnych” na pogrzebie, którzy wplatają imię zmarłego w gotową mowę. Wypadł w miarę przekonująco, choć cała jego argumentacja nie była argumentacją, a zwykłym przedstawieniem faktów.

– Jak stwierdza w swoim zeznaniu prowadzący psychiatr, doktor Rodale, pani Goodchild dobrze zareagowała na leczenie i zaczęła na nowo przejawiać przywiązanie do dziecka. I choć prawdą jest, że poinformowała sekretarkę swojego męża o zamiarze zabicia syna... – musiał zerknąć w dokumenty – ...syna Jacka, faktem jest również, że nigdy nie użyła wobec niego przemocy fizycznej. Owszem, jej słowa mogą się wydawać dość szokujące, i sama pani Goodchild głęboko ich żałuje od chwili, kiedy je wypowiedziała, trzeba jednak koniecznie wziąć pod uwagę to, że jak każda matka opiekująca się noworodkiem, cierpiała na chroniczny brak snu, co z kolei prowadzi do wyczerpania i rozdrażnienia, i w takim stanie wymknęły jej się te przesadzone, nieszczęśliwe słowa, które nie miały żadnego związku z jej pełnym miłości stosunkiem do synka. Mam również nadzieję, że Wysoki Sąd weźmie pod uwagę fakt, iż słowa te zostały wypowiedziane, kiedy moja klientka cierpiała na depresję poporodową, która jest dość powszechną, choć podstępą chorobą, i w której wyniku jednostka może się zachowywać w sposób absolutnie niezgodny z jej zwykłym charakterem. Po raz kolejny zwracam uwagę Wysokiego Sądu na zeznanie doktor Rodale...

Kilka zdań później okraślił wszystko komentarzem, że wydaje mu się uderzająco okrutne i niezwykle, że odebrano syna tak godnej szacunku kobiecie – „wybitnej dziennikarce” – z powodu jednego nieszczęsnego zdania, wypowiedzianego, gdy „uwięziona była w koszmarnym, psychicznym labiryncie, jakim jest depresja”; w labiryncie, z którego szczęśliwie wybrnęłam, osiągając stan „całkowitej funkcjonalnej równowagi”. Na koniec wyraził nadzieję, że Wysoki Sąd nie zechce przecież rozdzielać matki i dziecka, biorąc pod uwagę brak jakichkolwiek agresywnych zachowań z mojej strony.

Uznałam to za całkiem niezły występ, biorąc pod uwagę, że panu Halliwellowi przydzielono rolę zaledwie kilka minut przed podniesieniem kurtyny. I byłam zadowolona, że podkreślił okrutną, przesadną surowość poprzedniego wyroku. Byłam pewna, że tak rozsądny, rzeczowy sędzia jak Merton przychylił się do takiego punktu widzenia.

Ale potem wstała kobieta, która była obrońcą Tony’ego. Ginny Ricks powiedziała mi, że nazywa się Lucinda Fforde... i niewiele więcej. Być może dlatego, że wiedziała coś, czego za chwilę ja miałam się dowiedzieć.

A mianowicie, że Fforde wyposażona jest w mordercze instynkty rasowego pitbulla.

Ze swoim modulowanym głosem i godną postawą była wcieleniem wystudiowanej rzeczowości. Była spokojna, tak przejęta i pewna swojej racji.

I miazdząco precyzyjna, kiedy przyszło do podważania wiarygodności mojej osoby.

– Wysoki Sądzie, mój klient, Anthony Hobbs, jest ostatnią osobą, która chciałaby zaprzeczyć, iż jego żona była kiedyś wybitną dziennikarką gazety „Boston Post”. Nie przeczy również temu, że przeszła poważną chorobę psychiczną, w której wspierał ją z całym współczuciem i zrozumieniem...

Jak słowo daję.

– Ale nie chodzi nam tu o zawodowy profesjonalizm pani Goodchild ani o fakt, jasno udokumentowany przez jej psychiatrę, że w wyniku farmakologicznego leczenia stopniowo wychodzi z depresji poporodowej. Nie, chodzi tutaj o dobro jej syna, Jacka, i o to, że swoim zachowaniem podczas ostatnich tygodni pani Goodchild wzbudziła poważne wątpliwości zarówno co do swojej równowagi psychicznej, jak i zdolności do opieki nad noworodkiem bez narażania go na niebezpieczeństwo.

Po czym wytoczyła ciężkie działa.

– Wysoki Sąd zapoznał się z zeznaniem pani Judith Crandall, byłej sekretarki pana Hobbsa w „Chronicle”, że pani Goodchild kilka tygodni temu zadzwoniła do męża i powiedziała, cytując: „Proszę mu przekazać, że jeśli nie zjawi się w domu w ciągu godziny, zabiję naszego syna”. Na szczęście pani Goodchild nie spełniła tej groźby i choć nikt nie będzie się sprzeczał z jej obrońcą, że zdanie to zostało wypowiedziane w stresie, faktem jest, Wysoki Sądzie, że wszystkie kobiety opiekujące się noworodkami cierpią na niedobór snu i towarzyszące mu wyczerpanie, ale przeważająca większość nie grozi śmiercią swoim dzieciom, niezależnie od tego, jak bardzo są zmęczone. Co ważniejsze, choć można jeszcze wybaczyć jeden taki gniewny wybuch, fakt, że pani Goodchild wygłosiła podobne słowa dwa

razy...

– Co?! – usłyszałam własny głos. Wszystkie oczy w sądzie zwróciły się w moją stronę – a przede wszystkim oczy sędziego, który przyjrzał mi się uważnie.

– Przepraszam Wysoki Sąd, to się więcej nie powtórzy – wypaliła Ginny Ricks, zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć.

– Mam nadzieję – odparł sędzia. Zwrócił się do Lucindy Fforde: – Może pani kontynuować.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie – powiedziała, chłodna jak góra lodowa. Tym bardziej, że wiedziała już, że ma mnie na talerzu. – Jak mówiłam, groźba pani Goodchild, że zabije dziecko, nie była jednorazowym incydentem. Tuż po porodzie pani Goodchild przebywała w szpitalu Mattingly, i podczas tego pobytu jej zachowanie stawało się coraz bardziej nieracjonalne, do tego stopnia, że kiedy jej syn przebywał na dziecięcym oddziale intensywnej terapii, jedna z pielęgniarek usłyszała jej słowa wypowiedziane do męża, i tu kolejny dosłowny cytat z zeznania jednego ze świadków, które Wysoki Sąd ma przed sobą: „On umiera, a ja mam to gdzieś. Rozumiesz? Mam to gdzieś”.

Ginny Ricks spojrzała na mnie przerażona. Zwiesiłam głowę.

– Pani Goodchild nie tylko publicznie wyraziła swoją obojętność wobec faktu, czy jej syn przeżyje; jedna ze szpitalnych pielęgniarek była świadkiem, jak dosłownie oderwała ona syna od piersi podczas karmienia, tak gwałtownie, że zachodziła obawa, czy nie rzuci dziecka na podłogę. Również to zdarzenie jest udokumentowane w zeznaniu pielęgniarki, pani Sheili McGuire, która pracuje w Mattingly od pięciu lat. Wysoki Sąd ma również przed sobą zeznanie położnika, pana Thomasa Hughesa, który jednoznacznie twierdzi, że był bardzo zaniepokojony emocjonalnymi wybuchami pani Goodchild w szpitalu. Jak stwierdza pan Hughes: „Od samego początku było dla mnie jasne, że stan psychiczny pani Goodchild szybko się pogarsza, do tego stopnia, że ja sam i moi koledzy ze szpitala mieliśmy wątpliwości, czy znieśie ona blaski i cienie pierwszych tygodni opieki nad synem”.

„Blaski i cienie pierwszych tygodni...” Rozerwali mnie na sztuki jak stado wilków.

– Niestety, niepokój pana Hughesa i jego współpracowników okazał się uzasadniony, jako że wkrótce po wyjściu ze szpitala z synem, pani Goodchild zaczęła zażywać środki nasenne przepisane jej przez lekarza domowego z powodu bezsenności, na którą zaczęła cierpieć. Lekarka wyraźnie ostrzegła ją, by nie karmiła dziecka piersią po zażyciu tego leku. Jednak wkrótce potem jej syn trafił do szpitala nieprzytomny, po spożyciu środka uspokajającego wraz z mlekiem matki. Stan psychiczny pani Goodchild tak bardzo zaniepokoił personel szpitala St Martin's, że z miejsca trafiła na oddział psychiatryczny, gdzie przebywała prawie sześć tygodni, przez pierwsze dni pobytu nie odzywając się ani słowem i odmawiając przyjmowania pokarmu.

Nakryłam dłońmi opuszczoną głowę jak ktoś, kto próbuje osłonić się przed serią nieuchronnych ciosów.

Przyszła pora na coup de grace – dowiedzieliśmy się, że pan Hobbs był wybitnym za-

granicznym korespondentem „Chronicie”, który właśnie zrezygnował ze stanowiska redaktora naczelnego działu zagranicznego, by poświęcić cały swój czas synowi...

I znów miałam ochotę krzyknąć: „Co?” – ale się powstrzymałam. Moja sytuacja i tak była fatalna.

Lucinda Fforde wyjaśniła z kolei, że pani Dexter jest założycielką i prezesem jednej z najbardziej wpływowych firm marketingowych w kraju, której aktywa niedługo pojawią się na londyńskiej giełdzie. Opisała jej stan majątkowy, wymieniła wysokie funkcje w najróżniejszych przedsiębiorstwach i instytucjach, po czym wyjawiała, że pani Dexter planuje wyjść za pana Hobbsa, kiedy tylko dostanie on rozwód.

– Co najważniejsze, od samego początku rodzinnego kryzysu, pani Dexter wzięła na siebie zadanie zapewnienia Jackowi bezpieczeństwa i właściwej opieki. Zatrudniła w tym celu pełnoetatową nianię, która się nim zajmuje – oczywiście nie licząc ojca, który, jak już wcześniej wspomniałam, okazał swoje głębokie zaangażowanie, rezygnując z pracy w „Chronicie”, by móc być z synem w początkach jego życia. Nie ma wątpliwości, że pan Hobbs i pani Dexter zapewnią Jackowi pełen miłości, bezpieczny dom, w którym będzie się czuł najlepiej. Nie można też zapominać, że choć pani Goodchild może faktycznie dobrze reagować na leczenie farmakologiczne, wciąż istnieją wątpliwości co do jej psychicznej równowagi, czego dowodzi choćby fakt, iż zaledwie dwa dni temu bez zapowiedzi i bez zaproszenia zjawiała się pod bramą wiejskiego domu pani Dexter w Sussex.

Wizyta ta była niezwykle niepokojąca i w jawny sposób naruszyła postanowienia wyroku sądowego, wydanego przed dwoma tygodniami. Konkludując, pozwolę sobie podkreślić, że ani pan Hobbs, ani pani Dexter nie życzą pani Goodchild źle. Wręcz przeciwnie. Jej mąż, mimo separacji, jest głęboko zmartwiony jej obecnym stanem. Podjęcie przez niego kroków w celu uzyskania wyroku *ex parte* nie było podyktowane złością czy chęcią zemsty... miało na celu jedynie ochronę dziecka przed dalszym zagrożeniem. Zanim została podjęta ta decyzja, związek pana Hobbsa z panią Dexter był już od jakiegoś czasu oparty na mocnych podstawach. Pan Hobbs czuł po prostu, że powinien ograniczyć fizyczny kontakt pani Goodchild z synem, gdyż w przeciwnym razie Jack będzie narażony na niebezpieczeństwo. A pani Dexter zapewniła Jackowi nie tylko schronienie, ale i całodobową, fachową opiekę. Biorąc pod uwagę, że nie jest ona matką dziecka, jej zachowanie w tym krytycznym momencie można uznać za godne naśladowania.

I nagle było po wszystkim. A w każdym razie po wystąpieniu Lucindy Fforde, która podziękowała Wysokiemu Sądowi i usiadła. Sędzia oznajmił, że uda się do gabinetu, by rozważyć swoją decyzję i poprosił wszystkich o powrót za dwadzieścia minut, kiedy to ogłosi wyrok. Deirdre Pepinster trąciła mnie łokciem. Podniosłam się z miejsca, choć nogi miałam jak z waty. Wysoki Sąd wstał ze swego fotela i opuścił salę.

Lucinda Fforde i radca Tony’ego również wyszli, unikając mnie starannie. Paul Halliwell ruszył za nimi.

– Przykro mi – powiedział – ale mogę grać tylko takimi kartami, jakie mam w ręce.

I wyszedł.

Klapnęłam z powrotem na krzesło. Nastąpiła długa chwila ciszy.

– Naprawdę pojechała pani w ten weekend do domu tej kobiety? – zapytała w końcu Ginny Ricks.

Nie odpowiedziałam.

– Czemu nie powiedziała nam pani o incydencie ze środkami nasennymi?

Ani o tych groźbach wobec dziecka? Gdyby pani była z nami szczerą, moglibyśmy...

Wstałam.

– Muszę iść do toalety.

Ruszyłam do wyjścia, ale kolana się pode mną ugięły. Deirdre Pepinster złapała mnie w porę.

– Spokojnie – powiedziała.

– Zostań z nią – rzuciła Ginny Ricks obojętnym tonem. Było jasne, że uważały mnie już za straconą; za bezużyteczny grat, o którym będzie można zapomnieć za dwadzieścia minut, kiedy będą już miały za sobą cały ten żenujący epizod.

Chciałam jej powiedzieć, że jest niekompetentną, nadętą dziwką. Przypomnieć, że nie chciało jej się uzyskać ode mnie niezbędnych informacji, że traktowała moją sprawę jako niechciany dodatek do swojego wypełnionego po brzegi terminarza, że wprowadziła mojego obrońcę w sprawę dziesięć minut przed rozprawą (i nie obchodzi mnie, że był zastępcą znalezionym w ostatniej chwili – mogła znaleźć zastępcę wczoraj) i powiedzieć, że teraz usiłuje zwalić na mnie winę za swój brak profesjonalizmu.

Ale nie powiedziałam nic; pozwoliłam, by Deirdre Pepinster odprowadziła mnie do toalety, gdzie zamknęłam się w kabinie, padłam na kolana i w ciągu pięciu minut opróżniłam żołądek z całej zawartości.

Kiedy wyszłam z kabiny, Deirdre Pepinster popatrzyła na mnie z nerwowym niesmakiem.

– Powinniśmy wracać – powiedziała, spoglądając na zegarek.

Zanim wyszliśmy z łazienki, zdążyłam jeszcze przepłukać usta wodą z kranu. Kiedy wróciliśmy na salę sądową, zauważyłam, jak Deirdre Pepinster i Ginny Ricks wymieniają się spojrzeniami.

Po chwili woźny sądowy ogłosił przybycie sędziego. Wstaliśmy wszyscy.

Boczne drzwi otworzyły się, sędzia wszedł. Zajął miejsce, więc usiedliśmy i my. W końcu odchrząknął i zaczął mówić. Jego przemowa trwała może pięć minut. Kiedy skończył i wszyscy pozostali wyszli z sali sądowej, Ginny Ricks powiedziała:

– Cóż, gorzej już chyba być nie mogło.

10

Sędzia mówił, nie patrząc na mnie. Wyglądało to, jakby zwracał się do punktu na podłodze, tuż za swoim biurkiem. Ale jego rzeczowy głos był wymierzony wprost we mnie.

Jego „osąd” był krótki i zwięzły. Po należyтым przemyśleniu sprawy nie widział powodu, by zmieniać pierwotny wyrok *ex parte*, uznał więc za wskazane utrzymanie status quo przez następne sześć miesięcy, do czasu ostatecznej rozprawy dotyczącej prawa do opieki. Postanowił jednak uzupełnić pierwotny wyrok o kilka dodatkowych warunków. Choć przyznawał, że bezpieczeństwo dziecka jest tu kwestią pierwszorzędną, uznał, że „matka ma prawo do nadzorowanego kontaktu z dzieckiem raz w tygodniu, w ośrodku kontaktowym odpowiednim dla jej miejsca zamieszkania”. Zarządził też sporządzenie raportu CAF/CASS, który ma zostać dostarczony sądowi na pięć tygodni przed ostateczną rozprawą, za sześć miesięcy, „kiedy to sprawa zostanie rozstrzygnięta raz na zawsze”.

Po czym wstał i wyszedł.

Lucinda Fforde podała rękę Paulowi Halliwellowi. Uścisk był krotki, bez słowa, z czego wywnioskowałam, że to tylko zwyczajowa forma grzecznościowa po zakończeniu rozprawy. Pospiesznie wyszła z sali razem z radcą Tony’ego, żegnając Ginny Ricks krótkim skinieniem głowy. Wykonała swoją robotę i pospieszyła zająć się kolejnym ludzkim nieszczęściem. Mój obrońca zachował się podobnie. Spakował teczkę i wziął swój płaszcz przeciwdeszczowy.

– Będziemy w kontakcie – mruknął do Ginny Ricks i wyszedł. Choć został przecież rzucony na pole bitwy bez przygotowania, był wyraźnie zażenowany. Nikt nie lubi przegrywać.

Deirdre Pepinster również pożegnała się i wyszła, zostawiając mnie sam na sam z moją panią adwokat. Właśnie wtedy Ginny Ricks westchnęła teatralnie i powiedziała:

– Cóż, gorzej już chyba być nie mogło. – Po chwili dodała: – Tak jak pan Halliwell, zawsze mawiam w takich przypadkach: mogę grać kartami, które mam w ręce. A pani, niestety, dała mi same blotki. Gdybym tylko wiedziała...

Chciałam jej odpowiedzieć, uświadomić jej, co o niej myślę. Ale opanowałam się jakoś.

– Chciałabym tylko – powiedziałam trzęsącym się głosem – żeby pani przetłumaczyła mi na ludzki język, co powiedział sędzia.

Kolejne znużone westchnienie.

– Termin „prawo do opieki” to chyba oczywista sprawa. Sędzia decyduje, kto będzie się opiekował dzieckiem, i w tym przypadku postanowił utrzymać status quo z poprzedniej rozprawy. A to oznacza, że pani mąż i jego nowa partnerka będą się opiekować pani synem przez najbliższe pół roku, po którym to czasie odbędzie się ostateczna rozprawa. Wtedy będzie pani mogła jeszcze raz przedstawić swoje argumenty i, miejmy nadzieję, uzyskać korzystniejszy dla siebie wyrok. Tymczasem, jak powiedział, ma pani zapewniony nadzorowany kontakt w ośrodku kontaktowym – czyli w pomieszczeniu w jednym z ośrodków opieki społecznej w Wandsworth, gdzie raz w tygodniu będzie pani mogła spędzić godzinę ze swoim dzieckiem, pod nadzorem pracownika socjalnego, który ma zadbać o to, by dziecku nie stała się krzywda. CAF/CASS to instytucja, która współpracuje z sądem przy sprawach rodzinnych, wydając opinię na podstawie wywiadu środowiskowego. A raport, którego sporządzenie zarządził sędzia, oznacza, że przez następne sześć miesięcy kurator będzie sprawdzał panią, a także pani męża i jego partnerkę. I, jeśli mam być szczerą, biorąc pod uwagę ich argumenty przeciwko pani, nie widzę wielkich szans, by zdołała pani zmienić opinię sądu. Tym bardziej, że przez ten czas dziecko zadomowi się u ojca i jego partnerki. Oczywiście, jeśli życzy sobie pani, żebyśmy wzięli tę sprawę...

Uniosłam głowę i spojrzałam jej w oczy.

– Nie ma mowy – powiedziałam.

Wstała, uraczyła mnie tym swoim wyniosłym wzruszeniem ramion i odparła:

– To pani prawo, pani Goodchild. Do widzenia.

Zostałam sama w sali sądowej. Nie miałam ochoty ruszać się z tego miejsca. Sąd uznał mnie za wyrodną matkę. Przez najbliższych sześć miesięcy mój kontakt z Jackiem będzie ograniczony do marnych sześćdziesięciu minut tygodniowo, w obecności jakiegoś pracownika socjalnego, na wypadek gdybym zaczęła świrować. Ginny Ricks miała rację: biorąc pod uwagę ciężar dowodów przeciwko mnie i bogactwo plus wysoki status społeczny pani Dexter, szanse na uzyskanie prawa do opieki nad Jackiem, czy choćby prawa do regularnych spotkań bez nadzoru, były bliskie zera.

Właśnie straciłam syna.

Usiłowałam to pojąć, jakoś poukładać to sobie w głowie.

Właśnie straciłam syna.

Powtarzałam w myślach to zdanie ciągle od nowa, ale wciąż nie byłam w stanie ogarnąć jego złowrogości znaczenia.

Po dziesięciu minutach zjawił się woźny i powiedział, że będę musiała opuścić salę. Wstałam więc i wyszłam na ulicę.

Zeszłam na stację Tempie. Kiedy na peron wjechał z hurgotem pociąg, oparłam się o ścianę i chwyciłam kurczowo koszyk na śmieci, ze strachu, że rzucę się pod koła. Nie pamiętałam jazdy na południe ani tego, jak dotarłam do domu. Pamiętam tylko, że zawlokłam się do sypialni, zasłoniłam okna, powylaçałam telefony, zdjęłam z siebie ubranie, weszłam pod

kołdrę – i nagle dotarło do mnie, że choćbym próbowała odciąć się od świata, świat wciąż był na zewnątrz, obojętny na moje nieszczęście.

Nie mając pojęcia, co robić, przeleżałam wiele godzin w łóżku, z kołdrą naciągniętą na głowę. Pragnęłam zapomnienia, ale nie było mi ono dane.

Tym razem nie leżałam jednak uczepona materaca, jakby to był jedyny stały punkt, poza którym otwiera się przepaść. Choć przepełniała mnie nieopanowana, desperacka rozpacz, nie miałam poczucia nieuchronnej katastrofy ani spadania w otchłań. Nie wiedziałam, czy to efekt kumulacji środków przeciwdepresyjnych w organizmie, czy jakaś wyspa w grzędawisku depresji, na którą przypadkiem trafiłam. Wiedziałam tylko, że już nie tonę.

Moje stopy stały na twardym gruncie. Umysłu nie spowijała mgła. Krajobraz roztaczający się przede mną był wyraźny, choć przejmująco ponury.

Zmusiłam się więc, by wstać z łóżka, wziąć gorący i zimny prysznic i posprzątać sypialnię, która przez ostatnie dni zaczęła przypominać zaśmieconą norę. Kiedy już powiesiłam do szafy ostatnią parę ciśniejących na podłogę dzinsów, tama wreszcie puściła – i łzy popłynęły niepowstrzymanym potokiem. Ale nie zapadłam się znów w otchłań nieświadomości. To był zwyczajny, rozpaczliwy smutek.

Okolo czwartej podłączyłam z powrotem telefon. Zadzwoił natychmiast.

Była to Sandy. Już z tonu mojego głosu zorientowała się, jaki zapadł wyrok.

Ale kiedy opowiedziałam jej o szczegółach zarządzeń sędziego i o nadzorowanym kontakcie z Jackiem, była przerażona.

– Jezu Chryste, przecież nie biegasz po ulicy z siekierą!

– Niby tak, ale ich obrońca miał dość argumentów, by opisać mnie jako jednostkę stojącą na granicy obłądzenia. No i ja sama nie ułatwiłam sobie życia, kiedy...

– Tak?

Powiedziałam jej o wycieczce na wieś, przeprasząc, że nie przyznałam się do tego wcześniej.

– Nie przejmuj się – powiedziała. – Choć powinnaś wiedzieć, że możesz mi mówić o wszystkim... o wszystkim, i nie będę dziwaczyć. A sędzia na pewno przychylnie spojrzał na fakt, że musiałaś zobaczyć swojego syna, bo to przecież absolutnie normalny odruch, nie? W końcu nie zaczęłaś walić do ich drzwi o trzeciej nad ranem, wymachując dwunastostrzałowcem. Stałaś tylko pod bramą i patrzyłaś, tak?

– Tak, ale reprezentujący mnie obrońca nie został należycie wprowadzony w sprawę.

– Jak to nie został, do cholery?

Opowiedziałam jej o niedbalstwie mojej prawniczki. Sandy dostała białej gorączki.

– Kto ci polecił tę dziwkę?

– Mąż mojej przyjaciółki, Margaret Campbell...

– To ta Amerykanka, która mieszkała w Londynie, a teraz wróciła do Stanów?

Sandy miała niesamowitą pamięć.

– Tak, właśnie ta.

– Też mi przyjaciółka!

– To nie jej wina ani jej męża. Powinam trochę lepiej sprawdzić tę kancelarię. ...

– Przestań wreszcie – powiedziała. – Skąd, u licha, masz się znać na londyńskich prawnikach?

– No, teraz już wiem o nich to i owo.

Wieczorem telefon znów się odezwał. Tym razem był to Alexander Campbell.

– Mam nadzieję, że nie dzwonię nie w porę – powiedział. – Ale twoja siostra zadzwoniła dziś do Margaret i powiedziała jej, co się stało. I jak cię potraktowała ta kobieta... ta Virginia Ricks, zgadza się? To po prostu oburzające. Zamierzam sam zadzwonić jutro do Lawrence'a i Lamberta...

– Myślę, że największa szkoda już się stała.

– Szkoda, za którą czuję się odpowiedzialny.

– Skąd mogłeś wiedzieć?

– Powinienem zapytać londyńskich kolegów o najlepsze kancelarie rozwodowe.

– A ja nie powinnam się godzić na pierwszego prawnika, na jakiego trafiłam. Ale... stało się.

– I co teraz?

– Teraz... myślę, że straciłam syna.

Margaret też zadzwoniła, by wyrazić mi swoje współczucie i powiedzieć, jak bardzo jej głupio.

– Dużo z ciebie zdarli ci „prawnicy”?

– Sama jesteś żoną prawnika i dobrze wiesz, że zawsze zdzierają.

– Ile?

– To już nie ma znaczenia.

– Ile?

– Zaliczkę w wysokości dwóch tysięcy pięciuset funtów. Ale jestem pewna, że ostateczny rachunek będzie wyższy.

– I z czego za to zapłacisz?

Z moich topniejących zapasów, a niby z czego.

I rzeczywiście, rachunek od firmy Lawrence & Lambert przyszedł następnego ranka. Miałam rację, że przekroczy zaliczkę – tylko tysiąc siedemset trzydzieści funtów ponad pierwotne dwa i pół tysiąca – każda pozycja drobiazgowo wyszczególniona. Dostałam też telefon od Deirdre Pepinster.

Jak zwykle była lakoniczna.

– Chciałam z panią wczoraj poruszyć jeszcze jedną sprawę, ale pomyślałam, że wystarczy pani złych wieści...

O Boże, co jeszcze?

– Sprawdziłam zapis w rejestrze ziemskim. Dom jest waszą współwłasnością. ..

To chyba dobrze, nie?

– Ale wczoraj przed rozprawą rozmawialiśmy z prawnikami pani męża.

Wygląda na to, że chce go sprzedać jak najszybciej.

– A może to zrobić?

– Według prawa każdy współwłaściciel domu może wymusić sprzedaż.

Ale wymaga to czasu i sąd rozwodowy może tego zakazać. Gdyby miała pani prawo do opieki nad dzieckiem, sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej.

Żaden sąd nie pozwoliłby sprzedać domu bez pani zgody. Ale w tej sytuacji...

– Rozumiem – odparłam.

– Złożyli nam ofertę... coś w rodzaju propozycji ugody, można powiedzieć.

– To znaczy?

– Ehm... Ginny Ricks twierdzi, że już pani nie reprezentujemy.

– Zgadza się.

– W takim razie przefaksuję to pani.

Fax przyszedł kilka minut później: długi list od prawników Tony’ego, w którym informowali mnie, że ich klient chce przyspieszyć sprawę rozwodową i w tych okolicznościach pragnie okazać swoją szczodrość. Ponieważ uzyskał prawo do wyłącznej opieki nad synem, nie będzie żadnej mowy o alimentach na dziecko. A skoro przed przyjazdem do Londynu moja kariera dziennikarska była w rozkwicie, ich klient uważa, że alimenty dla mnie również nie wchodzi w grę, bo jestem w stanie doskonale sama na siebie zarobić. Ponieważ ich klient zainwestował w dom osiemdziesiąt procent jego wartości, spodziewa się otrzymać również osiemdziesiąt procent zysku ze sprzedaży (choć biorąc pod uwagę, że posiadaliśmy dom zaledwie od siedmiu miesięcy, zysk ten nie będzie zawrotny). Jednak chcąc okazać szczodrość, proponuje mi następujący układ: jeśli nie będę podważać jego prawa do opieki, po sprzedaży domu otrzymam nie tylko dwadzieścia tysięcy funtów, jakie zainwestowałam w kupno, ale też siedem tysięcy za przeróbkę strychu (za którą zapłaciłam z własnej kieszeni), plus dodatkowe dziesięć tysięcy na osłode, plus pięćdziesiąt procent zysku ze sprzedaży. Jeśli jednak nie przyjmę tej propozycji, nie będą mieli innego wyjścia, jak rozstrzygnąć sprawę przed sądem, a wtedy...

Zrozumiałam. Musiałam szybko się z nimi dogadać albo przygotować się, że wybułę jeszcze więcej pieniędzy na prawników. Pieniądzy, których w tej chwili nie miałam.

W supergrzecznie sformułowanym liście z pogrózkami była jedna, niewielka luka, pozwalająca mi złapać oddech: dano mi dwadzieścia osiem dni na odpowiedź, zanim zostaną podjęte kroki prawne. A to oznaczało, że jeszcze przez chwilę nie muszę się nim przejmować. Tym bardziej, że miałam teraz na głowie o wiele bardziej palące kwestie, jak na przykład całkowity brak pieniędzy. Choć spodziewałam się dodatkowego rachunku za usługi Ginny Ricks, w głębi serca łudziłam się, że w związku z niekorzystnym dla mnie wyrokiem Lawrence & Lambert obniżą koszty. Co za absurdalny pomysł. Co gorsza, dodatkowy rachunek na tysiąc siedemset trzydzieści funtów opatrzony był adnotacją: „Do zapłaty w ciągu czternastu dni”.

Oczywiście miałam ochotę zmiąć tę fakturę i wrzucić do kosza. Albo znaleźć innego prawnika i pozwać Ginny Ricks za całkowity brak kompetencji. Ale wiedziałam też, że jeśli nie zapłacę rachunku, Lawrence & Lambert dobiorą się do mnie, a na dodatek rozpuszczą pocztą pantoflową wieść, że nie tylko jestem wyrodną matką, ale i bankrutką. Poszłam więc po południu do banku, zrobiłam przelew na tysiąc siedemset trzydzieści funtów, wysłałam kopię potwierdzenia, po czym usiadłam w kafejce na Putney High Street, rozmyślając smętnie, że moje zasoby skurczyły się do mniej więcej dwóch i pół tysiąca funtów. Było tego dość, by przeżyć kilka miesięcy, pod warunkiem że nie zatrudnię kolejnego prawnika, który reprezentowałby mnie na ostatecznej rozprawie.

Czułam głęboki podziw dla prawników Tony’ego. Ich oferta była makiawelicznie przebiegła. Przyjmij nasze warunki, to dostaniesz trochę pieniędzy, by zacząć życie od nowa. Odrzuć propozycję, a wciągniemy cię w prawną bitwę, na którą cię nie stać i która skończy się takim samym wynikiem: Jack zostaje z Tonym i z tą kobietą.

Oczywiście chwilami bardzo mnie kusiło, by po prostu zgodzić się na ich gówniane warunki i mieć to wszystko z głowy – wziąć pieniądze, znaleźć sobie nowe miejsce do życia

i nową pracę, i z czasem próbować wynegocjować częściowe prawo do opieki. Ale to by oznaczało, że Jack będzie dorastał, uważając tę kobietę za swoją matkę, a ja będę dla niego jakimś niepełnowartościowym rodzicielskim dodatkiem, osobą, która go zawiodła, bo nie była w stanie poradzić sobie z obowiązkami macierzyńskimi. Sądząc z ich dotychczasowego zachowania, nie miałam wątpliwości, że Tony i ta jego Dexter zrobią co w ich mocy, by go nastawić przeciw mnie. Ale choćby nawet z czasem zaczęli wykazywać uczciwość i dobrą wolę, ja miałam prawny zakaz wychowywania mojego syna. A z tym po prostu nie mogłam się pogodzić.

– Jesteś mniej roztrzęsiona, niż się spodziewałam – powiedziała Sandy wieczorem, kiedy do mnie zadzwoniła.

– Jestem roztrzęsiona, nie bój się – odparłam. – I co chwilę wybucham płaczem. Ale teraz jestem też wściekła.

Sandy roześmiała się.

– Miło mi to słyszeć.

Moja wściekłość była jednak mocno utemperowana przez skrzeczącą rzeczywistość. Prawnie i finansowo znalazłam się w ślepej uliczce. I niewiele mogłam na to poradzić, zostało mi tylko robić dobrą minę do złej gry.

A to oznaczało, że od samego początku muszę zachowywać się wzorowo wobec pracowników socjalnych, którzy mieli ze mną do czynienia w ośrodku kontaktowym. Nie mogłam okazywać arogancji ani złości, ani zachowywać się jak ktoś, kto uważa, że ma niezbywalne prawo do wychowywania swojego dziecka. Dla nich liczył się tylko wynik ostatniej rozprawy: zostałam uznana za niebezpieczną dla mojego dziecka. Nie miało znaczenia, że fakty naciągnięto na moją niekorzyść przez sprytnego obrońcę drugiej strony ani to, że byłam chora. Nie mogłam udawać skrzywdzonego niewiniątka. Czy mi się to podobało, czy nie, musiałam pogodzić się z faktem, że jestem zdana na ich łaskę.

Kiedy więc zadzwoniła do mnie niejaka Clarice Chambers z Ośrodka Opieki Społecznej w Wandsworth i zaproponowała, by moje pierwsze nadzorowane spotkanie odbyło się za dwa dni, zgodziłam się natychmiast na proponowany termin i zjawiłam na miejscu piętnaście minut przed czasem.

Ośrodek kontaktowy mieścił się w ponurym, nowoczesnym budynku z pustaków, przy Garratt Lane w Wandsworth. Usytuowany był niedaleko rozłożystego, paskudnego bloku zwanego Arndale Centre, znanego w okolicy jako miejsce, gdzie najłatwiej można kupić działkę cracka.

Inne „nieudane matki”, które wraz ze mną czekały na widzenie w ośrodku, wyglądały, jakby we własnych domach przeżyły niejeden horror, pomijając już nawet bolesny fakt prawnej separacji z dziećmi. Siedziałyśmy we cztery na ławce w korytarzu o brudnych, betonowych ścianach, z porysowanym linoleum na podłodze. Moje trzy towarzyszki były młode. Jedna z nich wyglądała najwyżej na piętnaście lat. Kiedy spojrzałam na kolejną, jej nieobecne oczy i nadpobudliwe gesty kazały mi się zastanowić, czego się naćpała. Trzecia kobieta

cechowała się potężną nadwagą i wyglądała, jakby lada moment miała wybuchnąć płaczem. Nie odzywałyśmy się do siebie, czekając, aż wywołają nasze nazwiska.

Po jakichś dziesięciu minutach podeszła do nas kobieta z recepcji.

– Sally Goodchild – powiedziała i skierowała mnie do pokoju numer 4, prosto korytarzem, drugie drzwi po prawej. Idąc do wskazanych drzwi, poczułam strach. Bo nie wiedziałam, jak zareaguję na widok mojego syna.

Ale nie było go tam, kiedy weszłam. Zamiast niego zastałam w środku Clarice Chambers – potężną, wzbudzającą respekt Afrokaraibkę o zdecydowanym uścisku dłoni i uśmiechu. Natychmiast zauważyłam, że salę urządzone jak pokój dziecienny, z pluszowymi zabawkami, kojcem do zabawy i tapetą w zwierzątka – wszystko to wyglądało niemal żalśnie w zestawieniu z ostrym światłem jarzeniówek i popękаныmi płytkami na suficie.

– Gdzie jest Jack? – zapytałam nerwowo.

– Będzie z nami za minutkę – odparła, zapraszając mnie gestem, bym usiadła na plastikowym krześle naprzeciw niej. – Ale chciałam chwilę z panią porozmawiać przed pani spotkaniem z synem i wytłumaczyć jak to wszystko funkcjonuje.

– Dobrze, oczywiście – powiedziałam, usiłując się uspokoić. Clarice Chambers posiadała mi kolejny pełen zrozumienia uśmiech, po czym wyjaśniła, że od tej chwili właśnie ten dzień i tę godzinę – środę, jedenastą rano – mam uważać za stały termin spotkań z Jackiem. Jego ojciec został poinformowany o tym fakcie, i niania będzie go tu przywozić co tydzień. Niania nie będzie obecna przy tych spotkaniach, tylko ja i Clarice. Jeśli jednak sobie życzę, mogę wyznaczyć przyjaciela lub członka rodziny, który będzie nadzorował te spotkania, choć oczywiście osoba ta musiałaby najpierw zostać sprawdzona przez pracowników ośrodka, czy nadaje się do pełnienia takiej funkcji.

– Od niedawna mieszkam w Londynie i tak naprawdę nie znam nikogo, kto mógłby...

Przerwałam, nie będąc w stanie mówić dalej.

Clarice dotknęła mojej dłoni.

– Nie szkodzi. W takim razie ja będę nadzorować spotkania.

Mówiła dalej, wyjaśniając mi, że mogę przynosić zabawki i ubranka dla Jacka. Mogę się z nim bawić. Mogę go przytulać. Mogę po prostu patrzeć, jak śpi. Mogę go nawet karmić butelką, a Clarice posłuży za pośrednika między mną i nianią, by dowiedzieć się, jaki rodzaj mieszanki pije i o jakich porach jada.

– Jedyne, czego pani nie wolno, to opuścić tego pokoju z Jackiem bez nadzoru. I pod żadnym pozorem nie mogę pani z nim zostawić sam na sam.

Właśnie to oznacza nadzorowany kontakt.

Kolejny zdecydowany, przyjazny uśmiech, jakby chciała powiedzieć: na pewno będzie

nam się świetnie współpracowało, prawda?

– Wiem, że to wszystko wydaje się pani sztuczne i na pewno bardzo trudne. Ale postaramy się wykorzystać ten czas jak najlepiej. W porządku?

Pokiwałam głową.

– No dobrze – powiedziała, wstając. – Zaraz wracam.

Zniknęła w przyległym pomieszczeniu i po chwili wróciła, trzymając w ręce znajomy przenośny fotelik.

– Oto on – powiedziała cicho, podając mi go.

Spojrzałam w dół. Jack spał w najlepsze. Natychmiast uderzyło mnie, jak bardzo urósł przez te trzy tygodnie. Nabrał trochę ciała, jego rysy stały się bardziej zdecydowane, bardziej określone. Nawet paluszki wydawały się dłuższe.

– Może go pani wziąć na ręce – powiedziała Clarice.

– Nie chcę go budzić. – Postawiłam fotelik na podłodze obok krzesła i palcem wskazującym pogłaskałam go delikatnie po zaciśniętej piąstce.

Rączka rozluźniła się i natychmiast objęła mój palec. Trzymał mnie, wciąż smacznie śpiąc.

W tej chwili przegrałam bitwę, którą toczyłam od momentu, kiedy tu przyszedłam. Zaczęłam płakać, zakrywając usta dłonią, by stłumić szloch i nie obudzić Jacka. Zerknęłam na Clarice Chambers i ujrzałam, że przygląda mi się chłodnym, profesjonalnym okiem.

– Przepraszam – wyszeptałam. – To wszystko jest trochę...

– Nie musi pani przeproszać – powiedziała. – Wiem, że to trudne.

– Tak dobrze znów go widzieć.

Nie obudził się przez całą godzinę. Po jakichś dziesięciu minutach puścił mój palec, więc po prostu siedziałam przy nim, kołysząc go w foteliku, głaszcząc po buzi, rozmyślając, jaki jest spokojny i szczęśliwy, i jak bardzo chciałabym mieć go przy sobie na stałe.

Clarice nie odezwała się przez cały czas, choć zdawałam sobie sprawę, że mnie obserwuje – ocenia moją relację z Jackiem, w jaki sposób radzę sobie z emocjami w trudnej sytuacji i czy sprawiaam wrażenie stabilnej, zrównoważonej osoby. Ale ja nie chciałam grać pod publiczność ani robić przedstawienia ze swoich matczynych uczuć. Po prostu siedziałam z nim, szczęśliwa, że widzę go choć przez chwilę.

A potem, zanim się obejrzałam, Clarice powiedziała cicho:

– Przykro mi, czas się skończył.

Przełknęłam ślinę. Czułam, że łyzi pieką mnie pod powiekami.

– W porządku – odparłam.

Dała mi jeszcze minutę, po czym podeszła do nas. Dotknęłam twarzy Jacka i pocałowałam go w główkę, wdychając zapach niemowlęcego pudru. Przeszłam w drugi kąt pokoju i zagapiłam się na ponure, zaśmiecone podwórko za oknem. Clarice podniosła fotelik i wyszła. Kiedy wróciła, zapytała mnie:

– Trzyma się pani?

– Usiłuję.

– Pierwszy raz jest zawsze najtrudniejszy.

Nie, pomyślałam. Za każdym razem będzie tak samo ciężko.

– Proszę pamiętać, za tydzień może pani przynieść zabawki i ubranka.

Jakby był lalką, którą mogę przebierać i bawić się nią przez godzinę.

Zamknęłam oczy. Kiwnęłam głową. Clarice dotknęła mojego ramienia.

– Z czasem będzie łatwiej.

Wróciłam do domu. Usiadłam na łóżku i rozplakałam się. Ale tym razem łzom nie towarzyszyło uczucie spadania, które nauczyłam się kojarzyć z nawrotami depresji. To była po prostu gwałtowna fala rozpacz, nad którą nie byłam w stanie zapanować.

Podobno nie ma jak porządny płacz, by wyrzucić z siebie cały nagromadzony smutek. Ale kiedy w końcu odzyskałam panowanie nad sobą i powlokłam się do łazienki, by ochłapać twarz wodą, pomyślałam: ani trochę mi od tego nie ulżyło.

Myślałam też: jeśli rozdzielią mnie z nim na zawsze, czy to się kiedykolwiek skończy? Czy kiedykolwiek się z tym pogodzę?

Przez kolejne sześć dni byłam w żalonym stanie. Nie mogłam spać, mimo iż regularnie łykałam proszki nasenne. Prawie nie jadłam. Wychodziłam z domu tylko po niezbędne zakupy do sklepu na rogu albo do Marks&Spencera. Czułam się kompletnie wyprana z energii – do tego stopnia, że kiedy pojechałam do szpitala St. Martin's na wizytę u doktor Rodale, le-karka natychmiast skomentowała mój marny wygląd.

– Mam za sobą kilka ciężkich tygodni – powiedziałam.

– Tak. Słyszałam o wyroku sądu. I naprawdę mi przykro.

– Dziękuję – odparłam, choć w głębi duszy byłam na nią wściekła za jej zawodową rezerwę, za to, że nie powiedziała mi, jak bardzo zostałam skrzywdzona – a przecież wiedziała, że nie byłabym w stanie skrzywdzić swojego dziecka i że mojemu zachowaniu winna była ta straszna choroba, która...

Nie, nie. Nie mogłam znów zwać winy na kogoś innego. Musiałam po prostu stawić czoło sytuacji i...

.. .ale dlaczego doktor Rodale nie powiedziała mi tego, co musiało być dla niej oczywiste: że decyzja sądu była tak rażąco niesprawiedliwa?

– A teraz? Jak się pani czuje w swojej skórze?

Szybko skierowała rozmowę na tory medyczno-farmakologiczne. W porządku, chcesz szczerych odpowiedzi, będziesz miała szczere odpowiedzi.

Spojrzałam jej więc w oczy i powiedziałam:

– Dużo płaczę. Często ogarnia mnie gniew. Myślę, że to, co mnie spotkało, jest niesprawiedliwe i okrutne.

– A to uczucie „spadania”, które pani opisywała?

– Już nie dopada mnie tak często. To nie znaczy, że nie bywam przygnębiona. .. jestem przez cały czas... ale wygląda na to, że udaje mi się omijać czarne grzęzawisko. Co oczywiście nie znaczy, że jestem szczęśliwa.

Na usta doktor Rodale wypłynął blady uśmiech.

– A kto jest? – zapytała cicho.

Pod koniec rozmowy podkreśliła jeszcze raz, że jest bardzo zadowolona z moich postępów i z faktu, że leki okazały się tak skuteczne.

– Jak pani powiedziałam na samym początku, tego rodzaju leki muszą się skumulować w organizmie, by osiągnąć maksymalny efekt. Ale fakt, że udaje się pani uniknąć „czarnego grzęzawiska”, dowodzi, że w znacznym stopniu spełniły swoje zadanie. Może nie jest pani szczęśliwa, ale znów jest pani zdolna do normalnego funkcjonowania. A to bardzo dobrze. Widzę więc, że na razie nie ma potrzeby zmiany dawki. A jeśli chodzi o samopoczucie... czy kontaktowała się pani z Ellen Cartwright?

I rzeczywiście, Ellen zadzwoniła do mnie dzień po wizycie u doktor Rodale, przeproszając gorąco, że była poza zasięgiem, kiedy poszukiwała jej asystentka mojej adwokat.

– Wiadomość na automatycznej sekretarce była dość mętna, więc nie bardzo zrozumiałam, po co jej moje zeznanie. Mówiła coś o jakiejś rozprawie sądowej...

Powiedziałam jej o rozprawie i o jej wyniku. Była oburzona.

– Ten wyrok jest skandaliczny – powiedziała. – Tym bardziej, że przecież mogłam im powiedzieć... Boże, teraz mam wyrzuty sumienia. Jak się czujesz?

– Koszmarnie.

– Chciałabyś wznowić nasze sesje?

– Myślę, że to dobry pomysł.

– W porządku. Ale jest jeden problem: w ramach umowy z państwową służbą zdrowia pracuję tylko w St. Martin's i prowadzę tylko pacjentów oddziału. Więc jeśli chcesz się ze mną widywać, musiałyby się to odbywać prywatnie.

– A ile bierzesz?

– Siedemdziesiąt funtów za godzinę. Ale jeśli masz prywatną polisę zdrowotną.

– Byliśmy ubezpieczeni w BUPA, ale jestem pewna, że wykluczono mnie z tej polisy.

– No to zadzwoń do nich i jeśli twoje ubezpieczenie jest nadal aktualne, powiedzą ci, ile sesji tygodniowo będą w stanie pokryć i przez jaki czas.

Będziesz też potrzebowała skierowania od doktor Rodale, ale z tym nie będzie problemu.

Zadzwoiłam do BUPA, gdy tylko skończyłam rozmawiać z Ellen. Konsultantka z działu obsługi klienta zapytała mnie o nazwisko, adres i numer polisy. Po chwili potwierdziła moje podejrzenia:

– Niestety, pani polisa została anulowana. Była pani dopisana do polisy swojego męża, która z kolei jest częścią grupowego ubezpieczenia pracowniczego. Mąż zrezygnował jednak z pracy i polisa przestała obowiązywać.

Bardzo mi przykro.

Wykonałam parę obliczeń. Nawet gdybym ograniczyła się do jednej sesji tygodniowo od dzisiaj aż do czasu ostatecznej rozprawy za sześć miesięcy, zapłaciłabym Ellen za jej usługi tysiąc sześćset osiemdziesiąt funtów – była to suma, na którą nie mogłam sobie pozwolić, biorąc pod uwagę to, że nie mam pracy. Wyglądało więc na to, że będą mi musiały wystarczyć moje leki i transatlantyckie pogaduchy z Sandy.

– Musisz sobie poszukać nowego prawnika – powiedziała wieczorem tego dnia, kiedy dowiedziałam się, że nie mam już prywatnego ubezpieczenia. – Tym bardziej, że lada moment będziesz musiała jakoś załatwić sprawę domu.

– Może powinnam po prostu przyjąć propozycję.

– Nie ma mowy.

– Ale w tej sytuacji zawsze dostanę po głowie, niezależnie od tego, co zrobię. I Tony dobrze o tym wie. A poza tym ma za sobą tę kobietę, z jej pieniędzmi, dzięki którym mogą mnie złamać. I właśnie to próbują zrobić.

Bardzo bym chciała unieść wysoko sztandar i zaśpiewać sobie: „Choć burza huczy wkoło nas, do góry wnieśmy skroń”, ale prawda jest taka, że mogą mnie załatwić i zrobić to.

- Błagam, tylko nie zgadzaj się na nic, dopóki nie znajdziesz sobie adwokata.
- Nie stać mnie na adwokata.
- Kiedyś przecież wrócisz do pracy.
- Chcę wrócić do pracy. Muszę wrócić do pracy. Zanim do reszty sfiksuję.

To samo powiedziałam pani Jessice Law, kuratorce z CAF/CASS, która odwiedziła mnie, by przeprowadzić, jak to nazwała, wstępny wywiad. Była mniej więcej w moim wieku, miała na sobie stonowany, nijaki kostium, okulary w drucianych oprawkach, była rzeczowa i bezpośrednia w obejściu. Od pierwszej chwili, kiedy tylko otworzyłam drzwi, widziałam, że mnie ocenia, próbuje rozpracować i przekonać się, czy wszystkie raporty na mój temat, które bez wątpienia czytała, pasują do jej własnego odbioru mojej osoby. Wymuszona uprzejmość i ton głosu, który mówił: „spróbujmy załatwić tę nieprzyjemną formalność tak spokojnie, jak to możliwe” – wskazywały, że spodziewała się jakiejś hetery w szczytowej fazie zaburzeń psychicznych. Widziałam też, że ocenia całą moją postawę, maniery, sposób ubierania się (porządnie odprasowane dzinsy, czarny golf, czarne mokasyny) i warunki materialne. Zauważyła kolekcję książek i kompaktów z muzyką klasyczną i doceniła prawdziwą kawę z kafetierki.

Szybko przystąpiła do rzeczy, dając mi do zrozumienia, że nie przyszła tu z wizytą towarzyską.

– Zdaję sobie sprawę, że nie jest to dla pani łatwa sytuacja... – powiedziała, słodząc sobie kawę.

– Rzeczywiście, nie jest – odparłam, myśląc jednocześnie, że niemal od wszystkich pracowników socjalnych, z jakimi miałam do czynienia, słyszałam to samo zdanie: „To na pewno nie jest łatwa sytuacja”. Czy miało to znaczyć, że rozumieją mój tak zwany „ból”? A może chcieli mi dać do zrozumienia, że w przyszłości będzie jeszcze „trudniej”?

– Zamierzam odwiedzić panią w sumie dwa albo trzy razy, zanim sporządzę raport. W normalnych okolicznościach rozmawiałabym jednocześnie z panią i z pani mężem, ale biorąc pod uwagę, jak delikatna jest sytuacja, w tym przypadku uznałam, że to nie byłoby dobre rozwiązanie. Z nim porozmawiam osobno. Przede wszystkim chciałabym podkreślić, że naszych rozmów absolutnie nie powinna pani uważać za przesłuchanie. Ja pani nie osądzam. Moim zadaniem jest wyłącznie przedstawienie sądowi pani warunków życiowych.

Ja pani nie osądzam... przyszłam tylko pogawędzić. Jakież to angielskie.

Było oczywiste, że przyszła mnie osądzić – i obie o tym wiedziałyśmy.

– Rozumiem – odparłam.

– W porządku. – Wgryzła się w pełnoziarnisty, imbirowy herbatnik, kontemplowała go przez chwilę i w końcu zapytała: – Marks & Spencer?

– Tak.

– Tak myślałam. Pyszne. Ale do rzeczy... wiem, że przeprowadziła się pani do Londynu niecały rok temu. Więc pierwsze pytanie, które niejako samo się narzuca: jak się pani podoba życie w Anglii?

Kiedy wieczorem powtórzyłam to pytanie Sandy, powiedziała:

– Chyba żartujesz. Naprawdę cię o to zapytała?

– A podobno Amerykanie nie wyczuwają ironicznych podtekstów.

– I co? Udzieliłaś jej równie ironicznej odpowiedzi?

– No coś ty. Byłam bardzo grzeczna i w miarę szczerą. Powiedziałam jej, że niełatwo było mi się przystosować, ale byłam przecież chora przez ostatnich kilka miesięcy, więc tak naprawdę trudno mi ocenić ten kraj, ponieważ nie miałam jeszcze okazji w pełni w nim za-funkcjonować. Wtedy zapytała, czy faktycznie mam zamiar „zafunkcjonować” jako część angielskiego społeczeństwa, na co odparłam, że oczywiście, i przypomniałam jej, że przed przyjazdem tutaj byłam dziennikarką i w Londynie również zaczęłam pracę jako korespondent, zanim podwyższone ciśnienie wykluczyło mnie z gry.

– Myślę, że bez problemu znajdę tu zatrudnienie – powiedziałam. – W Londynie jest mnóstwo roboty dla dziennikarza.

– Więc gdyby uzyskała pani wyłączne prawo do opieki nad synem – padło kolejne pytanie – albo gdyby sąd zgodził się na wspólną opiekę, wychowywałaby pani syna w Anglii?

– Tak – odparłam. – Taki mam zamiar, żeby mógł mieć kontakt z obojgiem rodziców.

– Sprytna odpowiedź – powiedziała Sandy. – Spodobała się kuratorce?

– Tak myślę. I wydaje mi się, że ja też zrobiłam na niej dobre wrażenie.

A to już coś, na początek. Ale teraz najważniejsze to znaleźć pracę i pokazać im, że potrafię „zafunkcjonować” w angielskim społeczeństwie.

– Myślisz, że możesz już pójść do pracy? No wiesz...

– Wiem, co chcesz powiedzieć. Odpowiedź brzmi: nie mam wyboru. Potrzebuję pieniędzy i muszę udowodnić wszystkim, że mogę pracować.

Ale znalezienie pracy okazało się trudnym zadaniem. Po pierwsze, moje zawodowe kontakty w Londynie były prawie żadne – dwóch czy trzech redaktorów, których poznałam podczas krótkich gościnnych występów w londyńskiej redakcji, i producent z CNN, niejaki Jason Farrelly, z którym zaprzyjaźniłam się dwa lata temu, kiedy przez cztery miesiące siedział na placówce w Kairze. Potem zesłali go do getta wiadomości biznesowych w redakcji londyńskiej, ale bądź co bądź piastował stanowisko głównego producenta CNN Business News Europe – co oznaczało, że telefoniczne skontaktowanie się z nim nie było wcale łatwe, jako że wszyscy główni producenci w swoich wielkich gabinetach zawsze starali się być zbyt zajęci, by odpowiadać na telefony. Kiedy więc zostawiłam mu pięć wiadomości bez odpo-

wiedzi, postanowiłam spróbować szczęścia z pewną redaktorką, którą poznałam kilka miesięcy wcześniej. Nazywała się Isobel Walcott. Była zastępcą redaktora sekcji felietonów w „Daily Mail”. Zaprosiłam ją kiedyś na lunch, kiedy pracowałam nad kawałkiem o upadku londyńskich manier, jako że napisała swego czasu zabawną książeczkę na ten temat. Zapamiętałam ją jako osobę, która, choć mówiła nieskazitelnym akcentem, miała zwyczaj wplatać słowo „pieprzyć” w niezobowiązujące rozmowy i wypić jakieś pięć kieliszków białego wina za dużo, ale powiedziała mi też na zakończenie, że jeśli kiedykolwiek będę miała pomysł na felieton, który może się nadać dla „Mail”, mam do niej zadzwonić.

I właśnie to postanowiłam teraz zrobić. Udało mi się nawet wygrzebać wizytówkę z bezpośrednim numerem, którą mi wtedy dała. Ale kiedy odebrała i usłyszała moje nazwisko, zapytała szorstko:

– Czy my się znamy?

– Byłam kiedyś korespondentką „Boston Post”, jadłyśmy lunch kilka miesięcy temu, pamięta pani?

Natychmiast zmieniła ton – z nieprzyjemnego na lekceważący.

– Ach, tak, tak. Niestety, nie mogę teraz rozmawiać...

– A czy mogłabym zadzwonić później? Mam parę pomysłów na felieton, a pani mówiła, że gdybym kiedyś chciała pisać dla „Mail”...

– Obawiam się, że w tej chwili mamy aż za dużo felietonów. Ale wie pani co... proszę mi przysłać mailem pomysły i zobaczymy. W porządku? Muszę kończyć. Pa.

Przesłałam jej dwa pomysły, ale nie spodziewałam się odpowiedzi.

I słusznie.

Zadzwoniłam też do człowieka z „Sunday Telegraph” – faceta o nazwisku Edward Jensen, który kiedyś był do mnie przyjaźnie nastawiony. Znał Tony’ego z czasów, kiedy obaj siedzieli we Frankfurcie. I tym razem miałam bezpośredni numer i nie zostałam dobrze przyjęta. Tyle że, w przeciwieństwie do Walcott, nie był przykry – raczej zdenerwowany.

– Obawiam się, że złapałaś mnie w nie najlepszym momencie – powiedział. – Jak tam Tony?

– Cóż...

– O Boże, ależ ze mnie idiota. Słyszałem...

– Co słyszałeś?

– No, że wy dwoje... hm... strasznie mi przykro. I zdaje się, że byłaś chora.

– Już mi lepiej.

– Świetnie, świetnie. Ale słuchaj, mam za moment zebranie. Mogę do ciebie oddzwonić?

Podalam mu numer, wiedząc, że nie oddzwoni.

I miałam rację.

Zażenowany ton był dla mnie oczywistym dowodem, że nowina o naszym zerwaniu rozszła się już po całym londyńskim świątku dziennikarskim. A że to Tony miał kontakty, świątek ów poznał jego wersję historii i Edward Jensen najwyraźniej był poinformowany, że dostałam świra i groziłam śmiercią własnemu dziecku, a w związku z tym należy mnie unikać za wszelką cenę.

Przynajmniej Jason Farrelly odpowiedział w końcu na moje telefony. I on jeden zachowywał się wobec mnie przyjaźnie... choć błyskawicznie dał mi do zrozumienia, że: (a) jest piekielnie zajęty i (b) w tym momencie nie mam absolutnie żadnych szans na posadę w Cable News Network.

– Wiesz, że po fuzji strasznie obcięli nam fundusze. Do diabła, ja sam mam szczęście, że jeszcze pracuję... choć wierz mi, wiadomości biznesowe to nie jest moja wymarzona robota. Ale świetnie, że się odezwałaś. Dobrze się bawisz w Londynie?

Typowo amerykański sposób przekazywania złych wieści: okazał swoją przyjaźń, entuzjazm, radość z rozmowy, chociaż to, co masz do powiedzenia, wcale nie jest przyjemne. Anglicy w takich sytuacjach wyrażali nieszczerzy żal albo byli po prostu niegrzeczni. I jakoś wolałam to drugie podejście. Przynajmniej wiedziałam, na czym stoję, a moje nadzieje nie były podsycane przez tę fałszywą, wylewną przyjaźń, jak w przypadku Jasona Farrelly'ego.

– Ale bardzo chętnie zobaczyłbym się z tobą, Sally. Zresztą, nigdy nic nie wiadomo... może... no, nie wiem... może zdołalibyśmy coś tu dla ciebie znaleźć.

Do ostatniego zdania podeszłam nieufnie, ale ponieważ była to jedyna – choćby z pozoru – pozytywna rzecz, jaką usłyszałam od dłuższego czasu, chciałam uwierzyć, że być może Jason zdoła mi pomóc.

– Byłoby świetnie, Jason.

– Jest tylko jeden problem – powiedział. – Wysyłają mnie na trzy tygodnie do Paryża, na zastępstwo, bo szef paryskiego biura musi lecieć do Stanów na jakiś rodzinny pogrzeb... więc jestem w Londynie jeszcze tylko przez dwa dni. A mój terminarz jest zapchany na maksa.

– Za to mój jest kompletnie pusty, więc gdybyś znalazł choćby pół godzinki...

– Może być piętnaście po dziewiątej jutro rano?

– Gdzie?

– Znasz restaurację o nazwie Bank, w Aldwych? Dają tam śniadania. Nie będę miał

wiele czasu. Najwyżej pół godziny.

Oddałam do pralni chemicznej swój jedyny przyzwoity kostium, wydałam trzydzieści funtów – na które absolutnie nie mogłam sobie pozwolić – na strzyżenie z myciem u fryzjera na Putney High Street i zjawiłam się w Bank piętnaście minut przed czasem. Była to jedna z tych supereleganckich restauracji – chrom, szkło i smukłe linie – pełna dobrze ubranych klientów, przekrzykujących się w hałaśliwym, zatłoczonym wnętrzu, nawet w porze śniadania. Jason zarezerwował stolik na swoje nazwisko. Kiedy mnie do niego zaprowadzono, zamówiłam cappuccino i zajęłam się czytaniem „Independenta”, by skrócić czas oczekiwania.

Dziewięta piętnaście... dziewięta trzydzieści... zaczęłam się już poważnie niepokoić, gdyż o jedenastej musiałam być z powrotem w Wandsworth, na cotygodniowym widzeniu z Jackiem. A to oznaczało, że muszę wyjść z restauracji za piętnaście dziesiąta. Co chwila pytałam kelnerkę, czy nie było jakiejś wiadomości od Jasona. Przykro mi, nie było wiadomości.

W końcu, kiedy już miałam prosić o rachunek, zjawił się. Była dziewięta czterdzieści trzy. Wyglądał na zmęczonego; wyjaśnił mi, że Hang Seng skoczył dziś z samego rana zupełnie bez powodu, historia nie z tej ziemi, zresztą sama dobrze wiesz, jak to jest, nie?

Wiedziałam, jak to jest – wiedziałam też, że nie mogę zostać. Ale nie chciałam mu wyjaśniać, dlaczego wychodzę – że mogę tylko raz w tygodniu zobaczyć mojego syna, i to pod nadzorem. Zdawałam sobie sprawę, że to jedyna szansa, kiedy mogę mu się zareklamować i mieć nadzieję na jakąś pracę – której koniecznie potrzebowałam, by zarobić na życie i udowodnić pracownikom socjalnym z Wandsworth, że jestem odpowiedzialną osobą, której można powierzyć wychowanie i utrzymanie syna.

Postanowiłam więc zaryzykować i zaraz po spotkaniu wskoczyć do ekspresowej taksówki, by pojechać prosto na Garrat Lane. Wyjaśniłam Jasonowi, że muszę koniecznie wyjść piętnaście po dziesiątej i ani minuty później.

Zamówił sobie kawę, więc i ja dla towarzystwa wzięłam drugie cappuccino.

Przez pierwsze dwadzieścia minut gadał non stop, opowiadając mi o koszarnej polityce wewnętrznej w CNN od czasu fuzji, o redukcjach zatrudnienia, o tym, że ludzie, których pozwalniano w Atlancie, zatrudniają się w innych agencjach, że jego były szef sprzedaje książki w lokalnej filii Borders, i ogólnie o fatalnej sytuacji, jeśli chodzi o pracę. Jednak w CNN Europę sprawy wyglądały trochę lepiej, bo tutejsze biura i tak zawsze miały okrojona obsadę i działały na zasadzie zatrudniania wolnych strzelców na krótkie kontrakty.

Odetchnęłam z ulgą, myśląc: zaraz mi coś zaproponuje. Ale Jason nagle zmienił temat i rzucił:

– Wiesz, że Janie i ja jesteśmy w separacji?

Janie była jego żoną od czterech lat. Podobnie jak Jason ledwie dobija trzydziestki. Janisławka, agresywna tupeciara. Kiedy poznałam ją w Kairze, żaliła mi się, że dziennikarze tak fatalnie zarabiają (ona sama, zanim wyszła za męża, pracowała w Atlancie jako pośrednik).

– Kiedy się poznaliśmy, miała dwadzieścia pięć lat. Panience z Georgii niesamowicie imponowało, że ma chłopaka po studiach w Ivy League, który na dodatek w tak młodym wieku jest już dziennikarzem CNN. Ale nie znosiła wiecznych przeprowadzek. Pamiętasz, jak przez cały czas narzekała na Kair, potem szczerze nienawidziła Francuzów, kiedy mieszkaliśmy w Paryżu... Cóż, taki typ. Niektórzy Amerykanie mają nienawiść do Francuzów w genach. Więc kiedy trafiła się robota w Londynie, pomyślałem, że zabiorę ją z powrotem do anglojęzycznego świata i może to uzdrowi nasze małżeństwo. Ale się pomyliłem. Francuzi byli dla niej jak bracia w porównaniu z Anglikami. „Najbardziej dołujący, źle wychowani i śmierdzący ludzie, z jakimi kiedykolwiek miałam nieszczęście mieć do czynienia”, i wybac mi ten akcent a la Scarlett O’Hara.

– Naprawdę powiedziała „śmierdzący”? – zapytałam, udając uprzejme zainteresowanie, coraz bardziej zaniepokojona wpływem czasu. Zerknęłam na zegarek. Dziesiąta dziesięć. Musiałam mu przerwać i jakimś cudem przejść do rzeczy. Ale teraz truł o tym, jak to przed trzema tygodniami Janie wróciła z dwutygodniowej wizyty w Atlancie i poinformowała go, że zakochała się w swoim byłym chłopaku ze szkoły średniej ...

– O dziwo, nie ma na imię Bubba. Ale Brad to prawie to samo. I jest jednym z największych developerów w Atlancie, i zapalonym golfistą, i pewnie jeździ wielkim, białym mercem, i...

Odchrząknęłam.

– Och, do diabła – powiedział. – Przepraszam, gęba mi się nie zamyka.

– Nic nie szkodzi, tylko że... ja naprawdę muszę lecieć za jakieś dwie minuty.

– A co u ciebie?

– Rozstaliśmy się z mężem.

– Żartujesz. Czy nie urodziłaś niedawno dziecka?

– Owszem. Słuchaj, Jason... wiesz, że jestem bardzo wszechstronną dziennikarką. Pisałam newsy, robiłam korespondencje wojenne, prowadziłam redakcję...

– Sally, nie musisz mnie przekonywać. Do diabła, mnóstwo się od ciebie nauczyłem przez te dwa miesiące w Kairze. Problem w tym, że mamy okrojony budżet. Właśnie kazano mi zwolnić dwie osoby z ekipy...

– Ale przecież mówiłeś, że CNN Europę zatrudnia wolnych strzelców...

– Zgadza się. Ale chwilowo nie w Londynie. Gdybyś zechciała posiedzieć przez sześć miesięcy w Moskwie czy Frankfurcie, na pewno miałabyś szanse.

– Nie mogę wyjechać z Londynu – odparłam.

– W takim razie naprawdę nic nie mogę zrobić.

– Jason, proszę o cokolwiek, nawet dorywczo. Dwa, trzy dni w tygodniu.

Ile się da... ale chodzi o to, że naprawdę potrzebuję pracy.

– Rozumiem, Sal. I Bóg mi świadkiem, że bardzo chciałbym pomóc. Ale Atlanta związała mi ręce w tej kwestii. W każdym razie, jak ci już mówiłem przez telefon, jutro wyjeżdżam na miesiąc do Paryża...

Spojrzałam na zegarek. Dziesiąta osiemnaście.

– Jason, muszę iść.

– Nie ma sprawy. I naprawdę bardzo mi przykro. Ale bądźmy w kontakcie, co? Odezwij się do mnie jeszcze, proszę.

– Na pewno – powiedziałam i popędziłam do drzwi.

Aldwych Street płynął nieprzerwany strumień samochodów. Ale był pewien problem. Nie mogłam złapać taksówki. Minęło mnie co najmniej z dziesięć tych czarnych bestii – wszystkie z wyłączonym światłem „wolna”.

Machałam gorączkowo w ich kierunku, w nadziei, że może któryś kierowca po prostu zapomniał włączyć lampkę. Marzenia ściętej głowy. O dziesiątej dwadzieścia pięć zrozumiałam, że muszę podjąć desperackie środki, ruszyłam więc w stronę stacji Embankment – na piechotę dziesięć minut, przy najlepszych układach. Miałam nadzieję złapać taksówkę jadącą w stronę Strandu i poprosić kierowcę, żeby porządnie wcisnął pedał gazu. Minęło mnie kolejne dziesięć taryf – wszystkie z pasażerami. Mój szybki krok przeszedł w trucht. W biegu wyciągnęłam komórkę i zadzwoniłam na informację, by uzyskać numer ośrodka kontaktowego Wandsworth. Ale operatorka nie mogła znaleźć bezpośredniego numeru ośrodka, podała mi więc tylko numer Urzędu Miejskiego w Wandsworth. Po jakichś dwunastu sygnałach ktoś nareszcie odebrał i kazał mi czekać, ale w tym czasie zbiegłam już na stację metra; kostium był przepocony, droga fryzura przestała istnieć, a na dotarcie na Garrat Lane zostało mi zaledwie piętnaście minut. Nawet gdybym miała do dyspozycji śmigłowiec, wątpliwe, czy zdążyłabym na czas.

Ale nie miałam wyboru. Wskoczyłam do pociągu District Linę i gorączkowałam się jak wariatka przez całą drogę do East Putney, przeklinając Jasona za to, że się spóźnił i że zmarnował mi tyle czasu, by powiedzieć coś, o czym mógł mnie poinformować przez telefon: że w CNN w Londynie nie ma wolnych miejsc pracy.

A teraz... teraz... byłam potwornie spóźniona na moje jedyne w tygodniu, godzinne spotkanie z Jackiem. Przez całą drogę usiłowałam dodzwonić się do Urzędu Miejskiego i nawet udało mi się, kiedy pociąg na chwilę wyłonił się nad ziemię w South Kensington. Ale po chwili połączenie zostało przerwane.

Odzyskałam sygnał dopiero wówczas, gdy wyszłam na powierzchnię na stacji East Putney. Była jedenasta dwadzieścia. Zbiegłam po schodach, skręciłam w prawo i popędziłam wprost do obskurnego biura wynajmu minitaksówek, wciśniętego w rząd sklepów w uliczce obok. Mój rozpaczliwy pośpiech odrobinę rozbawił dyspozytora, ale znalazł mi taksówkarza

w rozklekotanym vauxhallu – który jednak nie mógł rozwinąć oszałamiającej prędkości z powodu robót drogowych na Upper Richmond Road, czego skutek był taki, że na Garrat Lane dotarłam o jedenastej czterdzieści.

Recepcjonistka najwyraźniej spodziewała się mnie.

– Proszę tu poczekać – powiedziała, po czym podniosła słuchawkę i wybrała wewnętrzny numer. Po chwili zjawiała się Clarice Chambers.

– Nawet pani sobie nie wyobraża, jak strasznie mi przykro – tłumaczyłam, idąc za nią do sali spotkań. – Byłam na rozmowie w sprawie pracy na West Endzie, tamten człowiek się spóźnił, nie mogłam złapać taksówki...

Ale zamiast skrócić do sali spotkań, poszłyśmy na lewo, do małego gabinetu.

– Proszę zamknąć drzwi i usiąść – powiedziała Clarice. Mocno zaniepokojona zrobiłam to, o co mnie poprosiła.

– Czy coś się stało? – zapytałam.

– Owszem, stało się – odparła. – Spóźniła się pani czterdzieści minut.

– Ale przecież próbuję pani wyjaśnić...

– Wiem: rozmowa w sprawie pracy. I sądząc po pani stroju, jestem pewna, że mówi pani prawdę. Ale ta godzina w tygodniu to jedyna szansa spędzenia czasu z synem. I fakt, że przegapiła pani drugą wizytę...

– Nie przegapiłam. Przecież tu jestem.

– Tak, ale odesłałam pani syna z nianią dziesięć minut temu.

– Niepotrzebnie.

– Pani tutaj nie było, a mały miał atak kolki...

– Silny?

– Kolka to kolka. Trochę marudził, a że pani się nie zjawiała, uznałam, że najlepiej będzie odesłać go do domu.

– Próbowałam dzwonić.

– Nie dostałam żadnej wiadomości. Przykro mi.

– Nie tak, jak mnie.

– Tydzień szybko minie.

– Czy nie udałoby się zorganizować spotkania wcześniej?

Pokręciła głową.

– To byłoby pogwałcenie nakazu sądu. A tego nie wolno nam robić.

Zamknęłam oczy, przeklinając się w duchu, że dałam taką plamę.

– Byłoby lepiej, gdyby na przyszłość nie planowała pani żadnych spotkań na środę rano – powiedziała spokojnie Clarice. – Pani musi tu być.

Uzmysłowiono mi to jeszcze raz bardzo dobitnie dwa dni później, kiedy Jessica Law zjawiała się na kolejną wizytę. Zadzwoiła do mnie pół godziny przed przyjściem, pytając, czy nie mam nic przeciwko temu, by wpadła do mnie tego popołudnia. Wiedziałam, na co się zanoszą – spodziewałam się, że dostanę mocno po łapach.

Ale Jessica Law nie zamierzała prawić mi kazań. Wręcz przeciwnie, dała się poczęstować filiżanką kawy i imbirowymi herbatnikami, po czym powiedziała:

– Na pewno zdaje sobie pani sprawę, dlaczego postanowiłam złożyć pani tę dość niespodziewaną wizytę.

– Gdybym tylko mogła wyjaśnić...

– Clarice wprowadziła mnie w sytuację. Wszystko rozumiem i nie mam zamiaru besztać pani za ewidentne potknięcie...

– Chodziło o to – powiedziałam – że miałam rozmowę w sprawie pracy, a tamten człowiek nie mógł się ze mną spotkać kiedy indziej i strasznie się spóźnił...

– Czytałam raport Clarice.

Zdębiałam.

– Clarice napisała o tym raport?

– Niestety, musiała. Nie zjawiała się pani na wyznaczonym przez sąd, nadzorowanym spotkaniu z synem. Pani wie i ja wiemy, że winne temu były okoliczności, na które nie miała pani wpływu. Problem w tym, że mimo wszystko jest to minus na pani koncie, i prawnicy pani męża będą go próbowali wykorzystać przeciwko pani na ostatecznej rozprawie... ale pani tego ode mnie nie słyszała, rozumiemy się?

– Doskonale. Co mogę zrobić, żeby naprawić tę szkodę?

– Proszę nigdy więcej nie spóźniać się na widzenie. A ja napiszę własny raport, w którym zaznaczę, że odbyliśmy tę rozmowę i że spóźniła się pani z powodu spotkania w sprawie pracy, i że w mojej opinii to jedno niewielkie spóźnienie nie kwalifikuje się jako „nieodpowiedzialne zachowanie”, szczególnie że szukała pani w tym czasie zatrudnienia. A tak przy okazji, jak poszła rozmowa?

Pokręciłam głową.

– Proszę szukać dalej – odparła, dając mi w ten sposób do zrozumienia, że bez pracy moje szanse na rozprawie będą jeszcze mniejsze. A biorąc pod uwagę, że druga strona i tak ma przeciwko mnie dość argumentów...

Próby znalezienia pracy okazały się nadal bezowocne. Jeśli jest się outsiderem bez kontaktów, wielka metropolia jak Nowy Jork czy Londyn staje się niezdobytą fortecą dla każdego, kto próbuje wywalczyć sobie drogę do jej struktury ekonomicznej. A prawo to sprawdza się bez wyjątku, kiedy człowiek całe zawodowe życie spędził w hermetycznym środowisku dziennikarskim i nagle znalazł się poza jego nawiasem, poza kręgiem kontaktów – i poza własnym krajem. Cóż, podstawowa zasada wszelkich ewentualnych pracodawców w mediach brzmi: jeśli masz wątpliwości, powiedz „nie”.

I tym sposobem słyszałam „nie” przez kolejnych kilka tygodni. Próbowałam szczęścia we wszystkich większych amerykańskich gazetach i sieciach telewizyjnych, wykorzystując swoje nieliczne kontakty w NBC, CBS i ABC.

Bez skutku. Próbowałam w „New York Timesie”, w „Wall Street Journal”, a nawet na swoich starych śmieciach, w „Boston Post”. Wszyscy mieli redakcje już obsadzone własnymi ludźmi. Kiedy zadzwoniłam do Thomasa Richardsona, naczelnego „Post”, jego asystentka poinformowała mnie, że jest w tej chwili zajęty, ale na pewno się do mnie odezwie. I faktycznie, kilka dni później przysłał mi uprzejmy, rzeczowy mail:

Droga Sally jako że od dłuższego czasu nie miałem od Ciebie wiadomości, zakładam, że nie skorzystasz z propozycji pracy w Bostonie. Oczywiście ja sam jestem bardzo zawiedziony, że do nas nie wracasz – ale życzę Ci szczęścia we wszystkich przyszłych przedsięwzięciach.

Natychmiast odpisałam, wyjaśniając, że sytuacja się nie zmieniła i syn zatrzymuje mnie w Londynie i że nie proszę o stałą posadę, ale gdyby gazeta chciała mnie zatrudnić w charakterze wolnego strzelca i podpisać kontrakt na kilka artykułów miesięcznie, jestem do dyspozycji. Przypomniałam też swoją wieloletnią lojalność i dałam do zrozumienia (tak subtelnie, jak tylko się dało), że naprawdę potrzebuję tej pracy.

Thomas Richardson, jak zawsze rzetelny, odpisał niemal od razu. Jego odpowiedź pojawiła się w mojej skrzynce kilka godzin później.

Droga Sally, gdyby zależało to ode mnie, w dalszym ciągu byłabyś naszą korespondentką w Londynie. Ale mam związane ręce – ludzie od finansów są nieugięci: żadnego dodatkowego personelu ani wolnych strzelców w zagranicznych, okrojonych do minimum redakcjach.

Naprawdę bardzo mi przykro.

Trudno. Nie miałam wyjścia – musiałam zacząć uderzać do angielskich gazet. Ale tu problem polegał na tym, że nikt nie wiedział, kim jestem (a nie miałam najmniejszego zamiaru przedstawiać się jako „porzucona żona Tony’ego Hobbsa”, bo w ten sposób mogłam sobie tylko zaszkodzić). Po jakimś tygodniu wiszenia na telefonie redaktorzy sekcji felietonów „Guardiana” i „Observera”, do których zdołałam się dodzwonić, poprosili o przesłanie

mailem pomysłów i próbek moich prac. Wysłałam więc odpowiednie materiały i kilka pomysłów. Minał tydzień. Zadzwoiłam, by zapytać, jak wypadłam. Redaktorzy byli zajęci. Przypomniałam się kolejnymi mailami. Zero odpowiedzi. Czego oczywiście się spodziewałam – bo w dziennikarskim świecie tak to właśnie działa. Szczególnie jeśli w oczach ludzi, którym próbujesz sprzedać pomysły, jesteś nikim.

Nawet mąż Margaret, Alexander, wykonał kilka telefonów w mojej sprawie, próbując się dowiedzieć, czy nie znalazłoby się dla mnie coś w londyńskim biurze Sullivana i Cromwella. Czułam, że skłoniło go do tego poczucie winy z powodu wpuszczenia mnie w łapy Lawrence'a i Lamberta (i oczywiście Margaret, która prawdopodobnie nawrzeszczała na niego i kazała mi pomóc, żeby jakoś zrehabilitować się za tę wpadkę). Ale powiedziałam mu od razu, że nie mam umiejętności przydatnych w firmie prawniczej.

Jego koledzy w Londynie potwierdzili ten fakt. Nie nadawałam się ani na sekretarkę, ani na pisarza sądowego, ani tym bardziej na adwokata. Mogłam więc tylko podziękować Alexandrowi za jego wysiłki i wytłumaczyć mu, że nie może się czuć odpowiedzialny za niekompetencję Ginny Ricks.

To nie była jego wina.

Tak więc choć poszukiwania pracy nie przynosiły wyników, wyglądało na to, że przynajmniej pracownicy socjalni z ośrodka kontaktowego mieli o mnie coraz lepsze zdanie. Na cotygodniowe wizyty przychodziłam piętnaście minut przed czasem. Clarice stwierdziła, że najwyraźniej wytworzyłam silną więź (znów to przeklęte słowo) z Jackiem, który na całe szczęście nie spał podczas naszych spotkań – dzięki czemu mogłam go karmić, zmieniać mu pieluszki, bawić się z nim, przytulać – i za każdym razem ciężko przeżywałam rozstanie, kiedy po godzinie musiałam go oddać. Postanowiłam sobie twardo, że nie będę więcej płakać podczas wizyt w ośrodku, by Clarice oceniła mnie jako osobę stabilną emocjonalnie. Musiałam udowodnić, że dobrze znoszę tę wymuszoną separację, choć tak naprawdę była ona dla mnie rozpaczliwie bolesna. Po każdym spotkaniu wychodziłam spokojnie z ośrodka na szarą, zaśmieconą Garrat Lane, po czym, potykając się, pędziłam pod najbliższy mur, opierałam o niego głowę i płakałam jak wariatka przez minutę czy dwie, by w końcu z trudem wziąć się w garść i jakoś przeżyć resztę dnia.

Najgorsza jest zawsze świadomość, że nie da się uciec przed rozpaczą, która trzyma cię w szponach. Bywają momenty, kiedy radzisz sobie z bólem, kiedy przez chwilę wydaje się mniejszy. Ale tak naprawdę nigdy się nie kończy. Nie mija. I choć oczywiście oplakujesz przede wszystkim swoją stratę, po części płaczesz też nad sobą – bo zdajesz sobie sprawę, że ten ból będzie ci towarzyszył już zawsze, choć starasz się do niego przyzwyczaić – że stał się integralną częścią ciebie i na zawsze zmieni twoje spojrzenie na świat.

Jessice Law nie wspominałam o tych napadach płaczu po spotkaniach z Jackiem. Mówiłam jej tylko, że „ciężko przeżywam całą sytuację”.

A ona spoglądała na mnie z mieszaniną profesjonalnego chłodu i zwykłego ludzkiego współczucia i mówiła:

– Zdaję sobie z tego sprawę.

Cóż innego mogła powiedzieć? Że jak silny atak migreny, ból w końcu przeminie? Obie wiedziałyśmy, że to nieprawda. Podobnie jak obie wiedziałyśmy, że biorąc pod uwagę wszystkie argumenty przeciwko mnie, na ostatecznej rozprawie mogę liczyć najwyżej na uzyskanie prawa do regularnego widywania się z Jackiem.

– Mam nadzieję, że nie robi sobie pani nierealistycznych nadziei na przyszłość – powiedziała podczas naszej trzeciej „pogawędki”.

– Czyli, innymi słowy, nigdy go nie odzyskam.

– Tego nie powiedziałam, Sally. A przez cztery i pół miesiąca może się jeszcze wiele wydarzyć. Ale prawda jest taka, że...

Przerwała, szukając właściwych, neutralnych słów. Postanowiłam ułatwić jej sprawę.

– Zostałam uznana za osobę, która nie nadaje się na matkę, a jeśli raz coś takiego znalazło się w aktach, trudno będzie to wymazać.

– Tak, niestety, właśnie tak to wygląda. Ale to nie znaczy, że nie uda się wywalczyć przed sądem jakiegoś lepszego rozwiązania. Może nie będzie ono idealne. Może nie da pani takich praw do dziecka, jakie chciałaby pani uzyskać. Ale na pewno będą większe niż te, które ma pani w tej chwili.

Czułam, że rozmawiając ze mną w ten sposób, próbuje mi ostrożnie zasugerować, że nie uważa mnie za niekompetentną matkę i że chce, bym w pełni zrozumiała powagę sytuacji. Sandy wciąż powtarzała mi, że nie wolno mi tracić nadziei, bym mogła przeć naprzód. Jessica Law chciała mi powiedzieć to samo, tyle że w odwróconym porządku: by móc ruszyć naprzód, trzeba stracić nadzieję.

Wlokąc się w deszczu wzdłuż West Hill po moim czwartym spotkaniu z Jackiem, buntowałam się w głębi swojej amerykańskiej duszy przeciwko pragmatycznemu pesymizmowi Jessiki Law, który wydawał mi się strasznie angielski.

Tęskniłam do starego, amerykańskiego ducha walki. Nic dziwnego, że Anglicy tak lgnęli do religii. Religia była antidotum na ten nieubłagany, życiowy realizm – pozwalała odpedzić od siebie myśli, że Pola Elizejskie to tylko element folkloru, a jedyne, co się liczy, to nieubłagana rzeczywistość klasy społecznej, osobistych ograniczeń i miazdzącej bezcelowości życia, któremu wciąż trzeba jakoś stawiać czoło.

Jak większości Amerykanów, od dzieciństwa wpajano mi przestarzały mit, że dzięki ciężkiej pracy i upartemu optymizmowi można zostać tym, kim się chce, że świat pełen jest nieskończonych możliwości, po które wystarczy sięgnąć.

By ruszyć naprzód, musisz stracić nadzieję.

Całym sercem buntowałam się przeciwko abstrakcyjnej logice tego stwierdzenia. Ale kiedy skręcałam w Sefton Street, spojrzałam na schludne rzędy domów klasy średniej i zobaczyłam nianię sadowiącą jakiegoś malca w foteliku na tylnym siedzeniu land-rovera, przypomniałam sobie, jak zaledwie dziesięć minut wcześniej Jack ocierał się główką o mój

policzek i zrozumiałam, że chcę czy nie, będę musiała jakoś odpowiedzieć na list, który siedział zwinięty w tylnej kieszeni moich dżinsów. Był to list od prawników Tony'ego, którzy informowali mnie, że dwadzieścia osiem dni, jakie dali mi na zastanowienie, właśnie minęło, i w ciągu siedmiu dni zamierzają podjąć kroki prawne, by wystawić dom na sprzedaż – chyba że przyjmę ich ofertę.

Zatrzymałam się. I nagle straciłam całą nadzieję.

Usiadłam na masce samochodu zaparkowanego przed moim domem i rozpłakałam się, doskonale wiedząc, że płaczę na ulicy, na której mieszkam, niezdolna dowiec się do drzwi własnego domu, który wkrótce zostanie mi odebrany.

– Sally?

Minęła chwila, zanim dotarło do mnie, że ktoś zawołał mnie po imieniu.

Bo nie spodziewałam się usłyszeć tego imienia na Sefton Street. Przecież nikogo tu nie znałam. Z wyjątkiem...

– Sally?

Uniosłam wzrok i zobaczyłam moją sąsiadkę, Julię Frank – kobietę, którą poznałam w kiosku z gazetami kilka miesięcy temu. Stała teraz obok mnie, z dłonią na moim ramieniu.

– Sally... dobrze się czujesz?

Wzięłam głęboki oddech i otarłam oczy.

– Po prostu mam kiepski ranek.

– Mogę jakoś pomóc?

Pokręciłam głową.

– Zaraz dojdę do siebie. Ale dziękuję.

Wstałam, zamierzając odejść.

– Napijesz się herbaty?

– Chętnie.

Zaprowadziła mnie do swojego domu; weszłyśmy do kuchni. Nastawiła czajnik. Poprosiła ją o szklankę wody. Widziałam, jak obserwuje mnie, kiedy z kieszeni żakietu wyciągnęłam fiolkę z lekami, wysypałam jedną tabletkę i popiłam ją wodą. Nie powiedziała nic. Nie próbowała nawet nawiązać rozmowy. Po prostu zrobiła herbatę. Ustawiła na stole spodki i filiżanki, mleko, cukier i talerz herbatników. Nalała mi herbaty i w końcu odezwała się:

– Nie chciałabym być wścibska, ale... czy coś się stało?

– Tak, coś się stało.

Milczenie.

– Gdybyś chciała o tym porozmawiać...

Pokręciłam głową.

– W porządku – powiedziała. – Mleko? Cukier?

– Jedno i drugie, poproszę.

Wlała do filiżanki kapkę mleka i wrzuciła kostkę cukru. Podała mi herbatę. Zamieszałam ją. Odłożyłam łyżeczkę.

– Siedem tygodni temu odebrali mi synka – powiedziałam.

Spojrzała na mnie z troską. Opowiedziałam jej wszystko. Nie odzywała się. Po prostu siedziała i słuchała. Kiedy skończyłam, herbata była już zimna. Długo milczałyśmy. Po chwili Julia zapytała:

– I zamierzasz im to puścić płazem?

– Nie mam pojęcia, co robić.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę i w końcu powiedziała:

– W takim razie poszukajmy kogoś, kto będzie miał pojęcie.

11

Nigel Clapp nie spodobał mi się od chwili, kiedy weszłam do jego gabinetu. Nie dlatego, że wyglądał dziwnie, groźnie czy nienormalnie. Właściwie najbardziej uderzyła mnie jego absolutna zwyczajność – był to jeden z tych ludzi, których mija się na ulicy, kompletnie ich nie zauważając. Szary człowieczek wyglądał, jakby urodził się, mając czterdzieści lat i przez całe życie pielęgnował swój nijaki wygląd urzędasza w tanim, szarym garniturku, białej koszuli non iron i paskudnym, brązowym krawacie.

Zniosłabym jeszcze jakoś to fatalne ubranie, ziemistą cerę, rzędzące, czarne włosy, przyprószone grubo łupieżem ramiona marynarki i fakt, że w ogóle nie patrzył na rozmówcę. „Nie sądź książki po okładce” – przypominałam sobie jedno z powiedzonek mojej wspaniałej mamy, która miała gotowe przysłowie na każdą okazję.

Nie, tak naprawdę nie spodobał mi się uścisk dłoni Nigela Clappa, a właściwie jego zu-

pełny brak – krótkie dotknięcie prawej dłoni czterema wilgotnymi, bezwładnymi palcami. Człowiek odnosił wrażenie, że to zdechły śledź, nie dłoń, a przede wszystkim, że właściciel tej dłoni nie ma absolutnie żadnej osobowości.

To wrażenie pogłębił jeszcze jego głos, cichy, monotony, trochę niepewny. Musiałam niemal osłonić ucho dłonią, by dosłyszeć, co ten facet do mnie mówi. A na dodatek ten wiecznie oszołomiony wyraz twarzy, jak u kogoś, kto wpadł do pustego szybu windy i trochę się zdziwił. Wszystko to razem wzięte raczej nie budziło zaufania.

Co było dość niepokojące, biorąc pod uwagę, że Nigel Clapp był moim nowym adwokatem i jedyną nadzieją na odzyskanie syna.

Jak trafiłam do Nigela Clappa? I znów muszę zacytować jeden z ulubionych frazesów mamy: „Biedak nie kręci nosem”.

Moja wizyta w biurze pana Clappa była wynikiem szeregu działań, rozpoczętego w kuchni Julii Frank. Po wysłuchaniu mojej historii zadzwoniła do przyjaciółki, która pracowała jako zastępca redaktora w „Guardianie” i miała pod sobą między innymi cotygodniowy, kilkustronicowy dodatek prawny, gdzie często omawiane były sprawy z zakresu prawa rodzinnego.

Julia przedstawiła jej moją sytuację, wspominając, że jestem żoną znanego dziennikarza – ale oczywiście nie podając jego nazwiska. Znajoma owa powiedziała jej, że skoro nie mam w tej chwili żadnych dochodów, prawdopodobnie mogę się ubiegać o pomoc Legal Aid i podała jej numer obrońcy, niejakiej Jane Arnold, która specjalizowała się w prawie rodzinnym. Julia zadzwoniła do Jane, a ta skontaktowała ją ze swoją znajomą, Rosę Truman, pracownicą działu informacji Stowarzyszenia Prawniczego (instytucji, w której zarejestrowani byli wszyscy adwokaci i radcy prawni w Anglii). A Rosę Truman z kolei obiecała jeszcze tego samego dnia przesłać mi listę prawników działających na zasadach Legal Aid i praktykujących w mojej okolicy.

Oszołomiła mnie prędkość, z jaką Julia załatwiła to wszystko. Przekonałam się też, jak małe mam pojęcie o funkcjonowaniu tutejszych układów.

– No, to załatwione – powiedziała – choć wiem, że ta moja znajoma z „Guardiana” bardzo chciałby poznać nazwisko twojego męża.

– Nie chcę rozsiewać plotek na temat Tony’ego. Chcę tylko odzyskać syna. Zresztą mówiłam ci, że on już nie pracuje w „Chronicie”. Jest teraz pełnoetatowym ojcem i prawdopodobnie usiłuje skończyć książkę.

– I znalazł sobie bogatą patronkę, która finansuje jego literackie zapędy.

Sprytny gnojek. Założę się, że twój synek był poważną kartą przetargową w tym układzie.

Zapatrzyłam się w filiżankę.

– Tak, mnie to też przeszło przez myśli.

- Wiesz, co jeszcze myślę?
- Co takiego? – zapytałam, unosząc głowę.
- Myślę, że przydałby ci się porządny drink.
- Wiem. Ale biorę leki...
- Przeciwdepresyjne?
- Hm... tak.
- Jakie?

Podalam jej nazwę.

- W takim razie duża wódka cię nie zabije.
- Skąd wiesz?
- Bo ja też to brałam w trakcie rozwodu... a poza tym moja siostra jest chemikiem. I dała mi pozwolenie na kieliszek wódki od czasu do czasu.

Lubisz wódkę, mam nadzieję?

- Tak, wódka byłaby bardzo mile widziana.

Julia otworzyła zamrażalnik, wyciągnęła butelkę i nalala nam po trochu do dwóch szklanek.

- Jesteś pewna, że mogę? – zapytałam.
- Mnie nigdy nie zaszkodziło. No, ale ja jestem z Glasgow.
- Nie masz szkockiego akcentu.

– Spędziłam tam tylko pierwszych siedem lat życia, a potem ojciec przywiózł nas na południe. Nigdy tam nie wróciłam, a to pewnie znaczy, że nie można mnie już nazwać Szkotką.

Stuknęłyśmy się szklankami. Upiłam mały łyzeczek. Zdążyłam zapomnieć, jak wspaniale znieczulający efekt ma zmrożona wódka. Pozwoliłam, by płyn powoli spłynął mi po języku i rozkosznie zapiekł w gardle. Kiedy już go przełknęłam, westchnęłam z zadowoleniem.

- Mam to uważać za oznakę aprobaty? – zapytała Julia.

– Masz dobry gust do wódki.

– Rekompensuje mi to fatalny gust do facetów – odparła, zapalając papierosa. – Nie masz nic przeciwko, że oddam się mojemu wstrętnemu nałogowi?

– Jesteś u siebie.

– Dobra odpowiedź. Możesz zostać.

Łyknęła swoją wódkę i nalala sobie kolejną porcję.

– Czy mogę ci zadać osobiste pytanie?

– Strzelaj – odparła.

– Pomogły ci te leki?

– Ogromnie. A tobie?

– Poleciałabym je każdemu, komu odebrano dziecko. – Pokręciłam głową, upiłam kolejny łyżeczek i dodałam: – Przepraszam, to było niesmaczne.

– Ale trafne.

– Długo je brałaś?

– Prawie rok.

– Dobry Boże.

– Nie przejmuj się. Można z tym skończyć, szczególnie jeśli powoli zmniejsza się dawkę. Ale muszę powiedzieć, że ile razy staję nad brzegiem tej czarnej studni, z rozczuleniem wspominam tamten okres.

– A czego teraz używasz w zamian?

– Marlboro lights i absoluta. Ale przy twoich przejściach ani jedno, ani drugie nie będzie tak skuteczne jak antydepresanty. W porównaniu z tym mój koszmarny rozwód wygląda jak skaleczenie kartką papieru.

– Takie skaleczenia bywają bolesne. Twój rozwód naprawdę wyglądał tak strasznie?

– Owszem, to nie było przyjemne doświadczenie. Każdy, kto twierdzi, że rozwodził się po przyjacielsku, po prostu kłamie.

– Długo byłaś mężatką?

– Dziewięć lat. I choć przez ten czas, jak każda para, mieliśmy dobre i złe chwile, trochę się zdziwiłam, kiedy Jeffrey oznajmił, że przeprowadza się do swojej francuskiej cizi, z którą się potajemnie spotykał. To chyba najgorsze, kiedy odkrywasz, że ktoś cię zdradzał przez długi czas. Czujesz się wtedy jak kompletna idiotka.

– Nigdy nie wolno zapominać o męskim zamięłowaniu do tajemnic, szczególnie jeśli chodzi o seks. Bardzo cię to rąbnęło?

– Byłam kompletnie rozbita. „Śmierć miłości” i takie tam. Wyczytałam gdzieś, zdaje się, że w jakiejś irlandzkiej powieści, że rozwód jest gorszy niż śmierć męża. Bo nie możesz gnoja pochować i wiesz, że żyje sobie gdzieś tam, bez ciebie.

– A ty? Udało ci się pożyć bez niego?

– Dobry Boże, tak.

– Masz kogoś teraz?

Głęboko zaciągnęła się papierosem.

– To dość bezpośrednio pytanie.

– Jestem cholerną Jankeską – powiedziałam, imitując jej akcent. – Bezpośredniość mam w genach.

– No to odpowiem ci cholernie bezpośrednio: owszem, był ktoś. Ale to się skończyło jakieś sześć miesięcy temu.

– Przykro mi.

– A mnie nie.

Wyjaśniła mi, że mniej więcej w tym samym czasie, kiedy się rozwodziła, niewielka firma wydawnicza, w której pracowała jako redaktorka, została wchłonięta przez dużą spółkę, a ona była jedną z ofiar tej fuzji (zwalili wszystko na „ekonomię skali”, cokolwiek to znaczy). Mieszkała wtedy z mężem i synem, Charliem, w dużym szeregowcu w Barnes. W trakcie sprawy rozwodowej wywalczyła opiekę nad synem i dość pieniędzy, by kupić ten domek w Putney („Cóż, jestem bogatsza niż jakieś dziewięćdziesiąt osiem procent populacji planety, więc nie narzekam, choć ten gnojek daje mi ledwie pięćset funtów miesięcznie na utrzymanie dziecka”). Ale znalazła pracę jako niezależna redaktorka w wydawnictwie, więc jakoś sobie radzi.

– Zarabiam dość, żeby zapewnić sobie i Charliemu przyzwoite życie. Może i nie mam akurat żadnego faceta, ale fakt, że jeszcze przez kilka lat Charlie będzie ze mną, wynagradza mi... – Przerwała. – Przepraszam, gadam jak bezmyślna idiotka.

– Nie przepraszaj. Powiedziałaś samą prawdę. I dlatego to jest tak cholernie trudne.

– Jak tylko dostaniesz jutro tę listę ze Stowarzyszenia Prawniczego, poszukaj sobie adwokata, który będzie chciał powalczyć w twojej sprawie.

– Przeciwno kobiecie z kupą pieniędzy i grubą teczką dowodów przeciwko mnie? Wątpię, by jakkolwiek adwokat chciał się mną zająć – powiedziałam.

Lista faktycznie przyszła, a przy okazji dowiedziałam się dwóch rzeczy: po pierwsze, instytucja Legal Aid nie była tak całkiem darmowa. Jeśli nie miało się żadnych środków do życia, można było uzyskać pomoc prawną bez żadnych opłat. Ale jeśli ktoś, tak jak ja, nie

miał dochodów, ale był współwłaścicielem domu, działało to jak coś w rodzaju pożyczki – wszystkie poniesione koszty musiały zostać spłacone (z niewielkim procentem, ale zawsze jednak z procentem) z kwoty uzyskanej z ewentualnej sprzedaży nieruchomości. Innymi słowy, zaciągnęłabym kolejny dług – i to taki, który musiałabym uregulować w momencie, kiedy Tony sprzeda bez mojej zgody dom. Ale przynajmniej stawki prawników Legał Aid były niczym w porównaniu z tymi, jakich życzyli sobie prywatni partacze, tacy jak Ginny Ricks.

Po drugie, dowiedziałam się, że w obrębie Wandsworth działa na takich zasadach ponad dwa tuziny adwokatów. Nie miałam pojęcia, którego wybrać ani od czego zacząć – zaczęłam więc dzwonić kolejno, w porządku alfabetycznym.

Pierwsi czterej byli zajęci tego ranka, i jak powiedziały mi ich sekretarki, nieosiągalni przez większą część tygodnia. Ale kiedy dotarłam do nazwiska numer pięć na liście – Nigela Clappa – jego sekretarka stwierdziła, że owszem, pan Clapp może mnie przyjąć jutro o dziesiątej trzydzieści.

Ale ledwie rzuciłam okiem na Nigela Clappa, pomyślałam sobie: nie ma mowy. I nie zniechęciła mnie do niego wyłącznie jego nieciekawa osoba, ale również biuro. Mieściło się w oddalonym rejonie Wandsworth, zwanym Balham. Ponieważ nie miałam samochodu, a musiałam liczyć się z każdym groszem i żał mi było dziesięciu funtów na dojazd taksówką w ten wschodni zakątek dzielnicy, poszłam na stację Putney, dojechałam do Clapham Junction, przesiadłam się w inny pociąg i podjechałam dwa przystanki na południe do Balham. Siedzenia były poplamione. Wagony zabazgrane graffiti. I choć wciąż z pewnym niesmakiem spoglądałam na to wszystko, czułam, że zaczynam się uodparniać na tę miejską nędzę, że niemal uważam ją za charakterystyczny rys tego miasta. Czy właśnie w ten sposób działa na człowieka mieszkanie w Londynie? Sprawia, że przyjmuje się brud i smród za coś normalnego?

Balham High Road była zbieraniną sklepów sieciowych, dziwacznych handlowych reliktyw z lat sześćdziesiątych (jak sklep z używanym, profesjonalnym sprzętem fryzjerskim) i nielicznych przebłysków wdzierającego się i tutaj luksusu klasy średniej (eleganckie kafejki, nowoczesne osiedla).

Biuro Nigela Clappa mieściło się nad pralnią chemiczną w typowej, wiktoriańskiej kamienicy z czerwonej cegły. Wchodziło się do niego z bocznej uliczki, przez staromodne drzwi z matowego szkła, na których namalowana była wizytówka: CLAPP I SPÓŁKA – KANCELARIA PRAWNA. Wspięłam się po wąskich, źle oświetlonych schodach, dotarłam do kolejnych drzwi i nacisnęłam guzik dzwonka. Otworzyła mi pulchna, mamuśkowata kobieta po pięćdziesiątce, mówiąca z wyraźnym południowolondyńskim akcentem, który nauczyłam się już rozpoznawać.

– Pani w sprawie aktu zgonu? – zapytała.

– Jestem Sally Goodchild.

– Jak? – rzuciła głośno, jakby była trochę przygłucha. Powtórzyłam nazwisko. – A, tak, rzeczywiście – powiedziała. – Sprawa Legał Aid. Proszę wejść. Jest teraz zajęty, ale to nie

powinno długo potrwać.

Kancelaria Clapp i Spółka składała się z dwóch pokoi i małej poczekalni, a raczej wąskiego korytarzyka z taną kanapą, dwoma plastikowymi kwiatkami w doniczkach i stojakiem na prasę, wypełnionym numerami „Hello!” sprzed pół roku i magazynami agencji nieruchomości. Ściany pomalowane były na brudnokremowy odcień, podłogę pokrywało żółknące linoleum, a całość oświetlały dwie sufitowe jarzeniówki. Jediną ozdobę stanowił kalendarz na ścianie, reklamówka pobliskiej hinduskiej knajpki: Zapraszamy do Bengal House, Balham High Road. Tęga kobieta – sekretarka, recepcjonistka i odźwierna w jednej osobie – pracowała w małym, zagraconym gabinecie bez drzwi. Kiedy czekałam w korytarzu, przeglądając magazyn lokalnej filii Foxton’s Estate Agents i dowiadując się ze zdumieniem, że nawet w tej okolicy na kupno domu dla rodziny można spokojnie wydać siedemset pięćdziesiąt tysięcy funtów, ona odbierała liczne telefony i prowadziła rozmowy tym swoim krowim głosem, jednocześnie rozprawiając się z paczką kremówek, stojącą na biurku. Po kilku minutach wstała i powiedziała do mnie:

– Zobaczę, czy skończył wreszcie gadać.

Podeszła do drzwi, otworzyła je bez pukania i wetknęła głowę do pokoju.

– Twoja klientka przyszła.

Zostałam wprowadzona do gabinetu Nigela Clappa.

Wstał, kiedy weszłam, podał mi swoją śledziowatą dłoń, wskazał tanie, pomarańczowe, plastikowe krzeselko, stojące naprzeciw jego stalowego biurka, po czym zaczął grzebać w papierach, unikając mojego wzroku. Na biurku zauważyłam kilka rodzinnych zdjęć w ramkach, a na ścianie dyplom adwokacki w ramkach. Clapp dobre dwie minuty przeglądał moje papiery, nie mówiąc ani słowa; jedynymi odgłosami w gabinecie był szum ruchu ulicznego na Balham High Road i stentorowy głos sekretarki w pokoju obok.

Clappowi najwyraźniej nie przeszkadzały te decybele – domyślałam się, że uodpornił się na ten hałas, tak jak człowiek, który mieszka obok torów kolejowych, uodparnia się na odgłos nieustannie przejeżdżających pociągów.

Porozkładał zawartość mojej teczki na całym biurku. Kiedy się w końcu odezwał, nawet nie uniósł oczu znad dokumentów.

– Więc pani poprzednia adwokatka – powiedział głosem tak cichym i niepewnym, że musiałam się pochylić, by go słyszeć – nie próbowała wnieść apelacji od tymczasowego wyroku?

– Rozstałyśmy się na dobre zaraz po rozprawie – odparłam.

– Rozumiem – powiedział obojętnie, wciąż wpatrując się w dokumenty. – A ta sprawa z domem... czy pamięta pani nazwiska prawników, którzy zajmowali się przeniesieniem własności?

Podaliśmy mu nazwiska. Zapisał je. W końcu zamknął teczkę i spojrzał na mnie, choć

z wyraźnymi oporami.

– Może zechce mi pani teraz opowiedzieć całą historię.

– Całą, to znaczy...?

– Od momentu... hm... chyba... od momentu, kiedy poznała pani swojego męża, do... hm... cóż, do dzisiejszego ranka.

Wpadałam w coraz większą rozpacz. Ten człowiek miał osobowość papierowego kubeczka.

Ale wprowadziłam go w historię mojego małżeństwa, od Kairu do Londynu, opowiedziałam mu o problemach z ciążą, o depresji poporodowej, o długim pobycie w szpitalu i koszmarze, który zaczął się po moim powrocie z Bostonu. Byłam z nim absolutnie szczerą – powiedziałam mu szczegółowo, jak wyglądały moje groźby wobec syna, moje nieprzewidywalne zachowanie w szpitalu po porodzie, incydent z pigułkami nasennymi, moja absurdalna wycieczka do wiejskiego domu Dianę Dexter – krótko mówiąc, opowiedziałam mu o wszystkim, czego mogli użyć przeciwko mnie adwokaci Tony’ego.

Cała ta opowieść zajęła chyba ze dwadzieścia minut. Słuchając mnie, Clapp obrócił się z krzesłem w bok i przez cały czas wpatrywał się w ścianę za monitorem komputera. Nie okazywał żadnych emocji, nie przerywał mi, nie reagował nawet na najbardziej ponure fragmenty całej historii. W ogóle jakby przestał istnieć. Równie dobrze mogłam mówić do złotej rybki w akwarium, biorąc pod uwagę kompletny brak reakcji.

Kiedy skończyłam, nastąpiła kolejna, długa chwila ciszy, jakby w ogóle nie zauważył, że moja opowieść dobiegła końca. Kiedy wreszcie to do niego dotarło, na powrót zajął się moją teczką, zgarnął papiery, zamknął okładki i powiedział:

– Hm... no dobrze. Mamy tutaj pani adres i numer telefonu, tak?

– Jest na pierwszej stronie formularza.

Jeszcze raz otworzył teczkę, zajrzał do niej i zamknął ją z powrotem.

– Faktycznie – przyznał, po czym wstał. – No więc, hm, w tej naglącej sytuacji działania rozpoczniemy od razu, chociaż ostateczna umowa zostanie podpisana dopiero po uzupełnieniu i opracowaniu wszystkich formularzy. W każdym razie... hm... będziemy w kontakcie.

Oniemiałam. Przecież musiał mi odpowiedzieć na jakieś pytania, zapoznać mnie ze swoim punktem widzenia na sprawę, powiedzieć coś o moich szansach w sądzie, wspomnieć, jaką strategię ma zamiar zastosować – cokolwiek. Ale on podał mi tylko swoją rybią łapkę. A ja byłam tak speszona, że szybko ucisnęłam wilgotne, miękkie palce i wyszłam.

Jakaś godzinę później siedziałam już w kuchni Julii, która serwowała mi kolejną małąkę absoluta. Potrzebowałam tego.

– Ten gość nie jest tak po prostu niepewny siebie; jego po prostu nie ma, chociaż niby

siedzi w tym samym pomieszczeniu.

– Może ma taki sposób bycia – stwierdziła Julia.

– Jasne, że taki ma sposób bycia; kompletnie beznadziejny sposób bycia.

Z początku pomyślałam, że jest po prostu nieciekawym. A raczej, że to najnudniejszy człowiek, jakiego spotkałam w życiu. Ale potem, kiedy już opowiedziałam mu ze wszystkimi cholernymi szczegółami wszystko, co mnie spotkało przez ostatnie sześć miesięcy, jego jedyną reakcją było: „Będziemy w kontakcie”. Żałuję, że nie widziałam, jak wyglądał podczas mojego monologu. Jestem pewna, że oddawał się transcendentalnej medytacji z otwartymi oczami.

– A może po prostu jest trochę nieśmiały?

– Trochę nieśmiały? Chyba raczej patologicznie nieśmiały... do tego stopnia, że nie mam pojęcia, w jaki sposób w ogóle będzie mógł coś zdziałać w mojej sprawie.

– Nie sądzisz, że powinnaś mu dać trochę czasu?

– Chodzi o to, że nie mam tego czasu za wiele – odparłam. – Mniej niż cztery miesiące. A ostateczną rozprawę nie bez powodu nazywają ostateczną. Potrzebuję kogoś, kto przynajmniej spróbuje ograniczyć moje straty.

Nie spodziewam się cudów. Ale on jest jak jeden z tych obrońców z urzędu, o jakich czyta się w Stanach, którzy dostają sprawę morderstwa z premedytacją i przesypiają wystąpienie oskarżyciela.

Umilkłam. Julia tylko uśmiechnęła się do mnie.

– No dobra – powiedziałam. – Może trochę przesadzam. Ale...

– Ja wiem, jaka jest stawka, Sally. Naprawdę. I chociaż zgłosiłaś się już do Nigela, jestem pewna, że ci z Legał Aid zgodzą się na zmianę adwokata, jeśli podasz wystarczająco sensowny powód. Więc jeśli tak kompletnie nie masz do niego zaufania, zadzwoń do innych prawników z listy i dowiedz się, czy któryś będzie mógł cię przyjąć.

Zrobiłam to z samego rana następnego dnia i zostawiłam wiadomości trzem kolejnym adwokatami. Jedna z nich, Helen Sanders, oddzwoniła. Nie miała czasu, by spotkać się ze mną osobiście w tym tygodniu, ale powiedziała, że chętnie porozmawia ze mną teraz, przez telefon. Więc znów spędziłam piętnaście minut na opowiadaniu tej kobiecie całej sagi – od początku do końca. Jej werdykt był surowy i bezkompromisowy.

– Niezależnie od oczywistej niesprawiedliwości tego, co panią spotkało – powiedziała – smutna prawda jest taka, że mają przeciwko pani mocne argumenty. A przede wszystkim, jak zapewne poinformowali panią inni adwokaci, kiedy dziecko zadomowi się już u jednego z rodziców, sąd bardzo niechętnie zmienia miejsce jego pobytu.

Dokładnie to samo powiedziała mi przeklęta Ginny Ricks bezpośrednio po katastrofie,

jaka była rozprawa wstępna.

– Więc mówi pani, że mój przypadek jest beznadziejny?

– Nie mogę wydawać takiego osądu bez przestudiowania wszystkich dokumentów dotyczących sprawy i wyroków. Ale z tego, co mi pani powiedziała... cóż, nie będę pani okłamywać: nie widzę szans na odzyskanie przez panią prawa do opieki nad synem.

Zaproponowała mi spotkanie u siebie w biurze w przyszłym tygodniu, gdybym chciała bardziej szczegółowo przedyskutować tę sprawę. Ale podziękowałam jej za poświęcony mi czas i odłożyłam słuchawkę. O czym tu dyskutować? Byłam beznadziejnym przypadkiem.

– Nie wolno ci tak myśleć – powiedziała Julia, kiedy zrelacjonowałam jej rozmowę.

– A może lepiej spojrzeć prawdzie w oczy?

– Jestem pewna, że odpowiedni adwokat zdoła wygrzebać odpowiednie brudy na temat związku twojego męża z tą Dexter i udowodnić, że ukartowali to wszystko.

– Może i tak – przyznałam – ale ktoś już w tej chwili powinien zacząć grzebać i sprawdzać przeszłość Dexter, by się przekonać, czy w ogóle jest coś wartego odgrzebywania. Trzy miesiące to naprawdę niewiele czasu, żeby zebrać dość materiału.

– Nie masz żadnych bogatych przyjaciół, którzy pomogliby ci wynająć prywatnego detektywa czy kogoś w tym stylu, kto mógłby trochę powęszyć?

Jedynymi znajomymi z konkretnymi pieniędzmi byli Margaret i Alexander Campbellowie. Ale czułam, że gdybym zwróciła się do nich teraz, wyglądałoby to, jakbym żądała czegoś w zamian za skierowanie mnie do Lawrence'a i Lamberta. I z całą pewnością byłby to koniec mojej przyjaźni z Margaret.

Kiedy raz poprosisz przyjaciela o pieniądze, z przyjaźnią koniec.

– Już ci mówiłam, że jeśli chodzi o rodzinę, mam tylko siostrę. A ona jest spłukana. Moi rodzice byli nauczycielami. Ich jedynym majątkiem był dom, a z powodu, jak to nazywają prawnicy, „nienależytego zabezpieczenia” i ich nagłej śmierci, ten jedyny majątek niemal w całości przeszedł na skarb państwa. No a potem była jeszcze sprawa sądowa po ich śmierci.

– Jaka sprawa sądowa...?

Umilkłam na chwilę, wpatrując się w swojego drinka. W końcu powiedziałam:

– Przeciwno mojemu tacie. Autopsja wykazała, że o jakieś dwa kieliszki wina przekroczył dopuszczalny limit. Niby niewiele, ale nie powinien prowadzić. A że wałnął w forda kombi z pięcioosobową rodziną w środku...

Julia spojrzała na mnie przerażona.

– Ktoś zginął?

– Matka, trzydzieści dwa lata, i jej czternastomiesięczny synek. Mąż i pozostała dwójka dzieci jakimś cudem wyszli z tego żywi.

Cisza.

– No więc chodziło o to – ciągnęłam po chwili – że mąż tej zabitej kobiety... był duchownym Kościoła episkopalnego... znasz ten typ ludzi o żelaznych zasadach, którzy naprawdę wierzą w przykazania Chrystusa, że należy nadstawiać drugi policzek i nie szukać zemsty. Więc kiedy się okazało, że mój ojciec, z prawnego punktu widzenia prowadził po pijanemu, ten człowiek uparł się, by cała ta sprawa nie trafiła do akt, nie tylko dla dobra mojego i Sandy, ale też, jak mi powiedział później, ze względu na siebie samego. „Wystarczy jedna tragedia. Nie chcę ludzkiej litości i nie chcę, aby pani i pani siostra były szkalowane z powodu błędu waszego ojca”. Teraz myślę, że był to chyba najbardziej niezwykły człowiek, jakiego spotkałam... choć wtedy zastanawiałam się, czyjego dobroć nie jest wynikiem szoku po wypadku. Czy to nie okropne tak pomyśleć?

– Ale szczerze.

– W każdym razie Sandy i ja uznałyśmy, że powinnyśmy zgodzić się na takie odszkodowanie, jakiego zażąda ich ubezpieczalnia. No i poszły na nie polisy naszych rodziców, dom i prawie cała reszta majątku. Obie zostałyśmy praktycznie z niczym. Nasi prawnicy potwierzali nam, że powinnyśmy walczyć o swoje, że oddanie im polis ubezpieczeniowych to dość. Ale my czułyśmy się tak koszmarnie winne, że oddałyśmy wszystko temu duchownemu i jego dzieciom... choć on sam nawet zadzwonił do mnie i powiedział, że nie musiałyśmy się posuwać aż tak daleko. Potrafisz sobie wyobrazić, że ktoś mógł powiedzieć coś takiego? Że nie szukał zemsty ani zadośćuczynienia? Ale to tym bardziej utwierdziło nas w przekonaniu, że powinnyśmy mu oddać wszystko. To nie była tylko pokuta. To był akt skruchy.

– Ale to nie wy prowadziłyście samochód – powiedziała Julia. – Prowadził wasz ojciec.

Milczałam przez chwilę. Nie chciałam mówić nic więcej, ale nagle coś we mnie pękło.

– Masz rację, to on prowadził. Ale zanim wsiadł do samochodu, razem z mamą byli na przyjęciu z okazji wręczenia dyplomów na mojej uczelni.

Tato świetnie się bawił, rozmawiał z moimi przyjaciółmi, bo w ogóle był miłym gościem. Późnym wieczorem podałam mu kieliszek gównianego, almadeńskiego wina. Kiedy stwierdził, że naprawdę ma już dość, powiedziałam... i pamiętam to doskonale: „Nie zgrywaj wapniaka, tato”. A on roześmiał się i odparł: „Jeszcze czego” i wypił cały kieliszek jednym haustem. I...

Umilkłam. Zapatrzyłam się w szklanekę z wódką. Odsunęłam ją od siebie.

– Wciąż nie mogę tego przeżyć. Po tylu latach. To ciągle jest we mnie, każdego dnia, każdej godziny. To poczucie winy jest już ze mną tak długo, że stało się częścią mnie; jest jak powietrze, którym oddycham cały czas.

– Co powiedziała twoja siostra, kiedy się o tym dowiedziała?

– Właśnie w tym problem... nigdy się nie dowiedziała. Bo nie mogłam się przemóc, żeby jej o tym powiedzieć...

– A czy ktoś w ogóle o tym wie?

Nie odpowiedziałam.

– Nigdy o tym nikomu nie mówiłaś?

– Rozmawiałam o tym z psychoterapeutą. Ale...

– I nie wspominałaś o tym nigdy swojemu mężowi?

– Kusilo mnie, żeby mu powiedzieć, kiedy zaszłam w ciążę. Myślałam... nie wiem... myślałam, że Tony wyśmiałby mnie za to poczucie winy. Powiedziałby, że jestem żalosna. Teraz wiem, że gdybym mu powiedziała, wykorzystałby to przeciwko mnie przed sądem. Byłabym nie tylko wyrodną matką, ale i współsprawczynią nieumyślnego zabójstwa.

– Czekaj no... ty naprawdę czujesz się odpowiedzialna za śmierć tej kobiety i jej dziecka?

– Kazałam tacie wypić kieliszek wina, przez który przekroczył swój limit.

– Nie, ty mu tylko podałaś kieliszek i delikatnie zażartowałaś sobie z jego wieku. Wiedział, że po przyjęciu będzie prowadził samochód. Wiedział, ile wypił, zanim zjawiłaś się z tym ostatnim kieliszkiem wina.

– Spróbuj to powiedzieć mojemu sumieniu. Czasami myślę, że prawdziwy powód mojej ucieczki na drugi koniec świata to chęć oddalenia się jak najbardziej od tego bezustannego poczucia winy.

– Kiedyś ludzie uciekali do francuskiej Legii Cudzoziemskiej.

– Owszem. I na jakiś czas to zadziałało. A przynajmniej nauczyłam się z tym żyć.

– Dopóki nie zabrali ci Jacka?

– Tak łatwo mnie rozpracować? Masz rację, kiedy to się stało, byłam pewna, że to jakaś kosmiczna kara za spowodowanie tamtego wypadku; że zabrali mi Jacka, bo przez to, że podałam ojcu wino, zabił tamtego chłopczyka.

Julia sięgnęła przez stół i położyła mi dłoń na ramieniu.

– Przecież wiesz, że to nieprawda.

– Ja już nic nie wiem. Przez te kilka miesięcy cała logika stanęła na głowie. Nic już nie ma sensu.

– Nie, ta jedna rzecz musi mieć sens. To nie jest jakaś kara boska za wypadek twojego ojca, dlatego że nie miałaś w nim absolutnie żadnego udziału i dlatego że boska sprawiedliwość nie działa w ten sposób... mówię ci to jako niemal praktykująca katoliczka.

Zdobyłam się na ponury uśmiech.

– Bóg mi świadkiem; powinnam się z tego wyświadczyć mojej siostrze wiele lat temu.

– I co by ci z tego przyszło?

– Ostatnio czuję ogromną potrzebę, żeby jej się do tego przyznać.

– Obiecuj mi, że nigdy tego nie zrobisz. I nie dlatego że naprawdę wierzę, że nie masz się do czego przyznawać. Ale w ten sposób całe to poczucie winy, które cię dręczy od tylu lat, przerzuciłabyś na nią. Bo są na świecie takie sprawy – i teraz przemawia przede mną prawdziwa katoliczka – które powinny pozostać tajemnicą. Każdy ma czasem ochotę się wyświadczyć.

To bodaj najbardziej ludzka potrzeba. By prosić o rozgrzeszenie za to wszystko, co spieprzyło się kiedyś w życiu. Każdy popełnił kiedyś jakieś głupstwa i będzie je popełniał nadal. Czasami myślę, że to jedyny, niepodważalny stały element w całej ludzkiej historii: umiejętność pieprzenia życia sobie i innym. Może to jest właśnie najstraszniejszy, a jednocześnie najbardziej pocieszający pewnik ludzkiego życia: fakt, że każdy z nas ma coś na sumieniu. Ludzie to strasznie przewidywalne stworzenia, nie uważasz?

Myślałam o tym później, w domu, gapiąc się na nazwiska prawników, którzy zostali mi jeszcze do wyboru. Na liście Stowarzyszenia Prawniczego wyróżniona była cała sekcja adwokatów specjalizujących się w prawie rodzinnym – a ja mogłam myśleć tylko o tym, że tym specem od rozpadu rodziny wszystkie historie wydają się podobne, wszystkie sprowadzają się do kilku podstawowych wątków: poznał inną... bez przerwy się kłócimy... on po prostu nie słucha, co mówię... jej się wydaje, że jest uwiązana w domu, przy dzieciach... on nie może znieść, że więcej zarabiam. A całe to niezadowolenie, niespełnienie, rozczarowanie wynika ze zwyczajnego niedopasowania, z nieumiejętności bycia razem. Ale Julia miała rację: to wszystko bierze się również z ludzkiej potrzeby robienia zamieszania, z pragnienia zmian... a pierwotnym źródłem tych cech jest najzwyczajniejszy, ludzki lęk przed śmiercią, świadomość, że wszystko się kiedyś skończy. To właśnie ta świadomość każe nam tym rozpaczliwiej szukać jakiegoś znaczenia, jakiegoś sensu w naszych mizernych losach... nawet jeśli oznaczałoby to zniszczenie wszystkiego, co się już ma.

Ograniczyłam listę do czterech prawników, których biura były położone w zasięgu pieszej wycieczki z mojego domu. Nie miałam wątpliwości, że wszyscy powiedzą mi to samo: nie ma pani szans. Ale musiałam znaleźć kogoś, kto będzie mnie reprezentował podczas ostatecznej rozprawy. Zamierzałam zadzwonić do wszystkich czterech kandydatów, ale był piątek, dochodziła piąta po południu, a to oznaczało, że będę rozmawiać albo z automatycznymi sekretarkami, albo z żywymi, którym spieszy się już do domu i z pewnością nie będą chciały o tak później porze rozmawiać z klientką z Legał Aid. Postanowiłam więc, że zacznę dzwonić w poniedziałek z samego rana, a teraz wybiorę się na długi spacer nad rzeką. Wciąż jeszcze byłam trochę roztrzęsiona po wyznaniu, które uczyniłam Julii. Ale

nie czułam ulgi, ciężar, który nosiłam w sercu, nie stał się mniejszy. Nie znalazłam też wielkiej pociechy w tym, co mi powiedziała. Bo choć łatwo jest radzić innym, by wyzbyli się poczucia winy, to zastosowanie się do takiej rady jest prawie niemożliwe. Najtrudniejsza rzecz na świecie to wybaczyć samemu sobie.

Włożyłam kurtkę i buty i ruszyłam do kuchni, by wyjąć klucze z miski, do której je zawsze wrzucałam, Nagle zadzwonił telefon. Do diabła. Kusiło mnie, żeby nie odbierać – w końcu od czego jest automatyczna sekretarka?

– bo akurat się wypogodziło, a ja naprawdę potrzebowałam porządnego spaceru na świeżym powietrzu. W końcu jednak, jako nałogowa masochistka, podniosłam słuchawkę.

– Hm... Chciałbym rozmawiać z panią... hm... Goodchild.

Cudownie. Po prostu cudownie. Właśnie jego chciałam usłyszeć w piątkowe popołudnie. Ale jakoś zdobyłam się na uprzejmość.

– Pan Clapp?

– A, to pani. Czy to odpowiednia pora?

– Tak, chyba tak.

– Hm... no więc...

Kolejna niezręczna chwila ciszy.

– Jest pan tam jeszcze, panie Clapp? – zapytałam, starając się nie okazać zniecierpliwienia.

– Hm, tak... pani Goodchild. Chciałem tylko powiedzieć, że rozprawa poszła dobrze.

Umilkł. Byłam kompletnie zdezorientowana.

– Jaka rozprawa?

– O, nie powiedziałem pani?

– Czego?

– Że dziś rano wystąpiłem o wydanie nakazu sądowego, by pani mąż spłacał kredyt hipoteczny za wasz dom, dopóki nie zostanie sfinalizowany rozwód.

To było dla mnie coś nowego.

– Naprawdę?

– Mam nadzieję, że pani nie ma nic przeciwko temu...

– Skąd. Po prostu nie wiedziałam.

– No więc... hm... Pomyślałem, że skoro grożono pani eksmisją...

– Ależ nie ma pan za co przepraszać – powiedziałam. – Dziękuję.

– Hm, tak. W każdym razie, hm, wychodzi na to... no więc sąd postanowił utrzymać status quo.

– Nie rozumiem?

– Uzyskałem nakaz dziś o trzeciej po południu. Sędzia przewodniczący rozprawie... mimo wyraźnego sprzeciwu adwokata pani męża, no więc, sędzia zawyrokował, że pani mąż ma w dalszym ciągu spłacać kredyt hipoteczny, dopóki nie zostanie wypracowane końcowe porozumienie, zaakceptowane przez obie strony.

Nie mogłam uwierzyć własnym uszom.

– Czy to znaczy, że nie mogą sprzedać domu bez mojej zgody?

– Hm... tak. A jeśli pani mąż nie będzie spłacał rat kredytu, zostanie to uznane za pogwałcenie nakazu sądowego. Co oznacza, że może nawet trafić do aresztu za niewypełnianie zobowiązań wobec pani.

– Dobry Boże.

– A, jeszcze jedno. Jego adwokat powiedział, że chce złożyć ofertę, dotyczącą wypłacania pani tymczasowych alimentów.

– Naprawdę?

– Myślę, że trochę się zdenerwował na myśl, że w zaistniałych okolicznościach sąd może nakazać jego klientowi wypłacanie pani co miesiąc znacznej sumy. Zaproponowali więc tymczasowe alimenty w wysokości tysiąca funtów miesięcznie.

– Pan chyba żartuje?

– Czy to za mało?

– Ależ skąd. Nie chcę z tego ani pensa.

– A, w porządku. A co z kredytem hipotecznym?

– To już inna historia, bo dom był naszą wspólną inwestycją. Ale na pewno nie chcę się utrzymywać z pieniędzy tej kobiety.

– Cóż, hm, to pani wybór. Więc... hm... jeśli chce pani, żebym dalej prowadził tę sprawę, poinformuję ich o pani decyzji.

Czy on zawsze tak nisko się oceniał? Nie zastanawiałam się ani sekundy.

– Bardzo się cieszę, że mam pana po swojej stronie, panie Clapp.

– O... – powiedział, odrobinę zmieszany. Po czym dodał: – Hm... dzięki.

12

Nigel Clapp nie odzywał się przez następny tydzień. Przesłał mi za to kopię nakazu sądowego, który udało mu się uzyskać, wraz z listem od prawnika Tony'ego, potwierdzającym, że jego klient będzie kontynuował spłaty kredytu hipotecznego za pozostający naszą wspólną własnością dom do czasu, aż zostanie spisana wiążąca umowa, dotycząca podziału naszych wspólnych dóbr. Potwierdzał również, że odrzuciłam ofertę w wysokości tysiąca funtów miesięcznie w charakterze alimentów, i oświadczał, że w związku z powyższym strona nie będzie prowadzić żadnych dalszych negocjacji dotyczących wypłat tymczasowych alimentów do czasu, aż sprawę ureguluje ostateczna umowa, bla, bla, bla...

– Powinnaś była wziąć te pieniądze – powiedziała Sandy, kiedy przeczytałam jej list przez telefon. – W końcu on ma tę swoją sponsorkę, która go utrzymuje. A tobie dodatkowy tysiąc na miesiąc pozwoliłby trochę swobodniej odetchnąć i wynająć lepszego adwokata...

– Jak już powiedziałam Clappowi: nie ma mowy, żebym żyła z jej pieniędzy.

– Ty i ta twoja głupia duma. Witamy w Krainie Rozwodów, gdzie podstawową zasadą jest zgnoić drugą stronę. I dokładnie to zamierzają ci zrobić twój cudowny Tony i jego bogata zdzira. Dlatego myślę, że odrzucanie tych pieniędzy było z twojej strony idiotyzmem. Nie masz z czego żyć, a na dodatek z tego, co mówisz, wynika, że ten prawnik, który cię reprezentuje, nie jest żadnym orłem. Druga strona zeżre go żywcem na rozprawie. I pewnie w charakterze twojego obrońcy zatrudni takie samo nic. Pomyśl, wszyscy prawnicy występujący na sali sądowej to aktorzy. A żaden dobry aktor nie będzie chciał współpracować z takim zerem jak on.

– Chyba jesteś trochę za surowa dla tego gościa.

– Ja tylko powtarzam to, co usłyszałam od ciebie.

– Racja... ale to było, zanim wygrał tę sprawę z hipoteką... dzięki czemu, spójrzmy wprawdzie w oczy, nie wylądowałam na ulicy. I masz rację: facet w bezpośredniej rozmowie zachowuję się, jakby się bał całego świata, co mnie martwi. Ale biorąc pod uwagę, jak załatwiła mnie ta tupecziara od Lawrence'a i Lamberta, zrobiłam się trochę nieufna, jeśli chodzi o drogie firmy prawnicze.

– Ale to była tylko jedna zarozumiała dziwka. Przecież w Londynie muszą być jacyś dobrzy prawnicy od rozwodów.

– Tak, ale mnie na nich w tej chwili nie stać. I masz rację, może i było głupotą odrzucenie tych pieniędzy od Tony'ego. Ale chodzi o to, że po raz pierwszy, odkąd zaczął się ten cały koszmar, naprawdę coś wygrałam. I zawdzięczam to mojemu dziwnemu adwokato-

wi. Więc dlaczego miałabym się odwracać od faceta, który dokopał Tony'emu?

Ale Sandy miała rację co do jednego: z Nigelem Clappem współpracowało się jak ze stołową nogą. Nie dało się w żaden sposób przewidzieć, co zamierza ani jaką taktykę postanowił zastosować. Po sukcesie z kredytem zniknął na tydzień. A potem, ni stąd, ni zowąd, znów się ze mną skontaktował.

– Hm... – usłyszałam, kiedy podniosłam słuchawkę.

– Pan Clapp?

– Chciałbym rozmawiać z panią Goodchild.

– To ja.

– Naprawdę?

– Tak, jestem tego raczej pewna.

– Ach, tak. No więc... hm... nazwiska.

– Nazwiska?

– Tak, nazwiska.

– Nie bardzo pana rozumiem.

– Potrzebuję nazwisk wszystkich osób z opieki społecznej i służby zdrowia, które miały z panią kontakt.

Zamilkł, jakby trud wypowiedzenia tego zdania bez „hm” w środku był ponad jego siły. Po chwili jednak mówił dalej:

– Potrzebne mi też nazwiska wszystkich nian czy pielęgniarek, jakie pani zatrudniała.

– W porządku. Mam je panu jeszcze dziś przesłać mailem?

– Tak, hm, mailem może być.

– Wie pan, że moja poprzednia adwokatka zebrała oświadczenia praktycznie od wszystkich, z wyjątkiem pielęgniarki środowiskowej, która była w tym czasie w Kanadzie.

– Tak. Wiem. Bo mam te zeznania.

– Naprawdę?

– Hm, tak.

– Jak je pan zdobył?

– Otrzymałem kopie wszystkich dokumentów sądowych.

– Jasne, jasne, ale skoro pan ma wszystkie zeznania, to po co panu jeszcze raz te wszystkie nazwiska?

– Bo, hm... chciałbym jeszcze raz z nimi wszystkimi porozmawiać.

– Rozumiem – odparłam. – Czy to konieczne?

– Cóż... hm... owszem, konieczne.

Później tego samego dnia, relacjonując całą tę rozmowę Julii przy kawie w jej kuchni, powiedziałam:

– Wiesz co? To było chyba pierwsze asertywne zdanie, jakie do mnie powiedział.

– Nie powinnaś się aż tak o niego martwić. Wygląda na to, że wie, co robi.

Cztery dni później, około pierwszej w nocy, obudził mnie telefon. A telefon o tej godzinie może oznaczać tylko dwie rzeczy: (1) pijacką pomyłkę, (2) bardzo złe nowiny. Ale tym razem usłyszałam w słuchawce głos młodej kobiety z londyńskim akcentem, która – sądząc po trzaskach w słuchawce – dzwoniła z bardzo daleka.

– Halo, pani Goodchild... Sally?

– Kto mówi? – zapytałam, na wpół obudzona.

– Jane Sanjay.

– Kto?

– Pielęgniarka środowiskowa, pamięta pani?

– A tak, oczywiście. Dzień dobry, Jane. Ale czy pani nie miała być za granicą?

– Jestem za granicą – odparła. – W Kanadzie. Słyszała pani kiedyś o Parku Narodowym Jasper? W górach, w prowincji Alberta. Niesamowite miejsce. I bardzo daleko od południowego Londynu. Ale dzwonię, bo wytropił mnie pani adwokat, pan Clapp.

– Pan Clapp panią znalazł?

– Owszem. Wyjaśnił mi, przez co pani przeszła, i zapytał, czy zechciałabym zeznawać na pani korzyść. Co oczywiście zrobię bardzo chętnie, tym bardziej, że wracam do pracy za jakieś dwa miesiące. Nie mogę długo rozmawiać, bo karta mi się kończy, ale chciałam pani powiedzieć, że jestem oburzona, że zabrali pani Jacka. Pan Clapp mówił, że strasznie panią wrobili. Powiedział mi też o depresji poporodowej, która już sama w sobie powinna panią zwolnić od wszelkiej odpowiedzialności. Co z tego, że rzucała pani jakieś groźby, skoro była pani poważnie chora i wykończona? Co z tego, że niechcący nakarmiła pani synka piersią po zażyciu środków nasennych?

Mieliśmy o wiele gorsze przypadki w naszej dzielnicy, i mówię tu o prawdziwym znęcaniu się nad dzieckiem, kiedy mimo wszystko nie zabierano dziecka matce. Więc jeśli o mnie chodzi, uważam to po prostu za oburzające. I chcę, żeby pani wiedziała, że jestem całkowicie po pani stronie i zrobię wszystko, żeby pomóc...

Byłam tak oszołomiona i wzruszona tym niespodziewanym telefonem z drugiej półkuli, że ledwie wydukałam, jak bardzo jestem wdzięczna i zaprosiłam ją na lunch, kiedy tylko wróci. Po czym zadzwoniłam do Sandy do Bostonu i przekazałam jej nowiny.

– To po prostu wspaniale – stwierdziła podekscytowana. – Ona widywała cię w domu z Jackiem i to się będzie ogromnie liczyć. Bo skoro odwiedzanie młodych matek należy do jej obowiązków, jej opinia będzie potraktowana bardzo poważnie. A tak przy okazji, jak było wczoraj na spotkaniu?

Moja siostra oczywiście doskonale pamiętała terminy moich nadzorowanych spotkań z Jackiem.

– Chyba mnie już rozpoznaje – powiedziałam. – A zresztą, może sobie wmawiam.

– Nie, dzieci rozpoznają osoby, które mają z nimi kontakt.

– A to znaczy, że Jack uważa tamtą kobietę za swoją mamę.

– On ma ledwie parę miesięcy – odparła Sandy. – Jeszcze nie wie, kto jest kim.

– Próbujesz mnie pocieszyć.

– Może i tak. Ale sam fakt, że cię rozpoznaje, to bardzo dobry znak. To początek więzi między wami, nie uważasz?

Więź. Znowu to słowo.

– Tak, związujemy się jak złoto... szczególnie że mamy na to związywanie zaledwie godzinę tygodniowo. Ale Clarice, ta kobieta, która nadzoruje wizyty, chyba jest zadowolona. Tak samo Jessica Law, wiesz, ta, która pisze...

– Wiem, raport CAFCASS dla sądu...

– Zdziwiasz mnie.

– Zapamiętuję każdy szczegół, który mi podajesz. Ale następnym razem, kiedy zobaczysz się z panią Law, powinnaś jej zadać jedno pytanie: dlaczego Tony ani razu się z tobą nie skontaktował?

– Odpowiedź jest bardzo prosta – stwierdziłam. – Bo jest totalnym tchórzem.

– W to nie wątpię. Ale powinnaś o to zapytać panią Law, bo skoro pisze raport na temat obu stron, prawdopodobnie jest również w stałym kontakcie z Tonym. A skoro wyczuwasz, że ma o tobie dobre zdanie, to powiedz jej, że jesteś trochę zaskoczona brakiem jakichkol-

wiek prób kontaktu ze strony twojego męża. W przyszłości będziecie musieli porozumiewać się na temat wychowania Jacka, niezależnie od tego, które z was otrzyma prawo do opieki.

Rozumiesz, do czego zmierzam?

Rozumiałam – i rozumiał to również Nigel Clapp. Z własnej inicjatywy poruszył tę kwestię, kiedy zadzwoniłam, by mu pogratulować odnalezienia Jane Sanjay.

– Ach, tak – powiedział.

– Ale przecież wytropienie jej musiało panu zająć mnóstwo czasu. Asystentka od Lawrence’a i Lamberta w ogóle nie miała szczęścia, bo podobno Jane przez cały czas podróżowała po Kanadzie.

– Podróżowała? Naprawdę? – zapytał zdziwiony. – Mnie powiedziała, że przez ostatnie cztery miesiące pracowała w leśniczówce w Parku Jasper.

A odnalezienie jej... hm... cóż, wystarczyły dwa telefony. Najpierw zadzwoniłem do rady miejskiej, wyjaśniłem, kim jestem, i dlaczego muszę z nią porozmawiać. A że oni sami nie wiedzieli, gdzie jej szukać, obiecali zadzwonić w moim imieniu do jej matki, bo matki zwykle wiedzą, gdzie przebywają ich córki. I w tym przypadku, hm, też tak było. Podali pani Sanjay mój numer. Zadzwoniła do mnie. Porozmawialiśmy. Podała mi numer do córki w Kanadzie. Zadzwoniłem do niej. Porozmawialiśmy. I zgodziła się świadczyć na pani korzyść podczas ostatecznej rozprawy. Ach, i... hm... na wypadek, gdyby coś ją zatrzymało w Kanadzie albo nie zdołała dotrzeć na rozprawę, skontaktowałem się z Kanadyjskim Towarzystwem Prawniczym, zdobyłem nazwisko prawnika urzędującego w Jasper i wczoraj z nim rozmawiałem. Jeszcze w tym tygodniu odbierze od pani Sanjay pisemne zeznanie pod przysięgą, poświadczone notarialnie, by na pewno zostało uznane przez brytyjski sąd. Ale to już tylko dodatkowe zabezpieczenie z mojej strony, na wszelki wypadek. Cóż, lubię być ostrożny – dodał, wydając dźwięk, który przy odrobinie dobrej woli można było uznać za śmiech.

Poinformował mnie też, że niemal wszystkie osoby z mojej listy zostały już przesłuchane przez panią Keating.

– Kto to jest pani Keating? – zapytałam.

– O, pani nie zna pani Keating?

– No, raczej nie... – odparłam, gryząc się w język, żeby nie dodać: przecież gdybym ją znała, nie pytałabym, kto to jest.

– Może was sobie nie przedstawiłem?

– Ale gdzie mogłam ją spotkać?

– W moim biurze. Ile razy pani u mnie była?

– Raz.

– Tylko raz?

– Tak, tylko raz.

– Rosę Keating to moja sekretarka.

Boże, ileż wysiłku kosztowało wyciągnięcie tego z niego.

– I to ona przesłuchiwała te wszystkie osoby?

– Hm... tak. Jest w tym bardzo dobra.

– Nie wątpię – powiedziałam. – I co, podobają się panu te nowe zeznania?

– Podobają? – zapytał, jakby nie zrozumiał, o co mi chodzi. – Wydaje mi się, że są w porządku, tak. Ale czy mi się podobają...?

W słuchawce zapanowała długa cisza; pan Clapp zapewne rozważał swoje estetyczne odczucia na temat zeznań świadków. Boże, ten facet naprawdę był ciężkim przypadkiem. Choć znaliśmy się krótko, zdążyłam się już pogodzić z faktem, że nigdy nie zrozumiem tego człowieka, nie mówiąc o bliższym poznaniu go. Po naszym pierwszym spotkaniu wszystkie sprawy załatwiał przez telefon, a kiedy raz czy dwa zaproponowałam, że wpadnę do niego na rozmowę, wydawał się niemal przerażony i mówił, że „nie ma potrzeby, by się pani fatygowała aż do Balham”. Wyczuwałam, że: doskonale zdaje sobie sprawę ze swoich zahamowań, pełnego wahania sposobu mówienia i niemożności nawiązania choćby najmniejszego kontaktu z klientem. Ale teraz wiedziałam, że jest naprawdę świetny w tym, co robi – dokładny i skuteczny. Byłam pewna, że za tą całą społeczną skorupą kryje się złożona osobowość i uczucia – w końcu miał przecież żonę i dzieci. Byłam jednak pewna, że ani mnie, ani żadnemu innemu klientowi nigdy nie pokazałby się od takiej strony. I na pewno nie był jednym z tych zapatrzonych w siebie ekscentryków, którzy grali pod publiczność, chwając się swoimi dziwactwami. Nie, Nigel Clapp nie był oryginałem czy dziwakiem, tylko najprawdziwszym dziwolągiem. Co mnie trochę niepokoiło, zważywszy, że stanowił moją jedyną nadzieję na wypłatanie się z tego koszmaru.

A jednak zaczynałam mu ufać.

– Panie Clapp, jest pan tam jeszcze?

– Tak, chyba – odparł. – Czy mieliśmy jeszcze coś do omówienia?

– Nie wiem, panie Clapp – powiedziałam pełnym szacunku tonem. – To pan do mnie zadzwonił.

– Faktycznie. No więc... hm... myślę, że powinna pani napisać list. Nie gniewa się pani, że ośmieliłem się sugerować...?

– Nie, jeśli według pańskiej opinii powinnam napisać list, który podziela na moją korzyść w tej sprawie, to napiszę. Chciałabym tylko wiedzieć, do kogo mam go napisać.

– Do pani męża. Chciałbym, by było jasne... hm... że chce pani kontaktować się z mężem w sprawie warunków pobytu pani syna w nowym domu... na przykład jak traktuje go ta pani Dexter i jakie są jego plany na przyszłość.

Sugerowałbym też, by pani zaproponowała spotkanie... we dwójkę... by przedyskutować przyszłość Jacka.

– Ale ja naprawdę nie mam ochoty się z nim spotykać, panie Clapp. Nie sądzę, żebym była w stanie z nim rozmawiać.

– Rozumiem panią. Ale... hm... o ile się nie mylę... a oczywiście mogę się mylić, w przeszłości zdarzało mi się mylić, bo popełniam pomyłki... hm... ja nie sądzę, żeby on się zgodził na spotkanie. Poczucie winy, widzi pani. Będzie się czuł winny. Chyba że się mylę...

– Nie – odparłam. – Sądzę, że się pan nie myli. Prawdę mówiąc, moja siostra wpadła na podobny pomysł.

– Jaki pomysł? – zapytał. Dałam więc spokój tej kwestii, zanim splątała się jeszcze bardziej.

Ale wieczorem napisałam list.

Drogi Tony, nie potrafię nawet wyrazić, jak wiele bólu mi przysporzyłeś. Nie potrafię sobie też w żaden sposób wytłumaczyć, jak mogłeś zawieść moje zaufanie i zdradzić swojego syna w tak okrutny, samolubny sposób. Wykorzystałeś moją chorobę – tymczasową niedyspozycję, z której niemal już się wyleczyłam -jako pretekst, by ukraść mi syna i zacząć życie od nowa z kobietą, z którą najwyraźniej spotykałeś się już w trakcie mojej ciąży. To, że manipulowałeś informacjami o incydentach spowodowanych moją depresją poporodową, by udowodnić, że stanowią zagrożenie dla Jacka, było działaniem podstępnym i bezdusznym.

Ale do napisania tego listu skłoniła mnie zupełnie inna, o wiele ważniejsza kwestia. Niepokoi mnie fakt, że choć jestem matką Jacka, z rozmysłem trzyma się mnie w nieświadomości, jeśli chodzi o podstawowe fakty na jego temat: kto się nim zajmuje, czy ma właściwą opiekę i czy otrzymuje tyle matczynego ciepła i uwagi, ile potrzebuje małe dziecko.

Pozostaje też kwestia jego wychowania, którą musimy przedyskutować – niezależnie od tego, komu zostanie przyznane prawo do opieki.

Chcę podkreślić z całą mocą, że mimo ogromnego cierpienia spowodowanego faktem, iż tak niesprawiedliwie rozdzielono mnie z moim synem, i mimo gniewu z powodu Twojej zdrady – moją podstawową troską jest samopoczucie Jacka i jego przyszłe szczęście. I dlatego skłonna jestem odłożyć na bok wszelkie urazy i umówić się z Tobą, by usiąść i porozmawiać na temat naszego syna i jego dalszych losów – i rozmów takich w przyszłości zapewne będzie więcej. Dla jego dobra powinniśmy na chwilę zapomnieć o wzajemnych pretensjach i porozmawiać.

Czekam na Twoją odpowiedź z propozycją czasu i miejsca spotkania.

Z poważaniem – Rany, ty to masz głowę – powiedziała Julia, kiedy pokazałam jej ostateczną wersję listu.

– To zasługa pana Clappa. Kazał mi napisać trzy różne wersje, zanim uznał, że jest zadowolony.

– Poważnie? Pan Nieśmiałek Clapp naprawdę wprowadzał poprawki do twojego dzieła?

– I nie tylko. Co chwila przysyłał mi mailem sugestie, jak wbić nóż jeszcze głębiej, choć oczywiście nigdy nie powiedziałby wprost, że próbujemy podstawić nogę mojemu mężowi, nawet jeśli taki był naprawdę cel tego pisarskiego ćwiczenia.

– Muszę przyznać, że list jest zredagowany bardzo przebiegle. Podkreślasz w nim, że jesteś ofiarą, bez użalania się nad sobą. Wytykasz mu dwulicowość i podajesz w wątpliwość motywy, którymi rzekomo się kierował.

A potem wykazujesz godną pochwały wielkoduszność, wyrażając wolę odłożenia na bok animozji dla dobra swojego syna...

Trzy dni później dostałam odpowiedź od Tony'ego.

Droga Sally, biorąc pod uwagę groźby wobec naszego syna i Twój kompletny brak macierzyńskich instynktów po porodzie, wydaje mi się dość niezwykle, że piszesz do mnie teraz, wyrzucając mi, że zawiodłem Twoje zaufanie.

Tym bardziej, że tak naprawdę to Ty zawiodłaś zaufanie niewinnego dziecka.

Co do oskarżeń, że zdradzałem Cię w czasie Twojej ciąży, powinnaś wiedzieć, że Dianę Dexter od lat była moją bliską przyjaciółką. I jako do przyjaciółki zwróciłem się do niej o wsparcie, kiedy Twoje zdrowie psychiczne zaczęło się pogarszać. Nasza przyjaźń zmieniła się w coś więcej dopiero po Twoim ostatecznym załamaniu i Twoich nieodpowiedzialnych czynach, zagrażających życiu naszego syna.

Nie mógłbym znaleźć lepszej zastępczej matki dla Jacka – osoby, która zapewniłaby mu równie bezpieczny, stabilny dom konieczny w początkach jego życia. Oczywiście zdaję sobie sprawę z tego, że Ty, jako biologiczna matka, powinnaś mieć poważny udział w decyzjach na temat jego przyszłości. Ale dopóki nie będę miał pewności, że nie stanowisz dla niego zagrożenia, nie mogę „usiąść i porozmawiać” z Tobą. Mam nadzieję, że jesteś na najlepszej drodze do wyzdrowienia i zaczęłaś sobie zdawać sprawę ze swojego niebezpiecznego zachowania wobec naszego syna. Zrozum, proszę: nie żywię do Ciebie żadnych nieprzyjaznych uczuć. I życzę Ci wszystkiego co najlepsze na przyszłość.

Z poważaniem Tony List trząśł mi się w rękach, kiedy go czytałam. Natychmiast prze-faksowałam kopię Nigelowi Clappowi, po czym zapukałam do Julii, od której dostałam kawę i wyrazy współczucia.

– Przecież wiesz, że prawnik z nim nad tym pracował – powiedziała.

– Tak jak ze mną, kiedy pisałam swój list.

– Ale twój był przynajmniej napisany własnymi słowami. A to coś... miejscami brzmi jak żywcem wyjęte z czasów królowej Wiktorii. „Po Twoim ostatecznym załamaniu i Twoich nieodpowiedzialnych czynach, zagrażających życiu naszego syna”. Kto dziś używa takiego języka?

– Z pewnością nie jest to zwięzły i cięty styl Tony’ego. Poza tym on nigdy nie puszcza się na takie sentymentalne kawałki, jak „nie żywię do Ciebie żadnych nieprzyjaznych uczuć i życzę Ci wszystkiego co najlepsze na przyszłość”. Oczywiście że żywi do mnie nieprzyjemne uczucia i ma nadzieję, że wpadnę pod autobus przy najbliższej okazji.

– To jest rozwód. I jak to rozwód, zawsze jest paskudny. Szczególnie kiedy stawka jest tak wysoka.

Później tego samego popołudnia zadzwonił do mnie pan Clapp.

– Hm... co do listu pani męża...

– Bardzo mnie zaniepokoił – powiedziałam.

– Doprawdy?

– Bo napisanie odpowiedzi pozwoliło temu gnojkwowi odwrócić przeciwko mnie wszystko, co ja napisałam do niego. A poza tym dobitnie dał do zrozumienia, że „uratował” mojego syna, co jest nie tylko wierutnym kłamstwem, ale i oszczerstwem.

– Rozumiem, że... hm... pani może się czuć zdenerwowana takim postawieniem sprawy. Ale co do szkód, jakie mógł wyrządzić ten list... jest dokładnie taki, jakiego się spodziewałem.

– Poważnie?

– Tak, mówię absolutnie poważnie. Tego się spodziewałem i tego chciałem.

– Pan chciał takiej odpowiedzi?

– Hm, tak.

Nastąpiła jedna z jego sławetnych pauz, wskazujących, że chce przejść do kolejnego tematu rozmowy.

– Mogę zapytać, czy miała pani jakieś sukcesy, jeśli chodzi o poszukiwanie pracy?

– Cały czas próbuję, ale jak na razie nie mam szczęścia.

– Rozmawiałem z doktor Rodale, pani... hm...

Odchrząknął, najwyraźniej nie chcąc użyć tego żenującego słowa. Pomogłam mu więc.

– Psychiatrą.

– Tak, z pani psychiatrą. Powiedziała mi, że napisze raport stwierdzający, iż w świetle pani... hm...

– Depresji.

– Tak, pani depresji, uważa panią za nadal niezdolną do pełnoetatowej pracy. To da nam przynajmniej podkładkę, na wypadek, gdyby obrońca pani męża podniósł na rozprawie kwestię pani braku zatrudnienia. Ale jeśli znajdzie pani jakąś pracę, rzuci to pozytywne światło na pani postępy w wychodzeniu z... hm...

– Depresji.

– Właśnie tak.

Dwa dni później zadzwoniła do mnie Julia. Powiedziała mi, że siedzi właśnie u swojego przyjaciela, redaktora. Podczas jednej z naszych pierwszych rozmów wspomniałam jej, że jeszcze w college'u pracowałam podczas wakacji jako korektorka w pewnym bostońskim wydawnictwie.

– Więc kiedy mój przyjaciel powiedział, że korektorzy, z którymi zwykle współpracuje, są akurat zajęci, a on pilnie potrzebuje kogoś do dużego zlecenia, natychmiast pomyślałam o tobie. Oczywiście jeśli jesteś zainteresowana...

– Och, jasne że jestem.

Następnego dnia pojechałam metrem na Kensington High Street i spędziłam godzinę w gabinecie redaktora naczelnego, niejakiego Stanleya Shawa – chudego, cichego, bardzo eleganckiego mężczyzny po pięćdziesiątce. Pracował w dziale dużego wydawnictwa i był odpowiedzialny głównie za potężne encyklopedie i leksykony, między innymi za Przewodnik po muzyce klasycznej dostępnej na CD, który wydawany był co dwa lata i stanowił potworną cegłę, składającą się z jakichś pięciuset stron.

– Czy pani w ogóle zna się na muzyce klasycznej? – zapytał.

– Potrafię odróżnić Mozarta od Mahlera.

– No, to już coś – odparł z uśmiechem, po czym wypytał mnie o moje korektorskie doświadczenia i czy zdołam się przestawić na brytyjski angielski, czy mam pojęcie o terminologii muzycznej i o ogromnej liczbie skrótów, które stanowiły ważny element przewodnika. Zapewniłam go, że szybko się uczę.

– To świetnie, bo potrzebujemy kompletnej korekty przewodnika za dwa miesiące. To będzie duże wyzwanie z technicznego punktu widzenia, jako że chodzi o krytyczne kompendium najlepszych dostępnych nagrań dzieł praktycznie wszystkich, mniej i bardziej znanych kompozytorów. Słowem, to ogromne zadanie, i szczerze mówiąc, wolałbym go nie powierzać komuś, kto od tak dawna nie pracował w tym fachu. Ale jestem w kropce, a jeśli Julia Frank wierzy, że pani potrafi to zrobić, to i ja w to wierzę. Oczywiście jeśli pani sama wierzy, że da sobie radę i że odda mi gotową korektę w ciągu dwóch miesięcy.

– Dam radę.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Następnego dnia posłaniec na motocyklu przywiózł mi wielkie, głębokie tekturowe pudło, zawierające ponad pięćset stron wydruku do korekty. Już wcześniej opróżniłam kuchenny stół, by mieć miejsce do pracy, zainstalowałam na nim lampę kreślarską i przygotowałam sobie słoik pełen zastruganych ołówków. Do wydruku dołączona była umowa. Przed podpisaniem wysłałam kopię faksem Nigelowi Clappowi. Zadzwoił do mnie po godzinie.

– Ma pani pracę – powiedział zaskoczony.

– Na to wygląda. Ale niepokoi mnie jedna sprawa: czy kiedy otrzymam honorarium, będę w dalszym ciągu uprawniona do korzystania z usług Legał Aid?

– Cóż... hm... może ich pani poprosić o zmianę warunków umowy i wypłacenie całości honorarium dopiero po publikacji, czyli... z tego co tu widzę... za osiem miesięcy. Wtedy będziemy mogli pokazać sądowi, że pani pracuje, ale wynagrodzenie dostanie pani dopiero po rozprawie. W ten sposób w dalszym ciągu będzie się pani kwalifikować do Legał Aid. Oczywiście jeśli może pani sobie pozwolić na to, by nie pobierać wypłaty od razu.

Rozprawa miała się odbyć dopiero za dziesięć tygodni, a mnie pozostała dolarowa równowartość tysiąca pięciuset funtów. Musiałabym baaardzo zacisnąć pasa.

– A gdybym poprosiła Stanleya o jedną trzecią honorarium z góry?

– Tak, wtedy ciągle mieściłaby się pani w granicach uprawniających do korzystania z Legał Aid.

Stanley Shaw był cały szczęśliwy, gdy poprosiłam go o przeredagowanie umowy.

– Pracuję w tym fachu od trzydziestu lat i po raz pierwszy zdarzyło mi się, żeby autor czy redaktor poprosił o odłożenie wypłaty... co oczywiście uczynię z największą radością.

Tego wieczoru wykonałam kilka prostych rachunków. Na wykonanie pracy miałam w sumie sześćdziesiąt jeden dni. Pięćset podzielić na sześćdziesiąt jeden równa się dwadzieścia cztery i pół strony dziennie. Podzielić na osiem równa się trzy.

Trzy strony na godzinę. Wykonalne. Pod warunkiem że nie będę się odrywać od roboty. Nie pozwolę sobie na czcze rozmyślanie. Nie będę rozpamiętywać palącej tęsknoty za Jackiem. Nie będę poddawać się nieustannemu strachowi, że sędzia weźmie stronę Tony'ego i przyzna mi prawo do jednego godzinnego widzenia w tygodniu aż do...

Nie, nie... nie myśl o tym. Bierz się do pracy.

Cztery dni zajęło mi przedarcie się przez kompozytorów na A (Albinoni, Alkan, Arnold, Adams) i dotarcie do B, zaczynającego się od całej rodziny Bachów. Zaimponowała mi liczba recenzowanych dzieł. Były też krytyczne uwagi za i przeciw – redaktorzy przewodnika zastanawiali się, czy jeśli chodzi o nagrania Mszy b-moll lepsze jest tradycyjne, kapelmistrzowskie podejście Karla Richtera, bardziej eleganckie, zredukowane okresy wykonań

Johna Eliota Gardinera czy interpretatorski perfekcjonizm Masaki Suzuki albo...

To był chyba najciekawszy aspekt pracy nad przewodnikiem (szczególnie dla kogoś o tak niewielkiej wiedzy muzykologicznej jak ja) – odkrycie, że wykonanie, interpretacja dzieła zmienia się z każdym dyrygentem, z każdym instrumentalistą, z każdym śpiewakiem. Ale choć można robić różne sztuczki z taktowaniem i tempem, tak naprawdę nie da się odejść zbyt daleko od oryginału. W przeciwieństwie do prawdziwych ludzkich historii, które zawsze są otwarte na spekulacje, domysły, manipulacje... do tego stopnia, że słuchając ich od nowa, zaczynasz się zastanawiać, gdzie się podziła pierwotna fabuła i jakim cudem wątek został przejęty przez dwoje głównych bohaterów, z których każde opowiada teraz zupełnie inną wersję tej samej opowieści.

– Pewnie dostajesz świra od czytania tego muzykologicznego bełkotu słowo po słowie – powiedziała Sandy pewnego wieczoru, podczas naszej codziennej rozmowy.

– Prawdę mówiąc, sprawia mi to nawet frajdę. W gruncie rzeczy to jest ciekawe, a w dodatku ta praca dała mi coś, za czym tęskniłam od miesiący: usystematyzowała mi dzień.

Trzy strony na godzinę, osiem godzin dziennie – pracę rozłożyłam sobie na dwie czterogodzinne sesje, rozdzielone półgodzinną przerwą. Oczywiście musiałam też wpasować w ten grafik cotygodniową wizytę u Jacka, odwiedziny Jessiki Law dwa razy w miesiącu i wizyty u doktor Rodale, również dwa razy w miesiącu. Ale poza tymi wyjątkami praca wyznaczała mi rozkład dnia. Pomagała też określać upływ czasu i skrócić bolesne oczekiwanie na rozprawę. Owszem, taka intensywna praca korektorska często bywa męcząca. Czasami czułam się znudzona i przytłoczona ogromem zadania. Ale znajdowałam też pewną przyjemność w tym przedzieraniu się coraz dalej i dalej przez alfabet. Po trzech tygodniach Berlioz był już odległym wspomnieniem, bo właśnie skończyłam polerowanie Hindemitha i Roya Harrisa. Przebrnięcie przez wszelkie możliwe nagrania dzieł Mozarta przypominało trochę wycieczkę samochodową, którą urządziłam sobie kiedyś po Kanadzie. Przez całą drogę myślałam: ten kraj musi się przecież gdzieś kończyć. W połowie piątego tygodnia zaczęłam wpadać w lekką panikę. Dotarłam właśnie do obszernej części na S, zaczynającej się od niewiarygodnie płodnego Schuberta, a kończącej na równie pracowitym Szostakowiczu. Stanley Shaw (znowu na S!) sprawdził raz, jak mi idzie, i przypomniał, że termin mija już za dwa i pół tygodnia.

– Proszę się nie martwić, zdążę – powiedziałam mu, choć sama zaczynałam się zastanawiać, jak to zrobić. Zwiększyłam dzienny limit z ośmiu do dwunastu godzin. Opłaciło się, bo w połowie szóstego tygodnia udało mi się skończyć Telemanna i zacząć Tippetta. Kiedy wybrałam się na kolejną wizytę kontrolną, doktor Rodale powiedziała mi, że jestem ostatnio tak „wyrównana”, że zamierza stopniowo zmniejszać dawkę leków. Tydzień później, kiedy przerabiałam omówienie wszystkich symfonii Vaughana Williamsa (najlepszą recenzję dostało wykonanie pod dyrekcją Boult), Nigel Clapp zawiadomił mnie, że wyznaczono już datę rozprawy – osiemnasty czerwca.

– Hm... zaangażowałam obrońcę... więc... bardzo dobrze radzi sobie z tego typu sprawami... i... hm... jest również w rejestrze Legał Aid... no więc... ona się nazywa...

– Ona? – zapytałam.

– Tak, to kobieta. Ale idealna w pani sytuacji... przepraszam, przepraszam, to chyba źle zabrzmiało.

– Wiem, co pan chciał powiedzieć. Więc jak się nazywa?

– Maeve Doherty.

– Irlandka?

– Hm... tak. Urodziła się i wychowała w Irlandii, studiowała w Oksfordzie, potem przez jakiś czas była członkiem dość radykalnych grup...

– Rozumiem...

– Ma na koncie sporo... hm... istotnych osiągnięć. Szczególnie w dziedzinie prawa rodzinnego. Jest dostępna. Pracuje dla Legal Aid. I sprawdzi się w pani kłopotliwym położeniu.

– A jeśli sędzia okaże się tradycjonalistą, który nie znosi jej poglądów?

– Cóż... hm... nie można mieć wszystkiego.

Nie miałam czasu zastanawiać się zbyt długo nad tym potencjalnym problemem. W moim przewodniku Vaughan Williams ustąpił miejsca Verdiemu, Victorii i Vivaldiemu, a potem Waltonowi, Weberowi i Weekesowi; dwadzieścia cztery godziny przed końcem terminu wciąż jeszcze męczyłam się nad Wesleyem. Wlewając w siebie niezliczone kawy i zapewniając Stanleya Shawa, że jutro o dziewiątej rano może mi przysłać pod drzwi kuriera, przebrnęłam przez wszystkie prace Widora; gdzieś koło północy dotarłam do ostatniego hasła (Zwillicha), a potem nagle wzeszło słońce, a ja rzuciłam ostatnią stronę na stertę i uśmiechnęłam się tym zmęczonym uśmiechem, który przychodzi po wykonanej pracy, i zrobiłam sobie kąpiel. O dziewiątej już ubrana czekałam na kuriera; godzinę później zadzwonił Stanley Shaw, gratulując mi, że dotrzymałam terminu. A po kolejnej godzinie trzymałam w ramionach mojego synka pod coraz mniej czujnym spojrzeniem Clarice Chambers, która tego ranka powiedziała mi, że zostawi nas samych, ale będzie na końcu korytarza, w pokoju socjalnym, gdybyśmy jej potrzebowali.

– I co ty na to, Jack? – powiedziałam, kiedy wyszła. – Nareszcie jesteśmy sami.

Ale Jack był zbyt zajęty ssaniem butelki, żeby mi odpowiedzieć.

Wieczorem padłam do łóżka o siódmej i spałam dwanaście bitych godzin bez przerwy. Kiedy obudziłam się następnego ranka, ciężar, który przytłaczał mnie od wielu miesięcy, znacznie zelżał. Tak podniesiona na duchu dotrwałam do kolejnego tygodnia, kiedy to Stanley Shaw zadzwonił do mnie i zapytał:

– Pewnie nie ma pani czasu na kolejne zlecenie?

– Prawdę mówiąc, mam.

– Wspaniale. Bo mam tu następną cegłę. Przewodnik filmowy. Tysiąc pięćset trzydzieści osiem stron. Potrzebujemy pełnej korekty za dziewięć tygodni. Te same warunki, co poprzednio?

– Świetnie.

– W takim razie proszę przyjść do mnie jutro około południa. Wprowadzę panią w podstawowe sprawy, a potem mogę zabrać panią na lunch w jakieś miłe miejsce, jeśli się pani zgodzi.

– To jesteśmy umówieni – odparłam.

Dwa dni później siedziałam z powrotem przy pracy, kroczyłam po kroczykach przebijając się przez grubaśne krytyczne kompendium. Kiedy Sandy zapytała mnie, jak mój umysł radzi sobie z tak długimi okresami żmudnej i drobiazgowej pracy, powiedziałam:

– Po prostu się do tego biorę i wyrzucam z głowy wszystko inne na kilka godzin. To jest trochę jak nowokaina, błyskawicznie działające, tymczasowe znieczulenie, które na krótki czas tłumi wszystko inne. I to za całkiem niezłe pieniądze.

Po jakichś trzech tygodniach zadzwoniła do mnie Maeve Doherty. Mimo swoich dublińskich korzeni mówiła z oksfordzkim akcentem; jej głos brzmiał w słuchawce bardzo miło. Wyjaśniła, że Nigel Clapp pokrótce wyjaśnił jej, o co chodzi. A że lubi dokładnie poznać sprawę na długo przed rozprawą i zawsze spotyka się z osobami, które ma reprezentować, chciała spotkać się także ze mną, w najbliższym dogodnym dla nas obu terminie.

Cztery dni później zrobiłam sobie wolne popołudnie. Pojechałam metrem na stację Tempie, przeszłam kawałek Fleet Street i minęłam pasaż zwany Inner Tempie, który doprowadził mnie do grupy budynków przypominających Oksford czy Cambridge w miniaturze. Stanowiły mieszaninę stylu Tudorów i gotyku: małą, spokojną enklawę prawa, odizolowaną od nieustannego londyńskiego zgiełku. Podeszłam do drzwi z drewnianą tabliczką, na której nieskazitelnymi czarnymi literami wypisano nazwiska piętnastu obrońców urzędujących w budynku. PANI MAEVE DOHERTY znajdowała się niemal na samej górze listy.

Zajmowała maleńki gabinet. Sama też była maleńka – o drobnych rysach i drobnej figurze. Nie była ładna – można by wręcz nazwać ją brzydulą – a mimo to jej twarz przykuwała uwagę dzięki wyrazowi rozwagi i nieugiętej woli, którą wypracowała w sobie, by zrekomensować niezbyt imponującą posturę. Uścisnęła mi mocno rękę, mówiąc do mnie, patrzyła mi prosto w oczy i choć była niemal do przesady rzeczowa, ta jej rzeczowość nie odstręczała od rozmowy.

– Zacznę od tego, że moim zdaniem została pani oszkalowana i niesprawiedliwie osądzona. Pan Clapp mówił mi, że obrońca, który panią reprezentował na rozprawie wstępnej, został wprowadzony w sprawę jakieś pół godziny przed wejściem na salę sądową. Jak on się nazywał? – Zaczęła przerzucać dokumenty w teczce. – Ach tak, pan Paul Halliwell...

– Zna go pani? – zapytałam, wychwytyjąc w jej głosie cień pogardy.

– Owszem, znam pana Halliwella. Prawniczy światek jest mały.

– Tak naprawdę winna wszystkiemu była moja adwokatka, Virginia Ricks.

Pracuje w kancelarii Lawrence & Lambert...

– Pracowała w kancelarii Lawrence & Lambert. Została zwolniona w zeszłym miesiącu, kiedy spaprała skomplikowaną sprawę rozwodową bardzo bogatego klienta z Dubaju. I dostała wilczy bilet.

Przez następne pół godziny Maeve Doherty omawiała ze mną swoją strategię, wypytując mnie szczegółowo o małżeństwo z Tonym, o jego życiorys, koncentrując się na tym, jak po urodzeniu dziecka przez cały czas zamykał się w swoim gabinecie, na jego nocnych wypadach z kolegami i oczywistym fakcie, że był związany z Dianą Dexter w czasie mojej ciąży.

– Widziałam list, który napisała pani do męża kilka tygodni temu, i jego odpowiedź. Bardzo zręczna strategia, gdyż zmusiło go to do przyznania się na piśmie, że był to wyłącznie platoniczny związek. A jeśli dochodzenie prowadzone przez Nigela Clappa na temat pani Dexter przyniesie wyniki, jakich się spodziewamy, wtedy naprawdę będziemy mieli przeciwko nim dość mocne argumenty.

– Nigel Clapp zlecił dochodzenie na temat Dexter?

– Tak mi powiedział.

– Kto się tym zajmuje?

– Tego nie wiem. Ale jak już pani zapewne wie, pan Clapp, ogólnie mówiąc, ma problemy z formułowaniem wypowiedzi. Niezależnie jednak od trudności w kontaktach interpersonalnych to chyba najlepszy adwokat, z jakim zdarzyło mi się pracować: dokładny, sumienny i zaangażowany.

Szczególnie w takich przypadkach jak ten, kiedy uważa, podobnie jak ja, że nasz klient został mocno pokrzywdzony.

– Powiedział to pani?

– Niezupełnie – odparła z uśmiechem. – Ale współpracujemy ze sobą tak długo, że potrafię powiedzieć, kiedy naprawdę mu zależy na naprawieniu krzywdy. A to z pewnością jest właśnie taki przypadek. Tylko proszę się nie spodziewać, że się pani do tego przyzna.

Oczywiście nie spodziewałam się takiego wyznania. Kiedy jednak zapytałam go przy okazji kolejnej rozmowy telefonicznej, czy zatrudnił prywatnego detektywa, nagle stracił pewność siebie, speszył się i powiedział:

– To jest... hm... to po prostu ktoś, kto zwykle sprawdza dla mnie pewne fakty.

Słyszając jego spłoszony ton, uznałam, że lepiej nie zadawać dalszych pytań.

Przez następne tygodnie skoncentrowałam się na swoim zadaniu: miałam do skończenia

ten przeklęty maszynopis. Czas wypełniały mi długie godziny pracy, spotkania z Jackiem, rozmowy z doktor Rodale i Jessiką Law, a od czasu do czasu telefony od Nigela Clappa, który dzwonił, by zapoznać mnie z postępami w sprawie i poinformować, że według jego przewidywań (potwierdzonych konsultacją z prawnikami Tony'ego) ostateczna rozprawa potrwa prawdopodobnie około dwóch dni. Odbyłam też kolejne dwie rozmowy telefoniczne z Maeve Doherty, która chciała omówić ze mną jeszcze kilka kwestii i zapewniała, że mam się nie przejmować tym, jaki sędzia będzie przewodniczył rozprawie, bo jego nazwisko i tak poznamy dopiero po południu, na dzień przed wyznaczoną datą.

Aż nagle, zaledwie dwa tygodnie przed terminem rozprawy, Nigel Clapp zadzwonił do mnie o bardzo niezwykłej dla siebie porze. Była prawie ósma wieczór.

– Hm... przepraszam, że dzwonię tak późno.

– Nic się nie stało. I tak jeszcze pracuję.

– A jak tam praca? – zapytał, nieporadnie usiłując nawiązać rozmowę.

– Świetnie, świetnie. Stanley mówi nawet, że po tym zleceniu będzie miał dla mnie kolejne. Wygląda na to, że niedługo będę miała stałe dochody.

– O, to bardzo dobrze – odparł, jakby jeszcze bardziej rozkojarzony niż zwykle. Nastąpiła kolejna, charakterystyczna clappowska pauza. W końcu wydukał: – Gdyby pani... hm... była wolna jutro po południu...

– Chce się pan ze mną widzieć?

– Cóż, nie muszę się z panią widzieć. Ale... myślę że...

Przerwał. A ja zrozumiałam, że coś jest mocno nie tak.

– Chce mi pan coś powiedzieć osobiście? – zapytałam.

– Tak by było lepiej...

– Bo to złe wieści?

Niepokojąca chwila ciszy.

– Nie są dobre.

– Proszę mi powiedzieć od razu.

– Gdyby pani mogła przyjść do mojego biura w Balham...

– Proszę mi powiedzieć teraz, panie Clapp.

Kolejna pauza.

– Cóż... skoro pani nalega...

– Nalegam.

– Hm... właściwie te wieści są dwie, obawiam się. A pierwsza z nich ma związek z raportem pani Law z CAFCASS...

Poczułam, jak lodowata dłoń chwyta mnie za kark.

– O Boże, niech mi pan nie mówi, że zawyrokowała przeciwko mnie...

– Niezupełnie. Napisała, że zrobiła pani na niej duże wrażenie, że bardzo zaimponowało jej, jak dobrze radzi sobie pani w sytuacji separacji z synem i jak wydobyła się pani z depresji. Ale... hm... obawiam się, że pan Hobbs i pani Dexter również zrobili na niej bardzo dobre wrażenie. I choć nie jest jej zadaniem rekomendowanie sądowi którejkolwiek ze stron, dała do zrozumienia, że dziecko jest w bardzo dobrych rękach pod opieką ojca i zastępczej matki.

Poczułam, że słuchawka trzęsie mi się w dłoni.

– Proszę... hm... zrozumieć... to nie znaczy, że zasugerowała sądowi pozostawienie dziecka z panią Dexter...

– A ta druga zła wiadomość?

– Cóż, dowiedziałem się tego jakąś godzinę temu i... hm... wciąż próbuję to przetrwać. To list od prawnika pani męża, informujący, że pan Hobbs i pani Dexter ze względów zawodowych przeprowadzają się na najbliższe pięć lat do Sydney, gdzie pani Dexter zaangażowała się w organizację nowej, dużej firmy marketingowej.

– O Boże...

– Tak... i ten prawnik informuje mnie, że zamierzają zabrać Jacka ze sobą.

Zesztywniałam z przerażenia.

– Czy prawo im na to pozwala? – wydusiłam z trudem.

– Jeśli wszystko pójdzie po ich myśli i wygrają rozprawę...

Urwał.

– Proszę dokończyć zdanie, panie Clapp.

– Naprawdę wolałbym...

– Proszę dokończyć zdanie.

Usłyszałam, jak bierze głęboki, uspokajający oddech.

– Jeśli rozprawa pójdzie po ich myśli... jeśli przekonają sędziego, że nie nadaje się pani na matkę i stanowi zagrożenie dla syna – wtedy nie będzie pani miała nic do powiedzenia

w tej sprawie. Będą mogli wywieźć pani syna, gdzie tylko zechcą.

13

Cała sprawa – powiedziała Maeve Doherty – sprowadza się do jednej, podstawowej kwestii: gdzie będzie najlepiej dziecku. I właśnie to ma rozstrzygnąć sąd, a ponieważ zostały podjęte już dwie decyzje na korzyść ojca, naszym zadaniem będzie przekonać sędziego, że, w najgorszym razie, w interesie dziecka leży wspólna opieka ojca i matki, najlepiej z przewagą czasu spędzanego z matką.

– Ale jeśli Tony wygra wyłączne prawo do opieki? – zapytałam.

– Wtedy pani nie ma nic do powiedzenia, gdzie pani syn będzie mieszkać z ojcem – odparła Maeve. – Więc jeśli pani mąż i jego nowa partnerka faktycznie mają zamiar osiedlić się w Sydney na kilka lat, wtedy oczywiście będą mogli go tam zabrać, nawet jeśli pani sprzeciwi się takiej separacji z synem. Jeśli do tego dojdzie, możemy wnieść apelację i prawdopodobnie wywalczyć dla pani prawo do odwiedzin, ale trudno by to było nazwać satysfakcjonującym rozwiązaniem. Chyba że chce pani przeprowadzić się do Australii.

– Bez wizy i pracy? Jasne.

– Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie. Problem jednak polega na tym, że zapadły już dwa wyroki wskazujące, że może pani być nieodpowiedzialną matką i że pani zachowanie po porodzie rzekomo stanowiło zagrożenie dla dziecka. I to samo będą się starali wykazać teraz. Oczywiście możemy powołać na świadków różne osoby, które zaświadczą o pani psychicznym zdrowiu, zdolności do bycia matką i o tym, że w brany pod uwagę czasie cierpiała pani na kliniczną depresję. Ile zeznań mamy do tej pory, Nigel?

– W sumie osiem – odparł Clapp. – I... hm... wszystkie są bardzo korzystne dla pani Goodchild.

– Co oznacza, że możemy liczyć na ośmioro przychylnych świadków. Jednak najważniejszym punktem jest raport CAFCASS. Sąd zawsze przykłada do niego wagę. I zawsze ma on bardzo znaczny wpływ na ostateczną decyzję, jako że może zostać zlecony jedynie przez sąd i traktowany jest jako ostateczna opinia opieki społecznej w danej sprawie. I dlatego mocno mnie on martwi. Bo nie opowiada się jednoznacznie po pani stronie, Sally. Zgadasz się z moim zdaniem, prawda, Nigel?

Siedzieliśmy w gabinecie Nigela, dwa dni po otrzymaniu niespodziewanego listu od prawników Tony'ego, zawiadamiającego o jego zamiarze wyjazdu do Australii. Maeve Doherty, choć miała w tej chwili na głowie jeszcze trzy sprawy oprócz mojej, uznała sytuację za na tyle poważną, że znalazła wolną godzinę, by przyjechać do Balham na spotkanie. Z tego powodu również ja miałam okazję złożyć drugą wizytę w biurze Nigela Clappa od czasu, kiedy zaczął mnie reprezentować.

– Hm... z moich doświadczeń wynika – powiedział Nigel – że jeśli raport CAFCASS nie podważa status quo, sąd zwykle pozwala, by został on utrzymany. Co... hm... muszę z przykrością stwierdzić, może oznaczać, że prawo do opieki zostanie przyznane pani mężowi, tyle że z możliwością dłuższych i nienadzorowanych spotkań pani z synem. A to z kolei oznacza, że mogą go zabrać do Australii. Więc, hm, zgadzam się z panią Doherty... że musimy się nastawić na wywalczenie jakichś zasad wspólnej opieki...

– Ale, Nigel – powiedziała Maeve – problem w tym, że nie mamy żadnej konkretnej amunicji ani przeciwko Tony’emu, ani jego partnerce. Chyba że twój „detektyw” coś wykopał.

Na wzmiankę o „detektywie” Nigel niemal zdobył się na blady, wstydlivy uśmiech.

– Mam ją tu wezwać i zapytać, do czego udało jej się dotrzeć?

– Pański detektyw jest kobietą?

Nigel zarumienił się.

– To... hm... pani Keating.

– Pan chyba żartuje? – zapytałam, ale natychmiast zorientowałam się, że ta uwaga go zdenerwowała.

– Jest naprawdę bardzo dobra w tym, co robi – odparł.

– Mogę to potwierdzić – dorzuciła Maeve.

– Przepraszam, przepraszam – rzuciłam szybko. – Nie miałam zamiaru sugerować...

– Może faktycznie ją tu poproś, co? – powiedziała Maeve.

Nigel sięgnął po słuchawkę i wybrał numer. Zza drzwi usłyszeliśmy głośne:

– Co tam?

– Czy mogłabyś tu przyjść na moment, Rose? I przynieś z łaski swojej teczkę pani Goodchild.

– A tak, już idę.

Zjawiła się po chwili. Kiedy weszła, zauważyłam brązowe okruszki na jej obszernej, kwiecistej sukni. Bez wątplenia pozostałość kremówek. Nigel przedstawił nas sobie. Choć to ona wpuściła mnie do biura dziesięć minut wcześniej, teraz spojrzała na mnie, jakby widziała mnie po raz pierwszy w życiu.

– Pani Goodchild i pani Doherty chciałyby posłuchać o wynikach twojego śledztwa na temat pani Dexter – powiedział Nigel.

– Chcesz przeczytać raport czy mam wam podać skróconą wersję? – zapytała.

– Może... hm... posłuchamy skróconej wersji, a potem zrobimy ksero raportu dla obu pań.

– Jak chcesz – odparła, zasiadła na krześle i otworzyła teczkę. – Mam tu wszystkie jej dane. Dianę Dexter, urodzona w Leeds, piętnastego stycznia 1953 roku. Ojciec pracował w miejscowym przedsiębiorstwie gazowniczym, mama była gospodynią domową. Dexter ukończyła miejscowe liceum. Bystra dziewczyna – za wyniki dostała się na Uniwersytet Leeds, na Wydział Ekonomii. Po zrobieniu dyplomu wyjechała do Londynu. Dziesięć lat w reklamie. Pracowała dla kilku dużych firm, między innymi Dean Delaney i John Hegarty. Potem podkupiła ją brytyjska filia Apple, żeby prowadziła ich dział marketingu. Pracowała u nich pięć lat. Przebranżowiła się na badania rynku. W 1987 roku założyła firmę, Market Force Ltd, do spółki z niejakim Simonem Chandlerem, z którym była przez jakiś czas związana uczuciowo. Kiedy zerwali ze sobą w 1990, on wykupił jej udziały w firmie, i z tych pieniędzy założyła Dexter Communications. Jej firma w ciągu ostatnich dziesięciu lat odniosła ogromny sukces, więc pani Dexter ma teraz jakieś dziesięć milionów funtów i domy w... ale to już wiecie z raportu Lawrence'a i Lamberta. A teraz ta odrobina brudów, jakie udało mi się wykopać na jej temat. Dwumiesięczna hospitalizacja w 1990 z powodu „uzależnienia od substancji psychotropowych”, czyli potocznie mówiąc nadużywania kokainy.

Gorzej, że nie było żadnych aresztowań za posiadanie narkotyków, prawdę mówiąc żadnych konfliktów z prawem, z wyjątkiem kilku karnych punktów w prawie jazdy za przekroczenie prędkości. A od tamtego pobytu na oddziale w dziewięćdziesiątym roku jest czysta jak łąka. Teraz nawet wygłasza pogadanki dla młodzieży o swoim uzależnieniu i założyła fundację, która sponsoruje programy edukacji antynarkotykowej w całym okręgu Leeds.

Świetnie, pomyślałam. Nawrócona ćpunka, czysta od trzynastu lat – a teraz na dodatek pracuje dobroczynnie, by odkupić grzechy przeszłości. A jeszcze do tego odnosi sukcesy i jest bogata do obrzydliwości.

– Ten kokainowy wątek może być interesujący – powiedziała Maeve Doherty. – Może da się coś z tego wyciągnąć. Jeszcze coś?

– Oprócz związku z Simonem Chandlerem były dwa nieudane małżeństwa. Dwuletni epizodzik z facetem, za którego wyszła zaraz po studiach i z którym rozwiodła się w siedemdziesiątym piątym. On jest teraz nauczycielem gdzieś w Yorkshire. Potem był sześćdziesięcioletni związek z reżyserem telewizyjnym, niejakim Trevorem Harrimanem, ale to małżeństwo skończyło się, kiedy poznała Simona Chandlera w osiemdziesiątym piątym. Chandler został nawet wymieniony w pozwie rozwodowym, wniesionym przez jej męża. Od czasu, kiedy rozstała się z Chandlerem w 1990, było jeszcze pięć romansów, między innymi z tym pisarzem od thrillerów, Philipem Kimballem, ale nic trwałego. Dopóki w 1999 nie poznała Tony'ego Hobbsa.

Przerwałam jej.

– Zaraz, ale Tony utrzymywał, że na początku byli tylko przyjaciółmi.

– No cóż – odparła Rosę Keating. – Może i byli „tylko przyjaciółmi”, ale w dziewięćdziesiątym dziewiątym zabrała go na wakacje do RPA, w dwutysięcznym poje-

chali nurkować na Wielkiej Rafie Koralowej, a potem, w dwa tysiące pierwszym spędziła z nim miesiąc w Kairze.

– Który miesiąc? – zapytałam.

– Wrzesień.

– To by się zgadzało. Ja go poznałam w październiku tego roku.

– Niechętnie to pani mówię, ale to ona rzuciła go we wrześniu, bo nie chciał z nią wrócić na stałe do Londynu.

Tym razem wtrąciła się Maeve Doherty.

– Udało się pani dowiedzieć, kiedy zaczęli się znów spotykać?

Rosę kiwnęła głową.

– Jakiś rok temu, wkrótce po powrocie pana Hobbsa z Kairu.

– Skąd pani o tym wie? – zapytałam.

– Powiedziała mi to była gosposia pani Dexter. Pewnego popołudnia przyszedł z wizytą.

– Ale czy gosposia określiła, czy była to zwykła wizyta, czy może „wizyta” innego rodzaju? – zapytała Maeve Doherty.

– O, z całą pewnością innego rodzaju. Siedział u niej do pierwszej nad ranem i przez cały czas w ogóle nie wychodzili z jej sypialni.

.. .A potem przyszedł do domu i powiedział, że był na popijawie z kolegami.

– Według tej gosposi – zapytałam – bywał u niej potem regularnie?

– Owszem – odparła Rosę Keating. – Przesiadywał u niej prawie bez przerwy.

– Podejrzewam, że obrońca pana Hobbsa zdoła zakwestionować wiarygodność gosposi – stwierdziła Maeve Doherty. – Szczególnie że już nie pracuje u pani Dexter.

– Zgadza się – przyznała Rosę. – Została zwolniona z powodu podejrzenia o kradzież.

– Genialnie – rzuciłam.

– Niby tak, ale gosposia poradziła się adwokata i wymusiła na pani Dexter nie tylko pisemne przeprosiny i oświadczenie, że całe oskarżenie było bezpodstawne, ale i równowartość rocznych zarobków na otarcie łez.

– Czy ta kobieta zgodziłaby się zeznawać? – zapytała Maeve.

– Jak najbardziej – stwierdziła Rosę. – Nie ma najlepszego zdania o pani Dexter. Powiedziała mi nawet, kiedy i gdzie nasza parka wymykała się z miasta na romantyczne randki przez ostatnie sześć miesięcy. Dwa razy do Brukseli, raz do Paryża. Zdobyłam nazwy hoteli, zadzwoniłam i potwierdzono mi w obydwu, że pan Hobbs był w towarzystwie. Recepcjonistka z hotelu Montgomery w Brukseli potwierdziła nawet, że dwukrotnie była to ta sama kobieta. A... jeszcze jedna ważna rzecz. Pani Dexter poroniła, kiedy nałogowo zażywała kokainę. Rok później próbowała zapłodnienia in vitro. Nie udało się. Potem próbowała jeszcze w dziewięćdziesiątym drugim i dziewięćdziesiątym trzecim, ale stuknęła jej czterdziestka i wypadła z gry, że się tak wyrażę. Chodzi o to, że według tej gosposi, posiadanie dziecka stało się jej obsesją. Zależało jej na tym tak bardzo, że w połowie lat dziewięćdziesiątych przez jakiś czas myślała o adopcji, ale zarzuciła ten pomysł z powodów zawodowych... zdaje się, że jej firma była akurat w drobnych kłopotach finansowych...

Przyglądałam się Rosę Keating z coraz większym zdumieniem.

– Jakim cudem, u diabła, dowiedziała się pani tego wszystkiego?

Rosę posłała mi nieśmiały uśmiech.

– Mam swoje sposoby, moja droga.

– Fakt, że ich związek kwitł w najlepsze, kiedy byliście małżeństwem, to bardzo cenna informacja – powiedziała Maeve Doherty. – Mąż napisał, że dopóki pani nie zachorowała, wyłącznie się przyjaźnili, a my możemy udowodnić, że było inaczej. To wręcz doskonale. A to, że przez te wszystkie lata pragnęła dziecka... cóż, z całą pewnością możemy jakoś to wykorzystać.

Spojrzała mi prosto w oczy.

– Muszę jednak być z panią szczerą, Sally. Moim zdaniem, choć wszystkie te dowody są przydatne, nadal nie są w stanie zrównoważyć ani zdyskwalifikować tego, co oni mają na panią.

Nagle poczułam potrzebę dodatkowej dawki antydepresantów. Oczyma duszy zobaczyłam się w Aldwych, w kolejce przyszłych emigrantów w konsulacie australijskim, wyjaśniającą jakiemuś znużonemu urzędnikowi, że mój były mąż i jego nowa żona wygrali prawo do wyłącznej opieki nad moim dzieckiem i muszę dostać wizę do Krainy Oz, żeby raz na tydzień widywać się z moim synkiem. Na co urzędnik bez wątpienia spytałby: „A dlaczego pani mąż uzyskał prawo do wyłącznej opieki?”

– Hm... pani Goodchild?

Wróciłam do rzeczywistości.

– Dobrze się pani czuje? – zapytała Rosę Keating.

– Usiłuję.

– Problem w tym – powiedziała Maeve Doherty – że ostateczna rozprawa jest już za

dwanaście dni. I jeśli...

W tym momencie wtrącił się Nigel Clapp.

– Hm... myślę, że pani Doherty zmierza do tego, że... hm... cóż, mówiąc wprost, musimy znaleźć jeszcze coś, albo na pani męża, albo na panią Dexter. A że pani Keating tak drobiazgowo przeświewała życie pani Dexter...

– Czy przychodzi pani do głowy coś na temat pani męża, co mogłoby nam się przydać?
– zapytała Maeve.

– Raczej nic, poza tym, że od lat unikał małżeństwa i twierdził, że nie chce mieć dzieci.

– A jednak zabrał panią ze sobą do Londynu, kiedy zaszła pani w ciążę – stwierdziła Maeve.

– Nie wiem. W jego życiu była właściwie tylko praca i od czasu do czasu jakaś przygodna dziewczyna, dopóki ja się nie pojawiłam. Nie mogę powiedzieć, żeby wiele mi o tym opowiadał. Prawdę mówiąc, o jego prywatnej przeszłości usłyszałam coś tylko raz, kiedy pewien dziennikarz w Kairze opowiedział mi...

W tym momencie coś piknęło cicho w mojej głowie; jedno, jedyne zdanie, które usłyszałam prawie siedem miesięcy temu. Coś, na co wtedy, w stanie kompletnej paniki, nie zwróciłam nawet uwagi. Aż do tej chwili, kiedy wyskoczyło z jakiegoś zakamarka mózgu i wyraźnie zabrzmiało mi w uszach.

– Sally, wszystko w porządku? – zapytała Rose.

– Czy mogę skorzystać z telefonu?

Zadzwoiłam do informacji w Seaford. Numer, który był mi potrzebny, nie był zastrzeżony, ale nie zastałam osoby, z którą chciałam rozmawiać.

Zostawiłam jej wiadomość, prosząc, by jak najszybciej zadzwoniła do mnie do domu. W końcu wróciłam do gabinetu Nigela i wyjaśniłam, z kim próbowałam się skontaktować, co ta kobieta powiedziała mi kilka miesięcy wcześniej i dlaczego może się to okazać użyteczne.

– To kompletny strzał w ciemno – wyjaśniłam – bo nie powiedziała niczego konkretnego. Ale warto się dowiedzieć, co miała na myśli.

– Hm... myśli pani, że zdołają pani złapać i porozmawiać z nią? – zapytał Nigel Clapp.
– Mamy tylko dwanaście dni.

Dwanaście dni. Termin rozprawy tkwił w mojej głowie jak cierń. Nie dawały mi też spokoju słowa Maeve Doherty: „bez dodatkowych dowodów sąd prawdopodobnie zawyrokuje na korzyść Tony’ego”. Fakty mówiły same za siebie.

Dwanaście dni. Popędziłam do domu, do Putney i sprawdziłam pocztę głosową. Była tylko jedna wiadomość – od Jane Sanjay, która zawiadamiała mnie, że jest już w kraju, ale

przed powrotem do pracy wpadła jeszcze na tydzień do znajomych w Brighton.

– Kiedyś na pewno zjemy ten lunch... i oczywiście zobaczymy się w Sądzie Najwyższym na rozprawie. Mam nadzieję, że jakoś się pani trzyma...

Z trudem. Jeszcze raz wykręciłam numer w Seaford i znów połączyłam się z automatyczną sekretarką. Zostawiłam jeszcze jedną wiadomość, po czym wróciłam do pracy nad Przewodnikiem filmowym. Ale tym razem nie umiałam schronić się w pracy jak w króliczej norze i odciąć na dwie godziny od całego świata. Co chwila spoglądałam na telefon, błagając w duchu, by zadzwonił. Ale nie zadzwonił.

Wystukałam więc numer jeszcze raz i zostawiłam kolejną wiadomość.

W końcu zaczęłam dzwonić regularnie, co trzy godziny.

Przed wieczorem telefon wreszcie się odezwał. Aż podskoczyłam na krześle, ale była to Rosę Keating.

– Dzwonię, żeby spytać, czy są jakieś wieści – powiedziała.

– Jeszcze do mnie nie oddzwoniła.

– Próbuje dalej, kochana. – Wiedziałam, że tak naprawdę oznacza to: potrzebujemy czegoś nowego.

Do północy zadzwoniłam jeszcze chyba z osiem razy. Spałam niespokojnie, a o piątej rano siedziałam już z powrotem przy kuchennym stole, sprawdzając kolejne strony. O siódmej wybrałam numer do Seaford. Nikt nie odebrał. Spróbowałam o dziesiątej, potem o trzeciej, o szóstej. I w końcu, o wpół do dziewiątej wieczorem, wreszcie się udało. Pat Hobbs odebrała telefon. Kiedy usłyszała mój głos, natychmiast na mnie napadła.

– Czy to pani wydzwaniała do mnie wczoraj przez cały dzień?

– Pani Hobbs... Pat... proszę mnie wysłuchać...

– Nie życzę sobie, żeby pani mówiła do mnie po imieniu. Nie znam pani.

– Jestem żoną Tony'ego.

– Pamiętam to aż za dobrze. To pani zawracała mi głowę kilka miesięcy temu.

– To bardzo ważna i pilna sprawa.

– A co, umiera czy już umarł?

– Nie, ale...

– W takim razie to nic pilnego.

– Gdyby tylko pozwoliła mi pani wyjaśnić...

– Ani mi się śni.

– To tylko jedno proste pytanie.

– Na które nie odpowiem, choćby chodziło nie wiem o co. I nie życzę sobie, żeby mi pani przeszkadzała.

Rozłączyła się. Wcisnęłam „redial”. Linia była zajęta. Zadzwoiłam jeszcze raz, dziesięć minut później. Zajęte. Pół godziny później. Zajęte. Zdjęła słuchawkę z widełek. Chodziłam niespokojnie po kuchni, zerkając na zegar na ścianie. W końcu sięgnęłam po słuchawkę i zadzwoniłam na informację kolejową. Dowiedziałam się, że jeśli złapię pociąg o dwudziestej pierwszej trzydzieści dwie z Putney do Clapham Junction i przesiadę się w pociąg do Eastbourne o dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt jeden, to dojadę do Seaford o dwudziestej trzeciej dwadzieścia dwie.

Wrzuciłam kilka rzeczy do podręcznej torby, przekonana, że jak w każdym nadmorskim miasteczku znajdzie się tam parę hotelików typu bed-and-breakfast. I pobiegłam na stację.

Wychodząc dwie godziny później ze stacji w Seaford, wyczułam w powietrzu charakterystyczny powiew jodu, wskazujący, że niedaleko jest morze. Przed stacją stała tylko jedna samotna taksówka. Podałam kierowcy adres, uzyskany z informacji.

– To trzy minuty na piechotę, w tamtą stronę – powiedział. Podziękowałam mu i ruszyłam we wskazanym kierunku. Ulice były puste. Latarnie świeciły słabo, więc widziałam tylko, że idę niewielką główną ulicą zabudowaną edwardiańskimi i nowoczesnymi budynkami, łącznie z modernistycznym, pudełkowatym supermarketem sieci Safeway. Przed supermarketem skręciłam w prawo i znalazłam się w uliczce parterowych sklepów, na jej końcu stało kilka mieszkalnych bungalów na podmurówkach z polnych kamieni. Numer 26 był drugi od końca. Dom pomalowany był na kremowo, w oknach wisiały koronkowe firanki. Tabliczka nad drzwiami informowała przechodniów, że dom ten nazywa się SEA CREST. Mój plan był prosty: odnaleźć adres, potem poszukać jakiegoś hoteliku w pobliżu, nastawić mały, podróżny budzik, który ze sobą zabrałam, na szóstą trzydzieści, by o siódmej zapukać do drzwi Pat Hobbs. Domyślałam się, że nie będzie zachwycona wczesną wizytą, ale w ten sposób miałam szansę złapać ją przed wyjściem do pracy (jeśli oczywiście pracowała). Kiedy jednak podeszłam pod dom, ujrzałam, że światło jeszcze się pali. Uznałam, że mniej się wścieknie teraz, kiedy nie śpi, podeszłam więc do drzwi i zadzwoniłam.

Po chwili drzwi uchyliły się na długość łańcucha. W szparze ujrzałam kobietę o pomarszczonej twarzy i przestraszonych oczach. Ale jej głos brzmiał tak samo gniewnie jak przez telefon.

– Czego pani chce o tej porze?

Szybko wstawiłam stopę w szparę między drzwiami i progiem:

– Jestem żoną Tony’ego, Sally Good...

– Proszę się wynosić – powiedziała i spróbowała zatrzaskać drzwi.

- Chcę pani zająć tylko pięć minut, błagam.
- Jeśli pani natychmiast nie odejdzie, wezwę policję.

Popchnęła drzwi jeszcze mocniej.

- Proszę mnie wysłuchać...
- O północy? Nie ma mowy. Proszę się stąd zabierać albo...
- On mi zabrał dziecko.

Cisza. Najwyraźniej coś ją zastanowiło.

- Kto pani zabrał dziecko?
- Pani brat.
- Pani ma dziecko z Tonym?
- Synka, Jacka. Ma teraz dziewięć miesięcy. A Tony...

Zakryłam usta dłonią. Poczułam, że znów zaczynam się trząść. Nie chciałam się rozpłakać przy tej kobiecie.

- Co zrobił? – zapytała, nieco łagodniej.
- Uciekł z inną kobietą. I zabrali mi syna.

Ujrzałam w jej oczach wahanie, ale i cień współczucia.

- Nie mam nic wspólnego z moim bratem od prawie dwudziestu lat.
- Rozumiem. I obiecuję, że zajmę pani nie więcej niż dziesięć minut. Ale błagam, jestem w rozpaczliwej sytuacji. Proszę uwierzyć, że nie niepokoiłabym pani o północy, gdyby...

Usłyszałam, że odpina łańcuch.

- Dziesięć minut, nie więcej – powiedziała. I otworzyła drzwi.

Weszłam na wzorzystą wykładzinę pokrywającą całą długość korytarza, wyklejonego brązową tapetą w kwiaty. Z korytarza wchodziło się do salonu. Znów wzorzysta wykładzina, trzyczęściowy komplet wypoczynkowy obity beżowym, sztucznym materiałem, stary telewizor i magnetowid, stary mahoniowy kredensik, w którym stała niedopita butelka irlandzkiego likieru Baileysa i pół litra taniego ginu. Ściany były puste; jedyną dekorację stanowiła tapeta, podobna do tej w korytarzu, w spłowiałym odcieniu sepii.

W powietrzu wyraźnie załatywało wilgocią.

– Więc co chce mi pani powiedzieć? – zapytała Pat Hobbs.

Jak tyle razy w ciągu ostatnich miesięcy, opowiedziałam całą historię. Pat słuchała, siedząc nieruchomo, paląc jednego papierosa za drugim. Wiedziałam, że jest jakieś dziesięć lat starsza od Tony’ego, i choć nie była otyła, ze swoją pooraną zmarszczkami twarzą, smutnymi oczami, w wyswiechtanym kwiecistym szlafroku, który wisiał na niej jak worek, wyglądała niemal na staruszkę. Mniej więcej w połowie opowieści przerwała mi, pytając:

– Pije pani gin?

Kiwnęłam głową, wstała więc, napełniła dwie szklanki ginem, po czym dołała do nich trochę toniku z butelki w kredensie. Podała mi szklankę.

Upiłam łyk. Tonik bez gazu był dość ohydny, podobnie jak metaliczny posmak taniej jałowcówki. Ale zawsze był to alkohol i dobrze mi zrobił.

Dokładne zrelacjonowanie całej historii zajęło mi kolejne dziesięć minut.

Przez ten czas wypaliła jeszcze dwa papierosy. W końcu stwierdziła:

– Mogłam pani powiedzieć, że mój brat to drań. Uroczy drań, ale zawsze drań. Więc oprócz wyrazów współczucia z powodu pani kłopotów, co jeszcze mogę zrobić w tej sprawie?

Upiłam kolejny łyk ginu na uspokojenie, wiedząc, że jeśli teraz nie zdobędę jej przychylności, cała ta nocna eskapada nie zda się na nic.

– Pamięta pani, kiedy rozmawialiśmy kilka miesięcy temu, wspomniałam, że Tony mnie zostawił, a pani zapytała mnie...

Streściłam jej naszą rozmowę. Pamiętałam ją słowo po słowie.

– Od jak dawna jesteście małżeństwem? – zapytała mnie wtedy.

– Około roku.

– I już panią porzucił? Szybko mu poszło. Choć oczywiście nie jestem zaskoczona. To taki typ.

– To znaczy, że robił to wcześniej?

– Może.

Spojrzałam jej prosto w oczy i zapytałam:

– Co pani miała na myśli, mówiąc: „może”?

Zapaliła kolejnego papierosa. Widziałam, że rozważa wszystko w myśli, zastanawia się, czy w ogóle warto się angażować w tę historię. Prosiłam ją, by zdradziła własnego brata. I choć nie rozmawiała z nim od dwudziestu lat, brat to zawsze brat.

Zaciągnęła się głęboko papierosem i wypuściła dym.

– Powiem pani, ale pod jednym warunkiem. Nie słyszała pani tego ode mnie. Jasne?

Kiwnęłam głową. Teraz przyszła kolej na jej historię. A właściwie dwie historie, choć były częścią tej samej opowieści. Kiedy skończyła, wyszła na chwilę; wróciła z notesem, kartką papieru i długopisem. Odszukała dwa numery i zapisała mi je.

– Teraz może pani rozmawiać z nimi. Ale mnie proszę w to nie mieszać, rozumiemy się?

Zapewniłam ją, że nawet słowem nie wspomnę o jej udziale w całej sprawie; podziękowałam gorąco za pomoc i powiedziałam, że rozumiem, jak trudno jej to przyszło.

– To wcale nie było trudne – odparła.

Podniosła się, dając mi do zrozumienia, że powinnam już iść.

– Rano muszę wstać do pracy – powiedziała.

– Czym się pani zajmuje?

– Jestem kasjerką w spółdzielni mieszkaniowej, tutaj w Seaford.

– Lubi pani tę pracę?

– Praca jak praca.

– Nie wiem, jak pani dziękować...

Machnęła ręką. Nie chciała mojej wdzięczności.

– No to idę – powiedziałam, biorąc torbę podróżną. – Ale naprawdę doceniam to, co pani zrobiła.

Kiwnęła mi głową i otworzyła drzwi. Miałam zamiar ją zapytać, gdzie znajdę jakiś hotel, ale zmieniłam zdanie. Nie chciałam dłużej zawracać jej głowy. Tym bardziej, że i tak zrobiła dla mnie bardzo wiele.

Ruszyłam ulicą w stronę centrum, nie przejmując się zbytnio, czy w hotelach będą wolne pokoje ani czy w nocy pensjonaty nie będą pozamykane na cztery spusty. Równie dobrze mogłam się przespać na ławce na stacji. Moja wyprawa się opłaciła, a uzyskane informacje warte były jednej nieprzespanej nocy. Ale kiedy byłam w połowie uliczki, usłyszałam głos Pat Hobbs:

– Gdzie pani teraz pójdzie?

Odwróciłam się. Stała w drzwiach.

– Nie wiem. Zakładam, że znajdę jakiś otwarty hotel czy pensjonat.

– O pierwszej w nocy w Seaford? Wszyscy dawno śpią. Niech pani wraca, mam dodatkową sypialnię.

Pokoik był wąski i zatechły. Tak jak łóżko. Na parapecie siedziała niewielka, smętna kolekcja dziecięcych lalek. Pat nie mówiła wiele; powiedziała mi tylko, że łazienka jest na końcu korytarza, a w szafce znajdę zapasowy ręcznik.

Rozebrałam się i wsunęłam pod kołdrę. Zasnęłam prawie natychmiast.

Rano Pat zapukała do drzwi, mówiąc, że jest już ósma i za godzinę musi być w biurze. Do pracy ubrała się w granatowy uniform, niebieską bluzkę i biało-niebieską apaszkę z emblematem spółdzielni, w której pracowała.

Na metalowym podgrzewaczu stał stary, brązowy czajnik do herbaty. Czekały na mnie dwa tosty z białego chleba w drucianym stojaku, słoik z dżemem i pudełko margaryny.

– Pomyślałam, że zechce pani coś przekąsić – powiedziała Pat.

– Dziękuję.

– Może być herbata? Nie piję kawy.

– Herbata będzie w sam raz.

Usiadłam przy stole. Sięgnęłam po tosta i posmarowałam go dżemem. Pat zapaliła papierosa.

– Już do nich zadzwoniłam w pani imieniu.

– Słucham?

– Zadzwoniłam pod te dwa numery, które dałam pani wieczorem. Obie chcą się z panią zobaczyć. Co pani dzisiaj robi?

– Jestem wolna – odparłam, szczerze wzruszona i zaskoczona jej gestem.

– To dobrze, bo ta pierwsza kobieta, ta z Crawley, powiedziała, że jest dziś rano w domu. Zadzwoniłam na stację. O dziewiątej trzy ma pani pociąg do Gatwick, z przesiadką w Brighton. Jest pani w Gatwick o dziesiątej sześć, a stamtąd do jej domu już tylko dziesięć minut taksówką. Ta druga nie może się dziś z panią zobaczyć. Jest wolna jutro rano. Ale mieszka w Bristolu. Spodziewa się pani o jedenastej, czyli że musi pani wsiąść w pociąg z Londynu około dziewiątej. W porządku?

– Nie wiem, co powiedzieć. Jestem naprawdę wzruszona...

– Wystarczy – powiedziała, najwyraźniej nie mając ochoty na wylewne podziękowania.
– Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze, i tylko tyle pani ode mnie usłyszy na ten temat.

Zapadła cisza, spróbowałam więc nawiązać rozmowę.

– Od dawna pani mieszka w Seaford?

– Dwadzieścia trzy lata.

– To długo. A przedtem?

– W Amersham. Mieszkałam z rodzicami, dopóki oboje nie umarli. Potem uznałam, że pora coś zmienić. Nie chciałam się snuć po ich domu, kiedy ich zabrakło. Poprosiłam więc spółdzielnię, żeby przenieśli mnie gdzie indziej.

Zaproponowali Seaford. Spodobał mi się pomysł, żeby mieć pod bokiem morze. Przyjechałam tu w 1980 roku. Kupiłam ten domek za moją część ze sprzedaży domu w Amersham. I od tamtej pory nigdzie się stąd nie ruszałam.

– Była pani mężatką czy...

– Nie – ucieła. – Nigdy.

Zgasiła papierosa. Przekroczyłam granicę i weszłam na grunt osobisty.

Rozmowa była skończona.

Odprowadziła mnie na stację. Kiedy podeszliśmy pod wejście, powiedziałam:

– Jeszcze raz dziękuję za nocleg. Mam nadzieję, że nie sprawiłam wiele kłopotu.

– Była pani pierwszym moim gościem od jakichś siedmiu lat.

Dotknęłam jej ramienia.

– Czy mogę do pani zadzwonić i powiedzieć, co z tego wyszło?

– Wolałabym nie – odparła. Kiwnęła mi szybko głową, rzuciła „do widzenia” i zostawiła mnie samą.

Czekając na pociąg do Gatwick, zaczęłam od niechcienia studiować mapę wschodniego Sussex, wiszącą na ścianie stacji. Kiedy mój wzrok przesunął się na wschód od Seaford, natrafiłam na Litlington – cel mojej niesławnej wycieczki pod dom Dianę Dexter. Palcem wskazującym odmierzyłam odległość między dwoma miastami, po czym przyłożyłam palec do skali na dole mapy. Tony spędzał zapewne weekend sześć kilometrów od domu swojej siostry.

Przesiadałam się w Brighton. W Gatwick wzięłam taksówkę i podjechałam pod nowoczesny dom na niewielkim osiedlu. Mieszkająca w nim kobieta poświęciła mi pół godziny i powiedziała wszystko, co chciałam wiedzieć. Zgodziła się też na dodatkową rozmowę z kimś z mojej prawniczej ekipy. Wróciłam taksówką na stację. Czekając na pociąg, zadzwoniłam do Nigela Clappa i podekscytowana opowiedziałam mu wszystko, co zaszło przez ostatnich dwanaście godzin. Clapp nie odzywał się, słuchając potoku moich słów. A kiedy wreszcie zakończyłam opowieść słowami: „Nieźle, co?” Odparł:

– Tak, to raczej dobre wiadomości.

A takie zdanie w jego ustach można było uznać za przejaw sporego optymizmu.

Obiecał też, że wyśle Rosę Keating do Crawley, by spisała zeznanie świadka.

Okolo południa następnego dnia zadzwoniłam do niego z Bristolu z kolejną dobrą nowiną: od drugiej kobiety, z którą skontaktowała mnie Pat Hobbs, usłyszałam dokładnie to, co chciałam usłyszeć. Ona też zgodziła się wystąpić jako świadek. I znów Nigel Clapp wyraził niemal entuzjizm:

– Świetnie się pani spisała, pani Goodchild.

Maeve Doherty podzielała jego zdanie. Dwa dni później zadzwoniła, by powiedzieć, że jest bardzo zadowolona z mojej detektywistycznej pracy.

– To z pewnością bardzo interesujące zeznania – powiedziała, jak zwykle rozważna i ostrożna w wyrażaniu opinii. – I jeśli umiejętnie wykorzystamy je w trakcie rozprawy, mogą odnieść pożądany skutek. Nie powiedziałabym, że to niezawodna broń, jaką chciałabym mieć w ręce, ale bez wątplenia przemawiająca do wyobraźni.

Zapytała, czy miałabym czas wpaść do jej biura na godzinę. Chciała omówić ze mną moje zeznania: o co ona sama będzie mnie pytać i czego mogę się spodziewać ze strony obrońcy Tony’ego.

Choć rozmowa zajęła nam tylko godzinę, jazda na Chancery Lane i z powrotem pochłonęła dwie godziny. A czasu raczej nie miałam w nadmiarze, straciłam przecież dwa pełne dni pracy na wyprawę do Sussex i Bristolu.

Korektę Przewodnika filmowego musiałam oddać jeszcze przed rozprawą.

„Przerabiając” z Maeve moje zeznania, miałam w dłoniach kartkę papieru, powiedziała mi więc, że takich odruchów jak mięcie kartek stanowczo muszę unikać, siedząc na miejscu dla świadków, żeby nie wyglądać na zdenerwowaną i przestraszoną. Potem przeprowadziłyśmy symulację przesłuchania Lucindy Fforde; Maeve terroryzowała mnie, pograżała z zimną krwią, atakowała wszystkie słabe punkty i podważała wszelkie tłumaczenia.

– Teraz się naprawdę boję – powiedziałam, kiedy skończyła.

– Niepotrzebnie – odparła. – Bo, prawdę mówiąc, poradziła sobie pani doskonale. Trzeba tylko pamiętać, że ta kobieta robi, co w jej mocy, a nawet więcej, byle tylko podstawić pani nogę, by udowodnić, że beczelnie pani kłamie. Będzie też próbowała panią rozgniewać. Jedyne rady, to nie dać się sprowokować. Pani odpowiedzi muszą być krótkie i zwięzłe. Proszę unikać kontaktu wzrokowego, powtarzać wciąż to samo, ile razy będzie trzeba, nie wdawać się w dygresje, i wszystko będzie dobrze.

Wątpiłam w to, ale na szczęście przerażenie rozprawą zeszło na chwilę na drugi plan, przesłonięte o wiele pilniejszą kwestią, że nie zdążę w terminie z korektą. Ale poniekąd cieszyłam się z tego, bo blokowało to wszystkie inne lęki. Przez ostatni tydzień musiałam pra-

cować po czternaście godzin dziennie. Z wyjątkiem nielicznych wypraw do supermarketu po prowiant i szybkich, półgodzinnych spacerów ścieżką holowniczą nie wychodziłam z domu – nie licząc oczywiście spotkania z Jackiem. Zaczął już raczkować, wydawał bardzo różne dźwięki i lubił, kiedy się go łaskotało, a szczególnie podobała mu się zabawa, którą wymyśliłam: leżąc na podłodze, trzymałam go nad sobą i na „raz, dwa, trzy, bum!” opuszczałam na siebie. Uważał to za przezabawne i monosylabami dawał mi do zrozumienia, że chce jeszcze, wciąż i wciąż od nowa. Co oczywiście robiłam z ogromną radością, dopóki do sali nie weszła Clarice i nie powiedziała, że nasza godzina minęła.

Jak zawsze najtrudniejsza była chwila, kiedy musiałam go oddać. Bywały dni, gdy tuliłam go do siebie i ledwie powstrzymywałam łzy. Kiedy indziej wyglądał na zdezorientowanego i niezadowolonego, że nasza wspólna zabawa się skończyła, a ja ledwie powstrzymywałam łzy. Czasami zasypiał albo płakał, albo... zresztą, cokolwiek się zdarzyło, ledwie powstrzymywałam łzy. I dziś było tak samo. Podniosłam się z nim z podłogi. Przyłożyłam jego czołko do mojego czoła. Pocałowałam go.

– Do zobaczenia za tydzień, wielkoludzie – powiedziałam.

Oddałam go Clarice, która wyszła z nim do pokoju obok. A ja usiadłam na plastikowym krzeselku i – po raz pierwszy odkąd zaczęły się te nasze nadzorowane spotkania – załamalam się. Clarice weszła do pokoju, usiadła obok, objęła mnie i pozwoliła, bym wypłakała się do woli na jej ramieniu.

Byłam jej ogromnie wdzięczna, że nic nie mówi. Myślę, że rozumiała, jakie to wszystko jest dla mnie trudne – musiałam przecież zachowywać się poprawnie w jej obecności i znosić przymusową, wielomiesięczną separację ze spokojem ducha, by nie zostać uznaną za jednostkę sprawiającą kłopoty. I doskonale rozumiała, co mnie czeka za trzy dni. I że jeśli rozprawa nie pójdzie po mojej myśli...

Trzymała mnie więc w ramionach i pozwalała się wypłakać. A kiedy w końcu zabrakło mi łez, powiedziała:

– Mam nadzieję, że w następną środę te nadzorowane spotkania będą już tylko złym wspomnieniem, a pani zamieszka na stałe ze swoim synkiem.

Ale tymczasem miałam do skończenia pracę i zapałam się, że skończę ją przed rozprawą, by móc się porządnie wyspać przed pójściem do Sądu Najwyższego.

Kilka dni przed rozprawą zadzwoniła do mnie Sandy.

– We wtorek wielki dzień, co?

– Owszem.

– Żałuję, że nie jestem katoliczką. Zamówiłabym za ciebie mszę.

– Boska interwencja teraz mi nie pomoże.

– Nigdy nic nie wiadomo. Tak czy inaczej obiecaj, że zadzwonisz do mnie we wtorek

wieczorem.

– Na pewno się odezwę.

Odłożyłam słuchawkę. Tej nocy pracowałam do trzeciej, a potem padłam do łóżka i wstałam o siódmej. Pracowałam (z przerwą na godzinną drzemkę około południa) aż do następnego ranka. O siódmej weszłam do gorącej wanny i pogratulowałam sobie zakończenia ogromnej pracy.

O dziewiątej rano kurier zabrał rękopis, a ja wybrałam się na basen w Putney i pływałam przez godzinę. Potem poszłam do fryzjera, sama siebie zaprosiłam na lunch, po którym przeszłam na drugą stronę ulicy do miejscowego kina, żeby pogapić się na jakąś romantyczną bzdurę z Meg Ryan w roli głównej. Po kinie odebrałam swój jedyny kostium z pralni i dotarłam do domu o piątej. Chwilę później zadzwoniła do mnie Maeve Doherty. Powiedziała, że zna już nazwisko sędziego, który będzie prowadził sprawę.

– Nazywa się Charles Traynor.

– To jakiś rozsądny sędzia?

– Cóż...

– Czyli raczej nie?

– Prawdę mówiąc, wolałabym kogoś innego. Bardzo staroświecki. Kurczowo trzyma się litery prawa. I straszny tradycjonalista...

Wyglądało na to, że to dokładnie taki sam facet jak ten, który sądził mnie ostatnio.

– Chce pani powiedzieć, że to męski szowinista? – zapytałam.

– To może trochę za mocne słowo. Ale ma dość ortodoksyjne podejście do spraw rodzinnych.

– Cudownie. Czy kiedykolwiek prowadziła pani sprawę, w której przewodniczył?

– Tak. I muszę przyznać, że gdy się na niego natknęłam pięć lat temu, zrobił na mnie fatalne wrażenie. Typowy absolwent Eton, sztywny, zarozumiały i kompletnie nieakceptujący mojego systemu wartości. A jednak w trakcie rozprawy nabrałam dla niego szacunku. Bo niezależnie od swojego zachowania starego torysa i nieufnego stosunku do kobiet, szczególnie tych, które zarabiają na życie, jest skrupulatny i sprawiedliwy, jeśli chodzi o stosowanie prawa. Więc raczej bym się go nie obawiała.

Postanowiłam odłożyć wszystkie lęki na bok przynajmniej na noc, bo wiedziałam, że i tak nie dadzą mi spokoju od samego rana. Zmusiłam się, żeby pójść do łóżka o dziewiątej i spałam mocno aż do siódmej, kiedy zadzwonił budzik.

Po przebudzeniu przez chwilę czy dwie płałam się jeszcze w słodkim zamroczeniu, aż nagle, jak gład, spadła na mnie świadomość:

To dziś.

W Sądzie Najwyższym byłam piętnaście po dziesiątej. Nie chciałam dotrzeć tam za wcześnie, bo wiedziałam, że będę tkwiła bez sensu pod gotyckim głównym wejściem, wpadając w coraz większą panikę. Już jadąc metrem do stacji Tempie, tak mocno ścisnęłam w garści „Independenta”, że zaczął się rozłazić. Kiedy dotarłam na miejsce, w budynku sądu wrzała praca. obrońcy w perukach krążyli w towarzystwie radców prawnych dźwigających ciężkie teczki z dokumentami i pełnych niepokoju powodów i podsądnych – bohaterów dramatów, które rozgrywały się w ogromnym gmaszysku. W końcu zjawił się Nigel Clapp, ciągnąc za sobą lotniczą walizkę na kółkach. Była z nim Maeve Doherty, ubrana w bardzo konserwatywny, czarny kostium. Podczas naszego spotkania w zeszłym tygodniu wyjaśniła mi, że podobnie jak podczas rozprawy wstępnej i tym razem nie będzie peruk ani tóg. Tylko ciemne garnitury i (jak zauważyła z przekąsem) „zwyczajowe archaiczne procedury”.

– Hm... dzień dobry, pani Goodchild – powiedział Nigel.

Usiłowałam się uśmiechnąć i zachowywać pozory spokoju. Ale Maeve natychmiast wyczuła moje zdenerwowanie.

– Proszę pamiętać, że za parę dni będzie już po wszystkim, a teraz mamy spore szanse odwrócić sytuację. Tym bardziej, że rozmawiałam wczoraj przez telefon z naszymi dwoma świadkami. Naprawdę świetnie się pani spisała, Sally.

Przed nami zatrzymała się czarna taksówka. Drzwiczki się otworzyły – i po raz pierwszy od ponad sześciu miesięcy zobaczyłam człowieka, który z prawnego punktu widzenia wciąż był moim mężem. Tony przybrał trochę na wadze, ale nadal był piekielnie przystojny; wystroił się na tę okazję w czarny garnitur, ciemnoniebieską koszulę i krawat, który jakiś rok temu kupiłam mu w prezencie w Selfridges. Kiedy mnie zobaczył, na moment zasłonił dłonią krawat, po czym kiwnął mi ledwie dostrzegalnie głową i odwrócił się. Ja też nie mogłam na niego patrzeć; odwróciłam wzrok. Ale w tym momencie stanęło mi przed oczami wspomnienie, jak wsiadając do śmigłowca Czerwonego Krzyża w Somalii, ujrzałam Tony’ego Hobbsa siedzącego na podłodze; posłał mi wtedy zalotny uśmiech, który odwzajemniłam.

Tak zaczęła się nasza historia – i oto dokąd nas doprowadziła: na schody gmachu sądu, gdzie staliśmy w obstawie prawników, niezdolni spojrzeć sobie w oczy.

Za Tonym szła Lucinda Fforde, jego obrońca, w towarzystwie tego samego prawnika, którego widziałam na rozprawie wstępnej. Za nimi z taksówki wysiadła Dianę Dexter. Z bliska nie różniła się od obrazu, który wyrył mi się w pamięci. Wysoka, szczupła, ubrana w bardzo elegancki kostium, z krótko ściętymi włosami i twarzą, po której nie było widać pięćdziesięciu lat.

Nie nazwałabym jej piękną czy nawet ładną, ale jej spokojna uroda robiła duże wrażenie. Wchodząc po schodach, spojrzała przeze mnie na wylot, jakbym była powietrzem. W końcu cała czwórka minęła nas i weszła do gmachu; tylko nasze obrończynie wymieniły uprzejme, formalne „dzień dobry”. Nagle uderzyło mnie, że z wyjątkiem Nigela Clappa, który jak zwykle miał na sobie nijaki, szary garnitur, wszyscy aktorzy tego małego dramatu ubrani byli na czarno, jakby szli na pogrzeb.

– No dobrze – powiedziała Maeve. – Wygląda na to, że wszyscy jesteśmy na miejscu. Więc...

Wskazała w stronę drzwi. Weszliśmy do środka. Maeve poprowadziła nas przez ogromny westybul budynku; skręciliśmy w lewo, przecięliśmy dziedziniec i dotarliśmy do Gmachu imienia Thomasa More'a, w którym, jak powiedziała mi Maeve, odbywały się głównie sprawy rodzinne. Wspięliśmy się na piętro i weszliśmy do sali 43, dużej, przypominającej kaplicę auli, wyłożonej zblakłą ze starości boazerią. Sala była podobna do tej, w której odbywała się rozprawa wstępna. I tu stało sześć rzędów ławek i ława sędziowska na podwyższeniu. Miejsce dla świadków znajdowało się obok, po lewej stronie. Drzwi z tyłu prowadziły, jak się domyślałam, do gabinetu sędziego. I tak jak poprzednim razem, my siedzieliśmy po lewej stronie sali, a Tony i Spółka po prawej. Przed ławą sędziowską zajęli miejsce protokolant i woźny. Maeve zdążyła mi już wyjaśnić, że Tony, „występując” o utrzymanie prawa opieki nad Jackiem, w prawniczym języku nazywa się „powodem”, a ja, jako osoba, wobec której toczy się postępowanie, jestem „pozwaną”. Rozprawę otworzy „strona” Tony’ego i pierwsza przedstawi swoje argumenty. obrońcy obu stron już wcześniej musieli przedstawić sędziemu zarys swojej argumentacji w konspekcie. Będą też powoływani świadkowie, głównie po to, by potwierdzić zeznania, które złożyli wcześniej. Po każdym „przesłuchaniu” świadka przez drugą stronę przyjdzie kolej na pytania Maeve, a potem Lucinda Fforde, jeśli zechce, będzie mogła zadać dodatkowe pytania.

– Jeśli chodzi o przesłuchiwanie świadków w sprawach cywilnych, przeszliśmy zasadniczo na tak zwany model francuski – wyjaśniała Maeve przy okazji ostatniego spotkania. – Inaczej niż to jest w Stanach, żadna ze stron nie może przerwać drugiej przesłuchania, chyba że jest to kluczowe dla sprawy.

Kiedy już strona powoda przedstawi swoje dowody i argumenty, my przedstawimy nasze. Potem przyjdzie czas na mowy końcowe: najpierw my, potem mowa strony Tony’ego, na którą Maeve będzie mogła odpowiedzieć. Ostatnie słowo należy do Lucindy Fforde.

– Wiem, co pani zaraz powie: że to absolutnie niesprawiedliwe dla pozwanego. I obawiam się, że ma pani rację. Ale taki jest system prawny i nic na to nie możemy poradzić. Jedyne, co można zrobić, to zadbać o to, by nie byli w stanie podważyć dowodów, które my przedstawimy sądowi. I to właśnie jest moje zadanie.

Moim zaś zadaniem było siedzieć cicho i zastanawiać się, czy kiedykolwiek będę mogła mieszkać ze swoim synem.

Maeve Doherty usiadła w pierwszej ławce. Ja i Nigel zajęliśmy miejsca za nią. Strona Tony’ego usadowiła się według identycznego schematu. Spojrzałam na zegarek. Dziesiąta trzydzieści jeden. Sędziego jeszcze nie było.

Wiedziałam od Maeve, że rozprawa jest zamknięta dla publiczności, więc ławki za nami będą puste. Ale nagle drzwi sali otworzyły się i usłyszałam swoje imię, wypowiedziane znajomym głosem.

Była to moja siostra, Sandy. Odwróciłam się. Szła między ławkami, zmęczona i oszołomiona lotem, ciągnąc za sobą walizkę na kółkach. Wstałam, kompletnie osłupiała.

– Co ty tutaj robisz?!

Mój okrzyk trudno byłoby nazwać entuzjastycznym powitaniem.

– Pomyślałam po prostu, że powinnam tu być.

Tony odwrócił się i spojrzał na nią ze zdumioną miną.

– Na co się gapisz? – warknęła do niego. Natychmiast odwrócił głowę.

Moja siostra szepnęła do mnie:

– Nie cieszysz się, że przyjechałam?

Uściskałam ją mocno i odszepnęłam:

– Oczywiście że tak, po prostu się zdziwiłam. Dawno przyleciałaś?

– Godzinę temu. Przyjechałam z Heathrow metrem. Mam nadzieję, że znajdziesz dla mnie jakieś łóżko.

Uśmiechnęłam się blado.

– Myślę, że da się zrobić. Kto się zajmuje dziećmi?

– Znasz moich sąsiadów, Fultonów? Ich dwójka wyjechała na letni obóz, więc to żaden kłopot, żeby...

Ale przerwały nam słowa woźnego sądowego:

– Proszę wstać.

Machnęłam na Sandy, by znalazła sobie ławkę, i pobiegłam na swoje miejsce obok Nigela Clappa. Nigel już stał.

– To moja siostra – szepnęłam.

– A... hm... tak – powiedział.

Drzwi z tyłu otworzyły się i do sali wszedł sędzia Charles Traynor. Był tuż po sześćdziesiątce. Wysoki. Imponujący. Zadbany. Grzywa stalowosiwych włosów i królewska postawa nie pozostawiały wątpliwości, że ma o sobie bardzo wysokie mniemanie. Ubrany był w nienaganny, trzyczęściowy garnitur, śnieżnobiałą koszulę i krawat uczelni – Eton, jak mi się wydawało (co zresztą później potwierdziła Maeve). Zajął swoje miejsce.

Uklonił się nam, my ukloniliśmy się jemu. Kiwnął głową, pozwalając nam usiąść. Z kieszonki na piersi wyjął półokrągłe okulary do czytania i umieścił je na nosie. Odchrząknął. Woźny przywołał salę do porządku.

Traynor przyjrzał się obecnym i zauważył samotną osobę, siedzącą w ostatnim rzędzie.

– A pani kim jest?

Nigel szybko wyjaśnił szeptem Maeve, w czym problem. Maeve wstała.

– Wysoki Sądzie, to siostra pozwanej, która właśnie przyleciała ze Stanów, by towarzyszyć pani Goodchild podczas rozprawy. Prosimy Wysoki Sąd o zezwolenie na jej pozostanie w sali.

Traynor spojrział na Lucindę Fforde.

– Czy strona powoda ma jakieś obiekcje przeciwko obecności tego gościa?

– Chwileczkę, Wysoki Sądzie – odparła Fforde, po czym pochyliła się do Tony’ego i jego adwokata i przeprowadziła z nimi sotto voce krótką naradę.

Po chwili wyprostowała się i powiedziała:

– Nie mamy nic przeciwko temu, Wysoki Sądzie.

– W takim razie może pani zostać.

Powstrzymałam się, by nie spojrzeć w tej chwili na Sandy, w obawie, że zrobi coś, by w najlepszej wierze, po amerykańsku okazać swoją radość – na przykład uniesie kciuk do góry.

Traynor odchrząknął jeszcze raz, po czym, bez żadnych wyjaśnień czy wstępów, poprosił obrońcę powoda o przedstawienie sprawy.

Lucinda Fforde wstała i zaczęła mówić:

– Mając przed sobą mój pozew, Wysoki Sąd zdaje sobie bez wątplenia sprawę, że mamy tu do czynienia z wyjątkowo smutnym i tragicznym przypadkiem...

I pojechała dalej, odmalowując portret odnoszącego sukcesy, poważanego człowieka – Anthony’ego Hobbsa, „jednego z najwybitniejszych dziennikarzy swojego pokolenia”. Związał się on z kobietą, o której wiedział bardzo mało i która zaszła w ciążę już po kilku tygodniach trwania związku.

Oczywiście pan Hobbs mógł się zachować niehonorowo i odwrócić się od niej plecami. On jednak, dowiedziawszy się o swoim przeniesieniu do Londynu, zapytał, czy zechciałaby mu towarzyszyć i zalegalizować ich związek poprzez małżeństwo. Oczywiście nie ulega wątpliwości, że ciąża pani Goodchild była wyjątkowo trudna, a potem pozwana borykała się z ciężką depresją poporodową, ale nie można też zapomnieć, że jej zachowanie stawało się coraz bardziej nieobliczalne, do tego stopnia, że...

I tak samo jak podczas mowy otwierającej rozprawę wstępną, wymieniła (odpowiednio upiększając) wszystko, co mieli przeciwko mnie. Moje pierwsze, rozpaczliwe stwierdzenie w szpitalu, że nie obchodzi mnie, czy mój syn będzie żył. Moje niezrównoważone zachowanie w Mattingly. Moją groźbę, że zabiję Jacka. Incydent z zatruciem środkami nasennymi.

Mój pobyt na oddziale psychiatrycznym. Cudowne usposobienie mojego męża, który trwał przy mnie mimo wszystko...

W tej chwili z tyłu sali dobiegło głośnie, gniewne sapnięcie. Sandy. Lucinda Fforde przerwała w pół zdania i odwróciła głowę, by sprawdzić, kto jej przerwał. Nigel i Maeve też się obejrzeni. Sędzia Traynor zerknął tylko znad okularów i zapytał:

– Czy ktoś coś powiedział?

Sandy zwiesiła głowę, jakby wystraszyła się oskarżycielskich spojrzeń.

– Bardzo proszę, by się to więcej nie powtórzyło – powiedział szorstko sędzia, tonem wskazującym wyraźnie, że następnym razem nie będzie już pobłażliwy. Poprosił Lucinę Fforde, by kontynuowała.

Zacząła w miejscu, w którym przerwała, opowiadając, jak przyzwoicie zachował się Tony, jak trwał przy mnie, nawet gdy groziłam zamordowaniem syna, i jak zwrócił się do starej przyjaciółki, Dianę Dexter, która zaoferowała mu schronienie przed nieobliczalną...

I tak dalej, i tak dalej. Musiałam jej to przyznać: była zwięzła. Była precyzyjna. Była twarda. Nie pozostawiała u słuchaczy wątpliwości, że zmieniałam się w dzieciobójczynię i że choć rozdzielanie matki i dziecka to drastyczny środek, w tym wypadku nie było innego wyjścia. Dowodziła, że oddanie mi Jacka pod opiekę byłoby narażaniem go na ponowne ryzyko, na co z pewnością Wysoki Sąd nie zechce zezwolić. Tym bardziej, że dziecko doskonale czuje się pod opieką ojca i pani Dexter.

Większość z tych argumentów słyszałam już wcześniej, ale to i tak nie zmniejszyło wrażenia, jakie na mnie zrobiły. Jak każdy dobry obrońca, Lucinda Fforde była obdarzona ogromną siłą perswazji i wykorzystała ją, by w jasny, racjonalny sposób zrobić ze mnie przerażającą wiedźmę, która do tego stopnia straciła zmysły, że chciała zabić własnego syna.

Przyszła kolej na Maeve. Przedstawiła moją stronę historii z imponującą precyzją i zwięzłością, bo, jak mi powiedziała – Traynor cenił sobie przede wszystkim rzeczowość. Zacząła od krótkiego przypomnienia mojej dziennikarskiej przeszłości, mojej wieloletniej pracy w charakterze korespondenta „Boston Post”, mojej umiejętności doskonałego radzenia sobie na Bliskim Wschodzie, gdzie, jak wiadomo, kobieta dziennikarka ma trudne zadanie. Mniej więcej w trzech zdaniach opisała, w jaki sposób związałam się z panem Hobbsem, zaszłam w ciążę w wieku trzydziestu siedmiu lat, i zdając sobie sprawę, że to ostatni dzwonek, by urodzić dziecko, zdecydowałam się przyjechać z nim do Londynu, gdzie okazało się, że moja ciąża jest zagrożona, a po porodzie nastąpiło dalsze pogorszenie stanu zdrowia.

Mówiła zwięźle, bez dygresji i bez popadania w melodramat. Opowiadała wręcz genialnie i przez cały czas swojego niedługiego wystąpienia utrzymała pełną uwagę Traynora.

– Pani Goodchild nigdy nie zaprzeczała, że w stanie klinicznej depresji wyraziła słowami brak zainteresowania stanem zdrowia syna i że wypowiedziała groźbę pod jego adresem, ale nigdy nie próbowała jej zrealizować i nigdy nie wykazywała zachowań, które mogłyby mu zagrozić. Przyznaje też otwarcie, że z powodu przewlekającej się bezsenności niechętnie nakarmiła syna piersią po zażyciu leku uspokajającego, ale był to wypadek, którego

do tej pory sobie nie wybaczyła. Te trzy incydenty, które tu wymieniłam, to wszystkie „zbrodnie”, o jakie powód może oskarżyć moją klientkę.

I bazując na tych trzech incydentach, powód naciągnął fakty, by uzyskać zaoczny wyrok przeciwko pani Goodchild, w czasie rozprawy, która, tak się jakoś wygodnie złożyło, miała miejsce, kiedy moja klientka wyjechała z kraju na rodzinny pogrzeb. Powód wykorzystał te same argumenty, by uzyskać tymczasowe prawo do wyłącznej opieki nad dzieckiem, przedstawiając panią Goodchild jako wyrodną matkę i skazując ją na sześciomiesięczną separację z synem, którego mogła widywać zaledwie przez godzinę w tygodniu.

Twierdzę, że postępowanie powoda wobec żony było bezduszne i podyktowane względami egoistycznymi.

Usiadła. Po chwili ciszy Lucinda Fforde wstała i wezwała pierwszego świadka: pana Thomasa Hughesa.

Wmaszerował do sali ubrany w nienaganny garnitur; z jego gestów biła arogancja zadufanego specjalisty z Harley Street. Wszedł na podium dla świadków, złożył przysięgę, po czym kiwnął głową sędziemu Traynorowi, jakby witał się z kolegą ze szkolnej ławy. I faktycznie, w tej chwili zauważyłam, że noszą identyczne krawaty w barwach Eton.

– Panie Hughes, jest pan uważany za jednego z najlepszych położników w kraju... – zaczęła Lucinda Fforde, po czym przypomniała sądowi, że zeznanie świadka zostało spisane już wcześniej. Jednak by zweryfikować szczegóły, jeszcze raz poprosi go o wyrażenie opinii na temat anormalnego zachowania pani Goodchild w czasie, kiedy przebywała pod jego opieką w szpitalu Mattingly.

Hughes podjął temat rzeczowo, ale z wyraźnym zadowoleniem, wyjaśniając, że byłam jedną z najbardziej agresywnych i trudnych pacjentek, z jakimi spotkał się w czasie swojej długiej praktyki lekarskiej. Opowiedział, jak to wkrótce po porodzie pielęgniarki z oddziału zaczęły mu donosić o moim niebezpiecznie „kapryśnym i chwiejnym zachowaniu”.

– Przedłużające się napady płaczu, przeplatane wybuchami nieopanowanego gniewu i absolutny brak zainteresowania samopoczuciem dziecka, które w tym czasie przebywało na dziecięcym oddziale intensywnej opieki medycznej.

– W swoim zeznaniu – powiedziała Lucinda Fforde – szczególnie mocno podkreślił pan tę ostatnią kwestię. Czy to prawda, że jedna z pielęgniarek przekazała panu słowa pani Goodchild, cytując: „On umiera, a ja mam to gdzieś. Rozumiesz? Mam to gdzieś”.

– Tak jest, niestety. Kiedy u dziecka ustąpiła żółtaczka, pani Goodchild urządziła wręcz scenę na oczach całego oddziału położniczego, aż musiałem przywołać ją do porządku i poinformować, że jej zachowanie jest absolutnie nie do przyjęcia.

– Zostało dowiedzione, że pani Goodchild cierpiała już w tym czasie na depresję poporodową. Zapewne w swojej praktyce miał pan do czynienia z pacjentkami dotkniętymi tą chorobą?

– Oczywiście. To dość często spotykana jednostka chorobowa. Jednak do tej pory nie

spotkałem się z pacjentką tak agresywną i niebezpieczną. Kiedy więc dowiedziałem się, że jej mąż stara się o sądowy nakaz, by odebrać jej dziecko, wcale się nie zdziwiłem.

– Dziękuję bardzo, panie Hughes. Na razie nie mam więcej pytań.

Wstała Maeve Doherty. Jej głos był chłodny, opanowany.

– Panie Hughes... Chciałabym pana zapytać, kiedy kazał pan przywiązać panią Goodchild do szpitalnego łóżka.

Hughes zrobił zdziwioną minę.

– Nigdy nie zleciłem czegoś takiego – odparł pogardliwie.

– A kiedy zaordynował jej pan silne środki uspokajające?

– Nigdy nie dostawała silnych środków uspokajających. Dostawała łagodny lek przeciwdepresyjny, mający wyprowadzić ją z pooperacyjnego szoku po zabiegu cesarskiego cięcia...

– A kiedy przeniósł ją pan na oddział zamknięty w Mattingly...

– Nigdy nie przebywała na oddziale zamkniętym, nie dostawała silnych środków uspokajających i nie była wiązana do łóżka.

Maeve Doherty spojrzała na niego z uśmiechem.

– Skoro sam pan to przyznał, jak może pan twierdzić, że była pacjentką niebezpieczną? Przecież gdyby była niebezpieczna, na pewno kazałby ją pan wiązać...

– To prawda, że nie popełniła żadnych aktów przemocy fizycznej, ale jej słowna agresja...

– Ale sam pan powiedział, że cierpiała wskutek szoku pooperacyjnego, nie wspominając o stresie spowodowanym świadomością, że jej syn przebywa na intensywnej terapii. Z początku istniało przecież podejrzenie, że dziecko doznało podczas porodu uszkodzenia mózgu. W takich okolicznościach trudno się chyba dziwić, że pacjentka była niespokojna.

– Jest duża różnica między niespokojna a...

– Niegrzeczna?

W tym momencie wtrącił się Traynor.

– Proszę się powstrzymać od wkładania własnych słów w usta świadka.

– Przepraszam, Wysoki Sądzie – powiedziała Maeve Doherty, po czym zwróciła się z powrotem do Hughesa. – Zapytam inaczej: skoro zgodziliśmy się, że pani Goodchild nie była agresywna ani jej zachowanie nie było aż tak ekstremalne, jak usprawiedliwi pan swoje twierdzenie, że była jedną z najtrudniejszych pacjentek, z jakimi się pan spotkał?

– Bo, jak próbowałem wyjaśnić, zanim mi pani przerwała, jej zachowania werbalne były wręcz rażące.

– W jakim sensie rażące?

– Była nieuprzejma i wykazywała absolutny brak szacunku...

– A – powiedziała głośno Maeve. – Wykazywała brak szacunku. Wobec pana, jak się domyślam?

– Wobec mnie i reszty personelu.

– Ale szczególnie wobec pana?

– Okazywała mi jawną wrogość.

– Czy używała nieprzyzwoitych słów, obrzucała pana obelgami, przezywała...?

– No, niezupełnie. Ale podważała moje medyczne decyzje.

– I w pańskim słowniku to właśnie definicja słownej agresji?

Hughes zerknął na Lucindę Fforde, jak aktor czekający na wypowiedz suflera.

– Proszę odpowiedzieć na moje pytanie – powiedziała Maeve.

– Moi pacjenci zwykle nie podważają mojego autorytetu – odparł.

– Ale ta Amerykanka to zrobiła i panu się to nie spodobało, tak? – I zanim zdążył odpowiedzieć, rzuciła: – Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

Sędzia zwrócił się do Lucindy Fforde i zapytał, czy ma jeszcze jakieś pytania do świadka.

– Tak, Wysoki Sądzie – odparła, wstając z miejsca. – Panie Hughes, proszę mi powtórzyć słowa pani Goodchild na temat syna, o których poinformowała pana jedna z pielęgniarek.

– Według niej pani Goodchild powiedziała: „On umiera, a ja mam to gdzieś. Rozumiesz? Mam to gdzieś”.

– Dziękuję, panie Hughes. Nie mam więcej pytań.

Hughes spojrział na sędziego, który pozwolił mu opuścić miejsce dla świadków.

Następna była Sheila McGuire – pielęgniarka, która doniosła Hughesowi o incydencie przy karmieniu piersią. Stała na miejscu dla świadków straszliwie zdenerwowana i spięta. W dłoniach miętoszyła chusteczkę. Maeve wiedziała, że to ona będzie drugim świadkiem i powiedziała mi, że bardzo przydatną, zaczepno-obronną techniką wobec świadka występującego przeciw mnie jest patrzenie mu prosto w oczy przez całe zeznanie. Zrobiłam tak –

i przyniosło to pożądany efekt, bo zdenerwowała się jeszcze bardziej.

Mimo to zdołała opowiedzieć historyjkę, jak to w gniewie szarpnęłam Jacka podczas karmienia i trzeba mnie było powstrzymać, bym nie rzuciła nim przez pokój.

Kiedy Maeve zabrała się do niej, skoncentrowała się na znaczeniu słowa „szarpnąć”.

– Proszę mi to dokładnie wytłumaczyć – powiedziała. – Pani Goodchild nagle szarpnęła syna, rozzłoszczona, że ją ugryzł, tak?

– No, to nie było właściwie szarpnięcie.

– To znaczy?

– No, owszem, odsunęła go dość gwałtownie, ale raczej nieumyślnie...

– Przepraszam, nie bardzo rozumiem.

– No więc... pani Goodchild cierpiała na ostry przypadek mastitis...

– Czyli tak zwane płożowe zapalenie gruczołu sutkowego, które może doprowadzić do powstania ropni w obrębie sutka?

– Nie zawsze dochodzi do powstania ropni, ale czasem wypływ mleka zostaje zablokowany, co może być bardzo bolesne.

– Więc jej pierś była mocno spuchnięta i obolała, a kiedy syn chwycił dziąsłami sutek, zareagowała tak, jak zareagowałby każdy człowiek, narażony na niespodziewany ból.

– Powtarzam, proszę się powstrzymać od odpowiadania za świadka – powiedział Traynor.

– Przepraszam, Wysoki Sądzie. Zapytam inaczej. Pani McGuire, czy powiedziała pani, że pani Goodchild podskoczyła z bólu, kiedy jej syn ścisnął sutek?

– Tak, właśnie tak.

– W takim razie szarpnięcie, o którym pani mówi, to nie był zamierzony, zaplanowany ruch, tak? Była to reakcja na ból?

– Tak.

– Więc jeśli zgodzimy się, że była to gwałtowna reakcja, w której wyniku odsunęła syna od piersi, możemy też powiedzieć, że przez chwilę wyglądało to tak, jakby chciała rzucić dzieckiem, tak?

– Tak.

– Ale powstrzymała się, prawda?

– Cóż, my byliśmy na miejscu, w razie gdyby...

– Czy chwyciła pani dziecko?

– Hm... nie.

– Więc pani Goodchild powstrzymała się sama. Nie mam więcej pytań.

Po zeznaniach McGuire nastąpiła dziesięciminutowa przerwa, podczas której Sandy podeszła pospiesznie do miejsca, gdzie naradzałam się z moją drużyną.

– Strasznie przepraszam – powiedziała skruszona. – Ale kiedy ta kobieta zaczęła opisywać tego gnojka, jakby był jakimś szlachetnym rycerzem...

Położyłam jej rękę na ramieniu, by zamilkła.

– Poznajcie moją siostrę, Sandy, która wpadła do mnie z Bostonu z niespodziewaną wizytą – powiedziałam do Nigela i Maeve.

Nigel wstał i podał jej swoją rybią dłoń. Maeve uśmiechnęła się lekko i powiedziała:

– Zupełnie rozumiem pani reakcję. Ale jeśli chce pani pomóc siostrze, proszę wziąć sobie do serca, co powiedział sędzia, i nie robić tego więcej.

Po przerwie przyszła kolej na zeznania dwóch innych pielęgniarek z Mattingly. Obie potwierdziły opinię Hughesa, że przebywając na oddziale, sprawiałam wyłącznie kłopoty. Maeve udało się podważyć kilka ich krytycznych uwag, ale i tak wyszło na to, że w oczach pielęgniarek z oddziału i mojego lekarza byłam osobą niezrównoważoną.

A potem, przed przerwą na lunch, na podium wstąpiła moja wielka przyjaciółka, Jessica Law, autorka raportu CAF-CASS, z którego wynikało, że choć byłam na najlepszej drodze do wyzdrowienia, Tony Hobbs i Dianę Dexter zapewniają Jackowi wzorcowe środowisko rozwoju.

– Nie mam żadnych wątpliwości – odpowiedziała na pytanie Lucindy Fforde – że Sally Goodchild zdaje sobie sprawę z faktu, iż przeżyła wyjątkowo trudny okres. Robiła wówczas i mówiła rzeczy, których potem żałowała. Nie wątpię też, że kiedy w pełni wyzdrowieje, będzie odpowiedzialną i troskliwą matką. Clarice Chambers, nadzorująca wszystkie jej spotkania z synem, nie ma jej nic do zarzucenia. Pani Goodchild zdołała również znaleźć dorywczą pracę jako korektorka i zaczyna odnajdywać się w nowym zawodzie. Mówiąc krótko, jestem pod wrażeniem odwagi i wytrwałości, jaką wykazała w tych wyjątkowo trudnych okolicznościach.

Ale potem zaczęła się rozplęwać nad panią Dexter. Opowiadała, jak boska pani D. weszła w nową rolę i „wspaniale” zadbała o potrzeby Jacka. Że pan Hobbs zrobił na niej wrażenie czulego i oddanego ojca, że tworzy z panią Dexter szczęśliwy związek i wręcz odłożył swoją karierę na bok, by cały czas móc opiekować się synem. Aby wesprzeć go w tym zadaniu, zatrudniona została pełnoetatowa niania. I że nie ma nic do zarzucenia temu ognisku domowemu i jest pewna, że Jack „nie mógłby się znaleźć pod lepszą opieką”. Ten ostatni

komentarz był niemal wyrokiem.

Spodziewałam się, że Maeve Doherty rozedrze ją na strzępy, że zmusi do powtórzenia pozytywnej opinii na mój temat, a potem wydobędzie na światło dzienne prawdziwe układy panujące w ich domu.

Ale zadała tylko jedno, jedyne pytanie:

– Pani Law, czy według pani Jack Hobbs zasługuje na to, by wychowywali go oboje rodzice?

– Oczywiście że tak. Ale...

– Nie mam więcej pytań.

Zdumiało mnie to krótkie przesłuchanie – i fakt, że Maeve nie spojrzała na mnie, wracając na miejsce. Wstała Lucinda Fforde – Ja też mam tylko jedno pytanie, pani Law. Czy chce pani potwierdzić, że przedostatnie zdanie wypowiedziane przez panią brzmiało: „Jestem pewna, że Jack nie mógłby się znaleźć pod lepszą opieką?”

– Zgadza się, tak powiedziałam.

– Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

Kiedy sędzia Traynor wyszedł z sali, a Tony i Spółka zmyli się na korytarz bardzo zadowoleni z siebie, odwróciłam się do Maeve i zapytałam:

– Może mi pani wyjaśnić, dlaczego...

– Dlaczego nie zniszczyłam Jessiki Law? Bo Traynor natychmiast się najeża, jeśli ktośkolwiek atakuje raport CAF/CASS albo jego autora. Może sobie być starym torysem, ale ma ogromny szacunek dla opinii profesjonalistów. Owszem, to, co powiedziała, mocno nam zaszkodziło. Ale zaszkodziłoby bardziej, gdybym zaczęła podważać jej autorytet albo insynuować, że dała się oczarować drugiej stronie... choć najwyraźniej tak było. Proszę mi zaufać, Traynor od razu zwróciłby się przeciwko nam.

– Ale czy nie wyrządziła nam nieodwracalnej szkody? – zapytałam.

– Zobaczymy, co przyniesie popołudnie – odparła Maeve, po czym dodała, że chce jeszcze omówić z Nigelem kilka spraw przy lunchu.

Tak więc Sandy i ja poszliśmy do pobliskiego Starbucksa.

– Zupełnie jak w domu – powiedziała Sandy, rozglądając się wokół siebie. – Z wyjątkiem cen. Jezu, jakim cudem cię na to wszystko stać?

– Nie stać mnie – odparłam znużona.

– Proszę cię, tylko mi nie mów, że utylam – powiedziała, pożerając babeczkę z karmelem i popijając ją mocha latte z bitą śmietaną. – Wiem, jaka jestem gruba,

i zamierzam się tym zająć, jak tylko skończy się lato.

– To dobrze, Sandy – odparłam, gapiąc się w papierowy kubeczek z espresso.

– Powinnaś coś zjeść – rzuciła.

– Nie jestem głodna.

– Wiesz co, myślę że ta twoja adwokatka świetnie sobie poradziła z tym okropnym lekarzem i tą irlandzką idiotką, pielęgniarką. Ale nie rozumiem, dlaczego odpuściła tej kobiecie z opieki społecznej...

– Sandy, błagam...

Spojrzała na mnie zdezorientowana i urażona.

– Nie powinnam przyjeżdżać, co?

– Tego nie mówię.

– Nie, masz rację. Już zamykam swoją głupią gębę i...

– Przestań – powiedziałam, biorąc ją za rękę. – Bardzo się cieszę, że tu jesteś.

– Tylko tak mówisz.

– Nie, naprawdę. Jesteś najlepszą siostrą na świecie i wspierałaś mnie przez całą tę koszmarną historię. Bez ciebie poszłabym na dno. Ale...

– Wiem, wiem. To napięcie jest nie do zniesienia.

Przytaknęłam.

– Właśnie dlatego zdecydowałam się przyjechać – powiedziała. – Bo nie wysiedziałybym w Bostonie, zastanawiając się, jak ci tu idzie.

– Nie za dobrze, a przynajmniej tak mi się zdaje w tej chwili.

– No dobra, może nie dokopała tej kobiecie z opieki, ale widziałaś, jak rozerwała na strzępy ważnego doktora...

– Ta „kobieta z opieki”, jak ją nazywasz, liczy się w tej sprawie najbardziej. Jej raport jest dla sądu alfą i omegą, bo został zlecony właśnie przez sąd. Słyszałaś, co powiedziała Maeve. Dla sędziego jej zeznania liczą się bardziej niż wszystkie inne. I dlatego tak kiepsko to wygląda. Oczywiście, wiem o tym od chwili, kiedy przeczytałam raport. Ale myślałam, że Maeve go podważy.

– Szczególnie że pani kuratorka chodziła sobie po pięknym domu pani Bogatej Suki, oglądała jej zdjęcia z Tonym na Downing Street i prawdopodobnie tak straszliwie jej zaimponowało, że takie ważne osobistości koło niej skaczą, że poczuła się pieprzoną gwiazdą

przedstawienia... wybaczyć mój amerykański język.

- Wybaczam. I myślę, że masz rację.
- Kto jest następny?
- Mój cudowny mąż.
- Nie mogę się doczekać.

Musiałam to przyznać Tony’emu -jego zeznanie było poprowadzone po mistrzowsku. Takiemu przedstawieniu nie sposób się oprzeć; widywałam go już w akcji, jak tańczył wokół jakiegoś ważnego arabskiego ministra, od którego chciał coś wyciągnąć. Tony na miejscu dla świadków zamienił się w Anthony’ego Hobbsa z „Chronicie”: wykształconego, solidnego, poważnego – a jednocześnie pełnego współczucia, szczególnie jeśli chodzi o jego nieobliczalną żonę. Poinstruowany przez Lucindę Fforde zgrywał dobrego samarytanina. Opowiedział całą historię mojego załamania, podkreślając, jak bardzo starał się pomóc mi przejść przez to wszystko, jak odrzuciłam jego wsparcie i jak trwał przy mnie, mimo iż zagroziłam życiu naszego syna.

Potem przeszedł do swojej „przyjaźni” z Dianę Dexter; przyznał, że owszem, była to przyjaźń „podszyta flirtem”, ale nigdy nie była niczym więcej, dopóki jego małżeństwo nie legło w gruzach, a on zaczął się obawiać o bezpieczeństwo syna. W końcu palną pełną pasji mówkę, że bycie ojcem okazało się najlepszą rzeczą, jaka go spotkała, że nie zdawał sobie nigdy sprawy, ile niewyobrażalnej radości może wnieść w życie dziecko, i że nie mógłby sobie wymarzyć u swego boku bardziej niezwykłej (tak, użył tego słowa) kobiety niż Dianę Dexter (oczywiście patrzył jej prosto w oczy, wychwalał ją pod niebiosa) i że czuł się ogromnie rozdarty, nie mając innego wyjścia, jak odizolować Jacka ode mnie, by chronić go przed moim „autodestrukcyjnym amokiem”, ale ma nadzieję, że kiedy już wrócę do równowagi, będę mogła odegrać znaczącą rolę w życiu naszego syna. Tymczasem jednak poświęcił się całkowicie roli „głównego opiekuna” i dlatego zdecydował się zrezygnować ze stanowiska w „Chronicie”, a kiedy w przyszłym miesiącu przeprowadzą się do Australii, również nie będzie szukał stałego zajęcia przynajmniej przez rok lub dwa, by móc „być przy Jacku”.

Kiedy wygłaszał tę swoją tyradę człowieka, który odnalazł sens w życiu, moją rosnącą wściekłość tłumili tylko strach, że siedząca w ostatniej ławce Sandy zaraz zacznie wydawać wymiotne dźwięki.

Gdy skończył, na scenę wkroczyła Maeve Doherty. Spojrzała na niego z chłodnym dystansem.

– Panie Hobbs – zaczęła. – Usłyszeliśmy właśnie z pana ust przemowę na temat uroków ojcostwa. Co oczywiście jest jak najbardziej godne pochwały. Ale, pytam, by zaspokoić moją ciekawość, dlaczego czekał pan tak długo, zanim zdecydował się pan na dziecko?

– Wysoki Sądzie – wtrąciła zirytowana Lucinda Fforde. – Muszę zaprotestować przeciwko takiej linii przesłuchania. Jakiż to może mieć związek ze sprawą?

- Proszę świadka, by odpowiedział na to pytanie.

– I zrobię to z radością – odparł Tony. – Nie decydowałem się wcześniej na dzieci ze względu na wykonywany zawód. Jako korespondent prowadziłem życie nomady, wędrowałem zawsze tam, gdzie rzuciły mnie obowiązki: czy był to kraj objęty wojną, czy stolica obcego państwa... i po prostu nie miałem szansy stworzyć związku, osiedlić się. Ale kiedy poznałem Sally i jej ciąża zbiegła się w czasie z przeniesieniem mnie do Londynu i propozycją objęcia stanowiska w dziale zagranicznym „Chronicie”, uznałem, że to idealny moment, by związać się z nią i zostać ojcem.

– A wcześniej nigdy nie miał pan okazji się przekonać, jak to jest być ojcem?

– Nie, nie miałem.

– Więc teraz najwyraźniej nadrabia pan stracony czas.

– Pani Doherty... – rzucił lodowato Traynor.

– Wycofuję ten komentarz. No cóż, panie Hobbs, zajmijmy się inną kwestią. .. pańską decyzją, by porzucić „Chronicie”. Pracował pan dla „Chronicie” przez ponad dwadzieścia lat, czy tak?

– Tak, zgadza się.

– Był pan jednym z najbardziej cenionych korespondentów; jak sam pan wspomniał, relacjonował pan co najmniej kilka wojen, przebywał na placówkach w Waszyngtonie, Tokio, Frankfurt, Paryżu, Kairze. A potem, ponad rok temu, został pan ściągnięty do Londynu, by objąć wysokie stanowisko. Czy był pan zadowolony z tego przeniesienia?

– Wysoki Sądzie, zgłaszam sprzeciw – powiedziała Lucinda Fforde. – To nie ma nic wspólnego z...

– Proszę pozwolić obrońcy pozwanej dokończyć przesłuchanie świadka – odparł Traynor. – Panie Hobbs, będzie pan łaskaw odpowiedzieć na to pytanie.

– Byłem... tak, przyznaję, że z początku trudno było mi się przyzwyczaić do pracy biurowej. Ale jakoś się w tym odnalazłem...

– I kilka miesięcy później nie tylko zrezygnował pan ze stanowiska, ale w ogóle z pracy w gazecie. W tym samym tygodniu zdecydował się pan również zakończyć małżeństwo z panią Goodchild, zamieszkać z panią Dexter i błyskawicznie postarał się pan o wyrok sądowy przyznający panu wyłączne prawo do opieki nad synem. Sporo tych życiowych decyzji, jak na kilka dni, przyzna pan?

– Decyzje, które podjąłem, były podyktowane troską o syna, który w moim mniemaniu był w niebezpieczeństwie.

– No dobrze, powiedzmy, że faktycznie postanowił pan przez jakiś czas być w domu z synem. Ale przecież kierownictwo „Chronicie” jest chyba na tyle oświecone, że gdyby pan poszedł do nich i powiedział, że potrzebuje urlopu ze względów osobistych, zapewne wykazaliby zrozumienie. Ale rzucać pracę w macierzystej gazecie po ponad dwudziestu latach,

tak po prostu? Dlaczego pan to zrobił?

- To nie było „tak po prostu”. Ta decyzja dojrzewała we mnie od jakiegoś czasu.
- Ach, czyli tak naprawdę nie odnalazł się pan za biurkiem w Wapping...?
- Niezupełnie o to chodziło. Po prostu uznałem, że czas ruszyć naprzód...
- Bo?
- Bo odkryłem w sobie inne ambicje.
- Chodzi może o ambicje literackie?
- Owszem. Zacząłem pisać powieść.

– A tak, pańska powieść. W swoim zeznaniu, które pan bez wątpienia czytał, pani Godchild stwierdziła, że kiedy pański syn wyszedł ze szpitala, pan był bardzo zajęty pisaniem powieści. Zamykał się pan i sypiał w gabinecie, podczas gdy pańska żona sama borykała się z nieprzespanymi nocami, karmieniami o czwartej rano i wszystkimi innymi nieprzyjemnymi aspektami opieki nad dzieckiem.

Tony przewidział taki obrót sprawy i był nań stuprocentowo przygotowany.

– Uważam, że to głęboko niesprawiedliwa interpretacja sytuacji. Kiedy Sally straciła pracę...

– Czy pańska żona nie musiała zrezygnować z pracy z powodu choroby, która zagrażała ciąży?

– W porządku. Kiedy moja żona została zmuszona do rezygnacji z posady, zostałem jedynym żywicielem rodziny. Spędzałem po dziewięć, dziesięć godzin w pracy, która nie przynosiła mi satysfakcji, jednocześnie usiłując realizować ambicje pisarskie, jakie żywiłem od dawna. Do tego wszystkiego musiałem sobie radzić z rozchwianą psychicznie żoną i jej głęboką depresją...

– Ale mimo to żona sama borykała się z niełatwym zadaniem opieki nad dzieckiem. Nie mieliście w domu niani, prawda, panie Hobbs?

– Nie... ale tylko dlatego, że nasze możliwości finansowe były dość ograniczone.

– Więc pańska żona musiała sobie z tym wszystkim radzić sama. I jak na kogoś w głębokiej depresji radziła sobie całkiem nieźle, zgodzi się pan?

– Prawie dwa miesiące spędziła na oddziale psychiatrycznym.

– Gdzie również pański syn był pod opieką. Dzięki czemu miał pan mnóstwo czasu, by rozwinąć swoją przyjaźń z panią Dexter w coś więcej...

Traynor westchnął z rezygnacją.

– Pani Doherty, proszę się powstrzymać od snucia domysłów.

– Przepraszam, Wysoki Sądzie. Kiedy pańska żona wyszła ze szpitala... a należy podkreślić, że zdając sobie sprawę ze swojego stanu, pozostawała na oddziale psychiatrycznym z własnej woli... więc kiedy wróciła do domu, czy nie wydała się panu spokojniejsza, bardziej zrównowazona?

– Od czasu do czasu, owszem. Ale zdarzały jej się również gwałtowne huśtawki nastrojów.

– Co jest normalne u osoby chorej na depresję.

– Jej stan nadal mocno mnie niepokoił.

– Choć nie wydarzył się żaden konkretny incydent, kiedy życie dziecka narażone byłoby na niebezpieczeństwo?

– Według pani nakarmienie dziecka piersią po zażyciu dużej dawki środków uspokajających to nie jest narażanie go na niebezpieczeństwo?

– Panie Hobbs – powiedział sędzia – to nie pan tu zadaje pytania.

– Mimo to odpowiem, Wysoki Sądzie. Choć prawdą jest, że pański syn trafił po tym incydencie do szpitala, nikt nie ma też wątpliwości, że pańska żona naraziła go na to niechcący. Popełniła błąd wynikający z depresji i z przedłużającej się bezsenności. I popełniła go, kiedy pan odsypiał swoje osiem godzin na sofie w gabinecie.

Maeve zrobiła pauzę dla lepszego efektu. Kiedy znów się odezwała, jej głos stracił twardość stali; znów była złowroźbnie uprzejma.

– Jedno proste pytanie, panie Hobbs: czy po wyjściu ze szpitala pani Goodchild zrobiła cokolwiek, co pozwoliłoby panu sądzić, że życie dziecka jest w niebezpieczeństwie?

– Jak już mówiłem wcześniej, cierpiała na gwałtowne wahania nastrojów i obawiałem się, że może stracić kontrolę nad sobą.

– Ale nie straciła kontroli?

– Nie, ale...

– A wracając do jej wcześniejszych wybuchów... czy pan nigdy nie powiedział czegoś głupiego w gniewie, cierpiąc na szok pooperacyjny i kliniczny przypadek depresji?

– Nigdy nie doświadczyłem żadnego z tych stanów.

– Szczęściarz z pana. Więc nigdy nie zdarzyło się panu mówić w gniewie dziwnych rzeczy?

– Oczywiście, że tak. Ale nigdy nie groziłem śmiercią dziecku.

– Wróćmy do pańskiej książki...

Ten nagły odwrót od tematu mocno mnie zaniepokoił. Było oczywiste, że Maeve straciła punkt i próbowała zatrzeć ślady, przechodząc jak najszybciej do dalszych pytań.

– O ile wiem, dostał pan zaliczkę za swoją książkę?

Tony był najwyraźniej zaskoczony, że o tym wiedziała.

– Tak, niedawno podpisałem umowę z wydawcą.

– Niedawno, to znaczy cztery miesiące temu?

– Tak.

– A do tego momentu z czego czerpał pan dochody?

– Miałem bardzo niewielkie dochody.

– Za to miał pan panią Dexter...

– Kiedy pani Dexter... Dianę... dowiedziała się, że Jack jest w niebezpieczeństwie, zaoferowała się, że przyjmie nas pod swój dach. A gdy zdecydowałem się poświęcić Jackowi cały swój czas, zaproponowała, że weźmie na siebie nasze bieżące wydatki.

– Mówi pan, że poświęca Jackowi cały swój czas. Ale czy nie usłyszeliśmy tu, że pani Dexter zatrudniła dla Jacka nianię?

– Cóż, potrzebuję czasu, by pracować nad książką.

– Mówił pan, że to niania na pełny etat. Przez ile godzin dziennie pan pisze?

– Cztery do pięciu.

– A co robi niania przez resztę czasu?

– Zajmuje się innymi obowiązkami, związanymi z opieką nad dzieckiem.

– Tak więc oprócz czterech, pięciu godzin pisania, jest pan ze swoim synem.

– Tak.

– Więc właściwie nie odszedł pan z „Chronicie”, by zajmować się synem przez cały czas. Odszedł pan z pracy, by móc pisać swoją powieść. A pani Dexter była akurat pod ręką, by sponsorować pańskie ambicje. Pozwoli pan, że zapytam o tę zaliczkę. Dwadzieścia tysięcy funtów, jeśli się nie mylę?

I znów Tony zdumiał się, że zna tę sumę.

– Zgadza się.

– Nie jest to zawrotna kwota... mniej więcej średnia przy pierwszej książce. O ile się nie mylę, pani Dexter zatrudniła pomoc z firmy Nianie Ani, mieszczącej się na waszej ulicy, w Battersea.

– Zdaje mi się, że tak. Chyba tak się nazywa ta firma.

– Zdaje się panu? Przecież tak oddany ojciec jak pan musiał brać udział w podejmowaniu tej decyzji. Sprawdziłam ceny w firmie i wiem, że roczny koszt brutto wynajęcia niani na pełny etat to mniej więcej dwadzieścia tysięcy funtów. A to oznacza, że pańska zaliczka pokrywa koszt opieki nad synem, ale nie starcza na nic poza tym. Całą resztę wzięła na siebie pani Dexter, tak?

Tony spojrział na Lucindę Fforde, czekając na jakąś wskazówkę. Kiwnęła głową, że musi odpowiedzieć.

– Cóż... faktycznie Dianę pokrywa wszystkie koszty utrzymania.

– Ale to pan kupił żonie bilet lotniczy do Stanów, kiedy musiała nagle wyjechać na pogrzeb szwagra.

– Byłego szwagra.

– Faktycznie. Pańska żona wyjechała, by pocieszyć swoją siostrę, zgadza się?

– Tak, to prawda.

– Czy namawiał ją pan na ten wyjazd?

– Powiedziałem, że siostra jej potrzebuje.

– Czy pan ją namawiał, panie Hobbs?

– Jak już mówiłem, była to ważna sprawa rodzinna i uważałem, że Sally powinna jechać.

– Mimo iż martwiła się bardzo, że musi zostawić synka na kilka dni?

– Mieliliśmy opiekunkę... naszą gosposię.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie. Czy martwiła się, zostawiając syna na tak długo?

Kolejne nerwowe spojrzenie na Lucindę Fforde.

– Tak, martwiła się.

– Ale pan ją zachęcał do wyjazdu. Kupił jej pan bilet. A kiedy była za granicą, poszedł pan do sądu i uzyskał wyrok ex parte, przyznający panu tymczasowo wyłączne prawo do opieki nad synem. Czy wymieniam te wydarzenia we właściwej kolejności, panie Hobbs?

Tony zrobił mocno niepewną minę.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie – powiedział Traynor.

– Tak – powiedział Tony cicho. – To właściwa kolejność.

– Jeszcze jedno pytanie. Czy kupił pan żonie bilet klasy premium economy?

– Nie pamiętam.

– Naprawdę? Bo mam tu ten bilet i jest to droższy bilet klasy premium economy. Nie pamięta pan, że kupił pan żonie droższy bilet, by podróżowała wygodniej?

– Mój agent zajmował się szczegółami.

– Ale przecież musiał go pan poinstruować, jaką klasą ma podróżować pańska żona? Różnica między biletem klasy economy i premium economy to ponad trzysta funtów.

– Możliwe, że zaproponował mi bilet premium economy jako opcję.

– A pan chciał, żeby wygodnie leciała do Bostonu i zaakceptował pan ten dodatkowy wydatek?

– Tak.

– I wyprawivszy ją klasą premium economy do Stanów, poszedł pan do sądu i uzyskał wyrok, skutecznie separujący ją od dziecka...?

Lucinda Fforde wstała z miejsca. Ale zanim zdążyła się odezwać, Maeve rzuciła:

– Nie mam więcej pytań.

Tony nie wyglądał na zadowolonego. Choć udało mu się odeprzeć kilka ataków, najbardziej na świecie nie cierpiał, gdy ktoś wodził go za nos. A według mnie Maeve udało się to całkiem dobrze.

– Strona powoda ma jakieś pytania? – zapytał Traynor swoim lekko znudzonym tonem.

– Tak, Wysoki Sądzie – odparła Lucinda Fforde. – Mam tylko jedno pytanie, panie Hobbs. Proszę nam jeszcze raz przypomnieć, dlaczego uznał pan za konieczne uzyskanie w trybie natychmiastowym wyroku przyznającego panu prawo do wyłącznej opieki.

– Bo obawiałem się, że moja żona znów może mieć napad złego nastroju i spełnić swoją groźbę, że zabije syna.

Splotłam mocno palce, zmuszając się, by siedzieć cicho. Nie mogłam nie podziwiać genialnej taktyki Lucindy Fforde: po całym zamieszaniu związanym z wystąpieniem Maeve wracała do jednego, kluczowego zagadnienia i podważała wszystkie inne poruszone kwestie, odzyskując stracone punkty przez powtórzenie jednego wierutnego, pieprzonego kłamstwa.

Tony dostał pozwolenie, by opuścić miejsce dla świadków i wrócił na swoją ławkę obok Dexter, która uściskała go mocno i szepnęła mu coś do ucha, ale szybko wstała, gdyż

teraz ona została poproszona o złożenie zeznania.

Robiła duże wrażenie, stojąc przy barierce. Wyprostowana, pewna siebie, o niemal królewskiej postawie. Dobrze rozumiałam, co Tony w niej widział. Miała klasę, do której Tony'ego zawsze ciągnęło. Wiedziałam też, że od pierwszego rzutu oka na jej portfel akcji – i na wystrój wnętrza jej domów – zorientował się, że trafiła mu się świetna zdobycz. A ona – kobieta, która niedawno przekroczyła pięćdziesiątkę – na pewno doceniła jego zawodowe osiągnięcia, obycie w świecie, błyskotliwy dowcip i wykorzystała jego pragnienie wyrwania się z pułapki domu i biura. No i był jeszcze jeden drobiazg: mógł wnieść w posagu dziecko...

Kiedy Lucinda Fforde krok po kroku przeprowadzała ją przez zeznanie, stało się jasne, jakimi kartami zamierza grać. Czuła, że zakochuje się w swoim starym przyjacielu, ale wiedziała, że nie może rozbijać jego małżeństwa (szczególnie że na świat przyszło dziecko). Ale potem okazało się, że jego żona przechodzi „psychiczny kryzys”, Tony bardzo się bał o bezpieczeństwo Jacka, ona zaoferowała mu pokój w swoim domu, jedno pociągnęło za sobą drugie i...

– Muszę podkreślić – powiedziała – że nie było to żadne gwałtowne zauroczenie. Myślę, że mogę mówić za nas oboje, kiedy powiem, że żywiliśmy do siebie podobne uczucia już od wielu lat. Tyle że do tej pory nie mieliśmy okazji, by je rozwinąć.

Potem Lucinda Fforde wypytała ją o macierzyńskie uczucia, które pani Dexter odkryła w sobie: jak mocno czuje się związana z Jackiem, jak bardzo pragnie jego szczęścia i jak dużo czasu mu poświęca kosztem swojej pracy.

– To chyba główny powód, dla którego postanowiłam przenieść się na kilka lat do Sydney. Moja firma otwiera tam nową filię. Mogłabym powierzyć zadanie organizacji tego oddziału któremuś z moich kolegów. Ale czułam, że dobrze będzie na jakiś czas uciec od londyńskiego wyścigu szczurów i dać Jackowi szansę wychowywania się w Sydney.

Miała również zamiar tak dopasować swój grafik, by móc spędzać z nim jak najwięcej czasu. Potem zaczęła opisywać dom, który wynajęła w Point Piper – tuż nad wodą, w pobliżu najlepszych szkół, do których pośle Jacka, gdy nadejdzie pora. Kiedy ciągnęła tę gadkę agenta z biura nieruchomości, ja splatałam palce coraz mocniej, by nie stracić nad sobą panowania. Bo miałam ochotę powiedzieć, jaka z niej kłamliwa dziwka.

W końcu dowiedzieliśmy się, co ma do powiedzenia na mój temat.

– Nigdy nie poznałam Sally Goodchild. I z całą pewnością nie mam nic przeciwko niej. Wręcz przeciwnie, głęboko mi jej żal i mogę sobie tylko wyobrazić, jakim koszmarem musiały być dla niej ostatnie miesiące. Jestem pewna, że żałuje swoich czynów. I Bóg mi świadkiem, wierzę, że każdy może się zrehabilitować i że ludzie powinni sobie wybaczać. Dlatego nigdy nie przyszłoby mi do głowy separować jej od Jacka i będę się bardzo cieszyć, jeśli w przyszłości dojdziemy do porozumienia w sprawie jej wizyt.

Kiedy to powiedziała, mnie stanęła przed oczami wizja samej siebie: nieprzytomna po dwudziestu sześciu godzinach lotu na antypody zatrzymuję się w jakimś zapchlonym hoteliku, po czym jadę autobusem do pałacu nad morzem, by spotkać się z chłopcem, który

z australijskim akcentem mówi:

„Mamo, ale ja nie chcę z nią być cały dzień”.

Dianę Dexter skończyła pogawędkę z Lucindą Fforde, oświadczając:

– Mam nadzieję, że pani Goodchild całkowicie dojdzie do siebie... i że kiedyś w przyszłości może się nawet zaprzyjaźnimy.

Jasne. Nawet ci powiem kiedy. Na świętego Nigdy.

Maeve Doherty wstała z miejsca i uśmiechnęła się spokojnie do kobiety na podwyższeniu.

– Pani ma już za sobą dwa małżeństwa, prawda, pani Dexter?

Nie spodobało jej się to pytanie, i było to widać.

– Tak.

– A czy próbowała pani zajść w ciążę w czasie ich trwania?

– Tak, oczywiście, że próbowałam.

– I poroniła pani, zdaje się, w 1990 roku?

– Tak, poroniłam. I wiem, jak będzie brzmiało następne pytanie, więc odpowiem, że...

Przerwał jej Traynor.

– Ale najpierw musi pani pozwolić pani Doherty zadać to pytanie.

– Przepraszam, Wysoki Sądzie.

– Ale ja chętnie wysłucham, jakież to pytanie chciałam pani zadać – powiedziała Maeve.

Dexter spojrzała na nią lodowatym, wściekłym wzrokiem.

– Czy poroniłam wskutek nadużywania narkotyków. A moja odpowiedź brzmi: tak. Nadużywałam w tym czasie kokainy, co spowodowało poronienie. Po tej tragedii poszukałam dla siebie profesjonalnej pomocy. Spędziłam dwa miesiące w klinice Priory. Od tamtej pory nie nadużywałam ani nie używałam narkotyków. Bardzo rzadko zdarza mi się wypić kieliszek wina do kolacji. A moja działalność charytatywna w szkolnych programach zapobiegania narkomanii jest powszechnie znana.

– Czy w 1992 i 1993 roku próbowała pani zapłodnienia in vitro i czy próby zakończyły się fiaskiem?

I znów Dexter była wyraźnie zaskoczona ujawnieniem tych faktów.

– Nie wiem, jak pani zdobyła te informacje, ale to prawda.

– Prawdą jest również, że specjalista z Harley Street, do którego chodziła pani w tym czasie, powiedział, że nie ma pani szans na ponowne zajście w ciążę?

Dexter spuściła oczy.

– Rzeczywiście, tak powiedział.

– A potem próbowała pani adopcji w... kiedy to było?... w 1996, ale nie kwalifikowała się pani ze względu na wiek i stan cywilny, tak?

– Tak – szepnęła ledwo dosłyszalnie.

– Aż w końcu w pani życiu ponownie pojawił się Tony Hobbs, który wrócił do Londynu i któremu właśnie urodziło się dziecko, a do tego jego żona zapadła na ciężką, poporodową depresję...

Dexter spojrzała na Maeve z ledwie hamowaną furią.

– Jak już wyjaśniłam wcześniej...

– Proszę mi powiedzieć, pani Dexter: gdyby znajomy natknął się na panią na ulicy, zobaczył Jacka w wózku i zapytał: „Czy to pani dziecko?”, co by pani odpowiedziała?

– Powiedziałabym: tak, jestem jego matką.

Maeve założyła ręce na piersi i nie powiedziała nic, pozwalając, by ostatnie zdanie zapadło w umysły obecnych. Zapanowała cisza. Cisza, którą przerwał sędzia.

– Ale pani nie jest jego matką, pani Dexter.

– Oczywiście, że nie jestem jego biologiczną matką. Ale występuję w roli matki zastępczej.

Sędzia spojrzał na nią znad półokrągłych okularów i przemówił tym swoim znużonym głosem:

– Nie, nie występuje pani. Bo prawo nie zdecydowało jeszcze, czy przyzna pani taką rolę. Dziecko, o którym tu mowa, ma matkę i ojca. Tak się składa, że pani żyje z jego ojcem. Ale to nie daje pani prawa, by twierdzić, że jest pani matką, zastępczą czy nie zastępczą. Jeszcze jakieś pytania, pani Doherty?

– Nie, Wysoki Sądzie.

– Pani Fforde?

Lucinda Fforde była mocno zaniepokojona.

– Nie, Wysoki Sądzie – odparła.

– W takim razie wznowimy rozprawę po dziesięciominutowej przerwie.

Kiedy sędzia wyszedł z sali, Maeve usiadła obok mnie i Nigela.

– No, to było całkiem niezłe – powiedziała.

– Dlaczego sędzia tak na nią naskoczył? – zapytałam.

– Bo jeszcze bardziej niż obrońców podważających raporty CAFCASS, nie cierpi nowych partnerów rozwodzących się stron, którzy nazywają siebie rodzicami. Takie zachowanie jest absolutnie wbrew jego poczuciu przyzwoitości czy rodzinnej fair play, i zawsze wścieka się na każdego, kto próbuje zagrać tą kartą.

– I dlatego ją pani w to wmanewrowała?

– Dlatego.

Sandy przyłączyła się do nas.

– Była pani genialna – powiedziała do Maeve. – Naprawdę dołożyła pani tej wrednej małej...

– Starczy, Sandy – przerwałam jej.

– Przepraszam. Zachowuję się dzisiaj, jakbym miała zespół Tourette’a.

– Lepiej sobie przypomnij, co jadłaś w samolocie – zażartowałam.

Maeve zwróciła się do Nigela.

– Hobbs wbił mi jednego gola, nie sądzisz?

– Myślę, że... hm... spisałaś się całkiem niezłe, biorąc pod uwagę...

– Że zdobył punkt stwierdzeniem, że nigdy nie groził życiu dziecka.

– Nie sądzę, żeby wyrządziło nam to wielką szkodę – odparł Nigel. – Szczególnie po tym, co zrobiłaś z panią Dexter.

– A co teraz? – zapytałam.

– Ja... hm... myślę, że na dziś to już wszyscy świadkowie. Zakładam, że sędzia wznowi rozprawę tylko po to, by ją formalnie zakończyć i powiedzieć nam wszystkim, żebyśmy przyszli jutro o dziesiątej.

Ale kiedy sędzia wrócił, Lucinda Fforde miała dla nas małą niespodziankę.

– Wysoki Sądzie, chcielibyśmy powołać jeszcze jednego świadka.

Traynor nie wyglądał na zadowolonego – pewnie wyobrażał sobie, że za godzinę będzie

już w domu.

– A dlaczegoż to zgłasza pani tego świadka w ostatniej chwili?

– Bo mieszka w Stanach Zjednoczonych, a konkretnie w Bostonie...

Odwróciłam się i spojrzałam na Sandy, zastanawiając się, czy nie ma przypadkiem pojęcia, kogo zamierzają powołać. Ale pokręciła głową, równie zdenerwowana, jak ja.

– .. i udało nam się uzyskać jego zeznanie dopiero przedwczoraj. A przyleciał dziś w nocy. Przepraszam Wysoki Sąd, że tak późno z tym występuję, ale zeznanie tego świadka jest kluczowe dla sprawy i...

– Czy mogę zobaczyć to zeznanie? – zapytał sędzia, przerywając jej w pół zdania. – I proszę dać kopię pani Doherty.

Lucinda Fforde podała zeznania Traynorowi i Maeve. Moja obrończyni przebiegła tekst oczami i zeszytniała. Wcale nie wyglądała na zadowoloną. Sędzia uniósł wzrok znad swojej kopii i zapytał:

– A czy pan... – jeszcze raz zerknął na dokument – .. pan Grant Ogilvy jest tu teraz?

Grant Ogilvy. Skądś znałam to nazwisko.

– Tak, Wysoki Sądzie – odparła Lucinda Fforde. – Może zeznawać w tej chwili.

– Co pani na to, pani Doherty? Może się pani temu sprzeciwić, jeśli pani zechce... a ja będę zmuszony panią poprzeć.

Obserwowałam Maeve – i widziałam, że myśli błyskawicznie. W końcu powiedziała:

– Za pozwoleniem Wysokiego Sądu, chciałabym prosić o pięć minut na naradę z klientką, zanim podejmiemy decyzję.

– Ma pani pięć minut, pani Doherty. Sąd zarządza przerwę.

Maeve skinęła na mnie i Nigela, byśmy wyszli za nią na zewnątrz. Odeszliśmy parę kroków od drzwi, by się naradzić.

– Chodziła pani kiedykolwiek do psychoterapeuty o nazwisku Grant Ogilvy? – zapytała cicho Maeve.

Zakryłam usta dłonią. To on? Znaleźli go?

Nagle zrobiło mi się niedobrze. Teraz byłam już pewna, że stracę Jacka.

– Pani Goodchild – powiedział Nigel zatroskanym tonem. – Dobrze się pani czuje?

Pokręciłam głową i usiadłam na ławce.

– Mogę przeczytać, co im powiedział? – poprosiłam.

– Byle szybko – odparła Maeve. – Bo za jakieś cztery minuty musimy podjąć decyzję.

Przeczytałam zeznanie. To było dokładnie to, czego się spodziewałam.

Podalam kopię Nigelowi, który uniósł okulary i spojrzał na papier tak, jakby był przejrzysty.

– Hm... czy w takich sprawach nie obowiązuje coś w rodzaju tajemnicy lekarskiej? – zapytał.

– Owszem, obowiązuje – stwierdziła Maeve. – Chyba że, tak jak w tym przypadku, chodzi o ochronę dziecka. Wtedy tajemnica lekarska może zostać złamana. Ale jeśli to zakwestionujemy, wstrzymamy sprawę na wiele tygodni, a przy okazji rozzłościmy Traynora. Z tego, co tu widzę, to wszystko działo się tak dawno, że nie sędzę, aby Traynor potraktował to jako znaczący dowód, dyskredytujący panią. Nigel, widzę, że masz wątpliwości.

– Szczerze... hm... szczerze mówiąc, to dość ryzykowne. I przykro mi to mówić, pani Goodchild, ale faktycznie może to wzbudzić wątpliwości co do pani charakteru. Choć jeśli chodzi o mnie, nie zmienia to w żaden sposób mojego zdania o pani.

– Problem polega na tym – powiedziała Maeve – że jutro my chcemy im zrobić dwie takie niespodzianki. Powoływanie świadków w ostatniej chwili zawsze jest niepewnym manewrem, ale Traynor chętniej się na to zgodzi, jeśli my pozwolimy im powołać tego świadka. To ryzyko, ale uważam, że warto je podjąć, bo nasi świadkowie będą mieli dla sprawy o wiele większe znaczenie niż ten terapeuta. Ale ostatecznie to pani podejmuje decyzję, Sally. I obawiam się, że musi ją pani podjąć natychmiast.

Wzięłam głęboki oddech. Wypuściłam powietrze.

– Dobrze. Niech zeznaje.

– Słuszna decyzja – powiedziała Maeve. – A teraz ma pani dokładnie trzy minuty, żeby mi szczegółowo opowiedzieć, co się wtedy stało.

Kiedy wróciliśmy na salę, Maeve przekazała naszą decyzję sędziemu.

– By niepotrzebnie nie przedłużać rozprawy, zgadzamy się na powołanie tego świadka.

– W porządku – odparł Traynor. – Proszę wezwać pana Ogilvy’ego.

Kiedy wszedł, pomyślałam: minęło piętnaście lat, a on prawie się nie zmienił. Był już grubo po pięćdziesiątkę. Przybyło mu parę kilo w talii, był trochę bardziej siwy, ale wciąż nosił taki sam brązowy, gabardynowy garnitur, w jakim paradował w osiemdziesiątym ósmym roku, taką samą niebieską koszulę z przypinanym kołnierzykiem i taki sam prążkowany krawat.

Takie same okulary w rogowych oprawkach i brązowe mokasyny. Idąc na miejsce dla

świadków, patrzył nad głowami zebranych, jakby nie chciał mnie widzieć. Ale kiedy stanął na podwyższeniu, spojrzałam mu prosto w oczy. Odwrócił wzrok i skupił całą uwagę na Lucindzie Fforde.

– Panie Ogilvy – zaczęła. – W pańskim zeznaniu czytamy, że praktykuje pan jako psychoterapeuta w Bostonie od dwudziestu pięciu lat.

– Tak.

– Pani Goodchild zgłosiła się do pana na terapię po śmierci rodziców w wypadku samochodowym w 1988 roku, tak?

Potwierdził.

– Więc proszę nam opowiedzieć, co pani Goodchild wyjawiała panu podczas jednej z sesji terapeutycznych.

Przez następne pięć minut opowiadał tę samą historię, którą ja tak niedawno opowiedziałam Julii. Nie próbował niczego upiększać ani wyolbrzymiać. Było to po prostu rzeczowe, dokładne sprawozdanie z tego, co ode mnie usłyszał. A ja, wbijając w niego wzrok, myślałam: zdradziłeś nie tylko mnie. Zdradziłeś też sam siebie.

Kiedy skończył, Lucinda Fforde spojrzała na mnie i powiedziała:

– Więc, mówiąc krótko, pani Goodchild podała ojcu kieliszek wina, przez który przekroczył dopuszczalny limit i spowodował wypadek samochodowy...

– Zgłaszam sprzeciw, Wysoki Sądzie – wtrąciła się Maeve, wyraźnie rozgniewana. – Pani mecenas nie tylko snuje domysły, ale wręcz opowiada bajki.

– Podtrzymuję. Proszę inaczej sformułować pytanie, pani Fforde.

– Z przyjemnością, Wysoki Sądzie. Choć pan Goodchild poinformował córkę, że nie powinien więcej pić, ona podała mu kieliszek wina. Zgadza się?

– Tak jest.

– A później, tego samego wieczoru, pan Goodchild doprowadził do zderzenia z drugim samochodem, zabijając siebie, swoją żonę, młodą kobietę i jej czternastomiesięcznego syna, tak?

– Tak jest.

– Czy pani Goodchild podzieliła się tą informacją z kimkolwiek innym?

– O ile mi wiadomo, nie.

– Nawet z siostrą, swoją jedyną krewną?

– Nie, chyba że zrobiła to w ciągu następnych dwudziestu lat. W owym czasie jednym

z przewodnich tematów naszych rozmów była właśnie niemożność wyznania tego faktu siostrze. Nie była w stanie powiedzieć o tym nikomu.

Nagle, gdzieś z tyłu, usłyszałam stłumiony szloch. Sandy wstała i wybiegła z sali. Kiedy tylko znalazła się na zewnątrz, jej płacz rozległ się głośnym echem na korytarzu. Zaczęłam się podnosić, zamierzając za nią pójść, ale wtedy Nigel Clapp zrobił coś bardzo nie „clappowskiego”. Złapał mnie mocno za rękę i szepnął pośpiesznie:

– Nie wolno pani wyjść.

Lucinda Fforde kontynuowała przesłuchanie.

– Jakiej rady udzielił pan pani Goodchild jako terapeuta?

– Powiedziałem, że powinna zwierzyć się z tego wszystkiego swojej siostrze.

Lucinda Fforde odwróciła się i spojrzała na drzwi sali.

– Czy to nie siostra pani Goodchild wybiegła przed chwilą?

Po czym, odczekawszy odpowiednio długą chwilę, by dodać sytuacji dramatyzmu, powiedziała:

– Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

Maeve Doherty wstała ze swego miejsca i przez dobre trzydzieści sekund po prostu wpatrywała się w świadka. Grant Ogilvy próbował wytrzymać jej pełne pogardy spojrzenie, ale w końcu odwrócił oczy. Sędzia Traynor odchrząknął.

– Nie zatrzymam pana długo, panie Ogilvy – powiedziała Maeve. – Bo naprawdę nie chcę marnować czasu na rozmowę z panem.

Ona też zrobiła dramatyczną pauzę, zanim zadała pierwsze pytanie.

– Ile lat miała pani Goodchild, kiedy zgłosiła się do pana po poradę?

– Dwadzieścia jeden.

– Ile lat miał jej ojciec, kiedy zginął?

– Około pięćdziesięciu, jak sądzę.

– Pani Goodchild podała mu kieliszek na tym przyjęciu?

– Tak.

– On odmówił.

– Tak.

– Ona powiedziała: „Nie bądź wapniakiem”. A on wypił wino. Zgadza się?

– Tak.

– I pan uważa, że przez to ponosi odpowiedzialność za fatalny wypadek, który wydarzył się kilka godzin później?

– Nigdy nie proszono mnie o stwierdzenie, czy była winna, czy nie.

– Ale ściągnięto pana tutaj z drugiej strony Atlantyku, by zakwestionować jej charakter, tak?

– Ściągnięto mnie tutaj, bym zrelacjonował, co od niej usłyszałem.

– Kiedy była pańską pacjentką?

– Tak.

– Czy w Stanach Zjednoczonych nie obowiązuje tajemnica lekarska?

– Ja nie jestem lekarzem. Jestem psychoterapeutą. Owszem, istnieje prawo zakazujące wyjawiania takiej tajemnicy, ale głównie dotyczy to spraw kryminalnych.

– Skoro pani Goodchild nie rozmawiała o tym z nikim innym, to w jaki sposób ludzie pana Hobbsa dowiedzieli się o tym po tych wszystkich latach i dlaczego zgodził się pan tu przyjechać?

– Bo poproszono mnie o złożenie zeznań.

– A ile panu zapłacono za pańską fatygę?

– Wysoki Sądzie, robię to niechętnie, ale muszę zaprotestować – wtrąciła Lucinda Fforde. – Tego rodzaju insynuacje są nie na miejscu.

– O, słowo daję – syknęła Maeve. – Przecież to oczywiste, że nie przyjechał tu z altruistycznych powodów...

– Tracimy czas, pani Doherty – powiedział Traynor. – Czy ta linia przesłuchania ma nam jeszcze coś wyjaśnić?

– Nie mam więcej pytań do tego... dżentelmena.

Traynor wydał głośne westchnienie ulgi. Mógł już iść do domu.

– Świadek jest wolny. Odraczam rozprawę do jutra, do dziesiątej rano.

Kiedy Traynor wyszedł, zerwałam się z miejsca i wybiegłam na korytarz, by poszukać Sandy. Znalazłam ją na ławce w korytarzu; oczy miała zaczerwienione, twarz mokrą od łez. Dotknęłam jej ramienia, ale strząsnęła moją dłoń.

– Sandy...

Drzwi otworzyły się i z sali sądowej wyszedł Grant Ogilvy, w towarzystwie prawnika Tony’ego. Sally skoczyła mu do oczu, zanim zdążyłam ją powstrzymać.

– Za dwa dni wracam do Bostonu – wrzasnęła – i postaram się, żeby wszyscy, którzy liczą się w pańskim zawodzie, wiedzieli, co pan tu dzisiaj zrobił! Rozumie pan? Puszczę pana z torbami. Bo to jedyne, na co pan zasługuje.

Strażnik sądowy podbiegł do nas, słysząc podniesiony głos. Ale prawnik Tony’ego odprawił go gestem.

– Już po wszystkim – szepnął i wyciągnął przestraszonego i zdenerwowanego Granta Ogilvy’ego z budynku.

Odwróciłam się do Sandy, ale zostawiła mnie i ruszyła korytarzem. Maeve i Nigel, stojący przy drzwiach sali, spojrzeli za nią.

– Nic jej nie będzie? – zapytała Maeve.

– Po prostu musi się uspokoić. To był dla niej ogromny szok.

– Dla pani też – wtrącił Nigel. – Dobrze się pani czuje?

Zignorowałam jego pytanie.

– Jak pani myśli, bardzo nam zaszkodził? – zapytałam Maeve.

– Prawdę mówiąc, nie wiem – przyznała. – Ale teraz najważniejsze jest, żeby pani porozmawiała z siostrą, postarała się nie denerwować, a przede wszystkim porządnie się wyspała. Jutro czeka nas bardzo długi dzień.

Zauważyłam, że Nigel zabrał z sali walizkę Sandy.

– Zostawiła to – powiedział. – Mogę jakoś pomóc?

Pokręciłam głową. Nigel nieporadnie dotknął mojego ramienia.

– Pani Goodchild... Sally... to, co pani przed chwilą przeszła, było całkiem nie fair.

Po czym, niemal przestraszony własną wylewnością, kiwnął mi głową na pożegnanie.

Kiedy ruszyłam na poszukiwanie Sandy, zdałam sobie nagle sprawę, że Nigel Clapp po raz pierwszy zwrócił się do mnie po imieniu.

Sandy czekała przed budynkiem sądu, oparta o kolumnę.

– Weźmy taksówkę – powiedziałam.

– Jak chcesz.

W drodze do Putney nie odezwała się do mnie ani słowem. Oparła się o drzwiczki, wykończona, zgaszona – jeszcze z dzieciństwa znałam te jej ponure napady milczenia. I wcale się jej nie dziwiłam. Wiedziałam, że w jej oczach była to zdrada. I miała rację. A ja nie umiałam naprawić – czy choćby spróbować naprawić – tego największego błędu w moim życiu.

Znałam ją jednak na tyle dobrze, by wiedzieć, że w tej chwili najlepiej pozwolić jej przetrwać gniew, poczekać, aż sam się wypali. Więc i ja nic nie mówiłam. Gdy dotarliśmy do domu, przygotowałam jej łóżko dla gości, pokazałam, gdzie jest łazienka, i poinformowałam, że w lodówce jest mnóstwo „mikrofalowego” jedzenia. Ale gdyby chciała zjeść ze mną...

– Chcę się tylko wykapać, coś przekąsić i iść spać. Pogadamy jutro.

– W takim razie ja idę na spacer.

A naprawdę miałam ochotę zajrzeć do Julii, poprosić, by naląła mi kieliszek wódki i pozwoliła się wyrzucić na ramieniu. Już zamierzałam wyjść z domu, gdy na wycieracze pod drzwiami zobaczyłam kartkę. Był to liścik od Julii.

Strasznie chciałabym wiedzieć, jak dziś poszło, ale wypadła mi w ostatniej chwili redakcyjna kolacja. Powinnam być w domu o jedenastej. Jeśli się jeszcze nie położysz i będziesz miała ochotę na towarzystwo, zapukaj do mnie.

Mam nadzieję, że jakoś to przetrwałaś.

Całuję, Julia Boże, jak ja potrzebowałam rozmowy – z nią... z kimkolwiek. Na pocieszenie został mi jednak tylko spacer brzegiem rzeki. Kiedy wróciłam, zauważyłam, że Sandy faktycznie zjadła kurczaka a la Madras i poszła wcześniej do łóżka, żeby odespać zmęczenie i gniew.

Bez apetytu poskubałam spaghetti alla carbonara z mikrofalówki. Pogapiłam się w telewizor. Zrobiłam sobie kąpiel. Zażyłam odpowiednią dawkę leków i pigułek nasennych. Położyłam się do łóżka. Chemia niewiele jednak pomogła, bo spałam tylko pięć godzin. Kiedy się obudziłam, na zegarku była czwarta trzydzieści – a mną targał lęk. Strach przed moim dzisiejszym zeznaniem. Przerażenie wczorajszym incydentem z Sandy, wpływem, jaki na decyzję sędziego mogło mieć zeznanie Granta Ogilvy’ego. A przede wszystkim byłam przerażona tym, że dziś na pewno stracę Jacka na zawsze.

Zesłam do kuchni, by zaparzyć sobie ziołowej herbaty. Przechodząc koło salonu, zauważyłam, że pali się światło. Sandy leżała wyciągnięta na kanapie; nie spała, pogrążona w rozmyślaniach.

– Hej – powiedziałam. – Zrobić ci coś?

– Wiesz, co mnie naprawdę dobija? – zapytała. – Nie to, że dałaś tacie tego ostatniego drinka. Nie. Najbardziej wkurza mnie to, że nie potrafiłaś mi o tym powiedzieć.

– Chciałam, ale...

– Wiem, wiem. I rozumiem wszystkie twoje opory. Ale dusić to w sobie przez te wszystkie lata... Jezu Chryste, Sally... myślałaś, że nie zrozumieć?

Naprawdę tak myślałaś?

– Po prostu nie byłam w stanie się przyznać...

– Do czego? Że przez piętnaście lat chodziłaś z poczuciem winy bez powodu? Ja bym ci tę winę wybiła z głowy w minutę. Ale nie dałaś mi szansy.

Wybrałaś życie z wyrzutami sumienia, i właśnie to mnie tak rozwala.

– Masz rację.

– Wiem, że mam rację. Może jestem małą, grubą pańcią z przedmieścia...

– I któż tu ma autodestrukcyjne skłonności?

Zaśmiała się ponuro.

– Nie wiem, jak ty, aleja zawsze nienawidziłam swojego nazwiska. Goodchild. Strasznie ciężko temu sprostać.

Wstała ciężko z kanapy.

– Spróbuję się jeszcze przespać ze dwie godziny.

– Dobry pomysł.

Ale nie mogłam spać. Zająłam miejsce Sandy na kanapie i zapatrzyłam się na puste palenisko kominka, usiłując zrozumieć, dlaczego nie potrafiłam jej tego powiedzieć, dlaczego nie poszukałam u niej rozgrzeszenia, którego tak pragnęłam. I dlaczego każde dziecko chce być grzeczne i dobre i nigdy tak naprawdę nie potrafi sprostać oczekiwaniom innych – nie mówiąc już o swoich własnych.

Po godzinie czy dwóch jednak się zdrzemnęłam, obudziła mnie Sandy z kubkiem kawy w ręce.

– Już ósma. Pani zamawiała budzenie.

Wypiłam kawę w kilku łykach. Wzięłam szybki prysznic. Założyłam kostium. Podreperowałam trochę twarz za pomocą fluidu i różu. Piętnaście po dziewiątej siedziałyśmy już w metrze. Był cudownie pogodny, słoneczny dzień.

– Dobrze pani spała? – zapytała Maeve, kiedy siadałyśmy na swoich miejscach po lewej stronie sali.

– Nie narzekam.

– A jak tam pani siostra?

– Chyba trochę lepiej.

W tej chwili pojawił się Nigel w towarzystwie Rose Keating. Rose uściskała mnie.

– Chyba pani nie myślała, że sobie to odpuszczę, co? – powiedziała. – Kto to jest tam, w ostatnim rzędzie?

– Moja siostra.

– Przyjechała aż ze Stanów, żeby panią wpierać? Brawo. Usiądę razem z nią.

– A jak tam nasi świadkowie-niespodzianki? – zapytała Maeve.

– Będą po południu, zgodnie z umową – odparła Rose.

– Wiedzą, jak trafić do Sądu Najwyższego?

– Wszystko załatwione. Nigel wyjdzie po jedną z nich na Paddington w przerwie na lunch, a ja jadę na Victoria Station po drugą.

Zjawił się Tony z obstawą. Jego ekipa prawnicza wymieniła z moją zwyczajowe ukłony; ich klient i jego flama unikali mojego spojrzenia, podobnie jak wczoraj. Zresztą ja też nie miałam ochoty patrzeć na żadne z nich.

W końcu woźny sądowy poprosił nas o powstanie.

Do sali wszedł sędzia Traynor, przywitał nas krótkim „dzień dobry” i ogłosił wznowienie rozprawy.

Teraz Maeve miała zaprezentować nasz punkt widzenia. Powołała więc pierwszego świadka: doktor Rodale.

Moja lekarka nie uśmiechnęła się do mnie nawet z podium dla świadków.

Odnosiłam wrażenie, że rozmyślnie ignoruje moją obecność – być może po to, by jej zeznanie wyglądało bardziej wiarygodnie.

Maeve poprosiła ją o podanie zawodowych kwalifikacji, o potwierdzenie długoletniej współpracy z St Martin’s, faktu, że od ponad dwudziestu lat leczy kobiety z depresją poporodową i napisała na ten temat liczne prace naukowe. W końcu, na prośbę Maeve, doktor Rodale opisała emocjonalną i psychiczną huśtawkę, jaka wiąże się z tą podstępłą chorobą, która atakuje ofiary bez ostrzeżenia; stwierdziła też, że powoduje ona u chorych nietypowe dla nich zachowania, jak miotanie grózb, myśli samobójcze, odmowę jedzenia czy mycia,

gwałtowność i agresję... ale, oczywiście z wyjątkiem nielicznych przypadków, jest całkowicie wyleczalna.

Potem opisała szczegółowo mój przypadek.

Kiedy skończyła, Maeve zapytała ją:

– Czy pani zdaniem pani Goodchild jest w pełni zdolna do podjęcia obowiązków „pełnoetatowej” matki?

Doktor Rodale spojrzała na Tony’ego.

– Moim zdaniem była do tego w pełni zdolna już w momencie, kiedy wypisano ją ze szpitala dziesięć miesięcy temu.

– Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

Wstała Lucinda Fforde.

– Doktor Rodale, ile kobiet cierpiących na depresję poporodową leczyła pani w ciągu dwudziestu pięciu lat swojej pracy zawodowej?

– Około pięciuset, o ile się nie mylę.

– A czy przypomina sobie pani, ile w tej grupie było udokumentowanych przypadków, kiedy matka groziła dziecku śmiercią?

To pytanie wyraźnie nie przypadło doktor Rodale do gustu.

– Co pani ma na myśli, mówiąc: „matka groziła dziecku śmiercią”...?

– Mam na myśli właśnie to: ile z tych matek groziło, że zabije swoje dziecko.

– Cóż... szczerze mówiąc, pamiętam tylko trzy takie udokumentowane przypadki...

– Tylko trzy przypadki, oprócz pani Goodchild, z grupy pięciuset pacjentek. Wygląda na to, że takie groźby zdarzają się bardzo rzadko. W takim razie zapytam: z tych trzech przypadków... a właściwie czterech, wliczając w to panią Goodchild... zatem, ile z tych matek naprawdę posunęło się do morderstwa?

Doktor Rodale zwróciła się do sędziego.

– Wysoki Sądzie, naprawdę uważam, że tego rodzaju pytania...

– Musi pani odpowiedzieć.

Rodale spojrzała w oczy Lucindzie Fforde.

– Tylko jedna z tych kobiet zabiła swoje dziecko.

Na twarz Lucindy Fforde wypłynął triumfalny uśmiezek.

– A zatem skoro jedna z czterech kobiet naprawdę zabiła dziecko, istniało dwadzieścia pięć procent szans, że pani Goodchild posunie się do tego samego.

– Wysoki Sądzie...

Ale zanim Maeve zdążyła dokończyć zdanie, Lucinda Fforde rzuciła:

– Nie mam więcej pytań.

– Pani Doherty, jakieś pytania?

– Oczywiście, Wysoki Sądzie – powiedziała Maeve rozjuszona. – Doktor Rodale, proszę nam opowiedzieć o tej pacjentce, która zabiła dziecko.

– Cierpiała na ostry przypadek schizofrenii i jeden z najcięższych przypadków depresji maniakalnej, jakie zdarzyło mi się leczyć. Przebywała na oddziale zamkniętym, a morderstwo miało miejsce podczas nadzorowanego widzenia z dzieckiem. Kuratorka źle się poczuła i musiała na chwilę opuścić pomieszczenie. Kiedy wróciła, przekonała się, że matka skręciła dziecku kark.

Zapanowała długa cisza.

– Jak rzadkie są takie zachowania, jeśli chodzi o depresje poporodową? – zapytała w końcu Maeve.

– Niezmiernie rzadkie. Jak już mówiłam, to jedyny przypadek na pięćset, z jakimi miałam do czynienia. I podkreślam jeszcze raz, w przeciwieństwie do pozostałych, ta pacjentka już wcześniej była osobą chorą psychicznie.

– Czyli że nie ma żadnego porównania między przypadkiem tej dzieciobójczyni i przypadkiem pani Goodchild?

– Absolutnie żadnego. A każdego, kto usiłowałby wysuwać tego rodzaju porównania, należałoby oskarżyć o najzwyklejsze manipulowanie faktami.

– Dziękuję, pani doktor. Nie mam więcej pytań.

Następna była Clarice Chambers. Ona uśmiechnęła się do mnie z miejsca dla świadków i łagodnie, bez niepotrzebnego przedłużania sprawy wypyтана przez Maeve, opowiedziała, jak silna „więź” łączyła mnie z Jackiem, jaki żal okazywałam podczas pierwszego nadzorowanego spotkania i jak dobry kontakt zdołałam nawiązać z nim podczas naszych cotygodniowych spotkań. Na koniec Maeve zadała jej praktycznie to samo pytanie, co doktor Rodale:

– Była pani jedyną osobą, która przez ostatnie miesiące miała okazję obserwować kontakty pani Goodchild z synem. Czy według pani, z zawodowego punktu widzenia, pani Goodchild jest troskliwą matką?

– Jest czułą, troskliwą matką, do której mam całkowite zaufanie.

– Dziękuję, nie mam więcej pytań.

I znów Lucinda Fforde wykonała swój popisowy numer pod tytułem „mam tylko jedno pytanie”.

– W swojej pracy widuje pani wiele matek, którym prawnie ograniczono kontakt z dziećmi z powodu niepokoju o bezpieczeństwo tych drugich. Czy one wszystkie nie przejawiają żalu w pani obecności?

– Oczywiście że tak. Bo...

– Nie mam więcej pytań.

– Pani Doherty?

– Pani Chambers, czy jest prawdą, że przez te sześć miesięcy często pozwalała pani Sally Goodchild na kontakt z dzieckiem bez nadzoru?

– Tak, to prawda.

– A można spytać, dlaczego?

– Bo jest dla mnie oczywiste, że to normalnie funkcjonująca osoba, która nie przedstawia dla swojego dziecka absolutnie żadnego zagrożenia. Prawdę mówiąc, było to dla mnie oczywiste od samego początku.

– Dziękuję, pani Chambers.

Z kolei miejsce zajęła Jane Sanjay. Wyjaśniła, że była pielęgniarką środowiskową w moim rejonie i odwiedzała mnie kilkakrotnie w domu po urodzeniu Jacka. Stwierdziła, że nie miała żadnych zastrzeżeń co do tego, w jaki sposób wypełniałam matczyne obowiązki.

– Jednak mówimy tu o okresie, zanim w pełni ujawniły się objawy depresji poporodowej, prawda? – zapytała Maeve.

– Tak, to prawda, ale już wtedy pani Goodchild była wyraźnie wyczerpana z powodu bezsenności, stresu pooperacyjnego i nieustannego niepokoju o zdrowie syna. Dodajmy do tego, że nikt nie pomagał jej w opiece nad dzieckiem. Biorąc to wszystko pod uwagę, stwierdzam, że radziła sobie wręcz doskonale.

– Więc nic w jej zachowaniu nie wskazywało, że ma pani do czynienia z kobietą, która nie radzi sobie z codziennymi obowiązkami związanymi z opieką nad noworodkiem?

– Absolutnie nic.

– Wie pani oczywiście, że niechęć nakarmiła syna piersią po zażyciu środka nasenne-go. Czy w pani doświadczeniu zawodowym to rzadki przypadek?

– Wręcz przeciwnie. W samym Wandsworth mamy co najmniej dziesięć takich przypadków rocznie. To bardzo powszechny błąd. Matka nie może spać, więc zażywa środki nasenne. Ma oczywiście zapowiedziane: „Nie wolno karmić piersią po zażyciu leku”. Dziecko budzi ją w środku nocy.

Jest oszołomiona. Karmi dziecko piersią. Owszem, dziecko robi się trochę wiotkie, ale zwyczajnie odsypia swoje i jest po wszystkim. A w przypadku Sally... przepraszam, pani Goodchild... to zdarzenie nie miało moim zdaniem żadnego związku z jej kompetencjami jako matki.

– Nie mam więcej pytań.

Do ataku ruszyła Lucinda Fforde.

– Pani Sanjay, czy incydent ze środkiem nasennym, o którym pani mówi, zdarzył się w okresie, kiedy odwiedzała pani panią Goodchild, czy też później?

– Później. Po tym wypadku na jakiś czas trafiła do szpitala.

– Trafiła na oddział psychiatryczny, co było spowodowane bezpośrednio tym właśnie incydem. Więc jak może pani twierdzić, że to zwyczajna pomyłka, skoro pani przy tym nie było?

– Bo miałam już wcześniej do czynienia z podobnymi przypadkami.

– Ale nie z tym konkretnym przypadkiem...

– Miałam do czynienia z panią Goodchild.

– Jednak przed tym incydem, zgadza się?

Pauza. Jane została zapędzona w kozi róg i wiedziała o tym.

– Tak.

– A co do pani stwierdzenia, że „dziecko robi się trochę wiotkie, ale zwyczajnie odsypia swoje i jest po wszystkim”... mam tu wycinek ze „Scotsmana”, z dwudziestego ósmego marca tego roku, krótki artykuł z wiadomości lokalnych, w którym opisano, jak dwutygodniowy chłopiec zmarł w szpitalu w Glasgow po nakarmieniu piersią przez matkę zażywającą podobny środek nasenny. Nie mam więcej pytań.

– Pani Doherty?

– Tak, Wysoki Sądzie. Pani Sanjay, czy spotkała się pani kiedyś z przypadkiem śmierci dziecka, podobnym do tego opisanego przez panią Fforde?

– Nigdy, choć oczywiście zdaję sobie sprawę, że może się to zdarzyć. Ale tylko jeśli matka zażyje dawkę leku znacznie przekraczającą przepisaną ilość. Chętnie dowiedziałabym się, czy ta matka ze Szkocji była uzależniona od narkotyków, ponieważ narkomani często

wstrzykują sobie duże dawki leków uspokajających. I jeśli nakarmi się dziecko piersią po takim dożylnym podaniu leku... cóż, oczywiście taka tragedia może się zdarzyć.

W przesłuchanie wtrącił się Traynor.

– Proszę zaspokoić moją ciekawość, pani Fforde, czy ta matka z Glasgow była narkomanką?

Pani Fforde zrobiła bardzo głupią minę.

– Tak, Wysoki Sądzie.

Kiedy Jane została zwolniona z miejsca dla świadków, nadszedł moment, którego tak się bałam. Maeve Doherty wywołała moje nazwisko. Wyszłam w przejście między ławkami, wstąpiłam na podwyższenie, złożyłam przysięgę. Rozejrzałam się po sali sądowej i poczułam to samo, co kiedyś, kiedy jeden, jedyny raz zdarzyło mi się wystąpić w szkolnym przedstawieniu: przerażenie, że wszystkie oczy są zwrócone na mnie – mimo iż w tym wypadku widownia była tak nieliczna.

Maeve była genialna. Trzymała się scenariusza. Nie popadała w czułościowość („To nie przejdzie u Traynora”) ani nie prowadziła mnie za rączkę.

Powoli przeszliśmy przez opowieść o moim piorunującym romansie z Tony m, o moich uczuciach, kiedy zaszłam w ciążę, dobiegając czterdziestki, o zagrożeniu tejże ciąży, o strachu spowodowanym pobytem Jacka na OIOM-ie tuż po porodzie i o tym, jak wkroczyłam w mroczną krainę depresji.

– Ktoś kiedyś napisał: „Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie” – powiedziałam.

– Dante – wtrącił się sędzia Traynor.

– Tak, Dante. To bardzo trafnie opisuje moje odczucia, kiedy zapadałam się w to czarne grzęzawisko.

– A te chwile, kiedy wyłaniała się pani z czarnego grzęzawiska na światło. .. jak czuła się pani, wspominając awantury urządzone lekarzom czy też te dwa nieszczęsne zdania na temat syna albo incydent ze środkami nasennymi?

– Strasznie. Wręcz koszmarnie. I wciąż mam ogromne poczucie winy.

Wiem, że byłam wtedy chora, ale to nie umniejsza moich wyrzutów sumienia ani wstydu.

– Czy czuje pani gniew na męża za to, jak się zachowywał?

– Tak. I uważam, że to, co mnie spotkało, było okrutne i niesprawiedliwe.

To najboleśniejże doświadczenie w moim życiu... gorsze nawet niż śmierć moich ro-

dziców. Bo Jack jest moim synem. Jest centrum mojego świata.

A to, że mi go odebrano, jest według mnie niesprawiedliwe. Czuję się zdradzona i oszukana.

Wypowiadając to ostatnie zdanie, ścisnęłam kurczowo barierkę otaczającą podium. Bo wiedziałam, że jeśli ją puszczę, wszyscy zobaczą, jak trzęsą mi się ręce.

– Nie mam więcej pytań – powiedziała Maeve.

Lucinda Fforde spojrzała na mnie z uśmiechem. Był to uśmiech kogoś, kto chce cię wyprowadzić z równowagi, kto wie, że ma cię na muszce i zaraz pociągnie za spust.

– Pani Goodchild, czy kiedy dowiedziała się pani o ciężkim stanie syna w szpitalu Mattingly, wypowiedziała pani słowa: „On umiera, a ja mam to gdzieś. Rozumiesz? Mam to gdzieś”?

Ścisnęłam barierkę jeszcze mocniej.

– Tak.

– Czy kilka tygodni później zadzwoniła pani do sekretarki swojego męża i powiedziała: „Proszę mu przekazać, że jeśli nie zjawi się w domu w ciągu godziny, zabiję naszego syna”?

– Tak.

– Czy nakarmiła pani syna piersią po zażyciu środków nasennych, choć lekarz domowy wyraźnie powiedział pani, że nie wolno tego robić?

– Tak.

– Czy pani syn trafił w wyniku tego incydentu do szpitala?

– Tak.

– Czy po tym incydencie spędziła pani prawie dwa miesiące na oddziale psychiatrycznym?

– Tak.

– Czy w 1988 roku pani ojciec brał udział w przyjęciu z okazji wręczenia dyplomów w Mount Holyoke College w Massachusetts?

– Tak.

– Czy na tym przyjęciu podała mu pani kieliszek wina?

– Tak.

– Czy powiedział pani, że nie chce go wypić?

– Tak.

– Ale pani powiedziała: „Nie zgrywaj wapniaka”, i ojciec wypił wino.

Czy tak to wyglądało?

– Tak.

– Czy potem, jadąc samochodem, spowodował wypadek i zabił siebie, pani matkę i dwoje niewinnych pasażerów drugiego samochodu?

– Tak.

– Dziękuję, że zechciała pani potwierdzić te wszystkie oskarżenia. Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

– Pani Doherty?

– Tak, Wysoki Sądzie. Ale zanim zacznę, chciałabym zwrócić uwagę na fakt, że pani mecenas użyła wobec mojej klientki słowa „oskarżenia”. Należałoby chyba przypomnieć, że pani Goodchild nie jest tutaj oskarżoną.

– Wezmę to pod uwagę – powiedział Traynor, wzdychając ciężko.

– Pani Goodchild, kiedy wypowiedziała pani słowa: „On umiera, a ja mam to gdzieś. Rozumiesz? Mam to gdzieś”, rzeczywiście pani tak myślała?

– Nie, absolutnie tak nie myślałam. Powiedziałam to wskutek pooperacyjnego szoku.

– Czy mówiła pani poważnie, grożąc śmiercią pani syna?

– Nie. Cierpiałam wtedy na depresję poporodową.

– Czy kiedykolwiek użyła pani wobec dziecka siły fizycznej?

– Nigdy.

– Czy po tym jednym incydencie jeszcze kiedykolwiek nakarmiła pani dziecko piersią po zażyciu środków uspokajających?

– Nigdy.

– Czy wyszła już pani z depresji?

– Tak.

– Czy podała pani ojcu kieliszek wina tamtego fatalnego wieczoru w czerwcu 1988 roku?

– Tak.

– I choć nie wlała mu go pani siłą do gardła, a tylko zażartowała pani sobie z niego, czy wciąż czuje się pani winna z tego powodu?

– Tak. Zawsze czułam się winna. I żyję z tym poczuciem winy od piętnastu lat.

– I uważa pani, że zasługuje na potępienie?

– Zasługuję czy nie, wyrzuty pozostają.

– Zdaje się, że potocznie nazywa się to sumienie. Dziękuję, że zechciała pani potwierdzić rzeczywiste fakty dotyczące sprawy. Nie mam więcej pytań.

Opuściłam podium dla świadków. Weszłam między ławki. Usiadłam obok Nigela Clappa, który dotknął mojego ramienia i powiedział:

– Dobra robota.

W ustach pana Clappa była to najwyższa pochwała. Ale i tak wydawało mi się, że Fforde zdobyła kilka punktów i zmusiła mnie, bym w obliczu Traynora potwierdziła wszystkie zarzuty.

Przed przerwą na lunch zeznawał jeszcze jeden świadek. Była gosposia Dianę Dexter – Latynoska, którą poznałam tamtego dnia, kiedy pojechałam do domu tej baby. Nazywała się Isabella Paz. Z pochodzenia Meksykanka, była rezydentką w Wielkiej Brytanii od dziesięciu lat. Została zwolniona z pracy cztery miesiące temu. I potwierdziła, że pan Hobbs był częstym gościem w rezydencji pani Dexter od 1998 roku... i nie, nie sypiali w oddzielnych pokojach podczas jego wizyt, kiedy wracał do Londynu z najróżniejszych zagranicznych placówek. Potwierdziła też, że pani Dexter jeździła z nim na wakacje w 1999 i 2000 roku i że w 2001 roku spędziła z nim miesiąc w Kairze. Owszem, od tamtej pory regularnie odwiedzał panią Dexter, a w zeszłym roku praktycznie wprowadził się do niej na jakieś osiem tygodni – oczywiście Maeve nie omieszkała podkreślić, że było to osiem tygodni, które ja spędziłam z Jackiem w St Martin's.

– Innymi słowy ten romans ciągnął się od 1998 roku, a po powrocie pana Hobbsa do Londynu w 2002 roku nabrał stałego charakteru?

– Na to mi wyglądało.

Lucinda Fforde nie zostawiła na niej suchej nitki.

– Czy pani Dexter nie zwolniła pani za kradzież?

– Tak, ale potem wszystko odwołała i wypłaciła mi pieniądze.

– A przedtem pracowała pani u państwa Reynolds w Londynie, SW5?

– Tak.

– Zdaje się, że z tamtej posady też panią zwolniono. Za kradzież?

– Tak, ale...

– Nie mam więcej pytań.

– Pani Doherty?

– Jedno, krótkie pytanie, pani Paz – powiedziała Maeve. – Czy państwo Reynolds kiedykolwiek oficjalnie oskarżyli panią o kradzież?

– Nie.

– Więc nie jest pani notowana?

– Nie.

– A gdyby sąd chciał potwierdzić daty, powiedzmy, wyjazdów pani Dexter z panem Hobbsem, w jaki sposób mógłby to zrobić?

– Ona trzyma notes przy telefonie i wszystko w nim zapisuje. Gdzie wyjeżdża i z kim. Na końcu roku odkłada notes do szafki pod telefonem. Ma tam notesy chyba z dziesięciu lat.

– Dziękuję, pani Paz.

Kiedy sędzia ogłosił przerwę na lunch, pochyliłam się do Maeve i spytałam:

– Naprawdę w poprzedniej pracy przyłapali ją na kradzieży?

– O tak – odszepnęła. – Ukradła diamentowy naszyjnik, który na szczęście odnalazł się w lombardzie, gdzie go sprzedała. I jakimś cudem ubłagała pracodawców, by nie szli z tym na policję. Jestem też prawie pewna, że okradła Dexter, ale wiedząc, że jest zamieszana w tę sprawę, narobiła krzyku o fałszywym oskarżeniu. Zwyczajnie ją zaszantażowała. I dlatego Dexter ją spłaciła. Więc jeśli szuka pani gosposi, lepiej jej nie zatrudniać. To złodziejka... ale nam się przydała. – Wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „Wiem, że to nie jest przyjemne, ale jeśli chcesz wygrać, musisz grać nawet znaczonymi kartami, tak samo jak druga strona”. – A tak w ogóle, to świetnie się pani spisała na miejscu dla świadków.

Rosę i Nigel wyszli szybko z sali, by przyprowadzić naszych ostatnich świadków. Maeve przeprosiła nas i poszła się przygotować do ostatnich dwóch przesłuchań. A Sandy i ja wybrałyśmy się na spacer nad Tamizą. Nie mówiłyśmy wiele – napięcie i wczorajsze rewelacje utrudniały nam nawiązanie poważniejszej rozmowy. Sandy stwierdziła jednak, że poranna część rozprawy poszła chyba całkiem nieźle.

– Tak myślisz?

– Tony i ta jego bogata suka nakłamali, że byli tylko przyjaciółmi, a spiknęli się dopiero wtedy, kiedy zabrał ci Jacka. I zostali przyłapani na kłamstwie. A ty byłaś po prostu niesamowita.

– Coś mi się zdaje, że zaraz powiesz „ale”...

– Ale... zdaje mi się, że ta papuga Tony’ego nieźle cię przyszpiliła. Oczywiście nie mogłaś nic na to poradzić. Potwierdziłaś osobiście te wszystkie znaki zapytania, wiszące nad tobą. Chociaż... może jestem zbytnią pesymistką.

– Nie, trafiłaś w dziesiątkę. Maeve też tak uważa. Martwię się. Bo nie potrafię wyczuć sędziego i nie wiem, na czyją stronę się przechyla... widzę tylko, że chce to mieć jak najszybciej z głowy.

Kiedy wróciłyśmy do sądu po dwugodzinnej przerwie, Maeve siedziała sama po naszej stronie sali. Powiedziała mi, że Nigel i Rose są z naszymi świadkami w dwóch różnych kafejkach w pobliżu sądu, by Tony i Spółka na pewno się na nich nie natknęli. Ale jak tylko druga strona zjawi się na miejscu...

W tej chwili „druga strona” weszła do sali. Tony i ja zachowywaliśmy się, jakby między nami stał berliński mur. Maeve natychmiast zerwała się z miejsca i pobięła do drzwi, z komórką w dłoni. Wróciła po minucie, bez tchu, w momencie, kiedy woźny poprosił wszystkich o powstanie. Kiedy Traynor wchodził na salę, Nigel truchtem wpadł w przejście między ławkami i wślizgnął się na swoje miejsce obok mnie. Sędziemu wcale się to nie spodobało.

– Troszkę się pan spóźnił, co?

Biedy Nigel zrobił przerażoną minę.

– Ja... hm... strasznie przepraszam, Wysoki Sądzie.

– Więc jak, pani Doherty? Skończymy to dziś po południu, mam nadzieję?

– Oczywiście, Wysoki Sądzie. Ale muszę poinformować Wysoki Sąd, że tak jak strona powoda, i my chcemy powołać w ostatniej chwili świadków.

Traynor zacisnął usta. Wcale nie był zachwycony tą rewelacją.

– Powiedziała pani „świadków”, pani Doherty. A konkretnie ilu?

– Tylko dwóch, Wysoki Sądzie.

– A dlaczego w ostatniej chwili? – zapytał Traynor.

– Ich zeznania udało nam się uzyskać dopiero wczoraj, a dziś rano były jeszcze weryfikowane.

– Czy ci świadkowie są tutaj teraz?

– Tak, Wysoki Sądzie.

– A czy możemy poznać ich nazwiska?

Maeve obróciła się lekko w stronę Tony’ego, jakby chciała wystrzelić ten pocisk wprost w niego.

– Oczywiście, Wysoki Sądzie. To panie Elaine Kendall i Brenda Griffiths.

Tony natychmiast zaczął coś szeptać do ucha Lucindy Fforde. Jego panika była oczywista.

– A czy macie państwo zeznania pani Kendall i pani Griffiths? – zapytał sędzia.

– Tak, Wysoki Sądzie.

– No to popatrzmy na nie.

Maeve podała kopie dwóch zeznań sędziemu, Lucindzie Fforde i adwokatowi Tony’ego. Widziałam, jak Tony wyrwał je z ręki prawnikowi i zaczął czytać, z każdym akapitem coraz bardziej zaniepokojony. W końcu głośno powiedział:

– To oburzające.

Traynor zerknął na niego znad okularków i powiedział:

– Panie Hobbs, proszę nie zakłócać spokoju na sali sądowej.

Lucinda Fforde położyła Tony’emu rękę na ramieniu.

– Mój klient przeprasza za ten mały wybuch, Wysoki Sądzie. Czy mogę prosić o minutę na naradę?

– Ma pani minutę – odparł Traynor.

Ekipa Tony’ego zbiła się w małą, niespokojną grupkę. Maeve stała całą tę minutę, patrząc na nich niewzruszonym wzrokiem, powstrzymując się od uśmiechu.

– No więc? – rzucił Traynor. – Czy możemy kontynuować, pani Fforde?

– Wysoki Sądzie, mamy poważny problem z tymi zeznaniami.

– A jakież to problem, pani Fforde?

– Zeznanie pana Ogilvy’ego, jak i on sam, faktycznie dopiero wczoraj dotarło ze Stanów. Podejrzewamy jednak, że adwokat pozwanej mógł już od dłuższego czasu być w posiadaniu tych dwóch zeznań obywaterek Wielkiej Brytanii.

– Pani Doherty, co pani na to?

– Wysoki Sądzie, wyjaśniłam już, dlaczego zgłaszam je dopiero teraz.

– Więc, pani Fforde, czy sprzeciwia się pani powołaniu tych świadków?

– Tak, Wysoki Sądzie.

– No cóż – burknął Traynor. – Biorąc pod uwagę, że obrona pozwanej zgodziła się

wczoraj na waszego świadka, i oczywiście to, że nie chcemy odraczać sprawy, zamierzam zezwolić na powołanie tych dwóch świadków.

– Wysoki Sądzie, chciałabym naradzić się przez chwilę z moim klientem, by mógł zdecydować, czy chce, abym zgłosiła sprzeciw i poprosiła o odroczenie rozprawy do czasu...

– Tak, tak, wszyscy wiemy, jak się kończy to zdanie, pani Fforde – powiedział Traynor. – I, jak to się mówi, piłka jest po pani stronie boiska. Albo zgodzi się pani na przesłuchanie przez panią mecenas tych świadków, tak jak ona zgodziła się wczoraj na pani świadka, albo pożegnamy się teraz i zobaczymy dopiero za cztery miesiące, bo po letniej przerwie wyjeżdżam na objazd okręgu. Więc jeśli chce pani mieć więcej czasu na przestudiowanie zeznań nowych świadków pozwanej, rozprawa zostanie odroczone i spotkamy się jesienią, by rozstrzygnąć sprawę, która może zostać rozstrzygnięta tu i teraz. Ale wybór należy oczywiście do pani i pani klienta. Jeśli potrzebuje pani trochę czasu, by z nim porozmawiać, proszę bardzo.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie.

Tony i Spółka znów zbili się w grupkę. Ale tym razem Dexter brała bardzo czynny udział w tej szeptanej dyskusji, i z jej gwałtownej gestykulacji wносиłam, że ma własne zdanie w tej sprawie. Maeve pochyliła się do mnie i szepnęła:

– Australia.

Nagle zrozumiałam jej genialną strategię. Wiedząc doskonale, że Dexter musi być jak najszybciej w Sydney, by rozkręcać nową filię, przyjęła założenie, że flama Tony'ego sprzeciwu się odraczaniu rozprawy. Bo to by oznaczało, że Tony i Jack nie będą mogli do niej dołączyć co najmniej przez cztery miesiące – oczywiście jeśli Traynor faktycznie wyda korzystny dla nich wyrok. Widząc teraz, że gra w tej dyskusji pierwsze skrzypce, domyślałam się, jak mówi Tony'emu i reszcie tym swoim niskim, stanowczym głosem: „Czy ci świadkowie naprawdę mogą nam zaszkodzić?... Nie możemy sobie pozwolić na odkładanie sprawy... Skończmy to teraz”.

A przynajmniej taką miałam nadzieję.

Debata trwała jeszcze z minutę; Tony oczywiście próbował się sprzeciwić, ale Dexter go spacyfikowała. Zrobił zrezygnowaną minę.

– Więc jak, pani Fforde? – zapytał Traynor, przerywając to konklawe. – Czy podjęliście państwo decyzję?

Fforde spojrzała prosto w oczy Dexter, która kiwnęła potakująco głową.

– Nie chcąc niepotrzebnie przedłużać sprawy, postanowiliśmy zgodzić się na powołanie nowych świadków pozwanej, choć czynimy to z dużymi oporami.

Traynor odetchnął z wyraźną ulgą. Tak samo zresztą jak Maeve, która pozwoliła sobie na ledwie dostrzegalny uśmiešek.

– Proszę wezwać pierwszego świadka, pani Doherty – powiedział Traynor. – Kto to będzie?

– Elaine Kendall, Wysoki Sądzie.

Nigel potruchtał między ławkami i wyszedł z sali. Chwilę później wrócił w towarzystwie Elaine Kendall. Była niską, zniszczoną kobietą przed pięćdziesiątką, z twarzą nałogowej palaczki i ze zmęczonymi oczami. Weszła na podium dla świadków i wbiła w Tony’ego pogardliwe spojrzenie. Złożyła przysięgę. Maeve zaczęła przesłuchanie.

– Pani Kendall, czy zechce pani powiedzieć sądowi, skąd pani zna pana Tony’ego Hobbsa?

Zacząła opowiadać powoli, z wahaniem. Wychowała się w Amersham i pracowała w miejscowym pubie. W Boże Narodzenie 1982 roku do pubu wszedł „ten dżentelmen, który tam siedzi”. Zaczęli ze sobą rozmawiać („Obsługiwałam go, oczywiście”); pochwalił się, że przyjechał do Amersham odwiedzić rodziców i że jest jakimś ważnym korespondentem w „Chronicie”.

– Był czarujący, uroczy, a kiedy skończyłam pracę, zaprosił mnie na drinka. Poszliśmy do klubu. Wypiliśmy o wiele za dużo. I jak to zwykle bywa, obudziliśmy się razem następnego ranka. Potem zniknął, a kilka tygodni później okazało się, że jestem w ciąży. Próbowałam się z nim skontaktować przez gazetę, ale bez skutku. Moi rodzice byli głęboko wierzącymi, irlandzkimi katolikami i w ogóle... więc nie było mowy o aborcji. Ale... ten człowiek... siedział wtedy w Egipcie czy gdzieś tam, i choć wciąż próbowaliśmy się z nim skontaktować, nigdy się nie odezwał. W końcu musieliśmy wynająć adwokata i narobić szumu w jego gazecie. Dowiedziałam się, że jego szefowie kazali mu to jakoś załatwić, więc w końcu zgodził się płacić alimenty.

– W jakiej wysokości?

– Pięćdziesiąt funtów miesięcznie. To było w osiemdziesiątym trzecim.

W dziewięćdziesiątym pierwszym wynajęliśmy kolejnego adwokata, który wyciągnął od niego sto dwadzieścia pięć funtów miesięcznie.

– Czy pan Hobbs nigdy nie okazał zainteresowania pani synem...?

– Jonathanem. Miał na imię Jonathan. Ale ten człowiek nie chciał tego wiedzieć. Co roku posyłałam mu na adres redakcji zdjęcie jego syna. Nigdy nie było żadnej odpowiedzi.

– Choć znam już odpowiedź na to pytanie i przepraszam za poruszanie tego bolesnego tematu... gdzie jest teraz pani syn?

– Zmarł w 1995 roku. Na białaczkę.

– To musiało być dla pani ciężkie przeżycie.

– Było – odparła, ale jej głos pozostał twardy, a wzrok wciąż wbijała w Tony’ego.

– Czy napisała pani do pana Hobbsa, by poinformować go o śmierci syna?

– Tak. Dzwoniłam też do gazety, prosząc, by się z nim skontaktowali.

Nigdy nie odezwał się słowem. Myślałam, że może chociaż wtedy do mnie zadzwoni. To byłby taki mały, przyzwoity gest.

Maeve Doherty milczała przez chwilę; na sali zapanowała cisza.

– Nie mam więcej pytań – powiedziała w końcu.

Lucinda Fforde naradziła się gorączkowo z Tonym. Spojrzałam na Dexter. Siedziała zimna, niewzruszona.

– Pani Fforde – odezwał się Traynor – czy chce pani przesłuchać świadka?

– Tak, Wysoki Sądzie – odparła, ale widziałam, że rozpaczliwie usiłuje wymyślić na poczekaniu jakąś strategię, która pozwoliłaby zredukować straty.

I muszę przyznać, że szybko się pozbierała.

– Pani Kendall, choć oczywiście rozumiem tragizm opowiedzianej historii... muszę zapytać: czy naprawdę uważa pani, że jedna wspólna noc wiąże ludzi na całe życie?

– Jeśli jej rezultatem jest syn, tak. Tak uważam.

– Ale czy pan Hobbs nie zobowiązał się płacić regularnie alimentów na utrzymanie syna?

– Marne grosze, o które musiał walczyć adwokat.

– Ale chwileczkę... zakładam, że w owym czasie była pani kobietą aktywną seksualnie. W końcu przespała się pani z panem Hobbsem po jednym wspólnym wieczorze. Mógł przecież zażądać testu na potwierdzenie ojcostwa.

– Nie byłam żadną wywłoką. To było jego dziecko. Przed nim nie spałam z nikim przez jakiś rok.

– Ale nie zażądał testu genetycznego?

– Nie... nie zrobił tego.

– Otrzymywała pani pieniądze od człowieka, który uznał, że jest ojcem pani dziecka. A pięćdziesiąt funtów w 1983 roku coś przecież znaczyło. Tak jak sto dwadzieścia pięć na początku lat dziewięćdziesiątych. Więc nie uchylał się od obowiązków. A jeśli chodzi o śmierć pani syna... przecież na pewno pani rozumie, że choć dla pani musiało to być tragiczne wydarzenie, pan Hobbs nie był w żaden sposób związany z chłopcem. Więc...

Nagle Elaine Kendall zaczęła szlochać. Usiłowała odzyskać kontrolę nad sobą, ale bez skutku. Potrzebowała dobrej minuty, by wziąć się w garść; wszyscy zebrani w sądzie mogli

tylko patrzeć na to bezradnie. A mnie dopadło przerażające poczucie winy. Jaja do tego namówiłam. Siedziałam z nią w jej salonie w Crawley, a ona opowiadała mi, jak przeprowadziła się do tej dziury po śmierci Jonathana, by uciec z miejsca, które jej się z nim kojarzyło, że był jej jedynym dzieckiem, że nigdy nie wyszła za mąż, że pracowała na najgorszych posadach, byle tylko utrzymać jakoś ich oboje, ale choć było ciężko, Jonathan był dla niej najważniejszy w życiu. A potem... nagle, znikąd... białaczka. I...

Ciężko mi było słuchać tej bolesnej opowieści. Tym bardziej, że wiedziałam, iż ta kobieta straciła jedyne, co liczyło się w jej życiu. I jak każdy, kto stracił dziecko, nigdy tego nie przeboleła. A jednak – choć wstyd mi się do tego przyznać – ujrzałam w tej historii ogromną szansę dla siebie; sposób, by obnażyć prawdziwą, bezduszną twarz Tony’ego. I byłam z nią całkowicie szczerą. Powiedziałam jej bardzo dobitnie, że jej zeznanie może pomóc mi odzyskać dziecko. Błagałam ją o pomoc. I zgodziła się. A teraz... teraz została narażona na tę niepotrzebną torturę. Tak, dostałam od niej to, czego chciałam. Ale patrząc, jak płacze, czułam wyłącznie wstyd.

Kiedy się wreszcie opanowała, zwróciła się do sędziego:

– Przepraszam, Wysoki Sądzie. Jonathan był moim jedynym dzieckiem.

I nawet teraz trudno mi o tym mówić. Więc przepraszam...

– Pani Kendall, pani nie ma za co przepraszać. Wręcz przeciwnie. To my jesteśmy pani winni przeprosiny.

Wbijając w Lucinę Fforde przeszywające spojrzenie, zapytał:

– Jeszcze jakieś pytania, pani mecenas?

– Nie, Wysoki Sądzie.

Z kolei Maeve została przez niego zmrożona wzrokiem.

– A pani, pani Doherty?

– Nie, Wysoki Sądzie.

– Pani Kendall, jest pani wolna.

Sporo wysiłku kosztowało ją opuszczenie miejsca dla świadków. Kiedy przechodziła obok mnie, szepnęłam:

– Przepraszam... – Ale minęła mnie bez słowa.

Traynor nie odzywał się przez chwilę. Było jasne, że widok tej biednej, zapłakanej kobiety na podium dla świadków bardzo go poruszył. On też potrzebował chwili, by się pozbierać i wrócić do sprawy.

– Przejdźmy do ostatniego świadka, pani Doherty.

– Tak, Wysoki Sądzie. Wzywam panią Brendę Griffiths.

W przeciwieństwie do Elaine Kendall, od kobiety, która weszła na salę sądową, była pewność siebie... swoją postawą przypominała wręcz Dianę Dexter. Choć jej ubranie nie było dziełem najdroższych projektantów – miała na sobie prosty, zielony kostium – wyglądała jak bardzo elegancka, czterdziestoletnia kobieta, która nie przejmuje się swoim wiekiem. Zajęła miejsce dla świadków i zaszczyciła Tony’ego lekkim, drwiącym pochyleniem głowy.

Maeve Doherty poprosiła ją o opowiedzenie, w jakich okolicznościach poznała Tony’ego Hobbsa.

– W 1990, kiedy pracowałam w „Chronicie”, wysłano mnie na trzy miesiące do Frankfurtu, w charakterze sprawozdawcy z rynku walutowego.

Tony był szefem tamtejszej redakcji. Pracowaliśmy tylko we dwójkę. Oboje nie byliśmy z nikim związani. Mieliśmy romans. Pod koniec mojego pobytu przydarzył nam się mocno zakrapiany wieczór, kiedy zapomnieliśmy o antykoncepcji. Po powrocie do Londynu odkryłam, że jestem w ciąży. Oczywiście skontaktowałam się z Tonym. Nowina bardzo mu się nie spodobała i z całą pewnością nie zaproponował, że „zrobi ze mnie uczciwą kobietę” ani nic w tym stylu... choć oczywiście ani się tego spodziewałam, ani pragnęłam. Błagał mnie, bym przerwała ciążę, ale powiedziałam mu od razu, że to nie wchodzi w grę. „W takim razie – powiedział – nie licz na nic, najwyżej na finansowe wsparcie”. Nie było to przyjemne, i przyznaję, że wtedy bardzo mnie to zabolowało. Jednocześnie nie mogłam nie podziwiać jego szczerości. Od samego początku zapowiedział, że nie chce mieć z tym dzieckiem nic wspólnego. Pochodzę z Avon i nigdy właściwie nie lubiłam Londynu, więc kiedy dowiedziałam się, że jestem w ciąży, zaczęłam szukać pracy w okolicach Bristolu. Trafiła mi się posada w wiadomościach lokalnych BBC, więc ją przyjąłam. Przeprowadziłam się. Urodziłam dziecko.

Jakiś rok później miałam szczęście poznać wspaniałego mężczyznę. Pobraliśmy się. Catherine, moja córka, uważa Geoffreya za swojego ojca. Mamy też drugie dziecko, kolejną córkę, Margaret. I chyba nie mam nic więcej do powiedzenia.

– Z wyjątkiem tego, że Tony Hobbs nigdy nie poznał swojej córki, Catherine, która ma teraz dwanaście lat, zgadza się? – powiedziała Maeve.

– Tak. Wysłałam mu przez te lata kilka listów, proponując spotkanie z córką. Ale jego brak odpowiedzi mówił sam za siebie. Więc zaprzestałam tych prób nawiązania kontaktu jakiegś... chyba ze sześć lat temu.

– Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

– Chce pani przesłuchać świadka, pani Fforde?

– Tak, Wysoki Sądzie. Pani Griffiths, dlaczego zgodziła się pani zeznawać tu dzisiaj?

– Bo pani Goodchild przyszła do mnie, wyjaśniła, co Tony zrobił jej i jej dziecku, i zapytała, czy nie zechciałabym poinformować sądu o braku zainteresowania pana Hobbsa jego córką. Biorąc pod uwagę trudne położenie pani Goodchild i fakt, że Tony zgrywa teraz

troskliwego tatusia, czułam się w obowiązku „dać świadectwo”, że się tak wyrażę, jego wcześniejszego braku uczuć ojcowskich.

– A czy nie jest możliwe, że w czasie tych dwunastu lat, które upłynęły od narodzin pani córki, pan Hobbs zmienił swoje podejście do ojcostwa? Szczególnie mając do czynienia z kobietą, która fizycznie groziła...

– Pani Fforde – powiedział kwaśno Traynor – ten świadek nie może odpowiedzieć na to pytanie.

– Przepraszam, Wysoki Sądzie. Czy przyprowadziła tu pani ze sobą córkę, pani Griffiths?

– Skądże. Nie naraziłabym jej na coś takiego i nie mam zamiaru wystawiać jej na pokaz.

– Gratuluję pani tak głębokiej troski o uczucia innych.

– Co ja pani przed chwilą mówiłem, pani Fforde? – znów skarcił ją Traynor.

– Jeszcze raz przepraszam, Wysoki Sądzie. Nie mam więcej pytań.

Kiedy Brenda Griffiths wyszła z sali, Traynor spojrział na zegarek i powiedział:

– Ponieważ był to ostatni świadek pozwanej, chciałbym teraz usłyszeć końcowe wystąpienia.

Aleja nie słyszałam tych dwóch mów ani odpowiedzi na nie, ani przynależnego jej według prawa ostatniego słowa Lucindy Fforde. Choć nie ruszyłam się ze swojego miejsca, coś jakby zamknęło od środka mój umysł.

Może był to niegasnący wstyd z powodu cierpienia, na jakie naraziłam Elaine Kendall. Może emocjonalne wyczerpanie. A może osiągnęłam taki poziom przesyty, że po prostu nie byłam w stanie wysłuchać jeszcze raz dwóch stron tej samej historii. Cokolwiek to było, siedziałam nieruchomo, ze wzrokiem wbitym w podłogę, siłą woli pragnąc nic nie słyszeć – i nie słysząc.

Nagle poczułam szturchnięcie Nigela Clappa. Mówił Traynor.

– Mamy już za sobą wszystkie zeznania i wystąpienia na tej rozprawie, teraz udam się do siebie, by rozważyć sprawę. I wrócę za dwie godziny, by ogłosić wyrok.

Jego słowa w mgnieniu oka przywróciły mnie do rzeczywistości. Kiedy Traynor wyszedł, pochyliłam się do Maeve i szepnęłam niecierpliwie:

– Skoro mówi, że ogłosi wyrok za dwie godziny, to chyba znaczy, że napisał już większość uzasadnienia?

– Bardzo możliwe – odparła znużona. – A może po prostu nie chce mu się przychodzić

jutro do pracy. Wiem, że to brzmi prozaicznie, ale tak to wygląda. Jest znany z szybkiego załatwiania spraw.

– Szczególnie kiedy już zdecydował, jaki będzie wyrok.

– Obawiam się, że tak.

Podeszła do nas Rose Keating. Ze współczuciem położyła mi dłoń na ramieniu.

– Dobrze się pani czuje, kochana?

– Mniej więcej. Jak tam Elaine Kendall?

– Dochodzi do siebie. Powoli. Chyba odwiozę ją do domu, do Crawley.

Nie chcę puszczać jej samej z powrotem.

– Dobry pomysł – powiedział Nigel. – A ja odwiozę panią Griffiths na Paddington.

– Wróci pan na ogłoszenie wyroku? – zapytałam.

– Oczywiście – odparł. – Wytrzyma pani jakoś te dwie godziny?

Spojrzałam na drugą stronę sali. A tam, naprzeciw nas, siedziała Dianę Dexter. Nieruchoma. Sztywna. Na jej twarzy malowała się mieszanina zdumienia, wściekłości i smutku. Obok niej siedział Tony; szeptał jej coś gorączkowo do ucha, usiłując przemówić do rozsądku. Ich związek nagle zawisł na włosku po rewelacjach, które wyszły na jaw. A wyszły tylko dlatego, że ci dwoje próbowali ukraść mi dziecko. I nie dali mi wyboru – musiałam posunąć się do ostateczności i znaleźć coś, by ich zdyskredytować. Tak samo jak Maeve i Lucinda Fforde robiły wszystko, by zbić argumenty drugiej strony. I oto siedzieliśmy tu wszyscy, czekając na wyrok obcego człowieka – wykończeni, zgaszeni, pokonani. Bo w takich sprawach nie ma zwycięzców. Wszyscy wychodzą z nich równie nędzni i splugawieni.

Dotknęłam ramienia Maeve.

– Jakikolwiek będzie wyrok, dziękuję z całego serca.

Maeve pokręciła głową.

– Będę z panią szczerą, Sally. Moim zdaniem wygląda to źle. Widziałam, że Traynorowi bardzo się nie spodobał nasz ostatni numer. Szczególnie ta nieszczęsna Elaine Kendall.

– To moja wina. Zdaje się, że przedobrzyłam.

– Nie, to było słuszne posunięcie. A to, co powiedziała, musiało paść na tej sali. Ale powinnam sama wprowadzić ją w sprawę, wysondować jej stan emocjonalny. To mój obowiązek i nie wykonałam go jak należy.

– Co pani będzie robić przez te dwie godziny?

– Wracam do swojego biura. A pani?

Porwałam moją siostrę z ostatniej ławki. Przeszliśmy przez most i stanęliśmy w kolejce po bilety last-minute na London Eye. Udało nam się dostać dwa miejsca. Uniosłyśmy się pod chmury, a miasto rozpostarło się przed naszymi oczami jak jedna z tych szesnastowiecznych map, na których widać granice miast i urwiste krawędzie płaskiego świata. Sandy patrzyła na zachód – ponad Pałac, Albert Hall, ponad zielonym dywanem Kensington Gardens, ponad wspaniałymi rezydencjami Holland Park, w nieskończoną, podmiejską dal.

– Mówisz, że to miasto ma swoje wspaniałe momenty... ale założę się, że przez większość czasu jest strasznie ponure – powiedziała.

Cóż, to samo dałoby się powiedzieć o życiu.

Kiedy wypuszczono nas z wagonika ogromnego diabelskiego młyna, kupiłyśmy sobie lody, jak dwie turystki, które na chwilę oderwały się od trosk codziennego życia. Przeszliśmy Waterloo Bridge z powrotem na Strand i weszliśmy do budynku Sądu Najwyższego. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że wchodzę tu ostatni raz.

W drodze powrotnej nie odzywałyśmy się do siebie. Dopiero przed salą sądową Sandy zapytała:

– Mogę siedzieć z tobą przy ogłaszaniu wyroku?

– Bardzo bym chciała.

Kiedy weszliśmy, Tony i reszta siedzieli już na miejscach. Zauważyłam, że Dianę Dexter siedzi teraz obok adwokata. Maeve też zajęła miejsce w pierwszej ławce, razem z Nigelem. Nikt się z nikim nie witał. Nikt nic nie mówił. Sandy i ja usiadłyśmy. Wzięłam kilka głębokich oddechów, by się uspokoić, ale nikt w tej sali nie był spokojny. Strach wręcz przesycił powietrze.

Minęło pięć minut, dziesięć. A my wszyscy siedzieliśmy w milczeniu. Bo co innego mogliśmy zrobić? W końcu do sali wszedł woźny. Wstaliśmy z miejsc. Traynor podszedł powoli do ławy sędziowskiej, z teczką w długich, zadbanych palcach. Ukłonił się. Usiadł. Odpowiedzieliśmy ukłonem. Usiedliśmy. Traynor otworzył teczkę. I zaczął czytać. W tej chwili przypomniało mi się coś, co Maeve powiedziała mi kilka dni wcześniej:

– W trakcie ogłaszania wyroku sędzia może kolejno wymieniać tak zwane „wnioski”; czyli, w prawniczym języku, raz na zawsze ustalone fakty, których nie da się już podważyć, kiedy zostały oficjalnie stwierdzone.

Ale od samego początku Traynor dał wszystkim do zrozumienia, że nie podobał mu się ton całej tej sprawy.

– Na samym wstępie pozwolę sobie powiedzieć, że przez te dwa krótkie dni wypraliśmy tu publicznie mnóstwo prywatnych brudów. Dowiedzieliśmy się, że pan Hobbs miał dwoje dzieci z dwiema różnymi kobietami i że nie utrzymywał z tymi dziećmi kontaktu. Dowie-

dzieliśmy się, że obecna partnerka pana Hobbsa, pani Dexter, była uzależniona od narkotyków, które to uzależnienie szczęśliwie przeczłonyła po utracie dziecka. I muszę przyznać, że szczerść, z jaką pani Dexter mówiła o swoim nałogu, świadczy o dużej odwadze. Zrobiła na mnie duże wrażenie jako świadek...

O Boże...

– Usłyszeliśmy również, że od tamtej pory pani Dexter chwyciła się wszelkich sposobów, by mieć dzieci... posuwając się do tak ekstremalnych działań, jeśli mamy wierzyć obrońcy pozwanej, że uknuła ze swoim partnerem spisek mający na celu odebranie dziecka jego matce na podstawie naciągniętych dowodów, świadczących o zagrożeniu bezpieczeństwa tegoż dziecka.

Sandy zerknęła na mnie. Traynor dał właśnie do zrozumienia, że nie kupił naszej wersji.

– Dowiedzieliśmy się, że prawie dwadzieścia lat temu pani Goodchild podała ojcu kieliszek wina, co mogło, lub nie, przyczynić się do fatalnego wypadku, w którym zginęli jej rodzice i dwoje niewinnych ludzi. Dowiedzieliśmy się też, że pani Dexter i pan Hobbs nie byli do końca szczerzy, jeśli chodzi o rzeczywisty czas trwania ich związku... choć prawdę mówiąc, sąd nie uważa za istotne, czy ich związek nabrał intymnego charakteru trzy lata czy też trzy miesiące temu.

Wymieniłyśmy z Sandy kolejne nerwowe spojrzenie. Rozejrzałam się po sali. Wszyscy siedzieli z pochylonymi głowami, jakbyśmy byli w kościele.

– A mówię to wszystko dlatego, że między tymi sprawami, poruszonymi przez ostatnie dwa dni, zagubiła się kwestia najważniejsza: co jest najlepsze dla dziecka? A jest to jedyna kwestia, jaka nas tutaj obchodzi. Wszystko inne, w opinii sądu, nie dotyczy tej sprawy. Nie ulega wątpliwości, że związek między matką i dzieckiem to najistotniejsza, najbardziej fundamentalna więź w życiu człowieka. Matka wydaje dziecko na świat, karmi je piersią, dba o jego potrzeby w najbardziej krytycznej, najwcześniejszej fazie życia.

I dlatego prawo bardzo niechętnie zakłóca, a co dopiero zrywa, tę fundamentalną więź, chyba że sama matka głęboko zawiedzie zaufanie, jakie społeczeństwo pokłada w jej osobie. Dziś rano reprezentantka powoda wyszczególniła jasno „oskarżenia”, jak je nazwała, wysuwane przez powoda wobec pozwanej. I nikt nie będzie zaprzeczał, że zarzuty te są niezwykle poważne. Tak jak nikt nie może zaprzeczyć, że poważna choroba zmąciła osąd pozwanej i wywołała u niej nieracjonalne zachowania. Ale czy sąd, mimo uznania faktu, iż pozwana była chora, może ryzykować, że narazi zdrowie i życie dziecka na niebezpieczeństwo? Oto główny dylemat, jaki sąd musi tutaj rozstrzygnąć. Tak jak musi poważnie przemyśleć kwestię, czy dobru dziecka najlepiej posłuży pozostanie pod opieką ojca i jego nowej partnerki, kobiety, która może się uważać za jego zastępczą matkę, ale która z punktu widzenia prawa nigdy nią nie będzie.

Przerwał i spojrzał na mnie znad swoich okularków.

– Groźenie dziecku śmiercią, nawet w gniewie i ze zmaconym umysłem, to bardzo poważny zarzut...

Sandy chwyciła mnie za rękę, jakby chciała powiedzieć: będę cię trzymać, kiedy ze-
pchnie cię w przepaść.

– A powtarzanie takiej groźby dwukrotnie jest już głęboko niepokojące.

Podobnie jak zatrucie dziecka środkami nasennymi, choćby to był wypadek, spowodowany zmęczeniem. Ale czy te czyny są wystarczające, by zrywać fundamentalną więź między matką i dzieckiem? Szczególnie że prawdziwe motywy ojca i powody podjęcia przez niego kroków prawnych w celu wywalczenia prawa do wyłącznej opieki stoją pod dużym znakiem zapytania? Ostatecznie jednak wracamy do sedna sprawy: jeśli przyznamy matce wyłączne lub częściowe prawo do opieki nad dzieckiem, to czy spełni ona rzucane wcześniej groźby? Czy nie powinniśmy być w tym przypadku bardzo ostrożni, w najlepiej pojętym interesie dziecka?

Traynor przerwał i napił się wody ze szklanki. Siedzący przede mną Nigel Clapp zakrył oczy dłonią. Bo ostatecznie zdanie mówiło wszystko. Przegraliśmy.

Traynor odstawił szklankę i czytał dalej.

– Oto są pytania, na które sąd musiał odpowiedzieć. Poważne, bardzo trudne pytania, od których zależy ludzkie życie. Jednak po uważnym przestudiowaniu wszystkich dowodów, na wszystkie te pytania znalazła się jasna odpowiedź.

Zwiesiłam głowę. To już. Nareszcie. Zostanę osądzona.

– Tak więc, po należyтым przemyśleniu sprawy, uznaję, że matka, pani Goodchild, nie zamierzała skrzywdzić dziecka i nie odpowiadała za swoje czyny w omawianym okresie, gdyż cierpiała na klinicznie zdiagnozowaną depresję. Uważam też, że ojciec, pan Hobbs, zrobił wszystko, co w jego mocy, by zerwać więź między matką i dzieckiem. W związku z czym uznaję, że motywacje pana Hobbsa i pani Dexter, którzy utrzymywali, iż dziecko jest zagrożone, nie były do końca altruistyczne. Uważam też, że państwo ci naciągnęli fakty dla własnej korzyści.

Sandy ścisnęła moją dłoń tak mocno, że byłam pewna, iż połamię mi kilka kości. Ale miałam to gdzieś.

– I dlatego decyzja sądu brzmi następująco: dziecko musi spotykać się i spędzać znaczną ilość czasu z obojgiem rodziców...

Przerwał na sekundę czy dwie, ale mnie wydawały się długie jak minuta.

– ...ale stałe prawo do opieki nad dzieckiem sąd przyznaje matce.

Nastąpiła długa chwila osłupiałej ciszy, którą przerwał w końcu Traynor.

– A jako że zdaniem sądu powód działał w złej wierze, zarządzam, by pokrył on koszty sądowe pozwanej.

Lucinda Fforde zerwała się na nogi.

– Proszę o pozwolenie złożenia apelacji.

Traynor spojrział na nią ze swojego podwyższenia.

– Prośba została odrzucona.

Zebrał swoje papiery. Zdjął z nosa okulary. Rozejrzał się po naszych zdumionych twarzach.

– Jeśli to już wszystko, żegnam państwa.

15

Sześć tygodni później Londyn ogarnęła fala upałów. Trwała prawie tydzień. Rtęć w termometrze zawisała powyżej trzydziestu stopni, niebo było bezchmurną, błękitną kopułą, a słońce rozpalało całe miasto do białości.

– Czy to nie wspaniale? – powiedziałam piątego gorącego, bezdeszczowego dnia.

– Załamie się lada chwila – odparła Julia. – I wrócimy do szarej normy.

– Pewnie tak, ale nie mam zamiaru teraz o tym myśleć.

Siedziałyśmy w Wandsworth Park. Było późne popołudnie. Jakies pół godziny wcześniej Julia zapukała do moich drzwi i zapytała, czy mam ochotę na spacer. Odsunęłam na bok nowy rękopis, nad którym pracowałam, wyjęłam Jacka z kojca, posadziłam w wózku, złapałam ciemne okulary i kapelusz i wyszłam z Julią. Zanim dotarliśmy do parku, Jack usnął. Kiedy usadowiliśmy się na trawiastym pagórku nad rzeką, Julia sięgnęła do torby i wyczarowała z niej dwa kieliszki i butelkę sauvignon blanc.

– Pomyślałam sobie, że powinniśmy uczcić ten upał kropelką jakiegoś przyzwoitego wina... oczywiście jeśli wolno ci „spożywać”.

– Myślę, że kieliszek mi nie zaszkodzi – odparłam. – Zeszłam już do dwóch tabletek dziennie.

– Imponujące – stwierdziła. – Ja potrzebowałam prawie roku, żeby się od nich uwolnić.

– No cóż, doktor Rodale nie uznała mnie jeszcze za wyleczoną.

– Ale już ci niewiele brakuje.

Odkorkowała wino. Położyłam się na chwilę; poczułam słońce na twarzy i pozwoliłam, by kwaśny, cytrynowy aromat trawy zamaskował na chwilę zwykle, miejskie zapachy. Pomyślałam: to jest naprawdę przyjemne.

– Proszę – powiedziała Julia, stawiając kieliszek obok mnie. Zapaliła papierosa. Usiadłam z powrotem. Stuknęliśmy się kieliszkami.

– No, to za skończoną robotę – powiedziała.

– Czyli?

– Wreszcie odesłałam tę cholerną książkę.

– Historię wschodniej Anglii?

– Tak, tego potwora – odparła, mając na myśli ogromne tomiszcze, które redagowała i przy którym omal nie zanudziła się na śmierć (a przynajmniej w kółko tak mówiła). – Skończyłam wczoraj wieczorem. A każdy, kto spędził trzy miesiące nad angielską historią, zasługuje na parę kieliszków wina.

Ty ciągle obrabiasz ten Przewodnik jazzowy?

– O tak, całe tysiąc osiemset stron. A dotarłam dopiero do Sidneya Becheta.

– Uważaj, Stanley będzie się martwił.

– Mam na to jeszcze siedem tygodni. A biorąc pod uwagę, że Stanley właśnie zaprosił mnie na kolację, raczej nie będzie mi prawił kazań na temat...

Julia o mało nie zakrztusiła się papierosem.

– Stanley cię zaprosił?

– Dobrze słyszałaś.

– Proszę, proszę, to dopiero niespodzianka.

– No wiesz, przez te wszystkie lata, które przeżyłam, mężczyźni czasem zapraszali mnie na randki.

– Wiesz, o co mi chodzi. To Stanley. A on nie jest specjalnie do przodu, jeśli chodzi o te sprawy. I nawet po rozwodzie właściwie się nie udzielał w kwestiach męsko-damskich.

– Jest dość czarujący, na swój dobronudzny sposób. A przynajmniej takie odniosłam wrażenie, kiedy jedliśmy razem lunch kilka miesięcy temu.

– I ledwie przekroczył pięćdziesiątkę. I bardzo o siebie dba. I jest świetnym redaktorem. I słyszałam, że ma całkiem ładny domeczek w South Kensington. I...

– Jestem pewna, że potrafi trzymać widelec i nie ślini się przy jedzeniu.

– Przepraszam – odparła ze śmiechem. – Wcale nie próbuję cię swatać.

– A swataj sobie do woli. Bo już mu powiedziałam, że jestem zbyt zajęta, żeby pójść na

kolację.

– Dlaczego? To tylko kolacja.

– Wiem, ale on jest w tej chwili moim jedynym źródłem dochodu. I nie mogę ryzykować jego utraty, wpuszczając się w „pozazawodowe” sytuacje.

Potrzebuję tej pracy.

– Doszłaś już do jakiegoś porozumienia z prawnikami Tony’ego?

– Tak, to już załatwione.

Prawdę mówiąc, załatwił to Nigel Clapp, przypierając ich do muru z tą swoją nieśmiałą determinacją – wiem, gdyby odnieść to wyrażenie do kogokolwiek innego, brzmiałoby to jak kompletna sprzeczność, ale Nigela trudno byłoby opisać trafniej. Tydzień po rozprawie druga strona skontaktowała się z nim i złożyła ofertę: ja i Tony pozostaniemy współwłaścicielami domu i będziemy po połowie spłacać kredyt hipoteczny, a do tego Tony oferuje alimenty w wysokości pięciuset funtów miesięcznie. Jego przedstawiciele wyjaśnili, że biorąc pod uwagę jego brak stałego zatrudnienia, żądanie od niego spłat całej miesięcznej raty kredytu plus pięciuset funtów na utrzymanie żony i dziecka to bardzo wygórowana prośba.

Nigel wyjaśnił mi później:

– Ja... hm... przypomniałem im, że ich klient ma bogatą patronkę i że moglibyśmy ich przycisnąć o wiele bardziej i zażądać zrzeczenia się połowy domu na pani rzecz. Pewnie nie mielibyśmy wielkich szans, by to wywalczyć, ale... hm... wyczułem, że nie mają ochoty dłużej się kłócić.

Potem z ugodą poszło już dość szybko. Mieliśmy pozostać współwłaścicielami domu i podzielić się zyskiem, kiedy – i jeśli – miałby zostać sprzedany, ale Tony miał wziąć na siebie cały kredyt hipoteczny, a na dodatek płacić mi tysiąc funtów alimentów miesięcznie – co mogło mi wystarczyć na pokrycie bieżących kosztów utrzymania i na niewiele więcej.

Ale nie chciałam więcej. Prawdę mówiąc, zaraz po rozprawie, oprócz szalonej radości, że wygrałam i odzyskałam Jacka, moją jedyną myślą było, że przy odrobinie szczęścia już nigdy nie będę musiała oglądać Tony’ego Hobbsa. Owszem, ustaliliśmy warunki spotkań z Jackiem – Tony miał go do siebie zabierać co drugi weekend. Ale biorąc pod uwagę, że wszystkie najbliższe weekendy miał spędzić w Sydney, miałam go z głowy przynajmniej na razie... choć oczywiście jego prawnicy zapewnili mnie za pośrednictwem Nigela, że ich klient będzie regularnie przyjeżdżał do Londynu na spotkania z synem.

Tony potwierdził to osobiście podczas naszej jedynej rozmowy, jaka miała miejsce tydzień po rozprawie – w dniu, który nasi prawnicy ustalili jako datę powrotu Jacka do domu. Nigel Clapp nazywał to „przekazaniem” – słowo to brzmiało trochę jak z jakiejś szpiegowskiej powieści z czasów zimnej wojny, ale było jak najbardziej trafne. Dzień przed ustaloną datą zadzwonił do mnie pracownik firmy przewozowej i poinformował mnie, że o dziewiątej rano przewiozą do mnie meble z pokoju dziecinnego, z domu na Albert Bridge Road. Później tego samego dnia zadzwonił Nigel; prawnicy Tony’ego prosili go, by zapytał, czy będę

w domu około południa, jako że „wtedy nastąpi »przekazanie«„.

– A powiedzieli, kto przywiezie Jacka? – zapytałam.

– Niania.

Cały Tony, pomyślałam. Najlepiej wysłać innych, żeby załatwili za niego brudną robotę.

– Proszę im powiedzieć, że czekam na Jacka w południe.

Następnego ranka panowie z firmy przewozowej zjawili się godzinę przed czasem („Pomyśleliśmy, że się pani nie pogniewa, kochana” – powiedział szef ekipy). W ciągu godziny nie tylko wszystko wyładowali, ale poustawiali z powrotem w pokoju dzieciennym. Razem z łóżeczkiem, szafą i komodą przyjechało kilka pudeł ubranek i dziecięcych drobiazgów. Cały ranek spędziłam na układaniu wszystkiego na miejscu; zawiesiłam nad łóżeczkiem kolorową zawieszkę, przygotowałam deskę do przewijania na komodzie, zaniosiłam do kuchni sterylizator do butelek i ustawiłam kojec w salonie. A robiąc to wszystko, starałam się wymazać z pamięci obraz domu bez mojego dziecka.

O dwunastej rozległ się dzwonek przy drzwiach. Czy byłam zdenerwowana? Oczywiście że tak. Nie dlatego, że nie wiedziałam, jak zareaguję albo czy nie przygniecie mnie doniosłość tej chwili. Raczej dlatego, że nie wierzyłam, że ta chwila kiedykolwiek nastąpi. A kiedy nagle rzeczywistością staje się coś, o czym marzyło się od dawna – a szczególnie coś tak nieprawdopodobnego do spełnienia – kto by się nie denerwował?

Podeszłam do drzwi, spodziewając się ujrzeć jakąś wynajętą osobę z moim synem w ramionach. Ale kiedy otworzyłam, stanęłam twarzą w twarz z Tonym. Zamrugałam zdumiona – i natychmiast spojrzałam w dół, by się upewnić, że faktycznie ma ze sobą Jacka. Miał. Mój synek siedział wygodnie w foteliku, ze smoczkiem w buzi, ściskając w rączkach gumową kaczuszkę.

– Cześć – powiedział cicho Tony.

Kiwnęłam mu głową. Zauważyłam, że wyglądał na bardzo zmęczonego.

Przez długą, niezręczną chwilę patrzyliśmy na siebie, nie mając pojęcia, co powiedzieć.

– Cóż... – odezwał się w końcu Tony. – Pomyślałem, że powinienem to załatwić osobiście.

– Rozumiem.

– Pewnie nie myślałaś, że sam go przywiozę.

– Tony – powiedziałam cicho – prawdę mówiąc, staram się w ogóle o tobie nie myśleć. Ale dzięki, że przywiozłeś Jacka do domu.

Wyciągnęłam rękę. Zawahał się przez chwilę, po czym z ociąganiem podał mi fotelik.

Złapałam za uchwyt. Był krótki moment, kiedy trzymaliśmy go oboje. W końcu Tony puścił. Ciężar trochę mnie zaskoczył, ale nie postawiłam fotelika na ziemi. Nie chciałam go wypuścić z ręki ani na chwilę.

Spojrzałam w dół, na Jacka. Cały czas ssał smoczek i ścisnął żółtą kaczkę, zupełnie nieświadom, że ten jeden krótki gest, to „przekazanie”, zmieniło właśnie cały bieg jego życia. Jakie miało być to życie, co go czekało w przyszłości – tego nie dało się przewidzieć. Wiedzieliśmy tylko, że na pewno będzie inne od tego, które miałby, gdyby został z ojcem.

Nastąpiła kolejna chwila niezręcznego milczenia.

Odezwałam się pierwsza – Nasi prawnicy ustalili, że możesz się widywać z Jackiem co drugi weekend. Więc pewnie zobaczymy się w następny piątek.

– Prawdę mówiąc – odparł, unikając mojego spojrzenia – w przyszłą środę przenosimy się do Australii.

Zamilkł – niemal jakby spodziewał się pytania, czy udało mu się poukładać jakoś sprawę z Dianą po tych wszystkich sądowych rewelacjach na temat jego niechlubnej przeszłości. Albo gdzie będą mieszkać w Sydney.

Albo jak mu idzie z tą jego cholerną powieścią. Aleja nie miałam zamiaru o nic go pytać. Chciałam tylko, żeby już sobie poszedł. Powiedziałam więc:

– W takim razie pewnie się nie zobaczymy w następny piątek.

– Nie, raczej nie.

I znów cisza.

– No dobrze – powiedziałam w końcu. – Kiedy następnym razem zjawisz się w Londynie, wiesz, gdzie nas szukać.

– Zamierzasz zostać w Anglii? – zapytał.

– Jeszcze o tym nie myślałam. Ale skoro przyznano nam wspólne prawo do opieki, zapewne dowiesz się o mojej decyzji jako jeden z pierwszych.

Tony spojrzał na Jacka. Mrugnął kilka razy, jakby miał się rozplakać. Ale oczy pozostały suche, twarz niewzruszona. Widziałam, że patrzy na moją rękę, ściskającą uchwyt fotelika.

– Chyba już sobie pójdę – powiedział, nie podnosząc wzroku.

– Tak – potwierdziłam. – Lepiej idź.

– No, to żegnam.

– Żegnam.

Spojrzał na Jacka, a potem w końcu na mnie.

– Przepraszam – powiedział.

Zabrzmiało to jakoś płasko, bezdźwięcznie, niemal dziwnie. Przyznawał się w ten sposób do winy, do wyrzutów sumienia? Czy miało to znaczyć, że żałuje tego, co zrobił? A może były to tylko przeprosiny znużonego człowieka, który stracił tak wiele, próbując wygrać wszystko? Enigmatyczne, wysilone, pozbawione emocji, a mimo to wskazujące na ból, jaki przeżywał. Przeprosiny, które nie były przeprosinami. Ale czegoż mogłam się spodziewać od mężczyzny, którego znałam tak dobrze... i którego wcale nie znałam?

Odwrociłam się i wniosłam Jacka do domu. Zamknęłam za nami drzwi.

Jak na zawołanie mój synek zaczął płakać. Pochyliłam się nad nim. Rozpięłam paski, którymi przypięty był do fotelika. Wzięłam go na ręce. Ale nie przytuliłam go natychmiast do piersi i nie wybuchnęłam łzami wdzięczności. Bo kiedy uniosłam go na wysokość twarzy, natychmiast wyczułam charakterystyczny zapach. Pełne majtki.

– Witaj w domu – powiedziałam, całując go w główkę. Ale nie uspokoiła go ta matczy-
na pieśczość. Obchodziła go tylko brudna pielucha.

Pół godziny później, kiedy karmiłam go na dole, zadzwonił telefon. Była to Sandy. Chciała sprawdzić, czy „przekazanie” faktycznie się odbyło. Wręcz zapomniała języka w gębie (a to zdarzało się jej naprawdę rzadko), kiedy powiedziałam, że Tony osobiście przywiózł Jacka.

– I naprawdę powiedział „przepraszam”? – zapytała zdumiona.

– Tak, chociaż kiepsko mu to wyszło.

– Nie sądzisz, że próbował się z powrotem wkręcić w twoje życie?

– Za parę dni wyjeżdża do Sydney ze swoją królową, więc nie sądzę, żeby o to mu chodziło. Prawdę mówiąc, nie wiem co myśleć o tym, że się tu zjawił, dlaczego mnie przeprosił, jaki był jego „ukryty cel”... jeśli oczywiście był w tym jakiś ukryty cel. Wiem tylko jedno: nie zobaczę go przez dłuższy czas i bardzo się z tego cieszę.

– Nie może się chyba spodziewać, że mu wybaczysz.

– Nie... ale z całą pewnością pragnie przebaczenia. Każdy tego pragnie, nie?

– Czyżbym znów wyczuwała to absurdałne poczucie winy z powodu taty?

– Masz dobrego nosa.

– No więc mnie nie musisz prosić o wybaczenie. Bo podtrzymuję to, co ci powiedziałam w Londynie: nie winię cię za to. Pytanie tylko, czy ty sama sobie potrafisz wybaczyć? Nie zrobiłaś niczego złego. Ale sama musisz to zrozumieć. Tak jak Tony sam musi zrozumieć, że wyrządził ci krzywdę.

A kiedy to już zrozumie, to może...

– Co? Nawróci się? Wyzna grzechy i zacznie bić się w piersi? To Anglik, na litość boską.

I jak Angole, którzy gardzą samymi sobą, nienawidzi naszej amerykańskiej wiary, że „szczerością, uczciwością i pieśnią w sercu” każdy potrafi stworzyć sam siebie na nowo i czynić dobro. Życie tutaj to koszmarny labirynt, przez który jakoś próbujesz się przedrzeć. Życie w Ameryce to też koszmarny labirynt, ale my, Amerykanie usiłujemy sobie wmawiać, że wciąż jesteśmy jak niedokończone projekty i że pewnego dnia zaczniemy żyć jak należy.

– Już niedługo w ogóle nie będziesz się musiała przejmować Anglikami – powiedziała.

Bo Sandy miała nadzieję, że wrócę do Stanów – powiedziała mi o tym pięć tygodni wcześniej, kiedy czekałyśmy na Heathrow na jej samolot. Rozprawa właśnie się zakończyła. Tony i Spółka w pośpiechu wyszli – Dianę Dexter wręcz wybiegła sama na korytarz, ledwie Traynor skończył odczytywać wyrok. Tony pobiegł za nią; Lucinda Fforde i jej pomocnik zatrzymali się, by uścisnąć ręce Maeve i Nigelowi, po czym również opuścili salę.

Została tylko nasza czwórka – siedzieliśmy w ławkach, ciągle jeszcze oszołomieni, jakby wciąż nie docierało do nas, że wszystko skończyło się dobrze. Wreszcie Maeve przerwała ciszę.

– Nie jestem hazardzistką – powiedziała, zbierając papiery – ale na pewno nie postawiłabym pieniędzy na taki wynik. Słowo daję...

Pokręciła głową i pozwoliła sobie na oszczędny uśmiech.

Nigel też był bardzo przejęty; patrzyłam, jak w milczeniu pakuje grube teczki do walizki na kółkach.

– Naprawdę nie wiem, jak dziękować wam obojgu – powiedziałam, wstając. – Uratowaliście mnie przed...

Nigel uniósł dłoń, jakby chciał powiedzieć: tylko bez popadania w czułościowość, proszę. Ale w końcu się odezwał:

– Bardzo się cieszę, Sally. Naprawdę, bardzo się cieszę.

Tymczasem Sandy siedziała na swoim miejscu z twarzą zalaną łzami – moja duża, wspaniała, zbyt płaczliwa siostra, przeżywająca to za całą naszą czwórkę. Nigel wydawał się jednocześnie wzruszony i zażenowany takim jawnym wyrazem uczuć. Maeve położyła mi rękę na ramieniu.

– Ma pani szczęście, mając taką siostrę.

– Wiem – odparłam, wciąż zbyt oszołomiona wyrokiem, by zdobyć się na jakąkolwiek reakcję. – Myślę, że teraz przydałby się nam wszystkim porządny drink, by to uczcić.

– Bardzo bym chciała – odparła Maeve – ale jutro muszę być z powrotem w sądzie, a przygotowania w lesie. Więc...

– Rozumiem. Panie Clapp?

– O piątej mam ważne spotkanie – powiedział.

Więc tylko uściśnęłam obojgu dłonie, jeszcze raz podziękowałam Maeve i powiedziałam Nigelowi, że czekam na jego telefon, jeśli ludzie Tony’ego zechcą negocjować warunki rozwodu.

– Więc chce pani dalej korzystać z moich usług? – zapytał.

– A z czyich miałabym korzystać? – odpowiedziałam pytaniem. I po raz pierwszy miałam okazję zobaczyć, jak Nigel Clapp się uśmiecha.

Kiedy wyszedł, Sandy stwierdziła, że z całą pewnością należy się nam porządny drink... ale na lotnisku, bo musi zdążyć na samolot. Pojechałyśmy więc metrem na Heathrow, załatwiłyśmy odprawę, po czym wypiliśmy po kieliszku wstrętnego, czerwonego bełta w jakimś barze w hali odlotów. I właśnie wtedy zapytała mnie:

– To kiedy wracasz z Jackiem do Bostonu?

– Nie wszystko naraz – odparłam. Ale teraz, kiedy znów poruszyła tę kwestie pierwszego popołudnia po powrocie Jacka do domu, moja odpowiedź była bardziej dwuznaczna:

– Jeszcze o niczym nie zdecydowałam.

– Chyba po tym wszystkim, co ci zrobili, nie zamierzasz tam siedzieć.

Miałam ochotę jej powiedzieć, że ci „oni”, o których mówi, to nie jest cała Anglia ani wszyscy Anglicy. To tylko dwoje ludzi, którzy zrobili mi krzywdę, usiłując zdobyć coś, czego nie mogli mieć.

– Już ci powiedziałam, że nie zamierzam teraz podejmować żadnych ważnych decyzji.

– Ale twój dom jest w Stanach – powiedziała.

– Ja nigdzie nie mam domu. I zaczynam dochodzić do wniosku, że to wcale nie jest takie złe.

– Przecież nie przeżyjesz kolejnej mokrej zimy – powiedziała.

– Ostatnio przeżyłam coś trochę gorszego.

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Chcę, żebyś wróciła do Bostonu.

– A ja ci odpowiadam: wszystko jest możliwe. Ale na razie chcę tylko spędzić jak najwięcej czasu z moim synem i doświadczyć czegoś, co omijało mnie przez prawie rok: normalnego życia.

Moja siostra milczała przez chwilę. Potem powiedziała:

– Nie ma czegoś takiego jak normalne życie.

To było kilka tygodni temu. I choć zgadzam się z Sandy, że nie ma czegoś takiego jak normalne życie, od tamtej pory staram się prowadzić coś, co można by nazwać spokojną, zwykłą egzystencją. Wstaję, kiedy budzi mnie Jack. Dbam o jego potrzeby. Spędzamy razem dużo czasu. Kiedy pracuję, siedzi przy mnie w foteliku albo w kojcu. Chodzimy do supermarketu na High Street. Odkąd wrócił do domu, dwa razy zostawiłam go wieczorem pod opieką niani, by skoczyć z Julią do kina. Poza tym jesteśmy nierozłączni. I to mi odpowiada – nie dlatego że nadrabiam w ten sposób stracone miesiące, ale dlatego że dzięki temu prowadzimy bardzo uporządkowane życie. Na pewno kiedyś będzie się to musiało zmienić. Ale to pieśń przyszłości. A na razie nasza codzienność wcale nie jest taka zła.

Zwłaszcza odkąd zza chmur wyszło słońce.

– Stawiam pięć funtów, że jutro jeszcze nie będzie padać – powiedziałam do Julii. Nalewała sobie właśnie drugi kieliszek wina.

– Stoi – odparła. – Ale przegrasz.

– A co, słyszałaś prognozę na jutro?

– Nie, nie słyszałam.

– To dlaczego jesteś taka pewna, że będzie padać?

– Wrodzony pesymizm... dla równowagi z twoim amerykańskim pozytywnym podejściem.

– Po prostu staram się z nadzieją patrzeć w przyszłość.

– W Anglii to się nazywa nieuleczalny optymizm.

– Przyznaję się do winy – odparłam. – Ale czym skorupka za młodu...

Oczywiście późnym wieczorem zaczęło padać. Nie spałam jeszcze; siedziałam w kuchni, karmiąc z butelki mojego syna-terrorystę. I nagle potężny, huczący grzmot letniej burzy oznajmił, że niebo zaraz urządzi nam prysznic. Jakies pięć minut później lunęło – istna tropikalna nawałnica, która uderzyła o szyby tak gwałtownie, że Jack odepchnął butelkę i zapatrzył się przestraszony na mokre szyby.

– Spokojnie, spokojnie – powiedziałam, tuląc go do piersi. – To tylko deszcz. I chyba powinniśmy się zacząć przyzwyczajać.